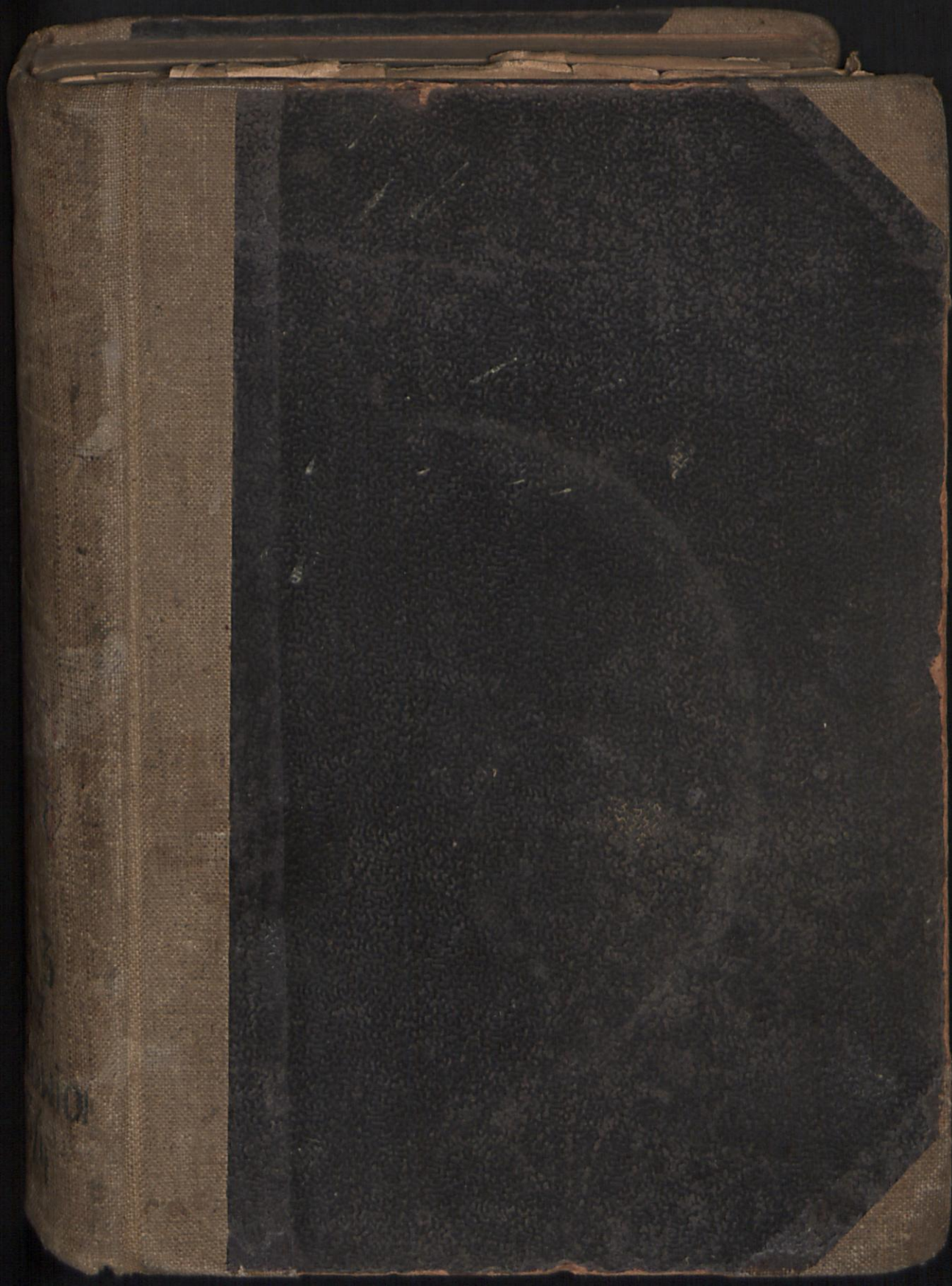
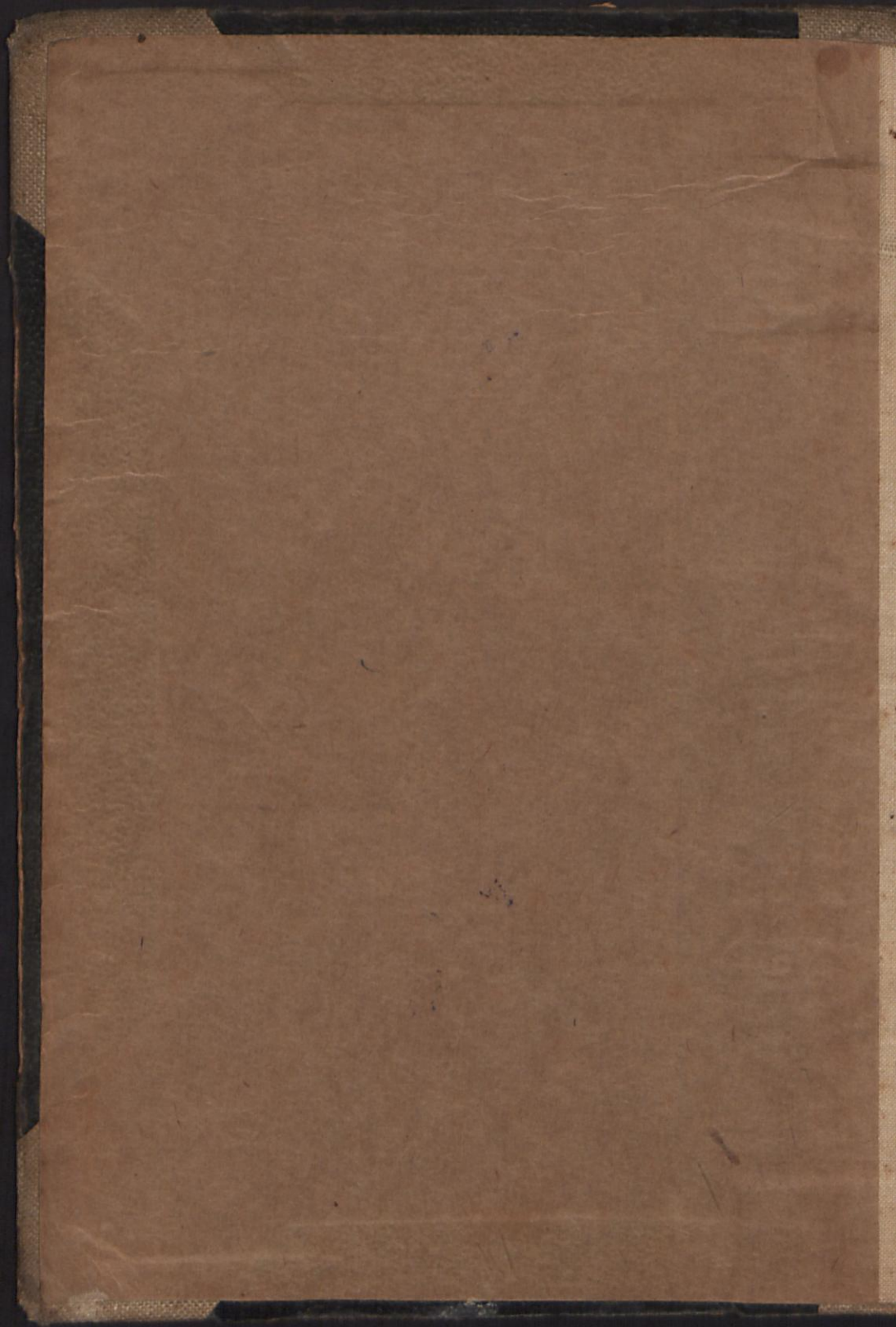
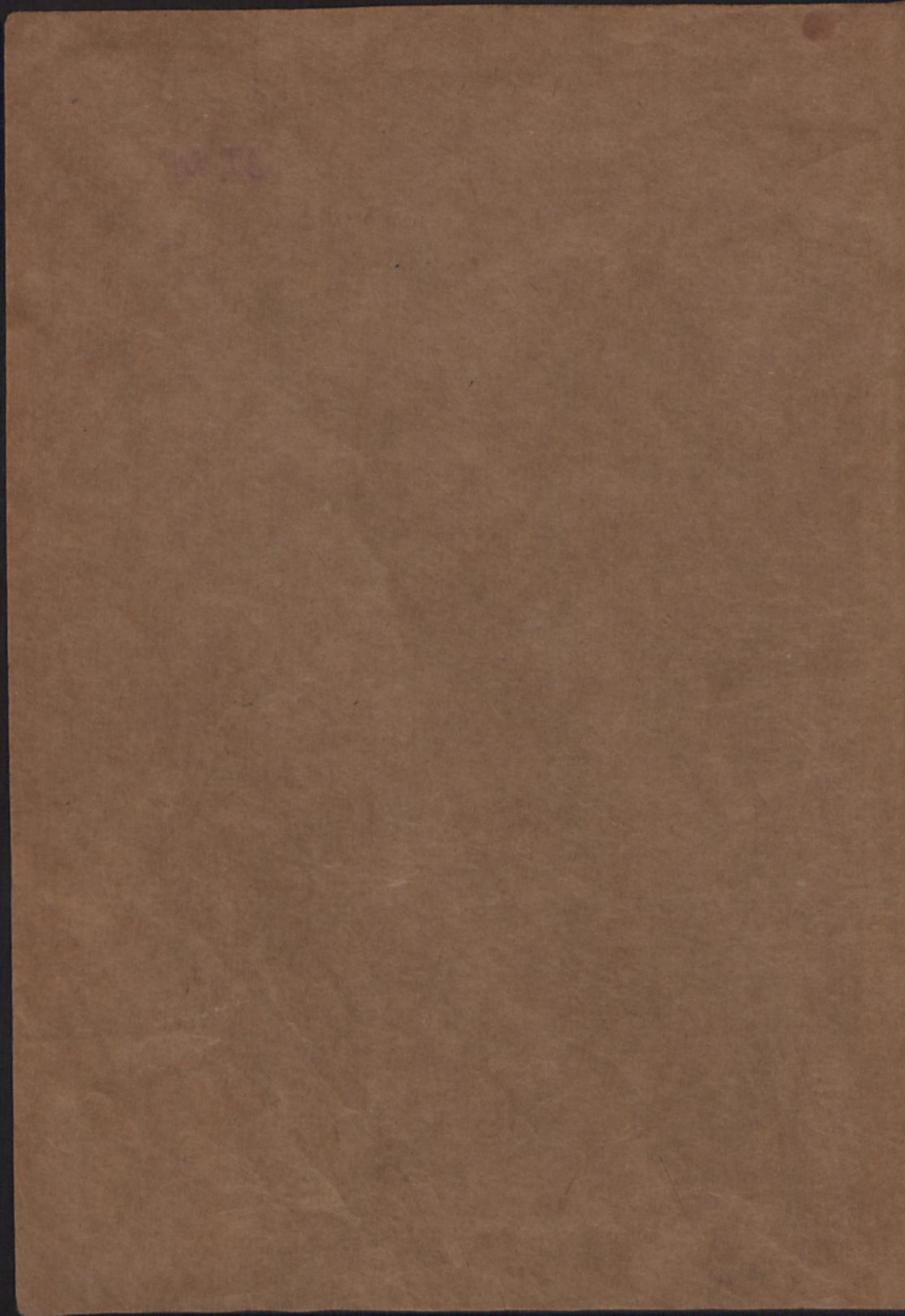






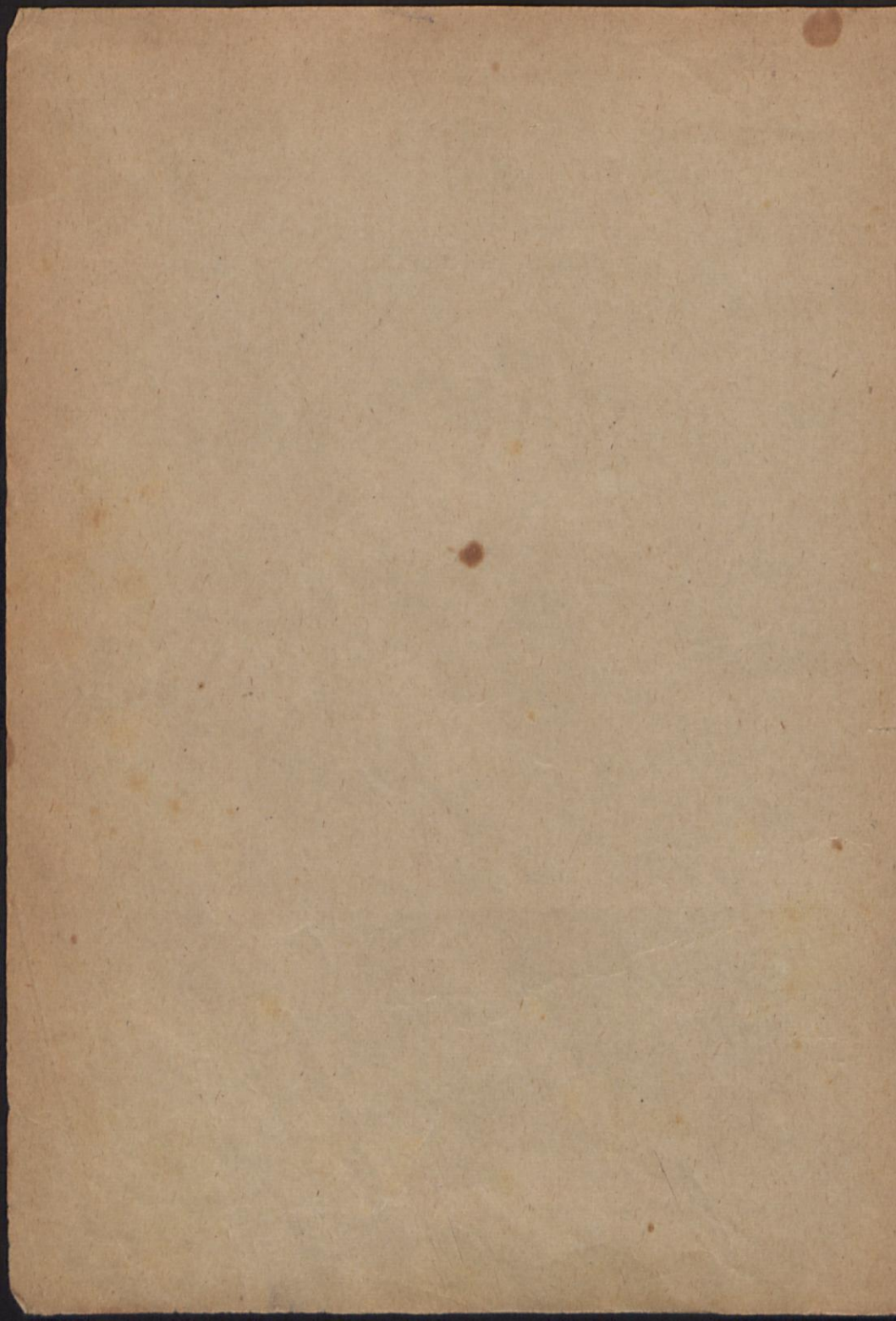
201

STM





TEODOR TOMASZ JEŻ
SŁOWIAŃSKI HERCOG



28/ 20.11.5 305.
TEODOR TOMASZ JEŻ

SŁOWIAŃSKI HERCOG

55
POWIEŚĆ W CZTERECH TOMACH NA TLE
DZIEJÓW SŁOWIAŃSZCZYZNY POŁUDNIOWEJ

TOM TRZECI I CZWARTY



1 9 5 0

• C Z Y T E L N I K •

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

*Tekst przygotował do druku
prof. dr Witold Doroszewski*

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

884-3

204

8-3

5

Księgozbiór BP



10085267

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

24/p

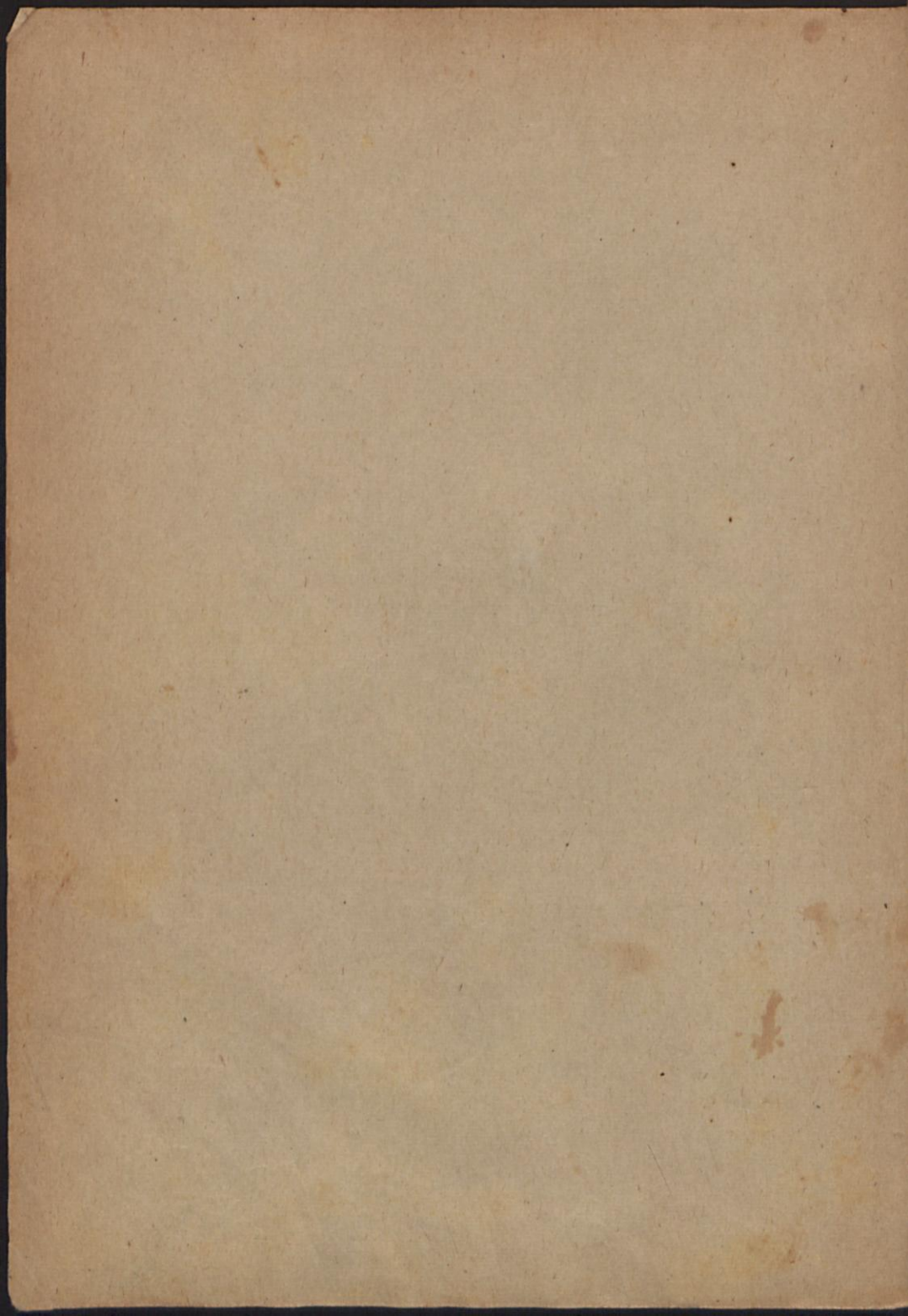
*Drukarnia Nr 2 Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“
Warszawa, Marszałkowska 3/5*

Zamówienie Nr 21. Nakład 10.400 egz. Druk ukończono 14.III.1950 r.

Papier rot., mat., szer. 61 cm, 70 g, klasa V

B-1-94129

TOM TRZECI



R O Z D Z I A Ł P I E R W S Z Y

R O J E N I A

Postać cesarza Zygmunta, jedna z ciekawszych i popularniejszych, zajmuje w dziejach świata w ogóle, w losach zaś Słowiańszczyzny południowej, mianowicie Bośni, w szczególności miejsce bardzo wydatne. Dażże się on we znaki! Długoletnie, bo pięćdziesiąt i dziewięćletnie panowanie jego, rozszerzając się stopniowo z marchii brandeburskiej na królestwo węgierskie, z królestwa węgierskiego na królestwo rzymskie, na królestwo czeskie, na cesarstwo niemieckie, było ciągiem jednym matactw, mających na celu uwydatnienie osoby Zygmunta jasnym nimbem na szarym ludzkości tle. We wszystkich krzątaniach się monarchy tego przebija od początku do końca próżność, przede wszystkim próżność. W czynnościach swoich wszystkich powodował się nie tyle ambicją, co próżnością, stanowiącą podstawę charakteru jego i grupującą około siebie wady właściwe zajmowanemu przezeń stanowisku. Na wady owe, które mogłyby się zmieniać w zalety, próżność rzuciła światło rażące. Gdyby nie ona, Zygmunt byłby niezawodnie Karolem V, Filipem II, Ludwikiem XIV, Fryderykiem Wielkim, posiadał bowiem wszelkie w duszy warunki potrzebne do pozostania wielkim na tronie: przedsiębiorczość, odwagę, szybkość w koncepcji i w po-wzięciu postanowień, ruchliwość i żądnymi skrupułami

nie krępowaną swobodę sumienia, a przy tym zamilowanie w pompach majestatu monarszego. Pod względem tym nie brakowało mu nic. Uważał siebie za następcę w linii prostej cesarów rzymskich i tylko okoliczności trudne, wśród których wędrówkę swoją ziemską jako monarcha odbywał, nie dopuściły mu zająć w dziejach stanowiska, do jakiego przez życie całe dążył.

Celem Zygmunta było władanie światem.

Cel ten, nieszczęściem dla niego, płynął nie z ambicji, a z próżności; wyraził się zatem nie przez żelazną w postępowaniu konsekwentność, a za pomocą sięgania po wszystko, po co sięgać było można, i chwytywanie wszystkiego, co się chwycić dało. Zrobiło to z cesarza chwytacza iście genialnego i polityka nieosobliwego. Z politycznych jego czynności jedną z najwydatniejszych jest instalacja dynastii Hohenzollernów w marchii brandeburskiej. Dowód, że Zygmunt nie był mężem stanu nader przezornym.

Trudno chyba znaleźć w historii drugie panowanie równie zapelnione, jak było panowanie Zygmunta. Czego się on nie chwycił, do czego ręki nie przykładął, gdzie nie interweniował! Tu godził, tam kłócił, owdzie wojował, tam reformował, wszędzie paradował; pędził żywot w nie ustającym na chwilę zajęciu, urzeczywistnieniu ewangelicznego ideału, jednej owczarni i jednego w dwóch osobach — głowy Kościoła i wikariusza jego — pasterza. Ku celowi temu kierował i nagiął wszystko, i dokazał tego tylko, że zasiał na polityczno-społecznej niwie nasiona ruchów odbywających się dziś jeszcze. Obadwa sobory ekumeniczne, w których udział brał czynny, należą do zdarzeń dziejowych bardzo ważnych.

Nie idzie zatem, ażeby Zygmunutowi zbywać miało na chęciach, zwłaszcza zaś na zdolnościach. Posiadał i to, i owo. Obracał się jeno wśród okoliczności trudnych, to sprawiających, że działalność jego, pomimo zakresy sze-

rok, w jakim ją prowadził, wyglądała na deptanie ustawiczne na jednym i tym samym miejscu. Ruszał się jednak; parł się naprzód w orle regiony; przeciwnościom zrażać się nie dawał; na duchu nie upadał, kroczył śmiało ku celowi wysokiemu.

Stefan Chranicz gdy się na dwór cesarski dostał, znalazł tam na warsztacie trzy wielkiej wagi sprawy: krucjatę przeciwko Turkom, stosunek Litwy i Polski i sobór bazylejski.

Krucjata przeciwko Turkom zajmowała miejsce najpierwsze i zarazem najostatniejsze, stawszy się rodzajem chronicznej choroby, domagającej się leczenia, ale dopuszczającej zwłokę. Próba nikopolska, o ile z jednej strony ostudziła zapal, o tyle z drugiej wykazała, że zagrożające niebezpieczeństwo neutralizują przeszkody, które je z tyłu przytrzymują. Po pogromie kwiatu rycerstwa chrześcijańskiego pod Nikopolis (1396), dowodzonego przez Zygmunta, Turcy powinni byli Europę zalać. Nie uczynili jednak tego. Upiekło się. Poznano więc, że krucjata odkładać się da z roku na rok. Poznano coś więcej jeszcze: to mianowicie, że służyć ona może jako pretekst doskonały, mogący być zużytkowanym w odniesieniu do widoków dynastycznych, stanowiących w czasie owym oś główną, około której odbywało się polityczne krążenie. Groźba turecka oddawała nawet usługi nie-małe. Na wojnę z bisurmanem zbierano pieniądze w Europie całej, i pieniądze te na wojnę nie szły — cóż więc się z nimi robiło? Krucjata przeto przedstawiała się jako rzecz niezmiernie ważna, ale nie nagląca.

Nagłącymi były sprawy takie jak polska na przykład.

Ludwik Wielki, król węgierski, siostrzeniec Kazimierza Wielkiego, króla polskiego, odziedziczył był po tym ostatnim tron polski. Ludwik ów miał dwie córki: Marię i Jadwigę. Marii wydzielił Polskę, Jadwidze Węgry. Pierwsza, za życia jeszcze ojca, wyszła za margrabiego bran-

deburskiego, tego właśnie Zygmunta, co uwagę naszą zajmuje, który po śmierci teścia wyciągnął rękę po Polskę, jak po własność swoją. Ludwik wyznaczył Polskę córce starszej, dlatego że dobra te do dóbr zięcia przylegały. Marchia brandeburska i dziedzina Piastowa sformowałyby dobrze zaokrągloną całość, przedstawiającą się pod postacią mająteczku niezgorszego. Losy atoli inaczej zrzadziły. Polacy nie dali się wziąć Brandeburczykowi i ten poszedł za żoną, którą Węgry pośpiesznie na króla sobie obrali. Nie był on przeciwny temu, ażeby zjednoczyć i Brandebury, i Węgry, i Polskę; lecz częścią Polacy, częścią teścia przeszkodzili temu; korona polska dostała się Jadwidze, ręka zaś Jadwigi dostała się Jagielle i zamiast połączenia Brandeburga, Węgier i Polski nastąpiło połączenie Polski i Litwy, wyprowadzające na widownię dziejową z głębi borów i puszczy, spośródka niedźwiedzi i turów dynastję nową. Wypadło to Zygmuntowi nie na rękę. Polska mu się wypsnęła, stąd też żywił ku niej niechęć, z którą się nie popisywał; którą jednak czuć dawał przy okazji każdej. Nie lubił narodu i niełaskaw był na szwagra, skoligaconego z nim podwójnie, raz przez Jadwigę, rodzoną pierwszej jego żony siostrę, drugi raz przez Annę cylejską, siostrę znajomej nam po trosze Barbary. Nie powiódł mu się ułożony wspólnie z Krzyżakami plan rozbioru Polski; po śmierci pierwszej żony o mało nie postradał korony węgierskiej; po śmierci Jadwigi nie mógł nawet upominać się dla wnuczki Ludwika a córki swojej o dziedzictwo korony polskiej; następnie zamachy jego wszelkie na Polskę pełzły jakoś na niczym, pomimo że miał do czynienia z człowiekiem niezdarnym i niezaradnym, opuszczającym wszelkie okazje mogące do powalenia Zygmunta posłużyć. Przebiegły Zygmunt poruszał sprężyny wszystkie celem podstawienia nogi Jagielle, aż się dogrzebał do Witolda, bohaterskiego księcia Litwy, i odkrył w nim słabość do wyzyskania łatwą.

Witoldowi zachciało się na gwałt korony królewskiej.

Koronowania była chorobą wieku owego. Witold zapragnął zostać królem Litwy. Pragnienie to kanałami krzyżackimi dopłynęło do uszów cesarza Zygmunta i napełniło rozradowaniem serce jego.

— Ach, ach, ach! — zawołał trzykrotnie, wznosząc dłonie i oczy do góry.

Przedstawiło mu się to jako dar Ducha Świętego, jako zesłanie Opatrzności, jako pociecha na starość.

— Doczekałem się na koniec! Mam go! Mam go w garści! Na proch zetrę...

Spuścić brata na brata, dwóch druhów zmienić w dwa rozżarte jeden na drugiego psy — wydało się sędziwemu już podówczas i doświadczonemu cesarzowi gratką, której jeżeli nie dla czego innego, to przez amatorstwa samo opuszczać nie należało.

Wziął się też do dzieła szczerze — z rozważą i energią, zbadał okoliczności, rozważył stosunki i rozpoczął działalność mającą na celu rozerwanie słabej jeszcze unii Polski z Litwą. Działalność owa wprowadziła w ruch przyspieszony kurierów krążących pomiędzy trzema mianowicie punktami, którymi były: Buda, Marienburg i Wilno. Marienburg stanowił łącznik — trzymał klucz, za pomocą którego rozwiązać należało problemat polityczny w sposób taki, ażeby obrócić się na jak największy idei światowładnej niemieckiej pożytek. Chodziło tu głównie o to, co w dzisiejszym języku dyplomatycznym nazywa się odosobnieniem. Rzecz nie wydawała się nader do przeprowadzenia trudną. Strona przeciwna nie posiadała programu, to jest pojęcia jasnego, czego chce. Król polski nie był orłem, doradce zaś jego szli naprzód po omacku, powodując się nie tyle względami na dobro państwa, ile bądź widokami, bądź też upodobaniami osobistymi. Bajard polski, rycerz sans peur ni reproche, z którego urosło

przysłowie „polegaj jak na Zawiszy“, służył Zygmuntowi. W Zygmuncie niestety niejednen z Polaków upatrywał ideał monarchy, bałamucąc przez to sumienia i pojęcia w czasie obecnym i na przyszłość. Najtęższy z ludzi owoczesnych, Zbigniew Oleśnicki, zapatrywał się na sprawy narodowe z punktu nie narodowego pożytku, a z pożytku stanowiska, jakie sam zajmował: sprzeciwiał się siłami całymi porozumieniu Korony z Czechami, ciskał interdykta na miasta, w których husytów przyjmowano, i zarazem popierał gorliwie unię Polski z Litwą. Sprzeczność ta tłumaczy się tym, że unia Polski z Czechami i Litwą zagrażała, unia zaś Polski z Litwą jeno nie zagrażała zajmowanemu przez Oleśnickiego stanowisku. Do stanowisk ściągało się wszystko i według nich wszystko się układało. Jeden Polak służył Zygmuntowi, drugi Władysławowi Jagielle, trzeci Witoldowi, w istocie zaś rzeczy i ten, i ów służył sobie. Była to słaba, bardzo słaba naszych mężów stanu strona, która pod nazwą „prywaty“ historyczne w dziejach Polski ma znaczenie i od której bodaj czy aby jeden wolen był.

Słaba ta strona doskonale cesarzowi Zygmuntowi znaną była. Opierając się na znajomości tej, rozpoczął grę na pewniaka prawie. Przez nie odstępującego go Ścibora ze Ściborowa posiadał rozległe w Polsce stosunki i przez stosunki te trafił do Witolda, w którym najprzód zneutralizować, następnie usunąć należało wstręt, jakim ten Litwy bohater przejętym był do „wiarołomnego“ Zygmunta. Na tym zależało działanie wstępne, załatwione przez „posły“, przez które, jak przysłowie głosi, wilk nie tyje. Przysłowie atoli nie sprawdziło się w tym razie, a to dlatego zapewne, że posłowie nie tylko cesarskie i krzyżackie, lecz i korzyści własne na widoku mieli. Knowanie przeto rozwijało się pomyślnie i dojrzewało właśnie w chwili,

kiedy cesarzowa Barbara opuszczając cylejskie ustronie przybyła do małżonka, do Budy.

Działo się to w jesieni, a raczej w babie lato.

W orszaku cesarzowej znajdował się, przywykły już do tytułu księcia, Stefan Kosacz.

Ciągnęli z Cylei do Budy zatrzymując się po drodze to tu, to owdzie. Zbaczali nawet celem odwiedzenia stryjecznych najjaśniejszej pani. Zabawili miesiący parę w Wiedniu, w gościnie u Alberta, Zygmunutowego zięcia, małżonka Elżbiety z Marii zrodzonej, którą ojciec wydać chciał za Władysława Jagiełłę, za Zygmunta Korybutowicza i za sułtana tureckiego, dał zaś Albertowi, arcyksięciu Austrii, w długu, spłacając osobą córki dukatów tysięcy dwieście i dostając ciepłą ręką sześćdziesiąt tysięcy handgeldu. W Wiedniu Stefan kontynuował edukację swoją polityczną. Wtajemniczał się w stosunki dworów i w arkaną racji stanu, powtarzając Wasie od czasu do czasu:

— Ten stryj mój jednak nie na głupi wpadł pomysł, że mi w Krupacu siedzieć nie dał... Czybym się ja tam dowiedział o tym wszystkim, o czym wiem teraz?

Dowiadywał się o różnych ciekawościach, a między innymi o potrzebie tępienia innowierców. Pod względem tym arcyksięstwo austriackie przedstawiało wzór najdoskonalszy.

Stefan, który, wychowany w Krupacu, pod wpływem Dubrownika zarażony po trosze doktrynerstwem patareńskim, brał na serio podstawę Zakonu Chrystusowego „kochaj bliźniego jak siebie samego“, który instyktowie niejako garnął się duchem do miłości, stanowiącej istotę chrześcijaństwa, dowiedział się w Wiedniu i przekonał, że praktyka miłości wklucza w siebie wszelkie najsubtelniejsze męczarni sposoby. Arcyksiążę Albert praktykował tego rodzaju miłość w obszerności całej. W czasie pobytu Stefana w stolicy arcyksięstwa przed oczami jego przesu-

nęła się galeria cała widowisk mających na celu „krystalizowanie instytucyj zespolonych nierozłącznie z życiem narodowym“. Tak te rzeczy tłumaczy i usprawiedliwia jeden z historyków nowoczesnych. Arcyksiążę Albert krystalizował instytucje zespolone z życiem narodu, za pomocą palenia na stosach, gotowania w smole, przybijania do krzyżów i ćwiartowania. Żydów. Nasz Stefan przypatrywał się temu zrazu z zajęciem, następnie ze wstrętem, w końcu z uznaniem potrzeby, tkwiącej w wysokiej idei państwowej, którą, od czasu jak o uszy jego obił się słodki wyraz „książę“, pojmował coraz to lepiej i jaśniej.

— Jak się pokazuje, bez tego obejść się niesposób... — mawiał do Wasy.

— Hm — odpowiadał Wasa.

— W Krupacu jam nie wiedział o tym wszystkim.

— Co Krupac, to Krupac, a co Becz, to Becz.

— Chciałbym bardzo hercogiem być.

— Będiesz wojewodą po śmierci stryja.

— No, tak. Aleć przecie co hercog, to nie wojewoda.

— We względzie mowy to wszystko jedno, ale co się znaczenia tyczy, ta zachodzi różnica, że wojewoda od każdego idzie króla, a hercog idzie tylko od państwa rzymskiego.

— Otóż to — odpowiadał Stefan z westchnieniem.

W duszy zapanowały mu jakieś szumy, których przedtem nie było, jakoweś pragnienia, których nie znał, jakoweś wyobrażenia, o których pojęcia nie miał. Szumy owe, pragnienia i wyobrażenia odnosił z początku do nieobecnej żony, nadając im zakrój humorystyczny. Przedstawiał sobie, jakby się to Ilenka nadymała, a ani się spostrzegał, jak nadymanie się wchodziło w niego, przeistaczając go powoli i nieznacznie i przetwarzając, nie przyznawał się jednak przed samym sobą do zmiany, jaka z nim i w nim zachodziła — nie widział jej: miał się jeno za oświeceń-

szego, cywilizowańszego, rozumniejszego jak przedtem. W istocie rzeczy, polerował się, pozbywał się owej szorstkości i naiwności, jakie go zdobiły, gdyśmy z nim znajomość zabrali, nabierał ogłady zewnętrznej, a z nią razem mętnego jeszcze, jeszcze dziecinnego, ale z dniem każdym, z chwilą każdą wzmacniającego się pojmowania obowiązków stanowiska, na jakim go los postawił. Przez dobreż bo przechodził szkoły! Był w Cylei, dostał się do Wiednia, Tam widział zepsucie obyczajów w obrębie zamku; tu ujrzał je w mieście całym, hodowane starannie, niby roślina w cieplarni, wystawiające się publicznie, ogarniające wszystkie warstwy społeczne, wszystkie stany, wszystkie klasy, nie wyjmując klasztorów płci obojga. Nie przeszkadzało to bynajmniej nabożeństwu żarliwemu. Ludzie w wieku owym łączyć umieli pobożność nadzwyczajną z najwyuzdańszą rozwiązłością. Modlili się, pościli, biczowali się, chodzili w włosiennicach, nosili żelazne na gołym ciele paski i pozwalali sobie na wszystko.

Napatrzywszy się na to wszystko we Wiedniu, przetrząsnął się nasz bohater wraz z dworem cesarzowej do Budy.

Zygmunt, wbrew zwyczajowi swemu, przebywał w stolicy Węgier od miesięcy kilku. Było to w błędnym żywocie jego nadzwyczajnością, spowodowaną sprawami polskimi, dla których powołał z Cylei znajomego nam barona von Bismarkt. Cesarzowa śpieszyła do małżonka powoli. Jechała, jak wspomnieliśmy powyżej, dyszlem rzeźmiennym; dojechała na koniec i odprawiła wjazd wspanialszy aniżeli do Cylei. Sam najjaśniejszy pan, na czele najbogaciej na świecie ubierającej się gwardii węgierskiej, wyjechał na jej spotkanie. Dzień pogodny sprzyjał uroczystości na poły rycerskiej, na poły religijnej, w części ludowej. Tłumy ludu wyległy na trakt, którym orszak przeciągał. Cesarzowa dosiadła konia. Para monarsza, za-

trzymując się co chwili przed zastępującymi jej droge procesjami duchownymi i świeckimi, składającymi jej powitania i życzenia, posuwała się powoli, wywołując admirację nieklamana, pochodzącą stąd, że była to para godna widzenia, pomimo że dla Barbary minął kwiat młodości, Zygmunt zaś znajdował się już w dziesiątku lat siódmym. Lata atoli wdzięku mu nie ujmowały. Był to starzec majestatycznie piękny, rosły, mocno zbudowany, dumnego wejrzenia, trochę przybladły, lecz zdradzający siłę niepospolitą, wziętą z matki, która tym się wsławiła, że podkowy łamała i kolczugę drucianą jak płótno rozdzierała. Węgrom imponował ich król, gdy na niego patrzyli. Z zapalem więc przyjmowali królewską parę; rozgłośnie krzyczeli jej: elien!; muzyki brzmiały, dzwony jęczały, bicie z armat napelniało powietrze hukiem; w mieście festony, girlandy, sztandary, kobierce zdobiły domy, mimo których przejeżdżała para królewska, poprzedzając hufiec jazdy na dzielnych koniach, świecącej barwami, złotem, piórami i klejnotami.

Okrzykami, wysypaniem się tłumnym na trakt i przystrojeniem miasta wyrażała się miłość niby ludu dla monarszej pary, której lud ten nie miłował wcale. Oklask ten przeło nie wyrażał miłości, ale -- co? Oklaski podobne spotykają królów teatralnych. Cesarz Zygmunt posiadał talent ten sam, którym się w czasach naszych odznaczył bohater spod Sedanu. Umiał urządzić to, co Francuzi nazywają mise en scène. Umiał się pokazać. Naród węgierski go nie kochał: brawo mu dawał. Dawał brawo jemu i jego małżonce, której nie kochał, a nienawdził. Cóż jednak! tak się dobrze na koniu prezentowała!

Przyjęcie w Budzie jak niebo do ziemi podobnym było do opisanego w poprzednim tomie przyjęcia w Sutyksu.

Stefan czuł się ogłuszonym, otumanionym, olśnionym. Jechał obok Wasy i ustawicznie wydawał okrzyki zdumienia.

— A!... O!... Majka niegowa! Jakże to pięknie! Mój Boże!...

Powziął to najgłębsze przekonanie, że naród węgierski do ubóstwiania kocha swego króla i swoją królowę.

Królowę znał, o! poznał ją. Nie chcemy opowiadać, z jakiej mianowicie ją poznał strony, nie z najlepszej jednak; i nie spodziewał się, żeby małżonek, żeby naród na stronę ową oczy zamykać mieli. Nie przypuszczał, aby to, co w Cylei, w Wiedniu, wszędzie tajemnicą nie było, mogło być tajemnicą w Budzie. Konkludował więc stąd tak: jak odmiennym jest cesarz od człeka prostego, tak też i pojęcie o moralności odmiennym być musi na poziomie cesarskim i na poziomie pospolitego ludu. Quod licet Jovi — non licet bovi. Istnieją dwie miary i dwie wagi.

— Gdyby Ilenka moja — myślał sobie — prowadziła się tak jak najjaśniejsza cesarzowa Barbara, to... to by... nie spłynęła chyba tak cudownie na krupackim jeziorze, jak trzej prałaci.

Otworzyły się mu oczy.

Nie żałował już, że żony z nim nie ma; owszem, rad był temu niewypowiedzianie, raz dlatego, że Ilenka, prostaczka, odbijałaby jak najgorzej od dam, posuwających elegancję do granic skrajnych, po wtóre dlatego, że... a nuż zechciałaby, wzorem hrabin i hrabianek, baronowych i baronówien otaczających tron cesarski, naśladować najjaśniejszą panią? Ile razy przeto myśl jego ku żonie się zwracała, zawsze czuł niby ulgę na sercu z powodu jej nieobecności, a zarazem czuł wdzięczność dla stryja za to, że ją wziął pod opiekę swoją.

— Stryj Sanda! mądrze zrobił... — powiadał sobie.

Powiedzieć należy, iż pod wyrazem „opieka” rozumiał „dozór” i wyobrażał sobie wojewodę Sandała pod postacią Argusa, czuwającego nad czystością rodu Chraniczów.

— Mądry człowiek!...

Z tym wszystkim, pomimo iż myśli powyższe znamionują w części troskliwość, w części zazdrość małżeńską, Helena u niego na walorze traciła. Balsziczństwo jej nawet, które w Krupacu tak wysoko stało, spadało na wartości; osoba zaś jej, taka okazała, najmniejszego wytrzymać nie mogła porównania z postaciami niewieścimi, które się przed oczami jego przesuwaly. Bynajmniej! Śród dam dworskich zdarzały się piękności; zdarzały się atoli i istne maszkary. Cóż jednak! Maszkary owe umiały się nosić, chodzić, przedstawiać, umiały mówić, śpiewać, tańczyć, umiały się wdzięczyć, pachniało od nich i jaśniało, i szeleściło — i wydzielał się z nich urok jakiś osobliwy, sprawiający odurzenie. Najbrzydsza — i ta jeszcze durzyć umiała. Elegancja w wieku XV posuniętą była do stopnia wysokiego. Na gotowalniach niewieścich znajdowano — jak świadczą kroniki — flaszeczek, słoików i pudełeczek po trzysta. Do elegancji stosowała się i kokieterya, która się posługiwała sposobami tak zwyczajnymi, udoskonalonymi, jako też nadzwyczajnymi, biorącymi na pomoc czary, gusła, zaklęcia, modlitwy, praktyki religijne i zadawania — zadawania złożone z ingrediencyj najobrzydliwszych, jakie jeno wymyślić można, a o jakich Helena, pomimo że i ona ze sposobami nadzwyczajnymi obznajmioną była, wyobrażenia nie miała. To jednak mniejsza. Tego mogłaby się nauczyć. Obok tego wszakże wyuczyłaby się i takich rzeczy, które acz mile przez Stefana w żonach cudzych widziane, we własnej przejmowałyby go wstrętem i zgrozą.

Rad więc był temu, że Helena pod strażą wojewody w Dubrowniku pozostawała, nie mniej oraz rad był temu, że się sam dostał w świat taki ciekawy.

Nie mógł się dosyć napatrzeć, nie mógł się dosyć nasłuchać, nie mógł się dosyć nawąchać. Wraz z tymi trzema zmysłami nie próżnowały i dwa inne. Smak i dotykanie znajdowały się także w stanie podrażnienia i natężenia ustawicznego i sprawiały bohaterowi naszemu zajęcie, które go uwlekało coraz to dalej i głębiej, jak wędrowca idącego w podróż daleką uwleka przechodzenie z etapu na etap. Zmysły były przewodnikami jego, spośród zaś nich, niby kwiat z donicy, wystrzelał nieokreślony bliżej cel, powzięty z zapatrzenia się: na hrabstwo hrabiego Hermana, na arcyksięstwo arcyksięci Alberta, na królewskość króla Zygmunta, na majestatyczność władzy najwyższej, przynoszącej tyle wygód, tyle przyjemności, tyle rozkoszy, tyle zadowolenia, że mimowolnie roily się mu po głowie to korona bośniacka, to kołpak wielkoksiążęcy, to coś w tym rodzaju.

ODYMKI ŚWIATOWE

Zaznaczywszy rojenia Stefana, wyprowadzone spośród zmysłów niby roślina z gruntu bogatego w pierwiastki pędowe, zaznaczyć musimy jedno jeszcze następstwo, wynikające koniecznie z sytuacji, w jaką los, a raczej stryj go wprowadził. Stefan opuścił wyspę odludną prawie, opuścił Dubrownik, w którym obyczaje, zostając pod kontrolą opinii publicznej, były czyste; opuścił żonę, niewiaścę ambitną, lecz ambicję przechowującą w sobie, jak butelka hermetycznie zakorkowana przechowuje płyn burzącymi napojony gazami, na zewnątrz zaś spokojną; a dostał się w świat napełniony, przesiąknięty, nabrzmiały czadami wydzielającymi się z żarów płonących pod kuźnią miłości.

Jeden z poetów społecznych, należący do gwiazd pierwszej wielkości, powiedział, że „miłość świat odymia“.

Prawda.

Poeta zastosował słowa te do miłości w pojmowaniu uczucia tego dzisiejszym. Jeżeli przeto dziś ona świat odymia, to cztery wieki temu opętywała. W wieku XV miłość była opętaniem. Nie istniała jeszcze miłość, ale miłostka. Błędni rycerze, którzy rozgłaszając po świecie wdzięki i cnoty dam serc swoich włóczyli się z miejsca na miejsce, dobijali się nagrody wcale nieplatonicznej. Wiek ów

wiary silnej był wiekiem zmysłowości grubej, moderowanej etykietą, która stanowiła wędzidło jedyne, emaliowane zalotnością, mającą za cel i za zadanie kruszenie wędzidła. Urabiał się w ten sposób formalizm, który wkładał na kobietę obowiązek... upadania według pewnych reguł. Niewiasta, zwłaszcza w sferze towarzystwa wyższej, miała się za twierdzą. Jak twierdza przeto broniła się i jak twierdza kapitulowała po dopełnieniu warunków, jakie honor nakazywał. A bywały to warunki oryginalne, polegające na wkładaniu na gachów pewnych ślubów, jak na przykład: obowiązywania ich do noszenia barw nie takich, a takich; albo też do odmawiania w pewien sposób oznaczonej modlitwy, albo do zasłaniania oblicza przyłbicą, albo do uczesywania włosów jakoś, albo do milczenia przez czas dłuższy, albo do chodzenia ze zmrudzonym okiem jednym, albo do czegoś w tym rodzaju. Nie skończylibyśmy, gdybyśmy wyliczać chcieli wszystkie śluby rycersko-romansowe wchodzące w zakres symbolistyki mistycznej, którą osłaniała się miłość w wieku XV. Miało to znaczenie ofiary palonej na ołtarzu przez czas ściśle określony, na przykład: przez rok jeden, miesiące trzy, tygodni dwa, dni pięć i godzin siedem, po czym następowało wynagrodzenie — twierdza kapitulowała. Przez to czyniło się zadość honorowi, cnocie i kochaniu — kochaniu stanowiącemu uwieńczenie dzieła i ważną, bardzo ważną dźwignię zdarzeń dziejowych. Nie jedna tylko Helena spowodowała wielką wojnę; nie jedna tylko Troja upadła z przyczyny kobiety.

Obok smagania się dyscyplinami drucianymi, ubierania się we włosiennice, chodzenia boso, czołgania się na kłęczkach — kochano się.

Kochano się na zabój.

W życiu towarzyskim nie miano na widoku czego innego, jeno kochanie.

Dziś zgromadzamy się w miejscach różnych dla celów różnych, po salonach zaś zabawiać się umiemy literaturą, sztuką, nauką, polityką, plotkami, nedorzecznosciami i rozmaitymi rozmaitościami służącymi do zabijania czasu i uprzyjemnienia stosunków towarzyskich. Dawniej, w każdym czasie i na każdym miejscu, kochanie główną odgrywało rolę: zgromadzano się dla niego; w stosunkach towarzyskich stanowiło ono zaczyn, wedle którego takowe układały się i rozwijały szukając dla siebie teatrów odpowiednich, a za nieodpowiednie nie uważając wcale ani kościołów, ani klasztorów, zwłaszcza zaś klasztorów, które były przytuliskiem legalnym schadzek miłosnych. Za furtą, pod puklerzem klauzury, pod pieczęcią tajemnicy działały się rzeczy takie, o których dziś bez zgrozy mówić nie można. Klasztory, jak wiadomo, praktykowały gościnność. Owóż praktyka owa te pociągała za sobą następstwa, że domy — ciszy i modlitwie poświęcone — otwierały się raz dla uczt hucznych, znów dla usług poufnych na żądanie osobistości wyjątkowych, dobrodziejów i dobrodziejek, którym nie godziło się odmawiać udzielenia sposobności... pogadania na osobności.

W taki to świat dostał się półbohater nasz.

Gdyby Stefan był świętym na wzór i podobieństwo owych świętych, których walki z pokusami Skarga w „Żywotach“ tak wymownie opisał, to byłby uciekł i kurz z obuwia sobie otrząsnął. Świętym jednak nie był; pozostawał więc i z pokusami się w walki nie wdawał, inaczej, nie płynął naprzeciw prądu. Dawał się prądowi unosić — to mu nawet przyjemność niemałą sprawiało. Dawał się prądowi unosić, kołysał się na fali i doznawał z tego powodu lubości ogromnej, rojąc cicho o nieokreślonej owej przyszłości, o której wspominaliśmy powyżej, i o tym, że jakby przyszłość owa się obróciła, to zawsze czeka na niego województwo chumskie i...

...i... żona.

Zwrot ten w myślach powracał mu do głowy często. Aż razu pewnego, kiedy powrócił, Stefan splunął:

— Tfu!

Powiedział sobie w duchu „i żona“ i splunął. Splunąwszy zawołał:

— Ha!

Okrzyk ten zabrzmiał tonem rezygnacji. Nie rezygnację jednak wyrażał, a żal do Opatrzności, który się w myśli młodego człowieka w następujący sformułował sposób:

— Trzeba mi było albo nie żenić się, albo wziąć żonę taką jak Gruba.

Przyszła mu Gruba na myśl i wyobrażał sobie począł, jakby to było inaczej, gdyby w województwie chumskim wraz z województwem czekała na niego nie taka Helena, a taka Gruba.

Zrobił w wyobraźni przegląd wszystkich na dworze w Cylei i na dworze w Wiedniu widzianych dam i znalazł, że żadna z nich Grubie nie dorównywała.

Nie oznaczało to, ażeby się w małżonce Pietra zakochać miał nagle. Wcale nie. Wypadło mu tak z porównania, które poszło dwiema drogami: jedną tą, którą kroczył, drugą wsteczną. Na pierwszej odbiła mu się Helena, na drugiej Gruba. Helena odbiła się od dam dworu, Gruba od Heleny. Interwencja małżonki Pietra miała w tym razie szczególne swoje znaczenie, to mianowicie, iż posłużyła jako świadectwo, że w Chumie nawet — przypuszczając, iżby Stefan w przyszłości na samym jeno województwie chumskim poprzestać musiał — znajdzie się jakaś dla małżonka, utrapionego takim jak Helena kłosem, kompensata. Oto wszystko. To wszystko stanowiło karb na przyszłość. Płynął z prądem, powtarzając sobie w duchu często:

— Gdy przyjdzie do tego, że do Krupaca powrócę, to już ja sobie dam radę.

W duchu powiedzenia tego miewał częste z Wasą sprzeczki. Wasa poniżał niewiasty zachłumskie, dubrownickie i w ogóle bośniackie, zarzucając im brak wychowania miastowego.

— Co mi po tym! — mawiał Stefan. — Prawda, niewiasty nasze nie umieją się tak wdzięczyć jak tutejsze, za to są twardsze.

Nie podobała się mu galarecianość płci pięknej zapełniającej dwory monarsze. To atoli jedno tylko miał jej do zarzucenia, zresztą czuł się wśród niej dobrze. Miło mu było w otoczeniu dam mających dla niego względy wielkie. Szkodziła mu trochę żonatość, nie bardzo jednak. Żonatość odstręczała od niego panny; w oczach mężatek nie uchodziła ona za grzech śmiertelny.

Na dworze cylejskim i na dworze wiedeńskim odbywał Stefan nowicjat światowy, obywał się, oswajał, ocierał. Na dworze budajskim wystąpił już w skorupie rycerza zachodniego, z dystynkcją odpowiednią wysokiemu stanowisku, jakie zajmował.

Cesarzowa zaprezentowała go cesarzowi jako krewniaka swego na audiencji solennej, na której nie potrzebował już posługiwać się cudzą gębą do odpowiadania na zapytania, pomimo że pierwsze zapytanie w kłopot go wprawilo. Po powstaniu z klęczek — przed cesarzem Zygmuntem klękać trzeba było — najjaśniejszy pan, pochylwszy lekko głowę, następujące przemówił słowa:

— O n przeto pragnie pozostawać przy boku naszym?

Nie wiedział Stefan, do kogo się owo „on“ odnosi. Nie stracił jednak rezonu. Zmiarkował się prędko, iż chodzić nie może o kogo innego, jeno o niego, i odpowiedział:

— Tak, zaprawdę, najjaśniejszy i najmiłościwszy panie.

— On wie zapewne, że w służbie naszej pozostaje kilku spółziomków jego: nasz kanclerz, nasz spowiednik...

— Mam zaszczyt wiedzieć o tym, najjaśniejszy i najmiłościwszy panie.

— Niech on pewnym będzie łaski naszej. Nie wyznaczamy mu zajęcia szczególnego. Zaliczamy go w grono dworzan naszych, spodziewając się, że on ocenić zdoła dobrodziejstwo, jakie mu wyświadczamy, i odplaci za nie wiernością i przywiązaniem do naszej osoby. Pozwalamy mu najlaskawiej: służyć nam i bronić nas i polecamy zgłosić się do wiernego naszego freihera, Eberharda von Windeck.

Stefan z głębokim pokłonem cofnął się tyłem, wcisnął w tłum dworzan i po audiencji udał się do freihera, pełniącego przy cesarzu funkcję zaufańca zawiadującego sprawami rozlicznymi w sensie wykonawczym. Cesarz pomyśli snuł sam, spełnianie zaś takowych należało do Windecka, o ile to nie tyczyło się spraw wojennych i dyplomatycznych. Te ostatnie stanowiły specjalność odrębną. Freiher von Windeck interesował się nimi pośrednio, głównie zaś zajmował się ułatwieniem cesarzowi w reprezentowaniu wysokiej, piastowanej przezeń dostojności, inaczej, był przy osobie monarszej totumfackim i oficjalnie nosił tytuł sekretarza. Tytuł ten odpowiadał funkcji. W rzeczy samej był to sekretarz od sekretów, nie pisanych wszakże. Wydział pisany nie do niego należał. Von Windeck pisał, ale pro memoria, które na własny zachowywał użytek i z których ułożył później historię cesarza Zygmunta. Freiher von Windeck był cieniem cesarza. Gdzie ten, tam i ten. Zygmunt bez niego obchodzić się nie umiał; stanowił on jego nierozdzielną część, która wszędzie, gdzie się jeno monarcha bodaj na dni parę zatrzymał, zakładała rodzaj biura, kontuaru czy też kancelarii i prowadziła interesa, mające do handlowych podobieństwo ogromne. W zamku budajskim zajmował apartament osobny, położony tak, ażeby każdy bramę przekraczający

przechodził mimo. Apartament ten znanym był mieszkańcom Budy doskonale.

Stefan wchodząc do freihera von Windeck zapomniał nazwiska jego. Nie frasowało go to — pamiętał tytuł. Wkroczył śmiało do izby, odznaczającej się umeblowaniem składającym się z szaf, skrzyń i pólek, zajmujących ściany dokoła. Pod jednym z dwóch okien, zaopatrzonych w kraty żelazne, stał stół. Tu i owdzie widać było stołków kilka. Wnętrze izby zalewało półświatło, przedostające się z zewnątrz przez drobne szyby szklanne. Od stropu zwisał kaganek w kształcie czółenka, na którym dwa knoty palić się razem mogły. Po izbie, z rękami w tył założonymi, przechadzał się krokiem powolnym człowiek jakiś, który zatrzymał się, gdy Stefan wszedł, i zwrócił się do niego frontem, nie rozrywając dłoni z tyłu splecionych.

— Dostojny sekretarz jego cesarskiej mości? — odezwał się Stefan tonem zapytania.

— He? — zapytał zapytany.

— Czy sekretarzem jest dostojność twoja?

— A tak. Jestem więcej jak sekretarzem. Jestem najjaśniejszego pana alter ego.

— Dostojność twoja... — zaczął Stefan.

— Możesz przemawiać do mnie: najjaśniejszy panie — przerwał człowiek.

— Najjaśniejszy panie? — rzekł Stefan zdumiony.

— Wiedzieć musisz przecie, chociażbyś po łacinie nie umiał, co znaczy alter ego?

— Wiem.

— A więc, rzecz się tłumaczy sama. Cóż tedy?

— Najjaśniejszy pan przysyła mnie do... naj-ja-śniejszego pana.

— Hum — odchrząknął. — Cóż dalej?

— Nic... przysyła.

— Po co?

— Nie wiem.

— Po to chyba, żebym cię pasował na rycerza zakonu mego, czyli wystrychnął na dudka.

Rzekłszy to, chodzić zaczął po izbie dalej.

Stefan uczył się w położeniu drażliwym. Nigdy jeszcze nie obchodzono się z nim tak bez ceremonii. Nie rozumiał, co by to znaczyć miało. Przy tym ta pretensja sekretarza do tytułu najjaśniejszego pana wydawała się rzeczą co najmniej dziwaczną. Śledził za chodzącym okiem i dostrzegać począł w kostiumie jego osobliwości, które, nie zdawało mu się, ażeby właściwymi być mogły w ubraniu męża takie poważne jak sekretarz zajmującego stanowisko. Strój cały przedstawił się pod postacią przesady we wszystkich szczegółach, zaczynając od obuwia, kończąc na nakryciu głowy. Przesada widzieć się dawała tak w kroju, jak w kolorach, szczególnie zaś w dodatkach takich, jak świecidła, frędzle i kutasy, poprzymocowane na nogach, na rękach i na grzbiecie. Uwidoczniła się ona w fizjonomii nawet, opatrzonej dodatkowo niby w brwi, w nos, w usta, w policzki, w uszy i w zmarszczki na czole.

— Co u licha? — myślał sobie Stefan i zamierzał już cofnąć się, gdy człowiek ów osobliwy zatrzymał się przed nim nagle i pokazał mu oblicze odmienne od tego, jakim było przed chwilą. — Inny człowiek!

Stefan zachnął się ujrzawszy twarz, która tylko co wyrażała surowość, rozjaśnioną uśmiechem oblewającym ją całkowicie, a strzelającym z każdej brodawki, z każdego włoska, z każdego zagięcia. Śmiały mu się oczy, usta, brwi, czoło, policzki, broda, nos, uszy, włosy. Ze śmiechem tym patrzył na Stefana przez chwilę i zapytał:

— Co ty za jeden?

Zabierał się Stefan coś odpowiedzieć, lecz ten mu do słowa przyjść nie dał:

— Przybywasz szukać na dworze cesarskim szczęścia. Hm... znajdziesz... znajdziesz je na pewno, ale pod jednym z dwóch następujących warunków...

Tu znów obliczu nadał wyraz surowy, ale od poprzedniego odmienny.

— Wiesz jakich?

Stefan głową wstrząsnął na znak niewiedzy.

— Zostań błaznem.

Wpatrzył się w Stefana. Ten oczy szeroko otworzył.

— He? Zostań błaznem. Tylko — głową pokiwał — to trudno... bardzo trudno. Nie każdemu danym jest błazństwo. Drugi warunek o wiele łatwiejszy. Zostań łgarzem. Do łgarstwa można się wprawić; można się w takowym wydoskonalić, byle zacząć. Radzę ci jednak, zaczynaj ostrożnie, albowiem jeżeliby ci się noga na pierwszym powinęła kroku, to biada ci. Łżyj bezczelnie, łżyj śmiało, łżyj heroicznie, na tym sztuka cała, w tym cała tajemnica powodzeń na dworze. Łżyj, przyjacielu. Błaznem być nie możesz, jak nie może sowa słowikiem zostać; możesz jednak wyjść z czasem na wielkiego człowieka-łgarza i pozyskać aplauz w świecie.

Stefana w zdumienie wprawiało każde ze słyszanych słów. Zawołał:

— To być nie może, ażebyś był freiherem von Windeck!

— O nie — odrzekł człowiek w dziwacznym stroju. — Jestem cesarskim alter ego.

— Co to znaczy?

— Drugim „ja“ w odniesieniu do cesarza Zygmunta. A że „ja“ cesarskie jest to cesarz Zygmunt, a zatem, „ja“ moje posiada wartość cesarską. Stąd wypada, że wszystko, co ci mówię, zasługuje na uwagę jak największą.

— Mówisz mi rzeczy takie...

— Jakie?

— Dziwne.

— O! przyjacielu... Usłyszysz dziwniejsze jeszcze.

— Dlaczegoż mam być łgarzem?

— Dla powodów dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu, spomiędzy których wymienię ci tylko dwa: dlatego że *similis simili gaudet* i dlatego że wlaższy między wrony, krakaj jak i one, gdybyś bowiem krakał inaczej, to wrony cię zadziobią. Staraj się więc krakać najlepiej, to jest łąać najbezczelniej, najśmielej, najheroiczniej. Sfalszuj sobie sumienie.

— Ach! — krzyknął Stefan.

— Czemuż cię to tak zdziwiło?

— Fałszować sumienie?!

— Musiałeś przecie słyszeć o jakimś Janie Husie?

— Kacierz!

— Tak, kacierz. Gdyby był sobie sumienie sfalszował, mógłby sobie być kacierzem i pozostać zarazem w łaskach u możnych świata tego. Zakrakał inaczej i poszedł na stos. Krakać inaczej wolno, ale błaznom tylko, a ponieważ błaznem zostać może nie każdy, co zechce, dlatego radzę ci po przyjacielsku, zostań łgarzem.

— Coś ty za jeden? — zawołał Stefan.

— Mówilem ci, alter ego.

— Tyś trefniś! — przerwał młody człowiek.

— Trefniś? hm. Jam jest — przybrał postawę dumną, po piersi się dłonią uderzył — prawdomówca. Mnie jednemu w całym chrześcijańskim świecie, podległym berłu cesarza Zygmunta, wolno prawdę mówić, jeżeli zechcę. Dlatego to jestem cesarskim alter ego, bo i cesarzowi ta wolność przysługuje. Nas dwóch stanowi jedno: on mnie reprezentuje, ja go tłumaczę... on jest mną, ja jestem nim, on się nazywa Zygmunt, ja się nazywam Worre.

— Worre! a! — zawołał Stefan.

— Zapewniam ci łaskę moją — odrzekł sławny trefniś tonem protekcyjnym. — Podobał mi się nos twój i twoje ucho prawe.

— Mój nos?

— Tak, twój nos. My, to jest on i ja albo ja i on, posiadamy przywilej kierowania się upodobaniem, z prawem niezdawania z upodobania tego sprawy przed nikim, ani nawet przed sobą samymi. Z racji więc twego nosa i twego ucha prawego masz we mnie protektora, gotowego z góry nie pomagać ci w niczym a przebaczać wszystko, z wyjątkiem prawdy. Idź fałszem, moje dziecko.... fałszem świat przejdiesz.

— Ale nazad nie wrócę — podchwycił Stefan tonem, w którym czuć było usiłowanie nastrojenia się do tonu interlokutora swego.

— Cha, cha, cha! — roześmiał się trefniś. — To ty o powrocie myślisz? Podziękuj Bogu, jeżeli ci na przejście życia starczy. Kłopot powracania pozostaw dzieciom swoim, wnukom, prawnukom, praprawnukom. To ich rzecz. Ty idź fałszem.

W chwili tej uchyliły się drzwi obok jednej z szaf i do komnaty wsunęła się postać męska, poważna, w czarnej, do kostek sięgającej odzieży, w czarnym, aksamitem wyłożonym na głowie okryciu, ze zwitkiem pergaminowym w ręku. Weszła, zatrzymała się, z uśmiechem spojrzała na trefnisia i uprzejmym głową pochyleniem powitała Stefana. Worre, pokłoniwszy się kołpakiem nisko, rzekł krótko:

— Dziesięć dukatów.

— Za co? — zapytał mąż.

— Za słówko.

— Za słówko dziesięć dukatów, to strasznie drogo.

— To straszliwie tanio — odparł trefniś. — Było to słówko prawdy, za które mogłem być ze skóry żywcem odarty. Hazardowałem więc skórę własną za życia.

— Poprzestań na dukatach pięciu.

— Nie.

— Na sześciu.

— Nie.

— Siedem.

— Nie.

— Więc siedem i pół...

— Jeżeli mi, dostojny i miłościwy freiherr von Windeck, nie wyliczysz dukatów dziesięciu, to pójdę, ze łzami w oczach do stóp tronu się rzucę i oskarżę ciebie, że na szwank narażasz hojność najwspaniałomyślniejszego z monarchów.

Na słowa te freiherr sięgnął ręką w zanadrze, wydobył worek podłużny, wydostał z onego dziesięć sztuk złota i podał takowe Worremu. Ten przyjął je w milczeniu, skłonił się głęboko, skoczył równymi nogami, wyrzucił w powietrzu koziółka i wyszedł podrzucając dukaty w dłoni.

Eberhard von Windeck zwrócił się do Stefana, nadając obliczu wyraz pytający.

— Przysłał mnie do dostojności twojej najjaśniejszy pan — odpowiedział Stefan na to nieme zapytanie. — Nazywam się Stefan Chranicz... przyjęty jestem w poczet dworzan jego cesarskiej mości.

— Stefan Chranicz zwany Kosaczem, wojewodzie chumski, następca Sandała Chranicza?

Stefan skinieniem głowy dał odpowiedź potwierdzającą.

— Witam ciebie, wojewodzicu dostojny — rzekł freiherr uprzejmie. — Usiądź... pomówimy.

Ukazał ręką jeden ze stołków, sam zajął miejsce obok i popatrzywszy przez chwilę z wyrazem słodkim Stefanowi w oczy, zaczął:

— Najjaśniejszy pan rad widzi w otoczeniu swoim młodzież tak dostojną jak wielmożność twoja. Wspania-

łomyślność jego dla takich jak ty granic nie ma, łaskawość jego jest niewyczerpaną... Spodziewam się, że wielmożność twoja cenić umie zaszczyt, jaki ją spotkał.

— O! jak jeszcze — odparł Stefan.

— I okaże to w czynie? — zapytał freiherr z przyciskiem lekkim.

— Byle się tylko sposobność trafiła.

— Otóż to. Odpowiedź taka jest świadectwem szlachetności wielmożności twojej. Tacy jak ty godni są służyć takiemu jak jego cesarska mość panu. Pozwólże mi zadać ci zapytań kilka z otwartością całą...

— Owszem.

— I odpowiedz mi z otwartością równą...

— Ano...

— Tyczy się to dobra twego własnego, następczanía ci sposobności oddawania jego cesarskiej mości usług i skarżenia przez to względów jego. Gotów jesteś dać po rycersku za jego cesarską mość życie?

— O... tak... niezawodnie!

— I pieniądze?

— O... hm... — chrząknął — tak... nie inaczej... a jakże..

G R A F I N I A

Na zapytanie dotyczące się gotowości dawania pieniędzy celem skarbienia sobie względów cesarza Zygmunta. Stefan dając odpowiedź zawahał się. Wahanie się to, które nie uszło freihera uwagi, nie było bez racji, racja zaś tkwiła nie w skąpstwie, nie w żałowaniu dla cesarza, ale w tej okoliczności, że jeżeli źródło łaskawości cesarskiej było niewyczerpanym, to wcale niewyczerpanymi nie były źródła, z których Stefan fundusze dostawał. Stryj stworzył mu za pośrednictwem domów kupieckich dubrownickich i weneckich kredyt, ale nie nieograniczony. Miał wyznaczone sobie rocznie kwantum pewne, którego przekraczać nie mógł — kwantum dla niego aż nadto dostateczne, niedostateczne atoli do dzielenia się z władcą takim poważnym jak Zygmunt. Von Windeck zauważył wahanie się młodego człowieka, spojrzął mu w oczy z czułością niewysłowioną i rzekł:

— Obawiasz się, ażeby ofiara twoja nie była małą.

— Tak, zaprawdę... tego się obawiam — odrzekł bohater nasz w zakłopotaniu.

— Wnet przekonam cię, że obawa twoja jest płonną. Pierwej atoli przekonać się muszę o czym innym. Powiedz mi, tylko otwarcie, po rycersku, z dłonią na sercu: co ważysz więcej, życie czy pieniądze?

— Życie, rzecz prosta.

— Rzecz więc również prosta, iż mając życie w pogotowiu do oddania za cesarza, masz do oddania pieniądze w pogotowiu tym większym i tylko frasuje cię mała ilość takowych... Nieprawdaż?

— Prawda.

— Owóż wiedz, nawskróśjasność twoja, że jego cesarska mość, pan nasz najmiłościwszy, szafarz dobrodziejstw, zaszczytów i koron, tak jest wspaniałomyślnym, iż patrzy nie na ilość, ale na jakość, przyjmując wszystko, co kto ze szczerego ofiaruje serca.

— Jeżeli tak... — odrzekł Stefan i rękę w zanadrze wsunął.

Freiher ujął go za rękę, popatrzył mu w oczy pełnym rozrzewnienia wzrokiem i zawołał:

— O, ofiarności święta! Jakżebym pragnął, ażeby wielmożności waszej gotowość świata znaną była! Powstrzymaj się jednak. Nie omieszkam donieść o tym najjaśniejszemu panu, który, tego pewny jestem, zapamięta czyn ten tobie. Powiedz mi atoli: stryj wyznaczył ci pewne kwantum rocznie?

— Tak jest.

Tu Stefan wymienił cyfrę.

— I otworzył kredyt?

Stefan w odpowiedzi podał firmy domów handlowych w Budzie, w Wiedniu, w Norymberdze, w Mediolanie, w Rzymie, w Krakowie i w innych miastach. Kredyt przenosił się wraz z nim za pomocą listów od kupca do kupca, wykazujących kwoty wybrane i wybrać się mające. Wysokość kwoty rocznej była znaczną. Mimo to von Windeck nie znalazł jej dostateczną.

— Widocznie stryj oszczędnym jest — słowa jego. — Oszczędność to przymiot bardzo piękny, ale powinien nie przekraczać granicy pewnej. Stryj, wyprawiając jaśnie wielmożność waszą, zapomniał, żeś żonaty.

Wyraz ostatni zadziwił Stefana.

— Rycerz nieżonaty — tłumaczył von Windeck — posiada przywileje, których żonaty nie posiada... i dlatego ten ostatni potrzebuje mieć worek obficie zaopatrzony. Wszakże jaśniewielmożność wasza nie ma się czym kłopotać. Cesarskie słowo jest na usługi twoje i gdybyś kiedy znalazł się w potrzebie, odwołaj się jeno do mnie, ja zaś postaram się o to, ażeby cesarską pieczęcią poświadczonymi były twoje prawa do następstwa na księstwo chumskie, twoja pełnoletność i prawomocność podpisu twego w poręczeniach na przyszłość...

— O!... — odezwał się Stefan nie wiedząc, co powiedzieć, ton jednak odezwania się jego zdradzał uczucie wdzięczności.

— Znajdujesz się wśród szczerze życzliwych sobie, jaśniewielmożność twoja. Nie pozwolimy, ażeby potomka rodu tak wysokiego spotkać miało upokorzenie wobec kwiatu rycerstwa otaczającego tron cesarsko-królewski. Księstwo chumskie...

— Nie księstwo — poprawił Stefan — a województwo...

— Zamienienie nie to województwa, ale prostego ziemi kawałka w księstwo, w arcyksięstwo, w królestwo, zależy od szafarza dostojęństw, od jego cesarsko-królewskiej mości.

— A?! — zawołał Stefan, jakby zafrapowany objaśnieniem.

— Księstwo chumskie — ciągnął von Windeck dalej, odnosząc słowa do przerwane go przez Stefana frazesu — stawia jaśniewielmożność twoją w rzędzie najwyższej urodzonych i wymaga ze strony twojej odpowiedniego postawienia się tak wobec jego cesarskiej mości, tak wobec książąt przebywających na dworze, jak również wobec urodzonych niżej. Stanowisko jaśniewielmożności twojej

wkłada na nią obowiązki, którym uchybiać nie wolno. Jego cesarska mość jest ogromnie we względzie tym drażliwą. Bądź jednak dobrej myśli... jesteś wśród życzliwych sobie, którzy każdej chwili i w przygodzie każdej gotowi są służyć ci radą, poręką, wszystkim.

Stefan niezupełnie zgrabnie wyraził podziękowanie swoje z powodu oświadczenia tego i zapytał o obowiązki, jakie wkłada na niego stanowisko przy boku cesarza.

— Hm — była odpowiedź freihera von Windeck. — Obowiązki nadzwyczajnie ważne... odpowiedzialność w obliczu Boga i świata, w obliczu przeszłości i przyszłości, zdrowiem, życiem, honorem i majątkiem za świętą osobę monarchy. Jesteś względem osoby najjaśniejszego pana puklerzem, mającym za zadanie nie dopuszczać do niego ciosów, jakimi by takowe nie były, a przy tym ucho twoje wytężonym ma być na rozkazy, oko na skienienia jego...

— Ale... co do czynienia jest?

— Jak to co do czynienia?

— Co mam robić?

— Na kim taki ważny i święty spoczywa obowiązek, temu by robotą wszelką uwagę odciągała.

— Więc, tylko... od najjaśniejszego pana nie odstępować.

— To zależy od porządku służbowego, z którym się oznajomić należy jak najdokładniej, stosując się do przepisów stawania, chodzenia, mówienia, kłaniania się, słowem, pełnienia wszelkich funkcji, przywiązanych do wysokiego stanowiska... To rzecz niesłychanie ważna. Musisz jednakże być już z tym ostrzelany nieco, przeszedłszy przez dwory cylejski i wiedeński. Napatrzyłeś się.

— Tak. Napatrzyłem się.

— Zresztą... nie znajdzie się na świecie monarcha od najjaśniejszego pana łaskawszy. Wymaga, ażeby reguł

przestrzegał każdy, oddawszy jednak cesarzowi co cesarskiego, jesteś woli swojej panem.

— O, jakżebym pragnął pozyskać najjaśniejszego pana względy.

— Dobra wola jest rękojmą pewną, że pragnieniu zadość się stanie.

— Gdyby najjaśniejszy pan nad Dunaj się udał...

Toczyła się podówczas właśnie wojna w Serbii przeciwko wojskom Amurata II.

Freiher von Windeck ramionami ścisnął.

W wojnie tej cesarz Zygmunt wziął był udział osobisty, bardzo jednak niefortunny. W bitwie pod Gołubcem byłby wpadł w ręce tureckie, gdyby nie poświęcenie się Zawiszy Czarnego, który się znalazł, jak drugi Horacjusz Kokles, z tą jednak różnicą, że zginął w obronie zaciętego ojczyzny własnej nieprzyjaciela. Po próbie tej cesarz nie miał już ochoty wracać na teatr zapasów bojowych. Czuwał z daleka nad wojną, która toczyła się miękko i popieranie której posłużyło jeno dworowi cesarskiemu do snucia tkaniny dyplomatycznej, mającej na celu wcale co innego aniżeli obrona chrześcijaństwa. Dlatego to snadź von Windeck, wtajemniczony w zamiary dworu, nie umiał na życzenie Stefana odpowiedzieć inaczej, jak ściśnięciem ramion. Stefan jednak nalegał.

— Gdyby najjaśniejszy pan wojował, to bym się dopiero pokazał.

— Dla rycerskiego animuszu wojna piękną jest okazją.

— Będę najjaśniejszego pana prosił...

— O co?

— Ażeby się nad Dunaj udał.

— Ach! — zawołał freiher z akcentem przerażenia. — Nie waż się czynić tego.

Stefan wypatrywał się na freihera wzrokiem zdziwionym.

— Nie waż się czynić tego dla dwóch powodów: najprzód, uchybiłbyś uszanowaniu monarsze należnemu, gdybyś mu wskazówki dawać się ośmielił; po wtóre, zraniłbyś mu serce, wywołując wspomnienie zgonu walecznego rycerza, którego najjaśniejszy pan łaską swoją zaszczycał szczególną. Jego cesarska mość ma serce niezmiernie tkliwe. Nie waż się przeto podobnej zanościć prośby.

— A gdybym prosił, żeby najjaśniejszy pan mnie samego nad Dunaj posłał?

— Najjaśniejszy pan sam wiedzieć raczy najlepiej, kogo posyłać, kogo nie posyłać. Prośba podobna może jeno na ciebie niełaskę ściągnąć.

Później się pokaże, dlaczego freiherowi von Windeck tak bardzo chodziło o to, ażeby od wojny tureckiej odwrócić uwagę Stefana. Rozszerzył się nad tkliwością serca cesarskiego, mówił o zaszczycie, jaki spotkał Zawiszę, i zakonkludował, że Stefanowi nie wolno w kwestii wojennej głosu zabierać, motywując konkluzję tę tym, że do służenia cesarzowi obszernym jest pole i poza wojną.

Stefan — żeby prawdę wyznać — jeżeli okazywał ochotę wystąpienia na polu bojowym, to nie tyle dlatego, ażeby go tam animusz parł, ile dla popisu. Czuł, że w oczach cesarskich rzuciłby się jeden na tysiące. Poza oczami jednak cesarskimi zabrakłoby mu podniety. Toteż uznał rację, jakie mu freiher podawał, i postanowił ściśle do jego stosować się rad, tym bardziej że i Wasa w tym go postanowieniu utwierdzał, zwróciwszy uwagę jego na to, że Sandał trzymał się strony tureckiej.

— Czyby wojewoda był z tego kontent, gdybyś przeciwko Turkom stanął?

Zapytanie to zawierało odpowiedź w sobie

Stefanowi zanadto chodziło o względy monarchy, szarfaza dostojęństw i koron, ażeby się rwać miał na boje

i znoje wbrew monarchy tego życzeniu. W podróżach swoich po dworach spoliwał próżność, która w nim i przedtem była, ale w innym rodzaju. Dawniej rad się kosiarstwem popisywał i to mu wystarczało. Nie pożywał czego innego. Wielkość tkwiła w pożądanach Heleny, których on ani podzielał, ani rozumiał; kiedy zaś po raz pierwszy uczuł w sobie pożydań owych budzenie się, to brał je ze strony półzartobliwej, w odniesieniu nie do samego siebie, ale do małżonki swojej. Śmieszyło go to, jakby się ona nadymała. I ze śmiechu prawda się zrobiła. Pożydanie zwróciło się całkowicie na niego, wrażając mu pragnienie wystrzelenia głową ponad poziom śmiertelników zwyczajnych. Z tego powodu, znalazłszy się u głównego ogniska, przy wielkim ołtarzu, wpatrzył się w cesarza Zygmunta niby w tęczę, wsłuchał się w niego niby w wyrocznię, stał się wśród dworzan jednym z najgorliwszych w pełnieniu służby, pełnej formalności symbolicznych, stanowiących kult dworski. Przyjął to wszystko z tą szybkością, która w chceniu silnym popęd czerpie. W przeciągu miesięcy dwóch wymusztrował się tak dobrze, że Worre poklepał go po ramieniu i powiedział mu:

— Dobrze, mój synu, kontent jestem z ciebie. Tylko tak dalej i dalej, a czeka cię przyszłość świetna. Błaznem nie zostaniesz, ale zostaniesz wielkim człowiekiem.

— Gdy wielkim zostanę człowiekiem, to ty będziesz za trefnisia u mnie.

Worre mu na palcach od nosa zagrał i zapytał:

— Zamyślasz chyba naszego miłościwego pana z tronu stracić i sam miejsce jego zająć?

— Niech mnie Pan Bóg od myśli podobnych broni!

— Bo ja w takim tylko razie zgodziłbym się wielkość z tobą dzielić.

— Nie gadaj o herezji takiej!

— Czemu nie! Ja ci przeszkadzać nie będę. Widzę tylko, że się do rzeczy bierzesz należycie, i ukazuję metę

najdalszą. Kto ma najdalszą metę na oku, ten, ani się spostrzeże, jak bliższej dosięgnie. Idź naprzód... błogosławię cię.

Podniósł rękę i z komiczną powagą krzyż w powietrzu nad czołem jego nakreślił.

Stefan usunął się unikając benedykcji blażeńskiej.

Worre rozśmiał się.

— O chłopcze! chłopcze! — rzekł. — Nie wiesz tego, że na całej ziemi, którą słońce oświeca, mnie jednemu błogosławić ci przystoi.

— Idźże precz, z błogosławieństwem swoim!

— Przekonasz się o skuteczności onego i to nieza długo, za tydzień.

— A toż jak?

— Wyjedziesz tryumfator z turnieju.

— Zobaczymy...

— Zobaczysz. Ja przewiduję przyszłość, która, co do ciebie, ukazuje mi się na twoim nosie i na twoim uchu prawym.

— Pleciesz, błaznie, od rzeczy. Gdybyś z dłoni przyszłość wróżył...

— Byłbym chiromantą. A ja nie jestem chiromantą, ale najjaśniejszym błaznem, widzącym jasno w ciemnościach, jakie jasność roztacza. Kłania ci się grafińa von Krach.

— Mówiłeś z nią?

— Nigdy w życiu. Ona mówiła ze mną i wyspowiadała się mi z najświeższej tajemnicy swojej, zasnutej około ciebie na kształt tego, jak pająk zasnuwa pajęczynę około muchy.

— Zagadki mi rzucasz. Nie mówiłeś z nią, a ona mówiła z tobą.

— Zagadki podobne rozwiązują się bardzo prosto. Patrzałem na nią, kiedy ona patrzała na ciebie, i w oczach jej czytałem, co myśl na nich pisała. Rozumiesz?

Stefan ramionami ruszył.

— Jeżeli nie rozumiesz tego, to... wiesz ci rozumu i żegnam ciebie.

Uklonił się, wykręcił i w tłumie zniknął.

Rozmowa ta miała miejsce w jednej z komnat zamku królewskiego, mających specjalne przeznaczenie służenia za teatr zgromadzeń ludzi płci obojga, otaczających parę monarszą. Zbierano się tam od południa zazwyczaj i bawiono do północy niekiedy, spędzając czas na grach, na tanach, na słuchaniu muzyk lub śpiewów minnezengerów, na przypatrywaniu się sztukom kuglarzy i na posilaniu się dwu- a czasem trzykrotnie. Cesarz i cesarzowa ukazywali się na zgromadzeniach tych w momentach nieoznaczonych i pozostawali raz krócej, znów dłużej, stosownie do tego, jak im ochota dyktowała. Był to grunt wspólny, na którym dwór cesarzowej, przeważnie niewieści, i dwór cesarza, wyłącznie męski, schodziły się gwoili wspólnej uciechy. Młodzież zabawiała się z damami, ludzie starsi próbowali się w szachy, w warcaby, w trik-trak, w kości i w karty. Tam to zawiązywały się intrygi miłosne, które cesarstwo miłować raczyli, a którym cesarzowa nadawała ton i akcent. Kronikarze owocześni nie bardzo Barbarze pochlebne wystawiają świadectwo, dodają jednak, że i Zygmunt nie był lepszy.

Stefan stoczył z Worrem rozmowę w chwili jednego z tych przestanków, w których powstaje zamieszanie zaznaczające przejście z jednej sceny w drugą. Dwa mianowicie punkta dotknięte przez trefnisia zafrapowały bohatera naszego. Z punktów tych jeden odnosił się do turnieju, mającego się odbyć za tydzień, drugi tyczył się grafini von Krach, kobiety niestarej, niebrzydkiej i niepospolitej. Niepospolitość jej zależała na tym, że obok białych jako len warkoczy miała czarne jak heban brwi i oczy. Czyniło to ją o ile oryginalną, o tyle ponętą, a ponętą tym bardziej, że cerberował jej małżonek, mąż

wielkiego serca i nadzwyczajnie silnej dłoni, będący niemal na gachów postrachem. Do grafini von Krach, wabiącej się na imię chrzestne Małgorzata, posunąłby niejeden, gdyby się nie obawiał tego, ażeby mu von Krach kości nie pogruchotał. Mina matamora, jaką się graf wśród rycerstwa odznaczał, jego marsowatość, wąsatość, pleczystość, gadanie grubym głosem, nade wszystko zaś sława niezwykłego na popisach rycerskich zapaśnika, ostudzały zapał niejednego z mających ochotę z dostojną małżonką jego pożartować. Nieboga czuła się też jakby naznaczona palcem smutnej doli. Najbardziej kochliwi rycerze trzymali się od niej z daleka, niby od zapowietrzanej. Krążyły z tego powodu powiastki różne. Małgorzata służyła za przedmiot politowania ogólnego, którego źródło tryskało z serca najjaśniejszej pani. Cesarzowa zajmować się raczyła losem biedaczki, zasługującej z powodu białych włosów i czarnych oczów na fawory fortuny, a na próżno na wszystkie świata strony posyłającej spojżenia i westchnienia. Żaden rycerz do niej się nie garnął; żaden barw jej, pomarańczowej i zielonej, nie nosił. Każdy miał boja, a zachęcany przez jej cesarską mość tłumaczył się obowiązkami względem innej damy, pomimo że często się zdarzało, że owa inna albo nie zasługiwała na zawiązanie Małgorzaty trzewika, albo też istniała jedynie w imaginacji rycerskiej. Rycerze dbali o całość kości swoich. Nigdy w szrankach turniejowych nie wiała na żadnym szyszaku wstęga pomarańczowo-zielona. Litowano się też nad nią powszechnie. Przypuszczać należy, że wzmianka o niej, uczyniona przez Worrego Stefanowi, miała źródło swoje nie gdzie indziej, jeno w litości nad niebogą opuszczoną, którą przyrównywano do Andromedy oczekującej nadaremnie na Perseusza.

Wzmianka ta zrobiła na Stefanie wrażenie. Poszukał najprzód oczami Małgorzaty, popatrzył na nią i powiedział sobie:

— Uhm... niczego.

Udał się następnie do komnaty, gdzie mężowie poważni z losem walki staczali, powiódł okiem i zatrzymał wzrok na rycerzu opartym łokciami na stole i głęboko zadumanym nad warcabnicą. Czoło miał zmarszczone, łeb pochylony: pochylenie łba wystawiało na widok kark, jakby stworzony umyślnie do gięcia obodów. Stefan popatrzył i mruknął sobie pod nosem:

— Ph?

Zwrócił następnie kroki swoje do komnaty, w której niewiasty, siedząc to szeregami, to kupkami, tworzyły tu girlandy, ówdzie bukiety. Na progu komnaty tej spotkał się z Wasą.

— Ej, Waso — rzekł — mam kłopot!

— No? — zapytał tenże.

— Chciałbym, ażeby jedna z dam dała mi barwy swoje.

— Więc?

— Nie wiem, jakim to zrobić porządkiem.

— Potrzeba, żebyś jej powiedział najprzód, że ona jest damą serca twego.

— A dalej?

— I stosując się do tego, co odpowie, zapytasz, czy ci serce swoje daje?

— Cóż mi ona na to?

— Odpowie: albo że daje, albo że nie daje.

— A dalej?

— Jeżeli nie daje, to nie ma co. Możesz jej powiedzieć, co ci się podoba, tylko w majkę nie żałuj, a najlepiej westchnij, oczy zawróć tak, żeby się aż białka całkowicie pokazały, i idź do drugiej z ofiarą serca twego. Chodząc od jednej do drugiej, natrafisz w końcu na taką, co serce twoje przyjmie.

— No... i wtedy?

— Powiedz jej, że chcesz być jej rycerzem, dla niej żyć, za nią umierać.

— A potem?

— Ona ci ślub jaki wyznaczy.

— Byle mi nie kazała z zamrużonymi oczami po świecie chodzić.

— Ha, to od niej zależy. Prawa rycerskie nakazują ślepo damie serca być posłusznym. Jeżeli ci to nie w smak idzie, lepiej nie próbuj.

Stefan głową pokręcił i zapytał:

— Gdy ślub wyznaczy... to, cóż potem?

— Poproś ją, ażeby ci barwy swoje dała, które przysięgnij wsławić na świat cały.

— I przysięgać trzeba?

— A... bez przysięgi ani rusz.

— Uhm — mruknął sobie Stefan pod nosem i posuwając się począł w głąb komnaty, ku punktowi, gdzie biegały lniane grafini von Krach warkocze.

Siedziała w odosobnieniu, przysłoniwszy oblicze wachlarzem, którym się chłodziła od czasu do czasu i spoza którego wyglądały ogniste jej oczy, zaszle powłoką tęsknicy. Wysmukła jej kibić wznosiła się na taborecie z posagowym zakrojem. Sama ona wyglądała jak posąg admirowany przez wszystkich z daleka.

Stefan, krążąc i przeciskając się wśród grup, zaszedł jej z tyłu, stanął za jednym z ramion białych, wystawionych na widok publiczny, powiódł wzrokiem wzdłuż kości pancerzowej, która się poza sznurówkę chowała, popatrzał przez chwilę i chrząknął:

— A hum!

Grafinia drgnęła, obejrzała się i spod wachlarza powłóczyście na kawalera spojrzała.

W spojrzeniu tym było coś — coś magnetycznego.

Stefan chrząknął znów i zaczął:

— Jesteś damą serca mego. Serce moje jest własnością twoją. Oświadczam ci to wyraźnie i powiadam wyraźnie, ażeby bałamuctwa nie było żadnego.

— Khi... khi... — odchrząknęła dwukrotnie dama spod wachlarza.

— Cóż ty na to?

— Przybywasz, o rycerzu, ze stron bardzo dalekich.

— Z dalekich... aż z Krupaca.

— Kurfac? — zapytała.

— Nie Kurfac, ale Krupac. Przybywam z Krupaca, ale nie wprost. Z Krupaca pojechałem do Dubrownika, gdzie pod opieką stryja zostawiłem żonę i dzieci.

Grafinia chrząknęła dwukrotnie głosem srebrzystym.

Stefan wargi zagryzł. Zmiarkował po chrząknięciu tym, że nie powinien był o żonie i dzieciach wspominać.

T U R N I E J

Opowiedzieć mając romansową z wieków średnich historię, zastrzec się musimy przeciwko mogącym spotkać nas zarzutom. Czytelnikom zapatrującym się na wieki średnie przez pryzmę ballad i poematów, na tle onych osnutych, wydawać się musi, że wszelkie romansowe historie w wiekach XV, XIV, XIII, a po części i w XVI, zasnuwały się około postaci takich, jak rycerz Togenburg, jak Konrad Wallenrod, jak Aldona, jak Grażyna. Wcale nie. Postacie te są wytworami fantazji. Rzeczywistość przedstawiała się inaczej. Można ją dojrzeć u minnezen-gerów, u menestrelów i u trubadurów, którzy egzaltowali miłość, ale dyskretnym milczeniem pomijali wierność małżeńską; owszem, miłość służy im często do usprawiedliwiania łamania ślubów zaprzysiężonych przed ołtarzem. Kronikarze wyraźniej jeszcze tę kwestię stawiają. Ci nie wahać się podawać wierności małżeńskiej pod postacią heroizmu wyjątkowego, opowiadając tajemnice alkowy z takim samym namaszczeniem, jak dzieła największej wagi.

Czytajcie Długosza. Rozumie się, tak poeci, jak dziejopisarze zajmują się jeno klasą wyższą. Gmin nie istnieje dla nich. Śród gminu też zapewne przechowywać się musiały cnoty domowe, które w sferze panującej tak by-

wały rzadkie, iż kościół kanonizował niewiasty za opieranie się pokusom. Wiarołomstwo kwitło szeroko w świecie chrześcijańskim. Dla niewiasty wysoko-dobrze urodzonej (hochwohlgeborene) wyjście za mąż było to otwarcie wrót romansowych. Przysięga nie powstrzymywała jej bynajmniej; małżonkowie „okrutni“, troskliwi o własność swoją, nie mieli na zachowanie onej na użytek własny sposobu innego, jak zamki, kraty, warty i stosownie urządzoną maszynkę, od której klucz nosił jegomość w kieszeni. W wieku naszym moralność domowa bez porównania wyżej stoi. Postąpiła ludzkość trochę.

Dla ustępu powyższego, wypowiedzenie którego na sercu nam leżało, przerwaliśmy rozmowę pomiędzy Stefanem naszym a hrabiną Małgorzatą von Krach.

Hrabina siedziała na taborecie, wachlarzem sobie oblicze zasłaniając, to odsłaniając; Stefan stał obok w pozycji poprawnej eleganta, założywszy nogę na nogę, nachyliwszy się nieco na bok, trzymając w jednym ręku czapeczkę z piórem, którą wymachiwał, trzymając drugą rękę na biodrze lewym. Na nogach miał trzewiki w kształcie łódek, ustrojone w klamry i kokardy; trzewiki wchodziły na pończochy cielistego koloru, te zaś okrywały nogę całą aż po udo, ustępując w górze samej miejscy tej części odzienia męskiego, która w czasach naszych służy do okrywania nóg; część owa, fałdzista mocno, była z aksamitu ciemnofioletowego; biodra opasywał pas czerwony, od którego zwisał na jedwabnej taśmie w jaszczur oprawny sztylet; dalej następował kaftanik jedwabny żółty, pełniący funkcję kamizeli; grzbiet okrywał spencerek z tej samej co spodnie materii, zaopatrzony w rękawy bufiaste, przyozdobione w podłużne, różnokolorowe łąteczki. Dopełnienie elegancji stroju stanowiły: łańcuchy, spinki, klamerki, pierścienie, frędzle i kutasy. Stefan, wymachując z lekka czapką, stał obok hrabiny

i wyrwawszy się z tym, że zostawił żonę i dzieci, usta zagryzł. Pomyślał sobie, że głupstwo palnął. Trzeba się było z onego wycofać jakoś. Myślał nad tym czoło zmarszczywszy, gdy hrabina zapytanie mu zadała:

— Tęskno ci być musi za twoim Krupfacem?

— Ot, tak... trochę... ale...

Powiedzieć chciał: „nie za żoną ani za dziećmi“. Powstrzymał się w czas jednak. Tylko „ale“ mu się z ust wypsnęło i z tego powodu znów się namyślać musiał, co by to do niego dorobić, ażeby frazes zaakraglić.

— Ale... — powtórzył.

Hrabina oblała go spojrzeniem ciepłym.

— Ale — rzekł w końcu z akompaniamentem chrząknięcia — ujrzałem ciebie i na serce moje zwałił się kamień młyński. Kamień młyński, czyli miłość — dodał i wydał długie, przeciągłe westchnienie, naśladowane z Rudolfa von Billig.

Hrabina westchnieniem zawtórowała.

Stefan rad, że mu z „ale“ tak gładko poszło, prawil dalej:

— U stóp twych składam, o pani! ten kamień młyński, a w nim serce moje. Bierz je, uwolnij mnie od męczarni strasznych... albo...

— Rycerzu — szepnęła Małgorzata tonem tragicznym, odpowiednim tonowi, jakim Stefan wygłosił swoje „albo“.

Tragiczność tonu zależała na tym, że Stefan nie wiedział, co do „albo“ dodać.

— Rycerzu — szepnęła. — Pamiętaj o tym, że jeźeli... tego... hm... to skruszysz serce, które ciebie kocha...

— Jakie serce?

— Moje... och...

— No... a mojeż? Co z nim zrobić?... he?

Hrabina spojrziała na rycerza ze zdziwieniem niejakim.

— Jam już powiedział, że serce moje daję tobie... chcę więc wiedzieć na pewno, czy je przyjmujesz, czy nie.

— Przyjmuję — odrzekła oczy spuszczaając.

— No to i dobrze... Terazże chodźmy dalej. Czy mi oddajesz serce swoje?

— Ach!... oddaję... oddaję, mój rycerzu, i serce, i wszystko... ach!

Wyrazy hrabiny nabrzmiały były uradowaniem wielkim. Twarz jej jaśniała, oczy iskrzyły się na gorąco, pierś przyspieszonym podnosiła się oddechem. Miała się czym cieszyć. Znalazła nieboga hipotekę dla zapoznawanego serca swego na koniec. Dodała jeszcze z przyciskiem wyrazistym:

— Kocham, o! kocham ciebie...

— To bardzo dobrze... powiedziałaś ty swoje, a terazże ja powiem tobie swoje. Oto, chcę być rycerzem twoim, chcę dla ciebie żyć i za ciebie umierać.

— O! mój luby... o! mój miły...

— Hm... — wyrazy następne sam do siebie w duchu powiedział: obyś mnie tylko jakim głupim nie związała ślubem!

Ona jednak z wyznaczeniem ślubu się nie śpieszyła. Wydychiwała się ze wzruszenia pierwotnego i spoglądała na rycerza swego. W oczach jej zarzewiem miłość gorzała. Przedmiot miłości jej odpowiadał jak najzupełniej ideałowi kochanka z wieku XV: był to młody człowiek bardzo przystojny, przy tym chłop duży, silny, szykowany, różniący się od małżonka jej tym najprzód, że był od niego o lat trzydzieści młodszy, następnie, iż gdyby dla nich dwóch szukać miary porównania pomiędzy postaciami mitologicznymi, to grafa von Krach porównać by należało do Herkulesa, jego zaś do boga Marsa, w epoce, kiedy bóg ten nie liczył jeszcze wieku lat trzydziestu. Stefan miał w sobie coś i z Apollina także, porównania

jednak tego nie podajemy, z obawy, aby się czytelnikowi nie wydało, że zachodziło tu jakoweś podobieństwo moralne. Co to, to nie. Podobieństwo moralne zbliżało go wielce do Marsa kogucistego i ogromnie oddziaływało na Afrodytę Inianowłosą, która wydychiwała się, wydychiwała, a Stefan tymczasem medytował:

— Ciekawym, jaki też ślub mi wyznaczy? Każe może... plastrem oko zalepić albo palce w gębie trzymać, albo głowę sobie ogolić, albo w nosie kluczyk zawiesić... Licho wie, co ona z miłości wielkiej wymyśli.

I kiedy on tak medytował, hrabina wydychawszy się nareszcie, spojrzała się na niego i okiem go zmierzyła z zacięciem takim, jakby w postaci jego coś rozpoznawała. Rozpoznawanie wypadło snadź dobrze, uśmiechnęła się bowiem uśmiechem zadowolenia, patrząc mu prosto w oczy.

— E? — zapytał Stefan spojrzeniem tym ośmielonym. — Ja wygadał wszystko, co do mnie należało... teraz kolej gadania na ciebie.

— Cóż ja mam do gadania? — odrzekła z przymileciem. — Jedno chyba?

— Co?

— To, że kocham ciebie.

— No... a toż?

— Co, mój luby?

— A że... ślub. Ja... chcę żyć i za ciebie umierać. Powiedziałem ci to. Powiedzże ty mnie, jaki mi wyznaczasz ślub.

— Żebyś, najprzód, kochał mnie zawsze.

— To swoją drogą. A dalej?

— Dalej, żebyś... — tu namyśliła się trochę — z zasłoniętą przyłbicą...

— Na! masz! — zawołał Stefan, ręką z przyciskiem machnąwszy.

Hrabina wpatrzyła się na niego z wyrazem zdziwienia w oczach.

— Cóż dalej? — zapytał.

— Wszak mnie kochasz?

— O, i jak jeszcze!

— Ja... — szeptanym mówiła głosem, wkładając w wyrazy uczucia żalu moc wielką. — Ja... taka nieszczęśliwa! Ja... w ręku tyrana, okrutnika, gwałtownika, złoźnika. Och! Boże mój... Podobnego nieszczęścia nie ma na świecie. Los mój straconym jest, okropnym, nieznośnym. O! dola moja!

— A! Ależ to pora mówić o ślubie.

— Ja cię ślubem związać nie chcę żadnym.

— Ot i chwała Bogu! — podchwycił Stefan.

— Tylko — ciągnęła nie zważając na Stefana przerwanie — wiedząc, że mnie kochasz i kochać będziesz zawsze, włożę na ciebie obowiązek jeden, którego spełnienie posłuży mi za dowód, żeś mi serce swoje nie na żart oddał.

— No?

— Po dopełnieniu obowiązku tego, ach! po dopełnieniu obowiązku tego wynagrodzę miłość twoją, mój luby.

— No?

— Wynagrodzę — powtórzyła, stacatto trochę.

— To dobrze. Ale obowiązek? — zapytał Stefan nachylając ucho z powodu muzyki, która słyszenie utrudniała.

— Wiesz o igrzyskach rycerskich mających nastąpić za tydzień?

— Wiem.

— Wystąpisz na nich?

— Mam ten zamiar.

— Zrób przeto tak, jak ja ci każę.

— A?

— Wyjdź w szranki z przyłbicą zasłoniętą i nie pierwej, aż się pokaże rycerz, z którym się nikt mierzyć nie zechce.

— Iiiha! — zawołał Stefan. — A kolory twoje?

— Kolory ci dam, ale je zawieszysz, wstępując w szranki, nie pierwej.

— Ih! dobrze. Ja tobie przysięgam kolory twoje po świetle rozślawić.

— O! luby ty mój! — wydzwoniła.

— Tak. Wszystko to dobrze. Cóż jednak mam z rycerzem tym robić?

— Pokonać go.

— Aha! No, no. To i dobrze. Czy już wszystko? Wszystko, zdaje się.

Wyprostował się, wyciągnął, wziął się w bok i odszedł powoli, krążąc po komnacie, w której właśnie szykowano się do tańca.

Ta łatwość, z jaką Stefan przyjął rozkaz damy swojej, i ta pewność siebie, z którą podjął się pokonać rycerza, z którym nikt mierzyć się nie zechce, miały powodów kilka. Najprzód, w żyłach jego płynęła krew junacka, po wtóre, na niedźwiedziach gór rodzinnych wypróbował siły swoje, po trzecie, szlachetna sztuka szermierki nie była mu obcą, po czwarte, nadarzała mu się sposobność popisania się w oczach cesarza. Wszystko to razem wzięte dawało mu ufność, która to sprawiała, że spokojnie czekał na dzień zapasów.

Dzień ów nadszedł z kolei.

A był jakby zamówiony u Pana Boga dla dogodzenia cesarzowi. Słońce jesienne przyświecało i ogrzewało łagodnie, ciskając ukośne promienie na przepych, z jakim urządzone zostały igrzyska na zamiejskim błoni. Odznaczała się szczególnie cesarska loża, zbudowana na wzór portyku świątyni greckiej, a przystrojona w kobierce,

sztandary, girlandy i festony. W głębi wznosiły się dwa trony pozłociste. Od łoży tej ciągnęły się w dwie strony galerie dla dam dworskich. Blżej tronów siedzenia wykwiłne przeznaczone były dla księżniczek krwi, pomiędzy którymi księżna austriacka, córka cesarza, zajmowała miejsce po prawicy ojca. Poniżej zasiadali sędziowie przez cesarza mianowani. Pomiedzy tymi uwagę zwracał książę Albert, domniemany następca Zygmunta, odznaczający się najprzód tym, że przewodniczył sądowemu gronu, następnie tym, że podobniejszym był do psa, do małpy, do kozła aniżeli do człowieka. Przyszły cesarz, Albert II, monstrualnie był brzydki. Łoży sądowej za skrzydła służyły galerie przeznaczone dla państwowych i kościelnych dostojników. Dalej dokoła wznosił się amfiteatr dla gminu ciekawego widowisk podobnych. Pośrodku rozlegała się przestrzeń znaczna, gładko zestrugana i miałkim, zwilżonym piaskiem wysypana.

Otaczała ją ściana z desek grubych. Przestrzeń ta były to szranki, do których prowadziło cztery monumentalne bramy, otwierające się w cztery świata strony. Przy bramach stali trębacze z długimi, w herbowe cesarstwa płachty przystrojonymi trąbami i heroldowie z laskami, w odzieży barwnej. Na bramach powiewały chorągwie. Wszędy mieniły się kolory, jaśniało złocenie, igrały z wiatrem szarfy długie.

Cesarz Zygmunt kochał się w przepychu i umiał się pokazać, kiedy miał za co.

Rycerstwa i książąt panujących zjechało się huk.

W dniu igrzysk od rana po świątyniach pańskich odbywały się nabożeństwa. Wszyscy rycerze mający zamiar wziąć w igrzyskach udział spowiadali się i komunikowali. „Kto z Bogiem, Bóg z nim“. Reguły tej przestrzegano w wiekach średnich i oddawano ochoczo Bogu, co Boskie. Wyspowiadał się i bohater nasz.

Po mszy i po rannym śniadaniu cesarstwo udali się na miejsce igrysk.

Amfiteatr i galerie wszystkie były już napełnione, przepełnione.

Odchyliła się portiera w loży cesarskiej i oczom tłumów ukazała się para monarsza, jaśniejąca od złota i kamieni drogich, które jej odzież obsypywały.

Najdostojniejsi małżonkowie byli w koronach. Postacie ich osłaniały, nie zakrywając — szkarłatne, gronostajami podbite płaszcze, tworzące draperie, spod których na cesarzu błyszczał misternie rzeźbiony pancerz, na cesarzowej połyskiwał perłami sadzony stanik. W półkole przed tronowym podniesieniem stali na niższych stopniach, wsparci na halabardach, okryci zbrojami świetnymi i nastrzępieni pióropuszcami czerwonymi, kawalerowie zaprowadzonego przez Zygmunta orderu smoka (historyczne), którym dekorowani mieli specjalny obowiązek bronienia osoby cesarza.

Cesarz zajmwszy miejsce swoje poczekał jeno chwilę, póki nie uciszyła się wrzawa wiwatów, pojawieniem się jego wywołana, powiódł łaskawie okiem dokoła i dał znak.

Na znak ten ryknęły trąby i ozwały się muzyki. Nagle ucichło wszystko. Cztery bramy otworzyły się na ścieżaj, trębacze w nich stanęli i zagrali, posyłając na echa wlejące się tony, które miały za zadanie sięgnąć aż do krańców świata i powołać ze stron najdalszych rycerstwo na popis przed najwyższym na świecie władcą. Grali trębacze póty, aż im sprzed bram odpowiedziały dzwonięcia rogów podróżnych. Wówczas heroldowie poskoczyli, za chwilę powrócili i zwracając się do cesarskiego tronu, głosem donośnym wywoływali imiona, nazwiska i tytuły przyszów.

Cesarz znak dał. Rozstąpiły się warty przy bramach, wjechali zapaśnicy.

Tłumy aż jęknęły głucho, z naciskiem podziwu i zachwyty, na widok pierwszych, co się w szrankach ukazali. Co za konie! Co za zbroje! Co za miny! Jakie pióra na szyszakach! Jakie wstęgi u ramion!

Rycerze w poskokach przysadzystych podjechali przed tron cesarski i salutowali dobytymi mieczami. Każdy miał tarczę lub puklerz na lewym zawieszony ramieniu; każdemu towarzyszył giermek z orężem zapaśnym i dodatkowym.

Cesarz, odpowiedziawszy na pozdrowienie skinieniem łaskawym, znów dał znak. Rozpoczęły się zapasy.

Przed rozpoczęciem popisów rozległ się, niby szum burzy dalekiej, szmer rozmów, prowadzonych półgłosem w tłumach widzów, a szczególnie na galeriach zajętych przez damy dworu. Widzowie zwyczajni z nazwisk, z min i wedle różnych osobliwych oznak odgadnąć tryumfatorów usiłowali. Rozmowy dam miały na celu rozpoznawanie kolorów znamionujących panie serc.

— Widzisz? Żółta-na ramieniu kokarda. To rycerz baronowej X.

— A oto wstęga czerwona i zielona. To kolory księżnej Y.

— Ach! Barwa jasnoblękitna! To i ona ma rycerza?

— I ona ma, i ta ma, i owa ma — powiadano w gronie pewnym piękności przekwitłych. — Jedna tylko hrabina von Krach rycerza nie miała, nie ma i mieć nie będzie.

— Nieboga — odezwała się dusza jakaś litośna. — A takie to oczy ogniste!

— Oczy ogniste, lecz ognistszy jeszcze małżonek, który przy niej stoi i warczy.

— Och, ten małżonek — westchnęła któraś.

— Na mnie — rzekła jedna z poważniejszych — nie namyślałabym się długo. Schroniłabym się w mury klasztorne.

Hrabina von Krach siedziała nie opodal od cesarstwa, zajmując miejsce odpowiednie wysokiemu jej urodzeniu i wysokiemu małżonka stanowisku. Zachowywanie się jej znamionował ton jakiś zagadkowy, który nadać sobie umiała. Zdawało się, jakby na coś czekała. Niekiedy wpadała w roztargnienie. We włosy wplecione miała wstążki kolorów swoich, na całej zaś postaci swojej, w ubraniu całym, kolory tak uwydatniła, że się w oczy rzucały i wprawiały, niewiasty zwłaszcza, w podziwienie, powód którego tkwił w tym, że damie nie będącej niczyją damą serca przystoi raczej z kolorami kryć się aniżeli je na widok publiczny wystawiać. Krążyły też z przyczyny tej uwagi szeptane; krzyżowały się spojrzenia wyraziste; widzieć się dawały rzuty ramion białych, oznaczające jeżeli nie zgorzenie, to zdziwienie.

Naraz rozmowy ustały; manifestacje, wyrażane za pośrednictwem oczów, ramion i ust, poszły w zawieszenie: uwaga cała zwróciła się na szranki.

Gonitwy się rozpoczęły.

Nie naszemu pióru opisywać cuda owe odwagi i zręczności, jakim przypatrywali się mieszkańcy Budy, dworzanie płci obojej z cesarskiego otoczenia, dostojnicy państwa i kościoła, goście i dostojna para monarsza; nie nam opisywać zbroje, oręża, proporce, postawy bojowników, konie, rzędy. Gonitwy odbywały się wedle reguł sztuki turniejowej. Walczono na rozmaite sposoby. Kruszono kopie, goniono na ostre, zwierano się i komunikiem, i w zapasach, w których rycerze stawali przeciwko sobie pojedynczo. Walczono i konno, i pieszo. Piasek rumienił się krwawymi plamami.

Zwycięzeni, pomiędzy którymi znajdowali się ciężko ranni, zabici nawet, wyprowadzanymi i wynoszonymi byli za bramy. Zwycięzcy wśród okrzyków tryumfu i przy odgłosie muzyk odbierali nagrodę, jedną z rąk najjaśniej-

szego pana, drugą z rąk damy serca, której imię, przy okazji tej, łączyło się z imieniem tryumfatora i brzmiało w okrzykach zachwyconego tłumu. Taki na przykład zaszczyt spotkał barona von Schwert, który wystąpił w kolorach, czyli, jak się w czasach owych mówiło, w liberii hrabiny cylejskiej. Hrabina wynagrodziła rycerza swego sakiewką własnej roboty, napełnioną dukatami.

Po zakończeniu walki każdej wnet otwierały się cztery bramy i trębacze powoływali nowych zapaśników ze wszystkich czterech stron świata.

Popisy zmieniały jedno drugie i ciągnęły się godzin kilka. Liczono już dwóch zabitych, tuzin ciężko rannych i parę dziesiątków pokaleczonych, kiedy wjechał w szranki rycerz, ukazanie się którego wywołało okrzyk: aa! Przebył stępem przestrzeń od bramy do tronu, odsalutował cesarstwu i zwrócił się ku środkowi szranek.

Hrabina von Krach zbladła jako chusta.

Po chwili odezwały się donośne wołania heroldów:

— Wyzwanie! Obwołuje się w świecie całym, w cesarstwie, w królestwach, w księstwach, w hrabstwach, w baroniach i w ogóle wszędzie: kto z książąt, kto z hrabiów, kto z baronów, kto z rycerzy szlachetnych wystąpić zechce w szranki w celu skruszenia kopii, gonienia na ostre, walczenia konno lub pieszo ze szlachetnym, wysoko-dobrze urodzonym grafem von Krach?

Chwila ciszy. Po ciszy nastąpiło dęcie w trąby na cztery strony świata, po czym heroldowie wezwanie powtórzyli.

Znów cisza. Nastąpiło wyzwanie trzecie i herold ostatniego jeszcze nie domówił wyrazu, gdy za jedną z bram słyszeć się dało granie rogu podróżnego. Granie to stało się hasłem wielkiego uniesienia wśród widzów. Wzniósł się okrzyk ogromny: niech żyje! Graf von Krach wydał usta,

zmarszczył brwi i utkwil wzrok w bramę, w którą niebawem na karym, lamparcią skórą okrytym koniu wkroczył rycerz z przyłbicą spuszczoną i z długą na łokieć a szeroką na piędź, pomarańczowo-zieloną wstęgą na szyszaku.

— Hrabina von Krach! — krzyknęto głosem jednym.

Na hrabinę zwróciły się oczy wszystkich. Ona miała oczy spuszczone a oblicze rozpromienione.

Hrabia zębami zgrzytnął.

Wnet potem rozpoczęły się gonitwy. Przeciwnicy rozjechali się w dwie przeciwne strony i pędem natarli na siebie z kopiami u toku. Zwarli się raz, zwarli się raz drugi. Za trzecim razem tajemniczy rycerz tak jakoś hrabiego trafił, że go nie tylko ze strzemion, ale z siodła wysadził tak fatalnie, że hrabia padł grzbietem na kłęby konia, zsunął się po ogonie głową na ziemię, koziołka wywrócił i jak długi na piasku się rozciągnął.

Okrzyki tryumfu zawrzały wśród widzów. Ponieważ nie znano nazwiska zwycięzcy, więc wiaty jedno tylko podnosiły nazwisko: hrabiny Małgorzaty von Krach.

Te, co się nad nią litowały, te, co z niej szydziły, milczały teraz.

I ona milczała, ale na obliczu jej malowało się uczucie rozkoszy niewysłowionej.

Nie skończyła się jednak jeszcze walka pomiędzy jej małżonkiem a rycerzem nieznajomym. Zwycięstwo ostateczne zależało od tego, aż się pokonany pokonanym uzna.

O R D E R S M O K A

Pomiędzy hrabią von Krach i hrabiną von Krach panowało nieporozumienie, które poczęło się w chwili, kiedy to stadło dostojne odstało od ołtarza, przed którym zaprzysięgło sobie wzajemnie miłość i wierność do zgonu. Nieporozumienie poszło przede wszystkim stąd, że przysięga sama była z góry obmyślanym kłamstwem. Kłamstwo z jednej strony, kłamstwo z drugiej strony. Przysięgę wykonywano z ową restrykcją mentalną, o wynalezienie której niesłusznie pomawiani są jezuici.

Jezuici uprządkowali ją tylko, uregulowali, uracjonalnili, nadali jej prawa bytu i ograniczyli, zaprowadzając dystynkcję pomiędzy kłamstwem potrzebnym a kłamstwem niepotrzebnym, nabożnym a bezbożnym, świętym a na potępienie zasługującym. Jeżeli co wynaleźli oni, to nazwę: restrictio mentalis, rzecz bowiem sama początkiem swoim odnosi się niezawodnie do pierwszej przysięgi wykonanej na ziemi przez człowieka. Przed wynalezieniem jezuitów historia na każdej niemal karcie krzywoprzysięstwo zapisuje. Historycznego znaczenia łamania wiary zaprzysiężonej ciągną się szeregiem nieprzerwanym aż do czasów ostatnich, przewodnicząc łamaniom wiary znaczenia niehistorycznego, niemniej przeto ważnego, bo stanowiącego wiązanie rodziny, tej podstawy głównej

i jedynej, na której się zespolenie opiera. Hrabina przysięgała mężowi, hrabia przysięgał żonie: jedno za jak drugie bynajmniej dotrzymać przysięgi zamiaru nie miało.

Hrabina Małgorzata von Krach, z domu hrabianka von Hinterschmerz, córka rodu bardzo znakomitego, wychodziła za mąż nie w tym celu, ażeby być, jak się wyraża poeta: „żywcem zagrzebaną“. Hrabia Wilhelm von Krach, mąż wielkiego serca, grubego karku i dużej ręki, przy tym wysoko postawiony, pojmując małżonkę, czynił to nie w tym celu, ażeby służyć za parawan dla dostojnej połowicy, nie przypuszczając z drugiej strony, ażeby połowica ta służyć mu miała. jako owa kuropatwa pieczona, którą pewien król dowcipny częstował biskupa strofującego go o częste zmienianie kochanek. Odmienność ta w pojmowaniu celu pobrania się sprowadzić musiała rozterkę, która związkowi temu małżeńskiemu nadała charakter przymierza, zawartego pomiędzy mocarstwem pierwszego rzędu a mocarstwem rzędu drugiego. To ostatnie reprezentowała hrabina; tamtego uosobieniem był hrabia.

— Ja tu pan! — krzyknął przy okazji pewnej, uderzając pięścią w stół.

— Poczekajże, ty niedźwiedziu, ty dziku, ty byku! — powiadała hrabina w duchu, spuszczać oczy i nadając obliczu swemu wyraz rezygnacji potulnej.

— Ja ciebie w zamku zamknę, w żelazo wrażę!

— Ja tobie, kotku, nogę podstawię, niech jeno okazja się zdarzy!

W tym guście pogadanki małżeńskie — z jednej strony krzykiem, z drugiej myśleniem — powtarzały się często. On gadał głośno, ona słów nie rzuciła na wiatr; on krzyczał, pieniał się, oczy zawracał i stoły rozbijał; ona wyobrażała łagodność wcieloną, cichą jak woda, gdy się wiatr uciszy, pogodną jak poranek majowy.

Hrabina byłaby niezawodnie w zamku jakimś trzymaną, gdyby względy wysokie nie nakazywały hrabiemu pozostawać przy boku monarchy. Względów tych źródłem była wola cesarska. Najjaśniejszy pan, którego prześladowały widma zamachów, wymierzanych na osobę jego, otaczał się ludźmi pewnymi. Hrabia von Krach była to pewność podniesiona do potęgi najwyższej: silny jak słoń, odważny jak lew, ciemny jak tabaka w rogu. Toteż jeden z najpierwszych ozdobiony został orderem smoka i cesarz, zwłaszcza gdy wyjeżdżał lub wychodził, czuł się swobodniejszym, gdy go miał nie opodać od siebie. On jeden starczył za straż przyboczną i bywał nieocenionym w takich szczególnie razach, kiedy najjaśniejszemu panu wypadało jowiszowym osłaniać się obłokiem. Hrabia von Krach nie nie widział i nic nie słyszał. Oceniał więc sam wartość swoją wysoką i uznawał potrzebę obecności swojej na stanowisku, na jakim go zaufanie monarchy postawiło. Nie miał do czynienia nic; był potrzebny; stał na posterunku honorowym; patrzył z góry na poziom, na którym u nóg jego mrowiła się ludzkość, i miał pasję do gry w warcaby. Nie mógł więc, przez wzgląd na obowiązek ważny, jaki mu w udziale wypadł, w zamku się dla żony chować.

Co do żony przeto, radził sobie inaczej.

Kości gachom gruchotał.

Dogodziwszy w ten sposób gładkim panom kawalerom, warczał jeno tylko i utrzymywał zalotników w przyzwolonym oddaleniu. Rzucił postrach dokoła, nie na żonę jednak, która go się nie obawiała. Tym też przykrzejsze było jej położenie na dworze Barbary, na którym podeszłe nawet niewiasty mieć musiały i rycerzy swoich urzędowych, i kochanków liczbę nieograniczoną. Mężowie nie liczyli się wcale. Barbara świeciła w tym względzie przykładem, naśladowanym skwapliwie przez hof- i sztats-damy, tak że za wstyd, za upokorzenie, za poniżenie uchodziło

nie być kochaną w liczbie mnogiej i nie móc żartować z męża. Taka, co by się w tej znajdowała niemożności, musiałaby się pod ziemią chować. Hrabina się pod ziemią nie chowała, dlatego najprzód, że była hrabiną von Krach, z domu von Hinterschmerz, dlatego następnie, że obawa ogarniająca zalotników obejmowała także hof- i sztabs-damy, towarzyszki jej, tak że jedna i taż sama przyczyna i nieszczęście jej sprawiała, i za puklerz jej służyła, zniewalając ją, wbrew własnej ochocie, być cnotliwą wśród niecnotliwych.

Łatwo wyobrazić sobie, jak ta cnota poniewolna niecierpliwiła ją i gniewała, a gniewała tym bardziej, że mężowi służyła za powód do triumfowania.

— A nu — mawiał. — Spróbuj! Zwab sobie gacha! Oho — him!

Kulaki pokazywał i oczy zawracał.

Hrabia z powodów do wytłumaczenia łatwych, w tłumaczenie których atoli wdawać się nie będziemy, nie cieszył się łaskami cesarzowej. Nie lubiła go, znosić jednak musiała przez wzgląd na najdostojniejszego małżonka, dla wynagrodzenia zaś sobie przymusu tego okazywała względy wielkie dla hrabiny, którą garnęła do siebie, nie raz się nad nią litowała i w przystępach politowania nasywała jej, w formie rad życzliwych, sposoby wyprowadzenia męża w pole.

— Biedna ty, nieboga — mawiała — hrabino kochana. Usychasz, kwiatku, pomimo że narzekać nie możesz ani na grunt, ani na słońce.

Pod gruntem rozumiała dwór, pod słońcem siebie. W rzeczy samej, o ile pierwszy był żyzny, o tyle drugi był życiodajny we względzie romansowości zabronionej przez kodeksy moralności najmniej surowej. Natomiast cnota znajdowała się tam w warunkach najnieprzyjaźniejszych i cnota hrabiny miała w sobie coś nienaturalnego.

— Tak pozostawać nie może — mawiała najjaśniejsza pani.

I po gruntownym namyśle, przekonawszy się, że nie ma co liczyć na rycerstwo domorośle, ukazywała biednej okrutnego małżonka ofierze kwiaty egzotyczne. Na dwór cesarski młodzież arystokratyczna krajów wszystkich cisnęła się w liczbie ogromnej. W cieniu tronu króla rzymskiego gromadzili się członkowie rodów najznakomitszych z Anglii, z Francji, z Hiszpanii, z Włoch, z Polski. Na nich zwracała cesarzowa uwagę hrabiny.

Nie robi się jednak to, co się chce, ale to, co można. Hrabina, pomimo usiłowań najuczeńszych, usidlić nie zdołała żadnego Anglika, Francuza, Hiszpana, Włocha, żadnego Polaka, bez względu na to, że egzemplarze, jakie te kraje przysyłały celem polerowania takowych, nadawały się wybornie na to, ażeby je wypolerować na dudków. Tu już stawał na przeszkodzie tylko los zawistny. Los nie dopisywał. Każdej małpie, każdemu tłumokowi wiodło się na tym wdzięcznym polu; ona tylko, ona jedna, lnianowłosa, czarnooka, na próżno wystawiała wszystkie baterie pocisków kupidynowych. Jej jednej nie wiodło się. Najwspanialsze egzemplarze aspirantów polewniczych przesuwaly się przed oczami jej i lgnęły do dzierlatek o wiele od niej pod względem każdym niższych.

Aż przyjechała cesarzowa z odwiedzin u brata.

— Wiesz — były słowa jej, gdy ją hrabina spotkała — w Cylei myślałam o tobie.

— Najjaśniejsza pani taka na mnie niegodną łaskawa.

— I przywiozłam ci coś. Zgadnij co?

— Najjaśniejsza pani wprawia mnie w kłopot prawdziwy. Najmniejszy jej pamięci dowód jest dla mnie szczęściem wielkim.

— Przywiozłam na męża twego bicz.

— O, najmiłościwsza pani! — zawołała hrabina z radością, może udaną, a może i nieudaną.

— Chodzi tylko o to, ażebyś go zażyć umiała.

— Będę się starała.

— Jest to mój niby krewniak... niby pan kraju niby udzielnego, półdzikus sobie, bardzo nieokrzesany, bardzo głupi i zalet wielkich pełen. Na tego więcierz jeno zarzuć, a on się wziąć da. Na kosztą cię nie narazi — żonaty i bogaty. Zdaje się przy tym, że gdyby się z hrabią von Krach za bary wziął, to pytanie wielkie, który by którego zmógł. Radzę ci po macierzyńsku, kochana moja hrabino, rozpatrz się w nim i weź się do niego, a nie będziesz żałowała, bo gładki, bardzo gładki chłopiec... obiecujący... Ja znam się na tym.

Hrabina odkasznęła srebrzystym kasznięciem i odparła zasłoniwszy oczy rękami:

— Jeżeli... khi... wasza cesarska mość...

— Nie — przerwała cesarzowa Barbara. — Zachodzą tu powikłania polityczne, tyżące się widoków brata naszego, hrabiego Hermana. Gdyby nie to... Ale, radzę ci, moje dziecko, rozkochaj go... będziesz miała pociechę z niego.

Po takich to preliminarjach hrabina poczęła ścigać oczami Stefana.

Stefan wpadłszy w tłum nie odczuł od razu ścigania tego na sobie i byłby może nie odczuł go nigdy, gdyby nie Worre.

W tym miejscu jest do postawienia pytań wielki. Czy Worre w tę intrygę wtajemniczony został, a jeżeli został, to przez kogo? Nie przez hrabinę w każdym razie. Stefan go o to zapytywał i danej przez niego odpowiedzi wierzyć można, opierając wiarygodność na tym, że wyszła ona z ust nie męża stanu, ale błazna. Mniejsza jednak o to. Wystarczy nam fakt, który się wyraził w ten sposób, że

Worre popchnął Stefana ku hrabinie i ta wy kierowała go na rycerza swego.

Rycerstwo to niezmiernie się bohaterowi naszemu podobalo, przez nie zaś spodobała się mu hrabina. Opowiedział przebieg cały negocjacji romansowej Wasie i ten podawał mu skazówki potrzebne, a najprzód zwrócił uwagę jego na to, że należy rzecz całą w głębokiej zachować tajemnicy, wynikającej z postawionego przez damę warunku walczenia z przyłbicą spuszczoną.

— Na licha jej warunek ten? — zapytał Stefan.

— A! — odrzekł Wasa ramiona podnosząc. — Z damami tak: bez utajenia czegoś kroku postawić nie umieją. Taka ich natura. Ale nie ma co. Dziękuj Bogu, że cię ślubem nie związała żadnym. Gdyby ci bowiem nakazała na przykład chodzić przez lat trzy i dni trzy z głę otwartą, musiałbyś chodzić. Dama serca twego łaskawa jeszcze.

— Wydaje się łaskawa bardzo.

— Inna, nie dosyć, że człowieka ślubem zwiąże, ale jeszcze co moment wymaga raz tego, znów owego: a to tu skocz... a to tam wyskocz... Prawda, że taka, co takie czyni wymagania, płacić musi.

Rzecz do zauważenia, pod względem ściśle historycznym. Połowa najmniej paladynów kolportujących honor rycerski pozostawała na utrzymaniu dam, najczęściej zamężnych. Honor ów przeto, w tym oświeceniu, traci na wartości ogromnie. I pod tym względem, jak pod mnóstwem innych, postęp do umoralnienia się przyczynił. Rycerze średniowieczni sprzedawali się bez wahania i dęli pomimo to w trąbę honoru tak głośno, że dziś jeszcze trąbienie to słyszymy.

Wasa powiadał dalej, co i jak ma być zrobione, ażeby wystąpienie Stefana na turnieju nosiło na sobie cechy tajemniczości. W tym celu kupionym został koń kary i rząd na konia nowy; w uzbrojeniu zaprowadzono modyfikacje

pewne; na szyszaku kitę zastąpiono piórami; pancerz pokryto pokostem; do naramienników dodano skrzydła, do nagolenników kutasy. Wasa nauczył Stefana formalności, jakiej dopełnić ma, co się tyczy utajenia przed publicznością nazwiska, bez której nie wpuszczono by go w szranki z obawy, ażeby się w takowe nie wkraśl ktoś nie mający prawa mierzyć się z wysoko urodzonymi. Formalność owa polegała na tym, ażeby nazwisko cesarzowi do wiadomości podać. Jakoż, po wjechaniu Stefana, cesarz przez herolda obwieścić kazał wszem wobec i każdemu z osobna, jako za honor nieznajomego honorem własnym ręczy i pozwala mu mierzyć się z każdym księciem, z każdym hrabią, z każdym baronem, z każdym szlachetnie urodzonym. Po takim dopiero zaręczeniu solennym hrabia von Krach przyjął wyzwanie, starł się i z siodła niby z procy wyleciał, dając z siebie widowisko człowieka plackiem na piasku rozciągniętego. Publiczność, zachwycona, okrzyknęła czyn ten Stefana. Nie było to atoli jeszcze, jak powiedzieliśmy wyżej, zwycięstwo zupełne. Hrabia, poleżawszy trochę, zerwał się nagle i zaciśnione pięści do głowy wzniosłszy ryknął niby lew zraniony:

— Jeszcze! jeszcze! dalej! Z konia, zuchul!

Dyszał wściekłością; oczy miał krwią nabiegłe; żyły mu się niby powrozy ponaprzężały.

Stefan z konia zsiadł.

Hrabia, jak skoro go ujrzał na kroków kilka przed sobą, zawarczał i rzucił się na niego z mieczem do góry wzniesionym.

Zawiązał się pojedynek zapamiętały. Stał zgrzytała, zbroje chrzęst wydawały, ciosy gradem się sypały, ziemia pod ciężkim zapaśników stąpieniem stękała, zwycięstwo ważyło się długo, długo — przeważało się na koniec. Przeważałoby się niezawodnie na stronę hrabiego, gdyby ten przed wznowieniem walki wody się był napił trochę. Nie

zrobiwszy tego, dał przewagę zimnej krwi nad zaślepieniem. Hrabia był wściekły — rozwścieczyło go wysadzenie z siodła, rozwścieczał widok szarfy żoninej na szyszałku przeciwnika. Krew do głowy uderzająca wzrok mu mąciła. Nie ochraniał siebie dostatecznie. Nie czuł cięć i pchnięć kilku, od których czerwone po pancerzu spływać mu poczęły strugi. W końcu widząc, że ani miecz, ani czekan, ani sztylet nie oddają mu tych usług, jakich po nich oczekiwał, cisnął tarczę, odrzucił wszelki od siebie oręż i z rozwartymi ramionami skoczył na Stefana. Uczynił to jednak za późno, po zbyt dużym upływie krwi. Zamachnął Stefanem raz, lecz go powalić nie zdołał i ten hrabiego zdusił, podniósł, grzmotnął nim o ziemię, za gardło go pochwycił i kolanem mu na piersiach się oparł.

W chwili tej trąby ogłosiły zakończenie walki.

Hrabia charczał i krwią rzygał. Wyniesiono go na noszach. Stefan chwiejnym krokiem udał się po nagrody należne mu od cesarza i od damy serca. Towarzyszyły mu okrzyki tłumów. Gdy przed cesarzem na jedno przykląkł kolano, ten w następujące przemówił do niego słowa:

— Dla zwycięzcy w tej kolei, która ostatnią jest, mieliśmy przygotowany puchar szczerozłoty. Zwycięstwo atoli twoje tak jest świetne, że uznaliśmy za właściwe udzielić ci nagrodę, która podniesie dostojność twoją do szczytu. Mianujemy cię, o rycerzu nieznany, kawalerem orderu naszego smoka. Oto insygnia. — Tu włożył na niego order. — Noś je tak godnie jak dostojny twój przeciwnik, który od chwili tej staje się twoim przyjacielem i bratem, związanym z tobą symbolem wierności bezwzględnej względem osoby naszej. Pomnij, że wstępujesz w bractwo mające zadanie podniosłe, zadanie, które wymaga zaparcia się siebie. Pozdrawiamy cię kawalerem orderu smoka. Wstań, kawalerze, i odejść w spokoju...

Wstał i zstępować ze schodów począł, gdy nawróciło go szeptane nawoływanie:

— Hrabina von Krach! Dama serca twego!

Zwrócił się więc i poszedł tam, gdzie lnianowłosa czekała Małgorzata.

Przyklęknął przed nią z chrzęstem, a ona, rumieniąc się, jak się jutrznia na niebie rumieni, wyjęła z warkocza swego iglicę złotą — prawdziwie, rzetelnie złotą, nie zaś jak ów puchar szczerozłoty, o którym cesarz wspomnieć raczył — ozdobioną brylantem otoczonym rubinami, i nie mając jej gdzie wpiąć, wręczyła mu takową. Należała się jej przemowa od rycerza, wzruszenie atoli, bardziej zaś zmęczenie, a jeszcze bardziej nieświadomość sprawiły to, że zachował milczenie. On chrząknął, on odetchnął głęboko, z klęczek się podniósł, ze stopni zszedł, konia dosiadł i objechawszy przy odgłosie trąb i kotłów szranki dokoła, za bramą znikł.

W chwilę później pachołkowie rozpinali i odśrubowywali na nim blachy, zdejmując z niego jedną po drugiej części uzbrojenia, porysowanego, powyginanego i podziurawionego przez ciosy, jakie hrabia zadawał, a od których górna połowa ciała Stefana ucętkowaną była w guzy i sińce. W paru miejscach widzieć się dawało rozdarcie skóry głębsze. Stefan uczuwał bóle od góry do dołu. Był bo zbity literalnie, wzdychał, pojękiwał i ciskał od czasu do czasu klątwy. Okazała się potrzeba zawezwać cyrulika, który puścił krew, dał jakieś lekarstwo do picia i oblepił bohatera naszego plastrami. Wywiązała się gorączka lekka, która zmusiła go przez dni kilka w łóżku leżeć; nie rychlej więc jak po upływie dni dziesięciu ukazać się mógł na pokojach cesarskich. W ciągu choroby swojej odbierał liczne odwiedziny, a kto jeno do niego przyszedł, każdy mu winszował orderu smoka.

Nadanie to poczytywano w sferze dworskiej za dowód wielkiego taktu i wielkiej ze strony cesarza przezorności. Uważano je powszechnie jako rękojmię bezpieczeństwa, tak dla Stefana, jak i dla hrabiego von Krach. Dla tego

ostatniego, przyzwyczajonego do laurów turniejowych, wypadek ostatni był ciosem nader dotkliwym, z którego — o tym nikt nie wątpił — podnieść by się usiłował nie w szrankach popisowych, ale za pomocą boju rzeczywistego. Wprowadzenie Stefana do bractwa orderowego, mającego program wykluczający zatargi pomiędzy członkami, wytrącało z góry oręż z ręki hrabiego.

— Jak to mądrze obmyślane! — powtarzano.

Upatrywano też w tym świadectwo względów szczególnych cesarza dla młodego Bośniaka, a nawet podejrzewano cesarza o szczególną dla Bośniaków w ogóle słabość.

— Ojciec Jakub! — szeptano w kólkach dworskich.

Ojciec Jakub, Bośniak z rodu, franciszkanin, fanatyk zagorzały, był spowiednikiem cesarskim.

Trafiali się tacy, co udekorowanie Stefana odnosili do ojca Jakuba. Nie zgadzało się to z rzeczywistością. Zakonnik nie wiedział o niczym, nie znał się nawet z młodym spółziomkiem swoim i dopiero gdy się o wypadku turniejowym dowiedział, poszedł do niego z odwiedzinami i obrokiem duchownym. Przestrzegał go przed podszeptami pychy i utwierdzał w wierze.

— Niech cię — słowa jego — mój bracie w Chrystusie, order smoka zbytecznie w dumę nie wbija. Zaszczyt to wielki, ale też wielki z zaszczytu tego wypływa obowiązek. Zostań obrońcą świętej osoby cesarza, cesarza, który jest obrońcą kościoła katolickiego, rycerzem bożym, tak że przez to i ty masz spotęgowaną w sobie powinność bronięcia kościoła i sług jego w czasie każdym i na miejscu każdym. Gdybyś powinności tej zaniechał lub się jej sprzeniewierzył teraz, kiedyś jest kawalerem orderu smoka, stałbyś się winien podwójnie. W Bośni zwłaszcza, do której niestety nauki wciskają się przewrotne, pamiętać o tym winieneś. Wielki to zaszczyt dla ciebie, wielki to zaszczyt dla Bośni, ale i obowiązek wielki.

Tak przemawiał ojciec Jakub, który, jak powiadamy, nie wiedział o niczym.

Freiher von Windeck także podnosił wysoko znaczenie zaszczytu, jaki bohatera naszego spotkał.

— Jesteś więc naszym — mówił do młodego człowieka — naszym na zawsze. Najjaśniejszy pan nie puści cię od siebie. Order smoka wiąże do osoby jego kawalerów węzłem nierozzerwanym.

— A jeżeli stryj mój do wieczności się przeniesie — zauważył Stefan.

— To w takim razie, jeżeli jego cesarska mość udzielić ci łaskawie raczy pozwolenia odejść do Bośni, pozostanie węzeł duchowy, tkwiący w symbolu orderu. Order każdy — to zakon.

Po zamienieniu zaś kilku jeszcze w tym guście frazesów, dodał:

— Należy się od ciebie do skarbcza cesarskiego dukatów sto.

— Za co? — zapytał się Stefan.

— Taksa za drugi stopień orderu smoka. Najjaśniejszy pan, zaprowadzając ten order, najłaskawiej podzielić go raczył na trzy stopnie: pierwszy, nadawany towarzyszom, drugi kawalerom, trzeci — mistrzom. Wyznaczyć oraz raczył taksy dukatów pięćdziesiąt, sto i sto pięćdziesiąt. Taksa to nadzwyczajnie niska w porównaniu z wielkością zaszczytu.

— Niska, zaprawdę — odparł Stefan. — Ja tedy od razu na drugi wstąpiłem stopień!

— Dowód to wielkiej łaskawości cesarskiej względem nawskróśjasności twojej.

— Kiedyż mistrzem zostanę?

— Gdy się odznaczysz czynem świetnym w obronie osoby jego cesarskiej mości.

Odwiędził go też i don Worre. Ten usiadłszy u wezgi-
wia jego długo mu pierwej w milczeniu w oczy patrzył,
nim zawołał:

— A co! nie wywróżyłem?

— Prawda — była Stefana odpowiedź.

— Podnosisz się, podnosisz do góry, do góry... coraz to
wyżej.

Mówiąc to, gestykulował odpowiednio, w końcu mruk-
nął z przyciskiem, wstrząsnawszy się ciałem całym.

— Brr! im wyżej, tym zimniej. A i bez tego jednak
może ci się fatalny wydarzyć wypadek.

— Jaki?

— Nie wiem, wypadek ów dzieli się bowiem na dwa
rodzaje, a zależy od tego, czym ty jesteś: czy pęcherzem,
czyli też bańką mydlaną. Zobaczymy...



SPRAWY LITEWSKIE

Romans się skleił, rozwijał, rozwinął i doszedł do naturalnych rozmiarów w tych warunkach, wśród których mu żyć było dano. Załatwimy się z nim krótko, ażeby nam później nie bruździł.

Hrabia bez porównania boleśniej niżeli nasz Stefan dostał cięgi. Już od spadnięcia na wznak z konia stłukł sobie mocno głowę, pomimo że hełm spoczywał na mycce sierścią wypchanej. Spadając sztorcem na łeb, rozsądził ciała własnego ciężarem pudła szyszaka i wbił je sobie na czoło, uciskając czaszkę. Twarda czaszka nie pękła, wypadek ten atoli nie obszedł się bez utraśnięcia mózgu. Po takowym nastąpiło okładanie przez Stefana, który ramienia nie żałował. Że okładanie to, odbywające się raz mieczem, to znów czekaniem, nie było przez hrabiego amortyzowanym za pomocą stosownego parowania ciosów, zatem spowodowało, oprócz niezliczonej liczby guzów i sińców, i ran jeszcze kilka głębokich. Do ran dołączyły się skaleczenia. Kark hrabiego, ów kark wspaniały, został nadwerężony; ramię lewe utracone; rozbity nos spuchł mu do rozmiarów olbrzymich, przybierając kolor śliwki - węgierki w momencie dojrzewania; czwarta część zębów opuściła stanowiska swoje, drugie tyle za służbę dziękowało. Słowem, oporzędzony był tak, że żadna

małżonka nie mogłaby życzyć sobie dosadniejszej dla męża nauki.

Toteż hrabina zadowoloną była zupełnie.

Zadowolenia nie okazywała jednak po sobie. Nie okazywała i żalu. Wiadomo — to, co się stało, była to rzecz rycerska. W boju okazała się potęgą miłości, dzięki której pokonanym został zwycięzca doświadczony, którego nie rozgrzewał żar serdeczny. Że pokonany ~~ów~~ mężem jej był: onaż temu winna? Tak losy chciały. Nie rozpaczała przeto przy łożu boleści, na którym leżał hrabia; nie przewijała mu bandażów, od tego bowiem był cyrulik; nie trawiła przy wezłowi jego nocy bezsennych, bo sama spać wolała; przychyliła mu niekiedy do ust czarę z napojem i dziwiła się, że jej hrabia przez czas słabości, która jednakże miesiący kilka trwała, nie kłął, nie łajał, wymówkami nie obrzucał.

— Niechaj no wylize się — mówiła sobie.

Wylizał się i nic. Dziwnie jakoś zespokojnił. W innego zmienił się człowieka.

Gdy go gorączka opuściła i pamięć powróciła, pierwsze, jakie zadał, zapytanie odnosiło się do nieznanego owego, co z nim się na turnieju mierzył.

— Kto on?

Powiedziano mu nazwisko Stefana.

— Dzielny człowiek. Dzielny człowiek! — rzekł z naciskiem.

Hrabia należał snadź do tego rodzaju ludzi, w których cześć wzbudza ten, co mocno bije. Nie jest to bynajmniej rodzaj małolichny. Ludzi tego wyznania bardzo jest dużo, było zaś ich więcej jeszcze w czasach onych mianowicie, do których się opowiadanie niniejsze odnosi. Gotów kto słowa jego zaliczyć na karb szlachetności duszy. Wcale nie. Były one wyrazem kultu siły ramienia. Hrabia czoło uchylił przed ramieniem, które go splezyło.

— Dzielny człowiek — powtarzał.

Mruknął jeno „hm“, gdy się dowiedział, że Stefan zamianowany został kawalerem orderu smoka. Mruknął i westchnął, nie wiadomo wszakże, co by to mruknięcie, co by westchnienie oznaczać miało. Najprawdopodobniej nie oznaczało nic.

— Najjaśniejszy pan?... — zapytał w końcu choroby a w początkach rekonwalescencji.

— Przysyłał często dowiadywać się o zdrowie twoje, póki nie wyjechał.

— Wyjechał więc?!

— Wyjechał.

Westchnął głęboko. Westchnienie to miało rację wyrażną. Wywołał je żal, spowodowany niemożliwością, w jakiej znajdował się on, kawaler orderu smoka, zajmowania stanowiska swego przy osobie cesarskiej w podróży. Waga bowiem stanowiska tego potęgowała się w czasie podróży. Cesarz wyjechał bez niego. To go zgryzło tak dalece, że dostał recydywy, która wszakże przemineła szczęśliwie i pozwoliła mu powrócić na służbę wraz z powrotem jaskótek z ciepłych krajów. Zasiadł do warcab i jak zasiadł, tak przesiedział sobie czasu kawał, aż na dwa jakieś lata przed klęską warneńską przeniósł się do żywota lepszego.

Zatopił się w warcabach całkowicie, zapomniał o świecie, o wszystkim, o żonie, która też, korzystając z tego, wynagradzała sobie czas stracony: najprzód wiarę małżeńską puściła z dymem, potem puściła z dymem wierność dla Stefana, następnie stała się nadzwyczaj łatwą w przysięganiu i łamaniu przysięg, stała się wesołą, dowcipną, doczekała się późnej starości i zajaśniała jako wzór matron poważnych.

W skróceniu wielkim podaliśmy tę historię romansową, właściwie bowiem jeden jeno ustęp onej nadaje się do ram opowiadania naszego, a to fakt dekorowania Stefana orderem smoka.

Odznaczenie to podobało mu się ogromnie.

— Słuchaj no mnie — powiedział do Wasy — co to będzie, gdy ja wjadę do Chumu z orderem smoka?

— Co będzie? hm...

— Kawalerem orderu smoka jeden ja... na cały Chum, na całą Bośnię, na całą Zetę, na całe Przymorze.

— To prawda.

— O Dubrowniku i mówić nie ma co. Ale ot — dodał tonem takim, jakby coś sobie przypominał — dobrze się stało, że Tomasz Pungicz gdzieś się zaprzepaścił.

— I czemu to? — było Wasy zapytanie.

— Oto temu, że on... jakoś tego... — bąkał Stefan — stawiał się tak niby...

Nie chciał, a może i nie umiał wyrazić tego, że on przy Tomaszu gasł, że zatem, gdyby się ten nie zaprzepaścił, order dostałby się może nie jemu, a Tomaszowi.

— Hm — mruknął Wasa — rzecz jednak ciekawą, co się z nim stało. Wpadł niby kamień w wodę. Dziwo... dziwo...

Dziwo to było rzeczywiste. Stefan, drogą komunikacyj kupieckich, przesłał do Dubrownika wiadomość o zniknięciu tajemniczym Tomasza, ale i wiadomość ta niby kamień w wodę wpadła. Od czasu onego razy parę doszła go wieść od stryja, żony i rodziców, z wieściami jednak tymi nie przesłał nikt słówka jednego, z którego by wnioskować się dawało, że Tomasz kogo obchodzi. Przepadł — a przepadł ze szczętem. Pozostało po nim wspomnienia tyle jeno, co zadowolenie Stefana, któremu nie wchodził w drogę zaszczytów. Tak to! Można by przy tej okazji westchnąć i powiedzieć sentencjonalnie: Sic transit gloria mundi — co też uczynił Wasa. Zginionemu towarzyszowi westchnienie poświęcił i zwrócił przedmiot rozmowy na kronikę wypadków bieżących. Wspomnił o najświeższym rozporządzeniu cesarskim, tyczącym się podróży i obejmują-

cym nazwiska dworzan, mających do orszaku należeć. Kawalerowie orderu smoka stanowili oddział osobny i mieli wyznaczone miejsce przy osobie cesarza nieodstępnie. Stąd podróż owa żywo wędrowców naszych obchodziła.

— Dokąd to jechać mamy? — zapytał Stefan.

— Do Litwy.

— Słyszałem ja coś o Litwie, zabij mnie jednak, nie wiem co.

— Nie co innego, jeno że to kraj pogański, uznający za boga piorun.

— Bre... bre... Piorun?

— Ano, taka u nich wiara. Do wiary tej stosują się ludzie.

— No?

— Straszni są, słyszę... dzicy, porośli całkiem włosem, zupełnie jak niedźwiedzie.

— Byłeś tam?

— Nigdy w życiu.

— Jakże wiesz o tym?

— O tym wie świat cały.

W rzeczy samej, przekonanie powszechne, przez Krzyżaków zapewne rozprzestrzenione, było takim, że Litwini są kosmaci. Przekonanie to podzielała Jadwiga nawet co do Jagielly i nie pozbyła się go, aż po przeświadczeniu się naocznym przez umyślnie w tym celu wyprawione poselstwo, przed którym Jagiello rozbierać się musiał.

— I po cóż jego cesarska moc tam się udaje? — było Stefana zapytanie.

— Hm... rzecz wiadoma... cesarz, pan świata...

— Czyż i kosmaci należą do niego?

— Jeżeli się ochrzczą, to z nich kosmacizna zejdzie.

— Aha! — zawołał Stefan domyślności tonem. — Rozumiem... dlatego to nam, kawalerom smoka, kazano być przy jego cesarskiej mocy nieodstępnie.

Wspomnieliśmy już o stosunkach związanych z wielkim księciem Witoldem, w którym Krzyżacy dopatrzili słabą stronę i, spotęgowawszy takową w sensie słabości, wezwali cesarza Zygmunta celem spotrzebowania jej na korzyść żywiołu germańskiego. Chodziło tu o Polskę, która wylew germanizmu na Wschód powstrzymywała. Cesarz, śmiertelną do niej żywiący urazę za wyproszenie go z tronu, z gustem podjął się operacji mającej na celu sprowadzić rozdarcie klejącego się państwa. Poruszył sprężyny wszystkie maszynierii zakulisowej i rzucił pomysły zjazdu, upozorowanego potrzebą skojarzenia ligi monarchów chrześcijańskich przeciwko zagrażającej Europie zalewem, wzrastającej z przerażającą szybkością potędze otomańskiej.

Wybór pozoru dowodził, że cesarzowi Zygmuntowi nie brakło na dowcipie.

Gońce jego rozbiegli się po wszystkich niemal stolicach owoczesnych, nie wyjmując Konstantynopola, i wzywali na zjazd do Łucka. Nie o monarchów mu jednak chrześcijańskich chodziło. Kwestia dla nich przeznaczona miała w oczach Zygmunta znaczenie podrzędne, mające podnieść się kiedyś w przyszłości, po dokonaniu ujarznienia hardego narodu, co się bronić śmiał i umiał. Z tego powodu miernie go obchodziły odpowiedzi, jakie mu dadzą władze Francji, Anglii, Włoch; głównie interesowały go stosunki z Malborgiem, dokąd wyprawionym został baron von Bismarkt.

Barona długo z powrotem nie było. Wstrzymywały go w stolicy Krzyżaków zabiegi, jakie ci czynili w Rzymie celem pozyskania dla widoków swoich papieża, który, biorąc na serio zamiar krucjaty przeciwko Turkom, nie rozumiał, dlaczego by krucjata owa wymagać miała upokarzania Władysława Jagiełły i kreowania nowego króla. Racje podawane przez prokuratora krzyżackiego nie tra-

fiały do przekonania Marcina V — przeciwnie, uparł się przy tym, że łatwiej do krucjaty namówić powolnego Władysława i wciągnąć przezeń Polskę i Litwę, aniżeli mieć do czynienia z dwoma monarchami poróżnionymi, z których gdyby się jeden na przystąpienie do ligi zgodził, to nie zgodziłby się drugi na przekór tamtemu. Krzyżacy z upartym starcem do końca trafić nie mogli, więc zasnuli sieć knowań w Polsce samej, ujmując sobie panów przez panie, do których trafiać umieli pokorą, prezentami i tym urokiem, jaki otaczał mnichów-rycerzy. Knowania te wymagały czasu niemało. Baron przeto siedział w Malborgu, czekał i przez gońców jeno, zwanych briefjungami, uwiadamył cesarza o postępach roboty, która się często zahaczała nie o to, to o owo, aż w końcu utknęła na terminie zjazdu wyznaczanym kilkakrotnie i kilkakrotnie zmienianym. Miał się odbyć pierwotnie na Wszystkich Świętych; odłożono go do Świętego Marcina dla dogodzenia ojcu świętemu; coś jednak przeszkodziło i powzięto termin na Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny; lecz termin ten obraził tę część duchowieństwa, która trzymała z dominikanami, przeciwnikami Niepokalanego Poczęcia, i wyznaczono Narodzenie Pańskie. Aż w końcu stanęło na Trzech Królach.

W tygodni parę po igrzyskach, w jednej z komnat zamkowych, obwieszonych makatami i wysłanej kobiercami, siedział cesarz Zygmunt przy kominie i zdawało się, jakoby oczekiwał na kogo. Samotność jego nie trwała długo. Uchyliły się drzwi i do komnaty weszło jeden za drugim trzech ludzi, każdy gęsto szronem siwizny przyprószony, jeden zaś całkiem biały. Weszli, uszykowali się przed cesarzem i głębokim go pozdrowili ukłonem. Cesarz, odpowiedziawszy lekkim głowy skinieniem, pomilczał przez chwilę i odezwał się do jednego z nich:

— Witaj, wierny nasz kanclerzu. Cieszy to nas, że cię w krzepkim oglądamy zdrowiu.

— Zdrowie moje podtrzymuje się jeno gorliwością, z jaką mam zaszczyt służyć tobie, najjaśniejszy i najmiłościwszy mój królu a panie — odrzekł zaczepiony.

Po chwili cesarz odezwał się znów, zwracając mowę do starca białowłosego:

— Witaj, wierny nasz wojewodo Siedmiogrodu. Cieszy to nas, że cię w krzepkim oglądamy zdrowiu.

— Wielką to mi sprawia rozkosz, że zdrowie moje spowodowuje ucieszenie najjaśniejszego i najmiłościvszego króla mego a pana.

Po chwili przemówił cesarz do trzeciego:

— Witaj, wierny nasz freiherr von Windeck. Cieszy nas, że cię w dobrym oglądamy zdrowiu.

— O, najjaśniejszy mój i najmiłościvszy panie! — była odpowiedź tego ostatniego. — Pragnę mieć zdrowie tysięcy razy lepsze, ażeby móc tysiąckroć gorliwiej służyć waszej cesarsko-królewskiej mości.

Po chwili odezwał się cesarz do wszystkich trzech razem, ukazując im skinieniem szereg ustawionych nieco opodal stołeczków:

— Dozwalamy wam najlaskawiej usiąść, dostojni panowie.

Kiedy trzech dostojnicy usiedli z oznakami wdzięczności za pozwolenie, cesarz zaczął cedząc wyrazy:

— Powołaliśmy was najlaskawiej celem wysłuchania najpoddanniejszych uwag waszych w sprawie, którąśmy najmiłościviej rozstrzygnąć postanowili. Witold, książę litewski, brat stryjeczno-rodzony mianującego się królem polskim Jagiełły, przezwanego Władysławem, zamierza do stóp tronu naszego prosić najpokorniejszą o udzielenie mu korony królewskiej.

Zamilkł i zamyślił się, wyzywając przeto dostojników do namyslenia się nad usłyszanyimi słowami. Zapano-
wało milczenie, które przerwał cesarz:

— Freiherze von Windeck, cóż ty na to?

— Ja tak głęboko i tak nieograniczenie ufam naj-
jaśniejszej mądrości waszej cesarsko-królewskiej mości,
że nie mogę i nie umiem mieć zdania, które by nie było
zdaniem waszej cesarsko-królewskiej mości.

— Wojewodo Siedmiogrodu! — wyzwał cesarz.

— Powtarzam i potwierdzam słowa freihera — odparł
starzec głowę pochylając. — Ośmielam się jednak tę
uczynić uwagę, że książę Witold działa na szkodę narodu
polskiego. Czyniąc tę uwagę najpoddanniejszą, pewny
jestem, najjaśniejszy i najmiłościwszy panie, że położysz
ją na szali sprawiedliwości i odniesiesz do niewyczerpanej
łaskawości swojej.

— Kanclerzu! — odezwał się cesarz.

— Ja ośmielę się przytoczyć słowa, które onym Rzy-
mianom służyły za pochodnię rozświecającą przed nimi
drogę w razach wątpliwych: *Salus imperii suprema lex*
esto. Nie chcę ja ubliżać narodowi polskiemu — tu spoj-
rzał na wojewodę, Polaka z rodu — ale zrozumieć nie
mogę, czemu naród ten upiera się przy odpychaniu do-
brodziejstw, które mu cesarstwo, w osobach najdos-
tojniejszych, najmędrszych, najłaskawszych i najświętobliw-
szych poprzedników jego cesarskiej iności, jako też w oso-
bie najmiłościwiej nam panującego króla i pana, ofiaro-
wywało i ofiaruje? Czemu naród ten nie idzie za przy-
kładem twoim, dostojny wojewodo Siedmiogrodu? albo
za moim? — Kanclerz był dalmatyńskiego pochodze-
nia. — Czy my nie podnieśliśmy się w dostojństwie,
w godności? Czy to narodowi polskiemu nie przyniosłoby
zaszczytu, gdyby uznał za pana najpięwszego pomiędzy
monarchami w chrześcijaństwie? Czy, nie czyniąc tego

z dobrej woli, owszem, czyniąc wręcz przeciwnie, raz stawiając na czele swoim hersztów spomiędzy siebie, jakimi byli Bolesław jeden, podobniejszy do wiepra jak do człowieka, Bolesław drugi, podnoszący świętokradzką na biskupa rękę, Bolesław trzeci, napiętnowany gębą krzywą, Władysław Łukietek, karzeł, przekładając nad książąt z dziadów pradziadów chrześcijańskich, znakomitych rodem, wspaniałych duchem, poganina kosmatego, czyż, powiadam, naród taki, na wzór dziecka krnąbrnego, nie zasługuje na chłostę, ojcowską wymierzoną ręką? Nie, zdaniem moim, które najpokorniej ośmielam się wyrazić, najjaśniejszy, najmiłościwiej nam panujący cesarz i król powinien w wymiarze sprawiedliwości powodować się przykładami sławnych poprzedników swoich, którzy dążyli stale do przytarcia rogów narodowi polskiemu.

Cesarz, wysłuchawszy kanclerza, nie zaraz zabrał głos. Na twarzy monarchy nie dawało się poznać, czyje on zdanie aprobuje. Zachował obojętność zupełną. Słuchał z poniżoną nieco głową. Wreszcie głowę podniósł. Spokojnym okiem po obliczach dostojników powiódł i tak zaczął:

— Uwzględniamy uczucia dostojnego wojewody naszego, który za zbyt jawne i wielkie złożył dowody przywiązania i wierności względem naszego cesarsko-królewskiego tronu, ażebyśmy przypuszczać mieli, że uczucia te osłabiają w sercu jego uczucie wierności i przywiązania dla nas. Nie możemy jednak nie powiedzieć, że są to uczucia niebezpieczne i one to, osłepiając naród polski, wprowadziły go na drogę czarnej niewdzięczności. Powiedz, wojewodo, powiedz sam: czy nie tak? Zaprzecz nam. Pozwalamy ci najlaskawiej odmiennie być zdania.

— Najjaśniejszy, najmiłościwszy panie, królu a panie mój najlaskawszy! — zawołał zagabnięty. — A toć gdybym odmiennie od twego miał zdanie, popełniłbym grzech najcięższy przeciwko Duchowi Świętemu.

— Dalecy też jesteście od posądzania cię o to. Rzeczniczysz Polsce, pomimo wierności i przywiązania dla nas, dla tych samych powodów, jak synowie człowieczy podlegają następstwom grzechu pierworodnego, pomimo obmycia grzechu onego lustrzaną wodą chrztu. Urodziłeś się w grzechu polskim. Wierność też twoja dla nas tym większą ma zasługę. Ale... czy wielu jest podobnych tobie? Powiemy słowami Najwyższego, wyrzeczonymi do Lota: Znajdź mi dziesięciu sprawiedliwych w Sodomie, a odwrócę od niej ramię kary. Zawisza nawet, Zawisza! czyż nie odstąpił nas, śpiesząc walczyć przeciwko bogobojnemu zakonowi? Czyż nie Polska to wyhodowała owego potwora, Jana z Trocznowa? Czy z wyjątkiem Polaków wspiera husytów naród inny? Czy w bitwie pod Aussig nie umaczali palca Polacy? Czyż więc osłabienia i przyprowadzenia do pokory narodu takiego szkodliwego nie wymagają względy najświętsze na dobro trzody człowieczej, pieczy naszej powierzonej, na kościół katolicki, którego obrońcą jesteśmy, na Boga, od którego władzę dzierżymy?

Wojewoda pochylił białą głowę i dłonie na piersi złożył.

— Ja tylko — rzekł — kołacę do łaskawości waszej cesarskiej mości z ufnością bezwzględną...

— I kołaczysz nie na próżno... Chceniem naszym niezmiennym jest udobrodziejstwowanie narodu polskiego.

— O nic mi też innego nie chodzi i chodzić nie może... Słowo waszej cesarskiej mości zlewa się balsamem pociechy na moje stare serce. Ufam bezwzględnie i bezwarunkowo wysokiej mądrości twojej, panie, królu, a królu mój miłościwy.

— Postanowiliśmy — zaczął cesarz — uczynić zadość książęciu litewskiego pragnieniu i udzielić mu najlaskawiej korony królewskiej. Niech postanowienie to nasze kieruje krokami waszymi. W celu przyprowadzenia dzieła do skutku i pobrania rękojmi potrzebnych, udamy się

osobą naszą na Litwę, idąc w tym za przykładem sławnej pamięci poprzednika naszego Ottona III, który do Gniezna jeździł, a jak Otton III osłonił podróż swoją pielgrzymką do grobu świętego Wojciecha, tak my naszą osłonimy potrzebą przymierza przeciwko niewiernym. Wszystko już ułożone. Bogobojni rycerze Krzyża Świętego utorowali nam drogę. Jaką jest — zapytał w końcu, zwracając się do kanclerza — wiadomość ostatnia?

— Przybył wczora briefjunge, o jeden dzień drogi poprzedzając barona von Bismarkt, który wiezie wiadomości stanowcze — odrzekł zapytany.

— Możnaż więc spodziewać się barona lada chwila?

— Lada chwila, najjaśniejszy panie.

— Potrzeba będzie udzielić mu częśćkę jakąś łaski naszej, albowiem ku zadowoleniu naszemu odbył w roku przeszłym poselstwo poufne w Sutysku, obecnie zaś w Malborgu. Zasługi takie nie powinny bez wynagrodzenia pozostawać.

— Wspaniałomyślność waszej cesarskiej mości, zaprawdę, bezgraniczną jest — odezwał się freiherr von Windeck.

— Zamianujemy go... — tu cesarz pomyślał przez chwilę — wielkim gońcem dworu naszego.

— Baron, wątpić się nie godzi, będzie umiał ocenić zaszczyt, jaki na niego czeka.

Po chwili milczenia Zygmunt zapytał freiherra:

— Jakże się ma hrabia von Krach?

— Ciężko chory, najjaśniejszy panie.

— Hm — cesarz na to. — Szkoda. Komuż byśmy powierzyć mogli nadprzyboczność nieodstępną osoby naszej?

— O zaszczyt ten, najjaśniejszy panie, ubijałyby się tysiące najdostojniejszych rycerzy.

— Tak, ale pomiędzy tysiącami znaleźć należy jednego, którego przymioty równałyby się przymiotom hrabiego von Krach. Znać kogo, panowie dostojni? Pozwalam

wam najłaskawiej udzielić nam w tym względzie zdania waszego.

Zadanie nie było do rozwiązania łatwym. Należało wynaleźć równie silnego, równie odważnego, równie głupiego i równie jak hrabia von Krach wysoko urodzonego. Namysłali się przeto dostojnicy głęboko. Różne przez myśl przesuwały się im nazwiska, których proponować nie śmieli. Milczenie zapanowało na czas dłuższy, aż przerwał je cesarz sam.

— Stefan Chranicz — rzekł.

Kanclerz, wojewoda i freiherr von Windeck wzniesli na cesarza oczy, a w oczach ich malowała się admiracja, tłumacząca się wyrazami następującymi:

— W rzeczy samej... niesposób trafniejszego uczynić wyboru.

ZASZCZYT NIESPODZIANY

Baron von Bismarkt przywiózł termin zjazdu w Łucku, a że się grudzień już był zaczął, więc niewiele pozostawało czasu do wybrania się w podróż i to w podróż zimową, połączoną z trudnościami, pochodzącymi zarazem od pory roku, od złych dróg, od przeprawy przez góry i od odległości mety. Wybierano się więc z pośpiechem gorączkowym nieco. Jacy jeno byli w Budzie krawcy, szwacze, szewcy, szmuklerze, białoskórnicy, wszyscy szyli i tkali stroje dla cesarza, dla cesarzowej, dla dam dworu, dla urzędników i rycerzy mających towarzyszyć dostojnej parze. Cesarzowa mogłaby nie jechać; obecność jej na zjeździe nie była niezbędnie potrzebną; ale nigdy w życiu nie widziała ludzi kosmatych, a była ich ciekawą. Wybierała się więc i ona, ze sztabem ogromnym piękności, zbieranych w całej niemal Europie, nad brzegami modrego Dunaju, w szmaragdowej dolinie Renu, u podnóża Sierr, na stokach Apeninów, na rozłogach Wezery, piękności niekoniecznie pięknych, w najściślejszym tego wyrazu znaczeniu, ale okazałych, zalotnych i rezolutnych. Brakło wśród nich jednej hrabiny von Krach, która jechać ogromną miała ochotę, nie mogła jednak nieboga opuszczać chorożego małżonka. Ta pozostawała, inne się wybierały, szyły, dziergały, przymierały i nieskończone, śmiechami prze-

plątane wiodły pomiędzy sobą szepty o Litwinach kosmatych. Kosmacizna owa nęciła urokiem jakimś tajemniczym, lechtała wyobraźnię, stanowiła jednym słowem dla dam czasu owego quelque chose de piquant.

— Poganin? człek kosmaty? pogłaskać go po kosmacźnie rączką białą?

Ach! niejedna z otoczenia cesarzowej Barbary za przy-smak ten z góry się zbawienia duszy zrzekała.

Damy dworu o niczym innym nie mówiły, nie roily, nie śniły, tylko o kosmatych Litwinach.

O Jagielle chodziły wieści, że przed zaślubieniem Jadwigi kazał się oskubać, dlatego też zmarniał, a operacja ta pozbawiła go zarostu zwykłego u mężczyzn niekosmatych, na brodzie, na szczękach i pod nosem. Przedtem miał być chłopem silnym, potem stał się mizerakiem, podobnym do starej baby w męskim ubraniu.

Gawędki tego rodzaju, w połączeniu z zajęciem gorączkowym, skracaly czas, który zbiegł z szybkością nierówną, zbliżając dzień wyjazdu orszaku cesarskiego ze stolicy Węgier.

Orszak słuszniej nazwać by należało taborem, dla wielkiej mnogości wozów, jakie w skład onego wchodziły. O tym, ażeby damy miały odbywać podróż konno, jak to w czasach owych we zwyczaju bywało, ani myśleć było można. Sprzeciwiała się temu pora roku, sprowadzająca mrozy silne. Należało pleć piękną wieść na wozach i okrywać je na takowych. Ile przeto znajdowało się w wozowniach królewskich kolas, wszystkie zabrano przeznaczając dwie najparadniejsze i najwygodniejsze, jedną — dla najjaśniejszego pana, drugą — dla najjaśniejszej pani. Że brakło, więc braków dopełniono sposobem rekwizycji u magnatów węgierskich, nadając takowej łagodną formę prośby królewskiej. Pociągi rekwirowano bez tej formy i wysłano naprzód zawiadomienie do rządców prowincyj, ażeby na drodze, którą królestwo

z dworem przejeżdżać ma, w pogotowiu stały konie do przepręgów, wraz z przewodnikami i z dostateczną ilością ludzi do torowania drogi w razie potrzeby. To ostatnie ścigało się do śniegu, którego się spodziewać było można lada moment. Brak śniegu pozwolił ruszyć z miejsc kołami, na pewno jednak liczono, że się zaśnieży w ciągu podróży, i dlatego, od Budy począwszy, do samej polskiej granicy nakazano mieć na etapach połozy do włożenia na nie pojazdów, których liczba dochodziła sztuk sześćdziesięciu. Z tych połowa wiozła ludzi dostojnych, druga połowa efektu i służbę kategorii podrzędnej. Pochód taboru otwierał hufiec jazdy; za nim, tuż przed kolasą cesarską, postępował oddział bractwa orderu smoka; za wozami ciągnął się szereg długi jucznych i luźnych koni, prowadzonych przez służbę stajenną; za tymi szedł drugi hufiec jazdy.

Tabor ów ciekawym był do oglądania. Toteż wyjazdowi cesarstwa przypatrywała się połowa niemal ludności stolicy, czyniącej niejako przegląd tej kawalkady podróżnej. W tłumie słyszeć się dawały uwagi różne i spostrzeżenia, odnoszące się bądź do osób, bądź też do rzeczy. Amatorowie koni mówili o koniach. Amatorowie płci białej przypatrywali się damom dworskim, pospychanym po cztery i po sześć do jednej budy. Amatorki płci niebiałej ścigały oczami harcujących na koniach zuchów. Człowiek zaś jeden, zakutany z powodu dojmującego chłodu tak, że mu jeno oczy świeciły, stojąc obok drugiego, który przeciwnie, jakby z zimna żartował sobie, rozrzucił szubę bogatą, patrzył z uwagą natężoną na przesuające się przed nim hufce, oddziały i pociągi, i kiedy to wszystko przeszło, odezwał się:

— Rzecz dziwna, nie dopatrzyłem go nigdzie.

— Może go nie ma wcale — odrzekł człowiek w szubie otwartej.

— Być może. Widziałem towarzysza jego, Wasę Tomicza. Poznałem otroków wśród służby dworskiej. Gdzie jest Wasa i gdzie są otrocy, tam i on być musi. Nie dopatrzylem go jednak.

Łatwo odgadnąć, o kim mowa była. Człek okutany szukał oczami Stefana, nie znalazł go i znaleźć nie mógł, a to dlatego, że na drodze zaszczytów postąpił bohater nasz o krok dalej.

Wyraźnie pod szczęśliwą urodził się gwiazdą.

W wigilię wyruszenia cesarstwa w podróż, kiedy do zapowiedzianego nazajutrz wyjazdu wszystko już na Stefana kwaterze upakowane było, zjawił się niespodzianie freiherr von Windeck. Przychodził nie z wizytą, mając bowiem zajęcia więcej niż wszyscy, nie miał na wizyty czasu do tracenia. Sprowadzał go przeto interes, który on od pierwszego słowa przedstawiać począł.

— Twoja nawskrójśjasność ani się spodziewa, ani przewiduje nowej łaski, jaką jej najjaśniejszy pan gotuje.

Stefan ramionami ruszył i brwiami mrugnął.

— Zamianowanym zostałeś nadprzybocznikiem najjaśniejszego pana.

— A, jakże mnie to cieszy! Cóż to znaczy?

— Jest to zarazem i honor, i obowiązek.

— Jaki?

— Taki, o którym śmiało powiedzieć można, iż nie masz pod słońcem człowieka, który by onego twojej nawskrójśjasności nie pozazdrościł.

— Zaciekawiasz mnie niezmiernie, wysokowielmożność twoja.

— Hm — uśmiechnął się freiherr, dodając żartobliwie: — Za wiadomość taką należałoby mi się sute dziękczynne.

— Cóż przecie?

— Oto, że masz być względem osoby najjaśniejszego pana takim ciałochroncą, jakim jest puklerz, kaftan lub inna część ubrania. Będiesz z nim i przy nim nieodstępnie.

— Ja to wiem — podchwycił Stefan. — Jestem przecież kawalerem orderu smoka.

— Tak. Ale kiedy inni orderu tego członkowie pełnić będą funkcję najbliższej straży przybocznej, nawskróśjasność twoja będzie bliżej od najbliższych, będziesz oto tak...

Tu łokciem własnym łokcia Stefana dotknął.

— Będiesz z najjaśniejszym panem w kolasie siedział i w ciągu podróży tam i na powrót nie będziesz go dniem i nocą ani na krok odstępował.

— Ani na krok? — zapytał Stefan tonem zdziwienia lekkiego.

— Ani na krok. Trzeba, żebyś nawskróśjasność twoja poznał rację obowiązku tego. Najjaśniejszy pan udaje się pośród narodu pogańskiego, dzikiego, okrutnego.

— Kosmatego — dodał Stefan.

— No — hm, tak. Udaje się tedy najjaśniejszy pan pośród narodu takiego, księżęta którego i wodzowie, wczoraj jeszcze bałwochwalce, nie pozbyli się w zupełności obyczajów równających ich z bestiami drapieżnymi. Najjaśniejszy pan będzie miał z nimi do czynienia, do mówienia, do nakazywania, do obcowania, zaręczyć nie można, ażeby w którym natura drapieżna nie wzięła góry nad czcią należną świętej a nietykalnej cesarza osobie. Będzie nad nią wprowadzie straż cesarska, potrzeba jednak, ażeby obok najjaśniejszego pana znajdował się zawsze ktoś będący w pogotowiu natychmiast z szybkością błyskawicy zasłonić go i w potrzebie życie za niego dać. Owóż ten to obowiązek wysoko zaszczytny, który piastował dotychczas hrabia von Krach, powierzać raczy teraz jego cesarska moc twojej nawskróśjasności.

Następnie wtajemniczył freiherr Stefana w szczegóły służby i w formy zachowywania się wobec osoby monarszej, kładąc szczególny nacisk na to, ażeby się nie odzywał nie pytany i w żadnej okazji, pod żadnym pretekstem nie zabierał głosu bez pozwolenia, następnie, ażeby siedział prosto, nie wyciągał nóg, nie ziewał, wyskakiwał z pojazdu pierwszy i chodząc znajdował się za cesarzem nie dalej jak o kroków trzy. Do tego dodał jeszcze rad i skazówek parę i opuścił Stefana.

Ten to był powód, dla którego ów okutany szubą nieznajomy nie mógł odszukać Stefana ani w hufcu jazdy idącej przodem, ani w oddziale towarzyszy orderu smoka, ani w hufcu jazdy zamykającej pochód.

Bohater nasz odbywał podróż w kolasie cesarskiej.

Kolasy owoczesne przestronniejszymi były od koczów i karet naszych. Zbliżały się one jak można najbardziej do izby przenośnej, a miały, jak dzisiejsze, siedzenie z tyłu i siedzenie z przodu, tylko bardziej jedno od drugiego oddalone, tak że można było ustawić na środku stołki i ławeczki. Urządzenie siedzenia głównego pozwalało wyciągnąć się i położyć. Kolasa cesarska, wybita wewnątrz futrem a zaopatrzona w szczelnie zamykające się drzwi z okienkami, nadawała się wybornie do zimowej podróży. Bohaterowi naszemu trafiła się pod względem wygody podróżowania gratka nie lada z powodu zaszczytu, jaki nagle i niespodzianie na niego spadł.

Z momentem wyjazdu z podwórza zamkowego w Budzie rozpoczynała się jego służba nadprzybocznika. Gdy przeto kolasa zatoczyła się przed wchód główny, czekał na wyjście cesarza i doczekał się najprzód wyjścia Worrego w podróżnym ubraniu, który ujrzawszy go ceremonialne złożył mu pozdrowienie, wykonał osobliwy jakiś gest palcem i przemówił do niego:

— Od razu podobałeś się mi... Masz w sobie coś... coś...

— Co? — zapytał Stefan.

— Coś obiecującego. Oceniliśmy cię obadwa.

— Kto obadwa?

— Ja i najjaśniejszy pan albo najjaśniejszy pan i ja... co na jedno wychodzi, albowiem ja i najjaśniejszy pan zlewamy się w jedno, zwłaszcza wobec potomności.

Stefan zrobił gest powątpiewająco-drwiący.

Trefniś ciągnął dalej, niby do siebie:

— Potomność, jeżeli nie będzie o egzystencji mojej wiedziała, to z wielką jej przyjdzie trudnością wytłumażyć sobie niejedną z czynów dokonanych przez nas... Ta podróż na przykład będzie dla niej zagadką, do rozwiązania której wiedzieć koniecznie potrzeba, że do pobudek onej wchodzi pierwiastki błazeńskie. Oj! jedziemy, jedziemy, jedziemy.

Wtem ukazał się cesarz poprzedzając liczne grono dostojników i dworzan. Służba otworzyła drzwiczki od karety, do których posunęli razem Zygmunt i Worre. Za cesarzem szedł pies wielki w obroży.

— Pss — odezwał się trefniś.

Zygmunt zatrzymał się i dumnie z góry spojrzał na niego wzrokiem pytającym.

— Wstrzymajmy się, najjaśniejszy panie, pozwólmy przejść psu przodem.

— Czemu? — zapytał cesarz.

— Dlatego, że w obroży.

— Więc?

— Więc jemu się należy pierwszeństwo przed nami; potem zaś rozstrzygniemy pomiędzy sobą, kto z nas pierwszy ma wsiadać.

— Cóż ci to w głowę strzeliło!

— Ach! uczucie godności osobistej.

Cesarz ręką machnął, postąpił kroków kilka i wsiadł do kolasy. Za cesarzem pośpieszył pies, a z psem i Worre i obadwa razem wywrócili się. Wypadek ten rozweselił Zygmunta. Począł się śmiać, śmiech jego podchwycili

dostojnicy i dworzanie i przez ciąg minut paru brzmiał chór śmiechu, złożony z głosów męskich. Pies do pojazdu wskoczył, Worre wstał i otrząpywał się, śmiech wciąż brzmiał, aż monarcha ręką skinął i chór nagle ustał. Następne skinienie było powołaniem do zajęcia miejsca dla Stefana. Stefan wszedł do kolasy, za nim wszedł Worre, drzwiczki się zamknęły i bohater nasz znalazł się w towarzystwie cesarza, trefnisia i psa. Zygmunt i pies zajmowali siedzenie tylne, Stefan i Worre przednie. Nim kolasa ruszyła, kanclerz ostatnie jeszcze na pożegnanie mówił wyrazy.

— Pod dobrą podróż waszej cesarskiej mości rozpoczyna się wróżbą; pod wróżbą rozweselenia, rokującego, że się ona pomyślnie odbędzie i pomyślne sprowadzi następstwa. My tu będziemy Boga zastępów za waszą cesarską mość błagali.

Worre dziwnie na słowa te skrzywił się. W chwili tej kolasa ruszyła.

Cesarzowa jechała w kolasie osobnej, tuż za dostojnym małżonkiem.

Tabor ruszył w pochód powolnie, przez wzgląd na wielką ilość wozów i na eskortę konną, które pośpieszać by nie mogły.

Jechano od noclegu do noclegu ciągiem jednym, z krótkim o południu zatrzymywaniem się dla dania koniom wytchnięcia. Krótkość grudniowych dni nie pozwalała tracić czasu na popasy. Stosownie do tego wyznaczone były etapy, na których spędzone z okolic grorady oczekiwaly ze świeżymi końmi, z jadłem dla ludzi i z obrokami dla koni.

W wiekach owych do wyrazów suplikacji „Od powietrza, głodu, ognia i wojny“ dodawali ludzie od siebie po cichu: „i od przejazdów królewskich“. Był to ciężar ogromny, była to plaga, klęska, nawiedzająca ten pas kraju, przez który przechodziła droga wędrowki monar-

szej. Podróż taka odbywała się na koszt mieszkańców, obowiązanych dawać mieszkanie, pożywienie i ułatwienia wszelkie: konie przepręgowe, podwody, przewodników, wartowników, naprawiać drogi, stawiać mosty, a nieraz i otwierać trakty nowe. Jak wielką uciążliwością to było, dowodzi tego ten fakt, że Polacy do ugody koszyckiej, z Ludwikiem Węgierskim zawartej, dodali punkt osobny, mocą którego król podróże po kraju własnym ma odbywać kosztem. Były one uciążliwymi z tego szczególnie względu, że koronowani podróżnicy jeździli nie inaczej jak w licznym otoczeniu, dopuszczającym się zbyt-ków wszelkiego rodzaju. Zbytki potęgowały klęskę. Przejazd królewski równał się przeciągnięciu armii nieprzyjacielskiej, zostawiając za sobą niedostatek, a nierzadko popalone wsi i miasta. Sama wieść o zbliżaniu się tej plagi postrach rzucała, jak w czasach obecnych postrach rzuca wieść o zbliżaniu się szarańczy. Dodać jeszcze należy, że podróż cesarza Zygmunta odznaczała się szczególnie w tym względzie i zasłużyła sobie na osobne w historii zaznaczenie.

Poruszał się tedy tabor królewski ku granicy polskiej tą samą drogą, którą czasu onego jeździł Ludwik w odwiedziny do dodatkowego państwa swego, którą jeździła królowa Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, którą przyjechała młodzianka Jadwiga, rozkochana w młodzień-kiem Wilhelmie a wydana za starego poganina, która sta-nowiła najkrótszą pomiędzy Węgrami a Polską komuni-kację, to jest na Jagier, Miskolc, Koszyce, Preszów a da-lej przez góry do Sącza. Istniała wprawdzie, biorąc na uwagę ostateczny podróży cesarskiej cel, prostsza droga, z Preszowa na Bardiów do Dukli; tamta jednak, łącząc dwie stolicy, Budę i Kraków, była lepiej znana, wyda-wała się więc pewniejszą. Tą przeto pewniejszą ciągnęli podróżni nasi robiąc na dzień po mil sześć, niekiedy sie-dem, i zatrzymując się od czasu do czasu na dzień jeden

po miastach przedstawiających resursy do wygodnego odpocznienia.

W podróży tej nie zaszło nic na szczególnie zasługującego podniesienie. Dla bohatera naszego upływała ona wygodnie i po części zabawnie — po części, powiadamy, zabawność bowiem zależała od humoru cesarza, na którego skinienie budził się humor Worrego i koncepta tworzył. Zwykle cesarz zapytywał, trefniś odpowiadał, dając odpowiedź dwuznaczną, na której następnie koziołki dowcipu wywracał. Dowcip ów nie był zawsze czystej wody i posługiwał się często materiałem, należącym do kategorii rzeczy sprośnych, obrażających smak delikatny i uczucie wykształcone. W owych atoli wiekach smak i uczucia nie były tak wybredne jak dziś; nie obwijano rzeczy w bawełnę; w najwyższych towarzystwa sferach pozwalano sobie na rzeczy takie, za które obecnie za drzwi by wypchnięto. Don Worre przeto bawił cesarza, bawił też i bohatera naszego. Zdarzało się to w dniu każdym po razy kilka, reszta zaś czasu upływała na kiwaniu się i drzemaniu. Cesarz często wpadał w sen głęboki, który przychodził mu tym łatwiej, że siedzenie jego, zaopatrzone w materace i poduszki, pozwalało mu przybierać pozycję siedzącą, półleżącą i leżącą całkowicie. Wyciągał się niekiedy i wówczas nogi składał na kolanach bohatera naszego, obowiązanego w takim razie zachowywać nie-ruchomość absolutną. Najjaśniejszy pan przemawiał do niego bardzo rzadko i to nie w sposobie rozmowy, ale rzucając wyrazów kilka nie pociągających za sobą potrzeby odpowiadania, przemawiał zaś często bez zwracania się do niego, zawsze zaś w osobie trzeciej. Na przykład:

— On otworzy okno, wytłknie głowę i popatrzy, czy oddział towarzystwa orderu naszego smoka nie oddala się zbyt szybko od kolasy naszej.

Albo też:

— On widzi, jak pies nasz śpi smacznie.

Jedna z ulubionych cesarza Zygmunta rozrywek podróżnych zależała na tym, że kiedy Worre w drzemkę wpadał, wyszukiwał słomkę, piórko lub pręcik cieniutki, ślinił i pod nosem lub koło ucha trefnisia łęchał. Ten wówczas wyprawiał obliczem kontorsje komiczne, nosem mrugał, uchem ruszał, usta wykrzywiał, pomrukiwał, wykonywał rzuty takie jak pies, kiedy muchy łapie, i pobudzał najjaśniejszego pana do śmiechu wielkiego. Stefan, poznawszy to najdostojniejszego podróżnika zamilowanie, zaopatrywał się na noclegach w zapas piórek, dobierając takie, które się najlepiej do tej operacji nadawały, i uzyskał za to ze strony cesarza łaskawe skinienie, ze strony Worrego poklepanie po ramieniu, połączone z powiedzeniem następującym:

— Dobrze, moje dziecko, tak dalej tylko. Zaznaczamy ci to wszystko na karbie zasług wielkich.

W rzeczy samej, młody Chranicz czynił olbrzymie na drodze okrzysywania się postępy, coraz to bardziej oddalając się od tego Chranicza, któregośmy poznali wśród okoliczności towarzyszących życiu jego w zamku rodzinnym. Okrzysywał się, wzbogacał nawet umysł. Chociażby wziąć tylko tę podróż, to już i ona rozszerzała zakres wiadomości jego. Ocierał się o monarchę i myślał sobie, że i on jest monarchą w miniaturze — myślał o Chumie, o kolasie — o kolasie, o Bośni, o złych w ojczyźnie swojej drogach i o tym, naturalnie, że drogi rozszerzają się za pomocą krótkiego rozkazu. Nie pojmował, dlaczego ani stryj jego, ani dziad, ani żaden z królów bośniackich na myśl tę nie wpadli.

Na noclegach sypiał w tej samej co jego królewska mość komnacie. Ślano mu przy drzwiach, a raczej przed drzwiami, zasłaniając takowe pościelą jego w ten sposób, ażeby nikt bez zbudzenia go do izby wkroczyć nie mógł. Jemu ślano przy drzwiach, a psu u nóg najjaśniejszego

pana. Czyniono to dla zapewnienia czujności i spotęgowania bezpieczeństwa. Z tego powodu Worre mawiał, że pies jest nadnadprzybocznikiem i że jeżeli komu, to jemu należy się order smoka. Oprócz tego, straż czuwała za drzwiami i pod oknami, jako też na wszystkich przejściach prowadzących do miejsca spoczywania cesarza Zygmunta, w którym obawa o osobę własną wzrastała wraz z wiekiem, stając się w końcu rodzajem choroby, zaznaczonej głębokim karbem na kartach historii. Zdarzało się, że w nocy budził się, zrywał i krzyczał:

— On! on!

Na krzyk ten pies wnet gwałtownie ujadać poczynił, Stefan wyskakiwał z pościeli równymi nogami, chwycił za miecz, który zawsze stał przy nim, i na tym kończyło się wszystko. Cesarz żegnał się, układał i zasypiał spokojnie, nie odzywając się ani słowa.

Królowa okazywała się zawsze jednakowo dla Stefana naszego łaskawą. Damy uśmiechały się do niego wdzięcznie. To atoli stanowiło ujemną w podróży jego stronę. Uśmiechy dam ginęły marnie, on bowiem, związany nieodstępnością od osoby królewskiej, mógł jeno na takowe spoglądać z daleka, nie korzystając z tysiąca okazji, nadarzających się zazwyczaj w podróży, zbliżenia się do towarzyszek. Była to przykreść niemała. Cóż jednak! Kładąc na jednej szali przyjemność, na drugiej zaszczyt, ta ostatnia przeważała. Nie masz zaszczytów bez ofiar — bez ofiar, pomiędzy którymi zdarzają się takie, jak przekonania, sumienie, cześć etc., mniej może aniżeli miłostki z damami dworu warte, zawsze jednak coś warte.

IMC PAN KRYSTYN DE KOZIEGŁOWY

Roku pańskiego 1429, w drugiej połowie grudnia, niebo nad Karpatami zasunęło się chmurami białawymi, które sypnęły na ziemię śniegiem obfitym. Równiny, doliny i góry okryły się białą oponą, miłą oku, w pierwszych zwłaszcza chwilach, póki wzrok nie znużył się jeszcze monotonością barwy, będącej wszechbarwnością. Kolor biały, ut physica docet, jest połączeniem wszystkich kolorów, jest oraz symbolem niewinności. Toteż podoba się ludziom, jak niewinność, pod postacią lilii, gołębicy, dziewicy, pod postacią białego kruka zresztą, ale nie śniegu, przychodzącego w towarzystwie mrozów i maskującego przepaścistości karkołomne. Białość śnieżna służyć by powinna za symbol niewinności zdradnej, której się nie można powierzać z zaufaniem całym. Ani przewidzieć można, jak się otworzy jej ciche, spokojne łono i pochłonie ofiarę głódziej aniżeli najstromsze otchłanie. Z tego też powodu słusznie bardzo przyrównywają niektórzy obsłony zimowe do koszuli śmiertelnej.

Okryła koszula owa naturę, spowiła ją, ubieliła płaszczyzny, doliny i góry; pod postacią szronu na ogołoconych z liści drzewach osiadła, a świerkom i sosnom górskim sprawiła metamorfozę, zmieniając je z dziś na jutro w staruszki. Były młode, stały się nagle sędziwe. Zie-

lone ich warkocze okryły się siwizną, mającą minę przedwczesnej, z powodu wzrostu smukłego i pozoru krzepkości, jaki drzewa te zachowują. Zdaje się, jakby im to przykreść niewymowną sprawiało. Stoją wyprostowane, zadumane, tajemnicze, czasami szumią głuchym szelestem i wówczas osypują z gałęzi śnieg, jakby pokazać chciały, że ubieliła je nie starość, ale psota natury, która na żart upudrowała je na miesiące kilka. Żart to niewczesny. Nie zostanie po nim śladu — niech no słońce wiosniane przygrzeje.

Śniegi zaskoczyły tabor cesarski w Preszowie i powstrzymały podróż na dni dwa. Osadzono pudła kolas i wałagi wozów na sanicach i spędzano ludność z okolicy, celem torowania drogi. Przeprawa przez góry bardzo była trudna. Nie w jednym miejscu pojazd każdy przenosić musieli ludzie na ramionach, a wszędzie tabor poprzedzała gromada robotników z łopatami, toporami i oskardami, rozcierających śnieg, zatykających dziury i wzmacniających spadki. Robotnikom działo się nienajlepiej o głódzie i chłodzie a pod naciskiem pośpiechu, do którego ich nadzorcy naglili; niejeden w przepaść się zwałił; niejeden kark skrzył lub nogę złamał: co tam jednak! Tabor cesarski ciągnął w porządku, tylko jeźdźce z eskortą woleliby, zamiast na koniach, siedzieć w budach, ci zaś, co w budach siedzieli, nudzili się z powodu nadzwyczajnej powolności jazdy. Wypadała od czasu potrzeba zatrzymać się i czekać, niekiedy godzinami całymi. Wówczas nudy zamieniały się w niecierpliwość, damy głośno narzekały, a don Worre rozwijać musiał dowcipu swego zasób cały, ażeby cesarza do ziewania nie dopuścić. Udało mu się to na podziw. Opowiadał fantastyczne podróże swoje po lądach i morzach, po obłokach i gwiazdach, przytaczał wypadki zabawne i umiał dostojnego słuchacza a przy nim i Stefana tak zająć, że w jednej kolasie cesarskiej nudy wcale uczuwać się nie dawały.

Przez dzień jeden cały i drugiego połowę jechano pod górę; po południu dnia wtórego spuszczać się zaczęto w dół. Dojeżdżając do osady, mającej pozór miasteczka, słyszeć się nagle dały huki wystrzałów. Pojazd cesarski zatrzymał się, a za nim i wszystkie inne. Zygmunt zbladł, podniósł się, głębiej otworzył i zaczął:

— On? On!

Huki wciąż się powtarzały. Worre oglądał się. Stefan, patrząc cesarzowi w oczy, ujął ręką prawą za rękojeść miecza i podawszy się korpusem naprzód nieco, okazywał gotowość do boju.

Niepewność sytuacji spotęgował tętent cwałujących koni, na który pies cesarski ujadać zaczął. Skoczył do okna, oparł się łapami przednimi i szczekał zajądło. Cesarz wsunął się w głębi siedzenia, Worre się skrulił, Stefan się podniósł i nad psami nachylił wyglądając w celu powiadomienia się, co tu zaszło. W oknie patrzącemu z zewnątrz przedstawilyby się: łeb psa rozszczekanego niżej, a głowa ludzka wyżej.

Takim właśnie patrzącym stał się mąż w sile wieku, który, jadąc na czele jeźdźców kilkunastu, osadził spienionego konia przed kolosą cesarską. Miał na sobie pancerz łuszczkowy, na pancerzu delią czerwoną futrem podbitą, na głowie kołpak futrzany; twarz dużą akcentowały wąsy wiechciaste koloru w czerwonoawy wpadającego; lewą ręką powodował konia, w prawej trzymał chleba bochenek.

Za ukazaniem się jego Stefan podał się naprzód, jakby chciał z kolasy wyskoczyć; lecz ów chleb z kontenansu go zbił.

Pies wciąż szczeakał. Stefan oznajmił cesarzowi:

— Rycerz z chlebem.

A chociaż słowa te z powodu hałasu przez psa sprawnego do uszów cesarskich nie doszły, gest jednak,

z jakim wymówione zostały, uspokoił Zygmunta. Podniósł się i ostrożnie jednym okiem przez okno wyjrzał. W chwili tej przed oknem pojawił się freiherr von Windeck.

Pies wciąż szczekał.

Widok freiherra uspokoił cesarza zupełnie. Wnet służba poskoczyła, drzwi się otworzyły i najpierwszym otworzenia onych następstwem było to, że pies wypadł, a za psem wywalił się i bohater nasz, chwytając się na próżno rękami za odźwierki i rozciągając się finalnie pod nogami konia jeźdźca z bochenkiem w ręku. Koń wspiał się. Worre nad Stefanem wyciągnął dłonie jak do błogosławieństwa, służbie udało się psa za obrożę pochwycić i na stronę odprowadzić. Stefan się dźwignął i obok drzwi-czek stanął. Jeździec, podjechawszy bliżej, wyciągnął ku cesarzowi rękę z chlebem i oddając takowy wraz z soli grudką freiherrowi von Windeck, który go cesarzowi wręczył, rozpoczął orację powitalną.

— Witaj, najjaśniejszy cesarzu, na ziemi polskiej; bądź pozdrowion chlebem i solą... — tak się oracja owa zaczynała.

Była w niej dalej mowa o słońcu, o wspaniałości ducha, o świętym kościele katolickim, o gwiazdach, o morzu i o tym, że mówca, Krystyn de Kozieglowy, herbu Zerwikaptur, kasztelan sądecki, wydelegowanym jest jako komisarz nadzwyczajny do eskortowania cesarza na gruncie polskim. Przemowa zakończyła się słowami następującymi:

— Oddaję się tedy na rozkazy waszej cesarskiej mości. Czym chata bogata, tym ci będziemy służyli. Niech jeno orężna siła twoja wróci, bo to despekt dla narodu, gdy gość onego wartowników własnych przy sobie stawia. Będziemy cię osłaniali piersiami naszymi.

Tu się po piersiach dłonią uderzył, chrząknął, wąsami mrugnął i na odpowiedź czekał.

Odpowiedzi w imieniu dostojnego gościa udzielił mu freiherr von Windeck. Oświadczył najprzód, że cesarz łaskawie przyjmuje chleb i sól, że co się tyczy słońca, wspaniałości ducha, kościoła katolickiego, gwiazd i morza, rzeczy te wspaniałomyślnie aprobuje i cieszy go to, że komisarzem przy nim będzie nie kto inny, jeno brodzony Krystyn de Koziegłowy, herbu Zerwikaptur, kasztelan sądecki, co zaś do warty, kwestia ta wzięta pod rozwagę i rozstrzygniętą będzie w Sączu.

— Chyba, że nie w Sączu!... — podchwycił kasztelan. — Obcej siły orężnej do grodu, jak mi Bóg miły, nie wpuszczę.

— Mości kasztelanie — reflektującym tonem zaczął freiherr. — Najjaśniejszy pan...

— Najjaśniejszy, najniejaśniejszy — mnie to wszystko jedno. Cesarz jegomość jeżeli się uprze, to znajdzie naprzeciwko siebie trzy kozie głowy, które się także upierać umieją. Upór na upór.

— Odłożmy tę sprawę do noclegu. Najjaśniejszy pan podróżą znużony.

— Niech będzie do noclegu. Zapowiadam atoli, że z noclegu nie puszczę tej oto gwardii.

Rzutem ręki, tej samej, co chleb podała, ukazał na hufiec jazdy poprzedzającej tabor i na oddział towarzyszy orderu smoka, trzymający się obok kolasy.

Cesarz nie słyszał końcowej zamiany słów pomiędzy kasztelanem a freiherrzem. Jak skoro ten ostatni zaczął wygłaszać odpowiedź na przemówienie komisarza polskiego, Zygmunt, skinąwszy głową na znak aprobacji, usunął się w głąb siedzenia, obwinał się w szubę, oparł brodę na piersiach i oczy zamknął. Wnet potem wskoczył pies, za tym wszedł Stefan i miejsce swoje zajął. Drzwi się zamknęły. Pies czekać począł. Kolasa ruszyła.

— Pss — zawołał cesarz na psa, dłonią go pogłaskał i gdy ten się nareszcie uspokoił, zapytał Worrego: — Co mu się stało?

— Cóż się stać miało! Rozgadał się.

— O czym?

— O sentymentach waszej cesarskiej mości względem szlachetnego narodu, na którego obroku od chwili tej stajemy.

Cesarz mruknął coś pod nosem.

— I któremu — ciągnął trefniś ukazując głowę na Stefana — jego nawskróśjasność na wstępie pokłon udeżyła.

— Cha, cha, cha! — roześmiał się Zygmunt w głos. — Cha, cha, cha!

Głaskał psa i co moment śmiechowi folgował. Worre dogadywał, Stefan milczał.

Wkrótce też i na nocleg zaciągniono.

Sprawa o eskortę orężną, która się wnet wytoczyła, rozstrzygnęła się w duchu żądania kasztelana. Czuwanie nad bezpieczeństwem osoby cesarza wziął kasztelan na siebie, a raczej — przez siebie — na odpowiedzialność narodu i króla Władysława. Von Windeck wyperswadować potrafił Zygmuntowi, że półtorasta jeźdźców, chociażby najwaleczniejszych, nie zdołaloby obronić przeciwko napaści, tym bardziej że kasztelan tak tę kwestię kategorycznie postawił, że nie pozostawało nic innego, jak tylko albo eskortę odesłać, albo też samemu do Budy wracać. Jak we wszystkie jednak traktaty, tak i w ten zdołano przekradanym sposobem wprowadzić fortel. Układano się z kasztelanem o siłę orężną, rozumiejąc przez to straż przednią i straż tylną; kasztelan zaś rozumiał to wszystko, co widział pod bronią w orszaku. Kiedy przeto nazajutrz tabor do dalszej wystąpił podróży, kolasa cesarska wysunęła się naprzód, a przed nią oddział ludzi na ko-

niach, od stóp do głowy uzbrojonych. Tabor ruszył, wnet jednak rozległo się wołanie: halt! halt!

Freiher von Windeck wyskoczył z sani. Kasztelan przyskoczył do niego.

— Co to?! — zawołał ten ostatni ukazując na jeźdźców.

— Co? — zapytał freiher.

— Umowa?

— No?

— Toć to orężni!

— To są towarzysze orderu cesarskiego smoka.

— Smoka, nie smoka, mnie to wszystko jedno! umowa złamana!

— W umowie o nich nie ma ani słowa.

— O kimże to my wczoraj wieczór cały przegadali?!

— O sile orężnej, ale nie o towarzystwie orderu smoka.

— Żyję na świecie już lat pięćdziesiąt, a nie słyszałem o niczym podobnym! Na licha to towarzystwo smoka przy cesarzu jegomości! Na licha cesarz jegomość towarzystwo takie do Polski wprowadza! Za towarzystwem i sam smok wleźć gotów i zacząć broić jak ów na Wawelu.

— Ależ, mości kasztelanie — perswadował łagodnie Niemiec — to nie żadne zwierzę, to order.

— Co za order?

— Taki znak... znak, po którym rozpoznają się ludzie związani przysięgą, najjaśniejszy pan ustanowił order ten... ten znak...

— Na co?

— Na to, żeby odznaczać ludzi na to zasługujących i w towarzystwo, w bractwo ich związać.

— Przysięgą? — zapytał kasztelan tonem oznaczającym łagodnienie.

— Przysięgą uroczystą.

— Na ewangelię świętą?

- Na ewangelię.
- I na cóż to oni przysięgają?
- Na to, że najjaśniejszego pana nie odstąpią w żadnym razie i pod żadnym pozorem.
- Hm... czemużeś, mości kanclerzu czy sekretarzu, czy pisarzu, czy jak tam tobie, nie uprzedził mnie o tym?
- Czyż spodziewać się mogłem, ażebyś z powodu towarzyszy orderu smoka trudności czynił?
- Należało się spodziewać tego, jak również tego, że ja ich, jakem Krystyn de Kozieglowy, herbu Zerwikaptur, tak jak są, nie puszcze.
- No, a jakże! chcesz więc ludzi rycerskich na złamanie złożonej na ewangelię przysięgi narazić?
- Nie, bynajmniej... należy tak urządzić, ażeby nie narazić ani tych rycerzy na złamanie przysięgi, ani polskiego narodu na despekt.
- Jeżeli można... i owszem.
- Można... niech się ci towarzysze smoka...
- Towarzysze orderu smoka — poprawił freiherr Windeck.
- At! orderu? kiedy orderu, to orderu... owóż tedy niech się ci towarzysze orderu pochowają po budach, oddawszy konie luzakom. Tam, gdzie ich widzę, tam moje stanowisko. Ja cesarza jegomości eskortuję, ja sam, Krystyn de Kozieglowy, herbu Zerwikaptur, kasztelan sądecki, nie kto inny. Kto by mi w drogę włożył, chociażby on był towarzyszem smoka czy orderu, na grubo spytluję, przez kij przesadę! — zapalał się. — Ja Niemców nauczę po kościele gwizdać! Do budy z nimi! Cesarz jegomość — mówił powściągając gniew, który go rozsadzał — cesarz jegomość, gość nasz najmilejszy, gość — psa na mnie wypuścił! — wybuchnął. — Do budy, Niemcy! do budy! kroćset! hej! ano!

Kiwał palcem zamaszycie na towarzyszy orderu.

— Hej! ano! żywo! Niemcy, do budy! towarzysze orderu czy smoka!

Towarzysze stali spoglądając na kasztelana i nie rozumiejąc, co by miotanie się jego oznaczać miało.

W chwili tej szczekanie psa, który wyraźnie czuł do kasztelana anse, odezwało się. To rozjątrzyło go mocniej jeszcze. Posunął ku kolasie cesarskiej, lecz mu drogę von Windeck zastąpił.

— Na Boga! — zawołał — moi kasztelanie, szanuj gości!

— Gościa? co? hę? — zatrzymał się — gościa?

— Ichmość rycerze powiadają na wozy.

— Niechże wsiadają co rychlej, a nie, to, jakem Krystyn de Koziegłowy, herbu Zerwikaptur, spędzę i pędzić będę, że się wyrzekną i smoka, i orderu!

— Poczekaajże waszmość chwileczkę spokojnie, dolożyć muszę najjaśniejszemu panu.

To rzekłszy udał się natychmiast freiherr do cesarskiej kolasy i w formie, jak tylko można było, najbardziej złagodzonej przedstawił cesarzowi żądanie kasztelana.

Cesarza to oburzyło.

— Cóż znowu! — zawołał. — Czy chcą Polacy postąpić względem nas jak Wołosi lub Węgrzy!?

Była to aluzja do więzienia, w jakim Zygmunt został po nikopolskiej wyprawie u Wołochów, później zaś u Węgrów.

— Polacy są próżni, najjaśniejszy panie — odparł von Windeck — chodzi im o zaszczyt wartowania bezpośrednio przy najdosłojniejszej osobie waszej cesarskiej mości. Są to przy tym zawadiaki, klótnicy, zaczepnicy, pozostawiający wobec nich towarzyszy orderu smoka, gotowi zwadę wywołać... Znajdujemy się w ich kraju.

— W ich kraju? — mruknął Zygmunt przez zęby i pomilczawszy chwilę, odpowiedział: — no, niech tak będzie.

Decyzję tę, zakomunikowaną sobie przez *freiherra von Windeck*, rycerze orderu smoka przyjęli z wielkim zadowoleniem. Odbywanie zimowej podróży konno nie należy do przyjemności największych. Pomimo kapuz pod hełmami, nauszników i szub, odmrażali sobie nosy i uszy. Z ochotą więc ruszyli, konie luzakom oddali, a sami się po saniach porozmieszczali. Miejsce ich zajął kasztelan na czele hufca chorągwi ziemskiej, złożonego ze szlachty herbowej.

Tabor ruszył w dalszą podróż.

W Sączu wyszedł naprzeciw cesarza magistrat z chlebem i z solą.

To samo powtarzało się w każdym mieście.

Kasztelan, który eskortował i przewodniczył, wywiązywał się z zadania swego z gorliwością nie pozostawiając nic do życzenia. W ogólności, w całym przez Polskę przejeździe, z serdecznością jak największą przyjmowano cesarza, który w oczach Polaków posiadał dwa ujmujące dla niego serca tytuły: raz, był to gość, po wtóre, był to cesarz rzymski. Rzym, więcej może przedchrześcijański aniżeli chrześcijański, był dla Polski pierwowzorem, z którego ona, na szkodę często samej sobie, czerpała przykłady, zastosowując takowe, naginając, nałamując, słowem, przesadzając na głęb słowiańską wykivity innych czasów, wyhodowane w warunkach odmiennych. Cesarz więc rzymski był w oczach Polaków osobistością wcale poważną, zwłaszcza jako gość. Na pana nie życzyliby go sobie wcale; spotykali go jednak z chlebem i solą, wychodzili naprzeciw niego z chorągwiami, przy biciu w dzwony i przy paleniu z moździerz; dawali mu jeść i pić, nie żałując, ogrzewali, obsługiwali, do pojazdów jego własne zaprzęgali konie i okazywali mu uszanowanie wielkie.

Nierzadko spotykał się z takimi, co z Czech świeżo powrócili i znów się tam wybierali, czekając jeno, rychło

zima się skończy; i ci nawet szanowali w nim gościa, przedstawiciela Rzymu, stanowiącego podówczas jedyną karmię umysłową, a karmiącego umysły językiem pięknym, podającym nie tylko dogmaty i kazania, ale oraz gotowe formy do wkluczania w takowe zwyczajnych i nadzwyczajnych objawów życia, publicznego zwłaszcza. Cesarza rzymskiego uważano za spadkobiercę tak Marków Aureliuszów, jako też Romulusów, Pompiliuszów, Horacjuszów, Cyncynatów; uważano go za spadkobiercę wszystkich cnót, wszystkich rozumów, całego heroizmu, całej jednym słowem przeszłości, która ze swej strony wydawała się nie tak bardzo oddaloną, że niektóre rody szlacheckie wyprowadzały pochodzenie swoje i klejnoty rodowe wprost od patrycjuszów rzymskich.

Nader przeto gościnnie przyjmowano Zygmunta w Polsce. Przyczyniała się zapewne do tego w części znacznej i próżność, chęć pokazania się przed monarchą obcym. Zygmunt gościnność umiał przyjmować. Pomagała mu w tym dzielnie postawa jego imponująca, twarz piękna, mina majestatyczna. W zetknięciach się z dostojnikami polskimi zachowywał w słowach oszczędność, lecz słówko jego jedno, jeden uśmiech, jedno głowy skinienie wyrażało zawsze wdzięczność i łaskawość; pozwalał podejmować siebie, a pozwolenie to udzielając wyświadczał dobrodziejstwo i zaszczyt. Pod względem tym był on doskonałością samą. Hojnie przy tym rozdawał upominki drobne, których von Windeck zabrał z Budy furę całą. Cesarzowa ze swojej strony wtórowała wiernie dostojnemu małżonkowi, wdzięczyła się do Polaków i ująć sobie szczególnie potrafiła komisarza Krystyna de Kozieglowy, herbu Zerwikaptur, kasztelana sądeckiego, który gotów był rąbać się za nią.

Stefanowi naszemu, pomimo że nie był to orzeł bynajmniej, nie mogły nie wpadać w oczy osobliwości niektóre i nie karbować mu się w umyśle. Był przy cesarzu nieod-

stępnie, był cieniem jego i nie zauważyć nie mógł gry maskowanej, jaką Zygmunt prowadził. Znajdując się z Polakami okazywał im uprzejmość i ubierał wynurzenia takowej w takie formy, iż niesposób było, zdawało się, posądzać onej o nierzetelność. Znajdując się samotrzeć z Worrem i ze Stefanem, albo raczej samoczwart, jeżeli i psa, który się zawsze na Polaków miotał, porachujemy, dawał często folgę uczuciom wręcz przeciwnym; z gustem słuchał Worrego natrzasań się z narodu polskiego, dąsał się niekiedy i nieraz rzucał pod adresem Polaków wyrazy następujące:

— Niegodziwy naród! fałszywy naród! nieznośny naród! wiarołomce!

Ostatni ten wyraz odnosił się do roku śmierci Ludwika Węgierskiego, w którym to roku Wielkopoleanie uznali byli margrabię podówczas brandeburskiego, czter-nastoletniego Zygmunta, za króla polskiego. Dawne to dzieje, ale Zygmunt odznaczał się pamięcią dobrą, we względzie uraz zwłaszcza. Nie mógł tego Polakom wybaczyć i jechał właśnie po to, ażeby im dać się popamiętać.

CHYBIONA PARADA

Opisywaliśmy wjazd Twrtka II do Sutyska; opisywaliśmy wjazd cesarzowej Barbary do Cylei; opisywaliśmy wjazd tejże cesarzowej do Budy. Nie przedstawialiśmy wjazdów tych w obszerności całej i ze szczegółami wszystkimi, dlatego że trudno przypuszczać, ażeby pomiędzy czytelnikami znalazł się bodaj jeden, któremu by obce były opisy ceremonij tego rodzaju, odbywających się jednakowo od czasu ginącego w wieków pomroce i w dziejach nie zanotowanego wjazdu najpierwszego. Model pierwotny przepadł i zastąpił go późniejszy, historyczny, przechowany w podaniach o tryumfach, jakimi senatus populusque Romanus wynagradzał dyktatorów, konsułów i imperatorów swoich, powracających w mury Rzymu z laurami zwycięstw nad barbarzyńcami.

Model ten służy za patron ogólny, modyfikowany odpowiednio do czasu i okoliczności, a także i możliwości. Wedle możliwości idzie parada; wedle parady objawia się ciekawość ludzka, ściągająca tłumy większe lub mniejsze i stanowiąca główną wjazdów rację i całą onych filozofię. Człowiek gapiem jest z natury. Nie będziemy przeto rozwodzili się szeroko nad wjazdem cesarstwa do Łucka.

Wjazdowi temu figla ogromnego wyrządziła Opatrzność zsyłając w dniu onego mróz trzaskający. Mróz po-

ciskał i wiaterek niewielki pociągał. Cesarz zamierzał wsiąść z cesarżową na koń przed Łuckiem i przypuszczać, iż na spotkanie jego odbędzie się wystąpienie rycerskie, odbyć wjazd z całym szykiem rycerstwa i monarchy w chrześcijaństwie najpierwszego. W tej myśli rozporządzenia poczynił. Zamówił do towarzyszenia sobie książąt Rzeszy, którzy, rozmaitymi podążając drogami, czekali na niego w stolicy Rusi Czerwonej i do jego się taboru podróznego przyłączyli. Zapowiedział Stefanowi, ażeby go nie odstępował. Towarzysze orderu smoka dostali rozkaz mieć się także w pogotowiu do wsiadania na koń. Stosownie do tego przysposobiono się wyruszając z noclegu ostatniego. Ale co kto nos wytknął, to wnet takowy chował, zapytując siebie:

— Co to będzie?

Zapytanie to zadawał sobie i cesarz, wyglądając przez okna kolasy, w które Worre chuchał usiłując szybki male we drzwi wprowadzić utrzymać w stanie przezroczyści. Mógłby dostoyny wędrowiec zapytać słowami poety, który w czterysta lat po nim na świat na łonie Litwy przyszedł:

„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie: co to będzie? co to będzie?”

Ciemno nie było; ale ów wiaterek niewinny, który by letnią porą był zefirkiem rozkosznym, poruszył śnieg miałki a suchy i sprawił napełniając powietrze tumanem gęstym zadymką, dzięki której o dwa kroki przedmioty widzieć się nie dawały. A przy tym mróz nie popuszczał, przeciwnie, zdawało się, że potężniał z chwilą każdą. Była racja: wsiąść na koń, zmarznąć, przeziębienie, z przeziębienia umrzeć może i nie być widzianym przez nikogo? Wystąpienie w rycerskim splendorze chybiało celu z góry. To cesarza w zły wprowadzało humor. Siedział naślepiony i powtarzał od czasu do czasu pod nosem:

— Oto kraj!

Marszczył brwi i odsapywał przez nos gniewnie.

Worremu koncepta się nie kleiły. Nie zdołał rozpogodzić oblicza najjaśniejszego pana.

W pojeździe cesarzowej także nienajlepszy panował humor. Działo się z nią, co się dzieje z elegantką na bal się wybierającą, której modniarka sukni balowej na czas nie uszyła i w chwili ostatniej przysłała z zawiadomieniem, że uszyć nie może.

Książęta Rzeszy, prości w tej splendoru wystawie figuranci, pocierpali ze strachu myśląc o karakolowaniu na mrozie.

Stefan nawet nie z obojętnością przenosił się myślą w ten moment, w którym będzie musiał zgrabiałymi palcami cugle trzymać, nosem gile łowić, a wytrwałością uszów na zimnie ze szlachtą polską o lepsze iść.

Ha! rozpacz brała i koniec.

Cesarz by się poświęcił i na mróz osobę swoją wystawił, ale — z zadymką co począć?

Tabor sunął. Do Lucka było coraz to bliżej i bliżej.

Zygmunt bił się z myślami. Zamiar wsiadania na koń to brał przed się, to rzucał — i nie wiedział, co ma postanowić — i zamierzał już w końcu, wzorem znajdujących się w kłopotcie wodzów wielkich, zwołać wszystkich tu obecnych książąt krwi i dygnitarzy wysokich celem odbycia z nimi narady w tumanie śnieżnym, kiedy sanie, w których jechał, zatrzymały się nagle i na przodzie onych ozwały się nawoływania połączone z tupotem, brzękiem i szczękiem.

— Co to jest? on! — kiwnął cesarz na Stefana.

Stefan do okienka poskoczyć nie zdążył, pies zaś, który poskoczył i łapami się oparł, nie zdążył jeszcze szczeknąć, kiedy się drzwi z trzaskiem otworzyły. Pies wypadł, jak przy pierwszym z Polakami spotkaniu, lecz uderzony silnie nogą, odtoczył się ze skomleniem za kolasę, a we drzwiach ukazała się postać imię pana Krystyna de Koziełowy, herbu Zerwikaptur, kasztelana sądeckiego, który,

rękę prawą wyciągając poza siebie, odezwał się tonem uroczystym:

— Jegomość król polski, Władysław II! Jegomość wielki ksiązę litewski, Witold!

Cesarz zerwał się, wychylił i szukając w tumanie oczami, dojrzał nie opodal dwie postacie zarysowujące się niby cienie.

Postacie wnet podeszły bliżej i oczom cesarskim przedstawili się dwaj mężowie w tułubach sobolich i w kapuzach futrzanych, jeden wzrostem nieco wyższy, ale szczupły, chudy, z policzkami pozapadanymi, z brwiami podniesionymi, z miną taką, jakby płakał i płakać jeszcze nie przestał; drugi niższy, również chudy, ale mający policzki zarostem siwym zamaskowane i pewną ostrość we wzroku, ukrytym w głębi dołów ocznych. Ów na płakse wyglądający plakliwym też i drżącym, nie wiadomo — ze starości czy od zimna, czy też i ze starości, i z zimna, odezwał się głosem:

— Panie a bracie, witajcie nam... o! jakżeśmy szczęśliwi!

— Bracie i panie — odparł cesarz wysiadając, mrugnawszy z ukosa na Stefana, ażeby to samo uczynił — witajże nam. Do radości tej chwili wzdychaliśmy od dawna.

Tu głos zabrał mąż wzrostu niższego.

— Nam, jako gospodarzowi — tu dygnął pochylając lekko kolano prawe, jak do ukłęknięcia — przystoi i powitać was, najdostojniejszy cesarzu i królu, i podziękować wam za zaszczyt uczyniony nam, niegodnemu.

— Najdostojniejszy wielki ksiązę Witoldzie — odrzekł wnet cesarz. — Pamiętną po wsze czasy będzie dla nas ta chwila, ta godzina, ten dzień, w którym czyniąc folgę sercu naszemu uścisnąć możemy prawicę waszą tyłu zwycięstw wslawioną.

Nastąpiło uściskanie dłoni albo raczej imitacja takowego.

— Najdostojniejsza cesarzowa? — zapytał Jagiełło.

— O! cóż to za radość będzie dla najjaśniejszej pani, małżonki naszej — podchwycił Zygmunt i poprzedzając Jagiełłę i Witolda udał się do kolasy następnej.

Tu znów powitania i wynurzania się z uczuciami najserdeczniejszymi. Cesarzowa tytułowała Jagiełłę nie tylko bratem, ale i kuzynem, z racji Anny cylejskiej, drugiej jego żony, po której pozostała mu córka, zaręczona za margrabiczą brandeburskiego. Dostojna podróżna nie wysiadała z powozu i wśród komplementów powitalnych dotknęła ważnej kwestii wjazdu do Łucka. Rzecz naturalna, chodziło o ceremoniał, który Jagiełło i Witold zgwałcili. Trzeba było to naprawić, wziąć rzecz pod deliberację, przedeliberować i wynaleźć sposób jakiś wyjścia z trudnego położenia z zadośćuczynieniem wymogom etykiety. Król polski i wielki książę litewski powinni byli spotykać cesarską parę po rycersku, na czele orężnego orszaku, wobec tłumu ludu krzyczącego wiwaty, przy huku dział i dzwonów, nie zaś tak, ukradkiem, na drodze, o milę od miasta. Spotkanie takie wywraçało wszelkie o dostojności monarszej pojęcia. W ten sposób zjeżdżają się ludzie z pospólstwa. Mogli sposobu tego chwycić się, niedobrze z dzikości oskrobani, Olgierdowicz i Kiejstutowicz, lecz Luksemburczykowi i Cylejce nie wypadało nie naprawić uchybienia tego.

— Więc i jakże — zapytała Barbara — wjeżdżamy, najdostojniejszy bracie i kuzynie?

— Ano, siostró i kuzynko najdostojniejsza — odrzekł Władysław krechcąc.

Że krechciał, nie dziw: liczył lat wieku osiemdziesiąt i jeden.

— Wróćcie, bracie i kuzynie, i wyjedźcie naprzeciw nas przed bramy miasta?

— Przyjechaliśmy po to, żeby was zabrać: ażebyście się nie wlekli podróżnymi saniami.

— Jak? co? — zapytała cesarzowa tonem podniesionym do skali zdumienia.

— Sanie nasze i sanie miłego brata naszego, wielkiego księcia Witolda, czekają.

— No, a wjazd?

— To będzie wjazd. Prędzej się ogrzejecie i posilicie.

Cesarzowa spojrzała na cesarza. Cesarz lekko ramionami ruszył i skinął na cesarzową, która, wydobywając się z obwijających jej nogi lisiur, wyskoczyła z powozu i wnet została podwiana, przewianą i obwianą, obróciła się, popatrzyła w dal, na niebo — nieba nie ujrzała, zasłaniały je tumany — postąpiła kroków kilka, dygotać poczęła i do kolasy się schronić chciała, kiedy Jagiełło, drogę jej zastępując, w następujący, na ton błagalny nastrojony, przemówił do niej, z litewska przeciągając, sposób:

— Pani najjaśniejsza, a siostró i kuzynko najmilsza, oto tu niedaleczko sanie moje, futrami wyłożone, miętko wysłane i rączymi końmi zaprzężone. Siadaj ze mną, zobaczysz, jak polecimy. Duchem w Łucku staniemy.

— A ty, najjaśniejszy panie, siadaj ze mną — przemawiał Witold do Zygmunta. — Stół w zamku naszym zastawiony czeka na was. Na stole stoją wina zamorskie, miody litewskie i bakalie. Niech tabor wlecz się sobie, dowlecze się i bez was, i służba wasza krzywdy mieć nie będzie. Raczcie przyjąć prośbę naszą.

— Raczcie... — podchwycił Jagiełło.

— Czyż bo to tak się godzi? — zagadnęła cesarzowa.

— Cemu nie?

— Najjaśniejszy pan, najdostojniejszy małżonek nasz zaordynował, celem uczczenia dostojnych gospodarzy, wjazd do Łucka solenny, wystawnie i konno...

— W zadymkę taką!? — zawołali razem Jagiełło i Witold. — W taki mróz?

— My — dodał Witold — chcieliśmy poczet zabrać ze sobą, ale musieliśmy zamiaru tego zaniechać. Nie widać na trzy kroki, a śnieg ludziom oczy skleja.

— Wjechać więc mamy tak? bez niczego? — zapytał cesarz.

— Jak to? bez niczego? — odparł Jagiełło zafrasowany.

Bystrzejszy Witold domyślił się, o co chodzi. Podchwycił wnet:

— Na upamiętnienie zdarzenia tak dla nas zaszczytnego stanąć kazaliśmy puszkarzom przy puszkach i dzwonnikom przy dzwonach i jak tylko cesarskiej mości osoba w bramę wkroczyć raczy, w tej chwili spiż tę wieść radosną w górne strefy poniesie. Wasza cesarska mość — tu uprzejmie głową ku cesarzowi i cesarzowej skłonił — przyjmą ode mnie raczą: palenie z puszek i bicie w dzwony. W bramie zamku powita wasze cesarskie mości biskup łucki na czele kapituły.

Cesarz głową poważnie skinął. Cesarzowa wykonała kryg zadowolenia.

— Sanie czekają — wtrącił Jagiełło.

— Ano — odparł Zygmunt.

— Hej! — krzyknął Witold odwracając się i dłonie przy ustach układając dla nadania głosowi swemu większej doniosłości. — Ho-hop! A bywaj tu z saniami, bywaj!

Wkrótce potem zadźwiękły brzękadelka i kopiąc się przez śnieg głęboki zajechały sanie łubiaste, odkryte, ciągnięte przez dzielne cztery konie w lejc zaprzężone, a powożone przez krakowiaka w kierezji i w czerwonej na bakier czapeczce.

Woźnica, nawracając, z bicia palnął, aż w uszach dostojnym słuchaczom zadzwoniło. Zatrzymał konie. Pach-

łęk wilczury odsłonił. Cesarzowa lekko skoczyła. Za nią się wgramolił stary król. Poosłaniano ich, poobtykano.

— Ruszaj!

Krakowiak bicz rozwinął, trzasnął z lekka.

— Wio, ha-ho! — huknął.

Siwosze z śniegu, wymijając kolasę cesarską, wygrzebały się wnet na ujeżdżoną drogę i, wpadłszy od razu w kłus przysadzisty, znikły w tumanie z saniami, z cesarzową i z królem.

Z kolei zajęchały drugie sanie, tak samo, tylko cisawymi zaprzężone końmi, tak samo zbudowane i tak samo powożone.

— Najjaśniejszy panie — wezwał Witold ręką pokazując.

Cesarz ruszył i wnet się wstrzymał

— Ależ... ale... — zaczął. — Ale...

Witold czekał na to, co ma po „ale“ nastąpić.

Zygmunt milczał przez chwilę. Nagle zwrócił się bokiem ku Stefanowi i pokazując na niego ręką, rzekł do Witolda:

— Stefan Chranicz, wojewodzie chumski, kawaler orderu naszego cesarskiego smoka.

— Smoka? — odrzekł Witold.

— Krewniak najjaśniejszej pani, najdostojniejszej małżonki naszej.

— A?

— W ekspektatywie ban i wielki wojewoda Bośni.

— U? Niesłychanie nas cieszy kawalerskość jego. Będziemy się starali uczynić mu gościnę u nas miłą. Tymczasem ośmielamy się prosić najjaśniejszego pana...

Tu znów z gestem do wsiadania wzywającym na sanie wskazał.

— Miejsca mało — rzekł cesarz.

— Mało! — zawołał Witold — na ciebie najjaśniejszy panie i na mnie?...

— I na kawalera — dodał cesarz.

— Niech kawaler do kolasy wsiądzie.

— A nie! — podchwycił Zygmunt tonem protestacji repliki nie dopuszczającej. — Kawaler orderu smoka, przy tym nasz nadprzybocznik, nie może odstępować osoby naszej.

— Niech więc siada wraz z waszą cesarską mością, a ja...

— Miałby siadać wraz z nami? on z nami? — odparł cesarz tonem kobiety urażonej.

Zmiarkował się stary książę, że niestosowność palnął, lecz szybko to naprawił.

— To jest... rzędem z waszą cesarską mością zasiądzemy my, kawaler zaś przed nami na... na półdrabku.

— A... tak... — odpowiedział Zygmunt postępując ku saniom.

Sanie załubnie, lekkie, do bliskiej zbudowane przejażdżki, mieściły w sobie z łatwością ludzi dwóch w siedzeniu; na koźle siedział woźnica i pajuk; więcej miejsca nie było, chyba pośrodku, w poprzek. Toteż nasz kawaler orderu smoka musiał tę pozycję zająć: usiadł bokiem, utonął tułowiem w głąb, nogi wystawił na zewnątrz. Nic by to mu nie szkodziło, gdyby przewidując jazdę podobną zaopatrzył się był w ciepłe obuwie, którego nie potrzebował w kolasi cesarskiej. W lekkich butach zimno od razu dotkliwie mu się czuć dało. Nie było jednak na to rady.

Witold woźnicy rzucił rozkaz:

— Ruszaj! Dopędź króla!

Ten na drodze wypuścił konie w cwał, sanie posunęły wichrem i w kilka później chwil sunęły, unoszone tegim kłusem, tuż za saniami królewskimi.

Nie masz jak jazda sanna, odbywana dzielnymi końmi na mocnym mrozie, po ujeżdżonej drodze. Jazda króla z cesarzową i wielkiego księcia z cesarzem odpowiadała wszystkim tym warunkom. Stefan nasz, który używał jej w życiu swoim po raz pierwszy, byłby się w niej nieochybnie rozmiłował, gdyby nie nieszczęsne jego nogi, wystawione na marznięcie. Szczęściem dla niego jechano szybko i w niespełna pół godziny usłyszano huki wystrzałów działowych, które w części wynagrodziły dostojnym gościom odmówioną im przez losy ceremonię wjazdu paradnego.

Tabor ciągnął powoli. Worre zajął miejsce Zygmunta, zakutał się, rozparł, powiedział: „pocesarzujmy sobie” — i w zadumie się pograżył.

W chwili kiedy się powóz cesarski był zatrzymał, zatrzymały się i wszystkie inne i, telegrafem niby, od jednego do drugiego przeniosła się wieść, która jednym wyraziła się wyrazem:

— Litwini!

Na umysły dam dworskich wieść ta przerażające wywarła wrażenie. Wyobraziły wnet sobie ludzi kosmatych i strwożone, niby kuropatwy słyszące nad sobą szum skrzydeł jastrzębia, zbiły się w budzie każdej w kupki, czekając na następstwa dalsze. Jedna trzymała się drugiej, jedna u drugiej obrony szukała. Czekwały, nie śmiąc wyglądać z obawy ujrzenia kosmatych, których przecie w Budzie tak ciekawymi były. Tuman śnieżny widzieć przeszkadzał. Jaka taka spod obsłon i chustek okiem jednym wyglądała i słuch wyteżała. O uszy, w szumie wiatru, obijały się jakieś pobrzęki, które wydawały się szczękiem oręża. Gdy woźnica Jagiełły z bata palnął, damy głowy pochowały: każda by przysiąc gotowa, że był to wystrzał z armaty, a przynajmniej z rusznicy. Naraz tabor ruszył — dokąd? — czy nie do niewoli litewskiej? Powinowactwo idei połączyło wnet niewolę litewską z niewolą tatarską,

które w czasach onych za jedno uchodziły; damy dworu jechały polecając dusze Bogu, myśląc — ta o wybrzeżach modrego Dunaju, owa o szmaragdowych łąkach reńskich, inna o rozłóżach Wezery, i marząc o marmurowych pałacach chanów tatarskich, o zaczarowanych ogrodach, o fontannach wody różanej, o perłach, o brylantach i o innych tym podobnych rzeczach, które im strach wielki do głowy napędzał. Strach je zaczarowywał niejako.

Niebawem jednak odczarowanie nastąpić miało.

Pałace, fontanny, perły rozwiały się w nic wobec rzeczywistości, która się przedstawiała pod postacią ciepłej izby i obfitego jadła.

Przyznać należy, że w Łucku przyjmowanie gości urządzonym było znakomicie. Kasztelan sądecki, wyprowadziwszy tabor ze Lwowa, gdzie się takowy przez przyłączenie się ksiąząt Rzeszy zdwoił, pchnął wnet gońca przodem z karbownicą, na której oznaczoną była ilość i jakość głów ludzkich i końskich, towarzyszących cesarstwu. Stosownie do tego przysposobiono kwaterunek. Jak skoro przeto czoło taboru do bramy miasta dotarło, natychmiast rozkwaterowywanie się rozpoczęło. Z gromady ludzi, która tam czekała, wydzielal się człowiek jeden po drugim, w miarę jak sanie wjeżdżały, zabierał takowe i prowadził. Kasztelan stał z karbownicą w rękę i czytał głosem donośnym:

— Sanie cesarza jegomości! — cztery sztuki: cesarz jegomość, kawaler orderu smoka, błazen i pies!

Przystaw miejscowy podchwytywał i dodawał:

— W zamku! — pokoje paradne! — krużganek główny!

Dalej kasztelan czytał:

— Sanie cesarzowej jejmości! — trzy sztuki: cesarzowa jejmość i dwie niewiasty z fraucymeru.

Przystaw dodawał, jak wyżej.

W ten sposób obliczano na sztuki: damy dworu, książąt austriackich, bawarskich, saskich, tyrolskich, hrabiów cylejskich i innych, baronów, dygnitarzy, dworzan, towarzyszy orderu smoka, kapelanów, kaznodziei, spowiedników, służbę płci obojej rzędu niższego, słowem wszystko, i wszystko to rozprowadzono i rozmieszczono po mieszkaniach odpowiednich, tak na przykład, że cesarz w apartamencie swoim miał pod ręką na zawołanie każde służbę całą swoją, freihera von Windeck, ojca Jakuba, Worrego i przyboczników; cesarzowa zaś klasnąć tylko potrzebowała, ażeby wnet otoczył ją cały dwór niewieści. Takie same urządzenie zastosowano i do innych gości: do króla duńskiego, do wielkiego księcia moskiewskiego, do legata papieskiego, do posła konstantynopolitańskiego, do chana tatarskiego, do wojewodów wołoskich, do książąt mazowieckich, litewskich i ruskich, do wysłańców wielkiego mistrza krzyżackiego, do panów i senatorów duchownych i świeckich, polskich i litewskich, których zjechała się moc wielka, ściągniętych ważnością spraw traktować się mających a rozpadających się na dwie równe pod względem doniosłości i drażliwości kwestie.

W ŁUCKU

Historycy nasi, wspominając o zjeździe łuckim, zapisują z namaszczeniem, ile dziennie wychodziło artykułów niektórych pożywienia. I tak: wołów wychodzić miało 700, baranów 1400, żubrów 100, łosi 100 i wieprzy 100. Przypuściwszy w gościach Witolda apetyt dobry, zawsze jednak musiało się ich brać po siedemdziesięciu pięciu do jednego wołu, ażeby go przez dzień pokonać. Siedemset pomnożmy przez siedemdziesiąt pięć, będziemy mieli tysięcy pięćdziesiąt dwa. Po stu przynajmniej brać się musiało do żubra jednego, żubrozerców przeto będziemy mieli tysięcy dziesięć. Na barana, na łosia, na wieprza, przypuśćmy, dla niekomplikowania obrachowania, po piętnastu, da nam to tysięcy dwadzieścia cztery — summa facit: wielki książę litewski podejmował przez ciąg dni pięćdziesięciu gości osiemdziesiąt sześć tysięcy. Armia — hej! Goście owi, oprócz wołów, żubrów, łosi, baranów i wieprzy, konsumować musieli i coś jeszcze: ryby, drób, jarzyny jakieś, jakieś mączne potrawy, nabiał i przeroby onego, owoce suszone i na miodzie smażone, bakalie zamorskie etc., etc. Wziąwszy to na uwagę, przypuszczać należy, że liczba gości większą była od wynalezionej powyżej przez nas na podstawie twierdzeń historycznych, najmniejszym w nawiasie py-

tajnikiem przez historyków najnowszych nie zaopatrywanych, a więc pewnych. Większą więc była liczba owa dwa razy od tej, jaka według podań kronikarskich asystować miała na soborze w Konstancji. Przyznamy się przed czytelnikiem w zaufaniu, że my, z naszego powieściarskiego stanowiska, nie mamy odwagi wierzyć w owe woły, barany, żubry etc. Głęboką przejęci jesteśmy czią dla Długosza, głęboko szanujemy wszystkich autorów Dziejów Polski, Dziejów narodu polskiego etc., mimo to, zdaje się nam, że ażeby do prawdy dziejowej nieco się przybliżyć, należy w liczbie wołów, baranów, żubrów, łosi i wieprzów po jednym zerze przekreślić. Operacja ta da nam liczbę gości tysięcy około dziesięciu. I ta liczba wydaje się nam za wysoką. Na nas, zredukowalibyśmy ją chętnie do czwartej części, do połowy zresztą. Cóż jednak robić! Ostrożnym być należy wobec krytyków, którzy z dokumentami w rękę dowieść nam gotowi — tendencji nagannej, fałszowania dziejów w zamiarach podejrzanych — porywania się na powagi etc., etc. Ażeby przeto i prawdy historycznej zbyt nie nadwerekować, i krytyków nie bardzo rozjątrzyć, przyjmujemy liczbę gości na tysięcy dziesięć, wliczając w to konie i psy.

Łuck — jedno z najstarszych miast na Rusi, w owym czasie zamożny i ludny — roił się przybyszami, rozlokowanymi częścią w zamku, w większej części po domach prywatnych. Ludność onego składała się z chrześcijan dwu obrządków, z Ormian, Żydów i Karaimów. Świątyn z piętnaście, różnych wiar i wyznań, wznosiło się ku chwale Najwyższego. Dworzec biskupi odznaczał się strukturą wytworniejszą. Po rynkach i w ulicach niektórych sklepy, bławatne mianowicie i galanteryjne, mieniły się wystawą towarów, sprowadzonych z powodu zjazdu w większej ilości i w lepszym doborze. Łuck miał

pozór jarmarczny, nie brakowało bowiem ani bałaganów wystawianych przez kupców wędrownych, ani tłumów na targowicy, gdzie nie toczył się wprawdzie handel formalny, lecz często gęsto improwizowała się szacherka na konie.

Z tego powodu w tej stolicy tymczasowej nad Styrem ustawiczny panował zgiełk. Tu się weselono, owdzie się czubiono, gdzie indziej handlowano. Straż grodzka wzmocniona czuwać musiała dniem i nocą nad utrzymaniem ładu w tłumie różnojęzycznym, składającym się z Niemców, Węgrów, Greków, Włochów, Tatarów, Polaków, Rusinów i Litwinów.

Litwinów? — Ach! Ci stanowili przedmiot ciekawości szczególnej orszaku cesarskiego, osobiście zaś cesarzowej samej, która też, na wstępie samym, zaspokojenie ciekawości tej postawiła w odniesieniu do traktować się mających spraw jako punkt przedugodny. Punkt ten podniosła, jak tylko się rozgrzała i podjadła sobie. Podniosła go publicznie, wobec mnogich a wysoko poważnych, wieńczonych koronami, infulami, kołpakami i opaskami spólbiesiadników i wobec dostojnych niewiast, rzeczonych spólbiesiadników towarzyszek. Wobec nich wszystkich zwróciła się do Witolda i tak do niego przemówiła:

— Najdostojniejszy wielki książę! Musimy, nim przyjdzie co do czego, zamówić sobie u was poręczawiczne.

— Najjaśniejsza pani — odparł wnet Witold — żądaj jeno. Żądanie twe rozkazem będzie dla mnie.

— Podaruj mi wasza książęca mość Litwina jednego. Witold oczy szeroko otworzył.

— Litwina prawdziwego — dodała cesarzowa.

— Najprawdziwszym ja sam jestem — z ojca Litwina i z matki Litwinki.

— Młodego.

— Aha.

Na ten warunek i na ton, z jakim Witold „aha” wymówił, zaśmiał się grubo król duński, a za nim wielu ze spółbiesiadników dostojnych.

Zaśmiała się i Barbara i dalej warunki podawała:

— Poganina.

— O? — odrzekł Witold. — Posłać chyba potrzeba rozkaz aż na Żmudź, ażeby tam obławę urządzono.

— Kosmatego.

Wielki książę uśmiechnął się i dał cesarzowej poznać, że się na żartach zna.

— My bo nie żartujemy bynajmniej — były słowa cesarzowej. — My gorąco posiadać na własność pragniemy Litwina, poganina prawdziwego, młodego i kosmatego.

Zainterweniował komtur krzyżacki, popierając żądanie powyższe tak kategorycznie postawione tą uwagą, że najjaśniejsza pani uczyniła zapewne ślub nawrócenia oświadczenia jednego poganina.

— Taak — odrzekła cesarzowa przeciągle. — Pomiędzy Litwinów dostać się nie życzylibyśmy sobie, ale bardzo by nam było miło Litwina jednego posiadać.

— Wasza cesarska mość znajdujesz się wśród Litwinów! — podchwycił Witold pokazując na siebie i na króla polskiego.

Wielki książę powiedział to tonem żartobliwym i rozmowa, zagajona na serio, obróciła się w żart, następnie przeszła na inny przedmiot.

W ciągu obiadu przybyli nowi goście, książęta Rzeszy, którzy wlekli się w taborze. Zastawiono wnet dla nich. Dobry apetyt, z jakim zasiedli, miał się ćwiczyć na czym. Było co jeść, było co pić — była i prynuka. Goście, tak ci, co się dawniej zjechali, jako też ci, co świeżo przybyli, wstawszy od stołu uczuli się uzdolnionymi do jednej tylko rzeczy — do spania. Każdy pośpieszał do legowiska.

Wkrótce w komnacie biesiadnej pozostała sama jeno służba, zbierająca okruchy jadła i wypijająca resztki z roztruchanów, które służyły osobistościom najznakomitszym.

Goście wynieśli się do komnat swoich i my więc wyniesiemy się, a nie mając ani możności, ani potrzeby towarzyszyć wszystkim, udamy się do komnaty przeznaczonej na wyłączny cesarza Zygmunta użytek.

Była to komnata obszerna, składająca się z trzech części, rozdzielonych przepierzeniem murowanym, mającym w sobie dwa otwory owalne. Otwory te wyglądały na nische. Za jednym z nich stało pyszne, kotarami osłonięte łóże, za drugim meble i sprzęty różne, służące do wygody przy rozbieraniu się i ubieraniu. Te ostatnie od łóża oddzielała kotara od sufitu spadająca, kotarami również zawieszono były otwory. Kryjówka ta stanowiła schron sypialny dla dostojnego gościa. Schron ten poprzedzała komnata, zaopatrzona w najwykwintniejsze, na jakie jeno w wieku owym zdobyć się było można, meble: stoły jesionowe i dębowe, skrzynię z drzewa pachnącego, tapczanów parę, zastępujących sofę dzisiejsze, wymateracowanych i kościami okrytych, stołków tuzin obitych czerwoną materią, ław parę pod ścianami białymi jak śnieg a przystrojonymi w obrazy świętych pańskich i we wianuszki a bukieciki zeschłych, wonnych ziół. W komnacie tej służba cesarska poustawiała podrózne dostojnego wędrowca porządki i na ścianach porozwieszała rycerskie przybory.

Do apartamentu tego prowadziły jedne drzwi, ciężkie, dębowe, mocno kute i wewnątrz na gruby się szuflgiel zamykające. Za przedpokój służyła izba obszerna, urządzona w sposób taki, ażeby w niej osób kilka dniem i nocą przebywać mogło. Obok zaraz zakwaterowani byli spowiednik, von Windeck, jeden z dygnitarzy koronnych i Worre. Cesarz od stołu wstawszy nie mógł o własnej iść sile, oparł się na ramieniu Stefana i zatrzymał się na chwilkę w izbie apartament jego poprzedzającej. Wyraz

zadowolenia zajaśniał mu na obliczu. W izbie tej zastał, oprócz służby na rozkazy oczekującej, czterech towarzyszy orderu smoka, pełniących dyżur służbowy. To mu się wielce podobało. Kiwnął głową i poszedł dalej. W komnacie swojej znalazł się, jak skoro doszedł do tapczana, wnet się na takowy osunął, skinieniem ręki na przeciwną stronę Stefana odesłał, sam zaś, przybierając pozę na wpół leżącą, głęboko westchnął, westchnął i oddychać ciężko począł, wydając od czasu do czasu odgłos, który się da przez wypychanie silne z głębi piersi głosek a, pih wyrazić.

— Aph...

Powieki zamykał, nie usypiał jednak.

W stanie tym pozostawał godzinę blisko, po czym zdrzemnął.

Po przedrzemaniu się, które niedługo trwało, ziewnął raz parę szeroko, dźwignął się, usiadł i na Stefana popatrzył.

— On przez drzwi powie, ażeby wezwano do nas freihera von Windeck.

Stefan rozkaz wykonał. W chwilę później freier stał przed obliczem cesarza.

— Wezwaliśmy cię — zaczął ten ostatni — wierny nasz w celu dokonania ścisłego obejrzenia komnaty, którą nam książę litewski na mieszkanie wyznaczył.

— Oglądałem już ją, najjaśniejszy panie.

— I cóż?

— Nic, najjaśniejszy panie.

— Litwinowi dowierzać nie można.

— Miałem też to na względzie i zrewidowałem pilnie kąty i ściany wszystkie, azali nie ma gdzie przejścia jakiego tajemniczego.

— I nie ma?

— Zdaje się. Próbowałem. Ściany pełne. Przypatrywałem się podłodze; nie odkryłem podejrzanego nic.

— A może... zrewidujemy jeszcze.

Wstał, skinął na Stefana, ażeby i on wziął w rewizji udział, i we trzech chodząc opukiwali ściany i podłogę. Opukiwanie i nasłuchiwanie zajęło czasu sporo, do żadnego jednak nie doprowadziło rezultatu albo raczej doprowadziło do rezultatu tego, że przekonano się, jako Witold żadnego w tym względzie podstępnego nie żywił zamiaru. Nie oczyszczało to jednak księcia Litwy w oczach cesarza.

— Wiarołomcy takiemu jak on dowierzać nie można — rzekł do von Windecka.

— Nie można, najjaśniejszy panie.

— Nie bez zamiaru zabrał nas on na sanie swoje.

— Zapewne. Nie dopuścił się atoli żadnego względem świętej waszej cesarskiej mości osoby zamachu.

— Zabraliśmy ze sobą jego — tu ukazał cesarz na Stefana — kawalera orderu smoka.

Freiher uchylił głowę jakby na znak, iż krok ten znajduje całkowite jego uznanie.

— Zakłopotani nieco jesteśmy — ciągnął cesarz — myśląc nad tą ewentualnością, że jeżeli nie Jagiełło, to książę Litwy i niejeden z Polaków i Litwinów zażąda, ażebyśmy mu udzielili posłuchania na osobności. Dowiedzieć niesposób jaszczurczemu temu rodowi.

— Od waszej cesarskiej mości zależy udzielenie lub nieudzielenie posłuchania tego rodzaju.

— Tak, niezawodnie. My atoli sami będziemy potrzebowali pomówić z tym lub z owym. A z ludźmi takimi nie radzi byśmy pozostawać sam na sam.

— Słowa waszej cesarskiej mości, jak zawsze, tak obecnie, cechuje mądra przezorność. Wszakże, pozwolę sobie zwrócić jego cesarskiej mości uwagę na to, że tam — tu ręką wskazał na drzwi — za drzwiami tymi stoi warta.

— Za drzwiami — podchwycił cesarz. — Zanim drzwi otworzy...

— To prawda, wielka prawda. Hm? Zanim drzwi otworzy?

Cesarz obejrzał się po komnacie, pomyślał przez chwilę i:

— A! — zawołał tonem, którym się wywołuje rozwiązanie zagadnienia. — Tam, za tą kotarą!

— Za kotarą? — zapytał von Windeck.

— Tak, gdy Jagiello lub Witold, lub biskup krakowski, lub ktokolwiek będzie tu z nami...

— Biskup krakowski? — zawołał von Windeck głosem, w którym brzmiał akcent przerażenia.

— Cóż! We wspaniałomyślności naszej nie możemy i wogom naszym przystępu przed oblicze nasze odmawiać. Jesteśmy jako słońce, które przyświeca wszystkim zarówno. — Słowa te wyrzekł Zygmunt tonem, w którym pychy wcale czuć nie było. — Owóż, gdy bądź Jagiello, bądź Witold, bądź biskup krakowski, bądź też ktokolwiek z rodu jaszczurczego Polaków lub Litwinów będzie tu z nami, wówczas on — tu na Stefana oczami ukazał — będzie tam, za kotarą, z mieczem dobytym, w pogotowiu pośpieszenia ku nam na pierwsze skinienie.

— O! — zawołał von Windeck zwracając się do Stefana i dłonie podnosząc — cóż za szczytne dla waszej nawskróśjasności powołanie!

— Chcemy mu dać przez to dowód łaski naszej i naszego zaufania.

— O, zaiste! Nawskróśjasność jego rozumie granic wszelkich pozbawioną wysokość zadania, jakie na nią spada. Będzie tam siedziała i czuwała — tu freiherr, po-stąpiwszy kroków kilka, odchylił zasłonę, ukazując miejsce, które ma Stefan zajmować na przyszłość. — Będzie tam siedziała i czuwała w pogotowiu do rzucenia się, jako lwica lwiątek swoich broniąca. Czy to jego królewska

mość Jagiello, czy to jego wielkoksiażęca mość Witold, czy to jego świątobliwość biskup krakowski, którego nawskróśjasność jego zauważyć musiała po odznaczającej się dorodności, czy to ktokolwiek z rodu jaszczurczego wiarołomnych Polaków lub Litwinów, szczególnie zaś biskup krakowski odważy się okazać zamiar jaki, zdrażający nieprzyjazny względem osoby jego cesarskiej mości zamysł, natychmiast nawskróśjasność jego skoczy jako lew rozjuszony i uderzy jako piorun.

— O! — zaczął Stefan. — Już to, jak ja skoczę i uderzę... Ale...

— Ale co? — zapytał cesarz.

— Nie ma co skakać i uderzać na króla polskiego albo na wielkiego księcia litewskiego.

— Czemu?

— Ta i gdzieżby na waszą cesarską mość porywać się śmieli tacy starce zgrzybiali!

— Hm? — mruknął cesarz z uśmiechem, głową rzucając.

— Starce, to prawda — podchwycił von Windeck — a siłę młodzieńczą zastępują chytrącią, a odwagę bezsumiennością. Tacy to szkodliwsiymi i niebezpieczniejszymi bywają od najmłodszych i najsilniejszych.

Zygmunt aprobacyjnym skinieniem poparł słowa freihera, który dodał jeszcze, że niebezpieczniejszym atoli od nich jest biskup krakowski.

Czytelnik z zestawienia dat domyśla się, że biskupem, który tkwił freiherowi ćwiekiem we łbie, był nie kto inny, jeno wielce cdważny, wielce zuchwały, wielce ambitny, wielce Kościołowi zasłużony Zbigniew Oleśnicki, mąż tegiej głowy, mocnej dłoni, pięknej postawy i pełnej siły wieku męskiego, liczył bowiem w onym momencie równo lat czterdzieści, znanym zaś był na dworze

cesarskim tak z grunwaldzkiej potrzeby, jako też z poselstwa w r. 1419.

Gdy freiherr von Windeck z naciskiem szczególnym niebezpieczeństwo ze strony biskupa zagrażające zaznaczył, drzwi się lekko uchyliły i przez nie oznajmiono, że ktoś freiherra widzieć pragnie. Freiherr wyszedł; po chwili powrócił z oświadczeniem, jako dwaj komturowie krzyżaccy, wielkiego mistrza pełnomocnicy, upraszają najpokorniej o pozwolenie stawienia się przed obliczem najjaśniejszego pana.

— A! — odezwał się Zygmunt i dając palca skinieniem Stefanowi znak, dodał: — on więc niech ma się precz.

Stefan wyszedł; do komnaty wkroczyli dwaj mnisi, naznaczeni krzyżem czerwonym „na białej kapicy“ — dłonie złożone, głowy pochylone, powieki spuszczone, miny pokorę głęboką wyrażające: weszli i podchodząc do Zygmunta, który tymczasem usiadł, oddali mu pokłon niski, zatrzymując się opodal.

— Ojcowie rycerscy — odezwał się cesarz — usiąść wam w obecności naszej i przemówić do nas łaskawie pozwalamy.

— Najjaśniejszy, najłaskawszy, najwspaniałomyślniejszy, najmędrzy i najpotężniejszy cesarzu i królu, panie a panie nasz — zaczął jeden — pośpieszamy do ciebie z tym najprzód, ażeby ci od naszego wielkiego mistrza, sługi twego pokornego, w imieniu zakonu naszego, który ty opieką swoją wspaniałomyślną osłaniasz, złożyć hołd czołobitny. Przyjm, o panie — dodał, dłonie złożone wyciągając — wyraz uczuć zakonu, który w tobie słońce swoje widzi.

— Przyjmujemy najłaskawiej — odparł Zygmunt poważnie, zapytując po chwili: — Czemuż mistrz wielki nie przybył do Łucka osobiście?

— Nasz wielki mistrz niczego nie pragnął tak gorąco jak móc spojrzeć na oblicze twoje, najjaśniejszy panie, ale duch buntu, szerzący się po miastach pruskich a podsyćany z zewnątrz, zniewolił go w Malborgu pozostać i wysłać na miejscu swoim nas dwóch niegodnych.

— Cóż tedy? Jakże sprawa stoi?

— Najjaśniejszy panie, nie oczekuj po nas, ażebyśmy, ciemnymi i prostymi będąc, zdołali udzielić ci skazówek do rozpoznania się wśród fałszu, obłudy i wiarołomczej przewrotności, jakimi tu samo, rzecz można, powietrze napełnionym jest. Inaczej być nie może, gdy Jagiełło w tym celu święty chrzest przyjął, ażeby na bogobojny nasz zakon świętokradzkie podnieść ramię. Z pokorą przyjęliśmy dopust ten boży i z pokorą go znosimy słuchając jęku męczenników naszych, co pod Grunwaldem ofiarne złożyli głowy i wołają o pomstę do nieba. Do kogóż w imieniu owych męczenników naszych udamy się, jeżeli nie do ciebie, potężny a najjaśniejszy, najwspaniałomyślniejszy, najłaskawszy i najmędrszy cesarzu i królu!

Tu obaj zakonnicy dłonie wyciągnęli ku Zygmuntowi, który głową skinął poważnie i po chwili milczenia odparł:

— Słusznie czynicie ojcowie rycerze, iż w nas ufność pokładacie. Obmyśliliśmy łaskawie wszystko. Możecie być pewni, że krew męczenników pomszczoną będzie, należy atoli postępować rozważnie z przeciwnikiem chytrym i podstępny... należy go osłabić najprzód i osłabiwszy, dopiero cios zadać.

— Najjaśniejszy panie... słowa z dostojnych ust twoich wychodzące są mądrością samą, przed którą my, ciemni i niegodni, czoło chylimy.

— Należy być cierpliwymi i czekać.

— Czekać? Panie i królu najjaśniejszy! — zawołał mnich — w cierpliwości i pokorze czekać gotowiśmy, chociażby nam przyszło się wyglądać ramienia sprawiedliwości bożej, podnoszącego się w oczach nie naszych, a tych, co po nas przyjdą za lat trzysta trzydzieści trzy!

— No — podchwycił cesarz łaskawie — na tak długą próbę cierpliwości waszej wystawiać nie chcemy. Natychmiast, nie dziś, ale jutro, przywołać do siebie każdego Witolda i królem Litwy go zamianujemy.

Krzyżacy spojrzeli spod oka jeden na drugiego, spojrzeniem tym porozumieli się i jeden z nich zaczął:

— Mądrość twoja, o panie najjaśniejszy! nie potrzebuje rad naszych niegodnych. Jeślibyś jednak pozwolić raczył uwagę jedną pokorną uczynić, to ośmielilibyśmy się hazardować z takową.

— Pozwalamy łaskawie — rzekł cesarz po namyśle chwili.

— Czy nie wypadaloby wstrzymać się, aż litewski książę sam pierwszy do ciebie, najjaśniejszy panie, prośbę o koronę królewską zanieśie?

— Hm — mruknął cesarz. — Hm? Można by. Witold dumny: a nuż duma nie pozwoli mu do prośby się zniżyć?

— Oo! — odezwali się Krzyżacy obaj, a uśmiechem ironicznym oblicza się im oblały. — Witold dumny? tak... dumny ale... oraz i — tu odpowiadający westchnął — próżny. Duma i próżność walczyły długo w duszy jego, w końcu ta ostatnia zwycięstwo odniosła.

— Toć on, próżny, będzie wołał, ażeby jego proszono.

— Będzie wołał niezawodnie: w takim jednak razie każe się prosić o wszystko i stanie się trudnym. Nie, najjaśniejszy cesarzu i królu, uwaga nasza pokorna, którą z całą właściwą ciemnocie, w jakiej pogrążeni jesteśmy,

nieśmiałością wobec takiego jak ty światłego monarchy wypowiadamy, jest ta, że doprowadzić należy Witolda do prośby, do prośby jak najuniżeńszej. Niech koronę królewską wyblaga sobie i wymodli, niech ją okupi... ofiarami.

Wyraz „okupi“ zafrasował cesarza, spojrzał na freihera von Windeck i poznał z oczów wiernego sługi, że ten zrozumiał całą wyrazu tego doniosłość polityczną i moralną.

BURZLIWE OBRADY

Ciekawym jest wielce zapytanie, któremu by można charakter historyczny nadać: co też porabiali tak liczni w Łucku goście? Na zapytanie to odpowiedzieć możemy przez przybliżenie, na podstawie obrachowania, które wyprowadzimy w sposób następujący. Ułożymy proporcją gościnności polsko-litewskiej, biorąc za punkt wychodni cyfrę 1, która niech nami oznacza gościnność w dobie dzisiejszej, to jest w roku pańskim 1876. Proporcja nasza będzie arytmetyczną — przesadzać nie chcemy: będziemy do cyfry 1 dodawali po jednostce na każdy z wieków upłynionych i za pomocą otrzymanego w ten sposób rezultatu wyobrażali stopień gościnności praojców i prapraojców naszych. Tak tedy, gościnność 1 w roku 1876, będzie 2 w roku 1776, 4 w roku 1576, 5 w roku 1476. Przypuścmy, że pomiędzy rokiem 1476 a 1430 niewielka we względzie gościnności zachodziła różnica, a chociażby i zachodziła, to mniejsza już tam o to, zawsze rezultat, jakiśmy otrzymali, jest ten, że gościnność w roku 1430 w stosunku do gościnności w chwili obecnej była większą pięć razy. W naszych czasach ugoszczenie na tym polega, ażeby gościa, odtrącając czas na spanie, sześć razy na dobę tego nakarmić, to jest dawać mu jeść co półtrzecia godziny. W czasach przeto

owych karmiono gościa na dobę razy trzydzieści, czyli dawano mu jeść co pół godziny, czyli karmiono go ustawicznie od rana do wieczora. Coś podobnego być musiało, biorąc miarę z owych 700 wołów zjadanych dziennie. Na podstawie obrachowania tego wytłumaczmy sobie podanie o wołach, a zarazem przedstawimy sobie jasno jak na dłoni, że zjazd w Łucku w roku pańskim 1430 nie innego nie robił, jeno jadł i pił, pił i jadł, jadł i pił. Zjadano na dzień, twierdzą dziejopisarze, 700 wołów etc. i wypijano, okrom wina, małmazji i piwa, 700 beczek miodu. Co też to za piwnice bezmierne w zamku łuckim być musiały, kiedy samego miodu pomieścić w sobie mogły beczek 35000! Odmiennymi też być musiały w wieku owym prawa fizyczne: miejsce, na którym dziś postawić możemy beczkę jedną, mieściło zapewne beczek pięć, jeżeli nie więcej. Ze wszystkiego tego, jako też ze szczupłości relacji o obradach wypada, iż mężowie dostojni, którzy się na Trzech Króli w roku 1430 w Łucku zgromadzili celem załatwienia spraw bardzo ważnych, więcej bez porównania jedli i pili, aniżeli obradowali.

Nie przypuszczamy, ażeby się karmić mieli co pół godziny, jak nam z obrachowania wypadło; przypuszczać jednak możemy śmiało, że przestanki pomiędzy jedzeniem a jedzeniem obrachowane były li tylko na wydychanie się. Zjedli, odetchnęli i dalej — z powtórzeniem. W ten sposób czas upływał miło, na zajęciu ustawicznym. W pierwszych dniach zwłaszcza uczta następowała po uczcie, do każdej zaś przygotowywano się za pomocą przekąsek.

Nie obeszło się atoli i bez obrad, które dwa zajęły posiedzenia. Cesarz naznaczył dzień, w dniu więc oznaczonym wszyscy, co byli senatorami i ludźmi wysoko urodzonymi, udali się najprzód do świątyni pańskiej ce-

lem wezwania Ducha Świętego o natchnienie, następnie zgromadzili się w najwspanialszej i najobszerniejszej komnacie zamkowej.

Zgromadzenie przedstawiało się imponująco. Tu ława senatorów polskich o butnych minach, tam ława biskupów w infułach, tam książęta, dalej posłowie dworów zagranicznych, a przed ławami wszystkimi trzy wywyższenia, jedno środkowe najwyższe, dwa boczne niższe nieco, pierwsze dla Zygmunta cesarza, dwa drugie dla królów: polskiego i duńskiego.

Cesarz Zygmunt, przywykły zasiadać wśród książąt udzielnych i na soborach, znajdował się w żywiole swoim. W pałacu cesarskim, w koronie, otoczony dostojnikami państwa i gwardią rycerzy orderu smoka, tronował z góry, nakazując poszanowanie dla wspaniałej i pięknej osoby swojej. Ukonstytuował zgromadzenie, powołując na referentów mężów ze stanu duchownego. Na skinienie jego jeden z dostojników odczytał akt powołania, którym oznajmił wszem wobec i każdemu z osobna, iż celem zebrania i przedmiotem obrad jest obmyślenie sposobów ratowania chrześcijan z ucisku niewiernych.

— Najjaśniejsi, jaśni, wysoko urodzeni, najwielebniejsi i dostojni bracia i panowie — przemówił cesarz następnie — chrześcijaństwo w wielkim, w nadzwyczajnym, rzec można, jest ucisku. Nie dosyć, że niewierni morczą, ścigają i zabierają w niewolę naród, ale jeszcze ręką świętokradzką burzą świątynie pańskie, nie dosyć, że burzą świątynie, ale jeszcze oblegają gród Konstantyna, w którym wznosi się ten kościół dziwnej struktury, znany nam wszystkim pod imieniem świętej Zofii. I cóż nastąpi, jeżeli niewierny Konstantynopol zdobędzie i zburzy kościół świętej Zofii? Nastąpi płacz srogi i ciężkie zgrzytanie zębami... Nie, to nastąpić nie powinno. Najjaśniejsi, jaśni,

wysoko urodzeni, najwielebniejsi i dostojni bracia i panowie, obradujemy pod inwokacją Ducha Świętego. On ześle na nas światła zdroje i światłem owym oświeci umysły nasze. Obrady otworzone... Pozwalamy najjaśniejszym, jasnym, wysoko narodzonym, najwielebniejszym i dostojnym, tu około osoby naszej zgromadzonym, zabierać głos w celu podawania nam rad i sposobów w sprawie tak świętej.

Cesarz skończył i czekał. Przez czas jakiś panowała cisza, aż powstał mąż w płaszczu białym z czerwonym na płaszczu krzyżem.

— Żadnej ja rady, żadnego nie podam sposobu — był mąż owego słowa. — Ciemny, w naukach nie polerowany, w światowym życiu niegładzony zakonnik, z czymże by mógł się odezwać wobec tylu zgromadzonych tu moczary i doktorów, duchownych i świeckich? Jeżeli przeto odzywam się, to jedynie w celu odparcia z góry zarzutu, jaki spotkać może mój zakon. Wszak niejedyn powiedział, niejedyn też pomyśleć gotów: chodzi o wojowanie niewiernych, o ratowanie chrześcijaństwa ginącego, czemuż na teatr bojowy nie śpieszy zakon krzyża świętego? Ja sam, równie jak braciszczowie wszyscy, bijąc czołem o ziemię, gorącymi też ziemię oblewamy łzami i sami się obwiniemy. Powinniśmy być nie tu, nad brzegami mętnej, toczącej glinę i piasek Wisły, a tam gdzie nurty rzek krwią chrześcijańską spływają, skąd dochodzą nas jęki mordowanych, skąd wyciągają się ku nam dłonie błagalne. Powinniśmy być tam, czynić z piersi naszych przedmurze dla grodu Konstantyna, stając pod tym labarum świętym, na którym jaśnieje wizerunek krzyża widzianego przez Konstantyna Wielkiego na niebie w otoczeniu napisu: in hoc signo vinces. Tegoż samego krzyża wizerunek czczeni się na odzieży naszej. Wzywa nas powołanie, powinność święta... och!... — tu mówca dłonie i oczy do

góry wznioł — i o nic też Pana na wysokościach gorącej nie błagamy jak o zbliżenie tej chwili, w której zakon nasz pośpieszyć będzie mógł na boje przeciwko niewiernym, na obronę wiernych. Ale, najjaśniejsi, jaśni, wysoko urodzeni, najwielebniejsi i najdosłojniejsi monarchowie i panowie, możemyż śpieszyć tam, zostawiając tu krwawą pracą nabyte dobro, nie nasze, a chrześcijaństwa całego? możemyż dobro to na poniewierkę wystawiać? możemyż iść ku wiernym, nękanym przez niewiernych, ku łakującym i spragnionym, nie wioząc im okruszyny chleba na posiłek i kropelki balsamu na orzeźwienie? możemyż, na koniec, nie bronić własności ich napastowanej... napastowanej przez kogo?... W prostocie mojej mniszej, w skromności i pokorze, nie chcę i nie mogę nikogo oskarżać, ale za czyją to sprawą bieli się pod Grunwaldem pole zasłane trupami czterdziestu tysięcy rycerzy, którzy gdyby nie polegli, jakimże dzielnym wsparciem byłiby najjaśniejszemu i najwspaniałomyślniejszemu monarsze, przed obliczem którego zgromadzeni jesteśmy w tej oto chwili? Kto temu winien? Nie oskarżam nikogo... Oczyszczać am jeno zakon mój oświadczając uroczyście wobec zgromadzenia tego najświetniejszego, że rycerstwo krzyża świętego byłoby od dawna nad Dunajem, gdyby nie napastowano dobra. przy którym sam Bóg na straży je postawił.

Mąż w białej, krzyżem czerwonym naznaczonej odzieży usiadł, a oczy wszystkich obecnych utkwiły w starcu-królu zasiadającym na podwyższeniu po prawej stronie cesarza.

Komtur krzyżacki wystąpił z oskarżeniem przeciwko Jagielle. Wszyscy to zrozumieli, Stefan nawet. obecny na zgromadzeniu w charakterze podwójnym, księcia chrześcijańskiego i kawalera orderu smoka. Stefan o tyle już rozpoznał sprawy tego świata, że się domyślił nadanie, iż zarzuty krzyżackie tyczą się króla polskiego. Zwrócił

więc jak wszyscy wzrok na Jagiełłę i popatrzwszy przez chwilę, rzekł sobie w duchu:

— Winien...

To samo zapewne pomyśleć musieli wszyscy. Jagiełło bowiem miał taką minę jak zbrodniarz na gorącym schwytany uczynku. Migotał oczami, to je podnosił, to spuszczał, niekiedy zaś ciskał spode łba przelotne spojrzenia, pełne dzikiego jakiegoś wyrazu. Wnet atoli odwróciła się od króla uwaga powszechna, a zwróciła się całkowicie na męża w infule, który, powstając, pastorałem mocno o podłogę stuknął. W infulacie tym frapowała szczególnie dorodność niezwykła, połączona z zawieszonym nad wyniosłym czołem wyrazem dumy. Wstał, wzrokiem powiodł dokoła, zatrzymał oczy na cesarzu i zaczął:

— Mnie to, com pacholęciem ze złamanym od kopii drzewcem zasłaniał pomazańca bożego; mnie, com później, gdy w obronie słuszności stawał, śmierć w nurtach Warty miał znaleźć; mnie to odpowiedzieć przystoi na wyrzeczone przez wielbnego ojca, zakonu krzyża świętego dostojnika, słowa. Dobra, o których przerzeczony ojciec wielbny wspominał, nie są napastowane, a tylko rewindykowane na mocy praw natury i dekretów ojca świętego. Dobra te nie mogą w ręku monarchy chrześcijańskiego nie obrócić się na korzyść chrześcijaństwa całego. Nieśłusznie zatem zakon krzyżowy, dla rzekomej dóbr onych obrony, nie wyrusza w pole przeciwko niewiernym. Naród ten, na czele którego stoi monarcha, co z błędów poganizmu obmył siebie i dziedziczne księstwo swoje; naród przywiązany do kościoła świętego katolickiego; naród, którego monarcha odpycha z pogardą korony nie błogosławione przez ojca świętego; naród taki, zaiste, cały, jako mąż jeden, wyciągnąłby przeciwko niewiernym, gdyby widział zakon krzyżowy nie u ujść Wisły, gdzie po ochrzczeniu Litwy i Żmudzi nic mu już do czynienia

nie pozostaje, a nad brzegami Dunaju, na gruncie zbroczonym krwią niewinną, przelewana przez wrogów Chrystusa. Niech zakon pozostawi dobra pod pieczę monarchy bogobojnego, kapłanów stolicy apostolskiej wiernych i nrodu chrześcijańskiego i niech da przykład, niech idzie przodem! To powołanie jego, niechże je pełni: my spełnimy swoje!

Po słowach ostatnich, wyrzeczonych w towarzyszeniu gestu imponującego, infułat usiadł. Jagiello spojrzał na niego z wyrazem wdzięczności w oczach i głowę spuścił. Policzki starca drgały nerwowym drganiem. Król czuł, że tron, na którym siedział, zmienił się dla niego w ławę oskarżonych. Jakoż oskarżenie nie poprzestało na tym, co wygłosił dostojnik krzyżacki. Dał się słyszeć głos z wysokości, z tronu cesarskiego. Zygmunt, nie wstając, zaczął:

— Nie jest zamiarem naszym oskarżać kogo ani też występować przeciwko komu. Szala sprawiedliwości, którą Bóg nam w ręce dał, stać winna w równej mierze. Wszakże w sprawie tak wielkiej i świętej, jaką jest obrona chrześcijaństwa, zagrożonego i srodze przez niewiernych uciśnionego, w sprawie takiej nie wolno nam w występcnej pogrążyć się obojętności i nie dać ostrzeżeń, jakich dobro sprawy wymaga. Uplywa już niebawem lat trzydzieści od czasu, jakeśmy rozpoczęli przeciwko wrogom Chrystusa walkę i, z ręką na sercu naszym cesarskim, powiedzieć musimy sumiennie, iż ukończylibyśmy ją już od dawna, gdyby nie przeszkody ustawiczne. Skądże głównie przeszkody owe szły? Czasu onego na wołanie nasze zbiegł się kwiat rycerstwa z całego świata chrześcijańskiego; pod rozkazami naszymi szły chorągwie monarchów wszystkich, z wyjątkiem jednego.. Jednego tylko monarchy chorągwie nie powiewały w nieszczęsnej, ale sławnej pod Nikopolis bitwie; powiewały jednak w bitwie pod Aussig.

— Bez pozwolenia naszego!... bez wiedzy naszej!... — krzyknął Jagiełło zrywając się.

— Z wiedzą!... Za pozwoleniem!... Cha, cha, cha!... — zabrzmiały okrzyki i śmiechy szydercze.

— Nie!... nie!... bez wiedzy!...

— Tak, z wiedzą!

Powstała wrzawa. Obecnych wielu z miejsc się pozrywało i wykrzykiwali, gestykułując zapalczywie. Pomiedzy tymi znajdował się i biskup krakowski, który przybrał postawę wyzywającą, pastorał wznosił do góry i palcem na cesarza ukazywał. W powietrzu krzyżowały się obelgi, a wśród wyrazów pojedynczych odróżniać się dawały następujące: „interdykt!... kłatwa!... łotrzyki!... Zygmunt Korybut!... husyci!... korona czeska!... król polski!...“ Wreszcie ucichło, a to po słowach z przyciskiem wymówionych przez biskupa krakowskiego:

— Jeżeli pod Nikopolis nie było chorągwi monarchy polskiego, to nie było też i krzyżackiej!

— Nie było jej jednak i pod Aussig — podchwycił cesarz. — Zresztą, my nie oskarżamy, a ostrzegamy jeno. Pod Nikopolis zwycięstwo ważyło się, brakło ciężaru niewielkiego, ażeby szala onego przechyliła się na stronę chrześcijaństwa. Nie potrzebujemy powiadać, jakiego to mianowicie ciężaru brakowało, potrzebujemy atoli dodać, że ciężaru tegoż samego, i to pomimo umowy wyraźnej i solennego przyrzeczenia, brakowało także pod Gołubacem. Brakowało jej także pod Gołubacem... — powtórzył cesarz i zamilkł, jakby oczekując na efekt słów tych.

— A nie wysłaliśmy Kobyłańskiego? — zawołał Jagiełło zwracając się ku cesarzowi z rękami wyciągniętymi. Cesarz ramionami ścisnął i odrzekł:

— Nie widzieliśmy ani Kobyłańskiego, ani hufców pod jego będących rozkazami. W każdym razie była to pomoc słaba, na żarty niby...

— Stosowna do układu.

— Nie życziwa, nie braterska, nie chrześcijańska, nie świadcząca o gorliwości w wierze.

— Stosowna do układów... — powtórzył Władysław.

— Spuściliśmy się na nią, zaufaliśmy królewskiemu słowu i zostaliśmy haniebnie... na sztych wystawieni.

— Postapiliśmy sobie stosownie do umowy wyraźnej — bronił się król polski.

— Zostaliśmy niegodnie oszukani! — dodał Zygmunt z naciskiem. — Gdyby nie niebo, opiekujące się wyraźnie osobą naszą, to tak pod Nikopolis, z powodu niestawienia się rycerstwa polskiego, które snadź wołało, aniżeli niewiernych wojować, miecze swoje ostrzyć na mnichów bogobojnych, jak pod Gołubacem, z przyczyny zawodu doznanego ze strony króla polskiego, bylibyśmy znaleźli śmierć nieochybną. Tak nadal pozostawać nie może. Albo jesteśmy monarchami chrześcijańskimi, albo nie jesteśmy; albo rozumiemy powołanie nasze, albo nie rozumiemy, albo umiemy dane dochowywać przyrzeczenie, albo nie umiemy.

— A list żelazny!... — krzyknął ktoś z ławy senatorów polskich.

Cesarz, usłyszawszy to, powstał rzutem jednym z tronu, wyprostował się, głowę dumnie do góry podniósł, wzrokiem surowym wkoło powiodł i podnosząc nieco poły płaszcza swego gronostajowego zaczął głosem godności obrażonej:

— Poznajemy, żeśmy niegodnie oszukani zostali, znajdując kacerzy w zgromadzeniu, które się składać miało z wiernych kościoła synów. Chlubimy się tym, żeśmy doktora ciemności i mistrza zatracenia wiekuistego na stos wyprawili. Stanowi to wieczną panowania naszego chwałę i nie mamy co robić w zgromadzeniu, w którym znaleźć się mógł nikczemnik ośmielający się nam chwały tej zaprzeczać i zasługujący jeżeli nie na to, co Husa

spotkało, to na to, ażeby mu język kleszczami wyrwan
i psom na pożarcie ciśnion został!

Niby minami wysadzona, wyskoczyła do góry spomiędzy senatorów polskich postać w delii czerwonej, futrem podbitej, okrywającej pancerz łuszczkowy, odznaczająca się wąsami wiechciastymi koloru w czerwony wpadającego; na ławę wskoczyła, wyprostowała się i na pierś sobie palcem ukazując odezwała się:

— Nie wiem, kto tu nikczemnik, nie ja jednak, Krystyn de Koziegłowy, herbu Zerwikaptur, kasztelan sądecki. Jam przyrzeczenia nigdy nikomu, wrogowi nawet memu, nie złamał!... jam jeszcze nigdy krzywo nie sądził i krzywo nie przysięgał!... Ja to zapytałem cesarza jegomości o list żelazny, a zapytałem z tej racji, że nie ma prawa domagać się dotrzymania przyrzeczeń ten, kto sam przyrzeczeń dotrzymywać nie umiel!... Mnie się wida, że cesarz jegomość nie przybył tu w celu ułożenia wojny przeciwko niewiernym, kiedy cesarz jegomość o wyrzucaniu języków mówi!... Ja to zapytałem o list żelazny i... oto mój język!

Wywalił język i pokazał takowy na wszechwidzenie.

Wywołało to tumult. Zygmunt zeszedł ze stopni tronu. Władysław Jagiello z jednej, król duński z drugiej strony coś do cesarza mówili, coś mu przedstawiali. Biskup krakowski, kiwając zamasyżcie palcem na kasztelana sądeckiego, wymyślał mu od świszczypały i wymawiał herb, krzycząc głośno, że Zerwikapturem pieczętują się fures et latrones. Książęta Rzeszy, niepomni na to, że na ich sejmach gorsze jeszcze dziać się zwykły rzeczy, okazywali oburzenie wielkie i zgorszenie. Witold przystąpił do cesarza, który na zbliżenie się jego stanął i łaskawie ku niemu ucho nachylił. To uspokoiło nieco wrzawę i w uspokojeniu tym słyszeć się dały w sposób dominujący słowa biskupa krakowskiego.

— Ho, ho! — mówił Zbigniew Oleśnicki z akcentem ironii w głosie. — My wiemy, w jakim to celu cesarz jegomość nawiedzić nas raczył. Nie chodzi mu o wojnę przeciwko niewiernym, a o ukoronowanie Witolda na króla Litwy... Ale, niedoczekanie jego!

Przy słowach ostatnich zrobiło się cicho i biskup zamilkł. Wówczas cesarz zabrał głos:

— Solwujemy posiedzenie dzisiejsze. Następne zwołamy za pomocą zawiadomienia, które rozesłać łaskawie każemy wybierając ku temu dzień, który za stosowny uznamy.

Za cesarzem wszyscy salę obrad opuścili. Pozostało jeno szczupłe senatorów polskich grono około biskupa krakowskiego, który się sierdził i miotał na dwóch mianowicie ludzi: na cesarza i na kasztelana sądeckiego.

— I czemu on języka za zębami nie trzymał! — wywolywał co do tego ostatniego — to mi senator!... to mi kasztelan! kasztelan drażkowy!... Kasztelani tacy za progiem być trzymani powinni... Zerwikaptur... Otóż i zerwał!...

— Prawdę on jednak powiedział — zauważył któryś.

— Wielka rzecz!... Nie sztuka prawdę mówić, sztuka mówić ją, kiedy należy. Cesarz jegomość dobrze zrobił, że Husa spalił... i ja bym to samo uczynił, gdybym go w diecezji swojej pojmał.

— Alebyś mu wiary nie złamał.

— A!... — wstrząsnął się biskup. — Krystyn de Koziegłowy!... Zerwikaptur... kasztelan! Bodaj mu język usechł!... Ale... — tu się zastanowił i odetchnął, jakby ciężar jaki z piersi zrzucając. — Mniejsza tam o to!... co się stało, to się nie odstanie, a... zdaje się... cesarz jegomość umyślnie obradami tak kierował, ażeby nic z nich nie było. Daj Boże, ażebym się mylił, przewidywać jednak należy, że teraz, teraz dopiero rozpoczną się knowania i matactwa. Czuwać nam potrzeba, mościwi panowie.

Król słaby, opadną go... kto wie, azali oprzeć się zdoła namowom, prośbom i groźbom. Nie można go na chwilę odstępować... Królowa jejmość trzyma z nami, lecz przez wzgląd na to, jak król o małżonkach swoich trzyma, niewielka z niej pociecha. Waszmość głównie, mości podkanclerzy — tu zwrócił się do księdza dobrej tuszy, który był Władysławem z Oporowa, herbu Sulima, dziekanem krakowskim — bacz na to, ażeby król jegomość nie pozostawał ani chwili sam na sam ani z cesarzem, ani z cesarzową, ani z księciem Witoldem, i kładź mu w uszy ustawicznie, iż bez rady koronnej i bez decyzji senatu nic obiecywać, nic stanowić nie może; gdybyś zaś spostrzegł, że kręto, bież co rychlej po eminencję jego, biskupa kujawskiego, posyłaj po wojewodę krakowskiego i dawaj znać mnie. My zaś, ze strony naszej, panowie senatorowie, nie zasypiajmy gruszek w popiele. Trzymajmy się razem i stawmy czoło na wsze strony. Opadnięci jesteśmy przez nieprzyjaciół, którzy kręcić umieją.

W tej samej chwili w komnacie cesarskiej składali cesarzowi powinszowania i podziękowania: książęta Rzeszy i pełnomocnicy krzyżacy.

— Nikt tak obrad prowadzić nie umie jak wasza cesarska mość — powtarzali pierwsi.

— Ubogi nasz zakon — mówili drudzy — jeżeli kiedy krzywdy swoje odbić zdoła, to będzie to zawdzięczał jedynie waszej cesarskiej mości.

— Udajcie się do cesarzowej — radził Krzyżakom ten ostatni. — Niech ona teraz weźmie sprawę ukrolestwienia Litwy na siebie. Ona, bliska jednej z małżonek Jagiełły krewna i córki jego ciotka, potrafi, jeżeli zechce, wpłynąć na niego.

PRYZRZECZENIE KRÓLEWSKIE

Stało się, co przewidział biskup krakowski. Knowania i machinacje rozwinęły się na wielką skalę, a to tym żywiej, że król polski, dotknięty do żywego na posiedzeniu, zachorował ze wzruszenia i musiał się do łóżka położyć. Wieść ta silnie wywarła wrażenie. Stanęło zapytanie: umrze czy nie umrze? Rzecz arcykłopotliwie przedstawiała się w pierwszym razie; gdyby bowiem śmierć królewska nastąpiła wrychle, wówczas opieka nad małoletnim następcą tronu przypadłaby naturalnie Witoldowi, który gdyby próżności w sobie pohamować nie umiał, gotów by przyjąć koronę królewską, którą by mu Polacy z ochotą ofiarowali. Ewentualność ta bynajmniej nie dogadzała widokom i interesom Zygmunta i Krzyżaków. Znaną im była słabość osobliwa Witolda do Polaków, którymi się rad otaczał i których nad Litwinów przekładał. To jednak było bagatelą wobec tego, że w takim razie na miejscu słabego, dającego się powodować i zastraszać Jagiełły stawał człowiek silnej woli, szerokich aspiracyj i szybkiej decyzji. Witold nie odrzucałby koron dla skrupułów sumienia religijnego: nie można było zaręczyć, iż jako król polski nie przyjąłby husytyzmu i Polski nie zhusycił, gdyby się to z jego zgadzało widokami. W Polsce, w której ziarna tu i owdzie kielko-

wały i głównie tylko duchowieństwo w wierności względem Rzymu naród utrzymywało, nie było to rzeczą do przeprowadzenia nader trudną. Wypadek podobny przewidywać się dawał. Dla niedopuszczenia więc onego, nie pozostawało, jak tylko wymóc na Jagiellu uznanie królestwa Litwy i przez to oddzielenie jej, odłamanie od Polski. Po odłamaniu niechby sobie Jagiello umierał. Tron polski po śmierci jego. dostałby się synowi małoletniemu, co sprowadziłoby anarchię, osłabienie i upadek. W tym stanie rzeczy należało naciskać na chorego króla, tym bardziej że Witold trzymał się na stronie, zachowując się tak, jakby czekał, ażeby inicjatywa wyszła nie od niego samego. Odezwanie się biskupa krakowskiego podrażniło go, lecz z granic cierpliwości jeszcze nie wyprzedziło.

Tak jak rzeczy stanęły, rola pośredniczki przypadała cesarzowej sama przez się.

Wnet po posiedzeniu. Barbara zgłosiła się do chorego króla, którego otaczały żona, córka i dwóch chłopaczków nieletnich. Władysław leżał na wznak, okryty futrami. U wezłównia jego siedział ksiądz podkanclerzy z różańcem w ręku. Cesarzowa przystąpiła do króla z oznakami wielkiej czułości.

— Cóż też to wasza królewska mość? Czy to nie wstyd, mając gości, chorować? Tak się nie godzi, mości królu!

— Cóż robić — była Jagielly odpowiedź. — Starość, krewniaczko...

— Starość? Co za starość!..

— Osiemdziesiąt i jeden lat, jak obszył.

— Komu jak komu, ale nie wam, krewniaku, na lata się uskarżać. Kto ma synów takich — tu wskazała na pięcioletniego Władysława i dwuletniego Kazimierza — ten w latach osiemdziesięciu wart więcej jak inny w czterdziestu.

Słowa te nieszczęśliwe podyktowało natchnienie. I królowa Zofia, i królowna Elżbieta, i sami król przyjęli je w sposób taki, jakby w próżnię wpadły. Królowa dzieci do siebie przygarnęła, jakby ją obawa o nie przejęła; królowna przymrużonymi oczami na ojca spojrzała; królowi wzrok zamigotał, popatrzał na cesarzową i chrząknął. Ta się wnet połapała i natychmiast zapytała:

— Cóż wam jest jednak? Co wam dolega?

— Ot... niby to gorąco, niby zimno... koło serca ckli...

— Radzicie się... doktora jakiego?

— Był doktor i za puls brał. Posłaliśmy po znachorkę, ażeby zlizala i odszeptala, bo jak się pokazuje, to tu nie ma nic innego, tylko złe oczy. W tej tam komnacie patrzyło na mnie ócz tyle, to zapewne zdarzyły się pomiędzy nimi jakieś złe.

— Zapewne... — odrzekła cesarzowa. — Toć my was, mości królu, odwiedzimy jeszcze i jeszcze, bo nas do was serce ciągnie jak do brata rodzonego. Teraz zaś bywajcie zdrowi... niech' my już was w łóżku nie zastajemy więcej.

Oddaliła się, bo w zły moment trafiła. W tym dniu już się nie pokazywała i nazajutrz dopiero wpadła w chwili, kiedy Władysław znajdował się sam. Przygarnęła się do niego, przysiadła, w oczy mu popatrzyła, przytuliła się, rękę mu głaskała i prędko załatwiwszy się z powitalnymi preliminariami, przystąpiła do rzeczy.

— Słyszę, zachciewa się wielkiemu księciu litewskiemu korony królewskiej.

— A tak... — odrzekł król.

— Cóż wy na to?

— A cóż!... My tu sami nie możemy nic... Rada... Senat...

— Jak to?... Na Litwie nawet?... w kraju dziedzicznym? przypadającym waszej królewskiej mości po ojcu, po dziadach i pradziadach?

— Tak... ale... — począł król bąkać.

— Ja, przyznam się, nie rozumiem tego. Nie przemaszuję ja za Witoldem, bo co on mnie obchodzi, ale gdybym, dajmy na to, miała brata, którego bym za wierność, za miłość, za wieloletnie wysługiwanie się takie, jak się wam Witold wysługiwał, uczcić chciała, ukontentować koroną, której on pragnie, i oglądać się musiała na radę, na senat kraju innego, to czułabym się bardzo, bardzo poniżoną. Jak to?... to wy prawa nie macie ojcowizny waszej do dostojęstwa królestwa podnieść? A i cóż by to panom polskim szkodziło, że Litwa zostałaby nie księstwem a królestwem?... Co?... Powiedzcie sami, mości królu...

Jagiello ramionami wzruszył i odrzekł:

— Powiadają: takie prawo... hramota, a w niej napisano stoi...

— Co powiadają, to jeszcze sprawdzić należy, tu zaś o cześć waszą chodzi. Czy macie co przeciwko temu, ażeby się Witold nie wielkim księciem, a królem mianował?

— Cóż... On, wielki książę, jest jakby królem...

— A więc, zaprawdę, dostojęstwo wasze wymaga tego, ażebyście kraj wasz dziedziczny przez Witolda do godności królestwa podnieśli. Pocieszył was Pan Bóg dwoma synami... jeden będzie królem polskim, drugi królem litewskim...

— Co?... — zawołał, jakby słowami tymi zafrapowany.

— Możecie to sobie u Witolda zastrzec, zawarować.

Jagiello kilkakrotnie powiekami łypnął, brwi zmarszczył, przeciągle na cesarzową spojrzął, ta zaś, przymilając się do starca, nie przestawała tuląc się do niego dowodzić mu głosem szczebiotliwym, co to za korzyść, co to będzie za zaszczyt, jeżeli Litwa królestwem a Witold królem zamianowany zostanie.

— Bo to — powiadała — niby to nic, a rzecz wielka... Witold wam wierny, będzie dziesięć razy wierniejszy.

Oto, na ten przykład... Cesarz jegomość, najdostojniejszy małżonek nasz, obawia się zamachu na osobę swoją. Cóż robi?... Wymyśla order smoka... Order smoka?... blaszka i tytuł: owóż każdy z tych, co tę blaszkę i ten tytuł dostanie, gotów się za niego w drobne dać porąbać kawaleczki. Przed wyjazdem naszym z Budy zamianował kawalerem orderu smoka wojewodzica Chumu, człowieka, którego po śmierci stryja udzielnność czeka, i tak go tym sobie ujął, że wojewodzie nie odstępował cesarza, nie odstępował go, pomimo że młody i że nieraz zapewne chciałoby mu się pożartować i poweselić się. Ma żonę i dzieci, ani oni r u w głowie!... cieniem chodzi za starym cesarzem.

Jagiełły umysł był tego rodzaju, iż z łatwością całą wperswadowywał w siebie dawał. Nie była to właściwie łatwowierność, ale brak uzdolnienia do samodzielnego myślenia. Chwytał rozumowanie cudze, przyswajał je sobie i upierał się przy nim, upierał się tak długo, aż kto inny, podchwyciwszy chwilę stosowną, klina klinem, rozumowania rozumowaniem często wręcz przeciwnym z głowy mu nie wybił. Rozumowanie cesarzowej do przekonania mu trafiło. Wydało się mu niezbitym. Przyznał jej rację, wyciągnął się, westchnął, dłoń pod głowę sobie założył i w zamyślenie wpadł.

Cesarzowa, minister-niewiasta, uważała za stosowne nie nadużywać zwycięstwa, którego nawet za zwycięstwo stanowcze nie miała jeszcze. W zamiarze powtórzenia ataku zmieniła przedmiot rozmowy, zabawiła jeszcze chwilkę i opuściła chorego.

Wkrótce po odejściu jej wsunął się ksiądz podkanczerzy.

Wszedł, zatrzymał się na środku izby i nosem pociągnął. Zmarszczył się. Wyraz, jaki przybrała fizjonomia jego, powiadał: Był tu duch nieczysty. Poznał to z woni

subtelnej a rozkosznej, jaką cesarzowa po sobie zostawiła. Zamknawszy oczy sądzić się było można wśród krzewów różanych, osypanych kwieciem w całej pełni rozkwitu.

Ksiądz dziekan na króla spojrział. Król, jakby wejścia jego nie słyszał wcale, pogrążony był w zamyśleniu; z którego wyszedł po chwili, głowę odwrócił, uśmiechnął się do przybysza i o pogodę zapytał.

— Mroźno, najjaśniejszy panie... mroźno i róże nie kwitną...

— To wielka nowina.

— Która mi na myśl przyszła, gdym wszedł do tej komnaty...

— A to czemu? — zapytał Jagiełło.

— Temu, najjaśniejszy panie, że tu takie zapachy, jak gdyby komnata nie komnata, a ogrodem Palmiry była.

— Zapachy... A tak... — odrzekł król pociągawszy nosem lekko. — Wyszła stąd przed chwilą cesarzowa jejmość.

Podkanclerzy chrząknął. Król, poczekawszy trochę, o nowiny zapytał.

— Hm... tak dalece osobliwego nie ma nic... Goście bawią się, jedzą, piją.

— Wielki książe?

— Jego wielkoksiążęca mość gospodarzy. Przy zjeździe takim ma na głowie niemało.

Jagiełło westchnął i rzekł:

— Poślij, księżu dziekanie, po wielkiego księcia, niech raczy przyjść do nas na chwilkę.

— Natychmiast? — zapytał ksiądz cciagając się nieco.

— W tej chwili... jak najrychlej... Ha!...

Wykrzyknik ostatni, który się Jagielle niechcący z ust wyrwał, niedobrej był wróżby. Nie było jednak

rady. Rozkaz wyraźny nie dopuszczał zwłoki w wykonaniu. Książdz dziekan wyszedł, powrócił z oznajmieniem, iż stało się zadość woli królewskiej, i w niespełna minut dziesięć książę Witold siedział już obok łoża brata.

Rozmowa wszczęła się od tego, że Witold zapytał:

— Jakże tam ze zdrowiem waszej królewskiej mości?

— Niczego... Nie było nam nic innego, jeno złe oczy. Znachorka odszeptała i wnet się nam polepszyło... Odlewała z węgla od odźwierka...

— Ona i mnie kiedyś pomogła... na kolki. Zawięzała i... niby ręką odjął.

— Hm... — mruknął król i nagle zagabnął: — Cóż?... chce ci się bardzo, mości książę, korony królewskiej?

Zapytanie to zdziwiło w wysokim stopniu i księdza podkanclerzego, i księcia. Pertraktacje, jakie się w tym względzie toczyły, trzymały się dotychczas na gruncie pośrednictw, usiłujących pogodzić życzenia wielkiego księcia z wolą króla. Ta ostatnia, kierowana i podtrzymywana przez senatorów polskich, stawiała wyraźnie przeciwko życzeniu i powstrzymywała wielkiego księcia, który, wiedząc o usposobieniu króla, przybrał postawę wyczekującą. Miłość własna i polityka nie pozwalały mu wręcz wobec brata z życzeniem swoim występować. Pewnym zaś był, że Jagiello pierwszy nie zaczepi. Toteż zapytanie zaskoczyło go znienacka; nie wiedział, co na nie odpowiedzieć; oczy to podnosił, to spuszczał, ramionami ruszył, brwi podniósł i odrzekł:

— Hm?... czy chce się?... Postaw się wasza królewska mość na miejscu moim.

— Jesteś wielkim księciem... panem Litwy...

— Bóg widzi — ciągnął Witold dalej, jakby słów królewskich nie słyszał — jeżeli zaszczytu tego pragnę, to nie dla siebie, ale dla kraju: cóż ja jestem bowiem?... starzec nad grobem... samotny... bezdzietny... zrobiwszy

dla Litwy tyle, pragnąlbym jeszcze zostawić jej po sobie tę pamiątkę, którą chciał zostawić sławnej pamięci dziad nasz. Giedymin na mnie z grobu woła... Głos jego słyszę...

Jagiello w oczy patrzył Witoldowi, który, mówiąc wyrazy ostatnie tonem uroczystym, palce do góry podniósł.

— Duch Giedymina nad Litwą się unosi i domaga się dla niej czci.

— A następstwo?... — zapytał Jagiełło.

— Ja dzieci nie mam.

— Zygmunt?

— Któż mi rodzeńszym jest bratem: wasza królewska mość czy syn ojca mego?

Słowa ostatnie wymówił Witold z naciskiem serdecznym, od którego król stary podniósł się na poduszkach, ręce wyciągnął i wzruszonym odrzekł głosem:

— No... tak... niech więc stanie się wedle życzenia twego. Niech się stanie... Chcesz być Litwy królem, bądź nim... Król czy wielki książę, tyś mi zawsze bratem, a dzieciom moim ojcem.

Witold powstał z siedzenia. Wzruszenie głębokie mówić mu nie dozwalało; pochylił się jeno do rąk królewskich; król przygarnął go ku sobie, ramionami objął — dwaj starce spoili się w uścisku wzajemnym.

Świadek sceny tej, dziekan krakowski, wyniósł się w tej chwili z komnaty. Za progiem się znalazłszy poły od rewerendy podkasał nieco i spiesznym krokiem ruszył po zamku, wchodząc do izb niektórych, do innych zaś zaglądając jeno przez drzwi i następujące rzucając wyrazy:

— Imci panowie senatorowie, do sali obrad!

Zatrzymawszy się na chwilę w izbie, w której się zgromadzili dworzanie biskupów, wojewodów i kasztela-

nów, rozesłał gońców po mieście, zalecając im pośpiech jak największy.

— Natychmiast!... natychmiast!... — nakazywał każdemu z osobna.

Jakkolwiek jednak sam się śpieszył i, przypuszczać należy, śpieszyli się wysłańce jego, upłynęło czasu sporo, zanim izba obrad napelniła się o tyle, że możliwym się stało zagajenie posiedzenia. Z figur ważniejszych nie brakowało nikogo. Znajdowali się tam arcybiskupi: gnieźnieński, Wojciech II, herbu Jastrzębiec i halicki, Jan Rzeszowski, herbu Półkozic, biskup krakowski, biskup łucki i innych kilku jeszcze; dalej wojewodowie i kasztelanowie, również jak i wysocy dostojnicy koronni: wielki marszałek, wojewoda sandomierski, Jan Głowacz z Oleśnicy; wielki kanclerz, biskup kujawski, Jan IV Szafraniec, herbu Starykoń; wielki podskarbi Tomasz z Czarnki, marszałek nadworny Wawrzyniec z Kalinowy, herbu Zareba, kasztelan krakowski Krystyn z Ostrowa, herbu Rawicz, wojewoda krakowski i inni, a pomiędzy innymi Mikołaj z Sępna, herbu Szowina, starosta łukowski, który wszedł później nieco, już po zagajeniu obrad.

Obrady od razu około głównego zasnuły się przedmiotu i poszły dwoma prądami: gwałtownym, przewodnikiem którego był biskup krakowski, i umiarkowanym, prowadzonym przez arcybiskupa gnieźnieńskiego. Pierwszy stawiał veto bezwzględnie a stanowczo, drugi radził wniknąć w istotę rzeczy i w tym celu wyprawić do króla deputację z trzech mężów poważnych, którzy by się z nim pierwiej rozmówili. Rada ta przeważyla. Do deputacji wybrani zostali: arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski i wojewoda krakowski.

Przy królu nie było już Witolda. Miejsce jego zajęły niewiasty i dzieci: królowa, królowna i dwaj chłopcy,

z których młodszy, dwuletni Kazimierz, siedział przy ojcu na łóżku.

Jagiello, oparty o wysoko zasłane poduszki, przyjął deputację łaskawym głową pochyleniem, naakcentowanym uśmiechem, który oznaczać się zdawał: na próżno się trudzicie!

Arcybiskup, człek sędziwy i powagą urzędu wysokiego poważny, za pomocą przemówienia zręcznie ułożonego i dosyć obszernego zadał królowi zapytanie, odnoszące się, jak się wyraził, do pogłoski, na mocy której zesłi się senatorowie korony polskiej, a która jemu, arcybiskupowi i prymasowi, pamiętnemu postanowień przed dwoma z czymś miesiącami w Niepołomicach zapadłych, wydaje się niepodobną do prawdy.

— Uspokój, mości królu — tak się przemówienie owo kończyło — troskliwych o losy królestwa tego, o zbawienie wieczne Litwy, tej chrzestnej Polski córy, i o honor twój, mężów. Powiedz, że pogłoska ta nieprawdziwą jest.

Jagiello odsapnął i milczał.

— Rzeknij słowo, a słowo to niech się stanie balsamem pociechy dla stroskanych i strwożonych serc.

Król jeszcze milczał.

— Czyś przyrzekł wielkiemu księciu Witoldowi koronę królewską?

— Ano... Kiedy tak już wiedzieć chcecie... — odrzekł Jagiello zadając niejako sobie samemu gwałt — to... ot przyrzekłem... Przyrzekłem i już... Rzecz skończona... gadać nie ma o czym.

— Przeciwnie... — podchwycił przeciągle biskup krawkowski. — Gadać właśnie jest o czym, są tu bowiem do zestawienia przyrzeczenia z przyrzeczeniami. A Horodło, mości królu!... czy to rzeczy tak dawne, żeś zapomniiał już o nich? Jeżeliś o tamtych rzeczach zapomniiał, jeżeliś za-

pomnił o dawniejszych jeszcze, o uroczystych zobowiązaniach, powziętych przez ciebie w najuroczystszej w życiu twoim chwili, w chwili, w której lustrzana woda chrztu świętego zmywała z ciebie błędy pogańskie, jeżeliś zapomnił o przysiedze koronacyjnej, to nie mogłeś zapomnieć postanowień tych świeżych, które ci jego świętobliwość ksiądz prymas przypomniał. Cóż więc, jesteście po królewsku tak dalece własne lekceważyć słowa?

— I... co to za słowa! — wtrącił król.

— Co?!... — zawołał biskup, głosem zgrozą przepelnionym.

— Wy, jak się zbieracie w kilku, w kilkunastu, to jak krzyczeć poczniecie, to... ja i sam często nie wiem, co gadam. I oto z tego robi się potem słowo... słowo!... Oś, sztuka wetyka... — dokończył po rusku.

— Królu!... Mości królu!... I ty chcesz, żeby naród wiary dotrzymywał tobie? — z akcentem odpowiednim zapytał biskup. — Cóż byś powiedział na to, gdyby który z poddanych twoich, łamiąc słowo, nie chciał ciebie za monarchę?

— To by się mu łeb odcięło i koniec. Mnie zaś łba nie odetniecie, zdaje się...

— O, zgrozo!... I uszy moje to słyszą?... O!... — wzniosł biskup dłonie i oczy do góry — słońce, osłoń oblicze twoje i nie patrz na ziemię, na której król, narodu głowa, narodowi przykład taki daj!

— Mówię... że nie ma już gadać o czym... — podchwycił król. — Choćbyście, mości biskupie krakowski, na dzwonnice wleźli i krzyczeli, to nic nie pomoże. Stało się...

Oleśnicki zebrał w oczach swoich gromów tysiące i cisnął nimi na Władysława. We wzroku biskupa krakowskiego malowały się gniew, oburzenie i pogarda. Była to wymowa w rodzaju swoim, wobec której król głowę

pochylił i powieki spuścił. Zapanowało milczenie chwilowe i wśród milczenia zabrzmiał dźwięczny, łagodny wojewody krakowskiego głos.

— Najjaśniejszy panie — zapytał Jan z Tarnowa — powiedzieć nam raczycie, jakim to wy sposobem wielkiego księcia Witolda królem zrobicie?

— Wydamy hramotę... ot, jak! — odrzekł zapytany.

— Hramotę?... hm... To dobrze... Hramota się napisze... na tym jednak nie koniec. Hramotę, żeby walor miała, potrzeba podpisać i podpieczętować... podpisać i podpieczętować wam, królu i panie miłościwy, i kanclerzowi wielkiemu koronnemu, i senatorom kilku. Co poczniecie w razie, jeżeli ani kanclerz, ani z senatorów żaden podpisu i pieczęci pod hramotą waszą położyć nie zechce?

Władysław na te słowa usiadł, dłonie sobie na kolanach położył i wpatrzył się w Tarnowskiego, który mówił dalej:

— Kanclerz nie wyda pieczęci bez zezwolenia senatu, a bez pieczęci hramota wasza nie będzie złamanego halerza warta.

— A!... — rzucił się Władysław głowę podnosząc i przekąsu wyrazem wzrok napelniając. — Jestem nie tylko królem polskim, ale jeszcze i wielkim księciem litewskim. Wydam hramotę nie jako król polski, ale jako wielki książę litewski...

— A, to tego jeszcze, od kiedy świat światem, nie słyszano, ażeby wielki książę nominował królów. Jeżeli to zrobicie, mości królu, to będą się z was ludzie grubo śmieli.

— No!... — wykrzyknął król dłońmi się za głowę chwytając. — To już ja nie wiem, gdzie głowa moja. Anim pomyślał o tym!... Tfu!... To mi licha tego całego narobiła Barbara... cesarzowa... Przyszła tu, pachnąca... i jak dogadywać poczęła!... jak poczęła dogadywać, i przysiad-

wać, i dygać, tak ja i posłał po Witolda, i powiedział mu...
i przyrzekł. A terazże, co?... — powiódł oczami po sena-
torach. — E!... — ręką machnął. — Nie chcę wiedzieć
o niczym! I Witolda, i królestwo jego odeślę do senatu...
Róbcie sobie, co chcecie!... O niczym wiedzieć nie chcę!...
Ja chory... Mnie około serca mgli... Ja... o...

Położył się, do ściany odwrócił i kapę sobie na głowę
naciągnął.

WYMOWA A WYMOWA

Posiedzenie senatu znamionowało wystąpienie wymownego wielce i ciętego ogromnie Mikołaja z Sępna, starosty łukowskiego, który był niegdyś jednym z posłów wyprawionych na sobór konstancyjski. Dodano go dla, jak się wówczas powiadało, „wymowy ozdobnej i przezpiecznej“, dla której „nie tylko u swych, ale i pomiędzy postronnymi narody za niepodlego był poczytan“. Sam uczony mąż w czasach onych, Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński (nie żył już w czasie zjazdu łuckiego) wysoce go poważał. Odznaczała go osobliwa gładkość wymowy i niewyczerpana obfitość argumentów, za pomocą których potrafił, gdy zechciał, z rzeczy białej zrobić czarną, z czarnej białą — nigdy języka w gębie nie zapomniał, nigdy mu słów i dowodów nie zabrakło: brwi jeno podnosił, włosy w tył odgartywał i jechał. Jego to Witold jako rzecznika swego wysadził.

Jakeśmy rzekli powyżej, starosta łukowski wszedł później nieco. Równocześnie z wejściem jego nastąpiło wysłanie deputacji do króla. Nim deputacja powróciła, senatorowie prowadzili ze sobą rozmowy półgłosem i spoglądali z ukosa do góry, ku dwom otworom znajdującym się w murze, pod sufitem prawie, zakratowanym drobno cienkimi deszczuleczkami i zasuniętym wewnątrz firan-

kami. Jeden z otworów tych znajdował się na prawo, drugi na lewo. Były to chóry, galerie, loże, z których, nie będąc widzianym, widzieć i słyszeć było można wszystko, co się w sali robiło i mówiło. Wszystkie prawie zamki starożytne, służące za mieszkanie panującym, posiadały sale obrad, a w tych schrony tego rodzaju. Senatorowie nie dostrzec nie mogli, pomimo że kryjówkę na prawo zajmowali: cesarz, cesarzowa, dwaj komandorowie krzyżaccy, von Windeck i Stefan, w kryjówce zaś na lewo siedział Witold i w głębi trzech młodych dworzan w pogotowiu na posyłki. Nasz Stefan z ciekawością przypatrywał się widnym kogucim minom senatorów polskich, w oczach cesarza jaśniała pogarda; cesarzowa mrużyła oczy; Krzyżacy bardziej aniżeli wzroki natężali słuchy. Witold brwi namarszczył i ręce na piersiach skrzyżował. W loży jego panowała cisza. W loży cesarskiej toczyła się rozmowa, w której prym wiodła cesarzowa.

— Rzecz ciekawa — mówiła — co też z tym fantem panowie senatorowie zrobią. Twardy mają do zgryzienia orzech.

— Byle jeno Jagiello nie zmiękł — bąknął cesarz.

— A ba... Rzecz oparła się o Witolda. Przy tym umie on być upartym niekiedy, jako tego dowiódł w sprawie małżeństwa z Pilecką.

— Ludzie słabej woli bywają niesłychanie uparci — wtrącił po cichu z komandorów jeden.

Niebawem powróciła deputacja. Nastąpiła cisza. Arcybiskup gnieźnieński zdawał sprawę, którą zdawał w krótkich wyrazach. Oznajmił, że król uczynił księciu Witoldowi przyrzeczenie, dodając, że przyrzeczenie to wartości nie ma bez zgody senatu, do którego Jagiello całą odsyła sprawę.

— I który, rzecz prosta, zgodzić się nie może i nie zgodzi — dodał od siebie tonem apodyktycznym biskup krakowski.

— Czemu? — odezwał się głos z boku.

— Kto zapytuje? — zapytał biskup, jakby zapytać chciał: cóż to za śmiałek?

— To ja, eminentissime... — odezwał się tenże głos, a wraz z głosem podniósł się szlachcic łysy z podstrzyżonym wąsem. — To ja, Mikołaj z Sępna, do usług świątobliwości waszej. Do stópek się ściele i zapytanie dać się ośmielam.

— I w jakim to waszmość czynisz celu?

— W bardzo prostym i niezmiernie jasnym, eminentissime.

— Ja bym ten uczynił wniosek — przerwał głosem podniesionym Krystyn de Koziegłowy, herbu Zerwikap-tur, kasztelan sądecki — ażeby starosty z Łukowa do głosu nie dopuścić.

Starosta ręce zatarł i powoli wzrok na kasztelana podniósł.

— Bo — prawil dalej tenże — jeżeli imćpana Mikołaja z Sępna do głosu dopuścimy, to on nam tak nagada, że damy wielkiemu księciu Witoldowi koronę nie jedną a dziesięć i do godności królestwa podniesiemy nie samą tylko Litwę, ale i ziemię sądecką.

— Cha, cha, cha... — odpowiedziało śmiechem głosów kilka.

— Czemu, co do mnie — podchwycił Mikołaj z Sępna — nie sprzeciwiałbym się wcale, jako też i temu, ażeby nowe to królestwo miało za insygnia trzy łby kozie; sprzeciwiam się atoli temu, ażeby szlachcicowi wolno było głosu zabronić. Niech wolność ta pozostanie dla królestwa sądeckiego. Niech w królestwie onym ludzie nie przemawiają, a beczą. Tu zaś, w tym królestwie polskim, szlachcic mówić ma prawo i ja z prawa tego korzystam, korzystam z onego przede wszystkim w celu wyłuszczenia świątobliwości jego, biskupowi krakowskiemu, powodu, dla którego zapytać się ośmieliłem, czemu senat zgodzić by

się nie miał na udzielenie wielkiemu księciu Litwy tytułu królewskiego. Oto, eminentissime, wszystko na świecie rację swoją mieć musi. Jak słońce wschodzi dlatego, ażeby oświecać i ogrzewać, jak noc jest na to, ażeby do spoczynku prowadzić, jak Bóg stworzył człowieka na to, ażeby go znał, wielbił i na żywot wieczny pod protekcją biskupów zasługiwał, tak senat jest na to, ażeby na wszystko, na co się zgodzi i na co się nie zgodzi, rację podać umiał. Eminencja wasza rzekł: senat zgodzić się nie może i nie zgodzi. Przypuszczam, iż się nie zgodzi, przypuścić wszakże, przez sam dla senatu polskiego szacunek, nie mogę, ażeby wiedzieć nie miał czemu... Jeżeli mi świątobliwość jego wyłuszczy to i wyłuszczenie świątobliwości jego do przekonania mego trafi, w razie takim głowę uchylę i bez szemrania decyzję senatu przyjmę.

— Ja mościwości waszej — zaczął wnet biskup — odpowiem krótko i węzłowato. Senat nie chce, ażeby monarcha, który przysięgi składał i przyrzeczenia czynił, stał się przენiewiercą względem narodu. Król Władysław Jagiełło koronę na głowę wkładając zobowiązał się sprowadzić zjednoczenie dwóch narodów. Senat, sprzeciwiając się koronowaniu księcia Witolda na króla litewskiego, czyni to dlatego, ażeby, z jednej strony, nie dopuścić króla do wiarołomstwa, z drugiej, stanąć w obronie korzyści dwóch narodów. Oto masz waszmość rację, którą znać chciałeś.

Mikołaj z Sępna chrząknął, usta dłonią obtarł, łysinę sobie pogładził i tak odpowiedział:

— Trudno mi wyrazić wdzięczność głęboką, jaką przejmuję mnie wyjaśnienie udzielone przez świątobliwość jego, trudniej atoli jest mi w wyjaśnieniu onym rację dopatrzeć. Stopniowanie to trudności tłumaczę sobie tak: ponieważ wdzięczność pochodzi z serca, przychodzi więc

z łatwością; ponieważ zaś racja trzyma się głowy, należy przeto dla dopatrzenia onej rozum poruszyć i takowy za przewodnika wzięwszy, w racjach się rozpatrzeć. Owóż tedy, weźmy najprzód wiarołomstwo króla... Gdzie to i kiedy przysięgał, przyrzekał lub obiecywał król Litwy królestwem, księcia Witolda królem nie mianować? Gdzie nie masz przysięgi, przyrzeczenia ani nawet obietnicy prostej, tam nie masz wiarołomstwa, tam nawet złamania słowa zarzucić nie można. Może jednak myślę się ja, człek ułomny... Może kto o przysiędze podobnej, o przyrzeczeniu takim ze strony jego królewskiej mości wie co. Ten, co wie, niech mi w oczy powie, a natychmiast zamilkam i za pomocą milczenia mego jego światobliwości, księdzu biskupowi krakowskiemu, całą i pełną rację przyznając podnosząc wdzięczność moją względem niego do wysokości racji onej.

Zamilkł, razy parę przez nos czmychnął, ręce zatarł, po łysince się pogładził, poczekał chwilę, a nie doczekawszy się odpowiedzi żadnej, odchrząknął i dalej mówić zaczął:

— Wiarołomstwo tedy upada samo przez się. Rozpatrzmy się teraz w racji drugiej: czy nie jest ona istotniejszą od pierwszej. Król przyrzekł przyprowadzić do zjednoczenia Polskę z Litwą. Tak jest, nie inaczej... tak, przyrzekł. Dotrzymanie przyrzeczenia tego przyniesie, ba, przyniosło już niezmierne dla Polski i Litwy korzyści; przyniosło, powiadam, i nie za najmniejszą tę uważam korzyść, iż przydeptało do ziemi łeb krzyżackiej hydrze i na pysk jej, niby psu wściekłemu, kaganiec włożyło. Odetchnęła przez to i Polska, i Litwa... (W łoży cesarskiej cesarz i cesarzowa, komandorowie i nasz Stefan słuchy natężali)... Jest to korzyść niezmierna, której nie nadweręża i nadwerężyć nie może to, że się Litwa królestwem stanie. Te same powody, które ją jako księstwo z Polską złączyły, pozostaną przy niej jako królestwie i jeżeliby zaszła zmiana jaka, to ta tylko chyba, iżby obywatelstwo

królestwa litewskiego poczuło się bardziej w obowiązku służenia sprawie publicznej aniżeli obywatelstwo księstwa litewskiego. Zrównalibyśmy się lepiej. Zjednoczenie byłoby nie pomiędzy królestwem a księstwem, a pomiędzy dwoma królestwami. Zjednoczenie podobne byłoby nastąpiło pomiędzy królestwem polskim a królestwem czeskim, ale... al... — tu dłonie rozłożył — ponieważ chodziło nam bardziej o zbawienie wieczne aniżeli o znikome dobro doczesne, które by nam się przydało ze względu na Śląsk i na życzliwość sąsiadów naciskających na nas spoza gór i znad morza, daliśmy więc Czechom odprawę z kwitkiem (tu biskup krakowski chrząknął) i poczytujemy to sobie za zasługę przed Panem Bogiem... Niech i tak będzie... Tu atoli ze strony obywatelstwa przyszłego królestwa litewskiego najmniejsze wiecznemu zbawieniu naszemu nie zagraża niebezpieczeństwo. Są to nasi bracia chrzestni, związani z nami nie inaczej jak tym, że co korzystnym jest dla nas, to i dla nich, co pożytecznym jest dla nas, to i dla nich, co szkodliwym jest dla nas, to i dla nich, co zaszczytnym jest dla nas, to i dla nich i na odwrót. Owóż, zaszczytnym jest dla Litwinów podniesienie Litwy do dostojności królestwa; zaszczytnym jest to i dla nas, zwłaszcza jeżeli zaszczyt ten spłynie na nią za naszym dobrowolnym a bezinteresownym konsensem. Co się pożytku i korzyści tyczy, to tych dowiodę na odwrót, to jest wykazę jak na dłoni niemożliwość szkody. O co tu głównie Witoldowi chodzi? Oto o uczczenie pamięci dziada, Giedymina, o pozostawienie tego tytułu, który on jej nadał, a który się nie utrzymał, o nic więcej... Czy Witold ma synów, którym by tron w spuściźnie zostawiał? Czy następstwo na tron po Witoldzie nie należy do warunku, jaki mu senat polski poda? Gdzie też, w czym szkoda? W imaginacji chyba?... Albo też w tym może, że księciu, co przez lat trzydzieści idzie z nami ręka w rękę, Polaków garnie do siebie, Polaków miłuje, Polakami się otacza,

który nas na boje prowadzi i zwyciężać uczy, że księciu temu, przez udzielenie mu godności najwyższej, najwyższego zaufania dowód złożymy? Jeżeli umiemy ze zasług korzystać, to umiemyż i zasługi wynagradzać: a któż zasłużył się nam więcej nad tego w bojach posiwiąłego, z pancerza się nie wywlekającego księcia!

Po mowie tej, świetność której w podanym przez nas streszczeniu ginie, powstał w sali, po chwilowej ciszy, szmer lekki, który się stopniowo wzmacniał i przecinał głośniejszymi nieco wykrzyknikami, brzmiącymi aprobacją.

— Prawdę powiada... — odezwano się stąd

— Ma rację... — podniósł się głos zowąd.

— Ano... A cóż!... — słyszeć się dały przebąkiwania.

— Ja mówił, że tak będzie! — zawołał Krystyn de Kozieglowy.

Zabrał głos prymas. Uciszyło się w sali i w chwili tej spoza jednego z filarów wysunęła się nagle postać Witolda. Wielki książę stanął, wsłuchany niejako w słowa arcybiskupa gnieźnieńskiego, który czyniąc zrazu obiekcje i zastrzeżenia pewne, układał takowe w sposób taki, iż zgodnym szykiem podążały ku konkluzji tej samej, jaką mowę swoją zakończył starosta łukowski. W udzieleniu Witoldowi korony nie upatrywał niebezpieczeństwa dla dwóch narodów. Tego, ażeby we względzie tym istniały przysięgi lub zobowiązania formalne, nie przyznawał.

— Co do mnie — zakończył — nie sprzeciwiam się, ufny w opiekę Bożą, osłaniającą dwa braterstwa węzłem związane narody.

— Nie ma więc już gadać o czym! — odezwał się kasztelan sądecki. — Pora spóźniona, gadanina skończona... Wiwat król Litewski!...

— Wiwat!... — uderzył okrzyk o sklepienia.

Witold wystąpił na środek komnaty; chciał coś przemówić i nagle, niby się w słup zmienił, stanął i wzrok

utkwiał w postać biskupa krakowskiego, który podniósł się, rękę wyciągnął i nakipiałym niejako głosem o posłuchanie zawołał:

— O!... — zaczął, a głos mu drżał i stopniowo potężniał. — O!... Wstrzymajcie się z niewczesnym tryumfu okrzykiem! Wysłuchaliście cierpliwie starostę łukowskiego, wysłuchajcie i mnie, biskupa krakowskiego. Mam ja coś do podparcia racji owych obalonych, mam coś do przekonania, że racje owe nie są to prątki kruche, które od gładkiego słowa złamać się dadzą, ale wieżyce z kości słoniowej, stojące na opoce kościelnej, twardszej nieco i trwalszej od opoki korzyści i pożytków doczesnych, na której imcipan Mikołaj z Sępna gmach misterny rozumowania swego wzniósł. Przysięga nie słowem jest tylko, słowo zaś nie jest brzmieniem jeno, a jest sukienką przyoblekającą intencje. Słowa wymawiając przepomnieć, pisać przepuścić, czytać przeoczyć można. Nie one więc znaczą w obrachunku z sumieniem, ale intencja, która — tu głos podniósł — jeżeli koronę na głowę Witolda włożymy, nie tylko króla, ale oraz i wielkiego księcia Witolda, nie tylko wielkiego księcia Witolda, ale i wszystkich, jak tu jesteśmy, nas, senatorów świeckich i duchownych, książąt kościoła, krzywoprzysięzcami uczyni! Krzywoprzysięcą zostanie król, krzywoprzysięcą książę Witold, krzywoprzysięzcami my wszyscy! Krzywoprzysięstwa piętno wyciśniemy na czole narodu i przysporzymy mu drugi jeszcze grzech pierworodny, jakby nie dość było jednego: naznaczymy miłą tę ojczyznę naszą piętnem krzywoprzysięstwa i z tym piętnem wyprawimy ją na życie, to jest do walki z obrzydliwym krzyżactwem, z groźnym bisurmaństwem, ze szwabstwem, z kacerstwem, z zamachami ludzkimi, z sidłami szatana, ze wszystkim, co jest najgorszym i najniebezpieczniejszym, wyprawimy ją do walki krzywoprzysięstwem napiętnowaną! Dalej więc, senatorowie, z okrzykiem hosanna, dalej, książę Witoldzie,

wijcie wieńce, strójcie się w kwiaty i kujcie koronę, której się księciu Witoldowi zachciało, nie jak mężowi onemu hartownemu, którego szyszak jest ozdobą i chlubą, ale jako niewieście lekkiej, która za piórko, za błyskotkę puścić się gotowa na... Dalej więc...

Ale dalej mówić już nie mógł. Księżę Witold przy słowach ostatnich skoczył, ręką miecza szukał, a nie mogąc w rozdrażnieniu, jakie go przejmowało, znaleźć takowego, podniósł pięść zaciśniętą do góry i krzyknął:

— Biskupie, milcz!... milcz, bo... na Boga!...

Nie to jednak do milczenia biskupa krakowskiego zmusiło, a okrzyk, który pokrył słowa jego, a który zabrzmiał nie okrzykiem, ale groźnym pomrukiem, odmawiającym Witoldowi korony i ciskającym niejako wyżwanie księciu, miotającemu się w gniewie wściekłym. Pomruk ścichł nieco, dał się słyszeć głos Witolda.

— Nie dajecie mi korony!... wezmę ją sam!... wezmę!... Zrobię bez was, co zechcę!...

Pogroził jeszcze i wypadł z sali.

Po oddaleniu się Witolda niedługo już ciągnęły się obrady. Senatorów kilku poparło biskupa krakowskiego i zapadło postanowienie odmówić poparcia przyrzeczeniu królewskiemu. W chwilę później sala się wypróżniła.

Mikołaj z Sępna udał się do księcia, lecz nie znalazł go, gdzie znaleźć się spodziewał. Witold kazał sobie podać konia i nie zważając na noc, na śnieg, na zawieruchę, wyjechał samotnie za bramę zamkową.

Cesarz, cesarzowa, goście zagraniczni zasiedli do wieczerzy. Przy stole nie było gospodarza, a że się znajdowały osoby podejrzane, to jest Polacy, więc nie rozmawiano o wypadkach dnia i nie dawano folgi apetytowi, który miał się ćwiczyć na czym. Dania schodziły rozpoczęte za ledwie. Puchary napelnione stały nie tykane przed biesiadnikami. Cesarz nawet jadł o połowę mniej jak zwykle

i po wieczery skinął na komandorów krzyżackich, wzywając ich do komnaty swojej.

— No... a teraz?... — zapytał, gdy rycerze-zakonnicy miejsca im wskazane zajęli.

— Sprawa cała zależy od waszej cesarskiej mości.

— Poślemy po Witolda i...

Jeden z mnichów rękę wyciągnął.

— Najjaśniejszy panie, Witolda nie ma...

— O?... coś się z nim stało?

— Wyjechał...

— Dokąd?

— Bez celu... Człowiek nasz śledził za nim... Wypadł konno z zamku, przejechał stępem przez miasto i puścił się pędem w pole. Jeżeli powróci, to późno w nocy, jeżeli nie powróci, to... już nie powróci.

Zagadkowość wyrazów ostatnich zafrapowała cesarza. Spojrzał na mnichów przetrzaskliwie i zapytał:

— Dybią na niego?... Polacy chyba?...

— O nie... — odparł Krzyżak tonem lekceważenia. — Polacy zdobyć by się na to nie umieli, oni umieją gadać jeno i gołę nastawiać łby. Ale dokoła Łucka włóczą się gromady wilków.

Na słowa te zaokrągliły się brwi cesarza, a oczy jego napełniły się wyrazem przerażenia.

— Wielki książę Litwy uciekł od Polaków do wilków — dodał komandor tonem żartu złośliwego.

— Ależ... — odezwał się cesarz po chwilce milczenia — byłby to wypadek fatalny.

— Ha... — odparł Krzyżak, ramionami ściskając.

— Witold jest nam potrzebny.

— Nadzwyczajnie potrzebny i coraz potrzebniejszy. Zajście ostatnie z senatem polskim wraca nam Witolda takim, jakim był czasu onego, kiedy ze świętej pamięci

wielkim mistrzem Konradem Wallenrodem wyprawy urządził.

— Jeżeliby jednak zginął przez wilki pożarty...

— Byłaby to szkoda niezmierna, niepowetowana... Toteż, natychmiast po wyjeździe jego, wyprawiliśmy w ślad za nim wszystkich co do jednego ludzi naszych (wyras ten wymówił Krzyżak z przyciskiem) z surowym poleceniem, ażeby czuwali nad nim i do wypadku nie dopuścili.

— To dobrze... bardzo dobrze... — rzekł cesarz.

— Wyprawiliśmy wszystkich ludzi naszych, pomimo że i tu nam potrzebni byli.

— Czy knowanie jakie? — zapytał Zygmunt.

— W każdym razie nic nader ważnego. Ruch jakiś w stajniach, w których króla polskiego konie stoją.

— Cóż by ruch ten oznaczać miał?

— Nie wiemy. Może jaki koniuszego wymysł. Na Polaków napadają niekiedy gorączki porządku: jest to więc zapewne coś takiego.

— Sprawę przeto z Witoldem — rzekł cesarz po chwili namysłu — odłożyć należy do jutra. Jutro poślemy po niego i oświadczymy mu, że gotowi jesteśmy dać mu koronę, której się na próżno od Polaków domaga.

— Najjaśniejszy panie — podchwycił z komandorów jeden — pozwól zanieść do siebie prośbę najpokorniejszą. Nie czyn tego. Czekaj, aż Witold sam do ciebie z prośbą przyjdzie.

— A jeżeli to nie nastąpi nigdy?

— Nastąpi... Zwlekaj jeno wyjazd swój z Łucka i czekaj. W nim w chwili tej duma z próżnością zacięty toczy bój. Niech bój ten rozstrzygnie się pierwiej, tymczasem zaś, dla podsyceńcia onego, niech najjaśniejsza pani Jagielly pilnuje, niech na niego nalega. Jagiello

nie nie może, ale im więcej rozdrażnienia z tej strony będzie, tym korzystniej dla nas. Cierpliwości jeno, najjaśniejszy panie, cierpliwości. Jutro, po nabożeństwie, najjaśniejsza pani uda się do chorego króla i... pomówi z nim.

— Hm... — mruknął cesarz. — Cierpliwości?... Moglibyśmy czekać, gdyby nas nie wzywały sprawy cesarstwa. Dźwigamy dwie wojny na sobie. Wzywają nas sprawy bardzo ważne...

— Czy ważniejsze od tutejszej? — zapytał komandor z udaną potulnością. — Starcie Iba hydrze polskiej rozwiąże waszej cesarskiej mości ręce na wsze strony. Wstrzymaj się, najjaśniejszy panie, i poczekaj, aż Witold harde czoło do stóp twoich pochyli...

UCIECZKA KRÓLEWSKA

Działalność dalsza ułożyła się w ten sposób, że cesarzowa Barbara pilnować będzie Jagiełły, a cesarz Zygmunt będzie wyczekiwał. Wyczekiwanie bywa niekiedy działalnością bardzo mądrą i niesłychanie ważne rezultaty prowadzącą. W tym razie niedługo ona trwała. Cierpliwość cesarska wystawioną była na próbę od wieczora dnia tego, w którym miejsce miały podane w rozdziale poprzednim obrady senatu, do południowej pory dnia następnego. Cesarz, posiliwszy się, spoczywał, u stóp jego leżał pies, a pod oknem siedział Stefan, kiedy do komnaty wpadł szybko freiherr von Windeck z oznajmieniem:

— Wielki książę Witold uprasza najpokorniej waszej cesarskiej mości o najłaskawsze udzielenie mu posłuchania sam na sam.

Cesarz się zerwał i krzyknął:

— A!...

Chwilkę pomyślał i natychmiast stosowne poczynił rozporządzenia.

— On... tam!... — odezwał się do Stefana, ukazując mu palcem otwór w przepierzeniu zawieszony zasłoną. — Oręż w pogotowiu!... baczność i zachowanie się w spokoju!...

Stefan poskoczył i schował się

— Wyprowadź psa i wpuść Witolda — przemówił do freihera.

Ten wnet polecenie wykonał. Psa ujął za kółko od obroży i wyszedł z nim. Po wyjściu jego cesarz zajął miejsce obok stołu i łaskawym uśmiechem, połączonym ze skinięciem głowy, powitał wchodzącego po chwili Witolda.

— Siadajże, wysokość wasza...

Wskazał mu stólek opodal nieco.

Witold nie korzystał z zaprosin do siedzenia. Stanąwszy obok stołu, oparł się o takowy ręką i czynił to z taką siłą, że mu palce zatrzęszczały. Widoczną na nim była burza wewnętrzna, którą siłą woli powściągał. Policzki mu drgały; brwi ścigał co chwila, co chwila też dłońią sobie czoło obcierał.

— Wysokość wasza pomyślnym, jak się spodziewamy i jak z duszy całej tego pragniemy, cieszy się zdrowiem...

— O! tak... Tak!... dziękuję waszej cesarskiej mości za jej łaskawą troskliwość o zdrowie moje... Zdrow jestem...

— Jakże tam jego królewska mość?

— Król Władysław? — zapytał Witold z roztargnieniem.

Cesarz głową w potakujący skinął sposób.

Witold wzniósł oczy do góry, jakby przypominał coś sobie. Przez nos „hm“ rzucił i głową wstrząsnął.

Cesarz obejrzał się na zasłone, ukrywającą obecność kawalera orderu smoka, chrząknął i zapytał:

— Królowa pani?

— Nie wiem, doprawdy... — odrzekł Witold odpowiadając nie cesarzowi, a sobie na snującą się mu w głowie myśl — skąd w nim zawziętość taka, w nim, któremu dawałem dowody i życzliwości, i zaufania?

Ścigało się to do biskupa krakowskiego. Cesarz otworzył szeroko oczy i usta i patrzył na Witolda, który żył się czas jakiś, nareszcie się wstrząsnął, po twarzy,

zaczynając od czoła, na brodzie kończąc, dłonią się pogladził i z uśmiechem do dostojnego gościa się zwrócił:

— Wasza cesarska mość pożądanym cieszy się zdrowiem? — zapytał tonem ugrzecznienia.

— Tak, hm...

— Wasza cesarska mość podoba w Łucku sobie?

— Dosyć, hm...

— Na waszą cesarską mość niemiłe wrażenie wywieść muszą nasze zajścia, spory...

— Tak, nie, hm... To jest... Uwzględniamy ułomności ludzkie.

— Cóż wasza cesarska mość mówi o... o... uporze Polaków?

— Cóż?... hm... Nam od dawna znanym jest naród ten... niewdzięczny.

— Niewdzięczny!... — podchwycił Witold — i nieopatrzny... Wystawili mnie na sztych... głęboko mnie zranili... Jużem był postanowił sprawy o tę koronę nieszczęsną nie poruszać wcale. Ktoś króla nastroił i sprawę tę wypchnął, stawiając ją tak, że mi się już cofnąć nieposób. Podejrzewam o to biskupa krakowskiego. Jakby tam jednak nie było, sprawa stoi... napięta, natężona; pragnąłbym z niej wyjść... nie wiem jak... Nie pozostaje mi, tylko: albo się świata zrzec i habit przywdziać, albo też przebojem iść i dojść...

— Wasza wysokość zapatruje się na rzeczy rozpaczliwie...

— Gruzami się dokoła obsypać i na gruzach tron postawić!... — dodał Witold ponuro. — Ale czy to pora... teraz?... kiedy już stary?... Czyby mi stało tchu?...

Cesarz uśmiechnął się na wyrazy oznaczające postanowienie, sposepniał i spoważniał, gdy po postanowieniu obalające je zapytanie nastąpiło.

— A nie... — rzekł perswazji tonem. — Ostateczność taka nie przystoi waszej książęcej mości.

— Habit więc?

— Ani to... Wasza wysokość zanedo wysoko zajmujesz w gronie książąt chrześcijańskich miejsce.

— Mamże się poddać wyrokowi zapamiętałego biskupa?

Cesarz ramionami ścisnął.

— Rzec stoi tak... Litwa pod rządami moimi jest niepodległa i tytułuje się księstwem. Chodzi pono o to, ażeby się królestwem tytułowała, o nic innego. Wytoczenie tej sprawy postawiło mnie w położeniu nadzwyczajnie drażliwym... Wasza cesarska mość rozumie to?

+ O... tak... — odrzekł cesarz z protekcjonalnym skinnieniem.

— Biskup mi dojechał! — zawołał Witold z naciśnięciem, ręką wymachnąwszy. — Żądałem więc z waszą cesarską mością rozmowy we cztery oczy, w celu zasięgnięcia u waszej cesarskiej mości... rady...

Wyraz ostatni wymówił po momentalnym namyśle.

— Hm?... Rady?... Życzymy waszej wysokości jak najlepiej.

— Wasza... — zaczął Witold i uciął, jakby mu wyrazić przez usta przechodzić nie chciały. — Wasza... — znów uciął — Wasza cesarska mość... Jeden z waszej cesarskiej mości poprzedników, zdjawszy koronę z głowy własnej, włożył ją na głowę księcia, który się zaliczał do wasali cesarstwa.

Cesarz Zygmunt na te słowa zeszytniał, przybrał postawę obłąka chłodem od stóp do głowy. Witold zamilkł.

— Cóż dalej? — zapytał cesarz.

— Bolesław został królem...

— I wyzwolił się z podległości cesarstwa. Wybrałeś, mości książę, przykład niekoniecznie trafny.

— Ale wasza cesarska mość mógłbyś względem mnie, co nie jestem wasalem cesarstwa, zrobić to, co Otton III zrobił względem wasala.

— Możliwość tkwi w atrybucjach władzy od Boga nam udzielonej... Ale...

— Co?... — zapytał Witold przeszywając Zygmunta wzrokiem.

— Ponieważ wysokość wasza, zamiast udać się wprost do nas, czyniłeś starania na innej drodze... na drodze, na której, mówiąc nawiasem, veto nam przysłużyła... zatem nie zgadza się to z godnością naszą Ottona III naśladować. Wszakże — dodał widząc, że Witold ruch taki zrobił, jakby się wynieść zamierzał — żebyś wysokość wasza miał miarę życzliwości naszej, powiemy mu, że dokładamy wszelkich z naszej strony starań w sprawie waszej książęcej mości.

— Starzeń?... — podchwycił Witold tonem zdziwienia.

— W tej chwili najjaśniejsza pani, najdostojniejsza małżonka nasza, znajduje się u króla polskiego...

— Cóż jest z królem do czynienia?

— Jest najprzód do naprawienia, co się popsuło.

Witold głowę zwiesił.

— Trzeba następnie przytrzeć rogów pysze polskiej, ukrócić zuchwalstwo tego biskupa, który nas, łagodność wcieloną, przyprowadzić zdołał do tego, iżśmy dali już byli rozkaz wrzucenia go do wody. Potem... zobaczymy... Może Polacy sami będą prosili o koronę dla waszej wysokości... Zobaczymy... Rzecz niełatwa...

— Wasza cesarska mość nie opuszczaj mnie teraz... — odezwał się Witold tonem, w którym przebijał się akcent prośby.

— Rzecz niełatwa...

— Powaga waszej cesarskiej mości wielce do ułatwienia przyczynić się może.

— Tak... hm... zapewne... Wiele jednak zależy i od zachowania się wysokości waszej. Powoduje nami jedynie życzliwość, która... dla której... na którą zasłużyć wysokość wasza nie starałeś się zbyt usilnie — dołożył cesarz insynuacji tonem — mimo to, nie chowamy w sercu naszym odrobiny żalu... Waszą wysokość dla wspaniałości umysłu i dla rycerskich cnót jego cenimy bardzo wysoko... bardzo wysoko... i w zajęciu pomiędzy waszą książęcą mością a szlachtą polską pragniemy triumfu nie dla szlachty, a dla waszej książęcej mości, rozumiejąc, jak to boli krzywda taka, jaką wysokości waszej wyrządzono.

Witold głęboko westchnął.

— Zarzucić publicznie kawalerowi takiemu niewieścią...?

Witold drgnął i zawołał:

— Najjaśniejszy panie, życie ci moje oddam, jeżeli mnie z błota tego wyprowadzisz w koronie królewskiej na głowie!

— Najjaśniejsza pani, najdostojniejsza małżonka nasza, w tej chwili właśnie znajduje się w tej sprawie u króla polskiego.

W tej chwili właśnie słyszeć się dał za drzwiami szelest, jaki sprawiają szaty niewieście, drzwi się otworzyły i do komnaty wkroczyła wystrojona, w jedwabiach, koronkach, w puchach, w piórach, w klejnotach, woniejąca i jaśniejąca cesarzowa Barbara. Weszła. Cesarz powstał na jej powitanie. Witold się nieco na stronę usunął. Cesarzowa, zatrzymując się z gracją nie opodał od stołu i podnosząc wachlarz do góry z takim mniej więcej zajęciem, z jakim kapelmistrz pałeczkę podnosi, zapytała:

— I cóż tu nowego?

— Rozmawiamy z jego książęcą mością... — odrzekł cesarz.

- A o czym, jeżeli wiedzieć wolno?
- I o tym, i o owym, i o rozmaitych innych rzeczach.
- I o królu polskim, Władysławie II?
- I o jego królewskiej mości.
- Niewyłącznie jednak?
- Ph... Wyłącznie... nie...

— A przecie w tym momencie nikt bardziej nie zasługuje na to, ażeby mu poświęcić wszelkie rozmowy i rozmyślanie całe. Stała się rzecz niesłychana, nadzwyczajna, zdumiewająca...

— Cóż takiego? — zapytał cesarz do żywego zaciekawionego.

— Co mianowicie, nie wiadomo... Król jegomość albo w powietrze wyleciał, albo się pod ziemię zapadł, albo został porwany, albo sam się wykradł.

— Co?!... — zawołali głosem jednym Zygmunt i Witold.

— Król polski uciekł — odrzekła cesarzowa z gestem i akcentem odpowiednim.

— Kiedy?... dokąd?...

— Dokąd?... nie wiadomo; kiedy?... wczora wieczorem... Musi więc być już daleko, daleko... Tajemnica wydała się przed chwilą... Wszystkim, co się od rana do króla jegomości zgłaszali, odpowiadano, że chory, że się źle czuje, że się modli, aż na moje naleganie, kiedym przymocą prawie wdara się do komnaty królewskiej, rzecz się wydała. Gdzie król jegomość?... króla nie ma... Gdzie?... nie ma... Król nie szpilka. Szukam, rozpytuję i dowiaduję się, że jego królewska mość, ozdrowiawszy nagle, zabrał żonę i dzieci i cichaczem, pod nocy osłoną, w świat się wybrał. Gdyby nie żona i dzieci, historia ta byłaby delectą w ustach trubadura. Tak zaś... u!...

Ustami ruch zrobiła, kryg wykonała i wachlarzem wywinąwszy, kroków kilka przy akompaniamencie jedwabów szelestu tam i na powrót po komnacie zrobiła.

Witold stał niby piorunem razony.

W czasie krótkiej przechadzki cesarzowej panowało milczenie, które przerwał Zygmunt zwracając do Witolda mowę:

— Plany zburzone...

— O cóż chodzi? — zapytała Barbara.

— Chodziło o waszej cesarskiej mości interwencję, do której wielkie przywiązywaliśmy nadzieje.

— Ha... rzeczy pozostaną, jak światobliwość jego, wielki nasz przyjaciel, księżę arcybiskup moguncki powiada, in sztatü gwo...

— Niekoniecznie to dobrze dla wysokości jego — bąknął Zygmunt od niechcenia niby, na Witolda oczami wskazując.

— Niel... — zawołał ten ostatni. — Niel... Tak rzeczy pozostać nie mogą... Niel... Wasza cesarska mość!... najjaśniejszy panie!...

— Hm... Cóż my?...

— Najjaśniejszy panie!...

Głos Witolda miękł stopniowo i drżącym się stawał. Postępował, zatrzymując się krok po kroku, ku cesarzowi. Cesarzowa się z ukosa na niego patrzyła.

— Najjaśniejszy panie, wnijdź w położenie moje...

Cesarz sztywniał, zimniał, postawę przybierał, milczenie zachowywał.

— Najjaśniejszy panie... w przygodzie mi stań... Ja... Ja...

— Grunwald... — rzekł Zygmunt powolnie.

— Zatrzymałem lawinę, która beze mnie byłaby się oparła o brzegi Bałtyku.

Cesarz się uśmiechnął złośliwie i ręką z pogardą machnął.

— Proszę... — odezwał się z przyciskiem Witold po chwili, dłoń naprzód pomykając i górną część ciała lekko

naginając. — Proszę... zaklinam... błagam... Cesarzu!.. — zawołał nagle o pierś dłonią uderzając — ja, Witold, wielki książę Litwy, w stu bitwach zwycięzca, pan obszarów takich, jakich ty nie posiadasz, na kolana przed tobą padam i czołem ci uderzam!...

Ukląkł i pochylił się do ziemi.

Cesarz stał wyprostowany, nieruchomy, dumny. Cesarzowa głowę nieco przekrzywiła i półdrwiący uśmiech na ustach sobie zawiesiła.

Od podłogi odezwał się głos błagalny:

— Korony!... korony!... korony!..

Cesarzowa brwi podniosła i głowę z lekka kiwać poczęła.

— Wysłuchaj błagania mego!... Uczyni zadość prośbie mojej...

Cesarz nic na to.

— Pani!... wstaw się ty za mną...

— Wstawiam się za wysokością jego, najjaśniejszy panie — wyszczebiotała cesarzowa z przymileniem. — Udziel mu korony...

Zygmunt na to tonem nastrojonym:

— My korony rozdajemy, ale ich nie rozrzucamy. Za koroną z rąk naszych idą obowiązki wynikające ze świętości charakteru, jaką obleka nas Ten, co jest dawcą bezpośrednim tej władzy najwyższej, którą piastujemy, a która czyni nas imperatorem, rozkazodawcą, królem nad królami, wikariuszem stolicy apostolskiej. Wielki książę Litwy winien przede wszystkim uznać w nas charakter ten...

— Uznaję!... — podchwycił Witold.

— Winien następnie złożyć nam dowody uznania, jak takowe składają liczni książęta i królowie, nie w samej jeno Rzeszy Niemieckiej, ale i na zewnątrz onej, król bośniacki na przykład i pozostający względem monarchy tego w tym samym co książę litewski względem króla

polskiego stosunku książę Chumu, którego następcą wier-
nie przy nas stoi...

— Złożę dowody!... — odrzekł Witold. — Wypróżnię
dla ciebie skarbiec mój bogaty, ruszę na rozkazy twoje
wojska mnogie, tylko udziel mi korony, o cesarzu!...

— Wstań wysokość wasza z klęczek... — odezwał się
cesarz tonem uroczystym. — Prośba twoja wysłuchana
jest.

Witold wstał, spojrział na cesarza, westchnął i oczy
spuścił. Zygmunt i Barbara popatrzyli jedno na drugie
wzrokami, w których, naakcentowane zdziwieniem, ma-
lowało się zapytanie: co to znaczy? Z Witoldem zaszła
zmiana rażąca. Ukląkł starcem jędrnym; wstał z klęczek
starcem zgrzybiałym. Dokazał jednak, co chciał. Uzyskał
nominację na króla od samego koron szafarza. Pozosta-
wało jeno dokonanie formalności konsekracyjnej i dopeł-
nienie warunków, wyszczególnienie których pozostawio-
nym zostało do mającego się spisać układu formalnego,
obejmowało zaś co do głównych punktów trzy najwa-
żniejsze: holdownictwo królestwa litewskiego cesarstwu,
wyliczenie niezwłocznie dużej kwoty na sprawienie insy-
gniów królewskich i wysłanie wojska w liczbie 100.000
żołnierzy na poskromienie Czech.

Wiadomo z historii, że układ ten skończył się na ni-
czym i że korona ta nieszczęsna przyśpieszyła Witoldowi
zgon. Żadna atoli historia najmniejszej wzmianki nie
czyni o tym, jakie pertraktacja o koronę pomiędzy Wi-
toldem a Zygmuntem wrażenie wywarła na niemego i nie-
widomego świadka onej, kawalera orderu smoka, bo-
hatera naszego, Stefana Chranicza.

Patrzal i słuchał; każdy gest okiem, każdy wyraz
uchem pożerał. Wciąż mu w duszy powtarzała się pieśń
niby, w której w tonach cudnych jeden przelewał się
wyraz:

— Ja... ja... ja...

W księciu Witoldzie widział siebie, zwracając zaś myśl na osobę własną, czuł wdzięczność względem Opatrzności za to, że ta go za rękę niejako wzięła i z głuchego ustro-
nia w świat wyprowadziwszy, w bezpośredniej z rozdawcą
koron styczości postawiła. I myślał sobie:

— Ani Sandał, stryj mój, ani Wuk, dziad mój, w ta-
kim się nie znajdowali ufaworyzowaniu. Szczęśliwa snadź
urodzeniu memu przyświecała gwiazda.

Mieszał go nieco wyraz drwiący, który widział na
obliczu cesarzowej Barbary. Tłumaczył to jednak sobie
w sposób następujący:

— To już taka jej natura.

Po oddaleniu się Witolda i cesarzowej cesarz zawołał
do niego:

— Kawalerze!...

Stefan wyszedł z ukrycia.

Zygmunt przechadzał się czas jakiś po komnacie
i przechadzając się uśmiechał się do siebie. Na pięknym
obliczu jego malowało się zadowolenie wielkie. Prostował
się i wyciągał, jakby urósć chciał. Stawał przed oknem
i spoglądając na ubielone śniegiem obszary, brodę sobie
z lekka dłonią gładził. Zapomniał snadź, że Stefana wy-
wołał i że ten na rozkazy oczekiwał. Zachowywał się,
jakby w izbie nikogo nie było. Aż Stefan chrząknął, ce-
sarz lekko drgnął i wydał okrzyk:

— A!... Aha!... — dodał wnet. — Poślij po freihera
von Windeck.

Stefan spełniwszy rozkaz wnet powrócił. Niebawem
też pojawił się i freiber w towarzystwie psa.

— Bardzośmy z obrotu sprawy zadowoleni.

Tymi słowy spotkał cesarz powiernika swego.

— Niechże będą stokrotne dzięki Najwyższemu! —
zawołał ten ostatni i zapytał: — Wasza cesarska mość
wie, co się stało?

— Co?...

— Król Władysław uciekł.

— Nic lepszego zrobić nie mógł. Przyśpieszył rozwiązanie... Komandorowie spodziewali się czegoś, wietrzyli, lecz zwietrzyć nie mogli wysławszy ludzi swoich wszystkich w ślad za Witoldem. Ułożyło się też wszystko jak najlepiej, jak najpomyślniej, jak najszcześliwiej. Spiszesz układ z wielkim księciem na punktach następujących: królestwo litewskie uznaje się hołdowniczym względem cesarstwa, król obowiązuje się wystawić sto tysięcy wojska przeciwko husytom, wielki książę wraz z podpisaniem traktatu wypłaci pieniądze na sprawienie insygniów królewskich.

— Ile pieniędzy?

— Jak najwięcej...

Freiher doznał uniesienia, które go podniosło i które mu okrzyk „juhe!“ z piersi wydarło. Cesarz zwrócił się do Stefana:

— Wezwij do nas komandorów krzyżackich i sam nie powracaj z nimi...

CIEKAWA WIADOMOŚĆ

Powrót z Łucka odbywał się z wymysłami ogromnymi, w tym samym porządku co przyjazd saniami do tego punktu, w którym dwa miesiące temu koła na sanie włożono. Podróż ta różniła się od poprzedniej w kilku względach: w tym najprzód, że dostojnych wędrowców odprowadzał Witold towarzysząc im przez dni trzy. Dzień ostatni jechał cały w kolasie z cesarzem, zajął miejsce psa, pies Worrego, Worre zaś poszedł precz, na sanie Witolda. Wielki książę o niczym nie mówił, tylko o wdzięczności swojej dla cesarza i o silnym a niezłomnym postanowieniu dowiedzenia wdzięczności tej czynami. Cesarz ostrzegał go przed przewrotnymi Polaków radami i wymawiał mu zamięlowanie w Polakach. Co do rad, Witold zapewniał, że rady żadne przystępu do niego mieć nie będą; co do zamięlowania, tłumaczył się i usprawiedliwiał.

— Rycerski naród, najjaśniejszy panie. Niesforny, prawda, niby konie narowiste, ale... byle ich zażyć należy, to można by nimi piekło rozbić. Wszyscy oni podobni do tego biskupa, co mnie sponiewierał: serca złote, we łbach ćwieki i jak się któremu co uroi, to... nie daj Boże!... Biskupa tego, co pastorałem jak kopią wywija, a językiem jak mieczem siecze, chciałbym kiedyś mieć pod sobą w pancerzu i szyszaku.

— My byśmy chcieli mieć go pod sobą inaczej... —
rzekł cesarz.

— Katolik z niego, zdaje się, niczego...

Zygmunt ręką machnął.

Rozstanie było rzewnym. Witoldowi lzy się w oczach kręciły. Prosił cesarza o pośpiech w przysłaniu insygniów i powiadał, że pragnąłby koronację odbyć w dniu narodzenia Najświętszej Panny.

— Może wysokości waszej koronę przywiezie kawaler ten... — powiedział cesarz ukazując Stefana oczami.

Witold spojrział na bohatera naszego, głową do niego kiwnął i uśmiechnął się.

Było to powtórne zetknięcie się dwóch ludzi w podobnych w świecie postawionych położeniach. Czy na tym zetknięciu skończyło się? — zobaczymy.

Druga różnica podróży tej, w porównaniu z poprzednią, polegała na tym, że ludność, która dawniej życzliwością cesarza otaczała, okazywała teraz usposobienie nieprzyjazne. W miejscach paru kamieniami w pojazdy ciskano, gdzie indziej znów okrzyki niekoniecznie przyzwoite słyszeć się dawały, we Lwowie zaś zrobiło się zbiegowisko, spowodowane pogłoską, jakoby cesarz Zygmunt wywoził Witolda, a to w tym celu, ażeby go w Budzie ukoronować i ukoronowanego odesłać. O mało do ekscesów nie przyszło. Ludność chciała koniecznie powozy rewidować. Musiano zbrojną odpędzać ręką tłumy, które napastowały pojazdy cesarskie z okrzykami:

— Cesarzu!... cesarzu!... oddaj nam Witoldka!...

Trzecia różnica wyraziła się przez to, że drogę do przejazdu przez Karpaty obrano krótszą i wygodniejszą, czwarta zaś przez to, że od Bardiowa do Budy pojazdy po osie grzęzły w błocie i z tej przyczyny ustawicznie prawie zaprzęgi były micszane: przy dyszlu i bliżej dyszla szły konie, na przodzie woły.

Wjazd do Budy odprawił się ze wszystkimi szykanami. Nastąpił spoczynek dobrze zasłużony.

Stefan zwolnion został od nieodstępności przybocznej, co nie było dla niego rzeczą niemiłą, bo aczkolwiek pojmował całą szczytność i ważność służby, jaką pełnił, był wszakże młody, czuł w sobie granie krwi i potrzebował ruchu nieco więcej aniżeli przy osobie najjaśniejszego pana. Odetchnął więc, kiedy z ust cesarza następujące usłyszał słowa:

— Jesteśmy z niego wielce zadowoleni... Będziemy o nim pamiętali łaskawie... Pozwalamy mu najłaskawiej przejść na kolej...

Słowa ostatnie oznaczały kolej służbową.

Odszedł więc ledwo że nie z podskokiem, ale zatrzymać się musiał w jednej z komnat przechodnich, dla Worrego, który mu drogę zastąpił.

— No... no... — rzekł ten ostatni — poczekaj... Podróżowaliśmy razem. Patrzyliśmy razem na wszystko. Słyszeliśmy razem wszystko. Rzecz ciekawa: cośmy wywieźli?

— Ja... nic... — była Stefana odpowiedź.

— A... Nie chodzi ani o ciebie, ani o mnie, ale o nas, o nas wszystkich... rozumiesz?

— Rozumiem... Nie rozumiem jednak, co byśmy wywieźć mieli.

— Miałeś uszy do słuchania, a oczy do patrzenia?

— Naturalnie...

— I nie wiesz, cośmy — my, to znaczy, od jego cesarskiej mości zaczynając, a na strózu do palenia w piecach kończąc — wywieźli?

— Traktat z Witoldem...

— To furda... Traktatu tego sławnego nie czytałem, wiem jednak, że co by w sobie nie zawierał, wszystko to są gruszki na wierzbie. Znamy się my z traktatami

i traktaty znają się z nami. Wywieźliśmy jednak coś lepszego...

— Na przykład?... — zapytał Stefan.

— Pieniądze!... pieniądze!... Ciesz się ty, bo ciebie nie natychmiast skubać zaczęła, ciesz się ja, bo się dla mnie skubanka otwiera.

— Jam pieniędzy nie widział żadnych.

— I ja nie widział. Patrzę jednak na oblicze freiherra von Windeck i na tym obliczu szanownym wyczytuję triumf rybaka ciągnącego na brzeg pełne sieci. Oblowiliśmy się... To powinno by nas rozochocić do częstych na Litwę podróży. Przywieźli, odwieźli, dawali jeść, pić, podejmowali i z pełnym wyprawili trzosem. Nie jestże to naród kosmaty?

— Kosmatych nie widziałem — zauważył Stefan.

— Boś się retoryki nie uczył, nie masz więc oka retorycznego... z czego się pokazuje, że ludzie, na jeden i tenże sam przedmiot razem patrząc, widzą go nie takim, jakim on jest, ale takim, jakim się ich oczom przedstawia. Uczyłeś się teologii?

— Nie.

— Byłbyś widział jeszcze inaczej. Poetyka zaś byłaby ci znów inaczej naród litewski pokazała. Do tego zaś wszystkiego miesza się jeszcze i temperament...

— Temperament? — odezwał się Stefan nie nader oswojony z mądrymi wywodami, w jakie się wdał Worre.

— No tak... innym przecie jest zmysł patrzenia u flegmatyka, a inny u żywego, inny u złośnika, inny u dobrotliwca... Z innej znów strony, weź samoluba, pokaż mu co i spytaj, jak on widzi. Stąd konkluduję, że jak nas było sztuk ze sto w gościach u Polaków i Litwinów, tak każdemu z nas barbarzyńce ci przedstawili się inaczej... najgorzej jednak dwóm ludziom...

— Nie mnie i nie tobie — rzekł Stefan żartu tonem.

— Czemu?

— Bo nic nam nie zrobili złego.

— Nam przeto przedstawili się nijako... najgorzej zaś, wiesz komu?

Stefan nieświadomość ściśnięciem ramion wyraził.

— Najjaśniejszemu panu i kawalerowi von Windeck, którym pieniądze dali, którzy też będą po świecie szeroko głupotę ich sławili. Bo też prawda: co za głupcy!... co za głupcy!... co za gruntowni, fundamentalni głupcy!... Gdyby nie dali, zostaliby zbrodniarzami w oczach naszych. Gdyby zaś wydrzeć sobie pozwolili, zostaliby i głupcami, i zbrodniarzami. Słowem, dla barbarzyńców tych nie masz środka do wyjścia spomiędzy Scylli głupstwa a Charybdy zbrodni ani teraz, ani w przyszłości.

— Don Worre!... — słyszeć się dało wołanie.

Worre uszy nastawił.

— Do najjaśniejszego pana!

Przerwało to rozmowę dalszą. Worre powiedział jeszcze jeno:

— Widzisz, co to znaczą tytuły!... Ty, pomimo żeś kawaler orderu smoka i nadprzybocznik nieodstępny, odstępujesz, ja zaś, pomimo że'm nie kawaler a błazen, nie odstępuję. Bywaj zdrów...

Jeden udał się w jedną, drugi w drugą stronę.

Stefan niemałego doznał zadowolenia znalazłszy się w izdebce, która mu za kwatere służyła. Wasa leżał na wznak na łóżku, używając w zupełności słodczy spoczyniania. Na wejście Stefana nie ruszył się; odetchnął tylko. Bohater nasz nie zaczepił go; poszedł za przykładem jego. Urządził się duet leżenia, którego harmonia polegała na milczeniu przeplatanym mocnym od czasu do czasu odpasywaniem. Nic nie zapowiadało, ażeby spoczywanie przerwany być miało, przeciwnie, tak Stefan, jak Wasa tego byli przekonania, że będą leżeli, jak długo sami zechcą, i nawet jednemu z nich powieki się już kleić zaczęły,

co bytoby spotkało niezawodnie i drugiego, gdyby nie wejście niespodziane człowieka lat średnich, wzrostu prawie małego, odzianego, jak się odziewała klasa handlem zatrudniona. Na widok przybysza Stefan zerwał się i usiadł na pościeli, Wasa zaś, nie ruszając się, odezwał:

— Bądź pozdrowion, signor Gaetano.

— Witam dostojności wasze — odparł przybysz z ugrzecznieniem.

— Cóż to cię wypchnęło zza stoła, do którego przywiązałeś siebie na życie całe?

— Przekazy z Dubrownika... przekazy do dostojności jego — zwrócił się do Stefana — od jego wysokości wojewody chumskiego, Sandała Chranicza, od jej wysokości dostojnej dostojności jego małżonki i od dostojności jego dostojnych dzieci, które człowiek nasz widział na oczy własne.

— No?... — zapytał Stefan — cóż?

— Zdrowi wszyscy i wszyscy dostojność waszą pozdrawiają.

— Człowiek wasz mówił z nimi?

— Mówił i przywiózł przekazy, które jeżeli dostojność wasza pozwoli, powtórzę od słowa do słowa.

— Stryj może do powrotu mnie wzywa?

— Stryj dostojności waszej, dostojność jego wojewoda, powiedzieć kazał, że się wielce cieszy z tego, iż dostojność wasza dostała się do boku jego cesarskiej mości. Zaleca też dostojność jego dostojności waszej, ażebyś pozostawał jak najdłużej na tym stanowisku wysokim, jak: zająłeś, wyrażając nadzieję, iż potrafisz zaskarbić sobie jego cesarskiej mości względy i łaski najwyższe. Jego dostojność oświadczyć dostojności waszej kazała, że stanowisko przez dostojność waszą zajęte uważa za bardzo ważne, bardzo korzystne i bardzo zaszczytne.

— Moja niewiasta, co ona tam porabia?

— Zwyczajnie jak niewiasta... — odrzekł zapytany z uśmiechem stosownym — powiedziec kazala, że za dostojnością waszą tęskni i płacze. Toć to inaczej być nie może — płkanie to rzecz niewieścia.

— Zdrowa jednak?

— Człowiek nasz zaręcza, że bardzo zdrowa, gruba, czerwona. Powiedziec też kazala, że się gniewa na dostojność waszą.

— Za to, że nie wracam.

— Nie... Za zapis jakiś, o którym dostojność wasza, wiedząc sam, powiedziec jej nie raczył.

— Hm... — uśmiechnął się Stefan i głową wstrząsnął. — Byłbym powiedział, gdyby mnie był Gruja nie zaklął. Ha, niech się gniewa... to trudno...

— Powiedziec kazala, że jej ten zapis kością w gardle stoi.

— Niech stoi... Cóż ja poradzę na to!

— Z racji zapisu tego dostojna dostojności waszej niewiasta bardzo dostojności waszej prosi, ażebyś przyjechał do Dubrownika bodaj na godzinkę.

— Aha!... — odezwał się Wasa z pościeli.

Stefan głową pokiwał i ręką machnął.

Signor Gaetano uśmiechnął się i odrzekł:

— Ja przekazuję przekaz od słowa do słowa. Dostojności waszej niewiasta wzięła człowieka naszego na stronę na to umyślnie, ażeby mu o zapisie tym powiedziec i dostojność waszą do powrotu na godzinkę do Dubrownika wezwać.

— Jej wydaje się, że to tak łatwo! Gdybym powrócił, to nie na godzinkę chyba. Ale... wracajże tu! Stryj przekazuje co innego, niewiasta co innego... ten — nie wracaj, ta — wracaj... Ja bym może stryja nie posłuchał, ale najprzód, co do zapisu, zakląłem się i nie posłuchałbym Jenki dlatego już samego, że wiem, jakby to ona za język

mnie ciągnęła... oho!... po wtóre, hej! ona nie wie, co to służba przy osobie najjaśniejszego pana. To zakon... Ja przysięgał... Kawaler orderu smoka nie może rzucać wszystkiego i pędzić przez siedem gór i przez siedem rzek dlatego, że go niewiasta wzywa.

— Dostojność wasza wie najlepiej, co i jak zrobić — odrzekł signor Gaetano — ja przekaz przekazuję...

— Cóż dalej? — zapytał Stefan.

— Dzieci dostojności waszej...

— Aha... dzieci! Cóż dzieci? — podchwycił z akcentem znamionującym obecność w sercu jego struny ojcowskiego uczucia.

— Zdrowe, Bogu dzięki... rosną... chłopiec najstarszy do szkoły chodzi.

— O, to dobrze!... to bardzo dobrze... Wyjeżdżając, na wieki wieków zapomniałem nakazać, ażeby go tam uczono czego. Ale, co to!... Pamiętasz, Waso, co to było, jakżeśmy z Dubrownika wyrusжали.

— Pamiętam — odrzekł Wasa — pamiętam, co to było.

— Ani mi do głowy przyjść mogło uczenie chłopca! No, ale się Jelenka i sama domyśliła... to dobrze... to bardzo dobrze. Nikt inny nie podszeptał jej tego, jeno ojciec Benon. Przypominam sobie, przy klasztorze jest szkoła... słyszałem nieraz, jak chłopcy śpiewali: a, b, c... Chłopiec mój do tej chodzi szkoły. Ciekawym, jak się też tam Władysław mój uczy.

— Właśnie też — podchwycił signor Gaetano — dostojność jej dostojności waszej powiedzieć kazala, że uczy się dobrze, że z początku było mu trudno, ale uzyskał pomoc w krewniakach, którzy mu się bardzo nadali.

— W jakich krewniakach?

— W Stepkowiczach młodych.

— W Stepkowiczach?!... — zawołał Stefan tonem zdziwienia wielkiego. — To być nie może!

— Ja nie wiem. Powtarzam przekaz od słowa do słowa... — odparł signor Gaetano. — Człowiek nasz zapamiętał imiona ich.

— No?... jakże im?

— Jednemu na imię Radosław, drugiemu Radiwój.

— Tak... to oni... To Pietra i Gruby synowie. Ale że ich Pietra do szkoły klasztornej oddał, tego zrozumieć nie mogę... Waso, co ty na to?

— Ha!... — odrzekł zapytany. — Co ja na to?... Nic... Kiedy oddał, to oddał.

— Toć on chyba patareństwa się zaparł!

— I to być może.

— Onże sam na Tomowym Skicie chłopców swoich uczył i nauczał, a to dlatego, ażeby ich do szkoły nie porysować. No, ot i posłał!... To mi się w głowie pomieścić nie może.

— Ano... jeżeli się patareństwa zaparł — zauważył Wasa.

— W takim jednak razie przypuszczać należy, że i Tomów Skit opuścił i znów jako właścicielin stanął... Nie słyszał czego o tym człowiek wasz? — zapytał signora Gaetano.

— O tym nie słyszał — odpowiedział tenże.

— Hm... to rzecz dziwna... Mógł nie słyszeć od ludzi, ale musiałby słyszeć od Jelenki, która gdyby się to stało, nie zanęchałaby mnie o tym uwiadomić. Nie mówiła nic o Stepkowiczu?

— Ani słowa... — odrzekł signor Gaetano — powiedzieć za to dostojności waszej kazała o Tomaszu Pungiczu.

— Al... odszukał się przecie... — zawołał Stefan przeciągle.

— Dostojność jej powiedzieć kazała, że nie był to Pungicz żaden, a Ostoicz.

— Co za Ostoicz?

— Tomasz Ostoicz... króla Ostoi syn... królewicz...

Na słowa te Stefan i Wasa równymi z pościeli, na której jeden siedział, drugi leżał, zerwali się nogami. Piorun wśród nich padł. Ze zdumieniem najwyższym spoglądali to na kupca, to jeden na drugiego. Czegoś podobnego ani się spodziewali, ani przypuszczali. Toteż oniemieli i nie odzyskali głosu, aż zdziwiony zdziwieniem ich kupiec w następujący odezwał się sposób:

— Mam jeszcze przekazów parę dostojności waszej do udzielenia.

— A-ia!... — zaśpiewali jeden i drugi.

— Dostojność jej... — zaczął signor Gaetano.

— Cóż z nim się stało? — spytał Wasa.

— Właśnie też... nie wiadomo.

— Więc go w Dubrowniku nie ma?...

— Nie ma... Panuje tam wielkie i powszechne na niego oburzenie, potrafił bowiem oszukać wszystkich... wszystkich mieszkańców, radę wielką, radę małą, knezia. Udawał sierotę, potrafił obudzić litość, republika za swoje przyjęła go dziecko, wychodziła, wyuczyła i w świat z dostojnością waszą wyprawiła, spodziewając się, że on jej to odsłuży kiedyś.

— A to!... Ano!... A ha!... — odzywali się to Stefan, to Wasa.

— Był z nami aż do Cylei — rzekł ten ostatni. — W Cylei znikł, jak gdyby w wodę wpadł.

— Wiadomość o tym, że to nie Pungicz, a Ostoicz, przysłała, jak dostojność jej dostojności waszej powiedzieć kazała, do Dubrownika z Sutyska.

— No?... — zapytali równocześnie Stefan Wasę, a Wasa Stefana.

— I była — ciągnął kupiec — z tej racji sprawa wielka. Przybiegł do Dubrownika Grgur Grguraszicz... gadano nawet o wojnie, ale się skończyło na tym, że sie republika Ostoicza wyparła i podobno coś zapłaciła.

— Gdzież się on podział? — zawołał Stefan.

Poczęli sobie Stefan i Wasa przypominać okoliczności i szczegóły. towarzyszące zniknięciu Tomasza, zatrzymali się na tym, że pozostał był z cesarzową Barbarą, i zadumali się nad tym, że rezultat pogoni, wysłanej za nim nazajutrz, pozostał im niewiadomym.

— Uciekł, to więcej jak pewne — rzekł Wasa — ale pytanie: czy go nie dogнали i nie ujęli?

— Gdyby ujęli, wiedzielibyśmy przecie.

— Niekoniecznie... W tych robotach wysokich robi się nieraz tak, że się sam diabeł nie domysli, co i dlaczego. Owóż, gdyby ujęli i rozgadali, to... rzecz skończona: odcięto by Tomaszowi głowę i nie byłoby przyczyny żadnej... Dubrowniczanie mogliby sobie z tego zasługę wykrzesać, powiadając, że umyślnie Ostoicza wyprawili, a to dlatego ażeby na gród ich plama nie padła, gdyby go wprost wydali. Przypuszczać więc można, że go w Cylei na wieki wieków schowano, pogoń zaś cała i poszukiwanie na to jedynie służyły, ażeby się do Dubrownika przyczepić było o co.

Kupiec, który na te słowa uśmiechnął się dwuznacznie jakoś i zagadkowo, odchrząknął, chcąc czy uśmiech swój zamaskować, czyli też coś powiedzieć, gdy Stefan go zagabnął.

— Cóż ty na to?...

— Cóż mnie to obchodzi! Moja rzecz kupiecka... Człowiek nasz dla spraw handlowych znalazł się w Dubrowniku i wyjeżdżając stamtąd, zabrał przekazy dla dostojności waszej. Gdyby nie to, nie wiedziałbym o niczym.

— Więceś o tym nie słyszał pierwej?

— Jako żywo ani mi się śniło o Ostoiczu żadnym. Niech dostojność wasza przyśle do sklepu mego otroka. Jest tam zawiniątko, a w nim koszule, czarapy, sztrimp-

fle, prsłuk, pajacy i basmy, które dostojność jej przysyła dostojności waszej. Dostojność jej kazała dostojności waszej powiedzieć, że szyła je i łzami moczyła.

— Ach! ten Tomasz ćwiekiem mi we łbie tkwi! Zapytam chyba najjaśniejszej pani o niego.

— Ach! nie śmiej czynić tego — zawołał Wasa.

— Jest jeszcze przekaz jeden — podchwycił Gaetano, którego, zdawało się, miernie obchodził Stefana i Wasy frasunek. Dostojność jego wojewoda podniósł kredyt dostojności waszej o dukatów dwieście rocznie. Dostojność wasza nic jeszcze nie wziął w tym roku, ale coś nadebrał w przeszłym.

— Ach!... ten Tomasz... — zawołał Stefan poczynając po izbie chodzić.

— Więc dostojność wasza pośle po zawiniątko otroka.

— Jeżeli bowiem on w rzeczy samej uciekł i ująć się nie dał, to z tego... jajau!... co za kałabalyk urośnie kiedyś! Otóż to będzie czużdan dogadżaj...

NOWY ZASZCZYT

Wiadomość o przemienieniu się Tomasza Pungicza na Tomasza Ostoicza, która tak mocno zajęła Stefana i Wasę, rozeszła się na dworze cesarskim, ale sprawiła wrażenie całkiem mierne. Utrzymywała się czas króciutki na powierzchni, pobawiono się nią, pośmiano się z niej, posłużyła za przedmiot dowcipów paru i utonęła w otchłani spraw, komerażów i intryg, które krążyły na kształt gazów wynikających z fermentacji w naczyniu płynem napełnionym. Dwory są to rezerwuary fermentu owego, występującego częstokroć na zewnątrz pod postacią zdarzeń dziejowych. Ileż to wypadków najważniejszych ma swój początek w szeptach pokątnych! W Budzie przygotowywało się coś podobnego po powrocie z Łucka. Modlono się, bawiono, poszczono, zbytowano i szeptano — szeptano bez końca, a kto by obdarzon był słuchem przenikliwym, dosłyszeć by mógł wśród istnej powodzi knowań miłosnych, przebijające się nazwy krajów, na które zwracała się uwaga polityki dworu cesarskiego. Głównie chodziło o to, że cesarz, znany z zamiłowania swego w podróży, dokądś pojechać musi. Dokąd jednak? Była to przez ciąg miesięcy paru zagadka, którą rozwiązywano przy pomocy wszelkich możliwych i niemożliwych domysłów i przypuszczeń. Na koniec rozwiązała się zagadka owa.

— Do Norymbergi! — rzucono wyraz z górnych sfer.

— Do Norymbergi! — podchwyciły sfery dolne.

Miasto to naznaczonym było na sejm niemiecki, mający obradować nad wielu niezmiernie ważnymi sprawami, między innymi zaś i nad możliwością prowadzenia wojny przeciw husytom. Tę jedną zaznaczamy, dlatego że zachaczy się ona o bohatera naszego.

Stefan dowiedziawszy się o sejmie norymberskim i o zamiarze udania się tam cesarza nie wątpił, że znowu powołanym zostanie do funkcji tych samych, jakie pełnił w Łucku. Przekonanie to utwierdzał w nim głos powszechny na dworze. Widziano go w łaskach i nie rozumiano powodu, dla którego miałby go ominąć zaszczyt służenia i nadal najjaśniejszemu panu za puklerz. Znajdowało się wprawdzie w gronie szlachty wysokiej dużo takich, co pragnęliby miejsce jego zająć, lecz rzecz ta nie przedstawiała się łatwą, z tego mianowicie względu, że wymagała czynności podwójnej: czynności zepchnięcia i następnie zajęcia. Stefan tym się odznaczał, że nie posiadał wcale słabych stron. Zdawało się, jakby naumyślnie do funkcji nadprzybocznika stworzony był: wszystkie jego strony funkcji tej odpowiadały, to jest, mocne tak dalece, że sam hrabia von Krach, pięknej hrabiny małżonek, którego on z siodła wysadził (wyrażenie to brać w tym razie należy w znaczeniu przenośnym), oddawał mu sprawiedliwość.

— Ol... der Kerl... — powiadał mąż hrabiny, za sprawą Stefana wyemancypowanej, nad warcabami siedząc.

A słowo hrabiego cieszyło się powagą.

Zamiast przeto spychać go ze stanowiska i samym się na takowe wpychać, wysocy szlachcice woleli mu się kłaniać. Otoczył go rodzaj uwielbienia. Pochlebców tyłu liczył prawie co znajomych, nie wyjmując dygnitarzy najwyższych, świeckich i duchownych, którzy mu, jak to się powiada, baki świecili, woląc na wypadek wszelki mieć

go po sobie aniżeli przeciwko sobie. W uwielbieniu jednak udział brały płcie obie. Dla młodzi męskiej stał się modelem: naśladowano maniery jego nie mniej jak i sposób mówienia, zaznaczony akcentem cudzoziemskim. Dla młodzi niewieściej stał się przedmiotem pocisków kupidynowych: amorki strzelały w niego ze stron wszystkich, bez względu, że miał żonę i dzieci. Pływał tedy w rozkoszy wszelakiej niby pączek w maśle i, jakeśmy wyżej powiedzieli, pewnym był towarzyszenia najjaśniejszemu panu do Norymbergi w funkcji nadprzybocznika nieodstępного. Wszyscy go w tej pewności utwierdzali, Worre zwłaszcza, który go mianował towarzyszem swoim przyszłym i przeszłym.

Lecz jeszcze co pod słońcem pewnego?

Rozpoczęły się już przygotowania do wyjazdu, kiedy wezwano go niespodzianie do cesarza, do gabinetu, w którym z doradcami poważnymi traktował Zygmunt o sprawach państwowych. Stefan zastał najjaśniejszego pana w gronie dostojników najwyższych. W gronie tym panował nastrój uroczysty. Cesarz przemówił do niego:

— Acz wysoko cenimy zasługi jego, położone w funkcji nadprzybocznika, względy atoli natury szczególnej nakazują nam pozbawić się takowych na czas jakiś. On wie, iż daliśmy się ubłagać wielkiemu księciu Litwy i zgodziliśmy się na udzielenie mu korony królewskiej. Należy mu koronę rzeczoną doręczyć. Wybieramy go na doręzyciela takowej, poruczamy mu ją w tym przekonaniu, że wywiąże się godnie i należycie z położonego w nim najwyższego naszego zaufania. Nie taimy przed nim, że spełnienie włożonego nań obowiązku połączonym jest z niebezpieczeństwem niejakim, niewątpliwą bowiem jest rzeczą, że naród niegodziwy, wśród którego przejeżdżać potrzeba, ażeby się do Litwy dostać, czyhać będzie na wysłańca z koroną. Dodamy mu dwóch rycerzy, pełnych honoru i odwagi, barona von Schwert i barona von Bis-

markt. On niech weźmie insygnia i nie zwlekając wyrusza. Załatwienie szczegółów wyprawy pozostawiamy wiernemu naszemu freihelowi von Windeck.

Dygnitarze najwyżsi winszowali Stefanowi tego nowego dowodu zaufania. Cesarz oddał go wprawdzie od boku swego, oddał go jednak dla misji niezmiernie ważnej, dla korony, której lada komu powierzyć nie można tak dla cennieści samej klejnotu, jako też dlatego, że ten, co ją w rękach swoich miał, mógłby nią zafrymarczyć, wręczyć ją komu innemu, któremu na przykład z książąt Rzeszy Niemieckiej, któremu z gospodarów wołoskich, chanowi tatarskiemu, zresztą — siebie nią uwieńczyć.

Był ci wprawdzie przy niej dyplom na pergaminie pisany, ale... i w owych czasach umiano pisma i podskrobywać, i przefabrykować.

Pamiętną jest historia z pieczęciami na soborze konstancyjskim, która się nie powiodła dlatego jedynie, że się wydała. Powierzenie przeto dyplomu, korony, berła i jabłka Stefanowi dowodziło wielkiego, wysokiego zaufania, którego się nie udziela lada komu.

Chodziło jeszcze o szczegóły owe, mające być przez freihera von Windeck załatwione.

Były one dwojakiego rodzaju.

Jedne tyczyły się marszruty i przedstawiały się tak: Polacy, spodziewając się tego, że korona przewożoną będzie, będą na nią czatowali na drogach prowadzących z Węgier do Polski. Należy przeto czujność ich oszukać. Jak jednak? Nad rozwiązaniem zapytania tego zgromadzili się na naradę dwaj baronowie, freihel i Stefan i na tym stało, że będzie się dwóch próbowało sposobów: jechania wprost i objechania Polski z przeciwnej strony. Jeżeli się udał pierwszy, to tym lepiej — rzecz będzie od razu załatwiona. Gdy jednak pierwszy się nie uda, to drugi najmniejszej nie przedstawia wątpliwości. Co do pier-

wszego, przedstawiły się dwie do wyboru drogi: na Duklę albo na Sącz. Utrzymała się ta ostatnia, z uwagi na to, że na duklańskiej, jako krótszej, spodziewać się można czułości większej. Gdy się zaś rycerze nasi przez granicę szczęśliwie przedostaną, to za osłonę służyć im miał ten pretekst, że z rycerskiej ochoty ciągną na dwór księcia Witolda, zwabieni rozgłosem wojowniczości jego. Pretekst ten uznanym został za aż nadto dostateczny do oszukania „głupich“ Polaków. Za głupich, niestety! uchodziliśmy w oczach najdawniejszych, bez względu na to, że jak historycy nasi zaręczają, Trąbowie i inni rozwozili po świecie sławę polskiej uczoności. Nie przeto głępszymi w rzeczy samej byliśmy od innych, ale nie umieliśmy zyskać sobie łaski, u tych zwłaszcza, co do skóry naszej apetyt czuli. Naród, co wydał Kopernika, bądź co bądź, za upośledzony od natury uchodzić nie może, produkcje zaś umysłowe polskie dowodzą, że pod względem uzdolnień intelektualnych stoimy na równi ze wszystkimi. Z tym wszystkim jednak reputacja, jakiejśmy używali w czasach dawniejszych, była bardzo podobną do tej, jaką nam robią w chwili obecnej publicyści wiedeńscy i berlińscy.

Uznanym przeto zostało, że Polacy dadzą się oszukać. W sposób ten załatwiono kwestię marszruty.

Kwestia druga tyczyła się insygniów wprost, była zaś natury tak delikatnej, że freiherr von Windeck traktował o nią ze Stefanem we cztery oczy.

— Potrzeba — powiadał — koronę, berło i jabłko od złotnika odebrać.

— Odebrać... Jak to odebrać? — zapytał Stefan. — Siłą, mocą?

— Ba!... Gdyby o to chodziło, to nic łatwiejszego.

— O cóż chodzi?

— Tu naród tak głęboko zepsuty, że jeżeli rzemieślnik co zrobi, to za zrobienie... płacić sobie każe. O, miasta!...

miasta!... — zawołał freiherr. — Miasta są to gniazda zepsucia najgłębszego.

Rozwiódł się szeroko, w terminach w czasach owych w użyciu będących, nad materializmem, na wsi mniej znanym, za to po miastach szerzącym się straszliwie. Stefan niewiele z tego zrozumiał. Domyślił się jednak, że co się tyczy odebrania z rąk złotnika klejnotów koronnych, zachodzi przeszkoda jakaś.

— Jeżeli mu się zapłaci — rzekł — to dla czegożby oddać nie miał.

— Zapewne — odrzekł freiherr. — Chodzi też o to, ażeby mu zapłacić.

— Ano?

— Idź nawskróśjasność wasza i zapłać...

— Ja?... — zapytał Stefan — płacić mam za koronę?

— Płacić... nie płacić, a tylko zastąpić chwilowo pieniędźmi swoimi pieniądze jego cesarskiej mości.

— Książę Witold dał przecie.

— I!... — podchwycił freiherr z humorem. — Dał?... Jemu się zdawało, że dał, w rzeczy zaś samej nie dał nic. Policzywszy bowiem wydatki ogromne, jakie się w jego poczyniło interesie, to on połowy, co mówił!-dziesiątej nie zwrócił części. Wspaniałomyślność jego cesarskiej mości nie pozwalała w rachunki się wdawać. Co się jednak wydało, to strach!... A podatki nie wchodzą. Z innych źródeł dochody niewielkie, bo w Węgrzech magnaci wszystko zagartują dla siebie, pozostawiając dla króla resztki jeno. Żydów na przykład, z których tyle mają książęta niemieccy, tu magnaci palą na rachunek własny...

— Jak to!... — zawołał Stefan zdumiony. — Palą na rachunek?

— I czemu nawskróśjasność twoją tak to zdziwiło?

— Widziałem palenie Żydów w Cylei i w Wiedniu.

— Graf Herman i książę Albert potrzebowali pieniędzy.

— Jam myślał, że to za wiarę... za to, że oni Chrystusa ukrzyżowali.

— Tak... Za to też oni i płacą. To się dzieje w porządku i sprawiedliwości. Gdyby nie płacili, to by ich wszystkich spalono.

— W Polsce nie widziałem tego...

— Ci Polacy to naród bardzo głupi i bardzo bezbożny. Wszędzie na świecie Żydów palą; bez tego być nie może. Palą i w Węgrzech, ale magnaci, na rachunek własny... do skarbu z tego nie idzie prawie nic. Dlatego też tak wypadło w chwili obecnej, że potrzeba, ażebyś nawskróśjasność twoja w zastępstwie jego cesarskiej mości zapłacił złotnikowi. Jeżelibyś jednak — dodał — gotówki nie miał, to złotnik przyjmie i podpis twojej nawskróśjasności, płatny za lat chociażby dziesięć. Lepiej nawet dać podpis, gotówka bowiem przyda się w podróży. W Polsce podpis nawskróśjasności twojej wartości nie ma.

— Dobrze... jeżeli potrzeba... — rzekł Stefan.

— Potrzeba, i bardzo... Jego cesarska mość zaliczy to najjaśniej twojej nawskróśjasności na karb zasług. Twoja nawskróśjasność nic na tym nie stracisz, przeciwnie... czekają cię korzyści obrachować się nie dające. Wszak najjaśniejszy pan jest panem zwierzchnim Bośni i Chumu, a sam byłeś świadkiem, że jest i miłościwy, i łaskawy nawet względem nieprzyjaciół swoich, takich jak Witold na przykład.

Co do tego, nie mógł Stefan nie przyznać słuszności słowom freihera. Widział na oczy własne hardego księcia Litwy na kolanach przed cesarzem, który odmówić mógł, nie odmówił przecie. Zresztą nie należał on do tego ludzi rodzaju, co to gotów dać raczej życie aniżeli pieniądze. W oczach jego pieniądze posiadały wartość względną. Będąc zaś gotowym dać życie za cesarza, nie wahał się pójść do złotnika i zapłacić mu sumę całę pokązną, w zamian za którą dostał trzy misternej roboty

sztuki: opaskę na głowę z sześciu różkami, w szafiry, granaty i brylanty przyozdobioną, jabłko z krzyżykiem i berło hebanowe z rozszczepieniem na wierzchu, na którym wspierał się koń rozpędzony, niosący na sobie rycerza tarczą osłoniętego i miecz wzniesiony do góry trzymającego. Szczęściem dla Stefana klejnoty te nie były ze złota szczerzego, a tylko grubo pozłacane. Zapłacił za nie grubo, nie tak atoli, jakby za szczerozłote wypadało. Zdaje się, freiherr von Windeck, obstalowując insygnia dla Witolda i dając na takowe zadatek, nie miał zrazu zamiaru uciekać się do kieszeni Stefana i zamiar ten przyszedł mu na myśl w ostatniej już chwili, kiedy klejnoty wyprowadzić należało, a nie było ich za co wykupić. Ten to był powód — jak domyślać się należy — dla którego zaszczyt odstawienia korony na miejsce przeznaczenia spotkał bohatera naszego. Inaczej, byłby cesarzowi towarzyszył do Norymbergi w charakterze nadprzybocznika.

Zauważyć winniśmy, że Stefan i dwaj baronowie nie stanowili poselstwa koronacyjnego. Do nich należało jeno insygnia przekraść i Witoldowi je doręczyć.

Złotnik wręczył bohaterowi naszemu dwie skrzynki politurowane i futerał, wysłane wewnątrz wełną. Stefan, przyniósłszy to do domu, nie miał pilniejszego nic jak spróbować, jak też to jemu w koronie będzie. Włożył ją sobie na głowę, stanął przed polerowanym napierśnikiem od pancerza, zastępującym rycerzom zwierciadła w wieku XV, i napatrzeć się dosyć postaci własnej nie mógł. To się cofał o kroków kilka w tył, to znów się zbliżał, układał sobie włosy nad czołem i obracał się, raz bokiem prawym, znów lewym. Nie odzywał się nic, uśmiechał się jeno, zdaje się nie myślał o niczym, a tak tylko... zabawiał się. Zapewne, wiele by dał za to, gdyby się znajdować mógł na miejscu Witolda. Toteż Witold przedstawiał mu się pod postacią szczęśliwca, któremu do życzenia nie pozostaje już nic. Na myśl tę, która mu naturalnie do głowy

przychodziła, wzdychał i na razie jedna tylko nastreczała mu się uwaga, a to ta, że korona owa bez porównania lepiej wyglądałaby na głowie człowieka młodego, hożego, przystojnego, silnego, aniżeli na siwych włosach takiego mizeraka jak książę litewski.

Wszedł Wasa; Stefan koronę z głowy szybko zerwał i zwracając się ku wchodzącemu, za plecy ją sobie schował.

— Zgadnij, co ja mam.

— Cóż by na ten przykład?

— Zgadnij.

— Ph... — odrzekł Wasa ramionami ruszając. — Chyba że z dam która jakim cię upominkiem osobliwym obdarzyła.

— A... Cóż za upominek od dam osobliwym być może! Dają one wszystko, co mogą, a wszystko to osobliwością nie jest żadną. To zaś, co mam, jest osobliwością nad osobliwościami, bardzo rzadką i bardzo drogą.

— Rzecz ciekawa...

— Nadzwyczajnie ciekawa!

— Do czegoś służy?

— Jeżelibym ci to powiedział, odgadłbyś od razu.

— Możesz jednak powiedzieć, komu przysługuje.

— Komu?... ach, nie każdemu...

— Mężowi czy niewieście?

— I niewieście, ale nie każdej, i mężowi, ale nie każdemu. Może ją mieć dziecko w kolebce i starzec nad grobem.

— A ja, na przykład... czybym ją mógł posiadać?

— O, nie... Myśleć o niej nie wolno ci nawet, chyba iż masz głowę do stracenia.

— A tobie?

— Mnie?... hm... — uśmiechnął się. — Mnie myśleć wolno...

W chwili tej szybkim ręki rzutem włożył sobie koronę na głowę.

— Aaa?... Uhm... Aa... Uhm... — bąkał Wasa obchodząc Stefana dokoła i przypatrując się połyskującej na głowie jego opasce złocistej, sadzonej kamieniami drogiemi. — Uhu-hu... — głową kręcił. — Witoldowa?...

Stefan westchnął i zapytał:

— I cóż?...

— Piękna... nie ma co... bardzo piękna...

— Cóż jednak powiadasz?

— Hm... Piękniejsza od Twrtkowej...

— Ale cóż się tobie zdaje?

— Cóż by mi się zdawać mogło?

— Co?... ot... na ten przykład, jak w niej mnie?

— Niczego... — odrzekł domyśliwszy się snadź, o co Stefanowi chodziło. — Tyś na króla w sam raz.

— Nie gadaj...

— Gdybym gadał i wygadał, toć byś się na mnie nie gniewał przecie. Twrtko umrze, tron bośniacki opróżniony zostanie.

— A ba... Jest tam już węzeł zawiązany...

— Przez kogo? Przez cesarza Zygmunta. On zawiązał, on i rozwiązać może.

Stefan zwrócił się znów do polerowanej blachy napierśnika i w odbicie postaci własnej, ozdobionej koroną błyszczącą, wpatrywał się długo, uważnie, studiując się niejako, uśmiechając się często, wzdychając niekiedy i wkładając wreszcie koronę do skrzynki z uwagą następującą:

— Chum w odniesieniu do Bośni jest to samo, co Litwa w odniesieniu do Polski.

— Prawda, Boga mi... — potwierdził Wasa.

— Czy tak więc, czy owak... A!... — zawołał i ręką machnął. — Tymczasem zaś — zapytał — wiesz, co nas czeka?

- Czegoś niby się domyślam, nie wiem jednak.
- Odstawienie Witoldowi insygniów królewskich.
- Jedziemy przeto nie do Norymbergi, a do Łucka.
- Nie do Łucka, ale do innego jakiegoś miasta, którego nazwiska w pamięcim nie zatrzymał... jakoś niby Wilma, Bilma, lichu jego wie jak.
- Jakże więc trafimy?
- Pojadą wraz z nami baron von Schwert i baron von Bismarkt.

— Oa!... towarzysze starzy. No, teraz to inaczej będzie w podróży. Co lato, to nie zima. Kiedyż w drogę?

Stefan nie umiał na to ostatnie odpowiedzieć zapytanie. Wyjazd nastąpić miał wkrótce, nie wiedział jednak, kiedy mianowicie, poprzedzić go bowiem musiała insygniów korony litewskiej konsekracja, której Zygmunt nadać chciał cechę solenną i rozgłos jak największy. Tego rodzaju wystąpienia, obok zamięłowania w podróży, były słabością, manią monarchy tego. Zachodziły jednak trudności niejaki. Polacy mieli po sobie papieża, który napominał tak Witolda, jak Zygmunta, i ten ostatni wy-czekiwać musiał biskupa, który by się zgodził postąpić wbrew woli głowy kościoła. Trudność ta stanowiła przeszkodę w tym względzie, iż podawała biskupom pretekst do targowania się. Wola papieska nie była w wieku XV szanowaną bezwarunkowo. Wbrew onej arcybiskup magdeburgski podejmował się koronować Witolda. Po niejakiach przeto pertraktacjach nastąpiła konsekracja, połączona z wielką kościelną pompą, której przewodniczył arcybiskup, a asystował cesarz w podwójnym swoim charakterze, imperatora chrześcijańskiego i wikariusza głowy kościoła powszechnego. Odbyło się wszystko z powagą nadzwyczajną, z uroczystością namaszczenia pełną, wobec tłumów, ściągniętych nowością widowiska. Po dopełnieniu dopiero ceremonii tej insygnia dostały się ostatecznie do rąk Stefana, nie otwarcie jednak. Ostentacyjnie miało

je wieść poselstwo. Stefana zadaniem było przekraść klejnoty, wyprzedzając w Wilnie posłów cesarskich, arcybiskupa magdeburskiego, wielkiego mistrza krzyżackiego i wszystkich na koronację wezwanych.

Na wyjeźdźnym przypuszczony został do ucałowania ręki cesarskiej, po czym miał jeszcze krótką z freiherem von Windeck rozmowę i ten na pożegnaniu udzielił mu wiadomości, która mu przyjemność sprawiła niemałą.

— Twoja nawskróśjasność jedziesz do kolegi... — rzekł.

— Do kolegi? — zapytał Stefan.

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiej mianować raczył wielkiego księcia, a niebawem króla Litwy, kawalerem orderu smoka.

— O... — zawołał Stefan.

— Możesz przeto nawskróśjasność twoja liczyć na serdeczne w Wilnie przyjęcie, raz — jako kawaler orderu, po wtóre — jako doręczyciel klejnotów koronnych.

NIEFORTUNNA WYPRAWA

Nie będziemy wyprawie, w której bohater nasz udział wzięt, towarzyszyli od początku do końca. Przytoczymy z niej jeno ustępów parę, dawszy pierwszej pogląd ogólny na przeszkody, z jakimi było do czynienia.

W Polsce wieść o konszachtach Witolda z cesarzem obudziła oburzenie powszechne, które się objawiło odpowiednio duchowi owoczesnego społeczeństwa polskiego. Każdy — szlachcic rzecz naturalna — uważał się za powołanego i obowiązane go przeciwdziałać i to, jak i czym mógł. Szlachta polska się mrowiła, już się i herbowością czwaniła, jeszcze atoli czasu nie miała nasiąknąć tymi chorobami, które ją później minowały. Gmin szlachecki brał obowiązek swój na serio, czuł się zakonem; mniej było prywaty aniżeli w czasach późniejszych — jeszcze ponoś nie znano przysłowia: „Czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą“. Rzadki szlachcic sam za plugiem nie chodził, nierzadki zaś i rzemiosła się chwycił, a chociaż próżniactwo podobało się i ciężką rycerskim chlebem hodowaną urabiało, ciężna wszakże stanowiła jeno koloryt, nie zaś tło obrazu. W głębi tkwiła poczciwość, poczucie obowiązku, interesowanie się rzeczą publiczną i pojmowanie takowej, że tak powiemy, gromadne. Jeżeli stało się co złego:

— Trzeba to naprawić! — wszystko w jeden uderzało krzyk.

I wszyscy razem do roboty się rzucali.

Niekiedy sprawę pokpili — zamiast naprawić, gorzej jeszcze psuli: była jednakże ochota i chęć szczerą, która z punktu widzenia wieku naszego na jak największe zasługuje uznanie. Errare humanum est; lecz wyczekiwanie zmiłowania Bożego z rękami założonymi stanowi właściwość stworzeń rzędu najniższego, zmienia człowieka w rodzaj polipa, obdarzonego życiem a pozbawionego ruchu. Szlachta nasza w wieku XV posiadała i życie, i ruchliwość ogromną. Toteż gdy wieść o koronacyjnych Witolda zabiegach pomiędzy nią gruchnęła, społeczność szlachecka do głębi zawrzała i ruszyła się. Po co? Wiedziała ona! Cesarz jegomość obowiązał się kazać sporządzić na urząd insygnia i wysłać takowe na Litwę. Przodkowie nasi wiedzieli jednak, że z Węgier na Litwę prowadzi dróg kilka, najprostsze atoli, najwygodniejsze i najbezpieczniejsze przechodzą przez Polskę.

— A!... a toć od nas zależy puścić lub nie puścić posłów z koroną.

Myśl ta wszystkim na raz do głowy przyszła.

Szlachcic każdy obejrzał się dookoła siebie, po polach, po rolach, po drogach, po przesmykach i wnet miarkować począł, którędyby się posłowie przemknąć mogli. W ten sposób kraj cały na warcie stanął; czujność obudziła się powszechna, najżywiej atoli na granicy. Wieś powzięła czucie do wsi, sadyba do sadyby, człowiek do człowieka. W czuwaniu szlachcice rej wiedli, lecz sekundowali im włościanie, mieszczanie, baby, dzieci, wszyscy jednym słowem, bez odbywania rontów ni patroli. Byle się kto obcy pokazał, wierzchem, wozem czy piechotą:

— Stój! — zatrzymywano. — Nie wiesz ty, lubciu, korony?

Gdy pakunki jakie były:

— Wypatrosz się jeno — wzywano delikatnie.

Nic nie znalazłszy, co by na koronę zakrawało, przepraszano grzecznie i puszczano z Bogiem, tłumacząc koniecznością, zmuszającą podróżnym mitręgę czynić.

— Gdyby cesarzowi jegomości nie strzeliło do głowy Witolda koronować, to lichy by tam kazało ludzi na drodze zaczepiać!

Wydarzyły się tu i owdzie *qui pro quo*. Bez tego obyć się nie mogło. I zająć także wydarzyło się niemało; i nie jeden guza nie wiedzieć za co oberwał. W czujności *atoti* nie ustawano, potęgując ją stopniowo, w miarę jak się zbliżał termin na koronacją przeznaczony.

Na miesiąc mniej więcej przed terminem owym, w początkach jakoś miesiąca sierpnia, Stefan i towarzysze jego, jadąc parami po drodze wąskiej, zatrzymali się przy słupie grubym, kwadratowym, na którego stronie tej, co im się najpierw w oczy rzuciła, wyczytali dwie litery: R. H. Przejechali mimo, zatrzymali się i ujrzeli znów dwie litery: R. P.

— *Regnum Hungariae... Regnum Poloniae...* — odezwał się baron von Bismarkt. — Słup graniczny... Przy słupie nikogo... Cóż?...

— Jedźmy dalej... — odrzekł baron von Schwert. — Byłoby się w głąb kraju o mil parę wśliznąć, to tam już swobodnie się pojedzie. Od punktu tego o ćwierć milki idzie droga w bok: tą się weźmiemy i w ten sposób, omijając Sącz, z głównego zjedziemy traktu, a gdziekolwiek ona nas zaprowadzi, to, kierując się ku północy, na drogę naszą wydostaniem się.

— E! w Imię Ojca i Syna — zawołał baron von Bismarkt. — Na biedę by przyszło, gdyby Niemiec Polaków oszukać nie zdołał. Naprzód!

Oslonili piersi znakami krzyża świętego i człapiąc ruszyli, von Bismarkt przodem, von Schwert za nim, za

tym Stefan, za Stefanem Wasa i czterej otrocy. Jada, jada; nikogo nie widać, nic nie słyhać, aż tu jak nie huknie z góry okrzyk jakiś! — i oni się zatrzymali. Zatrzymali się dlatego snadź, że okrzyku nie zrozumieli. Było to niby hasło, które echa górskie podchwyciły i z wyrazów mieszaninę zrobiły. Po chwilce mniemane hasło znów zabrzmiało i tym razem dobitnie wpadły im w słuch wyrazy: — Świnie w grochu!...

Baron von Bismarkt spojrział na barona von Schwerta, Stefan spojrział na Wasę.

— To się świń tyczy, nie nas — odezwał się ten ostatni.

— Ale... nie nas!... — odparł von Bismarkt.

Okrzyk powtórzył się po raz trzeci. Wnet potem słyszeć się dał w oddaleniu tętent zbliżających się pędem jeźdźców.

— Rückwärts!... — krzyknął baron von Bismarkt.

Zwrócili wędrowce nasi konie na miejscu i wypuściwszy je w cwał wielki, nie zatrzymali aż za słupem.

W chwili po nich po przeciwnej stronie słupa zatrzymał się jeźdźców dziesiątek, a przed nimi nie kto inny, jeno znajomy nasz, imćpan Krystyn de Koziegłowy, herbu Zerwikaptur, kasztelan sądecki.

— A! — zawołał z dala, głową kiwając. — Witamy imćpanów!... prosimy!... prosimy!... Waszmościów pyski nie są nam obce!... Tym ci lepiej!... Prosimy!... Miałem zaszczyt ugaszczać waszmościów raz, niechże się zaszczyt ten powtórzy. Prosimy, jeżeli łaska!

Wysłańcy cesarza stali skonfundowani, nie wiedząc, co począć.

— Prosimy... — wzywał kasztelan. — Czegoście waszmoście uciekli?

— Bo hukano na nas — odparł wreszcie von Bismarkt.

— Na was?... o?... Kto hukal?... — zapytał do towarzyszy się zwracając.

Z jeźdźców jeden podał imię Bartka jakiegoś.

— Bartek huknął?... i jakże?...

— Świnie w grochu!...

— I wam, rycerze — zapytał wysłańców — wydało się, że to na was?... No, proszę!... I uciekliście?... Chybaż się do czego poczuwacie!... Dokąd, jeżeli zapytać wolno, Pan Bóg prowadzi?

— Jedziemy na dwór wielkiego księcia Litwy!

— A... na dwór wielkiego księcia. No, jedźcie... nie w tym drożnego nie ma.

— Ale nam, mości kasztelanie, glejt wydacie.

— Jak skoro, po przepatrzeniu manatków waszych, pokaże się, że na dwór wielkoksiążęcy, z wyjątkiem szanownych osób waszych, nie wieziecie innego nic.

— A od kiedy to — zawołał baron von Schwert głosem podniesionym — ludziom cesarskim przejeżdżać swobodnie przez Polskę nie wolno?

— Od czasu, jak ludzie cesarscy tkają nos w to, co do nich nie należy.

— Cóż to do nich nie należy! — odparł Niemiec głosem na ton zaczepny nastrojonym. — Do nich należy wszystko i tu, i tam, i wszędzie!... Z drogi!... precz!...

I koniem posunął, jakby natrzeć zamierzał, ale do słupa tylko.

— Ano, panie Niemiec! — wołać poczęli Polacy z orszaku kasztelana.

— Ach! wy, nicponie!... huncwoty!... narodów wyrutki!...

— Stul pysk, wieprzu!...

I niby z rogu obfitości posypały się obelgi, coraz to lepiej dobierane. Nie wiadomo, jakby to długo trwało, gdyby nie interwencja kasztelana, który oświadczył, że jeżeli Niemcy narodu szkalować nie zaprzestaną, to on słup zrąbać każe i mieczem się z nimi rozprawi. Pogrożka

ta ten odniosła skutek, że baron von Bismarkt pierwszy, baron von Schwert drugi — zawrócili konie i odjechali precz. Pojechali innej szukać drogi.

Po naradzie wypadło, że nie ma co przejścia przez góry próbować, albowiem:

— Te łotry, jak tu, tak wszędzie drogi pozastępować musieli.

Tak było w rzeczy samej. Pociągnęli przeto podgórzem karpackim w kierunku zachodnim, przebrali się na Śląsk i z Opola chcieli się przedostać na Mazowsze, w tym przypuszczeniu, że Mazowszanie, nie mając tego co Polacy interesu w przeszkadzaniu koronacji Witoldowej, nie będą ich w drodze zaczepiali. I tu atoli czujność szlachecka do powrotu ich zmusiła. Nie pozostawało jak jechać do Berlina, który był punktem zbornym poselstwa cesarskiego.

Przybyli w sam czas. Poselstwo wyruszyć właśnie miało. Wstrzymało się przeto, zawiadamiając Witolda przez gońca o odłożeniu uroczystości do św. Michała.

W Berlinie, oprócz posłów cesarskich, znajdował się powołany do odbycia obrzędu koronacyjnego arcybiskup magdeburski z licznym sztabem kościelnym, znajdowało się kilku książąt rzeskich, znajdował się oraz i graf Herman cylejski, opatrzony misją specjalną. Graf składać miał Witoldowi powinszowania ekstra-oficjalne w imieniu siostry. Doniosłość misji jego polegała na pochlebianiu starcowi atencją pozaurzędową. On też wysłańcom z klejnotami udzielił informacji co do postępowania dalszego. Należało zaniechać już prób przekradzenia klejnotów osobno, a natomiast, puściwszy pogłoskę, że insygnia koronne od dawna już w Witolda znajdują się rękach, przewieźć je pod osłoną powagi orszaku poselskiego, pozostającego pod egidą arcypasterza. Od klejnotów oddzielono dyplom i ten powierzono człowiekowi pewnemu, mnichowi, który margrabiemu brandeburskiemu służył

do spełniania misyj poufnych najdelikatniejszych. Wyprawiono go przodem. W wieku owym zakonnicy i żebracy płci obojej pośredniczyli w najważniejszych sprawach politycznych — na nich się dyplomacja w średnich wiekach opierała.

Rzecz zdawała się być bardzo mądrze i przezornie urządzoną. Dyplom poszedł osobno, ukryty w habicie zakonnym i, powiemy tu nawiasowo, wpadł w ręce Jana z Czarnki, podkomorzego poznańskiego, który dokument i posłańca w bezpiecznym ukrył schronieniu; klejnoty zaś, włożone w skrzynkach do sakwy przytroczonej do siodła Stefanowego, towarzyszyły poselstwu.

Oddzielenie to dyplomu od klejnotów miało głębokie swoje znaczenie, obrachowane na dopięcie celu tak czy owak. Przypuszczano, iż Polacy będą się przejazdowi poselstwa sprzeciwiali: w razie takim uda się ono na inną drogę i chociażby się koronacja Bóg wie jak długo zwlekała, Witold de jure królem zostanie. Liczono na zakonnika jak na Zawiszę. W celu zaś odwrócenia podejrzenia od osoby Stefana a zarazem dostarczenia mu swobody zupełnej ruchów na wypadek wszelki, doradzono mu pozbycia się w podróży do Wilna ciężkiej zbroi rycerskiej.

Stefan poszedł za radą tą z ochotą. Wziął na się odzież lekką. Sakwę z klejnotami uwiązał z przodu, do kuli od siodła, obok lewego kolana, i w szyku podróżnym zajął miejsce tuż prawie za arcybiskupem, pomiędzy kanonikami i prałatami kapituły magdeburskiej. Baronowie von Bismarkt i von Schwert jechali za nim o kroków kilkanaście, mając go na oku, ażeby w razie potrzeby z orężną pośpieszyć pomocą.

Podróż szła zrazu bardzo pomyślnie. Duży orszak, składający się z duchowieństwa, dygnitarzy świeckich, książąt, rycerzy i służby, wkroczył w granice Polski i posuwał się powoli traktem, trzymającym się brzegów Noteci. Kraj płaski, widok na wsze strony otwarty, nad rze-

ką trzęsawiska, tu i owdzie lasy, dokoła spokój, zdający się rokować, że Polacy nie odważą się sprzeciwić pochodowi dalszemu, a tym mniej targnąć się na arcykapłana, sędziwego męża, siedzącego poważnie na wypasionym mierzynie krwi meklemburskiej, maści jasnogniadej. Na samej granicy nie było warty żadnej. O staj parę dalej zjawilo się jeźdźców paru, którzy zwrócili się i pędem oddalili.

— Cc to tu za województwo? — zapytał arcybiskup Brandeburczyka jakiegoś, dodanego jego świątobliwości w charakterze przewodnika.

— Inowrocławskie, eminentissime.

— Wojewoda jak się zwie?

— Jarand z Brudzewa, herbu Pomian.

— Cóż to za jeden?

— Ot, taki jak Polak każdy. Wszyscy oni jednacy... jeden wart drugiego, każdy zaś z osobna wart tego, żeby go na grubej powiesić gałęzi.

— Nie skłania się ku błędom kacerskim Wiklefa?

— Nie zdaje się... Skłaniają się w województwie tym inni, ale nie on. To atoli nic nie stanowi. Najlepszy pomiędzy Polakami katolik z pewnością nie trafi do królestwa niebieskiego.

Arcybiskupowi podobało się to zdanie. Uśmiechnął się i rzekł:

— Owóż, zdaje się, w posłuchach o pilnym strzeżeniu przez Polaków granicy było przesady trochę...

Zaledwie arcybiskup słowa powyższe wyrzekł, aliści zza gruntu załomu otworzył się widok na osadę dużą nad brzegiem rzeki zabudowaną. Uwaga atoli tak arcykapłana, jak i towarzyszy zwróciła się nie na osadę, a na orszak konny, liczący ludzi nie więcej jak piętnastu, stojący w miejscu nie opodał od kołowrotu. Kołowrot znajdował się w punkcie, w którym rzeka, kolano czyniąc, podmywała brzeg w tym miejscu urwisty i podchodziła tuż pra-

wie pod drogę. Płynęła ona na prawo od przybywających z Berlina. Na lewo grunt się podnosił lekko, przestrzeń znaczną zarastały krzaki dopierające do lasu i poprzecinane w poprzek głębokimi rozpadlinami, idącymi z ukosa, ku wsi. Rozpadliny tego rodzaju formują potoki wiośniane. Środkiem osady, rozrzuconej na dwóch pochyłościach, przechodziła rzeczulka błotnista, wpadająca do Noteci.

Z orszaku konnego odłamało się jeźdźców trzech i wyjechało na spotkanie drużyny podróżnej. Pomiedzy jeźdźcami odznaczał się przewodniczący im mąż wzrostu średniego, barczysty, krępy, włosów jasnych, okryty pancerzem, w niskim na głowie hełmie i siedzący na dzielnym siwym koniu. Mąż ów, podjeżdżając i konia zatrzymując, ramię wyciągnął i głową lekko na znak pozdrowienia kłaniając, zawołał przeciągle:

— Stój!...

Arcybiskup jasnogniademu cugle ściągnął.

Jeździec, po krzyżu na piersiach, po odzieży i po postawie poznawszy snadź dostojnika kościelnego, zbliżył się z uszanowaniem i mówić zaczął. Mówienie jego dziwny sprawiało efekt, ciągnęło się bowiem powolnie, sylabami oddzielonymi jedna od drugiej i wlokącymi się niesłychanie długo.

— Wasza świątobliwość — prawil mąż zbrojny — pozwolić raczy zapytać siebie o nazwisko, o godność, a przy tym i o to, skąd przybywa, dokąd jedzie i jakim jest podróży jego cel?

— Jestem arcybiskup magdeburski... — odrzekł śmiało i impozycji niejakiej tonem dostojnik kościelny. — Przybywam z Magdeburga, jadę do Wilna.

— A po co?... jeżeli zapytać wolno? — zagabnął mąż powolny.

— Po co?... hm... Jadę... Nie jestem obowiązany sprawy dawać, tym bardziej że nie wiem, kto i prawem jakim zapytuje mnie o to.

— Jarand Brudzewski, herbu Pomian, wojewoda inowrocławski... do usług świątobliwości waszej.

— Mości wojewodo!... — podchwycił arcybiskup wyniośle — nie przyznaję ci prawa zatrzymywać w podróży i zapytywać o cel takowej arcybiskupa magdeburskiego.

— Świątobliwość wasza wybaczy, ale... — odrzekł wojewoda, gesta takie czyniąc, jakby połykał z trudnością przez gardło przeciskające się mu wyrazy — ale... ja... ja, wojewoda inowrocławski... mam prawo świątobliwości waszej nie puścić.

— Skąd prawo!... co za prawo!...

Rzuciwszy dwa te wykrzykniki, arcybiskup konia lekko cugłem trącił i ten ruszył.

Są ludzie, na których byle z góry krzyknąć, a wszystko z nimi zrobić można. Do ludzi rodzaju tego należał, zdawało się, wojewoda inowrocławski. Arcybiskup z góry na niego nakrzyczał i on nic do odpowiedzenia nie znalazł, a raczej, zanim się na odpowiedź zebrał, arcybiskup i cały orszak poselski znajdował się już w pełnym ruchu. Można było rezultatu tego winszować sobie, zapewniało to bowiem przejazd swobodny przez województwo inowrocławskie, po którym następowało Mazowsze. Przewodnik też powiadał do arcybiskupa:

— Świątobliwość wasza umie, jak widzę, z Polakami się obchodzić. Broń Boże do nich po ludzku przemawiać... Stuknąć, huknąć: w ten sposób wszystko z nimi zrobić można. Taki to naród!...

Wojewoda, otrzymawszy odpowiedź niepomyślną zwrócił konia na miejscu, jechał czas jakiś obok orszaku poselskiego, odwracając się niekiedy i okiem mierząc głębokość wyciągniętej na drodze kolumny, w końcu trącił ostrągą i oddalił się krótkim galopem. Podróżni widzieć niebawem mogli naprędce czynione przygotowania do zatarasowania im drogi. W kołowrocie stanęło szlachciców kilku z dzidami, reszta zajęła pozycję z boku.

Co powiodło się raz, to, zdawało się, powodzenie mieć powinno i po raz wtóry. Arcybiskup, dojechawszy do kołowrota i widząc takowy zamkniętym, skinął w sposób imponujący na szlachcica o głupowatej minie, który przy wrotach stał. Szlachcic odpowiedział mu z flegmą:

— Nie wolno.

— Otwieraj! — ktoś groźnie z orszaku krzyknął.

Szlachcic znów:

— Nie wolno.

— Otwieraj!... siaki taki!... — odezwowało się głosów kilka.

— Ty sam siaki taki!

Wszczęła się łajanka wzajemna, która niedługo trwała, wnet bowiem gorliwców kilku z orszaku poselskiego, widząc przeciwników ilość niewielką i uzbrojenie nieosobliwe, skoczyło do wrót w celu wywrócenia przeszkody. Szlachcice, poły zawinawszy, zrejterowali ku domom najbliższym. Orszak wkroczył tryumfalnie. Wjechał arcybiskup, prałaci, Stefan z koroną, kanonicy, książęta, posłowie, dwaj baronowie w boki się trzymając, wjeżdżała już i służba, kiedy nagle i niespodziewanie spoza chałup, zza węgłów, z ogrodów wysypała się ludzi kupa wielka, złożona z mężczyzn i kobiet, z dorosłych i z dzieci, a uzbrojona we wszystko, co jeno jako narzędzie do bicia użytym być może: w kosy, w widła, w ożogi, w kije, w drągi, w miotły, w łopaty. Na drodze, z przodu stając, wystąpili szlachcice konno, pod dowództwem wojewody. Kupa z okrzykami dzikimi uderzyła z boku, spychając orszak ku rzece i wnet zawiązała się bójka, w której od razu przewaga przechyliła się na stronę polską. Stało się to w sposób naturalny. Przewagę sprowadziła szczególna nagłość napadu, który przewidywanym był z przodu, i naprzód też, szykując się za arcybiskupem, wysunęło się całe rycerstwo niemieckie. Z boku więc napadnięte, zmieszało się; nie miało czasu zorientować się, dało się roze-

rwać, bronilo się słabo, część w niewolę się dostała, część ucieczką się salwowała, część zaś, z drogi zepchnięta, znalazłszy przesmyk przed sobą, rzuciła się w takowy i w jednym oka mgnieniu z oczów znikła: dał się jeno słyszeć plusk ogromny.

Część ta ostatnia fatalnie wyszła. Przesmyk, który się jej drogą zbawienia wydał, okazał się zdradnym. Prowadził do urwiska, u stóp którego płynęła Noteć, zasłonięta przed oczami tym właśnie urwiskiem. Tym, co się w tę rzucili stronę, zabrakło nagle ziemi pod nogami, otworzyła się przepaść, w którą wpadał jeden za drugim i zanurzał się w nurtach. W sposób ten wpadł najpierw Stefan, po nim dwaj baronowie, po tych dwaj jeszcze rycerze jacyś ciężko uzbrojeni. Tych pięciu zniknęło; część przeważnie służebna, co z tyłu się w ordynku podróżnym trzymała, pogoniła z powrotem na Brandebury; arcybiskup, prałaci, kanonicy, posłowie, książęta dostali się do niewoli flegmatycznemu wojewodzie, który kazawszy ich rozbroić, do najbliższego odesłał zameczku. Rzecz naturalna, bez głośnych nie obeszło się protestacyj.

— Boga wzywam na świadka gwałtu na drodze publicznej! — wołał arcybiskup dłonie wznosząc do góry.

— Odpowiesz, mości Brudzewski, przed trybunałem cesarza!... — dodał poseł Zygmunta.

Wojewoda uśmiechał się.

— Co z nami robić zamysłasz? — zapytał graf Herman we własnym i książąt imieniu.

— Zobaczymy... — odpowiedział wojewoda flegmatycznie, dając znak warcie, aby jeńców prowadziła.

F I G U R A

Pomiędzy tymi, co znad Noteci uciekli, znajdował się Wasa Tomicz, czyli signor Basilio Tomini. Znajdowali się także i otrocy Stefana, którzy, popłochem ogarnięci, unieśli się wraz z pacholkami arcybiskupa, kanoników, hercogów, grafów, baronów i różnych zwyczajnych i nadzwyczajnych tajnych radców. Nieśli się kupą, wzbijając kurzawę straszną i postrachem ogromnym przejmując żaby nadnoteckie, które na sam tętent do wody się rzucały, wnet jednak wypływały, lby, jak owa żaba w bajce Krasickiego, do góry wystawiały i z ciekawością wielką przypatrywały się temu odwrotowi nie całkiem regularnemu niemiecko-słowiańskiej służebnej rzeszy, wśród której pomykało rycerzy kilku. Kupa ta strachem gnana nie zatrzymała się, aż na gruncie brandeburskim.

— Halt!... halt!... — rozległy się wołania.

Jaki taki, pozostając pod wrażeniem wspaniałego widoku Wielkopolanów z widłami i Wielkopolanek z ożogami, głuchym się na wołanie okazał i popędził dalej. Ani Wasa jednak, ani z otroków żaden do tego rodzaju żarliwych w uciekaniu nie należał. Zatrzymał się w gronie dworzan, którzy się także zatrzymali, i wziął udział w naradzie, która z następującego wysnuła się punktu wychodniego: cóż robić?

— Czekać!... rzecz naturalna, czekać!

Czekano wybierając po temu miejsce dogodne. Miejsca onego szukano coraz to dalej od granicy polskiej, aż w końcu znaleziono je w punkcie, w którym noc zaskoczyła. Trzeba było biwakować. Brakowało starszyny całej. Gubiono się w domysłach, pomiędzy którymi jeden uporczywie się narzucał.

— Polacy uwięzili...

Wydawało się to rzeczą najprawdopodobniejszą. Nastręczało się atoli prawdopodobieństwo i inne jeszcze.

— Pomordowali...

Zrazu znajdowali się tacy, co tego nie przypuszczali. Znaleźli się atoli tacy, co przypuszczenia tego dowiedli przykładami, dowodami poparli, tak że prawdopodobieństwo oblekło się w pozory pewności.

— Bądź co bądź jednak, czy powieźli, czy pomordowali, my tu nie mamy co robić — odezwał się jeden.

— Cóż robić? — zapytało kilku.

— Do Berlina jak najspieszniej ciągnąć i dać znać o wypadku. Margrabia zaradzi...

— Nie wskrzesi... — ktoś się odezwał.

— Zapewne... Zawsze to jednak wypadek nie lada: arcybiskup, graf cylejski, książąt tylu!

— Zdaniem moim — zabrał Wasa głos — nim się do Berlina udamy, należałoby pierwiej dowiedzieć się. Nas tam zapytają. Cóż powiemy?

— Powiemy, że Polacy na drodze napadli.

— I żeśmy uciekli?

— Jeżeli bili... Mielifeśmy bić się dać i, broń Boże, od ożoga zginąć?

— Gdzie ginęli ludzie tacy jak świętobliwość jego albo jak graf cylejski!

Uwaga ta zafrapowała umysły. Rada w radę, postanowiono czekać jeszcze i rozłożono się na noc przy ogniskach.

Nazajutrz przystępowano właśnie do narady, kiedy ujrano człowieka pośpieszającego drogą. Przychodził od granicy polskiej. Wszystkim od razu na myśl przyszło, że od niego języka dostaną. Szedł żwawo, zbliżył się i jak tylko rysy oblicza jego rozpoznać się dały, natychmiast Wasa i otrocy z okrzykami radości pośpieszyli do niego.

Był to Stefan, ale zmoczony, obłożony i znękany.

— Witajże, witaj!

— Ach!... — odetchnął z głębi piersi — ach!...

Drżał z ziębnięcia, wnet też przy najbliższym przyśiadł ognisku i ręce do płomienia nastawił, rzucając obok torbę, którą przyniósł w rękę.

— Cóż tam słyhać?... — zapytało razem kilku.

— Co słyhać?... zapytam i ja... — odrzekł.

— Gdzie się obracają arcybiskup, graf cylejski, książęta, posłowie?

— A ja nie wiem.

— Czy żyją?

— Wiem mniej jeszcze. To wiem tylko, że gdybym się był uzbroił, jak baron von Schwert, baron von Bismarkt i dwaj jeszcze rycerze, byłbym się tak samo utopił jak oni.

— Potopili się!... — krzyknęło głosów kilka.

— Poszli niby kamienie na dno.

— To może arcybiskup, graf cylejski, książęta i radcowie potopili się także!

Stefan ramionami ścisnął, a zwracając się do Wasy, rzekł po serbsku:

— Daj mnie da popijem winca mało.

Wasa czutrze mu podał. Stefan pociągnął haustów głębokich kilka, odchrząknął, splunął i odezwał się:

— O, Polacy przekłęci!... Nigdy w życiu moim tak nie nastraszył się jeszcze. I o małym się nie utopił. Gdybym się na Krupacu do pływania nie wprowadził, byłbym się utopił niezawodnie. Tamci na dno poszli.

— Jakże to się stało? — zapytano.

— Gdy Polacy napadli, ja smyk w bok, myśląc, że się od nich odsadzę, ale zaledwie koń mój skoków kilka zrobił, aż tu patrzę... rzeka... i ledwie się opamiętałem, już w wodzie byłem. Szczęście, że na siodle utrzymałem, miałem więc czas sakwy odwiązać. Spłynąłem... woda mnie unosiła... Rzuciłem się z konia wpław i dostałem się na brzeg przeciwny, w trzciny i trzęsawiska. Nie wiedziałem zrazu, co począć, ale się namyśliłem i wróciłem. Oto wszystko...

— A baron von Bismarkt, baron von Schwert?

— Oni po mnie jeden po drugim wpadali do wody, niby obrywając się z gór, jak ciężkie kamienie.

— I nie spłynęli?

— A... — machnął Stefan ręką — ciężary takie...

— I ciężary spływają niekiedy — odezwał się Wasa.

— Gdy są wydrażone, jak łodzie i okręty... — wtrącił któryś.

— Niekoniecznie. Spływają i napełnione. Sam to na własne widziałem oczy... w Krupacu... lat temu bodaj czy nie piętnaście... trzech prałatów, ciężkich tak, że chyba człowiek cięższym być nie może, spłynęło.

— No... — przerwał Stefan — tamto, co innego... Był to cud...

Wyraz ostatni zafrapował słuchaczy; poczęli się dopytywać i wyzwali opowiadanie szczegółowe o wypadku, jaki przed laty miał miejsce w Krupacu w czasie święcenia jeziora. Opowiadanie to, przyozdobione w dodatki, było bardzo zajmujące. Dodatki, w których nie brakło ani głosu z góry słyszanego, ani woni osobliwej w powietrzu się unoszącej, ani też opromienienia około głów trzech mężów, przerobiły fakt naturalny na cudowny w najściślejszym wyrazu tego pojęciu, to jest na taki, za pomocą którego Najwyższy pokazuje człowiekowi, iż czynić mo-

że, co mu się podoba. A że pomiędzy słuchaczami niedowiarków nie było, jako też nie było pomiędzy nimi ludzi mających pojęcie o gatunkowej ciał ciężkości, więc opowiadanie znalazło wiarę bezwzględną. Przy zorzy porannej ozwały się i modlitwy. Stefan wierzyć począł w cudowność ocalenia własnego, które zawdzięczał nie temu, żeby miał być świętym jak pralaci owi, a temu, że był mniejszym grzesznikiem aniżeli baron von Schwert, baron von Bismarkt i dwaj inni nie znanych nam nazwisk rycerze. Ci, co bliżej ich znali, poczęli żywoty ich rozpamiętywać. Pokazało się, że byli to mężowie, dla których szła uczynków dobrych ważyła się z szalą, którą zapełniały uczynki niekoniecznie dobre. Do pierwszych zaliczano gorliwość w paleniu Żydów i prześladowaniu kacerzy — na karb zasług Schwerta zaciągnięto do rachunku historię z rodziną tasiemkarzy; do drugich odnoszono rozboje na drogach, dokonywane na osobach dobrych katolików, gwałty, jakich się dopuszczali przy okazji na niewiastach, mianowicie Bogu zaręczonych, i rabunki klasztorów i kościołów.

— Prawda atoli wyznać nakazuje — tłumaczył jeden z orszaku grafa cylejskiego — że się oni tego wszystkiego w złą nie dopuszczali myśli. Oto na przykład lat temu trzy bez mała kościół złupili. Złupili, prawda... i księży pozabijali, i ołtarz obdarli, i z cudownego obrazu koronę brylantową zdjęli, ale... właśnie w czasie owym przyjechała była do grafa siostra, cesarzowa niemiecka, a tu w skarbcu... pustki. Więc się baronowie świętej pamięci wyprawili na trakty i, mój ty Boże mocny! jak się trudzili!... jak się zwijali!... zanim mizerna jaka wpadła im w ręce zdobycz, to Bóg jeden oceni. Ciężko to była zapracowana zdobycz!... — Tu opowiadający westchnął. — Z traktów mały przychodził pożytek, musieli więc zrabować klasztor panien pod Grodźcem i złupić kościół w Ce-

lowem... Możnaż ich przeto obwiniać?... Czyż to oni dla siebie uczynili?... Nie, byli to rycerze na wskrós honorowi.

Dla Stefana i Wasy wyjaśniła się zagadka tajemniczych z zamku cylejskiego wypraw rycerskich, które ich w swoim czasie mocno intrygowały. Przypomnieli sobie oraz, że słyszeli o złupieniu kościoła w Celowem. Opowiadano o tym jako o czynie świętokradzkim, ale niesłychanie śmiałym i nadzwyczaj zręcznie dokonanym. Nie dziw przeto, że utopieni rycerze znajdowali obrońców.

— Jest to nader dotkliwa dla grafa cylejskiego strata — uznawano powszechnie.

Poświęcono zginionym westchnienie żalu szczerego i myśleć poczęto o żywych, a raczej o tych, których za zginionych nie było można uważać z pewnością całą.

Wracać do Polski — o tym mowy być nie mogło; wracać do Berlina — to wymagało zastanowienia; pozostawać na miejscu — po cóż pozostawać?

Stefan uratował klejnoty koronne, dla niego przeto rozstrzygnięcie kwestii, co robić dalej, miało znaczenie nader ważne. Radził się z Wasą, nic jednak uradzić nie mogli. Zastępowanie zdania u innych było im wzbronionym, obecność bowiem klejnotów stanowiła tajemnicę — tajemnicę, racja której wzmogła się w położeniu, jakie wypadki stworzyły. Kto by ręczyć się podjął za bezpieczeństwo insygniów w towarzystwie wielbicieli baronów nieboszczyków? Stefan przeto w kłopotliwym znajdował się położeniu, z którego atoli wyjść jakoś należało.

Jedyny sposób wyjścia przedstawiał się pod postacią czekania. Czekanie — gdzie atoli? — czy tu w polu? czy też w Berlinie?

W razach podobnych z trudności wyprowadza zwykle ten, co wynajduje rozwiązanie zagadki za pomocą wypośrodkowania z dwóch postanowień — trzeciego. Trzecie owo postanowienie bywa niekiedy dowcipne; rzadko by-

wa mądre; zazwyczaj zaś nigdy rozwiązaniem nie jest. Tak się też i tym zdarzyło razem. Ktoś się odezwał:

- Ani w polu, ani w Berlinie.
- Gdzież więc? — zapytano.
- W Landsbergu.
- Lepiej już w Kostrzynie — ktoś poprawił.

W Landsbergu, w Kostrzynie, w Kostrzynie, w Landsbergu. Wywiązała się dysputa krótka. Ci, co się za Landsbergiem oświadczyli, składali się tym, iż dogodność miejscowości tej polega na bliskości granicy polskiej; ci, co byli za Kostrzyniem, podnosili bliskość Berlina. Skończyło się na tym, że pozostawioną została swoboda każdemu postąpić, jak mu się podoba. Rozbitki wyruszyli o wschodzie słońca i jedni zatrzymali się w Landsbergu, drudzy pociągnęli do Kostrzyna, trzeci do Berlina, inni zaś aż do Magdeburga.

Stefan, Wasa i dwaj ich otrocy należeli do pierwszych. Zatrzymali się w Landsbergu z postanowieniem czekania na wiadomości jakieś chociażby przez rok cały. Wiadomości niebawem nadeszły, a były w części jednej pocieszające, w drugiej okropne. Część pocieszająca polegała na tym, iż uspokajała, co się tyczy zachowania przy życiu arcybiskupa, posłów i książąt. Polacy nie pomordowali ich — uwięzili, i tu to dopiero okropność następowała. Dawali arcybiskupowi słomę, nie na posłanie, co ze względu na przyzwyczajenie się męża tego do edredonów byłoby bolesnym, ale dawali mu ją do jedzenia, i to, o zgrozo! żytnią, co stawało się przerażającym. Wieść ta, gdy się rozeszła, napęliła Brandenburgię wzdłuż i wszerz oburzeniem ogromnym.

— Arcybiskup na słomiel... nie pokładany, ale... karmiony!

Mężowie brandeburscy, ludzie oręza i ludzie rady, odgrążali się, palcami kiwając:

— Poczekajcie, Polacy!... odwzajemnimy się my wam! Jak wy obecnie naszego arcybiskupa, tak my waszego weźmiemy na słomę kiedyś... kiedyś! chociażby na te go-
dy przyszło nam czekać lat czterysta czterdzieści cztery.

Liczba czterysta czterdzieści cztery znajdowała się na Brandeburach w ustach wszystkich powag. Ponoś wynalazł ją astrolog jakiś. Dodać winniśmy, że ją powtarzano, lecz głębokiego jej znaczenia nie rozumiano wówczas, tak jak my dziś powtarzamy, nie rozumiejąc znaczenia wyrażenia: „A imię jego czterdzieści i cztery“. Są to tajemnice dla najbystrzejszych nawet rozumów niezbadane. Pogroźka Brandeburczyków wyjaśniła się w czasach naszych — poszła, niestety! za głowę głowa. Spodziewać się przeto należy, że wyjaśni się kiedyś i zagadkowość imienia „czterdzieści i cztery“.

Stefan dowiedziawszy się o losie okrutnym, jaki flegmatyczny wojewoda inowrocławski zgotował arcybiskupowi, a zatem książętom i posłom, podzielił oburzenie powszechne, jakie przejmowało poczciwych Brandeburczyków. W oburzeniu tym, słusznym ze wszech miar, jeżeli w rzeczy samej więźniowie na słomianej pozostawali dziecie, niesłusznym jednak było to, że odnosiło się ono do całego narodu, nie zaś do samego jeno Jaranda Brudzewskiego, herbu Pomian. Lecz o jakże to często narody za jednostki odpowiadają! Stefan nasz nie wdawał się w subtelności rozumowania o słuszości i niesłuszości: jakie mu Niemcy na nos okulary włożyli, przez takie on się na naród pobratymczy zapatrywał i wygadując na Polaków rzeczy niestworzone, wzywał na głowy ich piorunów niebieskich.

Pojmował jednak, że nie pozostaje mu nic innego, jano pilnować klejnotów pieczy jego powierzonych i wyczekiwać rozstrzygnięcia sprawy. Wyczekiwanie wskazywało go na nudy. Razu więc pewnego przemówił do Wasy:

— A co... gdybyśmy do Kostrzyna pojechali?

— Wszystko jedno.

— Nie jedno... to Landsberg, tamto Kostrzyn.

— Jedźmy do Kostrzyna — odrzekł Wasa ramionami ściskając.

Pojechali. Zmiana miejsca spowodowała rozrywkę czasową, która zapełniła pierwsze dni pobytu, nie wystarczyła jednak na długo. Dni kilka minęło — znudzili się.

— A co... gdybyśmy pojechali do Berlina... — zaproponował Stefan.

— Jedźmy — odrzekł Wasa.

Berlin, niezabawny dziś, był w wieku XV dziurą, co mówimy! jaskinią, co do wartości której świadczymy się pierwszą lepszą historią powszechną, która opowie, jak to Brandeburczycy interesa swoje prowadzili! jakim to postrachem praojce junkrów dzisiejszych byli dla ludzi, u których znajdowało się coś do zabrania przemocą! Słynęły Brandebury pod względem tym szeroko. Sprawy wszelkie tego rodzaju ogniskowały się w stolicy, która przeto mniej aniżeli obecnie przedstawiała bezpieczeństwa dla ludzi pozostających w posiadaniu kosztowności, chociaż poświęcanych. Każdy obcy wpadał w podejrzenie ze względu na trzos. Stąd pobyt w Berlinie dla Stefana i Wasy, czuwających nad klejnotami koronnymi, nie był wcale zabawnym. Cała dla nich rozrywka polegała na bywaniu w kościołach, w których bezustannie odbywały się wotywy i nabożeństwa solenne za arcybiskupa męczennika, o położeniu którego w niewoli polskiej wciąż jednakoż przerażające rozchodziły się wieści. Fakt, że nie żywił się niczym innym, jeno słomą żytnią, stał się pewnikiem, do którego czepiał się długi szereg zbrodni przypisywanych wojewodzie inowrocławskiemu, a wołających o pomstę do nieba. Brandeburczycy nie posiadali się ze świątobliwego oburzenia na flegmatycznego wojewodę.

Pewni byli, że niebo nie puści mu płazem tego względów wszelkich podeptania. To im jednak nie wystarczało. Wzywali o kary inne, rozmaite, pomiędzy innymi zaś i o tę, ażeby zbrodnie, jakich się Jarand Brudzewski względem arcybiskupa magdeburgskiego dopuścił, wyrzucenymi zostały pamięci jego w pokoleniu którym najpóźniejszym przez własnego jego pra-pra-pra... wnuka, chociażby po kądzieli, ażeby przez to poruszyły się w grobie, po setkach lat spoczywania, popioły wojewody. Strach, co się działo! Bo też biedny męczennik trzymanym był — jakoby — w celi krótszej aniżeli on sam na długość i węższej aniżeli on sam na grubość. Coś podobnego Polacy tylko wymyślić mogli. Dalej: w celi tej panowała ciemność absolutna, otwór zaś do wejścia i wyjścia znajdował się w podłodze, ułożonej nad studnią bezdenną, najeżoną po bokach kolcami i ostrzami tak, że gdyby się podłoga otworzyła przypadkiem jakim, to arcykapłan magdeburgski dostałby się na spód w kawałeczkach. Arcybiskup odprawić chciał nabożeństwo — nie dano mu; chciał się spowiadać — nie pozwolono; chciał się z kimeś widzieć — nie dopuszczono.

Wieści podobne krążyły ustawicznie, zajmowały umysły, nie były jednak w stanie zmienić się dla Stefana i Wasy w lekarstwo na nudy, podszyte obawą o sakwy chroniące w sobie koronę, jabłko i berło. Owóż tedy:

— A gdybyśmy do Kostrzyna wrócili... — zaproponował Wasa razu pewnego.

— Do Kostrzyna... hm?... — odrzekł Stefan.

— Miasteczko mniejsze i ludzie tam, zdaje się, mniej ciekawi.

— Jedźmy...

Powrócili do Kostrzyna, po dniach zaś kilku taż sama racja, co ich tu sprowadziła, pociągnęła dalej jeszcze, do Landsbergu.

Czuwanie nad klejnotami w ten odbywało się sposób, że nigdy Stefan i Wasa razem z mieszkania się nie wydalali. Gdy wychodził jeden, zostawał drugi; na noc zamykali się i drzwi zabarykadowywali. Egzystencja taka nużyła ich i to tym bardziej, że końca onej przewidzieć nie mogli. Spodziewali się jeno, że w męczarniach, jakie Polacy zadawali więźniom, ci ostatni nie wytrzymają długo, pomrą i w ten sposób ich od obowiązku wyczekiwania uwolnią. Dziwili się, że wieść o śmierci ich tak się spóźnia. Zrozumieć nie byli w stanie, jak posłowie, książęta i arcybiskup na słomie żytniej wyżyć mogą. Tłumaczyli to sobie za pomocą cudu wyraźnego i tym też bardziej obowiązany się czuli czekać usque ad finem.

Przytrafiło się raz tak, że Wasa pozostał w izbie na straży, a Stefan, korzystając z pięknej jesiennej pogody, wyszedł za miasteczko na trakt ku polskiej prowadzący granicy. Szedł zadumany, myśląc o różnych różnościach, między innymi zaś o tym, jak wygląda graf Herman. trzymany miesiąc już z czymś na strawie słomianej. Graf dlatego przyszedł mu na myśl, że się nie odznaczał tuszą okazałą. „Nim tłusty schudnie, chudego diabli wezmą“. Na podstawie przysłowia tego powinien już on być od dawna powołanym być do chwały niebieskiej. Rozmyślał o tym nasz Stefan, gdy nagle ujrzał gromadkę jeźdźców podążających traktem. Jeźdźce się zbliżali; Stefan zamierzał zaczepić ich o wiadomości o męczennikach, aż gdy się tak zbliżyli, że postacie rozpoznać się dawały, osłupiał ze zdumienia. „Patrzy — nie wierzy“ — nie wierzy wzroków własnemu, oczy przeciera, znów patrzy, jeszcze nie wierzy, w końcu jednak uwierzyć musiał, gdy poprzedzający innych jeździec konia przed nim zatrzymał i przemówił.

Koń zatrzymany był to wypasiony, jasnogniady stępak; jeździec, co przemówił, był to we własnej swojej by-

najmniej nie zmizerowanej osobie arcybiskup magde-
burski.

Arcybiskup przemówił, a Stefan krzyknął:

— Ach!

— Co ci, synu?! — zapytał arcypasterz łaskawie.

— Więc to chyba nieprawda, żeście byli męczeni?

— Męczeni?

— Nie mówią tu o niczym, jeno o zadawanych wam przez Polaków męczarniach; o strawie słomianej, o celi wąskiej, o ciemnościach, o hakach... To więc wszystko nieprawda?

— Wszystko prawda... — odrzekł arcybiskup z namaszczeniem i dodał po chwili na stronie: — w figurze... Wszystko prawda.

— Tu za świątobliwość waszą ustawiczne odbywały się modły.

— Snadź też wysłuchanymi one zostały. Stępiły się ciosy nieprzyjaciół naszych i oto wracamy z radością w sercu, jak wracały niegdyś dzieci Izraela, wyprowadzone przez Pana z niewoli babilońskiej.

Zbliżył się graf Herman — chudy, ale nie chudszy jak dawniej — i pozdrowił Stefana uprzejmie.

Męczennicy wcale dobry okazywali humor. Żartowali.

— Kiedyż do Wilna, na koronację? — zapytał Stefan wiedząc, że był zamiar udać się inną drogą, gdyby na tej przeszkoda się trafiła.

Arcybiskup ręką machnął i odrzekł:

— Witold umarł...

W NORYMBERDZE

— O, korono Witoldowa! o sieroto!... — zawołał Worre stanawszy ze splecionymi palcami, z wyciągniętymi rękami, z obróconymi na odwrot dłońmi i z pochyloną głową nad postawionymi na stołku prostym władzy najwyższej godłami. — O, sieroto, osierocona pierwiej, zanim przyszło ci zaznać ciepło miłości rodzica! Czy się litować nad tobą? czy winszować ci?... Gdybym błaznem nie był, wylałbym na ciebie, o korono! całe sztyderstwa morze... mój Boże! żadna głowa nie pochyliła się przed tobą, żadne kolano nie przyklęknęło na twój widok, żadne serce nie zadrżało od twego blasku, przesunęłaś się jako cień; jesteś, a nie ma ciebie... Bądź co bądź, los twój rozrzewnia mnie do duszy głębi, pomimo, a raczej właśnie dlatego, żem trefnił... Los twój taki do mego podobny!... Śmieszysz ludzi, płodzie poroniony, jesteś zaś w istocie swojej tym samym co każda inna, mając za sobą warunki otaczające cię prawami najpoważniejszymi. W tym samym położeniu znajduję się ja. I ja śmieję ludzi będąc w człowieczej istocie mojej nie gorszym od najlepszych. Jak mnie, tak tobie zabrakło jednej rzeczy: wejścia w świat drogą stosowną. Na innej drodze, kto wie, czym bym był! Ty, gdybyś sobie nie obrała była wchodu przez furtkę pozostającą pod strażą jakiegoś tam

flegmatyka, polyskiwałabyś w tej chwili dumnie, hardo, na wysokościach, wśród czoł pochylonych, grzbietów zgiętych, wzroków rozmodlonych, wzbudzając uwielbienie i bojaźń. Tak zaś... co? Wzbudzasz, o korono! politowanie... blazna.

Słowa powyższe wyrzeczone zostały w skromnej izdebce gospody. wznoszącej się w rynku niegłównym cesarskiego grodu Norymbergi, służącego w czasie opisywanych przez nas wypadków za punkt zboru dla wszystkiego tego, co Niemcy posiadały najznakomitszego. Zadaniem zjazdu było wywikłanie ładu jakowegoś z nieładu, w którym Niemcy pogrążone były, a wobec którego błedną nieładą wszelkie, jakie działały się u nas. Wywikływania dawały zazwyczaj powód do tym mocniejszych powikłań. Stanowiono prawa bez znoszenia prawa pięści. Urastały stąd nieporozumienia bez końca, torujące drogę pewnej jednej pięści, mającej wynurzyć się z chaosu, żeby ująć ojczyznę niemiecką za łeb. W pierwszej wieku XV połowie losy się ważyły, pięść owa nie wynurzała się jeszcze. Stanowisko cesarza było jeno zaznaczone, bardziej symboliczne aniżeli realne, posiadało szans nieco, dążyło do władzy najwyższej, lecz wraz z nim dążyło do tegoż samego celu stanowisk mnóstwo. Ostatnie w tym względzie słowo stanowiło tajemnicę przyszłości.

Dla zbadania tajemnicy tej Niemcy się zjeżdżali, zgromadzali, naradzali, kłócili, bili i mętną wodę coraz to mocniej mącili ułatwiając w ten sposób połów na kiedyś szczęśliwшему lub zręczniejszemu.

Ten był cel zjazdu w Norymberdze.

Obecność korony Witoldowej w tym mieście zdradzała obecność konserwatora onej, naszego Stefana.

Instrukcje, dane mu czasu onego, opiewały, że po koronacji Witolda powrócić ma do boku cesarskiego.

Koronacja obróciła się wniwecz. Można było uważać ją za odbytą. Stefan przeto przybył do Norymbergi i wy-

czekawszy czas jakiś na przybycie cesarza, który, jadąc rzemiennym dyszlem, pośpieszał powoli, zameldował się freihelowi von Windeck.

Tego ucieszył widok bohatera naszego.

— No i jakże, nawskróśjasność wasza... — zaczął — Witold placu nie dotrzymał.

— Umarł... bodaj go!

— Ha!... cóż robić...

— Przywiozłem insygnia.

— Jakie?... — podchwycił freier.

— A toż te, pieczy mojej powierzone... klejnoty koronne: koronę, berło i jabiko.

— Aa... tak... Przypominam sobie. Cóż więc?

— Nie wiem... Wręczyć by je należało najjaśniejszemu panu...

— A jego cesarskiej mości na co one!

— Cóż z tym zrobić?... Przedmioty poświęcone...

— Prawda... hm?... gdzież one?

— U mnie... Chciałbym się już ich pozbyć, bo mi spokoju nie dają.

— Hm?... — pomyślał freier przez chwilę. — Przygotuj je nawskróśjasność wasza i trzymaj na wierzchu... ja przyjdę tam, to... zobaczymy...

Stefan przygotował, na wierzchu położył i zanim freier przyszedł, zaszczycony został wizytą Wierrego, który koronę sierocą powyżej przytoczonym uczył monologiem. Wygadawszy się do korony, zwrócił się do Stefana.

— Co z tym robić zamierzasz?

— Pozbyć się.

— Korona ci ciąży... he?...

— Nie ciążyłaby, gdyby moją była.

— Masz rację. Weź więc ją sobie. Niech ci służy. Nadajemy ją ci...

Wyrazy ostatnie z komiczną wymówił powagą.

— Litewska... cóż mi po niej! — odparł Stefan.

— Przemianuj ją na chumską.

Stefan popatrzył mu w oczy pilnie i ramionami ścisnął.

— Radzę ci po przyjacielsku — dodał Worre — no i przekonany jestem, że prędzej, później, w tej lub innej formie, pójdziesz za radą moją. To tak miło i wygodnie być ein König, ein Herzog. Ha! — dodał — gdybym błaznem nie był!... Stało się jednak... Tobie atoli nie przeszkadza nic.

— Ot... gadasz... — odrzekł Stefan.

Worre ręką pokiwał z gestem znaczącym, pokłonił się Stefanowi z uszanowaniem głębokim i wyszedł.

Freiher przyjscia swego nie zwlekał długo. Zdawało się, jakby czekał tylko na odejście Worrego. Wchodząc przywitał się i natychmiast do klejnotów przystąpił. Oglądał sztukę po sztuce, ze szczególną uwagą przypatrując się kamykom. Brwi zmarszczył, pod nosem bąkał i usta zaciskał.

— Nawskróśjasność twoja chciałbyś się tego pozbyć?

— To jest... tak niby... — wykrztusił Stefan pozostając snadź pod wrażeniem rady trefnisia.

Odpowiedź ta, nie zgadzająca się z oświadczeniem uczynionym poprzednio, natchnioną, zdaje się, była przez Worrego. Nie uszła ona uwagi freihera, który, pomilczawszy przez chwilę, tak zaczął:

— Nawskróśjasność twoja wielką ma rację, chcąc pozbyć się przedmiotów wkładających odpowiedzialność wielką, a żadnej nie mających wartości.

— Zapłaciłem za to... — podchwycił Stefan wymawiając cyfrę opiewającą na kilka setek dukatów.

— No, tak... zapewne... Mówię jednak nie o wartości pieniężnej. Ta, przyznaję, jest znaczna. Mówię o warto-

ści, jaką przedmioty te mają dla twojej nawskrójjasności. Ta zaś, powtarzam, jest żadną, tym bardziej że jego cesarska mość, pełna względem nawskrójjasności twojej uczucia łaskawości, obmyślić raczył dla niej jak najchlubniejsze stanowisko, stanowisko, na którym wrodzone nawskrójjasności twojej zalety w całej zajaśnią pełni.

— No?... — zapytał Stefan zaciekawiony.

— Sprawy największej wagi powołują jego cesarską mość do Włoch, do Rzymu.

— Mam więc jego cesarskiej mości towarzyszyć?

— Nie... Towarzyszyć będziesz eminencji jego kardynałowi Cezariniemu w wyprawie krzyżowej, zamierzonej przeciwko kacerzom czeskim.

— W wyprawie wojennej! — zawołał Stefan uradowany.

— O! jak to jego cesarska mość odgadywać umie życzenia tych, na których łaskaw jest. Nawskrójjasność twoja pójdiesz orężem sławy wiekopomnej się dobijać, koronę zaś litewską, jabłko i berło pozostawisz w skarbcu cesarskim.

— A... no!... — odetchnął bohater nasz. — Szkoda jednak, że jego cesarska mość osobiście na czele szyków nie stanie.

— Ha!... Osobistej obecności jego cesarskiej mości wymagają trzy punkta równocześnie: obóz, Bazyleja i Rzym. Niesposób razem wszędzie być.

— Kardynał przeto naczelne obejmuje dowództwo.

— Dowództwo naczelne obejmuje osiwiwały w bojach margrabia brandeburski, kardynał zaś będzie naczelnikiem naczelnika, przedstawicielem najzwierzchniejszej władzy ojca świętego. Jego emnencja będzie miał pod sobą hufiec wyborowy i do tego to hufca jego cesarska mość wklucza najłaskawiej nawskrójjasność twoją.

Stefan wszystkiego dobrego w życiu swoim zaznał. Istne dziecko szczęścia, szedł drogą różami usianą. Na drodze tej spotykał honory i rozkosze, które go niejako popod ramiona prowadziły, a duch opiekuńczy, zapewne patron rodziny Chraniczów, czuwał nad tym, ażeby w triumfalnym życia przechodzie „o ostry kamień nie zawadził nogą”. Jedyne, jakie go spotkało przeciwieństwo, zdarzyło się mu w Polsce. Cóż to jednak za przeciwieństwo było! Śmierć wprowadzie w oczy mu zajrzała; Noteć rozwarła dla niego zimne swoje łono; wyszedł atoli ręką obronną, co było szczęściem — szczęściem wszelako, którym się chwalić bardzo nie mógł. Wpadł do wody i wypłynął. Była to przygoda nie nadająca się do uświetnienia żywota rycerskiego. Brakowało mu przygód, które w wieku owym stanowiły dla rycerzy ozdobę konieczną, stanowiąc piękne świadectwo tego, co nazywano cnotą. Cnota pojmowała się inaczej jak dziś i każdego urodzonego w warunkach, w jakich bohater nasz na świat przybył, przejmowała od kolebki niemal pragnieniem wojowania. Nie chodziło o to, z kim wojować i o co. Nie zastanawiano się nad podrzędnością taką. Chodziło głównie o wojowanie, ochotę do którego czuł Stefan od dawna i w Krupacu jeszcze będąc zamierzał na Turkach ją spędzić. W Krupacu nie zależał od siebie. Ciężyla na nim wola stryja, ta zaś zrobiła z niego ojca, w widokach, które cnotę rycerską na drugi zepchnęły plan, otwierając dla niej szranki z dniem wyruszenia w świat. W świecie zaś wiodło mu się pod względem każdym, z wyjątkiem pod tym jednym. Wyszedł wprowadzie na bohatera turniejowego; to atoli nie zadowalało jeszcze miłości jego własnej, urabiając w nim pragnienie spożytkowania ramienia silnego, jakim go natura obdarzyła, a która sprowadzała mu rojenia o głowach z karku strącanych, o tułowach do pasa rozrąbywanych. Przez czas cały, co się przenudził w Landsbergu, w Kostrzynie i w Berlinie,

pozostając pod wrażeniem opowieści o męczeństwie arcybiskupa magdeburgskiego, które rodziło prawdopodobieństwo wojny o tego męczennika, nie roił o czym innym, jak tylko o Polakach ścinanych, rąbanych i kopytami końskimi deptanych.

Toteż z uniesieniem przyjął dobrą nowinę, jakiej mu freiherr udzielił.

„Wojna!“ — wyraz ten napełniał serce jego rozkoszą niewysłowioną.

Wasa uważnym go uczynił, że jest to wojna przeciwko Czechom. Co go to jednak obchodziło! Sam Wasa nie miał przeciwko niej nic — owszem, był za nią, i bardzo, a to dlatego że przedstawiała ona pole do odznaczenia się w rycerskim zawodzie, pole obszerne, od lat blisko piętnastu uprawiane i same jeno klęski dla najwaleczniejszego pod słońcem rycerstwa sprowadzające. Zajęła też ona mocno tak Stefana, jak Wasę. Nie obchodziły ich bynajmniej sprawy niemieckie, agitujące się w Norymberdze, ponieważ jedna tylko zajmowała ich sprawa, krucjata — krucjata postanowiona bullą papieską, opowiadana po kościołach, placach i rogach ulic, ogłaszana po świecie całym, wzywająca wszystkich i każdego do wystąpienia orężnie przeciwko kacerzom w celu starcia w proch szatana.

Bardzo się to bohaterowi naszemu podobało. Przejmował się sprawą żywo, przyswajał ją sobie i nie uważał szatana za istotę nieznaną.

— To ten sam — powiedział — co nad krupackim jeziorem kapelana napastował.

— Zapewne... — była Wasy odpowiedź.

— Ten sam, co się patareństwem opiekuje?

— A tak... Patarenin a husyta — to tak jakby dwaj bracia z jednego ojca.

— Z ojca szatana?

— Rozumie się.

— Hm!... — mruknął Stefan, głową kiwając — co to, gdy człowiek w świecie się rozpatrzy! W Krupacu będąc, gdym słyszał, że szatan jest ojcem patarenizmu, i wierzyłem temu, i nie wierzyłem... Teraz jednak...

— Wierzysz już...

— Ano... Jak nie wierzyć w to, w co wierzą senatorowie, kardynałowie, królowie, książęta! Mnie się zdawało, że był to wymysł franciszkanów naszych.

— Ba... — odparł Wasa. — Franciszkanie by nie wymyślili, gdyby im nie nakazywano.

— Czemuż przeciwko patarenom krucjaty nie wysyłają?

— Pierwej uporać się muszą z husytami. Na patarenów kolej przyjdzie później. Nie tracą na tym, że trochę poczekają — dodał żartobliwie.

— O, Pietar!... — rzekł Stefan tonem politowania. — Zdaje się jednak, że on się już na łacinizm nawrócił.

Wzmianka o Pietrze wywołała wspomnienie o domu, skąd wieści nie było od dawna, wspomnienie zaś o domu wobec przygotowań wojennych wprowadziło do duszy Stefana nastrój rzewny, który atoli prędko zgłuszyły też same przygotowania, wymagające uwagi całej. Należało zaopatrzyć się w hartowne zbroje i oręż. Należało konie kupować i próbować. Do tego przyłączyły się zdarzenia mniejszej lub większej doniosłości, które umysł rozrywały, jak na przykład przedstawienie się kardynałowi, który wielkie na Stefana wywarł wrażenie, jednoczył bowiem w osobie swojej powagę księcia kościoła z powagą rycerza chrześcijaństwa i wzbudzał ufność zarówno postawą godności pełną, jak wymową pełną namaszczenia. Przystęp do niego nie był łatwy, pomimo że starało się o takowy osób wysoko położonych kilka, mianowicie zaś freiherr von Windeck i ojciec Jakub. Ten ostatni zaznał Stefana z prałatem jednym, nazwiskiem Tomasini, który był jednym z sekretarzy kardynała, a odzna-

czał się tym, że mówił biegle językami czeskim i serbskim i znał doskonale stosunki bośniackie. Ten uprzejmym wielce dla Stefana się okazał, oświadczając mu na wstępie, że się bardzo cieszy, iż człowiek takie jak wojewodzie chumski zajmujący stanowisko bierze udział osobisty w krucjacie wymierzonej przeciwko wrogom kościoła prawdziwego.

— Myślałem właśnie o tym — słowa jego — jak to źle, że król Twrtko, który powiadomionym jest, bom ja sam wezwanie mu posłał, nie stanął ani w osobie własnej, ani w osobie przedstawiciela swego, obleczonego w charakter urzędowy. Naganną jest obojętność taka w rzeczach tak ważnych. Rad wam przeto jestem niewymownie, dostojny wojewodzicu. Niech świat wie, że naród słowiański nie tylko nie podziela, ale i nie pochwała błędów kacerskich. Daje to rękojmię — dodał z uśmiechem przyjemnym — że i nad Narentą a Trebnicą nastąpi kiedyś błędów tępienie.

Była to aluzja do patarenów.

— Jego bowiem królewska mość Twrtko i, wyznać należy, wysokość jego, wojewoda Sandał za mało, o! za mało okazują gorliwości. Są za słabi, za miękcy, tłumaczą się polityką, ha ha!... — tu ręką w tył machnął i z przyciskiem dodał: — Polityka, co za fundament sobie nie bierze opoki Piotrowej, opiera się na piasku ruchomym.

Prałat ów, z którym się jeszcze w ciągu opowiadania niniejszego spotkamy, sprawiał, patrząc na niego, efekt energii wcielonej. Brunet, suchy, wzrostu niewielkiego, spojrzenia przenikliwego, żywy, wydawał się zapalonym jak siarka i nie cierpiącym sprzeciwienia.

— O!... — mówił — niech no tylko z heretykami skończymy, to my się i do patarenów weźmiemy... do dobrych ludzi!... do chrześcijan!... ha!... — rzekł z przyciskiem ironią nabrzmiałym.

Prałat Tomasini przedstawił Stefana kardynałowi jako księcia słowiańskiego, przejętego zapalem dla sprawy świętej. Kardynał skinął na to głową, uśmiechnął się do Stefana i przemówił do niego wyrazów kilka uprzejmych.

— Dostojność jego — dodał prałat — przeznaczoną jest przez jego cesarską mość do przybocznego pocztu eminencji waszej.

— A... tym mi lepiej — odpowiedział kardynał.

Poczet, nieliczny zresztą — nie więcej jak głów trzydzieści — składał się z wyboru rycerstwa, fine fleur, z książąt samych, przedstawiających kwiat młodzieży najdosłowniejszej, takiej np. jak młody, osiemnastoletni podówczas Fryderyk, książę austriacki, późniejszy cesarz pod imieniem Fryderyka III. Ten, obecny na posłuchaniu udzielonym przez kardynała Stefanowi, zbliżył się do tego ostatniego i trącając go palcem w łokieć, powiedział:

— Kamrat... będziemy jeden z drugim.

Powód zbliżenia się księcia do bohatera naszego upatrywać należy w pociągu, jakiego doznają istoty słabsze do istot mocniejszych. Jak powój garnie się do dębu, tak młodziuchny władca Styrii, Karyntii i Karnioli pogarnął się do silnie zbudowanego i zaufanie wzbudzającego wojewodzica Chumu. Książę nie przeczuwał wcale losów, jakie mu przyszłość gotowała, a występując po raz w życiu swoim pierwszy na teatrze zapasów wojennych, rad był pozyskać sobie towarzysza, na którego liczyć mógł. Kardynał widząc to zbliżenie się, apróbował je głowy skinieniem. Stefan i książę Fryderyk wyszli razem z sali audiencjonalnej, jako dwaj towarzysze spod jednej choroągwi, jeden szczupły i wąły, drugi istny dębu młodego obraz.

Pod Norymbergą roztoczonym był obóz, a do obozu tego ścigali się krzyżownicy ze stron najodleglejszych,

z Anglii bowiem nawet, najwięcej atoli z Niemiec, co było rzeczą naturalną, ze względu na to, że sprawa, o którą walka przedsiębraną być miała, obsłoną religijną okrywała interes polityczny, na wskroś niemiecki, polegający na głównej potrzebie zatrzymania w szponach teutońskich wymykającej się słowiańskiej zdobyczy. Potrzeba ta stanowiła jądro sprawy. Tej czepiała się jeszcze i inna. Husyci dokuczali Niemcom nie tylko napadaniem na kraje z Czechami sąsiadujące, ale i szczerpieniem zasad równości obywatelskiej wśród ciężko upoddanionego ludu niemieckiego. Zachodziło tu więc połączenie trzech spraw: religijnej, politycznej i społecznej, dotyczących do żywego Rzeszę Niemiecką, która cztery już krucjaty rzuciła na to szerszeni gniazdo górami osłonięte i gotowała oto piątą.

Tej piątej nadać usiłowano powagę jak największą.

Zrazu ułożonym było, że na czele zastępów krzyżowych stanie sam cesarz, będący w Niemczech nie władzą, ale symbolem, wzbudzającym poszanowanie głębokie. Symbol ów jednak uciekał już przed Czechami razy parę. Skompromitował się więc. Dlatego naczelnictwo powierzono uchodzącemu za wojownika wielkiego, staremu elektorowi brandeburskiemu, który także wobec cesarstwa zajmował stanowisko symboliczne wikarego imperii. Wzmocniono stanowisko jego, przez postawienie nad onym komisarza papieskiego, w osobie kardynała legata. Kardynał był duszą, elektor ramieniem. Burza straszliwa na Czechów gromadziła się w obozie pod Norymbergą, pod postacią chorągwi, pod którymi szli zakuci w blachy stalowe rycerze, odgrządzający się na Czechów wycięciem w pień narodu zbuntowanego.

Stefan przez czas pobytu swego za granicą widywał często parady różne, nie widział jednak wspanialszej od tej, jaka się odbyła przy okazji poświęcenia chorągwi krzyżowej i wręczenia takowej wraz z mieczem naczelne-

mu wyprawy wodzowi. Ceremonia miała miejsce w kościele świętego Teobalda. Chorągiew poświęcał kardynał, wręczał cesarz. Tłumy duchowieństwa w złocistych ornatkach, szeregowanego około biskupów w infułach, stanowiły niejako ognisko, ku któremu ciągnęły tłumy rycerzy w błyszczących zbrojach i tłumy ludu, siejące kwiaty pod nogi przyszłych tryumfatorów, kroczących poważnie z kościoła do obozu. Świetna procesja, przy strzelaniu z dział, przy biciu w dzwony, przy śpiewaniu hymnów nabożnych i wśród kadzideł obłoków, odprowadziła chorągiew świętą na miejsce jej przeznaczenia.

W obozie kardynał wygłosił kazanie porywające, po czym błogosławił rycerstwu na bój za wiarę. Nastąpiło potem objeżdżanie szeregów, któremu przewodniczył cesarz, mając na prawo kardynała, na lewo elektora, a za sobą świętę potrójną, cesarską, elektorską i kardynalską. W tej ostatniej znajdował się bohater nasz, który przy okazji tej miał sposobność ogarnąć okiem całość siły zbrojnej, wyruszającej na kacerzy. Wiemy skądinąd, że było tego czterdzieści tysięcy jazdy, nie licząc piechoty. Stefan nie umiał sobie liczebnie zdać sprawy, uderzyła go jednak ilość ogromna; bardziej atoli aniżeli ilość uderzyła go jakość: koń w konia — mąż w męża — wydawało się mu w ducha prostocie, że z rycerstwem tym, zgromadzonym pod świętymi sztandary, ważyć się można nie tylko na pokonanie zarażonych herezją chłopów, ale na świata podbicie.

P R Ó B A W O J E N N A

Przy biciu w kotły i przy graniu w trąby ruszyła wyprawa z miejsca. Lipcowe słońce odbijało od pancerzy i helmów. Rycerstwo z daleka widziane przedstawiało się pod postacią węża długości olbrzymiej, połyskującego luską i pełznącego drogą idącą wzdłuż rzeczki Pegnitz, nad którą Norymberga leży. Ogromna kurzawa zasłaniała przed oczami jeźdźców pojedynczych. Armia wydawała się całością jednolitą, wężem, jakieśmy wyżej rzekli, wijącym się doliną. Niebawem jednak jednolitość rozprzegła się, rycerze zjeżdżać poczęli z drogi na odległość rozmaita, ci bliżej, owi dalej, i wąż zmienił się w mrówisko, przedzierające się przez pola okryte zbożem dojrzewającym. Pszenica i żyto, owsy i jęczmiona kładły się na ziemi, w rolę wdeptane przez obrońców wiary. Z tego powodu dawały widzieć się tu i owdzie osobistości do armii nie należące, bezbronne, na pół odziane, ogorzałe, z których każda nadawała się na model do posągu rozpacz. Nie zważał jednak nikt na nie. Krzyżownicy przebiegali się przez pola, przez ogrody, przez winnice, pozostawiając za sobą zniszczenie. Przechodzili przez wioskę — ta się zapaliła.

— Gcrl... — krzyknął Stefan ujrzawszy płomienie i kłęby dymu.

Nowy przyjaciel jego, książę Fryderyk, uśmiechnął się jeno do niego spod przyłbicy.

— To wieś niemiecka i katolicka!

— Trudno, ażeby nie była niemiecką i katolicką od Norymbergi o pół mili.

— Na cóż ją pałą!

— Pałą?... — zapytał młody książę okazując naiwne zdziwienie...

— A oto... czyż nie pałą!... — odrzekł Stefan, ręką ukazując. — Pali się przecie.

— Pali się, to co innego; pałą, to znów co innego.

Obok nich jechało rycerzy kilku, którzy toczyli między sobą rozmowę z tego tematu, że chłopci, plemię jaszczurcze, są w Niemczech całych husytami zamaskowanymi.

Przodem, przed orszakiem przybocznym swoim, do którego, jak wiemy, należał Stefan, jechał kardynał Cezarini, nie zwracając uwagi najmniejszej na taką jak spalenie wioski drobnostkę. Nie zwracał też uwagi na deptanie łąnow. Za to na siebie uwagę zwracał, przedstawiając jedną z tych postaci, które zaginęły wraz z przejściem wieków średnich. Był to typ kapłana-wojownika. Koń pod nim mlecznej białości, okryty czaprakiem lamparcim, osłonięty miał kark blachą, która mu pomiędzy uszy sięgała i tworzyła nalebek i nachrapnik z rogiem z czoła naprzód wyskakującym. Koń rosły był i dzielny, ogon pełny, grzywa długa, oko zapalem zaiskrzone. Kardynał na sobie miał pancerz łuszczkowy, miecz przy boku, po pancerzu czerwony płaszcz, na głowie kapelusz kardynalski o kryzach szerokich i o kutasach na grzbiet spadających. Spod kapelusza wyglądało oblicze oblane wyrazem ponurego a oraz dzikiego jakiegoś spokoju, podobnego do spokoju przepaści bezdennej.

W dniu pierwszym pochodu armia krzyżowa uszła milę z czymeś i zatrzymała się. Nastąpił nocleg. Na drugi

dzień nie zrobiła i mili, na trzeci dzień ledwo milę; wlokła się dni sześć do Salzbach, gdzie pozostała przez tydzień cały. Na taką powolność pochodu składało się przyczyn kilka, spomiędzy których na wymienienie szczególne zasługują dwie: brak ładu i obecność artylerii, składającej się z półtorasta sztuk monstrualnie wielkich i ciężkich dział, przy których co moment należało coś poprawiać; to się koła łamały, to się zaprzęgi rwały, to konie ustawiały, to woźnice uciekali. Kłopot z tym był wielki. Zatrzymywano armię po kilka razy dziennie; wówczas partie rozjeżdżały się na strony i trzeba było na powrót ich czekać. Całotygodniowe zaś pozostawanie w Salzbach nastąpiło wskutek niepewności, którą drogą do Czech wkroczyć. Miano trzy do wyboru, a wszystkie trzy prowadziły do Pilzna. Margrabia codziennie zwoływał radę wojenną i codziennie decyzję ostateczną odkładano do dnia następnego, oczekując na raporta wysłanych szpiegów, którzy poszli i nie wracali. Kardynał naglił doradzając drogę najkrótszą w celu najrychlejszego spotkania się z nieprzyjacielem. Margrabia głową kręcił i wzdychał, narzekając na krzyż pański, który przyszło mu się dźwigać w starości lat.

Nie doczekano się powrotu szpiegów i ruszono dalej, z Salzbach do Hirschau, o milę z czymeś. Tu znów się zatrzymano, albowiem przedstawiło się do wyboru dróg dużo. Po kilku dniach namysłów i narad ruszono, zapuszczono się w góry i nie dochodząc do czeskiej granicy, wykonano odwrót pośpieszny. W odwrocie tym gnał rycerstwo postrach jakiś niepojęty i zagnał je aż pod Salzbach. Pokazało się, że cofanie odbyło się bez rozkazu. To dało powód do scen patetycznych, odegranych przez naczelnego wodza i przez kardynała. Pierwszy składał dowództwo, chciał odjeżdżać, ledwo się dał uprosić; drugi naznaczał pokuty i modlitwy; kazał po chorągwiach

odczytywać w głos bullę papieską i naznaczyć post ogólny. Taka z tego wynikła korzyść, iż zaprowadził się ład jakiś. Podzielono armię na korpusy, powyznaczano naczelników i poprzydzielano do chorągwi każdej kapelanów, obowiązanych podtrzymywać ducha i przestrzegać porządku.

Wszystko to dziwiło niepomale Stefana, który miał takie wysokie o waleczności niemieckiej wyobrażenie.

— Waso! — powiedział — co z tego będzie?

— Będzie, co Bóg da.

Nareszcie ruszono znów z większą jak poprzednio precyzją. Margrabia przejeżdżał wzdłuż kolumn; kardynał czynił toż samo; kapelani rozwijali gorliwość wielką, obiecując nie tylko szczęśliwość w życiu przyszłym, ale oraz obfity rabunek w okręgu pilzneńskim, który najmniej ucierpiał w czasie wojen poprzednich.

— Trzymajcie się jeno razem — perswadowali. — Wy rycerze, a tamto chłopci... z nami Bóg, z nimi szatan...

Perswazje te do przekonania trafiały. Należy przy tym dodać, że, z pozorów sądząc, rycerstwo bynajmniej na duchu nie upadło. Przeciwnie. Animusz okazywało wielki, jeżeli zaś od granicy się cofnęło, to dla powodów jakichciś niewytłumaczonych, wskutek jakiegoś nieporozumienia, jakichciś rozkazów niedokładnych czy też czegoś innego. Bądź co bądź, historia z odwrotem się nie powtórzyła. Armia krzyżowa z rozwiniętymi sztandarami wkroczyła do Czech i posunęła się śmiało w głąb kraju, bez spotkania oporu na granicy. O husytach ani słycho. Zatrzymano się nie opodal od Domažlic. Kardynał chciał iść dalej, lecz margrabia składał się potrzebą dostania na przód języka i w tym celu, stanawszy obozem, rozesłał podjazdy we wszystkie strony. Podjazdy wracały bez języka, ale za to z bogatym połowem pod postacią zdobyczy różnego rodzaju, w sprzętach, w bydłe, w owcach i w ludziach. Tych ostatnich przyprowadzano niewiele, w do-

statecznej atoli ilości na to, ażeby sprawić wojsku widowisko kary bożej, spadającej na kacerzy anticipative w tym życiu, nie rachując tego, co spotkać ich ma w przyszłym. Mordowano Czechów bez litości, sposobami wymyślnymi: ćwiartowano, na kołe łamano, ze skóry żywcem obdzierano, na węglach pieczono. Pozwalało się na to celem rozjątrzenia rycerstwa, zaprawienia go do krwi czeskiej.

Powodzenia podjazdowe tak rozochociły i rozoskomiły krzyżowników, iż poczęli się kupami z obozu wymykać na ochotnika, zasiewając sobą okolicę całą. Zapałały wsie dokoła. Dniem po niebie ślaniały się dymy, nocami horyzont jaśniał łunami, atmosferę nappełniła zaducha porzyczeli.

— Co to?... — pytał Stefan zdziwiony nieco.

— Wojna — odpowiadał Wasa.

— Czemuż naprzód nie idziemy?

— Pójdziemy.

Margrabia zwlekał z pochodem, nie mając o nieprzyjacielu wiadomości żadnej, a nie przypuszczając, ażeby wojska husyckie pod ziemię się zapadły. Obawiał się wpaść w zasadzkę. Wolał czekać w miejscu pozycji dogodnej. W tym celu przeniósł obóz spod Domażlic pod Tachów, upatrzył plac do bitwy, nadający się do działania liczną jazdą, ustawić kazał artylerię i wydał surowe rozkazy, zabraniające wydalać się bez pozwolenia, dla dania zaś rycerstwu zajęcia, szykował je i odbywał manewra. Obok tego podjazdy wysyłał wciąż, które wciąż wracały z niczym, z wyjątkiem chwały niezmiernej, jaką szeregi nappełniały.

Stano tak dni kilka w oczekiwaniu. Kardynał się niecierpliwił, lecz uznawać musiał racje margrabięgo, nakazujące oględność wielką.

— Niech nas zaczepią... — powiedział ten ostatni. — Pobjemy ich i wówczas pójdziemy naprzód.

Niecierpliwił się kardynał, niecierpliwiła się i straż jego przyboczna. Młodzież pałała żądzą zmierzenia się z nieprzyjacielem, a przynajmniej przewietrzenia się nieco za obozem, w którym od kilkudniowego przebywania mnóstwa ludzi i koni zrobiło się duszno. Kto obozował, ten wie, co to za rodzaj atmosfery formuje się około aglomeracji rycerskiej. W poczcie kardynalskim wszczęły się głośnie sarkania, które doszły zapewne do uszów jego eminencji, albowiem poranka pewnego przysłał przez prałata Tomasinię rozkaz wyjechania z podjazdem w stronę Chodowy. Rozkaz ten przyjęto z uradowaniem wielkim i w niespełną pół godziny hufiec wyruszył parami, wysławszy naprzód szpicę i za szpicą jeźdźców dwóch w straży przedniej.

— Ej, gdybyż to się spotkać! — odzywał się ten i ów.

Stefan jechał w parze z księciem Fryderykiem, cesarzem w przyszłości, i podziwiał dobry tego ostatniego humor, znajdujący wyraz swój w żartach, które sypał jak z rękawa i z których, pomimo że nie zawierały w sobie dowcipu, sam śmiał się serdecznie. Bawiło go szczególnie to, że będzie husytów nadziewał na rapir jak na rożen.

— Po dwóch na raz — powiedział.

Rapir miał długi i zamiar ten skutecznie by się dał, gdyby husyci nadziewać się pozwolili dobrowolnie.

Pochód orszaku odbywał się w warunkach pomyślnych na przestrzeni mili mniej więcej od obozu, aż oddział wszedł na drogę wybiegającą z doliny na porośle krzakami wzgórze. Jadący na szpicz towarzysz zwrócił nagle konia i krzyknął ukazując ręką poza siebie:

— Kacerze!...

Dowódcę oddziału, widząc pod sobą grunt niedogodny, poprowadził oddział klusem naprzód i uszykował w sze-

reg, co nie dało się skutecznie bez niejakiego zamieszania. W czasach owych obroty wojenne nie wykonywały się z taką jak dziś precyzją. Ten się pchał naprzód, ów się w tył cofał, jeden się ciągnął w lewo, drugi w prawo. Zamieszanie atoli nie trwało długo, oddział się uszykował i w chwili kiedy dowódca spoglądał ku nieprzyjacielowi, który się pokazał w sile nie przewyższającej siły orszaku kardynalskiego, Stefan oglądał się za księciem Fryderykiem, pobocznikiem swoim. Oglądał się na prawo i na lewo, wychylił głowę i po szeregu spojrzal: księcia Fryderyka ani śladu. Znikł jak kamfora.

— Co u licha!... — pomyślał Stefan sobie.

Chciał głośno zapytać, lecz w chwili tej odezwała się komenda do ataku i oddział rzucił się naprzód z kopiami u toku.

Natarcie poszło pomyślnie. Czesi, złamani, tył podali, idąc w rozsypkę. Niemcy, rozochoceni i zwycięstwem upojeni, skoczyli naprzód, uganiając się za jeźdźcami pojedynczymi. Na próżno trębacz do porządku nawoływał. Gonitwy odbywały się po polu całym i nie ustały, aż spoza wzgórza wynurzyło się czoło kolumny pieszej, pośpiesznie maszerującej. Nastąpiła rejterada kardynalskich. Jak przedtem pojedynczo, ścigali husyckich kawalerzystów, tak teraz pojedynczo każdy konia zawracał i niósł się wstecz, a tym prędej, że pomiędzy krzakami migotały oręże piechoty zabiegającej na przelaj.

Stefan, uniesiony w starciu się z jazdą, zapędził się najdalej i z tego powodu ostatni rejterował. Towarzysze poprzędzali go daleko. Pociskał konia ostrogami i pomykał z sił całych, gdy zjeżdżając na dolinę ujrzał człowieka z krzaków wybiegającego, ściganego przez ludzi kilku, cepami się za nim zamachujących. W uciekającym od pierwszego rzutu oka poznał pobocznika swego. Poznał go tym łatwiej, że nie miał helma na głowie. Twarz mu za-

lewała krew. Na obliczu malowała się rozpacz. Biegł, widocznym było, iż wydobywał ostatek sił, tym bardziej że pancerz swobodę ruchów mu krępował. Ujrawszy Stefana stanął i ręce do niego wyciągnął. W chwili tej ludzie z cepami dopadli go. Sypnął się na niego grad razów, pod którymi by zginął niezawodnie, gdyby Stefan nie natarł na tych osobliwego rodzaju młocków, nie podał mu ręki i trzymając go silnie, nie odsadził się od nich na taką przestrzeń, że zwalniając koniowi biegu, zdołał młodego księcia podnieść i przed sobą posadzić.

Księżę Fryderyk zemdłał.

— Piękna mi robota!... — rzekł do siebie Stefan. — Teraz braknie tego tylko, żeby się jeźdźców paru husyckich w pogoń za mną puściło... Ha!... Musiałbym księcia rzucić...

Pozycja jego stała się drażliwą. Pozostał sam i mając zemdlonego człowieka na ręku, pośpieszać nie mógł za towarzyszami, po których nawet kurzawa znikła. Szczęściem dla niego, a raczej dla księcia, husyci nie ścigali wcale. Stefan jechał stępem, oglądając się wciąż poza siebie. W ciągu tej jazdy powolnej młody księżę do przytomności przyszedł.

— O Boże!... — westchnął.

— Tyś się schował? — zapytał Stefan.

— Ach!... — znów westchnął.

— Uciekłeś i schowałeś się?

Księżę nie dawał na zapytania te odpowiedzi. Wzdychał jeno i pojękiwał. Dopiero gdy do obozu dojeżdżali, zwrócił się obces do Stefana z prośbą błagalną, zaczynając od tego, że go w rękę pocałował.

— Nie mów... — prawił — nie rozpowiadaj!... nie gub mnie!... nie sprawiaj mi wstydu, od którego zginę! Tobie nic z tego nie przyjdzie... a gdy tajemnicę dla siebie samego zachowasz, pozyskasz we mnie człowieka, co

wdzięczność dla ciebie do śmierci zachowa. Kto wie, czy ja się nie przydam ci kiedy na co. Nie mów, bracie, ojcie!... nie rozpowiadaj!

— I... co tam... — machnął Stefan ręką.

— Wyświadczyłeś mi dobrodzieństwo... życieś mi uratował; bądźże dobrodziejem moim do końca i nie wystawiaj mnie na wstyd.

— Dobrze.

— Nie powiesz?

— Nie.

— Słowo rycerskie?

— Słowo.

— Zaknij się na Boga, na Trójcę Przenajświętszą, na kościół święty katolicki...

— Zaklinam się... Bądź spokojny.

— Powiem, żem z siodła wysadzony został i żeś mi życie uratował... ty zaś jeno temu nie przecz...

— Bądź spokojny — powtórzył Stefan.

W obozie wieść o spotkaniu wywołała ruch baczności rozbudzonej. Naczelnicy obiegali posterunki i czaty, tu i owdzie formowały się kolumny przeznaczone do zajęcia stanowisk bojowych, celem powstrzymania pierwszego impetu nieprzyjacielskiego, reszta siodłała i munsztuczyła.

Orszak kardynałski znajdował się w całości w punkcie zajmowanym przez kardynała, który wyszedłszy przed namiot dowiadywał się o szczegóły, jak było i co. Naczelnik oddziału opowiadał, a gdy zdał sprawę całkowicie, eminencja jego zapytał powodząc po kupie oczami:

— Braknie z was kogoś?

Rycerze się obejrzel i wnet braku dostrzegli.

— Stefan Chranicz i księżę Fryderyk...

— Cóż... zginęli?

— Chranicza wdziliśmy... zapędził się za górę... Księżę zaś?... księżę?...

Jedni powiadali, że się z nim stało to, drudzy że owo, nikt nie wiedział na pewno, domyślano się, że go wypadek jakiś w pierwszym spotkał starciu, jeden zaręczał, że widział go z konia spadającego, i jakby na potwierdzenie zaręczenia tego pojawił się koń książęcy, wpadający do obozu z kitą podniesioną z nozdrzami rozdętymi, z karkiem wygiętym, z chrapaniem wielkim. Nikt nie wątpił, że księżę zginął.

— Ha!... — odezwał się kardynał dłoń podnosząc. — Wszedł młodo do królestwa niebieskiego, a chóry cherubinów i serafinów wyszły na spotkanie jego.

Rzekłszy to miał na koń wsiadać, kiedy się pokazał Stefan z księciem w objęciach.

Wnet ich otoczono i witano jakby z tamtego powróconych świata. Po księcia przyszli słudzy, zabrali go, do namiotu odnieśli i tegoż jeszcze dnia do Norymbergi powieźli.

Armia wystąpiła w szyku bojowym, na próżno jednak. Husyci dnia tego nie pojawili się. Wysłane atoli podjazdy potwierdzały wiadomość o obecności ich w pobliżu na wszystkich drogach, rozsypanych na kształt mrówek. Należało więc mieć się na baczności. Hufce dopiero nad wieczorem wyszły ze stanowisk.

Margrabia podjazdami badał okolicę i przekonywał się o potrzebie ustawicznego pogotowia bojowego. Nazajutrz przeto znów armia pod bronią stanęła.

Powtórzyło się to jeszcze i w dniu trzecim. Wschodzące słońce oświeciło hufce w linie wyciągnięte. Siwy wódz w towarzystwie kardynała i liczego sztabu zajął wzgórze, z którego miał widok obszerny. Rozglądał się. Czas upływał. Słońce na niebo wytaczało się coraz to wyżej. Zdawało się już, że i w tym dniu armia krzyżowa husytów się nie doczeka, gdy kurzawy, które się w kilku na raz punktach pokazały, zwiastowały śpieszny odwrót

wysuniętych naprzód posterunków. Wnet też nadbiegli wartownicy na spienionych koniach.

— Idą!... — przebiegło po szeregach.

— Baczność!... — poczęli wołać wodzowie.

Margrabia rozwinąć kazał chorągiew i, poprzedzany przez nią, objeżdżał szyki, zachęcając do waleczności w boju. Rozporządzenia wszystkie były dane. Każdy wódz, każdy niemal towarzysz wiedział, co ma czynić. Armaty ustawione na bateriach ze zwróconymi paszczami czekały na ofiary. Piechota, okryta szczecią halabard zajmowała stanowiska odpowiednie. Jazda liczna a doborowa miała przed sobą pole obszerne, gładkie a równe, na którym nie powinno było pojawić się nic, czego by ona kopytami nie rozniosła. Słowem, gotowość była zupełna, nie brakowało nic, tylko przyjscia husytów na pohybel własną, nieochybną.

Czekano na nich.

W szeregach krzyżowych zapanowała cisza oczekiwania, cisza owa, która burzę poprzedzać zwykła.

I wśród ciszy tej słyszeć się dał zrazu turkot głuchy, podobny do grzechotu grzmotów dalekich. Turkot ten płynął, zdawało się, powietrzem; zdawało się, wydobywał się z łona ziemi, bo i powietrze drżało, i ziemia drżała — zbliżał się coraz to wyraźniejszy, coraz to groźniejszy. Widać jeszcze nie było nic, z wyjątkiem połysków jakichś wśród krzaków porastających na wzgórzach na lewo. I spośród tych to krzaków, jakby biorąc sobie hurkot za wtór, zabrzmiała nagle chórem potężnym pieśń:

„Kdo ste bozi bojovnici a zakona jeho,

Proste od boha pomoci a dufajte v ného“.

I nagle, na odgłos pieśni tej, jakby szal ogarnął armię krzyżową. Szeregi się połamały od końca do końca, po-

wstał zamęt nie do opisania, nabrzmiały tętentem i wrzawą. Czterdzieści tysięcy rycerstwa (fakt ten zapisany w kronikach niemieckich) rzuciło się wstecz — i przed czym? — przed turkotem wozów taboryckich, przed nutą bojowego hymnu husytów, hymnu, który na rycerstwo niemieckie szedł widmem olbrzymim i zdmuchnął je z pola bitwy.

Oj! zmiataliż rycerze, zmiatali...

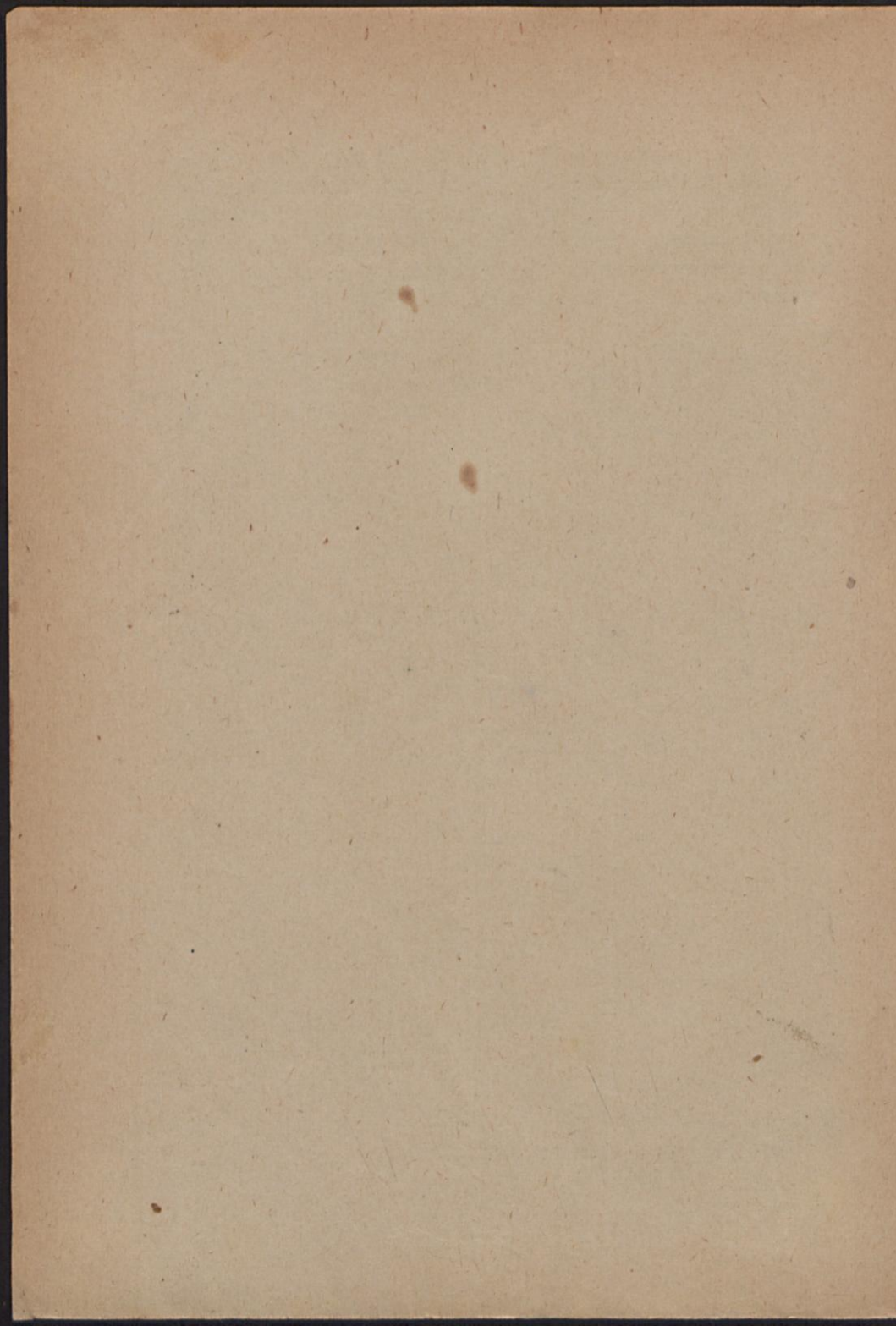
Nie obeszło się jednak bez strat. Najprzód wszystkie harmaty, następnie obóz cały z namiotami, wozami i zapasami wpadł w ręce zwycięzców; dalej, zachwyconych w ciasnocie przejść górskich, zabili husyci cepami rycerzy tysięcy jedenaście.

Bohater nasz uchwalił się. Obronną wyszedł ręką, oberwawszy jeno kilka razy po grzbiecie i po głowie. Nie czyni mu to ujmy, że uciekał — cóż miał poczynąć! Uciekał, zmiatał, czynił, co czyniło tysięcy czterdzieści, zgubił kardynała w zamieszaniu i nie odszukał go aż na przeciwniejszej pochyłości gór Czeskiego Lasu (Böhmer-Wald). Kardynał jechał na białym koniu, w płaszczu czerwonym, ale poszarpanym i bez kardynalskiego na głowie kapelusza. Kapelusz, krzyż, bulla i wiele innych przedmiotów, które stanowiły własność zancoowanego w dziejach polskich Juliana Cezarini, przeszły na własność husytów. Kardynał posępną miał minę. Towarzyszył mu prałat Tomasini. Ten oznajmił Stefanowi, że ponieważ eminencja jego śpieszyć musi do Bazylei na sobór, zatem zawieszają się na czas nieograniczony wojenne przeciwko husytom działania, a tym samym rozwiązuje się przyboczny jego eminencji orszak.

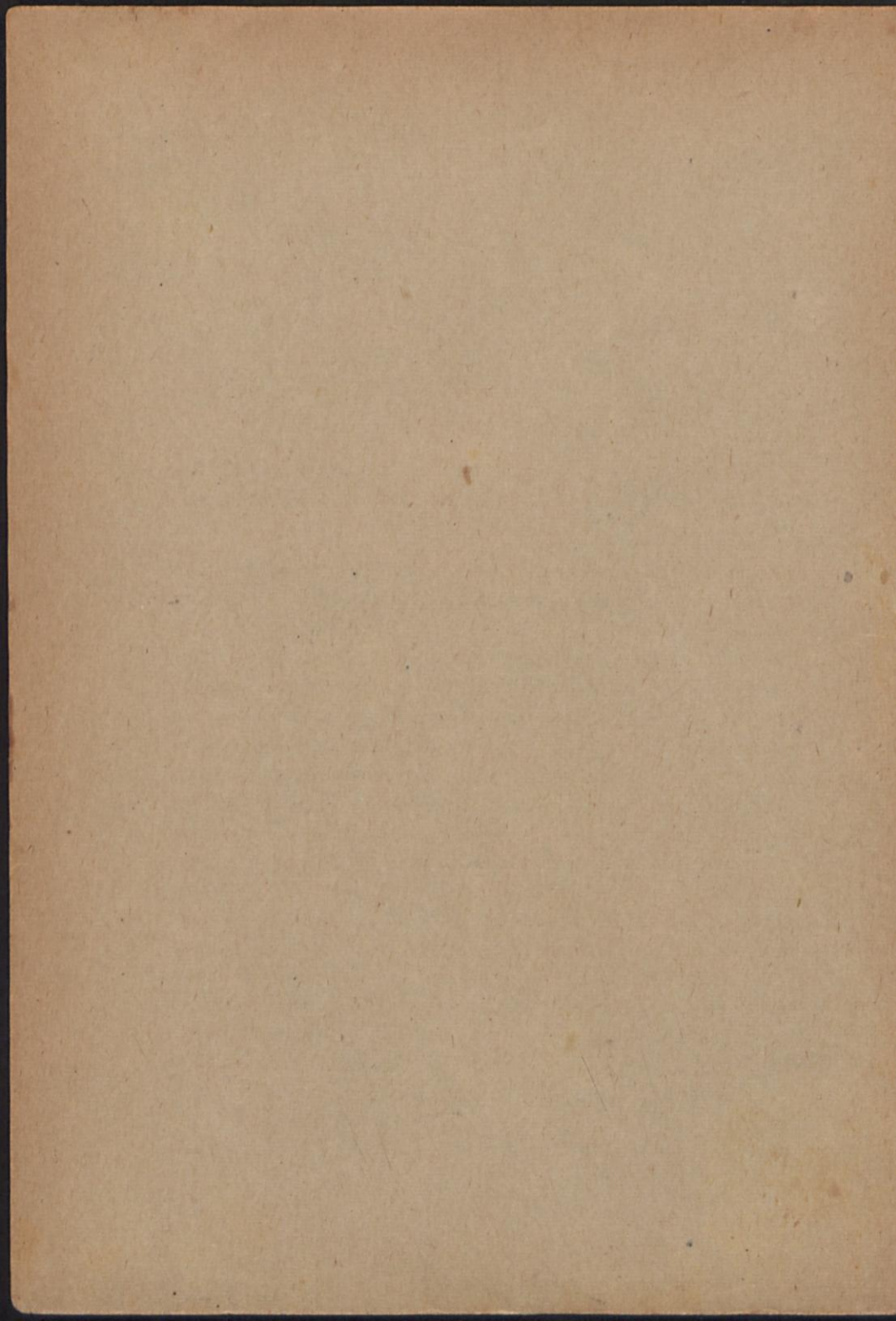
Z niemałym trudem odszukał bohater nasz Wasę i otroków swoich. Ci rzuciwszy pod Tachowem namiot i konie juczne, życie jeno z pogromu wynieśli.

W ten smutny sposób rozstrzygnęła się próba wojenna dla Stefana Chranicza. Dodać tu jeno musimy, że w Norymberdze szukał go i odszukał książę Fryderyk, a odszukawszy wręczył mu dokument jakiś, o którym będzie mowa w swoim czasie i na swoim miejscu. w dalszym opowiadania niniejszego ciągu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO



TOM CZWARTY



PO LATACH A LATACH

Wróczyliśmy się z bohaterem, a raczej z półbohaterem naszym po świecie i oto znów, niby do przystani, zawijamy z nim do Krupaca.

Kto się spodziewa, że z okazji zawinięcia tego powtórzymy poetyczne ścian rodzinnych powitanie: „Wszystko tak jak było, tylko się ku starości nieco pochyliło“, ten się grubo myli. Przeciwnie: nie jak było. Pozostało w stanie dawniejszym to jeno, co z rąk natury wyszło: wyspa, jezioro, góry wokoło, niebo nad górami — zresztą wszystko zmieniło się z gruntu. Na miejscu zamku starego stanął zamek odnowiony, to jest, rozszerzony i podniesiony, przyozdobiony na zewnątrz i wewnątrz. Z dawnego nie pozostało prawie nic — fundamenta tylko, i to nie wszystkie, wzniosła się bowiem budowla całkowicie nowa, w odniesieniu do której ta, co dawniej stanowiła korpus główny, zamieniła się na pawilon, przeznaczony na pomieszczenie dla służby. Dawniej zamek przedstawiał się jako utopion niby w gęstwinie zielonej, spośród której przebijały się siwe mury i wyskakiwały sędziwe baszty; obecnie uwydatnił się, podrośł, gęstwina stanęła względem niego jako obwódka osłaniająca część dolną. Przybyło baszt i zębów, i strzelnic — pozór ogólny zapo-

wiadał z daleka, że tu mieszka właścicielin wielki, wielikasz w znaczeniu całym.

Jakaż była racja zmiany tej?

Zmiana nie ograniczała się na zamku samym, na wyspie. Rozciągała się ona i na zewnętrzny jeziora brzeg, mianowicie na ten punkt, mimo którego najbliższej przechodziła droga prowadząca z Niksicza do Dubrownika. W punkcie tym stało miasteczko, wywołane niby spod ziemi uderzeniem różdżki czarodziejskiej — sformowało się ulic kilka, wpadających do placu obszernego, a przy ulicach i dokoła placu wznosiły się domy i domki, różne wielkością i strukturą, podobne jeno z tego, że wszystkie były jakby z igły, nowe, świeże, w części nie zakończone. Miasteczko też owe pełnym było mularzy i cieśli, tu wykańczających, owdzie fundamenta zakładających. Na plac wychodziło gospód kilka, dwie wielkie, inne porannejsze, zaznaczone wiechami; widać też było i sklepiki z rozmaitego rodzaju towarami; przy jednej z połaci placu wznosiła się budowla kopulasta, której kształty znamionowały świątynię — ta znajdowała się w stanie trzymającym środek pomiędzy szkieletem a budynkiem skończonym, otaczały ją rusztowania, na których pracowali mularze z widocznym pośpiechem, zachęcając jeden drugiego słowem i zachęcając się pieśnią, której strofa każda kończyła się zwrotką:

„Wojewoda płaci, wojewoda nagli.

Hej, żywo! hej, żywo!“

— O, majka Dżurowa! — odezwał się jeden układając kamienie i cementem je zalewając. — Jak to on tę pieśń misternie ułożył.

— Jemu to idzie niby z kłębka — odezwał się drugi.

— Jemu by nie zidarem być, a pieśniarzem.

— Musiałby się pierwej oślepić dać.

— Niechby się oślepił! Nie żał oczów za perpery.

— Ileż to mu wojewoda za tę pieśń dał?
— Pięć perperów w złocie.
— O, zidar na pięć perperów w złocie pracować musi pół roku.

— Trafiało się. Pieśń Dżurowa wpadła w ucho wojewodzie w dobrą godzinę, był w ochocie i perpery rzucał. Nie zawsze to się zdarza.

— Naszemu wojewodzie — odparł mularz pierwszy — zdarza się to częściej jak innemu.

— Nie zawsze jednak. Ileż to Dżurowych pieśni obijało się o uszy jego, a nie zapłacił, tylko za tę jedną. I ta, gdyby ją usłyszał po ukończeniu porozpoczynanych budowl, aniby uważał na nią. Zapłacił nie za pieśń, ale za zachętę do pośpiechu w robocie.

Pierwszy mularz mruknął pod nosem coś niezrozumiałego i rzekł do drugiego półgłosem:

— Czy ty wiesz, dlaczego to tak spieszyć ze skończeniem kościoła nakazano?

— I wiem, i nie wiem — odrzekł zapytany. — Coś niby wedle króla.

— Wedle króla... Wojewodzinie we śnie pokazał się nieboszczyk wojewoda i powiedział, że póki się ten kościół nie skończy, póty stary król nie umrze. Oto dlaczego tak pospieszać nakazano. Rozumiesz?!...

— Hm... I cóż to z tego wojewodzie przyjdzie?

— Co przyjdzie! — odparł pierwszy. — Czy ja wiem! Nie darmo on o cesarzów i o ojca świętego się ocierał lat tyle. Coś on musi mieć w głowie. Zresztą... na cóż by się nieboszczyk pokazywał?

— O jakim to nieboszczyku mowa? — zapytał czytelnik.

Ach! nieboszczyków mamy do przedstawienia galerię. Wymienimy ich w porządku chronologicznym. Przenieśli się do żywota lepszego: Wukac i Wukacowa, rodzice bohaterów naszego, za nimi poszedł pocziwy kapelan zamko-

wy, a za kapelanem cesarz Zygmunt. Śmierć dwóch tych ostatnich nastąpiła równocześnie, jeden zgasł w Krupacu, drugi w mieście Znajmo na Morawie; nie mieli ze sobą za życia wspólnego nic, nie znali się, nie widzieli nigdy; dopiero śmierć ich zjednoczyła.

Mniejsza jednak o to. Mało kogo zapewne obchodzi los, jaki spotkał duszę pysznego cesarza. Wyznamy, że i nas obchodzi to bez porównania mniej aniżeli to, co powie czytelnik postrzegając w opowiadaniu naszym lukę chronologiczną ogromną. Cóż się stało od bitwy pod Tachowem do śmierci Zygmunta? Stało się rzeczy ważnych wiele; zdarzenia następowały po zdarzeniach: w zdarzeniach tych atoli bohater nasz nie odgrywał roli wydatnej — był widzem, świadkiem prostym, postawionym w warunkach widzenia dokładnego, to jest takiego, który ogląda spód karty, ale rola jego była bierna. Zygmunt na przykład dwie sprawił sobie koronacje, jedną w Mediolanie, drugą w Rzymie; Stefan patrzył na to. Przed koronacją rzymską bawił długo w Sienie, gdzie czas spędzał na rozmowach pobożnych z Włochem pustelnikiem i na romansie z piękną Włoszką; Stefan patrzył na to. Ustanowił herb państwa, którym po dziś dzień posługuje się Austria; Stefan patrzył na to. Pacyfikował Czechów na podstawie czterech artykułów i nie miał nic pilniejszego jak artykułów owych nie dotrzymać; Stefan patrzył na to. Patrzył w końcu na śmierć monarchy tego, patrzył na pogrzeb jego i po pogrzebie nie byłby wiedział, co począć ze sobą, gdyby nie graf Herman i nie cesarzowa Barbara, którzy go jeszcze na czas jakiś zatrzymali.

— Pozostań, krewniaku, pozostań... — mówili.

Pozostał — z cesarzową.

Tak się był nałożył do przybocznikostwa cesarskiego, że chętnie byłby się klamki Alberta II chwycił, ten jednak miał ludzi swoich, którzy stanowiska wszystkie

przy nim zawczasu pozajmowali i Stefanowi naszemu ani się zbliżyć dali. Chcąc nie chcąc przeto, zajął stanowisko pocieszyciela w strapieniu — w strapieniu rzeczywistym, nie tyle z wdowieństwa, ile z dwóch innych pochodzącemu źródeł: od cesarza nowego, który nie lubił małżonki teścia, i od Czechów, którzy raczącej ich obecnością swoją Barbarze czarną okazywali niewdzięczność. Patrzył na szykany, jakich ona celem była, patrzył na to rok z czymś i zamierzał już własnemu pozostawić ją losowi, nie wiedział jeno, jakim usunięcie się swoje od dworu pozorem osłonić, gdy los, sprzyjający mu stale, nastreczył pozór osłaniający go zupełnie. Był to nie pozór, a racja jak najśluszniejsza.

Stryj umarł.

Sandał Chranicz, wojewoda Zachłumia, ban i wielki wojewoda bośniacki, wojewoda krain pomorskich, obywatel wenecki, obywatel dubrownicki, pan włości licznych i skarbów nieprzebranych, Sandał Chranicz do wieczności się przeniósł.

Wiadomość ta spadła na Stefana naszego jakby grom z nieba jasnego. Nie była ona nadzwyczajnością żadną, śmiertelność bowiem śmiertelnika jest udziałem, miała atoli nadzwyczajności pozory wszelkie z tej przyczyny, że Stefan, nie wiedząc wcale o tym, tego był przekonania, że stryj nie umrze nigdy. Tak przywykł do życia jego, że śmierci dla niego nie przypuszczał wcale. Prędzej śmierci spodziewał się dla siebie, pomimo że znajdował się właśnie w sile wieku i w pełnym rozwoju apetytu, wziętego w znaczeniu jadalnym i pijalnym. Toteż wiadomość ta zdumiła go; że zaś przyszła z Cylei wraz z wezwaniem, ażeby się co najrychlej w drogę wybierał i do Cylei zjechał, przeto wdowa cesarza sama go wyprawiła.

— Jedź... — słowa jej były — jedź, krewniaku zacny, przyjacielu wierny, rycerzu dobry, mistrzu orderu smoka (na mistrza przy okazji pewnej w Sienie awansowany

został), jedź, pozostawiając nas pod podwójnym ciężarem niegodziwości zięcia cesarskiego i niewdzięczności narodu czeskiego i unosząc w duszy to przeświadczenie, że wdowa Zygmunta chowa dla ciebie w sercu nigdy nie wygasłe uczucie życzliwości, niestety! jałowej obecnie. Gdybyś odjeżdżał za życia nieodżałowanej pamięci małżonka naszego! Cesarz nieboszczyk, teraz ci tę tajemnicę stanu wyjawić mogę, żywił zamiar podniesienia Zachlumią do godności księstwa imperii. Wiedz przeto, coś stracił. Straciliśmy my, straciłeś ty, stracił każdy.

Zegnała go z błogosławieństwem i ze łzami, a gdy już odchodzić miał, przypomniała sobie jeszcze jedno.

— Spotkasz tam — rzekła z uśmiechem — rycerza Rudolfa von Billig.

Stefan zachnął się i to nazwisko przypominając sobie nagle, i zdziwion wielce tym, że najjaśniejsza pani wie o istnieniu osobistości tej.

— Jest to rycerz nasz — dodała. — Pozdrów go od nas i wręcz mu ten mały upominek, świadczący, że pamiętamy o tym, co się poświęcił liberii naszej.

Podawała Stefanowi sakiewkę z dukatami i ten, z upominkiem tym w kieszeni, puścił się w drogę z powrotem z Wasą, z jednym otrokiem (trzech innych gdzieś się zaprzepaściło w ciągu lat) i z przynajętymi pacholkami. Z Pragi, gdzie cesarzowa wdowa rezydowała, jechał na Wiedeń, na Grodziec (Graz) i na Cyleję. Tak mu droga wypadała. W Wiedniu meldował się cesarzowi: odprawion atoli został z kwitkiem — Albert II nie przypuścił go nawet przed oblicze swoje. W Grodźcu książę Fryderyk zatrzymał go przez trzy dni; proponował mu, ażeby pozostał na dłużej, chociażby na zawsze, zrozumiał jednak, że kto ma województwo do odziedziczenia, temu pośpieszać wypada.

— Pośpieszaj... — słowa jego. — Pamiętaj jednak, że ciebie kocham, bardzo kocham. Pamiętaj oraz na słowo — dodał ze skinieniem znaczącym.

— O... co do tego... bądź wasza książęca mość spokojnym.

— Wystawiłem ci na pergaminie dyplom na wdzięczność za uratowanie mi życia w batalii pod Tachowem. Zachowujesz go?

— Zachowuję razem z dyplomami, jakimi obdarzyć mnie raczył cesarz nieboszczyk za oddane mu usługi.

W Cylei graf Herman, który przyjął i podejmował bohaterę naszego z gościnnością jak największą, nie zatrzymał go jednak długo, przeciwnie, naglił, ażeby pośpieszał, a to na podstawie rozmowy, jaką z nim miał i którą pod postacią traktatu formalnego skryształizował. Zaczęło się tak:

— Czy ty wiesz? — zapytał graf.

— O czym? — odrzekł Stefan.

— O tym, że jestem po Twrtku II następcą na tron bośniacki?

— Hm... — Stefan się uśmiechnął.

— Wiedziałeś więc. Nie miałem potrzeby ukrywać tego przed tobą; nie miałem jednak potrzeby mówić o tym. Teraz atoli, po śmierci Zygmunta, stosunki zmieniły się znacznie. Cesarz Albert zechce może prawa moje popierać; może jednak nie zechce. Trudno na niego liczyć i dlatego należy nam związać się przyjaźnią wzajemną, potrzeba nam zawrzeć przymierze zaczepno-odporne na wypadek wszelki. Możesz być przygodnym mnie, ja mogę być przygodnym tobie. Czy nie tak?

— Tak — odparł Stefan i dodał nieśmiało: — Cesarz nieboszczyk żywił zamiar podniesienia Zachlumia do godności księstwa imperii.

— Ba... Ja sam zamiar ten mu podszeptąłem. Nie-szczęście chciało — tu westchnął głęboko — umarł za

wcześniej. Nie pozostaje przeżo mnie i tobie nic innego jak w ten się urządźć sposób, ażebyś ty pomagał mnie, a ja tobie.

Stefan skinął głową i mrugnął oczami.

— Gdy bowiem — ciągnął graf — królem Bośni zostanie, to stosunek pomiędzy mną a tobą takim będzie zupełnie, jaki był pomiędzy Jagiellą a Witoldem. Nieprawdaż?

— Prawda, Boga mi!

— Owóż, gdyby się był Jagiello temu nic opierał, ażeby Witold królem został, byłby został. Czy tak?

— Byłby mu Jagiello sam dostawił tę koronę, którą...

— Nie to... — przerwał graf. — Byłby cesarza pominał, a wyjednał koronę wprost u ojca świętego. Owóż, gdy królem Bośni zostanie, rzecz ta, co się tyczy księstwa chumskiego, do zrobienia będzie.

— Boga mi! — zawołał Stefan wpatrując się grafowi Hermanowi w oczy.

— Widzisz więc...

— A czy nie można by Zachłumia, zamiast na księstwo, na królestwo wysadzić?

— Można by, nie od razu jednak. To iść musi porządkiem. Z województwa księstwo, z księstwa...

— Wielkie księstwo — odpowiedział Stefan.

— Niekoniecznie... Można już z księstwa królestwo robić, ale nie robi się ono samo. Owóż, gdy zobowiązemy się w każdym razie i w wypadku każdym stawać ja za ciebie, ty za mnie, to dojdiesz do księstwa naprzód, dojdiesz do królestwa następnie, dojdiesz do wszystkiego.

— E!.. — zawołał Stefan dłoń podnosząc. — No!.. kiedy tak... zawierajmy przymierze!

— Chodzi tylko o to, ażebyś podpisał.

— Dawaj... podpiszę.

Dokument w rzeczy samej był gotów; spisany we dwóch egzemplarzach, zawierał w sobie formalne ze strony Ste-

fana zobowiązanie się wprowadzenia po śmierci Twrtka II na tron bośniacki Hermana grafa Cylei, który ze swej strony zobowiązywał się uwzględniać żądania, z jakimi wystąpi wojewoda chumski, jeżeli urzeczywistnienie żądań owych możliwym się okaże.

Warunkowość zobowiązań, jakie graf brał na siebie, uderzyła Stefana. Zareklamował przeciwko niej, powiadając, że to niejasne.

— Alboż ty wiesz jasno, co ci żądać przyjdzie! — odparł graf. — Tak długo nie było cię na gruncie, na którym zostawiłeś żonę i dzieci, z którymi jeżeli nie poradzić, to rozmówić się musisz. Masz syna dorosłego.

— Prawda! — podchwycił Stefan, któremu Helena nagle w oczach stanęła. — Żona... dzieci... syn dorosły...

— Widzisz więc, że w traktacie naszym wszystko jasne i że interes twój wymaga, ażebyś mi pomagał z całej duszy i z serca całego.

— Tak, Boga mi, to prawda.

— Tym bardziej że... — tu graf dłonie podniósł i w tył nimi rzucił — zająć mogą okoliczności niespodziane i nie przewidywane. Zająć mogą przeszkody ze strony pretendenta jakiego.

— Jakiegoż by? Tomasza chyba?

— Ha!... z rąk się wypsnął.

— Jak to? Więc on istnieje?

— Na pewne nie wiadomo. Najjaśniejsza pani, siostra moja, własnymi palcami do piętna się tego dotykała, tylko, niestety! — tu westchnął — za późno znać mi o tym dała. Skryć się umiał. Czy jednak gdzie nie przepadł, to zagadką pozostaje. Zagadka ta przeto rozwiązać się może w chwili śmierci Twrtka, a wówczas... — dokończył gestem. — Wiesz więc, jakiej to wagi jest przymierze pomiędzy mną a tobą.

— O tak, ogromnej wagi... — odrzekł Stefan przekonany. — Stać powinniśmy murem, jeden za dziesięciu.

— Jedziesz na Sutysko? — zapytał graf.

— Droga mi tędy wypada. Mógłbym wprowadzić wyminąć...

— Nie... — podchwycił graf Herman — wymijać nie leży. Owszem, przeciwnie, gdyby ci nawet drogi nałożyć przyszło, toś do Sutyska zajechać powinien i staremu hołd złożyć, a zarazem powiedzieć mu, że stronę moją trzymasz. Potrzeba zrobić to koniecznie. Przy tym mam ci do dania poufne zlecenie.

— Do króla? — zapytał Stefan widząc, że graf zwleka niby z mówieniem dalszym.

— Nie... hm... czy najjaśniejsza pani wręczyła ci upominek dla rycerza Rudolfa von Billig?

— Wręczyła sakiewkę barwy czarno-żółtej z dukatami.

— Ano, więc dobrze. Czy znasz Hansa Liederbilda?

— Hansa Liederbilda? — powtórzył Stefan przypominając sobie.

— Gospoda w Sutysku — odpowiedział graf.

— Aa!... I jakżebym znać nie miał! Przecież w gospodzie Hansa przemieszkałem z Tomaszem Pungiczem... nie! — poprawił się — z Tomaszem Ostoiczem, tydzień z górą.

— O! ten Tomasz, jak on sprytnie wszystkich w pole wyprowadzić potrafił! Hans nawet go nie przeczuł. No, mniejsza już jednak o to. Owóż, powiedz Hansowi, do którego ci na znak pierścień dam, ażeby oczy szeroko otwierał i na baczności się miał. Jak tylko spostrzeże, że król chorować zaczyna, niech natychmiast gońców z Sutyska do Cylei wyprawia, ażeby gdy konać zacznie, mógł na skonanie jego czekać w pobliżu. Rozumiesz?

— Oo!... — odparł Stefan.

— Wiesz, wie już, co robić. Niech jeno na to bacz, ażeby się Rudolf von Billig nie upił w momencie, kiedy największej trzeźwości jego będzie potrzeba.

W Sutysku znalazł wszystko po staremu, podstarzałe jeno znacznie. Król posunął się — ha, ha! — starcem się zrobił. Hans zeszpakowaciał zupełnie; von Billig wzbogacił się w zmarszczki fałdujące mu oblicze i czoło, wyniosło z powodu absolutnego braku włosów na ciemieniu; Grgur Grguraszicz pochylił się i zęby potracił, z którego to powodu szeplecił mówiąc.

Królowi niemałe przyjazd Stefana sprawił uradowanie. Że nie było baronów żadnych, więc nie udzielał mu posłuchania oficjalnego i nie wydawał na cześć jego obiadu gala. Karmił jednak i poił, co wlezie — podziwiał apetyt gościa i prowadził z nim rozmowy poważne; gdy zaś ten powiedział mu, że wie o układzie we względzie następstwa tronu, i gdy oświadczył, że stronę Hermana trzyma, odrzekł:

— Phm... Nie darmo oni ciebie lat tyle hołubili przy sobie. Sądzone... Do tronu bośniackiego Cylejczycy drą się od dawien dawna. Ot i wedrą się. A! Co mi tam! Mnie już niedługie po ziemi nogami płatanie. A czy cesarz Albert będzie grafa Hermana popierał?

— Zdaje się.

— Bo on jakoś... ani patrzy w tę stronę. Nie stanowi to jednak nic — odpowiedział sam sobie. — Suraba, majka niegowa! nie patrzy, a widzi. Ha!... Niech sobie Herman następuje po mnie. Niech przychodził Ostoicz. Jak oczy zamknę, to wszystko mi już będzie jedno.

Kiwał stary król głową i powieki zamrużał, to jedna, to druga.

W końcu ręką machnął.

Hansowi powtórzył Stefan zlecenie grafa. Niemiec się zmarszczył, ziewnął szeroko i odpowiedział:

— Schon gut. Ja tu na poscie moim stoję jak żuraw. Wysokość jego, Herr Graf, będzie miał za co Hansa Liederbilda po ramieniu poklepać. Już ja tu siebie z pewnością nie żałuję.

Rycerz Rudolf von Billig, gdy otrzymał czarno-żółtą sakiewkę z dukatami, wpadł w niemy zachwyt, w którym pozostawał godzinę z okładem. Sakiewka przed nim na stole leżała; on w nią oczy wlepił i tylko od czasu do czasu chrapał, nos marszcząc i dźiąsła w pięć, każdy osobno stojący, zębów ozdobione pokazując. Z niemej tej kontemplacji stanu wyprowadził go Hans, za pomocą dotknięcia się palcami do ramienia jego.

— Ha, ha!... — krzyknął rycerz niby ze snu obudzony.

— Schowaj to — rzekł Hans, oczami na sakiewkę zwracając.

— Ach!... — westchnął Rudolf von Billig. — To ona... ona!... ona!... — Dłonią czoło sobie przycisnął, oczy do góry wznosił i zacharczał: — ona!...

— Przysyła ci — słowa Hansa, którym towarzyszyło ukazanie na Stefana — przez tego szykownego kawalera rozkaz, ażebyś na poscie moim stał.

— I imię jej sławił! — patetycznie rycerz dodał. — Pójdę!... — Tu ramię podniósł. — Pójdę... świat cały wyzwę do walki!

— Idź spać tymczasem.

— Hum!... przyjacielu!... ty jeden mnie rozumiesz.

Stefan wywiązał się z poleceń wszystkich, bawił w Sutyisku niedługo i pociągnął dalej, wyprowadzony o dni dwa drogi przez Grgura Grguraszicza, z którym rozmowę przytoczymy poniżej.

W DOMOWYCH PROGACH

Grgur Grguraszicz, z polecenia zdaje się króla, towarzyszył Stefanowi, czyniąc honory stanowisku wysokiego, jakie ten przez śmierć stryja zajął, należne. Tytułował go: „dostojność wasza” i „wysokość wasza” i nie szczędził kadzideł, naturalnych w ustach dworaka. Stefana nie dziwiło to wszystko, znał przecie świat, był mężem w pełnej wieku sile, widział wiele, odbył tę szkołę, która w wieku onym poczytywaną była za najlepszą i najwyższą: przebył lat kilkanaście na dworze monarszym. Przyjmował więc kadzidła Grgura, jak na to zasługiwały, odpowiadał na nie łaskawie, jak się tego nauczył od Zygmunta cesarza, i nie brał ich do serca, aż Grgur o drażliwą potrafił materię. Wymówił z wykrzyknikiem imię i nazwisko towarzysza niegdyś Stefana:

— A! Tomasz Pungicz!

— Ostoicz — poprawił Stefan.

— No, tak... pokazało się to później. Przyznać jednak należy, że wyprowadził on zręcznie dostojność waszą w pole.

— Mnie nie tyle co innych. Cóż mnie on wówczas obchodził!

— Wówczas... Dziś jednak, czy nie obchodzi on wysokości waszej?

Nie wiedział Stefan, co odpowiedzieć na to. Zapytanie spadło na niego niespodzianie. Bakać począł ni to, ni owo, aż Grgur zapytał go znów:

— Co byś zrobił, wojewodo dostojny, gdyby po śmierci szczęśliwie nam dziś królującego pana zgłosił się do tronu Tomasz Ostoicz?

— Zgłosić się nie sztuka — dał Stefan odpowiedź wymijającą.

— Czyby mógł liczyć na poparcie wasze? — zapytał Grguraszicz wręcz.

Stefan nie odpowiedział od razu. Wyuczył się dyplomacji u dworu. Pomyślał sobie o Grgurze: „podchodzi i chciałby mnie zahaczyć... nie głupim...” — Krzyknął więc:

— Bynajmniej! Ja... ja!... wiem swoje... Ja mam drogę swoją!

— Tylko... aby droga ta nie zaprowadziła wysokości waszej na karku złamanie — zarzucił Grgur w formie uwagi. — I ja coś wiem.

— Co? — zapytał Stefan.

Grgur popatrzył mu w oczy wzrokiem takim, jakby go na wylot chciał przeszyć, głową pokiwał, ręką machnął i odparł:

— A... Niech wysokość wasza zostanie przy swoim, ja przy swoim zostanę. Szkoda język strzepić.

Wyraźnie powiedzieć coś chciał, lecz Stefan, dyplomata, nie domyślił się chcenia tego, wydawało mu się bowiem, że ma do czynienia z Grgurem tym samym, a raczej takim samym jak ten, co przed laty służył Twrtkowi II za psa gończego w wyszukiwaniu Tomasza. Dyplomacja nie nauczyła go, że ludzie zmieniają się we względzie gustów, humoru, temperamentu i przekonań, zmieniają się dzięki tysiącom przyczyn, pomiędzy którymi nienajpodrzedniejszą rolę odgrywa uroczy brzęk kruszcu.

Pewien mąż stanu powiedział, że nie masz sprawy tak złej, która by, płacić mogąc, nie znalazła za pieniądze obrońców gorliwych. Jest to smutne świadectwo towarzystwu ludzkiemu wystawione. Tak jednak jest, niestety! Wszakże, dodać by tu należało poprawkę, która sens świadectwa zmodyfikuje znacznie. Ogromne mnóstwo ludzi sprawę złą uważa za dobrą, jeżeli ta posiada pieniądze. Mnóstwo owe ludzi zostaje po prostu w błędzie — w stanie niewiedomości, grzechu nie czyniącej, pochodzącej z obrania sobie sprawdzianu nie mogącego być miarą dobroci spraw w żadnym razie. Stefan nie zwracał na to uwagi i dlatego ocenić nie umiał zaczepkę Grgura, który o czymś wiedział, coś powiedzieć chciał; nie powiedział jednak nic, pożegnał Stefana i powrócił do Sutyska.

Stefan tedy tą samą drogą, którą odjeżdżał niegdyś, obecnie powracał w domowe progi. Miejsca budzące w nim wspomnienia, różrzewniały go. Na góry rodzinne nie patrzeć się dosyć nie mógł. A kiedy zabłyszczała mu w oczach jasna szyba krupackiego jeziora, to nie był w stanie lez za powiekami powstrzymać.

— Patrz, Waso — mówił. — Widzisz... jezioro...

— Boga mi... jezioro — odrzekł Wasa.

— I ostrów.

— I ostrów.

— Ach, moi starzy...

Kiedy go gdzieś tam, w jednym z miast europejskich, wśród uroczystości dworskich, wiadomość o śmierci rodziców doszła była, to wówczas przyjął ją obojętnie, jak rzecz całkiem naturalną. Pomarli — należało się im to. W rozmowie, jaką miał z Wasą z tego powodu, sam pierwszy uznał, iż zniechęcałemu Wukacowi i przybitej niedołęstwem małżonka Wukacowej, ojcu i matce jego, nie pozostawało nic innego jak tylko przenieść się do żywota

lepszego. Wiadomość ta nie przerwała mu uczty, przy której zasiadał, nie zepsuła mu humoru. Tu atoli, znalazłszy się wobec widniejących w dali murów, pełnych wspomnień o nich, doznał w piersi takiego ściśnienia, że nie to łez, ale płaczu głośnego powściągnąć nie mógł. Uderzył w szloch. Wasa tyle posiadał taktu, że uszanował to jego rozrzewnienie, dał mu się wypłakać, a kiedy nad brzegiem, w punkcie, gdzie przewóz niegdyś istniał, stanęli, wyręczając Stefana, w róg podróżny zadał. Zadał, echo tony podchwyciło i po górach je rozniosło. Czekali. Czekali jednak na próżno. Łódka nie wybiegła na zwierciadlaną szybę w celu zabrania gości. Zniecierpliwiony Stefan pochwycił róg, do ust przyłożył i wpędził weń „cały zapas ducha“. Znów echo z tonami w przedrzeźniający zabawiło się sposób, znów czekali i znów na próżno.

— Eh!... — zawołał Stefan. — Cóż to znaczy? Ktoś tam jest przecie!

Wpław się rzucił po dawnemu. Wasa ze służbą na brzegu pozostał. Stefan sam wskoczył na wyspę, pobiegł mąż czterdziestoletni, jak biegał, kiedy chłopięciem był, i w bramie o gruzach się potknął. Stał; okiem powiodł dokoła: zewsząd ruina wielkimi nań patrzała szczerbami, szczelinami i dziurami. Podwórza trawa porosła. Po ścianach jaszczurki biegały. Spod kamieni wąż wypełznął, jakby zapytać chciał:

— Ty tu po co?

Na nieme to zapytanie odpowiedział Stefan krzykiem wielkim:

— Ja ruinę tę dźwignę i zrobię z niej stolicę województwa chumskiego!

Nocować nie mógł z jaszczurkami i węzami, wpław więc przebył jezioro na powrót i spędził noc nad brzegiem onego, przy ognisku, słuchając śpiewu puszczyków, które w opustoszałym gnieździły się zamczysku. Noc tę spędził bezsennie. Tworzył w wyobraźni plany rezydencji

przyszłej. Gdy dzień zaświtał, rozповідаł Wasie, co i jak będzie — jaki na wyspie stanie dworzec wspaniały.

— A gdy — podchwycił Wasa — stanie na wyspie dworzec, to na tym oto miejscu, gdzieśmy ognisko rozłożyli, założy się gród.

— Nie gadaj?

— Zobaczysz...

Ze słowem tym wsiedli na koń i przez góry przeciągnęli do Dubrownika.

W Dubrowniku, wjeżdżając w bramę domu niegdyś Sandałowego, obecnie własnego, doznał znów w piersiach ściśnienia na wspomnienie Heleny i dzieci. Ściśnienie to wzrastało stopniowo, w miarę jak się przez podwórzec do krużganku zbliżał, zupełnie go jednak opuściło w krużganku, skutkiem nadziei zawiedzionej. Spodziewał się wypadnięcia Heleny — nie wypadła. Wyszło służby kilkoro i z tej jeden zadał mu zapytanie, kto on i skąd?

— Stefan Chranicz... ja... — odpowiedział. — Cóż?... nie poznaje mnie tu nikt?

Odpowiedź ta pobiegła do wnętrza domu i dopiero Helena wypadła.

Wypadła niewiasta — kat nie baba. Zatrzymała się na chwilę, wzrokiem powiodła po Wasie i pachółkach i zmierzyszy szybko męża z dołu do góry oczami...

— Stefan! — krzyknęła.

Jak nie skoczy! jak go nie pochwyci w ramiona szerokie! jak nie przycisnie do piersi szerokich! jak nim nie machnie! — aj, aj! — Stefan, chłop nie ułomek, nie dał się. Spleceni ramionami, szamotali się przez chwilę, rzekłbyś dwaj zapaśnicy, pracujący który którego zmoże. Słychać jeno było oklaski pocałunków podobnych jedne do wystrzałów z pistoletu, drugie do odgłosu, jaki wydaje szpunt wydobywany z beczki. Szamotanie się, nie wiadomo, na czyją by zwycięstwo przeważyło stronę, gdyby

Helena nie uderzyła była w płacz. Łzy potokami lunęły jej z oczów i scentralizowały siłę, która małżonka w objęciach trzymała. Otoczyła mu szyję ramieniem, pociągnęła za sobą, poprowadziła w głąb domu i posadziła, sama obok usiadłszy. Uściski się powtórzyły, wznawiały się kilkakrotnie, coraz to słabiej, aż w końcu ustały i Stefan mógł zwykle w położeniu tego rodzaju zapytanie zadać:

— No i jakże? Cóż tu słyhać?

— Wojna!... a!... wojna!... O, wojna! — odrzekła, ramię prawe z pięścią zaciśniętą do góry podnosząc i brwi marszcząc. — Wojna!... Dobrze, żeś przyjechał! Wojnę wydajemy natychmiast!

— Komu? o co?

— Komu? Dubrownikowi... republice! — z przekąsnym dodała przyciskiem. — Wydajemy jej wojnę natychmiast, tylko trochę po podróży odpoczniesz!

— Za cóż jednak?

— Myślisz, że nie ma za co! Jeżeli tak myślisz, to nie myśl, proszę ciebie. Jest za co. Wyobraź jeno sobie... — Tu palec demonstracyjnie do góry podniosła. — Wyobraź sobie: zapis ów... com się ja nie namęczyła przez cały nieobecności twojej czas i niczgom się o nim dowiedzieć nie mogła! O! dał mi się Dubrownik we znaki. Co ja się nie namęczyła! Co ja się nie namęczyła!... Nieboszczyk milczał jak skała i wszyscy milczeli. Kustoszowi, do którego się na koniec, po długich a długich pytaniach, dopytała, do nóg się kłaniałam. Kłaniałam się kneziowi i członkom rady małej. Kłaniałam się członkom rady wielkiej. Płakałam przed ludźmi. Poruszałam niebo i ziemię. Nie pomogło nic!

— Dowiesz się więc teraz! — wtrącił Stefan.

— A ba!

— Powiem tobie.

— Tyś wiedział, wiem o tym i miałam do ciebie żal wielki, ale żal ten przeminął, gdym się dowiedziała, że

Sandał nieboszczyk zapis zmienił, stary, ten co za ciebie był, cofnął i spalił, a nowy spisał i w skrzyni złożył. Gdy mi ojciec Benon wiadomość tę dał, o małym się nie wściekła. Biegałam jak ta kura z jajkiem i łzami się przed Dubrowniczankami zalewała.

— O cóż ci więc chodzi!... dowiesz się teraz.

— Tak, ale za męczarnie moje, za łyzy, za noce nie dośpane, za obiady nie dojedzone, za zdrowie sterane, za lat tyle czyszcowych katuszy Dubrownikowi w ten nie w inny odplacić należy sposób, ażeby w tym grodzie przeklętym kamień nie pozostał na kamieniu. Na ciebiem tylko czekała. Ho, ho!

Podczas kiedy ona to prawiała, do komnaty cichym chodem wsunęła się dziewczyna, zasługująca na to, ażeby jej spojrzenie poświęcić. Prześliczna! Od oka rzutu, do zganienienia nie było w niej nic, zdawało się, jakby prosto z rąk tokarza wyszła, tak wszystko, co wdzięk dziewiczy stanowi, znajdowało się i na swoim miejscu, i w odpowiednim kształcie. Nic nadto i niczego nie brak. Szykowna, składna, wzrostem ni duża, ni mała, silnie zbudowana, twarda, jędrna, usta jak korale, zęby jak perły, oczy barwy nieba południowego, warkocze płowe, z odblaskiem czerwonym, cera świeża, przygorzała nieco — weszła i spoglądając na wojewodę obok Heleny siedzącego, na poły z trwogą, na poły z ciekawością, zbliżała się do niego. Stefan jak skoro ją zoczył, wnet zaprzestał zwracać uwagę na Heleny gadanie. Na wchodzącą wzrok zwrócił, widokiem jej oczy pał i jakby się pytać zdawał zdziwieniem przejęty:

— Cóż to za zjawisko?

Obecność dziewczyny tej wydała się mu zagadką, o rozwiązanie której zwrócił się do gadającej wciąż żony.

— Ilenko, a co to? — zapytał.

— Na!... a toć to córka twoja — Katarzyna.

Stefan poskoczył.

Dziewczyna pogarnęła się do ojca, który wziął ją w objęcia swoje, wycalował i wycalowawszy przypatrywał się jej, mówiąc:

— Córa moja?... Katarzyna?... Mój ty Boże!... Cóż to się zrobiło! Tać jam ją tyćką zostawił! Teraz, co?... hej, diewojka!

Głową kręcił i cmokał, a powtarzał:

— Bre... bre... bre...

Katarzyna, przez ojca wycalowana, nabrała do niego śmiałości, której zrazu nie miała, i w oczy mu z uroczym, miłości pełnym patrzyła uśmiechem.

— Ileż jej? — zapytał.

— Ano... — odrzekła Helena — dziewiętnaście.

— Ani mi się śniło, żebym miał córkę taką.

— Widzisz... a co!

— Taką rzeczą Władysław ma dwadzieścia... dwadzieścia i jeden.

— A tak.

— Włodek... siedemnaście, osiemnaście... Stefan szesnaście.

— Tak jest. Czemużby nie mieli mieć tyle?

— Chi, chi!... cha, cha! Anim się tego spodziewał! Cóż — zwrócił się do córki z zapytaniem — radaś ojca przybyciu?

— A i jakże! — odrzekło dziewczę z przymileniem.

— Gdzież bracia twoi?

— Nie wiem, Boga mi — odparła, na matkę z ukosa spoglądając. — Władysław u Fiorinich chyba?

— Cóż to za jedni?

— Ach! — podchwyciła Helena — to ten kustosz, Boh by go pobio!... co to go rada mała przy skrzyni z zapisami za dozorcę postawiła, garbaty, do człowieka niepodobny, od Boga napiętnowany, milczący.

-- Cóż Władysław ma z nim do czynienia?

— Nie z nim, ale... a! — ręką machnęła. — Dużo by gadać o tym. Niechaj no... rozpatrzysz się, to się o wszystkim dowiesz. A tymczasem powiem tobie, żeśmy się ciebie nie spodziewali jeszcze. Wyprawiałam ci wprawdzie gońca wnet po śmierci Sandała, ale jak ludzie obrachowywali, toś ty nie powinien był przyjechać jak aż za miesiąc dopiero.

— Jam gońca nie widział wcale...

— No... a jakże to?

— O śmierci stryja dał mi znać graf cylejski.

— Skądże wiedział graf ten?

— Nie wiem, przez kupców zapewne. Przebywałem w Pradze przy cesarzowej wdowie, która mnie od siebie puszczać nie chciała, a graf cylejski, Herman, to jej brat. Owóż on dał znać i ona mnie natychmiast zwolniła.

— A cesarz umarł — odezwała się Helena kiwając głową i przybierając minę smutek udającą.

— Po śmierci jego wracać chciałem...

— I nie powróciłeś.

— Cesarzowa nie puściła. Jak się przyczepiła: ba, zostań... ba, krewniaku... Czekalem, aż stryj przekaz jaki przyśle, a stryj... umarł tymczasem. Tak więc do ostatka pozostawałem przy cesarzowej.

— Przy cesarzowej — powtórzyła Helena patrząc mężowi w oczy przenikliwie. — Ta cesarzowa... ona... niby to jakoś... Ludzie o niej gadają rzeczy takie, że od gadania tego włosy na głowie wstają.

— Uch!... — machnął Stefan ręką. — Ludzie gadają...

— Grzesznica, słyszę, ma być bardzo wielka.

— I, gdzie tam! Grzeszy, to prawda, ale się z grzechów codziennie sama oczyszcza i ją oczyszczają. Grzeszenie takie daj Boże każdemu, tylko że nie dla każdego jest ono dostępne. Zresztą... dobra pani, bardzo dobra... teraz zaś, biedaczka, krzyż pański dźwiga. O! hm...

— Cóż takiego? — zapytała z akcentem współczucia.

— Z dwóch dokuczają jej stron. Wyrządzają jej przykrości Czesi... ciężkie jej życie.

— Hm... — bąknęła Helena i przypomniawszy sobie, że ludziom z dalekiej przybywającym podróży należy ugoszczenie, zawinęła się około przygotowania posiłku dla męża i dla towarzysza jego.

Niebawem też pojawili się synowie Stefana, ściągnięci wieścią o przybyciu spadkobiercy i następcy Sandała, która wnet całe obiegła miasto. Spieszyli powitać ojca. Najpierwszy przybiegł najmłodszy, wyrostek szesnastosiemnastoletni, po nim przedstawił się średni i po tym dopiero, i to nieprędko, przyszedł Władysław, młodzian szykowny, na urząd zbudowany i pod względem udatności kształtów będący w rodzaju męskim tym samym, czym była siostra w rodzaju żeńskim. Widok jego sprawiał na widzu dziwne jakieś uczucie zadowolenia. Widziało się w postaci młodzieńca wcielenie harmonii pomiędzy materią a duchem. Na czole mu jaśniały i z oczu strzelały rozum i szlachetność, w połączeniu z pogodą, która nakazywała poszanowanie, wzbudzające obawę naruszenia tej pogody i zmienienia jej w burzę, zdawało się bowiem, że burza, gdyby w młodym tym człowieku zawrzała, byłaby straszną. Ojciec wstał na jego powitanie i nadaremnie starał się przybrać względem niego ton protekcyjny. Władysław z ciekawością przypatrywał się ojcu, którego prawie nie znał, a który z wielkiego przybywał świata, przywożąc ze sobą urok, jaki w wiekach owych otaczał dwory.

Powiedzieć należy, że Stefan zmienił się ogromnie — opoierował się, przejął ton i maniery dystyngowane i stał się wielkim panem w znaczeniu całym, to jest, umiał za pomocą form zewnętrznych maskować brak treści. Z tego powodu nie wyglądał źle wobec syna, owszem, przedstawiał się całę dobrze, zważywszy zwłaszcza, że zachodziło

pomiędzy nimi podobieństwo rysów dosyć znaczne. Ten był mężem w sile wieku, ten młodzieńcem w pełni rozkwitu. Pozór ich narzucał mimowolnie na myśl zasoby żywotne, które w jednym i drugim gromadziły się, jak się zdawało, w dochodzącym aż do zbytku mnóstwie.

Powitali się uprzejmie, serdecznie nawet. Ojciec syna za ramiona ujął i w oczy mu patrząc, wstrząsnął nim.

— Dobryś — rzekł. — Śnić mi się nie śniło, żeś ojcem dzieci dorosłych. Nie spodziewaliście się mnie?

— Nie, Boga mi — odrzekł Władysław. — Obrachowaliśmy czas i jak się pokazuje, w rachunkach omyłka zaszła.

— Aleście mi radzi.

— O! ojcie — odparł młody człowiek z serdeczności akcentem. — Czyżby mogło być inaczej?

— To i dobrze.

Chciał Stefan coś jeszcze mówić, lecz mu przerwała Helena, która, zwracając się do Władysława, odezwała się tonem, w którym brzmiała dobroć macierzyńska w połączeniu z gniewem powściąganym:

— Teraz jednak, mój synku, trzeba się postawić względem ludzi tych inaczej. Dotychczas pozwalałam ci, a nawet zachęcałam do wdawania się z nimi, a to wedle tego zapisu. Ale, Bogu dzięki, już my ich nie potrzebujemy. Skończyło się. Niechże noga twoja tam nie zostanie.

Władysław nie odpowiedział nic. Spojrzał jeno na matkę, a w oczach jego malowały się: zdziwienie, żal i oburzenie.

— Co to, co? — zapytał Stefan.

— A!... dużo o tym gadać. Jam tu głową kręciła i męczyła się. Pewno cesarzowa Barbara nie dźwiga takiego krzyża, jakim ja dźwigała. Skończyło się jednak, Bogu dzięki. Ty, moje dziecko — słowa te do Władysława się

stosowały — porzuć Marę, bo Mar takich będziesz miał, jeżeli zechcesz, tyle, że się nie opędzisz od nich.

— Cóż to za Mara?

— Diewojka pewna... niczego sobie, ale raz — nie dla Władysława, wyprowadzającego się z rodu Chranic i z rodu Balszów, po wtóre — jeżeli kto mi najwięcej w Dubrowniku dokuczył, to tej Mary ojciec... garbus... stworzenie nieboże, do człowieka niepodobny... szkaradny taki, iżby się małpa nawet do niego przyznać nie chciała. Otóż, niech będzie już raz koniec temu.

Władysław i tym razem nic nie odpowiedział matce, ale nie okazał już ani zdziwienia, ani żalu, ani oburzenia, zachował niby obojętność i tylko wpadł w roztargnienie, lekko smutkiem powleczone.

ZAPIS I ZASTRZEŻENIE

Rzecz naturalna, po przybyciu Stefana najważniejszą i najpilniejszą dla niego sprawą było wydobycie zapisu. Nie przedstawiało to już trudności najmniejszej. Należało bowiem jeno pójść do pałacu rządowego i przedstawić się kneziowi. Dla spóźnionej pory odłożył to Stefan do dnia jutrzejszego, tymczasem oddał się całkowicie spoczywaniu, które odbywał to siedzący, to leżący, obsługiwany przez córkę i żonę. O słońca zachodzie zasiadł do wieczerzy i zadziwił domowników apetytem tak świetnym, że Helena, która sama nieźle jadła, powstrzymać się nie mogła od uwagi.

— Jesz, Bogu dzięki, za pięciu przynajmniej — rzekła.

— Ha! cesarz nieboszczyk jadał dwa razy tyle. A jak jadają książęta! hiii!... Ja, to nic jeszcze. Na wielkim świecie wielcy ludzie jedzą wiele. Tak być musi. Jedno wychodzi z drugiego.

Władysław głową skinął z akcentem takim, jakby zastrzeżenie czynił.

Helena głową także skinęła, lecz akcent, z jakim to uczyniła, oznaczał aprobację.

— Jak nieboszczyk ojciec mój jadał! — dodała z westchnieniem — a to nie dla czego innego, tylko że z wielkiego był rodu. Co wielkość, to wielkość... nie ma co.

I dokładała mężowi, ten zaś spożywał dary boże nie tylko w ilości ogromnej, ale oraz z zacięciem oznaczającym niepospolitłość. Smoktał, smakował, palce z gracją pewną nastawiał, żuł nawet inaczej jakoś aniżeli ludzie miejscowi i popijał z akcentem osobliwym. W dobieraniu kawalków nie omieszkował powiadać, co lubił cesarz nieboszczyk, a co lubił król lub ksiązę ten albo ów. Na języku miał ustawicznie znakomitości same, o których przytaczał różne anegdoty ciekawe. Nie było to budującym, zajmowało jednak w stopniu wysokim. Synowie, z wyjątkiem Władysława, córka i żona wlepiając w niego oczy słuchali opowiadań, które Stefan zaprawiać umiał dowcipami, zbieranymi po świecie szerokim.

Po wieczerzy, kiedy się Helena sam na sam z mężem znalazła, nie miała nic pilniejszego. jak wznowić kwestię wojny przeciwko Dubrownikowi. Stefan wskutek zapewne tego, że sobie podjadł należycie, słuchał w milczeniu wywodów małżonki i poznał, że rzecz szła na serio. Stawiała ją Helena tak:

— Myślałam nad tym i rozmyślałam. Do prowadzenia wojny potrzeba mieć wojsko, ażeby mieć wojsko, należy posiadać pieniądze. Pieniądze będziemy mieli z zapisu nieboszczyka Sandała, będziemy mieli zatem wojsko i będziemy mogli prowadzić wojnę... wojnę, która nam cały stokrotnie zwrócił nakład, albowiem zabieramy wszystkie znajdujące się w rękach Dubrownickiej Republiki depozyty. Jest tego mnóstwo, mnóstwo — rzekła z przyciskiem. — Lochy perperami w złocie i srebrze, klejnotami, kamieniami drogimi i złotem w sztabach zawalone. A co pieniędzy u kupców! O! myślałam ja i rozmyślałam i tylko na powrót twój czekała. Zrobisz, co się tobie podoba, ale pewna jestem, że się tobie nie podobać nie może powiększenie posiadłości twoich takim jak Dubrownik miastem, które z czystym zabrać można sumieniem, raz

wydania kwitu na odebranie zapisu nieboszczyka Sandała. Stefan uznał to i tamto słusznym. Celem sprawdzenia kneź poprosił Władysława, ażeby czytał w głos dokument depozytowy, podczas gdy ojciec jego będzie patrzył w swój. Władysław więc zaczął:

„W Imię Ojca i Syna“... etc.

Szło najprzód szczegółowe wyliczenie sum pieniężnych, dalej funtów metalu w sztukach, następnie naczyń złotych i srebrnych, klejnotów i kamieni drogich. Ogólna wartość tego wszystkiego dochodziła wysokości ogromnej, zwłaszcza jak na czasy owe, w których pieniądze ceniły się inaczej aniżeli dziś. Stefan rósł i nadymał się. Nastąpiło odczytywanie dyspozycji. Mina zrzędała mu nieco, gdy Władysław wygłosił, że suma ogólna rozdziela się na dwie równe części.

— Hm — chrząknął. — Stryj nieboszczyk zmienił podobno zapis pierwotny na uwagę jaką mu uczyniłem, że połowa na pięć podzielona części nie zadowoli tych, którym się dostanie po części piątej połowy.

— W rzeczy samej — odrzekł kneź — nieboszczyk wojewoda wyjął zapis pierwotny i natomiast złożył ten oto.

— Zachował jednak podział na dwie równe części.

— Zachował — odparł kneź.

Władysław czytał dalej, jako część jedna przeznaczona się w całości dla Stefana Chranicza, zwanego Kosaczem, i dla potomstwa jego, druga dla Pietra Stepkowicza i dla potomstwa jego.

— Na! — zawołał Stefan. — Ot i zmiana! Druga ta część pójść miała w podział na Stepkowicza, Gojsławicza, Obradowicza, Ostoicza i Wukowicza, idzie zaś w całości na Stepkowicza. Przysłużyłem się Pietrowi. Cóż dalej?

Następowało zastrzeżenie. W razie gdyby wygasło potomstwo Stefana, kwota cała przechodzi na Stepkowiczów, i na odwrót, w razie gdyby wygasło potomstwo Pietra, kwota cała przechodzi na Chraniczów.

— Hm... — mruknął Stefan.

Klauzula następna tyczyła się sposobu podniesienia kapitału z depozytu, którego ruszyć nie można było inaczej jak po wypowiedzeniu w rok jeden, niedziel sześć i dni trzy. Co się zaś procentów tyczy, te, liczone po pięć od sta, wypłacały się dwa razy rocznie, raz na świętego Dymitra, drugi raz na świętego Jura. Reszta rozporządzeń pomniejszej była wagi. Aneksa doręczył kneź Stefanowi pod postacią rejestru, którego odczytanie pozostawiał do woli, albowiem jak powiadał, jest to rzecz postronna, od Sandała nie pochodząca.

— Oryginały — dodał — w naszym znajdują się ręku. My je kolejno, w miarę jak terminy będą wychodziły, będziemy wręczali dostojności waszej.

Stefan, podrażniony treścią zapisu, która nie po jego wypadła myśli, nie uważał na to. Zabrał testament i aneksa, pożegnał jak najuprzejmiej radę i powrócił do domu.

Nie potrzeba powiadać, z jaką Helena wyglądała go niecierpliwością.

— Cóż? i cóż?... — wołała wciągając go do komnaty. — Zapis?

— Jest.

— Aaa... — otwierając gębę i opuszczając ręce odczchnęła z głębi piersi.

— Połowa Pietrowi...

— A co! — rzekła słupiejąc. — Aha!

Zakłęła i westchnęła. Mróz poza skórą jej przeszedł.

— Nie darmo Gruba przyłaziła do Dubrownika. Nie Pietar, a Gruba... Urzekła starego. Bodajże się ona tą połową udławiła! Bodaj jej od połowy tej nogi pokurczyło! Bodaj ona połowy tej nie wydychała!

— Czy się Pietar nawrócił na łacinizm? — zapytał Stefan.

— Licha tam! On by się nawrócił? Był patarenem raz, jest obecnie patarenem razy dziesięć!

— Jakimże to sposobem Radosław i Radiwój byli w szkole razem z Władysławem?

— Tym sposobem, że ich Gruba przyprowadziła.

— I do szkoły oddała?

— Oddała.

— Do łacińskiej? do ojców franciszkanów?

— Do łacińskiej, ale nie do ojców franciszkanów, a do gramatyka jednego, któremu na imię Cyryl Rubercjusz. A! — zawołała w końcu, rękę do góry podnosząc i takową w powietrzu trzęsąc. — Tu w Dubrowniku istna Sodomia i Gomora. Ten gramatyk na przykład z rudą czupryną!

— Niech będzie pochwalony! — odezwał się głos od progu.

Był to ojciec Benon, który, dowiedziawszy się o przybyciu wojewody, spieszył na jego powitanie.

Wejście jego powściągnęło w Helenie wzrastające oburzenie. Uspokoila się, ułożyła oblicze, pocałowała zakonniką w rękę i prosiła go siedzieć.

Franciszkanin zawiązał ze Stefanem rozmowę, obojętną w gruncie, z wierzchu ukoloryzowaną troskliwością o podróżnika przybywającego z długiej i dalekiej wędrówki. Rozmowa ta służyła za preludium, za rodzaj introdukcji, która doprowadziła wnet do zapisu.

— Zapis... a! — zawołał. — Na koniec! Cóż tedy?

— Połowa Stefanowi, połowa Pietrowi — odparła Helena.

— Uhm... — skrzywił się ksiądz. — Byłoby to nie, gdyby nie to, że tu zachodzi casus haeresiae dokonany z rozmysłem. Szkoda... wielka szkoda... Nieboszczyk zda z tego rachunek przed Panem. O! — tu oczy wzniosł do góry — zda rachunek, albowiem uprzedzanym i ostrze-

gany był. Ale... — dodał — czyby nie należało w zapisie się rozpatrzyć?

— Prawda wasza, ojciec wielbny — Helena na to. — Przeczytaj no, Władysławie.

W ciągu czytania punkt ten, który mruknięciem podkreślił Stefan, wywołał mruknięcie ze strony Heleny i ojca Benona. Zdarzyło się to przy zastrzeżeniu dotyczącym wypadku wygaśnięcia potomstwa Stepkowiczów. Helena kipiała. Powściągała jednak w sobie wzruszenie i wysłuchiwała testamentu całego, a nawet zrozumiałwszy, że jest on faktem, na który rady nie ma, milczała, gdy czytanie skończonym zostało. Ręką jeno z przyciskiem machnęła.

— A toż co? — zapytał ksiądz Władysława, trzymającego w ręku dodatek przez knezia dany i przebiegającego takowy oczami.

— Aneks — odpowiedział zapytany.

— No, no? W nim może ciekawego się co znajdzie.

— Czytaj no to — rzekła Helena.

— Areszta na kwoty, na które dostojność jego wojewoda Chumu, ban Bośni, wielki bośniacki wojewoda, Stefan Chranicz, Kosaczem zwany, w ciągu podróży swojej powystawiał rewery formalne, pieczęcią dostojności jego jako też świadków obecnych opatrzone, w Budzie, w Norymberdze, w Mediolanie, w Pawii, w Bolonii, w Sienie, w Rzymie, w Pizie, w Ratysbonie...

— Co to? — krzyknęła Helena, nie dając synowi kończyć wymieniania szeregu długiego miast.

Stefan zmarszczył się i nadął.

— Ojciec pieniędzy potrzebował i rewersa wystawiał — odpowiedział Władysław tonem, za pomocą którego wyraził, że inaczej być nie mogło.

— No? — rzuciła Helena.

Władysław znów czytać zaczął:

— Złotnikowi w Budzie za koronę królewską, za berło i jabłko...

Słowa te wprawiły Helenę w osłupienie. Oglądała się. Powiodła oczami po dzieciach, po księdzu, zatrzymała wzrok na Stefanie, głowę do góry wzniosła, ręce na pierśsiach skrzyżowała i po chwili powtórzyła:

— Za koronę królewską, za berło i jabłko. Czy... hm? Czy?... Czy ty nie król czasem?

— Hrm... — odchrząknął Stefan przeciągle.

— Ty król może? — zapytała z przyciskiem.

— Nie jeszcze.

Odpowiedź ta, która się Stefanowi niechcący w tej formie z ust wysnęła, stała się mu wielce przydatną.

— A taż korona królewska, to berło i to jabłko?

— To... hm... na królewskość zadatek. Ta korona, to berło i to jabłko przeznaczone były dla pewnego wielkiego kniazia, który się koronacji nie doczekał, zeszedłszy ze świata tego pierwszej, nim go korona doszła...

— I przy tobie została?

— A! — rzucił Stefan głową.

— Zapłaciłeś za nią przecie — indagowała Helena.

— Zapłaciłem... tak wypadło... I nie tylko zapłacił, ale ja sam wioź, wysłany przez cesarza nieboszczyka jako wielki poseł nadzwyczajny do wielkiego kniazia owego... I była z powodu tego historia wielka, która o włos wielkiej nie sprowadziła wojny. Wiecie, Polacy?... slyszeliście co o nich?

Potwierdzenie było na zapytanie to odpowiedzią.

— Ej, co to za naród! Husyci czescy i Polacy za jedno u cesarzów idą... Owóż Polacy, z racji sprawy o tę koronę, arcybiskupa pewnego... arcybiskupa magdeburskiego — rzekł, skinieniem porozumienia zwracając ku ojcu Benonowi, który mu skinieniem odpowiednim odpowiedział — męczyli, ale nie domęczyli i byliby męczyli i mnie, gdybym był siebie i korony nie uratował. Przy

okazji tej czterech znacznych potopiło się rycerzy i jam się mało nie utopił. Alem koronę od Polaków uratował i to mi w cesarstwie zakarbowano... o...

Dokończył gęstem znaczącym.

Władysław brwi jeno podniósł, odchrząknął i począł czytać dalej, wygłaszając pozycję po pozycji, z których każda odnosiła się do kwoty mniejszej lub większej. Przy jednej ze znaczniejszych Helena krzyknęła:

— Jezus! Maria!

— Ha! — odparł Stefan. — Trudno... Na dworze cesarskim nie żyje się za miedziane perpery. Dwór cesarski, rzecz wiadoma... nie możnaż było dopuścić, ażeby cesarz z głodu umierał.

— Toś ty te długie zaciągał nie na siebie?

— Ale gdzie tam! Na siebie? Nie... na cesarza...

— Więc ci je zwróca?

— Kto? Ba... gdyby cesarz Zygmunt żył, to by mi wszystkie długie zwrócił, nie pieniędzmi jednak, a zaszczytami. Cesarz nieboszczyk zrobił mnie od razu kawalerem orderu smoka; zrobił mnie potem mistrzem orderu smoka; zrobił mnie potem wielkim mistrzem orderu smoka; zrobiłby mnie był hercogiem chumskim i podniósłby województwo do stopnia hercogtum... hercogtum... — powtórzył — ale (tu westchnął) śmierć go zabrała. Hercogtum, po hercogtum następuje kenigrajch, to znaczy królestwo. Oto — tu palcem w powietrze pchnął — racja, dla której ja długie za cesarza płacił. Miałem wielką myśl. Gdyby cesarz Zygmunt był nie umarł, byłbym po śmierci stryja powrócił hercogiem. Stało się inaczej... wina nie moja. I tak jednak nie powracam z gołymi rękoma.

Wyrazy ostatnie obwiewał ton zagadkowością nabrzmiały. Helena spojrzała na męża spojrzeniem długim, w którym się rozrzewnienie przebijało, i w milczeniu wysłuchiwała ciągu dalszego rejestru wierzących. Rezul-

tat czytania okazał się smutny. Suma ogólna długów redukowałą spadek do rozmiarów cale skromnych. Helena westchnęła. Zapanowało milczenie, które ona prze-rwała zapytaniem zadanyą z nieśmiałością niejaka:

— A czy nie można by... czyby nie można... tak jakoś zrobić, ażeby tego nie zapłacić?

Ojciec Benon głową pokiwał i odrzekł:

— Pieniądze w ręku Dubrownika.

— Ach, Dubrownik — wytchnęła z wysiłkiem. — Co ja tu przebyła! Dał mi się on we znaki!... i teraz, teraz kiedym myślała, że mu się odplacić będzie można, teraz nawet w poprzek drogi staje. Ha! Tobie, Boże (oczy do góry wzniosła), ofiaruję cierpienia moje...

Coś jeszcze mówić zamierzała, przypomniała sobie jednak o „rękach niegołych“, o których Stefan wspom-niał, i dodała:

— Przenosimy się z Dubrownika do Krupaca.

Powiedzenie to było pod adresem dzieci i zakonnika. Ten ostatni odezwał się:

— Przejeżdżałem niedawno mimo jeziora. Zamek w gruzach.

— To z gruzów go dźwigniemy. Wolę gruzy gdziekol-wiek aniżeli pałac w Dubrowniku. Jam tu tyle wycier-piała! Mój Boże!

Po niejakiemś czasie ksiądz wyszedł i nastąpiło pędze-nie czasu, które z kolei sprowadziło w ciągu dnia sam na sam pomiędzy małżonkiem a małżonką. Helena przystą-piła wnet do badania rąk Stefana. Brała się do tego umie-jętnie, rachowała się z wyrazami, zachodziła z daleka, krążyła, nie potrzebowała atoli ostrożności tyłu, Stefan bowiem, jak tylko o kwestię potrafiła, wypowiedział jej wszystko, co stanowiło ośnowę widoków jego. Pokazał jej najprzód order, podając je za fundament, następnie dyplomy, opowiadając treść onych; pokazał jej doku-

ment poręczający wdzięczność potomności przekazaną, wystawiony przez księcia Fryderyka, syna Ernesta Żelaznego; pokazał jej w końcu traktat zaczepno-odporny zawarty z grafem Hermanem.

Zrozumiała Helena, że wśród wszystkich dokumentów, jakie mąż przed nią rozkładał, ten tylko ostatni posiadał wartość realną, nie sam przez się jednak, a przez stosowne nałamanie okoliczności do onego. Zamyśliła się. Stefan coś prawił, ona na to najmniejszej nie zwracała uwagi. Po głowie jej snuły się kombinacje różne, z których, konkluzja niby, następujące wyciągnęła powiedzenie:

— Wszystko polega na śmierci starego króla.

Pojęła sytuację.

SEN CUDOWNY

To co mularze, o których wspominaliśmy w pierwszym tomie niniejszego rozdziale, o śnie wieszczym Heleny mówili, było prawdą rzetelną. Czy zaś Sandał pokazał się jej we śnie w rzeczy samej, to kwestia inna. Z wieku owego — i z poprzednich, i z późniejszych — kroniki tak są snami i przepowiedniami padziane, że mimowolnie chce się podania tego rodzaju wszystkie w czambuł do dziedziny fantazji odesłać. Że jednak to, co się zdarzyć musi, zdarza się i bez snu, przeto wiedziała Helena na pewne, że Twrtko II umrze. Wiedziała przy tym, że śmierć jego ważną jest dla jej męża, ważną jednak o tyle, o ile Stefan skorzystać z niej potrafi. Snuły się też jej po głowie różne różności, pomiędzy którymi, z natrętnością niejśką powracała często ewentualność następująca: król umiera, Stefan, w chwili tej znajdując się w Sutysku, daje znać hrabiemu Hermanowi, ten śpieszy, przybywa i znajduje — co? — miejsce zajęte. Psota owa, grafowi jakimś wyrządzona, podobala się jej niesłuchanie. Z myślą tą nosiła się, przerabiając ją na sposoby różne, z tych zaś wypadło zawsze, że Stefan znajdować się powinien nie w Krupacu, a w Sutysku. Zachodziła tu atoli trudność jedna. Na Stefana po powrocie jego zwały się ogromem całym sprawy województwa, które załatwiać

musiał, obok tego zważyło się na niego odbudowanie z gruntu zamku krupackiego. Dla spraw wypadło mu odbyć podróży kilka, z których jedna, mianowicie do Mileszewa, gdzie spoczywały zwłoki świętego Sawy, przedstawiała się jako obowiązek, od którego nie wolno było uchylać się nowemu wojewodzie pod utratą popularności. Była to powinność, że się tak wyrazimy, sztandarowa względem patrona narodu serbskiego, którego powaga osłaniała Chum, a to tym bardziej, że województwo chumskie uważało się jako odpowiedzialna grobu świętego straż. Dopełnienie powinności tej zabrało czasu niemało. Dozorowanie przeto odbudowania zamku wzięła na siebie Helena. W tym celu przeniosła się na mieszkanie do zamku starego murowanego, do Niksicza, jako do miejscowości od Krupaca najbliższej. Dozorowała, nagliła — zamek nowy z ziemi wyrastał niby, a nad jeziorem, wedle przepowiedni Wasy, zakładała się osada nowa, w której szałaszy zmieniały się w baraki, baraki w domki, domki w domy, wywołane potrzebą mieszkania nie pod gołym niebem dla licznej służby, dla oficjalistów, dla urzędników, dla dygnitarzy wojewódzkich, obok nich zaś dla przekupniów, handlarzy i rzemieślników. Wysnuwało się to wszystko jedno z drugiego, aż doszło do tego, że wojewoda z rodziną do zamku się wprowadził, zaznaczając wprowadziny uroczystością poświęcenia nowych murów, do której wezwano ojca Benona w licznej asystencji sług kościoła. Świątobliwy zakonnik zdziwił się, ujrawszy osadę na miejscu, które tak niedawno pustym było.

— Niech będzie Imię Pańskie pochwalone — rzekł ukazując Stefanowi z komnaty zamkowej przeciwległe jeziora wybrzeże. — Czy to ma pozostać tak?

— No, a jakże? — zapytał Stefan.

— Kto z Bogiem, Bóg z nim.

— Poświęciliście, ojcze wielebny, zamek...

— Chrystus powiedział: „Gdzie was trzech zbierze się w imię moje, tam i ja między wami będę“. A tam — tu rękę wyciągnął — zbiera się ich więcej aniżeli trzech i stawiają domy dla siebie: czy o domu dla Boga myśli kto?

— Ja myślę! — zawołał Stefan. — O, myślę! Na zamek musiałem nowy nałożyć podatek. Nałożę jeszcze nowszy i stanie kościół.

Wydał stosowne rozkazy, poczynił odpowiednie rozporządzenia i budowla kościoła rozpoczęła się wnet po ukończeniu zamku.

Helenie wypadło to nie po myśli. Ćwiekiem w głowie tkwiła jej potrzeba obecności Stefana w Sutysku, obecności, której przeszkadzały: sprawy i budowle. Budowla kościoła wywołała sprawę podatku nowego, dla której nie mógł wojewoda województwa odjeżdżać. Sprawa ta nie załatwiała się z szybkością taką, jakiej domagała się niecierpliwość jej, na dnie której spoczywała obawa, ażeby Twrtko nie umarł za wcześnie. Irytowała ją powolność męża, jego ociężałość, nad którą zastanawiając się spostrzegła, że pochodzi ona z objadania się i opijania zbytęznego. Po obiedzie każdym i po wieczerzy każdej Stefan stawał się do niczego. Spostrzegła jeszcze coś, to mianowicie, że Stefan lubił za dziewczkami oczami strzelać. Nie przepuścił żadnej, ażeby jej nie obejrzeć od stóp do głowy i nie pomedytować nad widzianą. Helena nie mogła się go o takie czepiać rzeczy, z obawy popsucia sobie interesów ważniejszych. Nie była to, mówiliśmy w tomie pierwszym, niewiasta pospolita. Umiała, gdy potrzeba wypadła, i nie słyszeć, i nie widzieć, i pomimo że jej najmniejszej nie sprawiał przyjemności widok małżonka trawiącego czas częścią na jedzeniu i na wydychiwaniu jedzenia, częścią na podglądaniu obywaterek województwa, nie zważała na to, do pośpiechu robotników nagliła i dwa ważne punkta zdobyła.

— Ach! mój ty Stefanie — zaczęła małżonka razu pewnego. — Czy ty myślisz sam tak o wszystko się kłopotać?

— Cóż chcesz! Mamże się spuścić na kogo?

— Znalazłoby się.

— Na Władysława? niebezpiecznie. Aniśmy się spostrzegli, jakbyśmy na łaskę syna przeszli!

— Wielka prawda!

— Otóż widzisz. Muszę sam wglądać we wszystko, bo się spuścić nie mam na kogo.

— Na Wasę Tomicza.

— Boga mi! — zawołał Stefan tonem takim, jakby wynalazek uczynił. — Anim o Wasie pomyślał.

Został Wasa ministrem dyrygującym. Stefan z gustem zdał na niego sprawy dotyczące się zarządu wewnętrznego, znalazłszy w nim owego egzekutora energicznego i sprężystego, o jakiego zazwyczaj w zarządach wszelkiego rodzaju chodzi. Bardzo był rad temu, niezmiernie się cieszył swobodą, jaką w ten sposób uzyskał.

Helena, zdobywszy ten punkt, nie od razu przystąpiła do drugiego. Upłynęło dni kilka, kilkanaście może, gdy nocy pewnej, śpiąc w najlepsze, usłyszał Stefan nagle krzyki, które go zbudziły. Zerwał się z pościeli. Zmiarkować się zrazu nie mógł, co się stało, wprędce atoli poznał, iż autorką krzyków jest Helena, która się również zerwała, usiadła i dysząc ucinkowo, rzucała wyrazy:

— On... och!... niby żywy... Boże zlituj się... On sam...

— Co tobie, Heleno — zapytał Stefan. — Przestraszyłaś mnie.

— I ja się przestraszyła.

— Czegóż to?

— Bom widziała... widziała...

— Kogo?

— Wojewodę nieboszczyka... stryja Sandała...

Stefan z natury bojaźliwym nie był, po ciemku jednak straszno mu się zrobiło.

— Widziałam go niby żywego.

— W Imię Ojca i Syna — przeżegnał się Stefan.

I Helena się przeżegnała.

Mąż jej o nic nie pytał, ona nic nie mówiła, sen jednak odleciał od powiek i jego, i jej i gdy na dzień szarzeć poczynąło, Stefan zagabnął żonę:

— Śpisz?

— Nie... och! — westchnęła. — W oczach mi stoi.

— Śniło ci się.

— Sny nie bywają tak wyraźne. Przyszedł, stanął i mówił.

— Mówił? a!... cóż przecie?

— Mówił: Heleno, powiedz Stefanowi ode mnie, że im prędzej kościół w Krupacu się skończy, tym prędzej król Twrtko umrze. Ta budowla — to życie królewskie.

— Hm — mruknął Stefan. — Więcej nic?

— Powiedział jeszcze: niech Stefan słowa te na rozwagę weźmie.

— Na rozwagę? — powtórzył Stefan w pościeli się wyciągając. — Cóż tu do rozważania jest? Hm?... — cędził wyrazy, co oznaczało, że się namyślał. — Stryjowi, będącemu na tamtym świecie i wiedzącemu o wszystkim, łatwo gadać. Cóż ja? Cóż myślisz ty?

— Jam się straszliwie przelekła. Jeszczem ledwo żywa i nie myślę nic...

— Jeżeli nie myślisz, to coś się tobie zdaje. Cóż więc zdaje się tobie?

— Mně się zdaje, że trzeba z robotą kościoła śpieszyć i...

— I co?

— I gdy na ukończeniu będzie, do Sutyska jechać.

— No?

— I nie ruszać się stamtąd, aż król umrze. Bo co to... Bo co tam!.. Żeby jak to tobie, nie komu innemu wypadła, staremu królowi powieki zamknąć. Tyś ban i wojewoda. Króla nie stanie, ty staniesz na miejscu jego.

— Ba, a graf Herman.

— Nie mówię ja, żebyś ty stanął jako król.

— Mnie by się tego właśnie chciało.

Helena uczuła w sobie ochotę rzucenia się na męża i porwania go w potężne swoje uściski. Powstrzymała się jednak, westchnęła i odparła:

— Toć tego nie wysiedzisz w Krupacu.

— Prawda twoja. Boga mi, prawda. Toć to nie dla czego innego zapewne stryj nieboszczyk pokazał się tobie. Czemu jednak nie pokazał się mnie?

— Czy my wiedzieć możemy, co i dlaczego na tamtym dzieje się świecie!

— Ano... Kiedy więc na tym stańło, to trzeba z robotą kościoła pędzić i gdy na ukończeniu będzie, do Sutyska ruszać. Ale pojedziesz chyba i ty.

— Jaz tam po co?

— A może się stryj nieboszczyk znów pokaże.

— A! — jęknęła. — Nie chciałabym, żeby się to powtórzyło, bobym chyba ze strachu umarła.

Właśnie to był powód, dla którego Stefan żonę ciągnął. Wolał, ażeby ze strachu umierała ona, aniżeli by to na niego spaść miało. Perswadował więc jej:

— I... co tam! Ze strachu nie umiera się koniecznie. Oto, jakem wpadł z koroną do wody, toż dopiero się strachu najadł! Jednakże nie umarłem. Cóż więc, że się nieboszczyk pokaże! Tyle by też na świecie biedy było.

Helena wielce zadowolona była z obrotu, jaki sprawa wzięła. Uwalniało ją to od zdobywania punktu trzeciego, którym właśnie było to, że chciała jechać sama, ażeby służyć mężowi za natchnienie. Nie okazywała atoli zado-

wolenia po sobie. Przeciwnie. Uważała za stosowne trudności stawiać.

— Jeżeli chcesz — odrzekła — to cóż mam robić! Ale ja ci zawadzać będę.

— Il... nie!... nie bardzo...

— Bo ja nie mogę jechać sama.

— No? — zapytał Stefan tonem zdziwienia lekkiego.

— Nie mogę zostawić Katarzyny.

— Zabierzemy ją ze sobą. Niech się dziewczynka przetrzęsie i przewietrzy.

W ten sposób dopięła Helena, co dopięć zamierzyła. Do kościoła wzięto się z forsą ogromną. Stefan osobiście naglącał i naglił, dał pięć perperów w złocie mularzowi, co piosnkę stosowną ułożył, i przyrzekł sowitą gratyfikację w razie, jeżeli budowla ukończoną zostanie spieszenie. Ponieważ pora sprzyjała, więc się budynek szybko zbliżał ku końcowi i kiedy już dach jeno do pobicia pozostawał, z Krupaca do Sutyska wyruszyła duża kawalkata, pełna koni, mułów i osłów, dźwigających na grzbietach juki i ludzi. Kawalkata dzieliła się na części. Część jedną stanowiła drużyna zbrojna — militarny wojewody dwór, na czele którego jechał Stefan. Część druga składała się z niewiast, siedzących na koniu nie jak écuyère'ki nowożytnie, ale jak Pan Bóg przykazał: wśród nich okazałością brylowała wojewodzina, wdziękiem wojewodzianka. Helenie wąsów jeno brakło — mogłaby wdziać zbroję i uchodzić za rycerza nieułamka; Katarzyna oczy zrywała pa-trzącym. Z synów najmłodszy jeno rodzicom towarzyszył. Konie, muły i osły jeszcze wchodziły do części trzeciej, dźwigając na sobie, oprócz pak, sakw i zwojów, namioty, przybory kuchenne i wiktuały. Trębacze na przedzie otwierali drogę. Dużo służby szło pieszo. Znać było, że jedzie wielki pan, najpierwszy pomiędzy właścielinami, wielki wojewoda, o którym wiadomość trębacze podawali gó-

rom i dolinom i którego po drodze gminy własnym podejmowały kosztem. Chciał zajechać do Miłoszicza, ten atoli za dużo jadł, ażeby mógł długo żyć. Kawalkata przeto, nie zatrzymując się w drodze, jak tylko o tyle, o ile tego popasy i noclegi wymagały, ciągnęła wprost do Sutyska i dociągnęła. Wojewoda, wojewodzina, wojewodzie i wojewodzianka ulokowani zostali w domu jednego z mieszczan, z którego, dniem przed przybyciem ich, wyrzucono właściciela z rodziną.

Stary król uwiadomionym był naprzód o przyjeździe Stefana i o postanowieniu jego zabawienia czas jakiś w stolicy. Równocześnie doszło go uwiadomienie inne jeszcze, tyżące się również przyjazdu osobistości ważnej. Przybywał wprost z Rzymu legat stolicy apostolskiej. Twrtko na dwa te zawiadomienia, z dwóch przeciwnych przychodzące stron, głową pokiwał, uśmiechnął się, westchnął i powiedział:

— Krucy ciągną padło wietrząc. Będzie tu chyba padło niezabawem.

Niemniej przeto uprzejmym się okazał dla gościa tak jednego, jak drugiego; Stefanowi udzielił posłuchania oddzielnie, mówił z nim długo i łaskawie i zapowiedział mu, że go odwiedzi w celu, jak się wyraził, popatrzenia się na niewiasty jego.

— Masz, słyszę, wojewodo, córkę liepoticę.

— Niczego, miłościwy królu...

— Nie schowasz jej przede mną?

Stefan uśmiechem na to zapytanie odpowiedział.

— Nie masz się lękać czego — mówił król żartobliwie. — Ja, niestety, już tylko patrzeć na dziewczynki mogę. Oj-hoj! Minęły lata młode. minęły i nie powrócą. Jak się młodym było, to się żyło, teraz zaś... dożywa się. Śmierć w oczy zagłada.

W Sutysku opadły Stefana pochlebców roje. Niejednemu się wydało, że przybycie jego nie jest bez kozery,

a chociażby kozera ową nie dotykała punktu następstwa tronu, to w razie każdym Stefan był to potentat, najwyższy w państwie dostojnik, wielikasz — warto mu było kłaniać się.

Król odwiedził go w trzecim po audiencji dniu. Królowi, oprócz dworzan i warty honorowej, towarzyszył mąż duchowny — brunet, suchy, wzrostu niewielkiego.

Jakież było zdziwienie a zarazem i uradowanie Stefana, gdy w mężu owym poznał dawnego znajomego swego, prałata Tomasini!

O mało mu się na szyję nie rzucił i tylko od tego powstrzymała go sztywna i powagi pełna postać męża.

Stefan grubo chrząknął i po wojewodzińsku się nadał, a powitawszy króla, powitał z nie ubliżającym godności własnej uszanowaniem kapłana, w którym po oznakach rozpoznał biskupa. Zrozumiał wnet powody sztywności. Co infuła, to nie biret. Podwoił uszanowanie i na wstępie poprosił o błogosławieństwo dla żony i córki, które wyszedłszy korną przybrały postawę wobec króla i infułata. Twtрко uprzejmie przemawiał do jednej i drugiej, przemawiał jednak niby do ściany. Odpowiadały jeżeli nie głów pochyleńiami, to chrząkaniem. Pochwalił Katarzynę.

— Wartaś — rzekł — najpierwszego w Bośni junaka.

Dziewczyna pokraśniała jako jagoda.

— Gdybym miał syna — westchnął — ot by Chraniczanka na tronie siedziała.

Oczy spuściła i dłubać palcami we frędzlach od paska poczęła.

— Gdybym nie był taki zgrzybiały, to wnet bym się zawinął około wyswatania cię, liepa diewojko, za królewicza jakiego.

— Królewicze rzadcy teraz na świecie — wtrącił Stefan.

— Znalazłby się tam jaki dla dziewczynki twojej, wojewodo — odparł król. — Ot, gdzieś się Tomasz Ostoicz podziewa.

Słowom ostatnim król nadał akcent żartobliwy. Żart ten jednak dziwnie jakoś w ustach jego zabrzmiał i wywołał krzyżowanie spojrzeń pomiędzy Heleną a Stefanem, którzy, zdawało się, jakby jedno w oczach drugiego tłumaczenia zagadki szukało.

Niewiasty odeszły. Stefan gości swoich za stołem posadził. Na stół wystąpiły puchary i wino słodkie.

Po pierwszym hańsieniu rozwiązał się biskupowi język.

— Znamy się — rzekł do Stefana. — Znajdowałeś się, wojewodo dostojny, jeżeli mnie pamięć nie myli, w poczcie eminencji jego kardynała Juliana?

— Nie inaczej, eminencjo.

— I jeżeli się nie mylę, uratowałeś życie księżęciu styryjskiemu?

— Tak jest, eminencjo.

— Sławna to była wojna, ale nieszczęśliwa. Nie zdały się na nic cuda waleczności przy grzesznej pobłażliwości, skutkiem której wyprawę rozbił Pan, jak rozbija okręt, na którym plynie grzesznik zatwardziały. Pogrom ten bowiem był nie od czeskich kacerzy, a od Boga. Wszak z kacerzami wojsko krzyżowe nie starło się nawet? — zapytał Stefana.

— Wcale nie — odpowiedział tenże. — Nie widzieliśmy ich nawet.

— Nie oni przeto, jak to w pysze swojej głoszą, zwycięstwo odnieśli.

— Oni później dopiero tłukli naszych cepami.

— Nie była już to bitwa żadna.

— A nie... Zmiataliśmy, a oni na przelaj zabiegali i młócili. Ja sam oberwałem i gdyby nie koń dobry podę mną, to byłbym nie wyszedł cało.

— Grunt w tym, że bitwy nie było wcale. Zatem krzyżowców nie wojsko zwyciężyło, a Duch Boży. Na okręcie naszym, jak się później pokazało, znajdowało się kilku zatwardziałych grzeszników, kilka owiec parszywych i stąd poszło nieszczęście całe. Pan w gniewie wzbudził burzę i ta rozmiotła rycerstwo najpiękniejsze i najwaleczniejsze. O! bo przeciwko Panu nie ostoi się nic. Stąd nauka dla was, mości królu, i dla was, mości wojewodo... — dodał z gestem znaczącym.

— Robię, co mogę — rzekł król.

— Nie plenicie kąkolu na powierzonym uprawie waszej polu.

— Plenię... znów wyrasta.

— Tyczy się to was szczególnie, mości wojewodo.

Stefan ramionami ścisnął.

— Czy wiecie, ilu w owym wojsku krzyżowym, na którego rozbicie patrzyliście, znajdowało się grzeszników zatwardziałych?

— Nie wiem, Boga mi — odparł Stefan.

— Dwóch tylko... dwóch — rzekł biskup z przyciskiem, wyciągając dwa palce na stół. — Tylko dwóch... znamy ich nazwiska i imiona i oto, co Pan sprawił. U was zaś, mości wojewodo, znajduje się więcej aniżeli dwóch, a macie tam i kozłów, hersztów, co do zgorszenia drogę pokazują.

— Boga mi — odrzekł Stefan. — Co prawda to od czasu, jak zarząd nad województwem objąłem, miałem głowę a to sprawami, a to pielgrzymką do relikwii świętego Sawy, a to restaurowaniem zamku, a to stawianiem kościoła tak zaprzątniętą, że nie mógł, że nie wprost czasu nie miał wglądać w te sprawy, o których eminencja wasza wspomina.

— A przecież... — podchwycił legat — sąż od tych sprawy jakieś ważniejsze? Gospodarz dobry przede wszystkim oczyszcza... oczyszcza pole z chwastów, oczyszcza

trzody ze sztuk sparszywiałych, oczyszcza czeladź z trędowatych, oczyszcza, inaczej bowiem cały trud jego zmarnieje, wszelkie jego nadzieje wniwecz się obróć. Baczcież i wy, mości wojewodo, ażebyście nie wyszli na dziedzictwie waszym jak gospodarz nie oczyszczający. Nieboszczyk, powiedzieć należy, zanieczyścił województwo chumskie, świętego Sawy dzielnicę. O!

Głowę wstrząsnął i przez nos przeciągle westchnął.

— Będę się starał... — bąkał Stefan pod nosem.

— Województwo chumskie, świętego Sawy dzielnica, stało się dzięki występnej nieboszczyka pobłażliwości siedliskiem hersztów zgorszenia, twierdzą czarta.

— Tak dalece może i nie... — zaprotestował Stefan.

— Boście nie wglądali, jak sami powiadacie, pomimo że was samych, mości wojewodo, dotyka to złe, jakie nieboszczyk stryj zrządził.

Wzrok Stefana wyraził zdziwienie i zapytanie.

— A Pietar Stepkowicz? a zapis?

— Prawda... Jak wy, eminencjo, wiecie o wszystkim!

— My o wszystkim wiemy, czuwając opatrnie z daleka nad trzodą ludzką. Powiadam wam przeto zaprawdę: chcecie ocaleć, nie bądźcie jak wodzowie wyprawy krzyżowej, którzy, znając dwóch zatwardziałych grzeszników, nie postąpili z nimi wedle zakonu, ale, macie siekierę w ręku, przyłóżcie ją do pnia nie zwlekając i nie odkładając od dnia do dnia, ażeby nie było za późno.

PIĘKNOŚĆ

Musimy uczynić duży skok w tył, celem wyjaśnienia niektórych opowiadania niniejszego punktów, postawionych w cieniu.

Przeniesiem się do szkoły mistrza Cyryla Rubercjusza w epoce owej, w której Helena, wprowadziwszy do niej syna najstarszego i postawiwszy się względem niego w roli protektorki, o mało sama nie padła ofiarą porządku szkolnego. Szczęściem zrejterowała w czas i zażegnała burzę. Drugi raz nie próbowała wyzywania gramatyka i studentów i przeminęło to bez następstw dla osoby jej. Przeminać atoli w zupełnej beznastępności awantura podobna nie mogła. Chybaby studenci studentami nie byli. W pierwszych chwilach, czy to wskutek baczności mistrza, czy to wskutek nadzwyczajności zdarzenia, czyli też wskutek potulności nienaturalnej, jaka się wyrobiła w zahukanym Władysławie, dano mu spokój przez ciąg tygodni kilku, tak że chłopczyzna uzyskał czas do ostrzelania się ze zwyczajami, obyczajami i porządkami. Co gdy nastąpiło, zagrała w nim krew. Podniósł uszy, zuchwalić się począł i przybrał ton imponujący, który wywołał pewien rodzaj reakcji w usposobieniach względem jego osoby w gronie tej gromadki małoletnich obywateli.

— Kiedy ty tak, ano to... — odezwał się głos powszechny. — Ty wojewodzic... damyż my ci tu, wojewodzicu!

Często głos podobny odzywa się niesłusznie. Jedna ze współczesnych znanych znakomitości nie mogła szkół kończyć z powodu nieporozumienia z kolegami. W odniesieniu do małego Władysława, którego matka w domu bynajmniej na ton porozumienia nie nastrajała, zachodziła racja niejaka. Chłopczyna czuł się istotą wyższą wśród mieszczuchów i z góry począł spoglądać na dzieci rzemieślników i kupców, nie uwzględniając tego nawet, że ojcowie ich zajmowali poważne stanowiska rajców i kneziów. Helena dygnitarzy tych za boże poszycie nie miała. Opinia jej przebijająca się we Władysławie i ściągnęła nań starć kilka z kolegami. Poczubił się raz z tym, znów z innym, doznał razy parę niesprawiedliwości ze strony audytora i cenzora, poskarżył się, stał się powodem kary wymierzonej na osobach paru powag szkolnych i ściągnął na siebie niechęć ogólną, która czekała jeno na porę sposobną celem objawienia się. Porę sposobną nastęrczyła pierwsza okazja. Władysław pobił się z jednym; tego jednego stronę wzięło kilkunastu i napadli na wojewodzica z pięściami, z kulakami, z liniami i z różnymi innymi narzędziami, za pomocą których uderzać i ból sprawiać można. I Bóg wie na czym by się to było skończyło, gdyby nie szybka a energiczna interwencja, sprawcami której byli dwaj młodzi ludzie niedawno do szkoły przybyli. Wydarli oni Władysława z rąk rozjuszonych gromadki, przez co i uratowali go na razie, i stali się stałymi jego obrońcami na przyszłość. Chłopczyna w przygodzie każdej pod ich uciekał się skrzydła, aż taki ta sprawa obrót wzięła, że pomiędzy stronami przyszło do porozumienia. Rezultat ten sprowadzili dwaj młodzi ludzie, którzy bynajmniej strony młodego Chranicza nie brali, a tylko ujęli się za słabym i zagrożonym i następnie tak jemu, jak przeciwnikom jego wyperswadowali, że nie bić się, a mi-

łować wzajemnie powinni. Perswazja ta wychodziła z punktu patareńskiego, stawiając spólność Rodzica niebieskiego i konkludując braterstwem. Zdawało się, jakoby Pietar sam przemawiał przez usta młodzieńców, którzy roztrząsając sprawę dowiedzieli się o nazwisku obwinionego o pychę.

— Tyś Władysław Chranicz... czy nie z Krupaca? — zapytał jeden z nich.

— Tak jest, z Krupaca — odpowiedział chłopczyzna.

— A pamiętasz ty? Nie, pamiętać nie możesz, boś miał wówczas dwa miesiące. Ale możesz co słyszał o Tomowym Skicie?

— Nie, Boga mi...

— A o Stepkowiczu?

— O Stepkowiczu słyszałem... heretyk... nasz krewniak.

— No, tak — z uśmiechem odpowiedział jeden z młodzianów. — Myśmy synowie jego, ja Radiwój, a to Radosław.

— O!... o Radiwoju i Radosławie słyszałem, że dziko rosną.

— My to właśnie jesteśmy.

— To wy krewniacy moi.

— Krewniacyśmy tobie, a bracia wszystkim wedle Boga, który jest ojcem naszym wspólnym.

Władysław od chwili tej garnał się do nich z ufnością spotęgowaną, znajdując u nich nie tylko zasłonę, nie tylko obrok moralny, ale oraz i pomoc naukową. Stepkowicze młodzi przybyli do szkoły wybornie przysposobieni; od razu do najwyższej wstąpili klasy, a i w tej nauki pobierane przez pół zaledwie obcymi im były, tak że pozostawało im dużo czasu do udzielania się kolegom. Udzielali się z ochotą wielką, zachęcali leniwych, popra-

wiali zepsutych i w niedługim czasie wywarli zbawienny na szkołę wpływ, który samego Rubercjusza zafrapował zniewalając go do włożenia na nich obowiązków najważniejszych, do udzielenia im władzy najobszerniejszej i do przyozdobienia ich godnościami najwyższymi. Stepkowicze zasłynęli wśród młodzieży uczącej się w szkole, ale wśród niej tylko, albowiem szkoła dawniejsza stanowiła świat oddzielny, w sobie zamknięty, murem obwiedziony i wszelkie ze światem zewnętrznym węzły targający. Było to następstwem naturalnym klasztornego szkół pochodzenia. Otoczono je obłokiem tajemniczości, którą przejmowali się chłopcy od pierwszego niemal progu szkolnego przekroczenia, nie przypuszczając do takowej starszych, rodziców mianowicie. „Choćby cię palono i smażono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole“.

Reguła ta, na wylot klasztorna, przestrzegała się szczególnie w wiekach średnich, w których duchowieństwo wyłącznie nad szkołą panowało, i rozciągała się do rzadkich szkół świeckich, zaprowadzonych tu i owądzie sposobem kontrabandy, a zatem mających tym większą w przestrzeganiu reguły tej potrzebę. Ten to był powód, dla którego Helena długo, długo nic o Stepkowiczach od syna nie słyszała, pomimo że się go często o nich dopytywała.

— I cóż tam Radosław i Radiwój?

— A są.

— Widujesz ich?

— Widuję.

— Uczą się dobrze?

— At...

Takie to rozmowy prowadził syn z matką o tym, co się dzieje w szkole.

Szkolna jawność jest zdobyczą czasów najnowszych.

Helena wiedziała, że synowie Pietra i Gruby mieszkają u jakiegoś Sretka Cwetkowicza, patarenina zapewne,

jak jej się wydawało: nie bardzo więc gniewała ją obojętność, z jaką o nich Władysław się odzywał, nie życzyła sobie bowiem patarenskiej dla niego zarazy, a to nie dlatego, ażeby sama zarazę ową na serio brała, ale dlatego, że... jakośby to nie do twarzy Chraniczowi, wojewodzie, z patarenizmem było. Co by na to ludzie powiedzieli? Rada była temu, że z tej racji nie ma ze strony syna dystrakcji w sprawie zapisu, który całą pochłaniał jej uwagę. Poszukując Fioriniego, odszukała go nareszcie, ale otoczonego nieprzystępnością, którą długo na próżno przełamać usiłowała. Szukała pretekstów, które by jej pozwoliły zbliżyć się do archiwisty. Do biura dostać się nie mogła; do domu — pod jakim pozorem? Rozpytyując pomiędzy znajomymi w mieście, dowiadywała się o dziwactwach garbusa, które jej bynajmniej przystępu do niego nie ułatwiały. Pomimo to raz zablądziła niby, weszła do domu, posiedziała z Kujawą, widziała Marę i odeszła z niczym, nie domyślając się, że za ścianą istnieje pretekst zaznajomienia się z rodziną Fioriniego, jakby dla niej umyślnie stworzony. Stepkowiczów młodych nie знаła i zabierania z nimi znajomości potrzeby nie czuła. Ba — gdyby wiedziała, że mieszkając u Sretka Cwetkowicza, mieszkają u Fortunia Fioriniego!

Rzecz ta jednak nie mogła się przed nią utaić do końca.

Razu pewnego Władysław, w drugim czy trzecim roku pobytu swego w szkole, zabawił za domem tak długo, że to w niepokój Helenę wprawiło. Rozesłała służebnych na miasto, do portu, nad morze — szukali, nie znaleźli. Niepokój jej wzrastał i kiedy wzrósł do stopnia bardzo wysokiego, z rozpaczą blisko graniczącego, pojawił się Władysław.

— Ach! ty... siaki owaki — wpadła matka na niego i zwymyślawszy od ostatnich, zapytała: — Gdzieś był?

— Byłem w szkole.

— A potem? Szkoła się skończyła od dawna!

Chłopiec milczał.

— Gdzieś był? W karczmie może?

— Nie, majko! — odpowiedział z akcentem oburzenia.

— Gdzież więc? Ha!... — dodała widząc, że nie odpowiada — będę ja od dziś dnia Gruję posyłała, ażeby ciebie ze szkoły wprost do domu przyprowadzała.

Zagrożony środkiem, który by go na wstyd niemały wobec kolegów naraził, Władysław przyznał się, że zabił w domu Fortunia Fiorini.

— Fortunia Fiorini! — zawołała w zdumieniu.

Chłopiec potwierdził, zdziwiony matki zdumieniem.

— Tyś tam po co?

— Ot, tak.

— Bawileś tak długo!

— Zagadaliśmy się.

— Z kim? — zdziwiona mocniej jeszcze, zapytała Helena — z Fiorinim?

— Nie. Ja nie znam go wcale.

— Z Kujawą więc?

— Nie.

— Z dziewczyną chyba?

— Ale nie.

— No! To jak widzę, ty kłamiesz. Tam z nikim więcej do gadania nie ma.

— Ze Stepkowiczami — odparł chłopak, tknięty zarzutem kłamstwa.

Nowe dla Heleny zdumienie.

— Z Radosławem i Radiwojem?

— Z Radosławem i Radiwojem.

— Po cóż oni do Fioriniego chodzą?

— Oni tam mieszkają.

— Nie u Sretka Cwetkowicza?

— U Sretka Cwetkowicza, który jest Fortuniem Fiorinim.

— Aha — śpiewanym sposobem odezwała się, odechnęła i westchnęła zarazem Helena, i oczy do góry podniosła, i rozradowaniem twarz jej się oblała. — Aha... — powtórzyła. — Bre... bre... bre... Ot, co! Fiii...

Rzecz naturalna, natychmiast wiadomość tę odpowiednio spożytkowała. Wzięła na się rolę czulej, troskliwej ciotki, rolę, w której całą do usunięcia trudnością była dwuletnia obojętność, z której się jakoś przed Cwetkowiczami wytłumaczyć należało. Nie stanowiło to atoli trudności dla Heleny nieprzelamalnej. Zwalila obojętność na chorobę. Z czego niewiast choroba nie tłumaczy! Pierwszej niedzieli po odkryciu, jakie z Władysława wydobyła, udała się do Fiorinich i nie zastawszy Fortunia, który zwyczajem swoim nad morzem się włóczył, rozwodziła się przed Kujawą nad tym, jak to ona Radosława i Radiwoja kocha.

— Nie widziałam ich od lat... od lat... — przypominała sobie — bodaj czy nie dziesięciu. Były to chłopcy małe... dziś zapewne już słuszni.

— O, słuszni — odrzekła Kujawa.

— Mało że nie tacy jak Tomasz — dorzuciła Mara.

— I dobre chłopcy, poczciwi, spokojni, życzliwi, pracowici — chwaliła Kujawa.

— Z rodziców to wzięli — podchwyciła Helena. — Nie masz, zdaje się, pod słońcem człowieka lepszego jak ojciec ich. A co za matka! Widzieć bym ich chciała.

Dziewczynka wybiegła i wnet powróciła z oznajmieniem, że ani Radiwoja, ani Radosława w domu nie ma.

— Niedziela — tłumaczyła Kujawa. — Korzystają z czasu wolnego i z pory pięknej. W góry pójść musieli.

— W góry... — potwierdziła dziewczynka. — Widziałam ich, jak się na prawo wzięli i pociągnęli tą ulicą, co

mimo studni prowadzi. Wzięli ze sobą chleba i sera, zapewne więc nie wrócą aż wieczorem.

— Co za szkoda! — Helena na to. — Tak bym ich oglądać pragnęła! A to córeczka wasza? — zapytała, oczami na Marę wskazując.

Kujawa potakująco odpowiedziała.

— Na imię jej?

— Mara.

— U mnie jest córeczka także. Mojej na imię Katarzyna, od ciotki mojej, z domu Balsziczanki, która była za carem serbskim.

Omyliła się, umyślnie może. Małżonkiem jej ciotki był nie car, a despot.

— Katica moja — mówiła patrząc na Marę — bodaj czy nie w jednym z Marusią wieku.

— Mojej dziesiąty rok — wtrąciła Kujawa.

— Moja młodsza trochę, ale niewiele. Może się jedna z drugą za rówieennicę uważać. Przyjdź kiedy, Marusiu — zwróciła się do dziewczynki — do Katicy i zawrzyj z nią posestrienstwo.

Dziewczyna na matkę spojrzała.

Kujawa odrzekła:

— I owszem... Niech jeno Katica przyjdzie po nią.

Tyk ten, pochodzący z dumy republikańskiej a obrażający miłość własną wojewodzińską, Helena przyjęła z uprzejmością ujmującą.

— Przyjdzie — podchwyciła — przyślę ją jutro albo lepiej sama ją przyprowadzę. Gdybym była wiedziała, byłabym to od dawna już uczyniła. Ja, zwyczajnie, nie-tutejsza, trudno mi do ludzi trafić.

— O, cudzym ludziom trudno w miejscu obcym — odrzekła Kujawa.

Rozmowa toczyła się czas jakiś w ogólnikach, aż Helena, uważniej się Marze przypatrując, zawołała w uniesieniu prawie:

— Ach! jakaż ona piękna.

Matka uśmiechnęła się na to mimowolne złożenie hołdu jej córce; odpowiedziała jednak, celem zapewne zneutralizowania pochwały, mogącej na dziewczynę szkodliwie oddziaływać:

— Bywają piękniejsze. Zresztą największą niewiasty ozdobę stanowi cnota.

— Zapewne... tak... — pomiarkowała się Helena. — O, tak! Cnota jest ozdobą największą. Nie piękność, nie ród, tylko cnota. Ja mojej codziennie powtarzam: Nie zważaj na to, że cię Balsziczanka rodzi, bądź cnotliwą, będziesz kochaną.

Mówiąc to przypatrywała się dziewczęciu, które przedstawiało coś takiego, iż można było posądzać naturę, że je wydała na to umyślnie, ażeby pokazać, do jakiego stopnia wysokości piękność niewieścia podnieść się może. Trudno wyobrazić sobie coś podobnego. Nuta pieśni, promień gwiazdy, łagodne światło jutrzeńki, płomień zarzewia piekielnego, otchłanność bezdenna, wszystko to ona w sobie łączyła, wszystkiego tego w połączeniu wciele niem była. Opisywać ją, tak jak opisywaliśmy Grubę albo wojewodziankę, niesposób. Zresztą, patrząc na nią, nie widziało się w niej części, a całość przedstawiającą harmonię doskonałą, skończoną, nie dającą się analizować, a raczej analizą profanować. Można na przykład było wpatrywać się w nią jak najdłużej i nie wiedzieć, czy ona blondynka, czy brunetka, czy słuszna, czy wzrostu małego. Pięknością była — i koniec: nazywała się Marą — olśniewała, zachwycała, czarowała i miała lat pod dziesięć.

Wyznać musimy, że opisując Marę dopuściliśmy się anachronizmu sześćioletniego. Taką, jakąśmy ją przedstawili, stała się ona w sześć, w siedem lat później, kiedy się w niej rozwinęły i wyokrągliły kształty wszystkie.

W momencie, w którym ją Helena po raz pierwszy zobaczyła, znajdowała się ona w pączku, który się rozpękać poczyniał, wykazując spod zielonych obsłon brzeżki listków o świetnych kolorach, jakimi miał zajaśnieć w dobie pełnego rozkwitu. W momencie tym wzbudzała zachwyt w przeczuciu, powiadając niejako tym, co na nią patrzyli:

— Co obiecuję, tego dotrzymam — poczekajcie trochę.

Helena, zwróciwszy raz na nią uwagę, oczu już od niej oderwać nie mogła.

Nazajutrz przyszła ze swoją Katarzyną. Dziewczęta się zaznajomiły. Przez dziewczęta zawiązał się stosunek pomiędzy matkami. Balsziczanka, Chraniczka, wojewodzicowa, wojewodzina w przyszłości, umiała na jednym postawić się poziomie ze skromną urzędniczką, nie mającą nic za sobą i nic przed sobą, a to dla wydostania tajemnicy zapisu.

Stosunki z Kujawą do niczego jej nie doprowadziły — do tego tylko, że się widywała z Radosławem i Radiwojem i odgrywała wobec nich rolę ciotki troskliwej, na czym oni wychodzili dobrze, oprócz bowiem przysmaków, które się im często dostawały, osiągalni jeszcze i tę korzyść, że mieli bieliznę poreperowaną. Władysław dostał pozwolenie wdawania się z nimi. Była to dla Władysława korzyść wielka ze względu na dobre towarzystwo, w którym i serce, i umysł rozwijał i kształcił. Helenie atoli nie przychodziło z tego nic, im bardziej bowiem do Kujawy się zbliżała, tym się pewniej przekonywała, że o zapisie ona nic ani wie, ani wiedzieć może.

Przekonanie to wyniosła z mnogich podjazdowych rozpoznawań. Postanowiła jednak utwierdzić się w nim. W tym celu razu pewnego zaatakowała Cwetkowiczową wręcz:

— Ty nie wiesz — rzekła — jaki ja mam kłopot... straszny kłopot, wielki kłopot.

— No? — zapytała ta ze spólczuciem.

— W archiwach, pod dozorem męża twego, znajduje się wojewody Sandała zapis, którego treść chciałabym znać.

— Na cóż to tobie?

— Ach! — westchnęła — mój daleko, Bóg wie, czy powróci kiedy. Ja mam dzieci. Nie wiem, czy się im co dostanie kiedy.

— Jeżeli jest zapis, to coś się dostać musi.

— Tak... jednakże... Gdybym, tak jak ty, córkę tylko miała, to by mnie to nie obchodziło wcale. Córkę ktoś weźmie i ten ktoś kłopotać się o nią będzie. Ale z synami — to rzecz inna. Ty nie wiesz, co to synowie.

— Hm — bąknęła Kujawa tonem uznania.

— O, synowie! O nich to głowa boli, boli i boleć nie przestaje. Ty nie wiesz. Owróż — widząc, że Kujawę jej słowa rozrzewniają, dodała — rozpytaj ty męża o zapis ten. Przecież jeżeli powie tobie, co on w sobie zawiera, to przez to najmniejszej nie popelni zbrodni.

— Zapewne...

— Więc cóż?

— Rozpytam.

— O, jakże ja ci za to wdzięczna będę. Będę ci do śmierci odślugiwała.

Kujawa dotrzymała słowa. Rozpytywała męża, to jest, zadała mu pytanie, on nie odpowiedział i na tym się skończyło. Zdała z tego sprawę przed Heleną. Ta poznała, że zaznajomienie się z rodziną Fiorini nie usunęło trudności, nie tylko co się tyczy poznania treści dokumentu, ale oraz co do ułatwienia sobie przystępu do osoby archiwisty. Fortunio, czyli Sretko, gdy się przypadkiem znajdował w domu w czasie przyjścia Heleny, ratował się przed nią najprostszy w świecie sposobem, ucieczką. Ona na próg, on w nogi. Zdarzyło się raz tak, że, umyślnie

zapewne, drzwi mu osobą własną zafarasowała. On się zgiął, smyrgnął mimo kolan Heleny, o mało jej nie wyrócił i świsnął. Do desperacji ją to przyprowadzić by mogło, gdyby równocześnie i na innych drogach starań nie czyniła, mianowicie też przy pomocy ojca Benona, który jej coraz to nową ścieżynę pokazywał, ścieżynę, z których każda dziwną a jedną i też samą miała właściwość. Wprowadzona przez świątobliwego przeora, Helena wchodziła na nią ufności i nadziei pełna, szła, szła niekiedy bardzo długo, szła... i nagle ścieżyna się urywała. Pokazywało się, że zbłądziła. Ojciec Benon pocieszał strapioną, moralnymi karmił ją naukami, odprawiał mszy kilka na jej intencję, wyszukiwał ścieżynkę inną i znów puszczał na nią niestrudzoną w poszukiwaniu kobietę.

O B J A W I E N I E

Helenie daną była okupacja. Nie jest to rzecz nadzwyczajna ani dziwna. W czasach, kiedy w ludzkości ferment organiczny przebywał w stadium wieków średnich, dominowała myśl jedna, idea jedna, która niby korek pływała po toniach odmętu, służąc jako wytyczna filozoficznym badaniom. Była to idea panowania. Ku niej ciążyła praca umysłów do uprawiania niwy intelektualnej powołanych, studiujących szczególnie słabe człowieka strony. Studia te nie pozostawały bezowocne. W pewnych sferach znano człowieka na wylot i na podstawie znajomości tej grano na nim jak na dudzie. Sztuka cała polegała na dawaniu stosownych okupacyj, czyli na wrażaniu w głowę zajączka w celu ściągania onego przez życie całe.

Helenie naszej wrażono zajączka pod postacią zapisu i ona ścigała go niestrudzenie. Było to dla niej dobrodziejstwem pod pewnym względem, pod tym mianowicie, że dawało jej zatrudnienie, którego by inaczej nie miała. Sprawiało to jej pewien rodzaj trenowania. Pędzała się baba, pociła się i powściągała w sobie inklinację do tycia, skutkiem której, gdyby pędziła była żywot siedzący, byłaby doszła rozmiarów potwornych. I tak rozrosła się znacznie, wyglądała wspaniale, ale nie monstrialnie. Zatrudnienie utrzymywało ją w ruchu ustawicznym, w ru-

chu ku jednemu skierowanym punktowi, z czego wynikało roztargnienie usuwające jej sprzed oczów rzeczy, na które się patrzyła.

Pozostawała w wielkiej z Kujawą przyjaźni, bywała w jej domu, patrzyła się na Marę i nie widziała tego, że dziewczyna rośnie i pięknieje, rośnie i pięknieje pod oczami jej i pod oczami jej syna, upoważnionego przez nią do przebywania w domu Cwetkowiczostwa i nie pozostającego wciąż w stanie dzieciństwa. Pomiędzy Władysławem a Marą zachodziła różnica wieku nieznaczna wcale. Chłopak starszym był od dziewczyny o rok bez czegoś. Urastanie ich odbywało się równolegle, z tą jeno różnicą, że podczas kiedy Władysław poprzedzał Marę latami, Mara wyprzedzała go, że się tak wyrazimy, polotem ducha. Prowadziła go też za sobą; on za nią podążał nie wiedząc ani domyślając się dokąd: szedł za gwiazdą leccą. na to jedno bacząc, ażeby pozostawał w blasku jej promieni.

Młody Chranicz bywał u młodych Stepkowiczów bardzo często, codziennie prawie. Oni mu pomagali w naukach, tłumaczyli, pokazywali, objaśniali — tendencyjnie, powiedzieć należy — znaczenie tekstów, które w wiekach średnich posiadały powagę olbrzymią, dzięki powadze, jaką posiadało słowo, któremu przyznano potęgę mistyczną. Odwiedzał więc ich często i w początkach, kiedy i on jeszcze był dzieckiem, i Mara dzieckiem była, widywał tę ostatnią za każdym razem, gdy do krewniaków przyszedł. Przybiegała do zajmowanej przez Stepkowiczów izby i przeszkadzała im; c. ją bez ceremonii wypędzali; Władysław ujmował się za nią.

— Niech zostanie — prosił.

— Niech zostanie, ale niech nie smi brblati.

✓ Mara przyrzekała, że brblati (po polsku tarabanić) nie będzie, usiadała gdzie z boku, minkę nastrajała i za pierwszą okazją szczebiotać poczyniała.

Stepkowicze się gniewali; Władysław gniew ich uspokajał i często się tak zdarzało, że z nią razem wynosił się do ogrodu, gdzie zamiast gramatyki lub retoryki słuchał brblania dziewczęcia o przedmiotach nie mających z naukowością, owoczesną zwłaszcza, styczności najmniejszej; o kwiatkach, o muszkach, o ptaszkach, o kociętach, o lalce, o wstążeczkach. Dziś naukowość spuściła z tonu i nie gardzi niczym, ani nawet paplaniną dziewczęcą. W onych atoli wiekach przejęłaby każdego z nauką do czynienia wprost lub ubocznie mającego zgrozą oburzenia świętobliwego na myśl, że młodzian uczący się nad gerundia i supina przekłada na przykład sprawozdanie ze spostrzeżeń nad gospodarstwem jaskólek, co na poddaszu gniazdka ulepiły. Władysława sprawozdanie to w wysokim zajmowało stopniu. Mara opowiadała, że w gniazdeczku każdym jest żona, jest mąż, żyją ze sobą w zgodzie jak najprzykładniejszej, kochają się i wspólnym staraniem karmią pisklęta malusie.

— Takie malusie — powiadała i na paluszku sobie pokazywała.

— Widziałś je?

— Widziałam.

— Zaglądałaś do gniazdka?

— Ach, nie! — odrzekła z oburzeniem. — Zaglądać nie wolno, boby się wnet stare jaskółki gniazdka wyrzekły. Ale raz taki zdarzył się wypadek: gniazdeczko się jedno oberwało, pisklęta pospadały i pozabijały się biedne.

Westchnęła głęboko.

— I cóż? — zapytał Władysław.

— Ach, gdybyś wiedział, co to było! Przylatują stare, gniazdka nie ma, pozostał jeno obłamek. Jakże żałośnie szczebiotały! och! jak żałośnie szczebiotały! zapłakały płaczem swoim, siedząc na obłamku gniazdka, po-

siedziały i odleciały, i powróciły, a każda z odrobiną ziemi w dziobku. Za nimi przylatywało jaskólek mnóstwo, sznurem ciągnęły jedna za drugą i lepiły, lepiły gniazdko, aż je ulepiły.

— Długoż ta robota trwała?

— Wcale niedługo, godzinę, nie więcej.

— Widzisz, co to pomoc wzajemna. Ludzie z jaskólek przykład by brać mogli.

— Toć ja się im przypatruję bardzo często i myślę sobie nieraz, że bym jaskółką być chciała.

Władysław życzenie to znajdował całkiem naturalnym.

— Ulepiłabym gniazdko sobie i za mąż wyszła.

— Pierwej byś wyszła za mąż, a potem gniazdeczko lepiła.

— Czemu?

— Dlatego żeby gniazdeczko we dwoje lepić.

— Toć i tak lepić można we dwoje, narzeczona i narzeczony. Na narzeczonego wybrałabym sobie pomiędzy jaskółkami...

— Mnie chyba?

— Hm? — odpowiadało dziewczę strojąc minkę figlarną i zaglądając chłopcu w oczy. — Chciałbyś być jaskółem?

— Gdybyś ty jaskółką była!

— Są, słyszę, czarownicy, co zmieniają ludzi w zwierzęta i w ptaszki. O, gdybyż to my na czarownika takiego natrafili! Przylecieliśmy najprzód do mej majki, potem do twojej, na oknie usiedli i... cirliń, cirliń... Ciekawam bardzo, czyby nas majki poznały. O... widzisz!

Pokazała jaskółkę przelatującą. Dzieci oczami ścigały chybkiego ptaszka, aż znikł im z oczu.

Na rozmowach takich i tym podobnych upływały im długie chwile, przemijając bardzo szybko. Helena prze-

konaną była, że się Władysław ze Stepkowiczami uczy. Uczyl się w rzeczy samej — w szkole podwójnej, z których jedna składała w umyśle jego rzeczy ciężkie, druga ciężary te wystawiała na działanie ciepła, wyciągała z nich wilgoć i czyniła je lekkimi. Trwało to lat parę. Dzieci rosły i w miarę podrastania Mara coraz to rzadziej do chłopców zachodziła, Władysław coraz to mocniej towarzystwa jej pożywał.

Na święta i wakacje Stepkowicze udawali się do domu, a wówczas konferencje pomiędzy Władysławem a Marą przerywały się ustępując miejsca odwiedzinom oficjalnym, w których brała udział Katarzyna i Chranicze młodzi. Nie było to już to. Uczuć się im dawał brak swobody, tym więcej że Katarzyna, która by im sprawy dotrzymywać mogła, odmiennie była nastrojona. Tę zajmowały wprowadzić kwiatki, ptaszki, muszki, kocięta etc., ale jako zabawki, nie jako przedmioty studiów, prowadzące duszę w świat sennych na jawie rojeń. Nie dotrzymywała więc sprawy bratu i rówieśnicy, a nie tylko sprawy nie dotrzymywała, ale im przeszkodę stawiała, tak że czas świąt i wakacyj bywał dla nich straconym, pragnęli, ażeby on przeminął jak najrychlej, wzdychali do ogródka, na który wychodziły drzwi od mieszkania Stepkowiczów. I w tym ogródku jednak schodzili się coraz to rzadziej, coraz to rzadziej, aż nadszedł moment, w którym się schadзки ich urwały nagle.

Zabrakło pretekstu.

Stepkowicze szkoły skończyli.

Gruba przyszła i synów zabrała, zabawiwszy w Dubrowniku dni kilka, które spędziła, jak niegdyś, w gościnie Sandała i które znów Helena spożytkować usiłowała na zbadanie nurtującej ją tajemnicy. Lecz że tajemnica ta tajemnicą i dla Gruby była, usiłowania przeto Heleny doprowadziły ją znów do tego rezultatu, iż Stepkowickę o porozumienie ze starym wojewodą podejrzewała. Do-

myślała się istnienia jakiejś kabaly, co tym mocniej utwierdzało ją w postanowieniu prowadzenia dalej tej pracy, która stanowiła ściganego przez nią zajęczka.

— Dojdę — powiedziała sobie — dojdę, chociażbym przez piekło przechodzić miała.

Szła więc swoją drogą — drogą własną, tak jej się zdawało, na której i piekło przewidywała, a ani się spostrzegła, jak ojciec Benon prowadził ją do nieba, następcząc jej na przewodników i sprzymierzeńców w jej pracy modlitwy, posty, śluby i ofiary. Niby panna czasów naszych. pożądająca męża, Helena zadawała sobie utrapienia różne, odnosząc takowe do intencji, która, jak mąż dla panny na wydaniu, nie celem ostatecznym, a najbliższym była i tylko się pod postacią ostatecznego prezentowała. Ludzie jej nie pomagali, zwracała się więc o pomoc do nieba, czyli też, inaczej mówiąc, kusiła Pana Boga.

Odwiedziny Gruby jeżeli dla Heleny nie przydały się na nic, to pamiątkami się stały dla młodej naszej pary, której trafiła się gratka nie lada. Wiadomym był dzień odejścia Stepkowiczów młodych z matką. We wigilię dnia tego Władysław był u krewniaków; była tam Gruba, Kujawa i Mara; rozmowa tyczyła się chwili wyruszenia z Dubrownika.

— O świtanu — rzekła Gruba — o pierwszym dnia brzasku wyjść musimy, inaczej w dniu jednym nie zdążylibyśmy do Tomowego Skitu.

— Bo ja bym was za miasto wyprowadzić chciała — odezwiała się Mara.

— Oo! — tonem perswazji odrzekła jej Gruba. — Ty śpij sobie. Pożegnamy się z wieczora.

— Nie, ja chcę, ja muszę widzieć was jeszcze jutro rano — rzekło dziewczę z akcentem uporu.

— Wyniesiemy się, będziesz spała jeszcze.

— Zobaczymy.

To „zobaczmy” Władysław zauważył i zanotował sobie.

Nazajutrz jutrzienka rumieniła się jeszcze na wschodzie, na zachodzie gwiazdy dogasały, gdy z domu Fioriniego wyszła gromadka ludzi, składająca się z osób pięciu: Gruba i dwaj jej synowie, Mara i Władysław.

— A co! — przemawiała Mara do Stepkowiczki. — Nieprawdaż, że jak potrzeba, rano wstać potrafię?

— Cóż ci za potrzeba! — odrzekła zapytana.

— Pozostawanie z wami chwilę dłużej.

Szli, bramę minęli; w bramie zdziwili strażnika wstaniem takim rannym; za miastem Gruba odezwiała się do Mary:

— Wracajże już.

— Jeszcze trochę.

— Wracajże już — powtórzyła Gruba o pół godziny drogi dalej.

Powtarzała to samo dwa razy jeszcze, aż doszli na szczyt góry otaczającej Dubrownik w amfiteatr i dziewczyna zatrzymała się sama. Nastąpiło pożegnanie. Matka z synami udała się drogą, która w dół ku Trebini schodziła. Władysław z Marą pozostali na górze.

Dziewczyna stała w dal wpatrzona. Władysławowi się zdawało, że spogląda za odchodzącymi, że oczami ich odprowadza; lecz oni zniknęli, ona wciąż stała, nieruchoma i wpatrzona. Policzki miała zarumienione, usta wpół otwarte, oczy dziwnym jakimś blaskiem oświetlone. Oczy jej biegały gdzieś w dal. Władysław, stojąc z boku, spoglądał to na nią, to na to, co jej patrzenia przedmiotem było, i miał przed sobą dwa widoki idące jeden z drugim o lepsze: widok okolicy górskiej, tumanami porankowymi spowitej i promieniami wschodzącego słońca ozłoconej, i widok dziewczyny w zachwycie. Widocznym było, że ją w zachwyt wprowadziły krajobrazy cudne, rozwija-

jące się na wsze strony, które wschód słońca powlekał urokiem niezwykłym. Tumany się podnosiły zwolna, wywołując grę kształtów i barw, mknęły do góry, rwały się, pełzały po garbach, czepiały się skał, tworzyły zawoje około szczytów wystrzelonych, wystrzelały same niby dymów kity. Szło to wszystko na kształt widowiska teatralnego na szerokie rozmiary, któremu towarzyszył cichy hymn natury, złożony z dalekiego szumu potoków, z szemrania liści, ze szczebiotu ptasząt, z podzwonnego dochodzącego drżącym echem z Dubrownika i z okrzyków orłów ważących się w powietrzu.

Mara stała tak długo, póki tumany nie pierzchły, co gdy nastąpiło, odetchnęła i westchnęła, zwróciła spojrzenie na Władysława i zapytała:

— Widziałeś?

Władysław głową pokiwał. On widział dwa razy tyle co ona i to bowiem co ona, i ją. Nic jednak jej nie odpowiedział. Schodzić poczęli ku miastu, mając znów cudny przed sobą widok na morze i na rozrzucony nad brzegiem gród. Pozostawali atoli pod wrażeniem tamtego, spuszczali się w dół w milczeniu i na połowie drogi, jakby za umową wspólną, zboczyli na ścieżkę, która ich doprowadziła na łączkę ustronną, krzewami otoczoną i jaworem ocienioną. Usiedli w trawie.

— O, Władysławie! — odezwała się dziewczyna po chwili milczenia. — Cóż to za cuda! cóż to za cuda!

Władysław w oczy jej patrzył, nie odpowiadał, ale ona w oczach jego czytać mogła zachwyt ten sam, co ją przejmował, a czytać mogła tym dowodniej, że w chwili tej w niej był on reminiscencją, w nim czynem istniejącym. Dla niej wrażenie przeminęło pozostawiając po sobie świeże, drgające jeszcze wspomnienie, dla niego wrażenie przeniosło się na łączkę pod postacią jej i w oczy go biło.

I nie mówili ze sobą nic.

Zdarzają się bo sytuacje, w odniesieniu do których słowa wydają się profanacją.

Po chwili ona i on w zamyśleniu się pograżyli.

Po jakimś czasie wstali, ścieżynką na drogę wyszli i do Dubrownika powrócili.

Od momentu owego ustał dla Władysława pretekst bywania w domu Cwetkowiczostwa. Węzeł łączący dzieci tych dwoje zerwał się. Widywali się z sobą przy ludziach, pozbawieni racji konferowania we cztery oczy. Wyrastali osobno, ona pod skromną strzechą ojca archiwisty, on w domu wspaniałym dziada wojewody. Pomiedzy nimi jednak latał „biały gołąb“, nie „smutku“ wszakże, a nieokreślonych jakichś nadziei, noszący im wieści ozłocone rojeniami cudnymi. Kochali się nie wiedząc o tym wcale.

I kochać się tak mogliby lata i lata, gdyby nie Helena, która razu pewnego, gdy Władysław wyszedł już spod opieki Rubercjusza, zaczęła go ni z tego, ni z owego w sposób następujący:

— Tobie się podoba Mara Cwetkowiczówna?

— Ano... Czemużby się podobać nie miała!

— Ty ją kochasz.

— Majko! — zawołał młody człowiek głosem takim, jakby trzy te wyrazy ubodły go do żywego.

— Nie masz potrzeby wymawiać się. Ja w tym złego ani nagannego nie widzę nic. Mara — dziewczynka i piękna, i pamiętna, i cnotliwa. Możesz ją kochać, pamiętając jeno o tym, że ostatecznego względem niej zobowiązania się brać nie możesz, póki ojciec nie powróci.

Słowa te miały dla niego znaczenie nie pozwolenia — pozwolenie bowiem niczym jest wobec kochania — a objawienia. Matka wyrazem właściwym nazwała to, co w sercu jego bezwiednie spoczywało. Nie miał też nic pilniejszego jak Marze o tym powiedzieć.

I nawiązała się pomiędzy dwojgiem ludzi młodych miłość formalna, o której do powiedzenia to jeno mamy, iż była ona siostrą rodzoną wszystkich miłości, jakie istniały przed nią i nastąpiły po niej. Za dni naszych jeżeli się młodzi kochają, to tak samo, jak za dni Władysława Chranicza. Grymasy nawet dzisiejsze są reprodukcją dawniejszych. Pomijamy więc ustęp ten milczeniem, nie możemy atoli milczeniem pominąć tej osobliwości, że Helena udzielając synowi na kochanie pozwolenia, tak była wzruszoną, jakby to o nią samą chodziło, jakby w kochaniu tym ona udział brała bezpośredni.

Można by to przypisać troskliwości macierzyńskiej, gdyby nie ów zajacek, który dzieci w jej sercu na drugi spychał plan tak dalece, że dla pojmania zajaczka owego gotową była Katarzynę wydać, gdyby to było rzeczą możliwą, za ojca Mary, a nie dopieroż Władysławowi kochać się pozwolić w córce garbatego archiwisty.

Skądże się w niej wzruszenie to wzięło?

Oto skąd:

Ojciec Benon uwiadomił ją o cofnięciu przez Sandała zapisu starego i o włożeniu natomiast nowego.

Wiadomość ta stała się dla niej tym, co ostroga dla szlachetnej krwi konia. Jeszcze ksiądz wszystkiego nie dopowiedział, a już ona niezłomnie przed się postanowienie wzięła, które nim do wykonania onego przystąpiła, następującym poprzedziła rozumowaniem:

— Przecież on ubogi... ze szczupłej utrzymujący pensji siebie, żonę i córkę, uwielbiający tę ostatnią a nie mający jej nic na ubezpieczenie przyszłości zostawić... on przecie nie oprze się ponętom złota!

Rozumowanie to powtarzała sobie półgłosem dla tym lepszego utwierdzenia się w onym i znając zwyczaje rodziny Fiorinich, poszła wprost do ich domku w chwili, w której spodziewała się zastać Fortunia samego. Na-

dzieja nie zawiodła jej. Weszła niespodzianie. Fortunio się zerwał, chcąc się ucieczką ratować. Zastąpiła mu, za rękę go pochwyciła i natychmiast do rzeczy przystąpiła.

Przedstawiła mu interes cały, ubierając przedstawienie w pozory względu na dobro dzieci.

Garbus uśmiechał się.

— Wojewody — mówiła — pytać o to nie mogę, obawiając się napotkać w nim złe dla dzieci moich usposobienie. Wiedzieć zaś o treści zapisu muszę, potrzebując stosownie do onej pokierować losem synów moich i córki. Syn jeden dorosły, drugi dorasta, trzeci dorośnie niebawem, córka na wydaniu, a ja, matka, związane mam oczy.

To mówiąc wydestała woreczek złotem napelniony. Perpery przeglądały przez oczka tkaniny z grubych wiązanej nici.

Garbus uśmiechnął się.

— Masz córkę. Oto dla córki twojej. Jest tu tyle, że zabezpieczysz jej przyszłość. Powiedz mi jeno treść zapisu.

Podawała mu woreczek. Fortunio odepchnął jej rękę z woreczkiem, zmarszczył na moment brwi, lecz je wnet rozmarszczył i uśmiechnął się.

Uśmiechy jego mieszały Helenę. Nie rozumiała znaczenia ich; brała je z dobrej strony; zdawało się jej, że potrzeba jeno na odpowiedni diapazon prośbę nastawić, ażeby przekupstwo miało charakter grzeczności, łaski, dobrodziejstwa — dla niej to było wszystko jedno; a że czasu do stracenia nie miała — mógł ktoś nadejść, więc nie namyślając się długo, buch przed nim na kolana i... ręce z woreczkiem wyciągając:

— Zmiłuj się! — błagała — przyjm słaby ten upominek dla dziecka twego i wyjaw mi tajemnicę zapisu.

— Wstań, niewiasto, i idź sobie — odparł Sreńko, rękę wpół wyciągając. — Tajemnica, której odkrycia żądasz, jest rzeczą małoważną, ale jest tajemnicą. Postawion jestem przy niej na warcie. Tajemnicą krajowi memu służę i żadnej, najmniejszej, zdradzać nie mogę i nie zdradzę, chociażbyś ty taką mi kupę złota przyniosła, jak ot, ten mój domek. Wstań więc i idź sobie.

— Ha... Dubrowniczanie! — wytchnęła przez zęby, zerwała się z klęczek i głowę dumnie podniósłszy, precz odeszła.

Pod wrażeniem tej to sceny udzieliła synowi pozwolenie kochania Mary.

Nie dziw przeto, że była zirytowaną, gdy z synem mówiła. Zdawało się, że o nią samą chodziło. W rzeczy samej, chodziło o nią.

„N E M S A B A T I“

Sandał umarł, Stefan przyjechał — nastąpiła zmiana sytuacji, z której w sercu Heleny pozostał jeno głęboki do Dubrownika żal. Żalowi temu odmówić nie można racji. Wyobraźmy sobie kobietę stworzoną do przeznaczeń wysokich zniewoloną ścigać zajączka na ścieżkach, które jej pod nogami nikły. Nie byłaż to istna praca syzyfowa? Byłaż to niewiasta pospolita, gdy po niepowodzeniu i upokorzeniu doznanym od mizernego garbusa, zamiast dać folgę gniewowi, który ją rozsadzał, i zerwać ze Sretkiem, chwyciła się jeszcze środka, za pomocą którego syna zarzykowała? Lada kobieta nie zdobędzie się na heroizm podobny. Ze spokojem w sumieniu pchnęła syna. A jak go ze spokojem w sumieniu pchnęła, tak ze spokojem w sumieniu cofnęła, gdy się sytuacja zmieniła. Raz powiedziała „kochaj Marę“, drugi raz „porzuć Marę“ — powiedziała i to, i owo dla dogodzenia widokom własnym, bez najmniejszego na syna względu. Przypuszczać należy, że potęgą miłości była jej rzeczą obcą — nie rozumiała jej. Załatwiła tę sprawę i zwróciła uwagę swoją całą ku drugiemu zajączkowi, który wyskoczył przed nią pod postacią korony bośniackiej.

Restauracja zamku i budowanie kościoła zajęły jej czas, lecz nie uwagę, którą zawsze zwróconą miała w stronę królestwa.

Wojna z Dubrownikiem była zamiarem powziętym na serio, lecz „...pas d'argent, pas de Suisses” — musiała zamiaru tego zaniechać, a raczej odłożyć go do chwili sposobniejszej, która właśnie ukazywała się jej po śmierci Twrtka II, w razie gdyby się udało Stefanowi miejsce jego zająć. Liczyła na to jako na rezultat czujności i zabiegów. Dlatego to do Sutyska tak jej spieszo było.

Nie chodziło jej o to wcale, ażeby się sprawdziła odpowiednia widzianego przez nią we śnie Sandała. Rachunek jej opierał się na starości króla, śmierć którego nastąpić musiała w czasie niedługim. Głównie chodziło jej o to, ażeby wypadek ten nie nastąpił niespodziewanie, ażeby się do onego przygotować jakoś.

Toteż w Sutysku, czasu nie tracąc, zawiązała się około pozyskiwania sobie umysłów, urządzając rzecz tę w sposób ten sam, w jaki się urządzała w Polsce. Ujmowała ich jadłem i napojem. Zaprowadziła stół otwarty, za którym siadali junacy i, jedząc a popijając, sławili gościnność wojewody Zachłumia, wielkiego wojewody Bośni, bana — o — bana! — tytuł ten przypominał czasy stare, uważane zawsze za lepsze od nowych. Często za stołem brzmiał okrzyk:

— Da žiwio nasz ban! Nigdzie tak dobrze jak u niego jagniąt nie pieką!

Pieczone jagnięta odegrywają w zakresie przysmaków kulinarnych na Słowiańszczyźnie południowej rolę taką samą, co u nas pieczone kurczęta i prosięta.

Nie poprzestając na tym, starała się Helena zjednać sobie osobistości wydatniejsze. W tym celu studiowała grunt i niedługiego potrzebowała czasu, ażeby się przekonać, że we względzie widoków swoich ma przeciwnika

w osobie legata, który w tymże samym co ona przybył celu. Odkrycie to skomplikowało rzecz. Przeciwnik potężnym był powagą ojca świętego, który życzył sobie na tronie bośniackim wypróbowanego i rękojmie wszelkie dającego katolika. Legat z tym się odzywał głośno, nie wymieniając wszakże kandydata stolicy apostolskiej. Tu był sęk, przedstawiający się pod postacią zagadki, do rozwiązania której posiadała Helena tylko dane dotyczące się osobistości Hansa Liederbilda, rozporządzającego rycerzem Rudolfem von Billig a przez tego garnizonem niemieckim. Z tymi nie było nic do czynienia. Hans, nadęty, z rękami w kieszeniach, otaczał się nieprzystępnością do przełamania trudną. Rudolf von Billig, rozkochany w Barbarze, ślepo się Hansowi powodować dawał. Z Bośniaków otaczających starego króla żaden jakoś nie wzbudzał zaufania jej, z wyjątkiem jednego Grgura Grguraszicza, który przy królu zajmował stanowisko zaufańca.

„Na bezrybiu i rak ryba“. Helena nadzieje swoje zwróciła na Grgurę, co jej tym snadniej przyszło, że Grgur sam szukał zbliżenia się do niej.

Spotykali się z sobą razy kilka, zaczepiali się słówkami dwójęzycznymi, aż razu pewnego przyszło do eksplicacji.

— Jakże tam król jegomość?

— Ih! zwyczajnie jak stary, niedomaga, kaszle — była Grgura odpowiedź.

— Pożyje jednak jeszcze jasność jego i zdaje się — świątobliwość jego za wcześnie troszczy się o następcę.

— Phi... to rzecz jego.

— Rzecz jednak ciekawa, kogo też legat ma na myśli?

— Kogoż, jeżeli nie grafa cylejskiego! Ale...

— Ale co? — zapytała z udaną obojętnością.

— Niech oni tam sobie dadzą spokój. Następcą będzie nie ten, kogo oni prowadzą.

— Któż jednak?

Grgur obejrzał się dokoła, jakby się podsłuchania obawiał, popatrzył uważnie na drzwi i okna, zniżył głos do skali szeptu i odrzekł:

— Stefan Chranicz, zwany Kosaczem. Nie znasz go dostojność wasza?

— At — machnęła Helena ręką od niechcenia, pomimo że całej dokładała usilności, ażeby się Grgurowi na szyję nie rzucić.

— My tu, Bośniacy, po cichu o tym pomiędzy sobą gadamy.

— Może by należało z wojewodą pogadać o tym.

— Broń Boże! — krzyknął Grgur i dodał: — Zdaje się, że dostojność jego przyjąć raczy koronę, gdy mu takową zaofiarujemy.

Helena nie dosłyszała akcentu nacechowanego szyderstwem w lekkim odcieniu, z jakim wyrzeczonymi zostały słowa ostatnie. Wzięła je na serio, ale nie wiedziała, jak odpowiedzieć na nie. Namyslała się nad odpowiedzią, kiedy Grgur dorzucił:

— Nie da się prosić bardzo? Uczyni nam tę łaskę?

— O... no... — odrzekła wreszcie. — Nie ma słusznego do odmowy powodu. A pomimo że, jako małżonka jego, nie powinna bym mówić o nim, powiedzieć jednak mogę śmiało, że będzie z niego dobry król.

— Któż wątpi o tym!

— Rozum i dowcip wypolerował na dworze cesarskim; cesarzowa przepada za nim; kościoły stawia... tak że do prawdy nie rozumiem, jakiego by lepszego i większe dającego rękojmie katolika mógł znaleźć świątobliwość jego biskup legat.

— Otóż to... — wtrącił Grgur.

— Z drugiej zaś strony, jest to człowiek silny, rycerz funacki i dobry, taki dobry, taki słodki jak miód.

— Wiemy o tym.

— No... — wyliczała dalej zalety małżonka — i hojny, można mu to przyznać, i wspaniałomyślny. Kto mu przysługę jaką wyświadczy — rzekła ze znaczącym naciskiem — niech pewnym będzie wynagrodzenia sowitego.

— Wiemy o tym wszystkim. Toteż niech jeno żadnych starań ni zabiegów nie czyni, a korona mu sama na głowę spadnie. Tu w Sutysku należy się jak najmocniej na baczności mieć, należy chodzić umieć. Tu są nawet tacy — rzekł z miną tajemniczą — co by radzi wprowadzić na tron Tomasza.

— Ee? — odezwała się Helena.

— Tak, tak... Mówię to wam, wojewodzino dostojna.

— Czyż Tomasz ów jest gdzie na świecie?

Grgur ramionami ścisnął i odrzekł:

— Nie wiadomo, czy jest, nie wiadomo, czy nie ma. Są jednak tacy, co by radzi, ażeby był, i dlatego wojewoda, nie znając dobrze gruntu tutejszego, niech się na stro nie trzyma, jakby nie wiedział o niczym. Ja pozostaję przy królu. O śmierci królewskiej nikt przede mną wiedzieć nie może i wiedzieć nie będzie. O... — odrzekł ze znaczącym gestem.

Helena była w zachwyceniu. Nie wątpiła o szczerości słów Grgura, raz dlatego, że słowa te życzeniom jej odpowiadały, po wtóre, widziała poza nimi interes samegoż Grgura, który gdyby Stefan za sprawą jego do tronu przyszedł, zajęłby przy nim najpierwsze i najważniejsze stanowisko.

Grgur, wracając z mieszkania Chraniczostwa do zamku, przechodził mimo gospody. Przed domem stał Hans oparty o barierę. Zoczywszy zaufańca królewskiego obró-

cił się, uśmiechnął do niego, chrząknął i kiedy ten zatrzymał się przed nim, zapytał:

— No?

Grgur, zamiast odpowiedzieć, zrobił gest przeczący.

— Zapadł jakoś tymi dniami.

— Niedomaga, kaszle, skarży się, ale... nic. Dźwignie się jeszcze.

— Hrm... — chrząknął Hans z przyciskiem i zakręciwszy się powoli w kółko, dodał: — Jakby tylko konać zaczął, natychmiast znać mi dawaj.

— Co do tego bądź spokojny, pilnuję ja technienia każdego jego królewskiej mości. Zresztą... jakże... wypowiadać się musi.

— Tak, ale ja chciałbym wiedzieć przedtem, nim spowiednika wezwie. Spowiednik w ostatniej przychodzi chwili, mnie zaś potrzeba dać wiadomość zawczasu.

— Przyszło, slysze, wojsko grafskie do Dubicy?

— I... niewiele tego, tyle tylko, ile potrzeba dla bezpieczeństwa osoby miłości jego.

— Pięćset wojowników?

Hans ramionami ścisnął na znak nieświadomości w tej rzeczy.

Grgur odszedł w zamyśleniu. Z oblicza jego niesposób było poznać, z kim mówił szczerze: z Heleną czy z Hanssem? Wątpliwości nie ulegało, że oszukiwał kogoś: albo Helenę, albo Hansa, albo też — kto wie — i Helenę, i Hansa, co z tego wnosić się daje, że podczas kiedy pierwszej oznajmił, iż mąż jej mimo wiedzy swojej prowadzonym jest na tron, drugiemu zaś zaręczył, że go w czas zawiadomi o konaniu królewskim, a to w chwili, gdy król właśnie w stanie konania się znajdował. I spowiedź odbył, i wiatyk przyjął. Otaczała go niby zмова, w której, zdawało się, jakby sam udział brał: domagał się spokoju, nie pozwalał do siebie przypuszczać nikogo, z wyjątkiem naj-

blizszych zaufanych swoich, bez których posługi obejść by się nie mógł.

Drzwi sypialni królewskiej były zamknięte. Pode drzwi te przychodziło wielu, podchodził i Hans.

— Król spoczywa — dawano wszystkim od dni kilku jedną i tę samą odpowiedź. — Niedomaga... kaszle...

Hans i inni słyszeli kaszel królewski przeze drzwi.

Słyszeli kaszel wówczas nawet, kiedy w pościeli, kapą osłonięte, leżały już martwe Twrtka II zwłoki.

W godzin kilka po skończeniu, które się dokonało w nocy, do drzwi królewskich, jakby przecuciem wiedzeni, podchodzili różni i ucha nadstawiali. Grgura nie było. Odprawę dawał przełożony nad pacholkami królewskimi, stary, siwy Bośniak, który zaręczał, że najmiłościwszy pan ma się lepiej, chce jeno dziś jeszcze wypocząć po kaszlu, który go w dniach poprzednich zmęczył nieco, jutro jednak wstanie niezawodnie. Odprawę taką dostał między innymi Stefan, Hans i legat. Ten ostatni w sposób nalegający domagał się widzenia z królem. Miał do niego ważny interes, tyżący się agitacji patareńskiej.

— Jutro, jutro, ojcze przewielebny — była starego sługi odpowiedź. — Miłościwy Pan jutro pościel opuści i pokaże się wszystkim, kto go jeno widzieć zechce...

...na katafalku — to znaczyć miało.

Grgur odwiedził Stefana, posiedział u niego za stołem, pomówił z Heleną na osobności; zaszedł następnie do gospy i tam posiedział chwil kilka. Doczekał się powrotu Hansa z zamku.

— Cóż? — zapytał. — Widziałeś jego królewską mość?

— Nie, spoczywa.

— Kaszle jeszcze?

— Nie tak jednak już silnie jak poprzednio.

— Nie tak... to prawda — odrzekł Grgur — ale to i gorzej, bo stary wstanie, nie szanuje się, znów zapadnie

i będzie koniec. Mnie się widzi, że niedługo już czekać na to.

— Hm... — mruknął Hans z takim akcentem, jakby zakarbował sobie te słowa w umyśle.

Dzień przeminał w spokoju; noc nadeszła; w Sutysku nikt nie domyślał się niczego, nikt zmiany żadnej nie przeczuwał, tym mniej przewidywał: dlatego też poranek jutrzejszy był niespodzianką prawdziwą dla wszystkich wobec i dla każdego z osobna, mianowicie zaś dla Hansa, który się ujrzał w postronkach, dla rycerza Rudolfa von Billig, który także z objęcia snu w postronki się przerzucił, dla świątobliwości jego legata, dla którego izba mieszkalna we więzienie się zmieniła, dla Stefana, Heleny, Katarzyny, Stefana-syna i całego Chranicza dworu, otoczonego mocną strażą dokoła. Któraś ze służebnic Heleny, zbudziwszy się o dnia świtaniu, wyjść z domu nie wiadomo z jakiego powodu chciała, drzwi otworzyła i z przerażeniem się cofnęła. Przed progiem stało czterech drągali na halabardach wspartych: tarcze mieli zawieszane na lewych ramionach, kirysy na piersiach, hełmy niskie na głowach, obcisłe spodnie na goleniach i łapcie na nogach. Oblicza śniadawe, wąsy czarne, do góry zakręcone. Wydali się służebnicy wzrostem olbrzymi, a tacy straszni, że w przerażeniu, uciekając, drzwi za sobą otworem zostawiła i biegła, jaskając, z komnaty do komnaty, aż wpadła do tej, w której, zdjęci słodkim snem porankowym, spoczywali Stefan i Helena.

— Jau! jau! kuku lele!

Pozrywali się Stefan i Helena.

— Ha, ha!... co! co!

— Jau!... jau!... — głosiła służebnica.

Stefan z pościeli wyskoczył.

— Co ci?... co to jest? co to? gadaj? — rzuciła, przerażeniem niewiasty służebnej zarażona, Helena.

— Tam!... tam! — służebnica rękę wyciągnęła i ukazując na drzwi odpowiadała.

— Cóż... co?... gadaj!

— Och, jau!... och, kuku!... och, niesreta! och, przyszła na nas godzina ostatnia.

Okrzyki te pobudziły domowników i niebawem sypialna Chraniczostwa izba napełniła się ludźmi płci obojga. Rzecz się wyjaśniła co do faktu samego. Dowiedziano się, że dom otacza warta orężna. Stefan, Helena, Katarzyna, Stefan-syn i inni, wyglądając przez okna, widzieli pod takowymi wojowników przechadzających się z halabardami na ramionach. Fakt istniał, wyraźny, dotykalny. Pozostawała faktu onego przyczyna, otoczona tajemnicą, której wyjaśnienie przedstawiło się pod postacią zagadki nierozwiązalnej.

Zrazu wszystkim na myśl przyszło, że otoczenie domu wartą jest wstępem do czynów gwałtu, mających przyjąć niebawem. Stefan, który z natury trwożliwym nie był, nie wyobrażał sobie następstw najbliższych inaczej. Uważając za gwałt otoczenie samo, wysnuwał stąd ten wniosek, że sprowadzi ono rabunek i mordy. Do tegoż samego wniosku przyszła i Helena, do której garnęła się Katarzyna, drżąca i przestraszona, szukając ochrony pod opieką matki i zapytując jej co chwila:

— I cóż się z nami stanie?

— Ta cicho bądź! — była to odpowiedź jedyna, jaką córce Helena dać mogła i umiała.

Któryś ze służby męskiej bąknął o barykadowaniu drzwi. Myśl ta znalazła uznanie powszechne i Stefan wnet do wykonania jej przystąpił. Począł wydawać rozkazy, z których pierwszy był taki:

— Zatarasować drzwi zewnętrzne!

Rekonesans, w duchu rozkazu tego wykonany, przyniósł wiadomość, że drzwi one otworem stoją.

Wiadomość ta sprawiła i postrach, i zdziwienie.

— Drzwi stoją otworem, więc gwałtownicy wpaść mogą, nie wpadają jednak — każdemu na myśl przyszło.

Nastąpiła niepewność, z tej wyrodziło się wahanie: co począć?

— Drzwi zamknąć — odezwał się ktoś.

— Ale?... jeżeli? — zareplikował ten i ów.

— Może napastnicy weszli już i w domu się gdzie ukryli, na strychu... w piwnicy... pod schodami... — uczyniła przypuszczenie z kobiet jedna.

Spotęgowany przestрах ogarnął wszystkich, malując się na obliczach i oczach, które: pierwsze bielaly, drugie się zaokrąglały.

— Głupstwo! — zawołała Helena. — Cóż znów! W ręku nas mają: czegożby mieli kryć się! Mogą wejść i zabrać, a mogli to jeszcze łatwiej uczynić, kiedyśmy spali.

Rozsądne te słowa skutek swój wywarły.

— Prawda — odezwał się ten i ów.

Stefan odchrząknął chrząknięciem podwójnym, przez nos, i rzekł:

— Trzeba jednak drzwi zamknąć.

— I przez drzwi zapytać wojowników, co oni tu robią.

— Kogóż by posłać?

Zapytanie to nie wywołało echa. Nikt się zrazu na ochotnika nie wyrwał i dopiero za powtórzeniem zapytania znalazła się kamerystka Katarzyny, młoda i przystojna dziewczyna, która podjęła się groźnym wartownikom w oczy zajrzeć. Odeszła, nie było jej chwil kilka, powróciła. Z ust dziesięciu padło zarazem zapytanie:

— A co?

— Nic...

— Mówiłaś do nich?

— Mówiłam. Pytałam, co robią.

— Cóż oni?

— Nic...

— Przecie... Coś ci jednak odpowiedzieć musieli, jeżeliś przemówiła.

— Nie odpowiedzieli nic. Jam przemówiła do nich: co tu robicie, cześni wojownicy, a oni do mnie...

— Co?

— Mrugali...

— Zamknęłaś drzwi przynajmniej? — zapytał Stefan z powagą.

— Drzwim zamknęła.

— I zasunęłaś?

— I zasunęłam.

— Oni na to nic?

— Nic...

— Hm — mruknęła Helena, wpadając w zamyślenie chwilowe. — Hm? Cóż to znaczy? Pomyłka może? Nieporozumienie?

Śmielej poczęto przez okna wyglądać i wartownikom się przypatrywać. Otucha w dusze wstępowała, z przypatrywania się zaś ten nastąpił wynik, że powszechnie uznano, iż przedtem wojowników tych nikt w mieście nie widział, że byli to ludzie zupełnie obcy, Niemcy nie Niemcy, Turcy nie Turcy, w żadnym zaś razie nie Bośniacy. Przypatrywał się im Stefan i ramionami jeno wzruszał.

— Widywałem — powiadał — podobnych, ale nie pamiętam gdzie.

Rozwiązanie zagadki stawało się coraz to trudniejszym.

— Ano — odezwała się Helena — spróbować wyjść na sokak: co oni na to powiedzą?

Próby tej podjął się Stefan-syn. Ruszył rezolutnie, a za nim Helena, a za Heleną Stefan. Stefan i Helena towarzy-

szyli synowi do drzwi, przy których się zatrzymali, kiedy ten, otworzywszy je, próg przestąpił. Lecz zaledwie krok jeden za progiem zrobił, natychmiast się cofnął, wpędzony do sieni na powrót groźnym:

— Nem sabat!

Wskoczył i drzwi zatrzęsął.

— Rzucili się na mnie z halabardami pochyłonymi.

Stefan i Helena spojrzeli jedno na drugie, a w oczach ich odmalował się ogromny znak zapytania. Jedno ramionami ścisnęło i drugie ramionami ścisnęło — i razem padło im z ust zapytanie:

— Co to znaczy?

NIESPODZIANKI

Zapytanie: „Co to znaczy?” pozostawało w stanie nierozwiązania przez jeden dzień cały i przez drugi dzień cały. Przez całych dni dwa stała dokola domu warta, nie wpuszczając ani wypuszczając nikogo. Na drodze rozwiązania zagadki zdobytym został jeden tylko punkt. Z wyrazów „nem sabat” dowiedziano się o narodowości wartowników. Znalazł się ktoś, co wytłumaczyć potrafił, że wyrazy te znaczą „nie wolno” i należą do języka, którym mówią Węgrzy. Stąd wniosek, że wartownicy Węgrami być muszą; od wniosku tego atoli do rozwiązania zagadki tak przynajmniej było daleko, jak z Sutyska do stolicy Kumanów lub Jazygów. Głowy sobie łamali i Stefan, i Helena, i Katarzyna, i Stefan-syn, wszyscy dworzanie i wszystkie niewiasty służebne i dojść nie mogli, co to obłężenie znaczy. Fakt istniał; warta dom otaczała, halabardy połyskiwały pod oknami; wojownicy, przechadzając się powoli, nucili sobie pod nosem lub gwizdali przez zęby; w nocy ciszę przerywały od czasu do czasu przeciągłe okrzyki strażników; nazajutrz z rana odbył się porządnie bardzo obluz warty; ale nic nie powiadało, co obłężenie znaczy, nic nie zapowiadało, kiedy i jak się skończy.

W niewiadomości i w niepewności spędzono dzień jeden i drugi. Przy końcu dnia drugiego zaświtał promyk

światła niby, który wywołał przypuszczenie okropności pełne.

— A!... czy nas głodem zamorzyć nie zamyślają? — odezwiała się Helena.

Zjedzono zapasy wszystkie, jakie się w domu znajdowały. Pozostawało jeszcze wino w piwnicy.

Widmo głodu ukazało się w perspektywie i tak silnie podziało, że Stefan, który jednak posilił się na wieczerzę należycie, uczuł z góry męczarnie, jakie się rozpocząć dla niego miały od jutra, i zapytał, czy tam czego do przekąszenia nie ma.

— Nie ma nic — odrzekła Helena.

— Nic a nic?

— Ani okruszyny.

— Ach! — westchnął. — Byłoby nam się ruszać z Krupaca!

Głową pokiwał.

Helena, do której wymówka wprost się stosowała, nie rzekła ani słowa. Inna każda na jej miejscu czyżby, korzystając z okazji takiej świetnej, nie zważyła odpowiedzialności całej na męża, pomimo że cała jego wina polegała na tym, iż jej posłuchał? Każda inna uczyniłaby to. Helena nasza atoli nie należała do rodzaju kobiet pospolitych. Nie skorzystała z okazji nastroczającej wyborną sposobność do wywracania kota ogonem — zamilczała, w zadumie się pogrążyła; zamyśliła się nad tym, jak głodowi zapobiec.

Stefan znów zaczął.

— Nie ma więc do przekąszenia nic?

— Nic a nic.

— Choćby chleba kawałek z serem albo ze słoniną?

— Słoniny i sera dziś jeść się nie godzi... piątek.

Myślała, że w ten sposób męża zagada.

— No, to oliwek, cebuli... czegoś takiego.

— Nie ma nic a nic.

— I cóż z tego będzie?

— Jest wino — rzekła.

Stefan westchnął, Helena po wino posłała i postawiwszy przed mężem dzban pełny rozmyślać poczęła nad tym, co to będzie. Rozpacz ją ogarniała, gdy przedstawiała sobie Stefana nie mającego nic do położenia na zębie.

— Dam się mu chyba, niech mnie je — powiedziała sobie w konkluzji.

Konkluzja ta atoli posłużyła jej jako punkt wychodni w wynajdowaniu sposobów zapobieżenia głodowi, sposobów, które, wysnuwając się jeden z drugiego, doprowadziły ją wprost do antropofagii.

— Nie ma rady — mówiła w duchu — Stefan jutro spokoju mi nie da, gdy jeść nie będzie miał co.

Upatrzyła jedną z dziewcząt służebnych i wzięwszy to postanowienie przed się, szła ku następstwom dalszym, wyznaczała kolej służbie całej, doszła do Stefana młodego i do Katarzyny i zatrzymała się nad tym, kiedy pozostanie tylko ich dwoje i kiedy nastąpi pytanie wielkie: kto kogo ma zjeść — mąż żonę czy żona męża? Z pytaniem tym w myśli, roniąc westchnienie po westchnieniu, zasnęła. Śniło się jej, że się znajduje na rożnie, przed płomieniem wielkim, Stefan, z boku siedząc, obraca rożen powoli. Sen ten tak na nią podziałał, że się zbudziła i z krzykiem zerwała.

— Ha, ha!... Och! Uch!

Stefan się zbudził i zerwał także.

— Oj!... Cóż za sen!

— Co?... Czy nie stryj nieboszczyk znów się pokazał tobie?

— Oj! W imię Ojca i Syna... — przeżegnała się.

— Lepiej by stryjek zrobił, żeby tam sobie, gdzie siedzi, siedział i nie pokazywał się, bo oto z jego łaski wpadliśmy w samotrzask taki. Cóż, pokazał się znów tobie? — zapytał.

— Ach! nie...

— Przecież... coś ci się śniło... i to coś takiego, co się sprawdzi niezawodnie, bo oto dzień już prawie... nie widać, jak słońce zejdzie.

Sny nade dnem miewane uważane są powszechnie za sprawdzające się.

Niewesoło się Helenie naszej zrobiło. Podniosła się, unosić się na pościeli poczęła, odpowiedź zwlekała i w tym zapewne celu, ażeby na czasie zyskać, do okna się przysunęła i przez takowe wyjrzała.

Patrzy — o dziwo! Patrzy, oczom własnym nie wierzy. Przypatruje się. Z warty, która dom otaczała, żeby ślad. Ani jednej halabardy, ani jednego wojownika. Chciała krzyknąć, radosną tę nowinę mężowi obwieścić. Pomyślała jednak chwileczkę, na pościel się wsunęła i wzdychając, na dawnym swoim miejscu legła.

— Cóż się śniło tobie? — nalegał Stefan.

— Ach! stanął przede mną, niby żywy... nieboszczyk wojewoda zetański, ojciec mój świętej pamięci.

— Twój ojciec? No?

— Niby żywy... taki takusieńki, jakem go raz ostatni widziała. Stanął przede mną i przemówił... Ach! słowa jego jeszcze mi w uszach brzmią.

— Cóż przemówił?

— Przemówił: Córkó, policzone cierpienia twoje i męza twego. Powiedz mężowi twemu, że czuwamy nad nim z nieba wysokiego. Niech otuchę ma, nie mu się złego nie stanie.

— A nie powiedział: czy będzie co do jedzenia dziś?

— Ach — westchnęła Helena. — Jakem przypomniała sobie, że ojciec mój od lat tylu nie żyje, to taki mnie

zdjął strach, że on jeszcze coś mówił, alem ja już nie słuchała i obudziłam się.

— I czego ty się boisz!

— Albo ja wiem!

— Hm...

Zamilkli oboje. Po chwili, ponieważ to wcześniej jeszcze było, Stefanowi powieki kleić się poczęły — zdrzemnął się i zasnął. Helena zasnęła także, a może śpiącą udawała. Domownicy wczasu zażywali, wiedząc bowiem o pustkach w spiżarni nie mieli najmniejszej do rannego wstania pobudki — spali więc długo wszyscy, aż w końcu nadeszła chwila, w której dłuższe spanie stało się niemożliwym, i nastąpiło budzenie się i wstawanie w domu całym. Stefan wyszedł zostawiając Helenę w objęciach snu jeszcze i na dzień dobry spotkał się z radosną nowiną o zdjęciu obłęzenia.

— Heleno! — wkroczył z okrzykiem do izby sypialnej. — Ano!... A wstawaj! Wojnicy przychodzą po ciebie!

— Co? ha!

— Przychodzą po ciebie wojnicy!

— Jacy? Skąd? Wojnicy, powiadasz!

Odziewała się pośpiesznie i od Katarzyny, która w chwili tej wbiegła, dowiedziała się o istocie rzeczy.

Dłonie załamała i ręce do góry podniosła.

— Panie! niechże ci będą dzięki. Dowiemy się przecie o czymś.

— Ojciec ci się nie bez racji ukazał — zauważył Stefan.

— Jakżeby rzecz taka bez racji działać się mogła!

W chwili tej powietrze napełniło się jękiem wszystkich, jakie się jeno w Sutysku znajdowały, dzwonów. W jęku tym było coś ponurego. Wyraźnym było, że dzwony smutną jakąś wieść światu ogłaszają. Rozmowa się urwała.

Chłaniczostwo i domownicy ich wsłuchali się w drżące tony, zapanowało milczenie, które przerwała Helena:

— Niech kto pójdzie, dowie się, co to jest.

— Nie zapominajcie, że frisztyk z miasta przynieść trzeba — dodał Stefan.

Wnet się osób kilka wybrało, pomiędzy innymi Stefan-syn. Ten ostatni powrócił najpierwszy. Wpadł zadyuszany, z okrzykiem:

— Pogrzeb króla!

— Masz go! — krzyknął Stefan i wykonał rzut obiema na raz rękami, jakby je od ramion chciał odebrać. — A co? — zapytał zwracając się do Heleny.

Helena osłupiała. Zdawało się jej, że zrozumiała machinację całą, po chwili bowiem zawołała głosem pełnym żalu i gniewu:

— A Grgur! Grguraszicz! To on nas tak pięknie wy kierował!

Słowa te były dla Stefana zagadką, której jednak rozwiązać się nie starał, dlatego zapewne, że rozwiązywanie onej na nic by się już nie przydało. Stało się. Król umarł i pierwszy po śmierci jego moment obrócił na korzyść swoją nie kto inny, jeno graf Herman. Przekonanie to podzielała Helena, tylko że ona odsunięcie Stefana od korzyści przypisywała zdradzie Grgura, który jej bezczynność doradził, on zaś upatrywał w tym palec Hansa.

— Ha, szwab przekłety! — powiadał. — Myślałem, że on ze mną ręką w rękę idzie i że ja jego w pole wyprowadzić potrafię, a on mi taką wypłatał psotę! Zamknął mnie!... no... Ale skąd on tych wojników wziął?

Zapytanie to stanowiło, w przekonaniu Stefana, punkt ciemny, który atoli wyjaśniał się za pomocą przypuszczenia, przypuszczalnego zresztą, że w przewidywaniu śmierci starego króla trzymano w pogotowiu wojsko ukryte gdzieś w pobliżu.

Nie wiedział i ani przypuszczał wypadku, jaki Hansa biednego spotkał.

Po Stefanie-synu powracali służebnicy jeden po drugim, przynosząc znaną już wiadomość o śmierci króla. Niektórzy ubierali ją w dodatki dotyczące się ceremonii pogrzebu, opowiadali, jaki ma być rydwan, ilu będzie ciągnion koźmi, ilu księży ma asystować, wiele wosku spotrzebowano na świecie etc., etc. Wszystko to byłyby rzeczy bardzo zajmujące, gdyby nie pewne uczucie upokorzenia, jakie przejmowało Stefana i Helenę. Do uczucia tego wiązała się nieświadomość, co z figurą swoją zrobić. Stefan Chranicz, jako wojewoda chumski, najpierwszy pomiędzy właścicielami, jako wielki wojewoda Bośni i ban, najpierwszy pomiędzy dostojnikami, miał na pogrzebie króla coś do czynienia, a nie wiedział co. Dwudniowe zamknięcie zupełnie go z tropu zbilo. Zachodził tu obowiązek jakiś do spełnienia, który się ocierał o godność obrażoną, domagającą się zadośćuczynienia. Pogodzenie jednego z drugim wprawiało go w ambaras wielki i wobec ambarasu tego traciły na wartości opowiadania służebników i służebnic o rydwanie, koniach, księżach i świecach. I Stefan, i Helena puszczali to mimo uszów. Wszakże mimowolnie niejako uwagę ich zwróciło na siebie opowiadanie owej dziewczynki odważnej, co to najpierwsza zaryzykowała się popatrzeć wartownikom w oczy.

— Szli ludzie — słowa jej — i ja z nimi. Rozpowiadali o wisielcach na bramie, poszłam popatrzeć... Dwie szubienice nowiutkie, a na każdej jeden. Na jednej wisi, jak ludzie powiadali, rycerz Rudolf von Billig.

Stefanowi szeroko się oczy rozwarły.

— Na drugiej — kończyła dziewczynka — wisi Hans Liederbild.

Stefan palce splótł, ręce opuścił, wyciągnął i wydał z siebie pewien rodzaj zawycia:

— Aaajhuu!... To ja nie rozumiem już nic... nic. Zgłupiałem ze wszystkim. Tylem świata objeździł, tylem rzeczy słyszał i widział, a nie słyszałem i nie widziałem nic podobnego. Widziałem husytów topionych, ćwiartowanych, ze skóry obdzieranych, widziałem barona wydającego na spalenie żywych ludzi, co mu życie uratowali. Wieszać jednak swoich ludzi, co przez lat tyle wiernie służyli? wieszać ich za to, że korony królewskiej dopilnowali? no! no!... Ilenko!...

Wziął się za głowę i zwrócił się do żony oczekując z ust jej objaśnienia faktu, który mu się wydawał potwornością wychodzącą poza wszelkie granice.

Helena ramionami wzruszyła, pomilczała chwilkę i tak zaczęła:

— Widzisz, gdzie o koronę idzie, tam nie masz sługi wiernego, przyjaciela, brata nawet, ojca nawet. Korona... o... graf, widać, miał jakąś rację. On sam szwab. Przychodzi do narodu bośniackiego, gdzie szwabów niekoniecznie miłują. Żeby więc, na wstępie samym, narodowi się przypodobać, powiesić kazał dwóch najwierniejszych swoich sług, dlatego że szwaby. Tracąc sługę jednego, drugiego znajdzie. Tracąc koronę jedną, drugiej nie znajdzie. O sługi łatwo, o korony trudno. Czego się dla korony nie robi? Wyrzekają się ludzie dla niej zawiczaju, rodziny, wiary, a nie dopieroż jednego rycerza i jednego szynkarza.

Stefan na to na wskrós racjonalne tłumaczenie mrugał i głową kiwnął na znak, że słowa Heleny do przekonania mu trafiły. Po chwili odezwał się:

— Ha!... chyba że to tak. Nie można lepiej służyć, jak służyli grafowi ten Hans i ten von Billig, zwłaszcza zaś Hans, bo co się von Billiga tyczy, to ten... uhm... kochał cesarzową Barbarę, zresztą był to czop: ale i graf Niemiec, i oni Niemcy, a naród — Bośniacy.

— O to... — podchwyciła Helena z akcentem takim, jakby jej myśl jakaś nagle w głowie błysnęła — gdyby jeszcze powiesić kazał...

— Kogo? — zapytał Stefan widząc, że żona namyśla się niby.

— Grgura Grguraszicza.

— Za co?

— Ot, tak sobie.

— Phi... trudno... To Bośniak prawdziwy.

— Wielka rzecz! Hm?... Ty byś — mówiła cedząc wyrazy — mógł to zrobić, gdybyś się jeno postarał. Potrzeba, żebyś do króla Hermana z hołdem czołobitnym popieszył, puszczając w niepamięć to, że on ciebie przez dwa dni w zamknięciu trzymał. On to zrobił dla korony. A widać, jak mu o ciebie chodzi, kiedy cię potrzymał i puścił. Mógłbyś więc zrobić tak: oddać mu czołobitność, do Krupaca odjechać i stamtąd zęby mu pokazać. On... o ciebie tupać zacznie, a ty jemu wówczas: albo powiesz Grgura Grguraszicza, albo ja ciebie znać nie chcę.

— Ba... ja jemu inaczej jeszcze zaśpiewam: powiesz Grgura Grguraszicza i daj mi hercogską koronę. Mam z nim o koronę układ.

— W traktacie to nie stoi.

— To nic nie znaczy. Była o tym między nami mowa. Helena westchnęła.

— W traktacie stoi wprawdzie — ciągnął Stefan — żem ja obowiązany pomagać mu z siły całej, ale... na cóż on mnie zamknął?

— To ten Grgur Grguraszicz wszystkiemu winien.

— Hans — poprawił Stefan.

— O nie, Grgur Grguraszicz.

— Zresztą, mniejsza tam o to. Chce się tobie, żeby Grgur wisiał, będę się starał, ażeby chceniu twemu zadość się stało. Za skutek nie ręcę, bo jeżeliby, przypuścmy, tak

mi graf, czyli już król, Herman odpowiedział: Dobrze, Stefanie, albo ja ci dam hercogską koronę, albo dla przyjemności twojej powiesić każę Grgura, to... co wybrać w takim razie?

— Oczywiście... koronę — odpowiedziała Helena z westchnieniem.

Westchnienie to zafrapowało Stefana.

— Cóż tobie, jak się zdaje, nie w smak korona hercogska?

— Miało się na widoku królewską — odrzekła, głową kiwając.

— Ha!... cóż robić!

— Gdybyż ten graf Herman był młody! gdyby nie był żonaty!

— No? — zapytał Stefan.

— Mamą dziewczynkę. A to... i stary, i żonaty, i dzieci ma. Ale...

Zaczęła, coś mówić miała, lecz urwać nagle musiała, w tej bowiem chwili wszedł dworzanin z zamku z oznajmieniem:

— Król idzie! Kazał mi uprzedzić dostojność waszą, że przybędzie do niej za pół godziny.

Powiedział i odszedł. Powstało chwilowe zamieszanie. Stefan ogarnął się co żywiej. Helena opatrzyła odzież na sobie i na córce. Uprzątnięto nieco w izbie gościnnej. Stefan nastroił minę na ton godności spokojnej a poważnej i czekał.

Czekał niedługo. — Niebawem w sieniach słyszeć się dał chód wielu ludzi, połączony z brzękiem i szczękiem. Drzwi się otworzyły i, zamiast spodziewanego grafa Hermana, próg przestąpił mąż w sile wieku, wyniosłej postaci, pięknego oblicza, hardej postawy, na widok którego Stefan skamieniał.

Wszystkie zagadki, wszystkie niespodzianki, jakie go spotkały od chwili otoczenia wartą mieszkania, były niczym w porównaniu ze zjawiskiem, jakie mu się w tym momencie w oczy rzuciło pod postacią króla Bośni.

Oslupiał i tyle — czyli stanął jak posąg, nie będąc w stanie ani palcem kiwnąć, ani językiem ruszyć. Helena, Katarzyna, syn, dworzanie spoglądali na niego z ukosa, nie wiedząc, co myśleć o tym osłupieniu małżonka, ojca i wojewody. Niesposób osłupieć dokładniej.

Król, zdaje się, spostrzegł wrażenie, jakie pojawieniem się swoim wywarł, zatrzymał się bowiem o kroków kilka przed nim, popatrzył, powiodł okiem w półkole, zatrzymując nieco wzrok na Helenie i na Katarzynie, przystąpił, w oczy mu spojrzał przeciągle, podniósł rękę, położył dłoń na jego ramieniu i przemówił, dzieląc wyrazy:

— Wielki wojewodo... banie... wojewodo chumski... Stefanie... towarzyszu podróży...

Stefan się ocknął.

— Poznajesz mnie?

— Ja... to... to... ja... — bąknął, wyrazów wykrztusić nie mogąc.

— Nie spodziewałeś się zobaczyć mnie?

— Te... ty... ja... nie... ja... to... to...

— Tomasz, niegdyś Pungicz.

Na słowa te osłupiała Helena. Szczęściem dla niej, ponieważ uwaga obecnych zwróconą była na króla i wojewodę, osłupienie jej przeszło niepostrzeżenie i bez porównania prędzej aniżeli osłupienie Stefana.

— Tomasz Pungicz niegdyś, później innym osłaniający się nazwiskiem — ciągnął król powoli — zawsze jednak Tomasz Ostoicz, król Bośni, syn pobratyma stryja twego. Przychodzę do ciebie pierwszy, a to dlatego, ażeby cię przeprosić za wyrządzoną ci przykrość i przyjaźń ci moja ofiarować. Przykrość wyrządzić ci musiałem dla korony,

przyjaźń ofiarowuję ci dla szczęścia narodu, który nam Bóg powierzył. Ażebyś zaś w szczerość intencji moich uwierzył, oświadczam ci, że ofiaruję rękę moją królewską córce twojej. Pragnę, ażebyśmy my dwaj, ja — król Bośni, ty — wojewoda Chumu, stanowili jedno tak w odniesieniu do poddanych naszych, jak wobec wrogów naszego zawicza, wobec Niemców z jednej, Turków z drugiej strony. No... cóż ty na to?

Przy słowach ostatnich zsunął dłoń z ramienia po rękę Stefana, za dłoń go ujął i wstrząsnął takową.

— Ja na to... — odrzekł Stefan wzruszony. — Ja na to... o!... no!... prędzej bym się śmierci spodziewał.

SZACH KRÓLOWI

W ciągu przemowy królewskiej Helena oprzytomniała zupełnie i kiedy król, po wydobyciu nareszcie pierwszych ze Stefana słów, do niej się zwrócił, to ona była już zupełnie panią siebie.

— Dostojna wojewodzino — przemówił — przyjąć raczcie do siebie wszystko to, com małżonkowi waszemu powiedział.

— O, najmiłościwszy panie! — odparła Helena z uniesieniem — każde słowo twoje przyjmuję jako największy z mogących nas spotkać zaszczyt i odpowiadam hołdem czolobitnym, należnym ode mnie królowi memu i panu.

Ujęła Stefana za rękę, przyklękli oboje i czoła pochylili.

— Dziękuję wam, przyjaciele moi — odrzekł Tomasz, a głos drżał mu rozrzewnieniem.

Wyciągnął ramiona i podniósł ich z kłęczek.

— Widzę wyraźnie, że Bóg mi sprzyja. Jeżeli jeno pójdzie dalej tak, jak się zaczęło, to nim się panowanie moje skończy, Bośnia będzie wielka, potężna i o losy przyszłe swoje spokojna. Zanim jednak do spraw publicznych przystąpimy, mamy pierwszej do spełnienia obowiązek względem króla zmarłego. Dzwony wzywają nas na

pogrzeb. Miejsce twoje — zwrócił się do Stefana — na czele orszaku włascielinów bośniackich. Oddawszy ostatnią zmarłemu usługę, zgromadzimy się na stypie. Żegnam więc was obecnie.

Król odszedł z orszakiem, który mu towarzyszył, Stefan, Helena i dwór ich cały wybierać się poczęli na pogrzeb.

— No, no — zaczął Stefan wkładając na siebie odzież do okoliczności stosowną — wszystko to, jakby się śniło. Tomasz!... ten Pungicz!

— Tak to ludzie o sobie się starają — wtrąciła Helena zapinając na sobie szatę zwierzchnią.

— I wystarał się... I doczekał się. A jaki szczery!

— O, co do tego — podchwyciła Helena, ręką gest odpowiedni robiąc — to nie należy mu dowierzać zbyt. Szczery, zapewne, szczery, ale szczerym by nie był, gdyby ciebie nie potrzebował.

— Bierz Katarzynę.

— Niech bierz... owszem... ale — tu coś przy odzieży wiązała — niech to nas nie wiązuje bynajmniej. Katarzyna na tronie zasiądzie, a my na baczności się miejmy i swego patrzmy. Katarzyna, hm?... to się dobrze stało, że nie ten dziad z Cylei tronu się dorwał. Oddamy mu Katarzynę, potem zaś zobaczymy. Katarzynę mu oddać musimy — dodała — inaczej bowiem on by miał w podejrzeniu ciebie, a tu potrzeba, ażeby się jemu wydawało, że się mu oddaję z duszą i ciałem.

Stefan zawołał służebnika, który począł opinać na nim sprzączki i klamry, i wkrótce potem, on z synem osobno, Helena z córką osobno, wyruszyli na pogrzeb, odbywający się z całym splendorem, na jaki stać było. Dzwony jęczały, księża śpiewali, woń kadzideł zaduch w powietrzu sprawiała, płaczki jęki rozdzierające na echa rzucały, karawan, kirem osłonięty i przez osiem koni w czarnych

kapach ciągniony, poruszał się zwolna przez miasto ku bramie, ażeby, wyjechawszy za bramę, objechać gród i wtoczyć się do miasta inną bramą celem zawiezienia trumny do kościoła i złożenia takowej w podziemiach świątyni. Przed karawanem i za karawanem postępowali ordynkiem, ze spuszczonej głowami i z żółtymi w rękach świecami, byli poddani byłego monarchy, jedni pieszo, inni na koniach, jedni bez broni, inni w stal zakuci, w pióropusze i kity na hełmach strojni. Król szedł tuż za trumną z głową odkrytą.

Gdy kondukt przez główną przechodził bramę, wszyscy, co mu towarzyszyli, mimowolnie głowy podnosili do góry, darząc spojrzeniem dwa słupy wznoszące się wysoko i zaopatrzone w poprzecznice, na których, na naprzężonych mocno postronkach, wisały dwa ciała ludzkie, jedno w kurcie, drugie w kaftanie łosiowym, w dużych z wielkimi ostrogami butach i z wielką czarno-żółtą szarfą do ramienia przyszytą. Nie było prawie pomiędzy przechodzącymi jednego, co by spojrzawszy nie rzucił przez zęby wyrazów z przyciskiem wymówionych:

— A! szwabę przekłętą!

Z tego się pokazuje, że powieszenie dwóch tych osobistości wchodziło do kategorii tych czynów, które znanymi są pod ogólnym mianem „kroków politycznych“.

Z tego się pokazuje, że Tomasz zdolnym był do kroków tego rodzaju.

Przypominamy sobie, iż Helena, kiedy się jej wydawało jeszcze, że tron zajmuje graf Herman, dowiedziawszy się o smutnym losie, jaki spotkał powiernika grafa i kochanka siostry jego, objaśniła wypadek ten w duchu kroku politycznego.

O!... była to niewiasta minister.

Nie wiodło się jej. Jest to tylko dowód, że powodzenie nie zawsze bywa miarą wartości, która, jak roślina, wy-

maga warunków odpowiednich co do gruntu i klimatu, ażeby się mogła rozwinąć i plon wydać. Temu, co ona dotychczas robiła, nie było do zarzucenia nic pod względem stosowności i determinacji. Gotowa była na wszystko, byle celu dopiąć; umiała nad sobą panować, umiała się naginać i nadarzające się okoliczności w lot chwycić: jejże wina, że okoliczności, wyprowadziwszy ją z Skodry do Krupaca, włożyły jej od razu pęta na nogi? Tak jednak, jak ona w tych pętach szła, nie każda by iść potrafiła. Takim jest nasze o tej niepospolitej kobiecie zdanie. Wolno je podzielać lub nie, nie wolno atoli nie przyznać, że działalność jej naturą swoją wchodziła w ten zakres, w którym odbywa się bezwzględne wyzyskiwanie człowieka przez człowieka. W zakresie tym okoliczności służą jako sprzymierzeńce: podchwytuje się je, porzuca, przerzuca się nimi i idzie się, idzie, wciąż dalej a dalej.

Bywa tak, że się zabrnę w położenie takie, że ani rusz. W razie takim kto winien? — naturalnie... okoliczności. Jest to winowajca, na barki którego zwała się pospolicie odpowiedzialność za wszelkie na świecie niepowodzenia, bez względu na to, że większa część takowych odnosi się przyczynami do powodzeń osiągniętych na drodze bezwzględnego wyzyskiwania człowieka przez człowieka. Na tej drodze niestety rozwinęła się polityczno-społeczna organizacja Serbii, Bośni, Chumu etc., prowadząca dla pierwszej moment wielkości, która snem uroczym była, dla drugiej i dla innych pragnienia - apetyty, wcielone w takiego Twrtka nieboszczyka, takiego Tomasza, losów faworyta, w takiego Stefana przez fale unoszonego, w taką Helenę na koniec, gotową wyzyskiwać uczucia, przekonania, przesady, wiarę, męża, dzieci, siebie samą. Ta szła, brnęła.

Pogrzeb odbył się z całym możliwym splendorem. Po pogrzebie stypa wspinała zgromadziła na zamku wszyst-

ko, co Bośnia najznakomitszego posiadała. Tomasz prosił Helenę o pełnienie funkcji gospodyni. Helena z ochotą się tego podjęła i wywiązała się z przyjętego na się obowiązku ku wszystkim i własnemu zadowoleniu. W jednej komnacie zasiadały niewiasty, w drugiej stół długi otoczyli mężczyźni, wśród których miejsce naczelne zajął król, posadziwszy z jednej strony obok siebie Stefana, z drugiej cudzoziemskiego gościa jakiegoś, względem którego okazywał uprzejmość wielką. Kto by to był, Stefan nie wiedział, lecz dowiedział się niebawem.

— Przyjaciół nasz i pobratym — rzekł król do Stefana, ukazując na cudzoziemca ręką — Janko Huniady.

Stefan o Huniady słyszał. Przebiła się już nad poziom sława jego, poczynając zwracać na niego uwagę powszechną. On to Tomasza Ostoję na tron wprowadził na złość i przekorę rodzinie hrabiów cylejskich, która go nienawidziła i której on nienawiścią odplacał. On to był autorem rozporządzeń odnoszących się do sposobu wyzyskania pierwszych chwil po śmierci Twrtka II. Za tego to sprawa użyć się dał Grgur Grguraszicz. Jego to wojska oblegały Stefana i w momencie stopy maszerowały przeciwko wojskom prowadzonym osobiście przez grafa Hermana, pośpieszającego za późno w celu upomnienia się o prawa swoje.

O prawach tych była przy stole mowa. Król w materii tej odzywał się niewiele, a każde słowo jego cechowało umiarkowanie; Huniady rzucał od czasu do czasu słówko, częściej jednak uśmiechał się złośliwie; Stefan nie odzywał się wcale, z powodu traktatu, którego wspomnienie zawadzało mu niejako. Za to inni pozwalali sobie i na żarty, i na przycinki, i na epiteta niekoniecznie dźwięczne, chociaż wyraziste. Wyraz „szwab“, wymawiany z akcentem odpowiednim, słyszeć się dawał często, wywołując uwagi mające w stosunku do czasów owych do-

niosłość polityczną, a dotyczące się religijnego wyznania. Tomasz był wyznawcą kościoła wschodniego, dlatego też przy stole nie zasiadał ani legat, ani żaden z duchowieństwa miejscowego. Stypa miała charakter czysto świecki i na wskróś rycerski; była to stypa, a zarazem uczta poprzedzająca wyprawę wojenną, do której biesiadnicy nastrajali się niejako. Dziś ucztowali, nazajutrz w pochód wyruszyć mieli celem połączenia się z wojskami Huniadego i zgromienia Niemców.

Pod koniec tej połowy uczty, która posiłek stanowiła, a na początek tej, która do pijatyki prowadziła, król powstał i głos zabrał.

— Wysoko urodzeni, urodzeni, dostojni właścielinowie, rycerze, junacy. Oznajmiam wam wszem wobec i każdemu z osobna wiadomość, która serce nasze królewskie wielką napęśnia radością i która, nie wątpimy, radością będzie i dla was, przejętych pragnieniem pomyślności dla ojczyzny naszej. Obecny tu, dostojny a najmilszy przyjaciel nasz, Stefan Chranicz Kosacz, wielki wojewoda Bośni, ban, wojewoda i pan dziedziczny Zachłumia, daje nam córkę swoją jedyną... córkę swoją — tu się zaciął nieco, chcąc powiedzieć córki owej imię, którego nie znał wcale — daje nam córkę swoją za małżonkę.

— Żiwo! — zabrzmiał okrzyk grzmotliwy, który królowi mowę przerwał.

— Daje nam córkę swoją za małżonkę — ciągnął król dalej, gdy cisza znów nastąpiła — i przez to zespala się z nami w jedno, w celu pracowania na wielkość i pomyślność tej otaczbyny naszej. Jutro, wysoko urodzeni, urodzeni, dostojni właścielinowie, rycerze, junacy, poprowadzimy was na bój, dziś wzywamy was, ażebyście byli świadkami obrządku zrękowin. Jeżeli Bóg, co patrzy na nas z nieba wysokiego, pozwoli nam powrócić w laurach

zwycięstwa na hełmach, odbędziemy niezwłocznie obrządek ślubny, na który was z góry zapraszamy.

Ponowne „żiwio“! odpowiedziało na ostatnie króla wyrazy.

Okrzyki te dochodziły do komnaty, w której niewiasty bakaliarni pieczenie zagryzały i winem słodkim zapijały. Z komnaty do komnaty latały wieści, na skrzydłach których słowa królewskie dostały się do uszów wszystkich niewiast, nie wyjmując Katarzyny, wysadzonej nagle a niespodziewanie na wysokie stanowisko oblubienicy królewskiej. Posypały się, niby z rogu obfitości, życzenia i powinszowania, wnioski i wywody, żarty nawet. Głos powszechny uznawał jednoznacznie, że Katarzyna stworzona na królowę. Katarzyna krasniała, oczy spuszczała — ledwo wiedziała, co się z nią działo; a kiedy zgromadzenie całe, w obudwóch swoich połowach, męskiej i niewieściej, przeniosło się do sali tronowej i kiedy doprowadzona przez matkę stanęła obok oblubieńca królewskiego, wobec kapłana trzymającego w ręku srebrną tackę a na niej dwa pierścionki złote, to... powiedziała wszystko, co jej podpowiedziano, i przyrzekła wszystko, czego od niej żądano.

Dzień pogrzebu zakończył się wesoło.

Przedugodne punkta ślubne nie przedstawiały trudności najmniejszych, jedyna bowiem, która by mogła przeszkodę stanowić, różnica wyznań, zachodząca pomiędzy Tomaszem a Katarzyną, usuniętą została przez Helenę.

— Mogłam ja dla województwa przejść z obrządku greckiego na łacinizm, może ona dla królestwa przejść z łacinizmu na obrządek grecki.

Nazajutrz niewiasty zajęły się przygotowaniami ślubnymi, mężowie poszli na wojnę. Stefan wystąpił przeciwko sprzymierzeńcowi swemu w koni kilkanaście, które w połączeniu z tym, jakie dostawili inni właścielinowie,

sformowały oddział jazdy dochodzący do półtrzecia sta głów. Piechoty przy oddziale tym nie było wcale. Piechota, całkowicie węgierska, poszła przodem — należało ją dopędzić. Tomasz ze znajomością rzeczy uporządkował szyki, dzieląc oddział na dwa skrzydła i na środek i ustawiając takowy do pochodu prawym skrzydłem naprzód. Nad skrzydłem tym postawił Stefana, sam objął dowództwo środka, skrzydło lewe powierzył jednemu z włastielinów, którego nie wymieniamy z powodu, że ani wprost, ani ubocznie do naszego powieściowego nie wchodzi opowiadania. Huniady towarzyszył, pozornie w roli gościa, w istocie zaś w charakterze wodza naczelnego tak nad jazdą, jak nad piechotą. Liczba tej ostatniej, na kompanie podzielonej, nie dochodziła tysiąca żołnierzy, rozpadających się stosownie do uzbrojenia na włóczniarzy i łuczników a oraz na strzelców w samopaly uzbrojonych, po kilku do każdej przydzielonych kompanii.

Nie będziemy pochodnych opowiadali wydarzeń. Nie zdarzyło się zresztą nic osobliwego. Wojsko ciągnęło — wypoczywało, nocowało; noclegowanie powtórzyło się razy siedem, zanim nastąpiło połączenie się jazdy z piechotą. Stało się to nad wieczorem, w obliczu nieprzyjaciela, który zrazu spotkania unikał, lecz otrzymawszy posiłki zwrócił się i bitwy szukał. Spóźniona dnia pora nie dozwoliła zadośćuczynić pragnieniu stron obu, pragnieniu ze strony Tomasza tym gorętszemu, że niektórym z włastielinów pochód zaczynał się już przykrzyć — krzywili się i niekoniecznie dobry okazywali humor, a nawet ten i ów odzywał się, to że gospodarstwo na bożej zostawił łasce, to że mu z kopalni sebrowie pouciekają, to że przypada właśnie doroczny a bardzo dla niego ważny trg, to że mu do niewiasty potrzeba. Potrzebował więc Tomasz spotkania jak najrychlej, ażeby dotrzymać w całości jazdę,

która byłaby się może już rozjechała, gdyby nie nadzieja na wesele królewskie, mające się odbyć za powrotem.

Wojska przeciwne spędziły noc przy biwakach i nazajutrz, skoro świt, uszykowały się do boju. Tu wysunął się Janko Huniady naprzód. Znajdował się na polu bitwy, jak gospodarz w gospodzie własnej: rozporządzał, ustawiał, przeprowadzał, nakazywał, żart od czasu do czasu rzucił, tych ukrył, owych wystawił — piechotę wyciągnął w linię z przerwami, uszykował jazdę w trzech kolumnach i naraz jedne oddziały pchnął naprzód, inne zatrzymał, inne znów wyprowadził na boki. Bitwa się zawiązała. Wyrzwały, okrzyki: „*eliure*“! z jednej, „*vorwärts*“! z drugiej strony, rozkazy wodzów, szczęk oręża, tętent koni sprawiały w powietrzu wrzenie hałaśliwe. Na stronie przeciwnej piechota znajdowała się w liczbie małej, jazda przemagała! Janko w taki manewrował sposób, ażeby jazdę nieprzyjacielską wystawiać na ciosy, pozbawiając ją z góry możliwości odwetu. Ta kilkakrotnie rzucała się bądź w próżnię, bądź też na przeszkody nie do przełamania, natraciła jeźdźców i koni sporo, aż na znękaną i na ducha podupadłą pchnął wódz z przodu i z boków jazdę bośniacką. Pogarnęli się Bośniacy na jurisz. Hufiec środkowy poprzedzał król, przed prawoskrzydłowym — wichrem na dzielnym koniu — pędził Stefan. Rezultat był do przewidzenia. Rycerstwo niemieckie, od razu złamane, poszło w rozsypkę. Wszczęły się gonitwy za umykającymi pojedynczo. Bośniacy rąbali i w niewolę brali, najzawzięciej zaś zaciekał się wojewoda chumski, walczący przeciwko sprzymierzeńcowi swemu, z którym traktat uroczyście zawarty i formalnie podpisany spoczywał w Sutysku wraz z dyplomami od cesarzy i książąt uzyskanymi.

O! traktaty...

Bitwa świetnie została wygrana. Obóz niemiecki wpadł w ręce zwycięzców. Nocowano na pobojuwisku. Nazajutrz

dzielono łupy. Król dla siebie nie zachował nic, z wyjątkiem dokumentów znalezionych w namiocie grafa. Pamiędzy dokumentami znajdował się: traktat z Twrtkiem II, tyzczący się następstwa tronu, i traktat ze Stefanem, tyzczący się przymierza. Ten ostatni, gdy rupiecie grafa segregowano, poznał Stefan z wierzchu jako drugi egzemplarz tego, który u siebie przechowywał. Gorąco mu się zrobiło. Byłby dał wiele, ażeby móc go zniszczyć pierwej, zanim się król w nim rozpatrzy. Nie było jednak sposobu. Tomasz starannie schował dokumenty wszystkie, pozostawiając na później rozpatrzenie się w takowych.

Korpus zwycięski do granicy jeno niedobitków ścigał, a przekonawszy się, że łapy jednej z armii grafa nie pozostaje w Bośni, cofnął się i w Banialuce stanął, zatrzymując się tam na dni kilka, tak dla wypoczynku, jako też do załatwienia spraw niektórych, tyzczących się Tomasza. Nowemu królowi chodziło o pozyskanie umysłów. Zwołał więc włastielstwo okoliczne, odbierał hołdy, wykonywał sądy, godził powaśnionych i traktował ludzi wpływo-wych. Stefana czekała tu nowa niespodzianka, która go mocno obeszła.

O niczym, rzecz naturalna, więcej nie mówiono jak o kampanii tak prędko i tak świetnie zakończonej. Rzecz również naturalna, podnoszono świetność onej do rozmiarów, które co godzina niemal wzrastały w cenie, wielkości, i pomnażano co moment liczbę wojsk dowodzonych przez grafa Hermana. Z istotnej ilości około dwóch tysięcy liczba rosła stopniowo na dwa tysiące pięset, na trzy tysiące, na cztery tysiące, na pięć tysięcy itd. Że Stefan z bitwy w blasku heroizmu, jakim go waleczność otoczyła, wyszedł, więc nie protestował; że nie protestował, więc i sam poczynął wierzyć w ogromną pokonanego przeciwnika siłę. Raz atoli przyszło mu na myśl, skąd graf mógł tyle rycerstwa nabrać.

Rzucił tę myśl, w formie zapytania, w gronie vlastie-
linów, w obecności króla, i wywołał odpowiedź nastę-
pującą:

— Cesarz mu posiłki nadesłał. On też spotkania uni-
kał póty, póki posiłki cesarskie nie nadciagnęły.

— Chybaż się on z cesarzem pogodził — odparł
Stefan.

— Nigdy się z nim nie kłócił — odrzekł król.

— Jak to! — zawołał Stefan. — Znam te sprawy do-
skonale. Cesarz cierpieć się nie może z cesarzową wdową,
a z tej racji cierpieć też nie może i brata cesarzowej
wdowy.

— Cesarzowa wdowa brata żadnego nie ma. Ma sy-
na — ktoś wtrącił.

— Nie ma syna i nigdy go nie miała! — zaprotesto-
wał Stefan.

— Nie miała za życia cesarza, urodził się po śmierci.

— Skąd! jak! Jaż przez rok cały był przy niej! Na
syna się ani zanosilo, ani zanosić mogło! — zaprote-
stował Stefan.

Zawiązała się sprzeczka ostra, którą rozstrzygnęła in-
terwencja królewska. Tomasz poznał, że Stefan pozostaje
w nieświadomości we względzie zmian, jakie w cesar-
stwie zaszły, i mówiąc o cesarzu, mówi zawsze jeszcze
o Albercie II.

— Tobie, teściu — teściem go już anticipative tytu-
łował — na myśli cesarzowa Barbara, jak mi się zdaje.

— No, tak... siostra grafa Hermana, wdowa.

— Przybyła niedawno druga cesarzowa wdowa, Elżbie-
ta, córka cesarza Zygmunta, a małżonka cesarza Alberta.

— Na! — zawołał. — Nic o tym nie wiedziałem. Któż
więc tron cesarski objął?

— Fryderyk III.

— Który Fryderyk?

— Z Gracu.

Aż podskoczył Stefan na siedzeniu na słowo ostatnie i wywoływać począł:

— Ano!... A co!... A widzicie go!... Aha!... Tfu!... — w końcu splunął.

— Ba... — zabrał król głos — nieboszczyk cesarz Albert byłby nie tylko ani jednego grafowi rycerza nie dał, aleby jeszcze przeciwko niemu wojsko posłał, ale umarł i grafowie cylejscy wnet inaczej stanęli.

Stefan zamilkł i w zamyślenie wpadł. Jakoweś mu się kombinacje w głowie kłębić poczęły, lecz kłębka owego nici schwycić nie mógł. Coś mu się zdawało, coś mu się rojiło — frasował go traktat będący w posiadaniu króla — nie był w stanie myśli jasnej z powikłania tego wysnuć, dał więc myśleniu pokój i odłożył rzecz całą do rozmówienia się z Heleną.

Z Baniałuki Huniady odjechał do Węgier, drużyna zaś królewska wraz z królem pociągnęła do Sutyska i, poprzedzona sławą, wkroczyła do stolicy tryumfalnie. W przyjęciu przez ludność było dużo szczeroci z powodu zwycięstwa nad Niemcami, których dwie próbki wysychały na bramie. Mówiono, że liczba ta powiększy się w dziesięciornasób, to jest, że na każdej z bram, a było ich cztery, po pięciu wybranych sponędzy niewolników szwabów powieszą. Oczekiwano na to, lecz zawiedziono się w oczekiwaniu. Zamiast spektaklu tego, nastąpił spektakl wesela królewskiego, odprawionego z przepychem wielkim.

Katarzyna królową została.

Trafiło się jej to, jak się wypadki podobne przytrafiają pasterkom i macoszom córkom w bajkach, przeprowadzających piękne dziewczęta wprost z ubogiej chałupki do pałacu kryształowego i oddających je królowiezom w objęcia. Katarzyna nie była ani pasterką, ani córką macoszą,

ale wychowała się w sferze, która jej królewicza, a nie dopieroż króla, do rojeń dziewiczych nie wprowadzała. Przy tym matka na zbyciu ją niejako miała. Wyżej wspominaliśmy, iż gotową by była wydać ją za garbatego Sretka, gdyby to jej widokom we względzie doścignienia jakiego zajączka dogadzało. Trafił się król, wydała ją za króla. Przyszło to Helenie tak samo, jak niegdyś narażenie pocziwego kapelana na kompromitację, gdy w kompromitacji tej ujrzała sposobność ściągnięcia ludzi na od-ludzie. Pochwyciła sposobność w lot — doprowadziła córkę pod wieniec i oddała ją zięciowi, nie w tej myśli, że córkę uszczęśliwia, ale w tej, że króla szachuje i przez to rozwiązuje sobie ręce do działania w kierunku tym lub kierunku owym, jak wypadnie.

KOLCE W RÓŻY

Nie masz róż bez kolców. Nie masz powodzeń bez przykrości.

Wydanie córki za króla uważać mogli słusznie bardzo Chraniczostwo za powodzenie, którego sobie winszować i którym się cieszyć prawo mieli. Cieszyli się też tym i szczerze, Stefan zwłaszcza, który nie był tak głębokim w braniu rzeczy jak małżonka jego. Odprawili wesele i nie mając już nic w Sutysku do czynienia, wybierali się z powrotem do Krupaca. Stefan wzdychał do domu, czując się znużonym nieco, tak wrażeniami, jakie nim wstrząsały, jako też pewnym rodzajem wyprężenia etykietalnego, w jakim ustawicznie trzymać się musiał jako teść królewski. Etykieta wprawdzie nie była mu rzeczą obcą — znał się z nią, ale z jednej strony uważał ją jako dług spleacony, z drugiej, na dworze cesarskim nawet nie była ona tak uciążliwą jak w tej małej mieścinie, w której człek nie kichnął, ażeby wnet o tym nie wiedziano i wypadku tego w rozwlekłe nie zaopatrywano komentarze. Na dworze cesarskim była etykieta; tu zaś coś innego. Tam rzecz cała polegała na ruszaniu się na tempa; tu tempów nie znano i wymagano nie przyzwoitości, a moralności, której źródło z tronu biło. Rzecz ta była całkiem dla naszego Stefana nowa; dubrowniczanim na tronie nie

smakował mu; nałamywać się zaś do tego nie pora już była ojcu dzieci dorosłych. Czuł się niejako krępowanym przez zięcia, który rolę swoją wzoru narodowi świecić mającego brał na serio i zawadzał teściowi, lubiącemu swobodę w jedzeniu, w piciu, w leżeniu i w innego jeszcze rodzaju dogadzaniu sobie. Zresztą był wojewodą, był panem udzielnym prawie: cóż mu była za niewola siedzieć z daleka od domu i stosować się do fantazji czyichś!

Wybierał się więc wkrótce po weselu; Helena podzielała ochotę jego, co się powrotu do Krupaca tyczy; poszedł do króla w celu oznajmienia mu o postanowieniu swoim i natknął się u niego na konferencję, w której główną rolę odgrywał legat papieski.

Monsignor Tomasini znajdował się od czasu intronizacji Tomasza w położeniu nader drażliwym. Zadanie jego wywróciło się, niby dziecinny domek z kart. Przybył na inne zupełnie gody. Śmierć nie nader gorliwego Twrtka ukazywała mu w perspektywie panowanie żarliwego Hermana. Tu zaś, nad spodziewanie wszelkie, zrobił się z panowaniem volte-face — tron zajął wyznawca kościoła wschodniego, nie pytany, nie proszony, a przy tym po trosze i zagadkowy, wystąpił bowiem zrazu nieprzyjaźnie, zamykając biskupa na dni dwa, zupełnie tak, jak zrobił z Chraniczostwem, następnie atoli warta ustąpiła i żadna mu się krzywda nie działa. Obok tego nie zanosilo się wcale na prześladowanie wyznania zachodniego. Legat wyczekiwał, wywiadywał się, przekonał się, że swoboda odjęta nie jest, zarazem obily się o uszy jego tony Modlitwy Pańskiej, akcentowane na sposób patareński. Tego to już było mu za wiele. Z powodu zrośnięcia się, jakie w dawniejszych istniało czasach, religii z bytem państwowym tolerancja, w wieku mianowicie XV, uchodziła za coś potwornego, pojąć się nie dającego, w żadnym razie i pod żadnym pozorem cierpianym być

nie mogącego. Jedynym wówczas krajem, w którym ona istniała, była Polska, toteż nie używała ona opinii najlepszej. Gdy przeto pokazało się coś podobnego w Bośni w pierwocinach panowania Tomasza, który, sam będąc wyznawcą kościoła wschodniego, nie prześladował wyznawców obrządku łacińskiego i nie słyszeć się zdawał „Ojczenasza“ odmawianego po patareńsku, monsignor Tomasini wziął przed się postanowienie rozmówić się z nim na rozum. Zażądał posłuchania. Takowe udzielonym mu zostało i wypadło w tym dniu i w tej godzinie, w której Stefan wszedł do zięcia.

Stefan zastał biskupa w chwili, w której poczynął wytyczne stawiać na drodze wywodów mających go do przedstawienia doprowadzić.

Biskup zamilkł nagle.

— To mój teść — rzekł Tomasz — słuchamy tedy świętobliwości waszej.

— Prosiłem waszej królewskiej mości o chwilkę rozmowy we cztery oczy.

— O ile się domyślamy z tego, co świętobliwość wasza powiedzieć nam raczyła, to rozmowa tyczy się interesów obchodzących zarówno nas, jak dostojnego teścia naszego. Chum stanowi część Bośni, zależąc od zwierzchnictwa naszego, dlatego też prosimy waszej świętobliwości mówić przy teściu naszym, uważając nas dwóch za osobę jedną.

— Jeżeli taka waszej królewskiej mości wola — odrzekł biskup głowę pochylając i oczy zmrużając.

— Powiadasz tedy świętobliwość wasza? — zapytał król.

— Powiadam, że z tego wychodząc stanowiska, na którym mnie Opatrzność postawiła, można do pewnego stopnia uwzględniać i nawet uznawać kościół, na łonie którego pozostaje wasza królewska mość. Stolica aposto-

ska czyni to nawet, wchodząc z pasterzami kościoła tego w umowy, w układy; uznaje więc onego istnienie, z tym bowiem, co nie istnieje, umawiać by się ani układać nie mogła, a uznaje to istnienie dla tego już samego, że kościół ów posiada hierarchię, że posiada pasterzy i arcypasterzy, i głowę duchowną, i ramię świeckie, że jest, jednym słowem, istotą. Pragnie, ażeby powrócił on na łono powszechności, gdzie jest trzoda jedna i pasterz jeden, lecz czeka cierpliwie, aż spodoba się Wszechmocnemu jedność tą sprowadzić. Ale znieść, ścierpieć nie może herezji, gdzie nie ma nic, jeno szatan widomy, gdzie nie istnieje nic, tylko podeptanie wszystkich praw i postanowień podanych przez ojców kościoła, przez sobory ekumeniczne, przez patriarchów i ojców świętych, gdzie odbywa się praca podziemna, podkopująca wiarę, kościół i społeczność. Owóż ja, w moim charakterze kapłana, przychodzę do waszej królewskiej mości, dzierżącej władzę nad tym krajem, ze słowem ostrzeżenia. Najjaśniejszy panie, w owczarni, nad którą ramię się twoje rozciąga, są wilcy. O uszy moje obija się ich wycie.

Król, wysłuchawszy do końca w milczeniu i wyciekawszy chwilę, azali się biskup nie odezwie jeszcze, odrzekł:

— Za ostrzeżenie dziękujemy świątobliwości waszej. Przechodząc przez ciężkie w życiu naszym próby, miewaliśmy sposobność na własnej osobie naszej robić doświadczenia, które nam niejedną odkryły tajemnicę, a między innymi i tę, że prawo „kochaj bliźniego“ odnosi się do każdego człowieka, bez różnicy wiary i wyznania. Skutków miłości bliźniego doznaliśmy na sobie ze strony Żydów, heretyków i łacinników. Zostawszy przez Opatrzność na tron wprowadzonymi, chcemy we względzie tym być przykładem dla poddanych naszych i powzięliśmy postanowienie nie zapytywać nikogo o wiarę i wy-

znanie. Chcemy być ojcem zarówno dla wyznawców kościoła wschodniego, dla łacinników, dla patarenów, dla Żydów, dla muzułmanów nawet, gdyby się takowi wśród poddanych naszych znaleźli. Zamierzamy być sędzią nie sumienia, ale uczynków, i szanować zarówno wszystkich dobrych synów ojczyzny i ludzi pocziwych.

Biskup wzniosł oczy do góry, zamknął je, głową lekko pokiwał, nagle zerwał się, wyprostował, zdawało się, że podrósł, w oczach mu ogień świecił; wyciągając rękę, zawołał z mocą:

— Baczże, mości królu, ażeby się nie osunęły pod tobą podwaliny tronu, na którym siedzisz! Tron postawiony na wszystkim, a wszystko jest niczym; jeżeli braknie mu na cemencie opoczystym, runąć musi!

Na Stefanie słowa te sprawiły wrażenie silne. Oczy szeroko otworzył.

Tomasz odpowiedział spokojnie:

— Będziemy sobie radzili, starając się, ażeby się nie sprawdziła przepowiednia świątobliwości waszej.

— Droga to nowa i niebezpieczna.

— Nie po bezpieczniejszych chodzili poprzednicy nasi. Spróbujemy więc tej nowej, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. Dubrownik nią idzie i nienajgorzej mu się z tym dzieje.

— To tam, królu, wzory czerpiesz? — zapytał legat tonem ironią zacieniowanym.

— Czerpię je tam, gdzie pomyślność widzę.

— Gdzie cielca złotego na ołtarzu postawiono i kłaniają się mu? Gdzie...

Przy słowie ostatnim zająknął się niby, uśmiechnął się i dodał:

— Ha!... zrobiłem, co do mnie należało. Nie pozostaje mi jak prosić cię, panie miłościwy, o pozwolenie wydalenia się sprzed oblicza twego.

— Świętobliwość wasza nie opuszcza jednak stolicy naszej? — zapytał król.

— Mam ten zamiar. Jeżeli wasza królewska mość mi pozwoli, objadę domy nasze w celu uczynienia wizyty kościelnej.

— Pozwalamy najchętniej.

Po słowach tych biskup pożegnał króla.

— A co, teściu! — przemówił Tomasz do Stefana. — Bylebyś jeno zechciał ważki w rękę trzymać tak, ażeby szale równo stały, masz natychmiast przestrogi i pogróżki. Monsignor wolałby, ażebym przeciwko łacinników prześladowanie nowe zarządził. Zobaczymy. Zobaczymy. Nie mogę się przeciwko nikomu srożyć za wiarę, bo... pamiętasz? — zapytał — w Cylei zniknięcie moje?

— A!... — zawołał Stefan. — Nie przyszło mi na myśl zapytać ciebie, jak to było.

— Ano... Młodość, nieogłędność, gorąca krew... zdradziłem się z piętnem wyciśniętym przez ojca. Poznałem niebezpieczeństwo, w jakie się wprawiłem. Uciekłem. Wiesz u kogo przytułek i przechowanie znalazłem?

— A?

— U Żydów. Przechowali mnie, nie wiedząc, kto jestem. Przewieźli do Wesprymia, gdzie trafiłem do Węg-rów, należących do stronnictwa cesarzowi Zygmun-towi nieprzychylnego... no i w ten sposób ucho-wałem się aż do chwili, w której mogłem na tron bośniacki wstąpić...

— Bre... bre... — zadziwił się Stefan.

— Widywałem ciebie niekiedy.

— Jak? Gdzie?

— W Budzie. Byłem świadkiem tryumfu twego na turnieju, kiedyś to pokonał grafa... grafa... von?...

— Krach — odpowiedział Stefan.

— Zapomniałem nazwiska jego. Następnie szukałem ciebie w orszaku cesarskim, kiedyście wyjeżdżali do Lucka.

— Siedziałem w kolasie z cesarzem.

— Toteż nie znalazłem ciebie... Ale za to spotkałem cię raz w biurze signora Gaetano.

— Cóż tam robił?

— Na ręce jego otrzymywałem zasiłki pieniężne.

— Od niego dostałem wiadomość o tym, że żyjesz.

— Jam go upoważnił, a nawet prosił o udzielenie ci wiadomości tej.

— Bre... bre... bre... — kiwał Stefan głową.

W chwili tej pojawiła się w królewskim gabinecie postać niewieścia, wdzięku uroczego pełna, młoda królowa, cacko prawdziwe w postaci mężatki młodej.

— Przeszkadzam? — zapytała, na progu się zatrzymując.

— Bynajmniej — była odpowiedź królewska. — Przeszkadzałaś przed chwilą, chociaż ani mnie, ani ojcu twemu. Był tu monsignor Tomasini, który się domagał prześladowania patarenów.

— Prześladowania? — rzekła tonem zdziwienia, jakby sam ten wyraz był jej obcym.

— Wypędzania z kraju, obcinania im języków, wieszania, ścinania, ćwiartowania, obdzierania ze skóry, sadzenia na koły, palenia na stosie, gotowania w oleju.

Oczy młodej kobiety napełniły się wyrazem przerażenia.

— I cóż to księdzu biskupowi! i za cóż to!... Patareni? Cóż oni złego czynią? Stepkowicze?

— Masz, jak widzę — odezwał się król żartobliwie — znajomości pomiędzy nimi.

— Znam Stepkowiczów, Radosława i Radiwoja, przyjaciół szkolnych Władysława. Nie na prześladowanie oni,

a raczej na naśladowanie zasługują. Cóż to księdzu biskupowi na myśl przyszło! W takim razie — dodała z przymileniem — królu mój i panie, prześladowanie rozpocząć musiałbyś od osoby mojej.

— Widzisz, ojczec... o... — rzekł Tomasz do Stefana. — Pod monarszą koroną patarenka.

— Nie wiem, czym patarenka, to tylko wiem, że po patareńsku Modlitwę Pańską odmawiam i że odpuszczanie win winowajcom uważam za rzecz nie tylko piękną, ale dobrą i bardzo, bardzo pożyteczną. A miłość bliźniego?.. Toć chyba ksiądz biskup patarenów za bliźnich nie uważa!

— Oczywiście nie, kiedy ich wilkami nazywa.

— Wilkami! — krzyknęła. — Chyba ich nie zna! Chyba ktoś nagadał na nich przed jego świętobliwością! Przekonana jestem, że gdyby się z nimi poznał bliżej...

— To i co? — zapytał król żartobliwie. — Przypuszczasz może, iżby się sam spatarenił?

— Kto wie...

— Uczyniłby to może, ale w takim jeno razie, gdyby patareni posiadali biskupów, arcybiskupów, kardynałów i głowę kościoła. A oni tego nie mają wcale. Dlatego też niebezpiecznymi nie są bynajmniej, bez hierarchii bowiem — dodał serio — cały ich wpływ, całe znaczenie i cała działalność ograniczyć się musi na praktykowaniu cnót chrześcijańskich. Nieprawdaż, teściu? — zapytał.

— Tak, hm... — odpowiedział Stefan czując w powietrzu traktat moralny, którym go zięć uraczyć zamierza, i myśląc nad tym, jakby to rozmowę nakręcić na przedmiot, z którym do króla przyszedł. — Słyszałem to od Pietra Stepkowicza. Zobaczę się z nim niebawem.

— Czy i z Radosławem, i z Radiwojem? — zapytała Katarzyna. — O, jakżebym ich za gości mieć u siebie pragnęła! Czy przyjadą?

— Nie wiem. Ja pojadę do Krupaca.

— Wybierasz się, ojczy?

— Czyż nie pora! Trzeba pośpieszać. Gospodarstwo bez gospodarza pozostaje już od trzech z górą miesięcy.

— A... Uważajże, teściu — zaczął Tomasz tonem bardzo serio. — Myśleć musimy o jednej bardzo ważnej rzeczy: o wylamaniu się spod zależności tureckiej. Bronimy się od Turków haraczem, za pomocą którego ich wzmacniamy, a siebie osłabiamy. Im dłużej to potrwa, tym oni stawać się będą coraz to mocniejsi, my coraz to słabsi i skończy się na tym, że i Bośnię, a za Bośnią i Zachlumię spotka los Serbii. Obowiązkiem jest naszym nie tylko zaslaniać się od nieszczęścia tego w teraźniejszości, ale oraz uczynić je niemożliwym w najodleglejszej przyszłości i bracią naszą wyzwolić spod jarzma tureckiego. Uznajesz to, teściu?

— O, uznaję — odpowiedział Stefan. — I mnie samemu to nieraz do głowy przychodziło.

— Owóż myśleć, starać się o to i pracować nad tym nam należy... Z mojej strony pozawiazywałem już stosunki niektóre, związałem się pobratymstwem z Huniadym; przez niego trafię do młodego króla węgierskiego i polskiego, Władysława Jagiellowicza, który pali się do wojny z Turkami. Postaram się o przymierze z cesarstwem, z Wenecją, z Neapolem, z Hiszpanią, a nawet i ze stolicą apostolską. Uczynię wszystko, wszystko — rzekł dobitnie — co w mojej będzie mocy, celem zapewnienia sobie poparcia czynnego ze strony dworów zagranicznych; wewnątrz zaś będę się po cichu zbroił i przygotowywał. Weźcie to sobie, teściu, na uwagę i czyńcie toż samo, powinniśmy iść ręką w rękę i ja dlatego właśnie, pomijając wszelkie inne powody, wdawać się nie chcę w prześladowania, jakie mi legat doradza, że pragnę, ażeby każdy, w czyich żyłach krew bośniacka płynie, uważał siebie za

obowiązanego nie o wyznanie się klócić, ale dla swobody Bośni pracować. Pragnę — dodał, ręce nieco podnosząc — zrobić z Bośni rodzinę i z mojej strony, ażeby celu tego dopiąć, gotów jestem na wszystko.

Katarzyna, która stojąc obok męża, wsparta lekko łokciem na ramieniu jego, w oczy mu patrzyła, pochyliła się nieco, za rękę go ujęła i do ust ją sobie podniosła.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Tomasz pocałował żonę w czoło i obok siebie ją posadził. Stefan odezwał się:

— Mnie samemu to nieraz do głowy przychodziło.

— Chodzi o to, teściu — podchwycił król odwracając się od Katarzyny — ażeby to nigdy z głowy nie wychodziło. Nie będzie wychodziło mnie, niechże nie wychodzi i tobie. Do celu wyswobodzenia się na zawsze od Turków naginajmy wszystko, nałamujmy wszystko, kierujmy wszystko. Postaram się — dodał w końcu — przedstawić położenie nasze ojcu świętemu i nie wątpię, że stolica apostołska powstrzyma się, na czas przynajmniej jakiś, od kroków wprowadzających niezgodę w łono rodziny bośniackiej.

— O... o... wątpić nie można — odrzekł Stefan.

— Jedźże, teściu, nie zatrzymuję ciebie. Dobrze się nam panowanie rozpoczęło. Dajże Boże, ażeby nie przeminęło bez pozostawienia po sobie wspomnień, którym by błogosławili prawnicy nasi.

Po rozmowie tej Stefan i Helena zabawili jeszcze w Sutysku dni parę i wyruszyli z powrotem. Podróż poszła im pomyślnie. Przybyli do Krupaca nad wieczorem. Jak ich witano, jak przyjmowano, o tym nic nowego nie ma do powiedzenia, od początku bowiem świata do dni naszych słudzy, podwładni i poddani nie przyjmują powracających po dłuższej niebytności panów inaczej, jak z oznakami nadzwyczajnego ukontentowania. Z synów,

których ze sobą nie brali, zastali w zamku jednego tylko, młodszego. Władysława nie było, pomimo że wysłali na-przód gońca z zawiadomieniem o powrocie i on powinien by być z zamku się nie wydalać. Zrazu jednak nie zwró-cili na to uwagi, a raczej nie podnieśli tego, co miało minę ubliżenia rodzicom i powadze wojewody. Nie zapytywali o Władysława. Posilili się po podróży, udali się na spoczy-nek i nazajutrz dopiero Stefan, pofriszykowawszy nale-życie, wezwał Wasę i w obecności Heleny i dwóch młod-szych synów dowiadywać się począł o sprawach i wypad-kach, biorąc za punkt wychodni: podatki.

Z czasów stryjowskich jeszcze pozostawały zaległości ogromne: był to więc przedmiot interesujący w stopniu wysokim. Wasa opowiadał o egzekucjach, o rozkładach, o łotroństwie opodatkowanych, o trgach własielskich, o zajściach z dzierżawcami myt różnych, o stawianiu ro-gatek nowych etc., etc.; przeszedł następnie do spraw ad-ministracyjnych i sądowych, które, ostatnie zwłaszcza, jako źródła dochodów służyły i, w sensie odwrotnej me-dalu strony, rozchody ważniejsze wymieniać począł. Po-między tymi przyszła kolej na kościół.

— Skończony? — zapytał Stefan.

— Zupełnie. Budowniczy klucze oddał.

Tu wymienił miesiąc i dzień.

Stefan spojrzał na Helenę znacząco i rzekł zdziwienia poważnego tonem:

— W dniu tym samym, w którym umarł król Twrtko.

— Widzisz — odrzekła Helena spokojnie.

— Co do kościoła tego — odezwał się Wasa — przyszło tu dni kilka temu zawiadomienie od biskupa, monsignora Tomasini, żeby się z poświęceniem onego do jego zatrzy-mać przybycia. Biskup sam poświęcać będzie.

— Dobrze — odparł Stefan. — Nie zawiadamia, kiedy to nastąpi?

— Owszem, w dzień Najświętszej Panny.

— Kiedyż to wypada?

— Za tydzień jakoś, czy co.

— Hm... — mruknął Stefan, głową lekko kiwając. —
To dobrze.

Helena, która, dłubiąc w palcach siatkę jakąś, milczenie zachowywała, odezwała się od niechcienia niby:

— Rzecz jednak ciekawa, gdzie się Władysław obraca.

— Wła—dy—sław! — wyśpiewali chórem dwaj Chraniczowie młodzi i Wasa, ten zaś ostatni ręką machnął.

— Co? — zapytała Helena, oczy od roboty odrywając i na Wasę wzrok zwracając.

— Ożenił się.

Helena oczy na siatkę spuściła. Stefan zapytał ze zdziwieniem:

— Z kim?

— Z Marą Fioriniówną, czyli Cwetkowiczówną — odpowiedział Włodek. — Przyjął obywatelstwo dubrownickie i w Dubrowniku przy teściu zamieszkał.

Helenie policzki drgały. Stefan zamilkł i nachmurzył się. Wiadomość ta niespodziana była dla Chraniczostwa kółcem w róży — przykrością w powodzeniu.

DOBRANE MAŁŻEŃSTWO

Córkę wydali za króla, syn ożenił się z nie wiedzieć kim. Była to przykrość, którą pojmować mogą ci jeno, co rozumieją wysokie związków małżeńskich znaczenie. Była to atoli przykrość jednostronna dla Stefana, który, ożeniwszy się sam na rozkaz, chciał i synów w ten sam żenić sposób; dla Heleny, która pamiętała doznane od garbatego mizeraka upokorzenia; dla nich obojga, którzy na żenienie synów zapatrywali się przez szkła interesów, przywiązanych do wysokiego, jakie zajmowali, stanowiska, ale nie dla Władysława.

Temu — o!... jemu było bardzo przyjemnie.

Dogodził sobie, co się zowie.

Kochał — to raz. Miłość jest ślepa — tak ją przynajmniej od czasów najgłębszej przedstawiają starożytności: dogodzenie sobie przeto, z tej strony wzięte, nie nadaje się do dyskusji. Mówić nie ma o czym. Kochał i z miłości przedmiotem dozgonnym się węzłem połączył, to znaczy, osiągnął cel życzeń, pragnień, nadziei, rojeń, snów we śnie, snów na jawie i westchnień nadających człowiekowi minę cierpiącego na żołądek. Usunąwszy jednak na bok kwestię miłości, zawierającej w sobie rację wielką, pozostaje, w odniesieniu do Mary, racyj kilka niezmiernie ważnych, czyniących dogodzenie, na jakie sobie

pozwoili Władysław, skończonym. I tak, wyliczając racje owe, na pierwszym miejscu postawimy dobroć, na drugim rozum, na trzecim piękność. Basta! Inne racje pominiemy milczeniem, podnosząc natomiast dwie strony ujemne, zdolne ochłodzić miłość najgorętszą, jeżeli takowa czerpie podniety swoje nie w czystej krynicy uczucia, ale w mniej lub więcej zamaconych kombinacjach względów, widoków i apetytów, a to: niskość rodu i ubóstwo. Dziadek Mary był wieśniakiem, chłopem prostym, czyli „chłopkiem“, jak się tkliwe wyrażają serca; ojciec pozycji jej rodowej nie uświetniał, jako „chłopka“ syn, nie uświetniał też jej pozycji socjalnej ani garbem, który go wśród ludzi wyróżniał, ani urzędem archiwisty, który go spośród ludzi usuwał i zajmując mu czas cały, nie dawał w zamian dochodów, z których by się dla niej posąg składać dawał. Nie posiadała nic, ani poza sobą, na czym by się przymioty jej duszy i ciała uwydatniać mogły. Była jeno bardzo dobra, bardzo rozumna i bardzo piękna, inaczej, zachwycająca, zachwycająca w tym sensie, który niewiaścę skarbem nieoszacowanym czyni. Dobroć w połączeniu z rozumem wytwarzała w niej cnotę, ugruntowaną na podstawach stałych i niewzruszonych; rozum zaś pozostawiał do życzenia pod względem naukowym — nie potrafiłaby dzieł pisać i z filozofami ówczesnymi dysputować, pomimo że nie tylko czytać, pisać, rachować etc., ale i po łacinie umiała — nie pozostawiał jednak do życzenia nic pod względem jasnego na rzeczy poglądu i rozumienia obowiązków własnych. Rozum ów jej przenikało niby tchnienie poetyczne, które ją do piękna ciągnęło, a zarazem elektryzowało niejako, zmieniając ją w istotę powietrzną, śpiewną, nietutejszą, w nimfę, w muzę, w mieszkankę sfer górnych, tymczasowie wśród ludzi przebywającą, w melodię w postać dziewiczą zaklętą, w czarodziejkę na promieniu gwiazdy zesłaną.

Władysław ją taką pokochał.

Ona pokochała Władysława.

Jak się pomiędzy nimi romans ukleił, o tym zawiadomiliśmy już czytelnika, pozostawiając jeno kwestię jedną w cieniu, a to racją, dla której owa dobra, owa rozumna, owa piękna, owa rodu niskiego i posagu żadnego pokochała syna wojewody. Poszło to stąd, że Władysław harmonizował z nią we wszystkim, to jest, był Marą w rodzaju męskim, uzupełniającym ją w tym sensie, że w zespoleniu z nią stanowił parę zaopatrzoną we wszystkie warunki i we wszelkie dane potrzebne do rozwiązania zadania życia. Był dobry tak samo jak ona, rozumny tak samo jak ona i piękny także samo jak ona. Wszystkie przymioty jego brać należy w męskim sensie, z którego w rezultacie wypadnie: człowiek z charakterem, odważny i rozumny — człowiek jednym słowem taki, jakim być by powinien mężczyzna każdy. Owóż, gdy się w nim Mara rozpatrzyła, tego jej było dosyć, ażeby poczuła ku niemu pociąg, któremu uległa mimo wiedzy i woli własnej. Pogarnęła się do niego sercem — pokochała. Nie nastąpiło to od razu. Długo pomiędzy nim a sobą widziała, mur niby, jego województwo i jego bogactwo. Rodu wysokiego nie widziała — Dubrowniczanka, pojęcia w tej materii dokładnego nie miała. Województwo jednak z bogactwem wznosiło się przed jej oczami w postaci przeszkody nie do przebycia, ale póty tylko, póki nie zdarzył się wypadek następujący. Razu pewnego sama w izbie pozostawała reperując coś z odzieży dla ojca, gdy nagle drzwi się otworzyły, wpadł Władysław, usiadł obok niej, wziął ją za rękę, w oczy jej patrzył, patrzył; wzrok jego nabierał wyrazu dziwnie rzewnego i coraz to wymowniejszego; Mara z wyrazu tego czegoś domyślać się poczyniała, coś przeczuwała, o coś zapytać wojewodzica chciała, wtem w ucho jej wpada wyraz jeden w dwóch:

— Kocham ciebie.

I wnet województwo się rozwiałoby niby cień znikomy. Opadły mury i przeszkody wszelkie, pierzchy bogactwa; wyraz „kocham“ przeistoczył syna wojewody, bogacza, w równego jej zupełnie człowieka. Odpowiedziała mu westchnieniem krótkim, rękę młodego człowieka w dłoń swoje ujęła, ścisnęła i podnosząc oczy do góry a napełniając takowe wyrazem dziękczynnym, odrzekła:

— O! jakże mi dobrze w tej chwili.

Potem znów wzrok na wojewodzica zwróciła; z oczów jej przeglądała głębia niby; czoło nachyliła; Władysław na czole jej pocałunek złożył.

I koniec.

Epopeja miłosnych męczarni i rozkoszy zogniskowała się w jednym bojaźni świątobliwej pełnym pocałunku, za pomocą którego odbyły się zaręczyny, ślub nawet. W pocałunku tym zawierała się przysięga i miłości dozgonnej, i szanowania się wzajemnie, i wierności, i posłuszeństwa, i opieki, i pobłażania ułomnościom, i doskonalenia się w cnotach, i pomagania sobie wzajemnie w pełnieniu obowiązków. Powinni byli aniołowie z nieba spłynąć i pocałunek ten, na hymn przerobiony, uczcić śpiewem chóralnym.

Aniołowie znikąd nie spłynęli. Ale — dwoje tych młodych, czym oni byli, jeżeli nie aniołami?

Trzymali się za ręce i w oczy sobie patrzyli niedługo. Mara czasu nie miała. Ojcu odzież naprawiać potrzeba było. Wyjęła więc rękę swoją z dłoni Władysława i jęła się szycia. Szyjąc rozmawiała:

— Dobrześ, och! jak dobrześ zrobił, Władysławie, żeś mi to powiedział. Ja od dawna to samo powiedzieć ci chciałam.

— Co? — zapytał wojewodziec udając, że nie wie, o co chodzi.

— To, och!... to... — podniosła oczy wyrazistości pełne — że... kocham ciebie.

— I nie mówiłaś?

— Ba... Nie śmiałam. Coś mi się wydawało... coś mi się nie wydawało. Myślałam sobie: a nuż?... a może?... Albo ja wiem!.. — ramionami lekko rzuciła. — Nie śmiałam... i tyle.

— Teraz?

— Teraz... powiedzieliśmy sobie... i już dosyć... Nie powiadam mi tego drugi raz.

— Maro! — zawołał młodzieniec głosem wyrzutu pełnym. — Toż czemu?

— Bo nie potrafisz powtórnie powiedzieć dwóch tych słodkich, drogich wyrazów tak, jak powiedziałeś raz pierwszy. To dla mnie wystarczy na życie całe. A zresztą, bez mówienia, czyż nie byłeś moim?... — zacięła się i zaczęła: — Czyż nie byłam twoją?... — znów się zacięła.

Zamilkła.

Po zaimkach „moim“ i „twoją“ brakowało odpowiednich rzeczowników.

Władysław odpowiedział:

— Byłaś, jesteś i będziesz moją żoną. Byłem, jestem i będę małżonkiem twoim.

Jak to jednak i kiedy stać się ma, o tym mowy nie było. Z tego poetycznego momentu, który się niechcący zasnął około wyznania miłości, przerzucali się naraz w prozę pospolitą rozmów, jakie się toczą zwykle pomiędzy dobrze znajomymi. Gawędzili, ona szyła, przyszła Kujawa, pogwarzyli jeszcze trochę i Władysław odszedł.

Nastrecza się tu zapytanie jedno. Skąd Władysławowi na wyznanie się zebrało? Co go pobudziło, że tak nagle, ni z tego, ni z owego, ni proszony, ni dziękowany, wpadł i rzucił w dziewczyny ubogiej serce „kocham ciebie?“

Stało się to po upokorzeniu bolesnym, zadany Helenie przez Sretka. Helena nasłala niejako syna na archiwistę, nie mogąc zaś Władysława użyć za narzędzie świadome, umyśliła użyć go za narzędzie nieświadome, za pomocą którego, a za pośrednictwem Mary, trafić by się dało do stróża zapisu.

Był to plan bardzo mądry. Wkrótce jednak Sandał umarł i plan stał się niepotrzebnym. Władysław atoli, dowiedziawszy się od matki, z czego sobie sprawy zdać nie umiał, że kocha Marę, nie miał nic pilniejszego. jak ją o tej ciekawej rzeczy uwiadomić. Dlatego to wyznanie nastąpiło w sposób oryginalny nieco. „Kocham ciebie!“ spadło jak z nieba i pozostało pomiędzy dwojgiem młodych ludzi, którzy się widywali często, mówili dużo, czytali razem poetów włoskich i łacińskich, rozprawiali o rzeczach różnych, ale o kojarzeniu się węzłem małżeńskim milczeli. Pochodziło to najprzód stąd, że uważali się za małżeństwo w duchu, następnie stąd, że Władysław, o przyszłość spokojny, czekał jeno na powrót ojca, mający kiedyś nastąpić, i nie troszczył się kwestią dopełnienia formalności ślubnej, zastrajając się na takową jako na rzecz dodatkową. Było to dla niego wagi pomniejszej, czy ślub przed ołtarzem nastąpi trochę wcześniej, czy też trochę później. Miał się już za zaślubionego w sumieniu własnym: to mu wystarczało i cierpliwość łatwą czyniło.

Umarł dziad, przyjechał ojciec: postać rzeczy się zmieniła. Spadł na niego zakaz widywania się z Marą; dowiedział się przy tym o powodach, jakie skłoniły matkę do udzielenia mu poprzednio pozwolenia na kochanie.

W chwili tej pomiędzy nim a matką i ojcem nastąpił moralny rozbrat.

On, człowiek uczciwy i honorowy, mógł czuć dla nich miłość z politowaniem połączoną i szacunku pozbawioną, miłość podobną do tej, jaką czują rodzice zacni do nie-

godnych dzieci. O ufności mowy być nie mogło. Rodzice domagać się jej prawa nie mieli; on dać im jej w stanie nie był. Rozbrat przeto moralny stał się naturalnym poprzednikiem rozbratu faktycznego. Władysław ani myślał stosować się do zakazu matki; bywał u Mary dalej; rozpatrzył się w sytuacji — poznał, że pełnoletność dawała mu prawo rozporządzania osobą własną; odstrychnął się od rodziców, wystarał się o obywatelstwo dubrownickie, wyczekał na porę sposobną i doczekał się takowej, kiedy Stefan i Helena, w celu wyzyskania śmierci Twrtka II, do Sutyska odjechali. W chwili ostatniej już natknął się na przeszkodę nieprzeniknioną. Sretko, dowiedziawszy się, że córka jego ma za wojewodzica iść, głową pokręcił i odrzekł:

— E... nie...

Wiadomości tej udzieliła mu małżonka własna, ona też adwokatowała w imieniu córki i zięcia domniemanego.

— No... a jakże! — był jej wykrzyknik nabrzmiały perswazji tonem.

— To być nie może.

— Oni się kochają.

— Hm?... To źle, cóż... robić! On, wojewody syn, ona Dubrowniczanka.

— I on jest Dubrowniczanie.

— Honorowym, jakim był dziad jego... honoris causa... Nie przywiązuje go do gruntu nic.

— Ona... Czyż go ona do gruntu nie przywiąże?

— Żona za mężem idzie, powiedziano, nie mąż za żoną.

Nie było rady. Na wszystko, co Kujawa powiedziała, Sretko odpowiedź znalazł i nie wzbraniał, ale pozwolenia nie dawał. Trzeba było użyć na niego powag. Udawała się Kujawa do różnych nadaremnie, aż sprowadziła Ruberejusza, który gdy mu sprawa przedstawiona została, a przedstawioną w ten sposób, że rzecz owa opiera się

całkowicie na miłości, której pewność Kujawa podnosiła, a Sretko w wątpliwość podawał, głowę spuścił, rękami kolana własne objął i w głębokie zamyślenie wpadł. Myślał długo, długo. W końcu głowę podniósł, odsapnął i rzeki do Sretka:

— List świętego Pawła do Koryntian, rozdział trzynasty, paragraf ósmy...

Sretko na to nic.

Rubercjusz swoje powiedziawszy wstał i odszedł bez pożegnania.

Dla Kujawy była to zagadka, rozwiązania której nie wiedziała, gdzieby szukać, a to tym bardziej, że z odpowiedzi Rubercjusza zapamiętała jeno trzy pierwsze wyrazy „list świętego Pawła“, zapomniawszy do kogo był ten list, jako też liczby tak rozdziału, jak paragrafu. Sretko przez dni kilka absolutnie zachowywał milczenie, aż razu pewnego, kiedy się córka do niego przysiadła i przymiliła, pod brodę ją pogłaskał i tak się do niej odezwał:

— „Miłość nigdy nie ginie: choć i proroctwa zniszczą ją, chociaż języki ustaną, chociaż umiejętność będzie zepsowana“... Pawła świętego list do Koryntian, rozdział trzynasty, paragraf ósmy...

— Więc cóż, ojcze?

— Więc... idź za Władysława.

— O! luby Paweł święty! — zawołała dziewczyna w dłonie plasnąwszy.

Po usunięciu tej przeszkody Władysław i Mara pobrali się. Wzięli ślub, wesela nie sprawiali; wyporządzili sobie ową izbę, w której kolejno zamieszkiwali Tomasz i młodzi Stepkowicze, i rozpoczęli żywot we dwoje, cichy, skromny, rozkoszny — opromieniony miłością, przenikniony czystością sumienia, uświęcony pracą — tak, pracą:

Władysław, nie oglądając się na to, co mieć może lub mieć będzie, a chcąc się wyzwolić zupełnie z zależności od rodziców, fundusik szczupły, jaki posiadał, włożył w handel do spółki i brał udział w prowadzeniu interesów domu, co go na spółnika przyjął. Więc pracował on. Co się zaś Mary tyczy, ta prowadziła pracę w dalszym ciągu, to znaczy, nie wychodziła z takowej wcale.

Utworzył się pod dachem Cwetkowicza, czyli Floriniego, istny raik, oparty na fundamencie owego zwyczaju dziś jeszcze przechowywanego na Słowiańszczyźnie południowej, skutkiem którego domy są to niby namioty patriarchalne, służące za mieszkanie pokoleniom kilku. Nazywa się to zadrugą. Zazwyczaj synowie, żeniąc się, pozostają z ojcem pod jednym dachem, synów tych synowie czynią toż samo i. jeżeli najstarszy wiekiem długim cieszy się życiem, zdarza się często, że staje na czele rodzin kilku, kilkunastu, rozrodzonych na wnukach i prawnukach. Sretko synów nie miał. Wydawszy więc córkę, przyjął w dom zięcia na prawie zadruzia, skutkiem którego Władysław należne sobie zajmował stanowisko. Owoce pracy jego szły na wspólne życie. Matka i córka wzajemnie sobie pomagając gospodarstwo domowe prowadziły; starzy Sretkowiczostwo i młodzi Chraniczostwo zasiadali razem do stołu.

Nic rozkoszniejszego nad wieczorne posiedzenia, które miewały miejsce w dniu każdym po spożyciu posiłku, jaki zastawiały Kujawa i Mara. Przy stole rodził się przedmiot jakiś, bądź nastroczony przez wypadki dnia upłynionego, bądź też zaczerpnięty z przeszłości, z nauki, z poezji. Nieraz wśród skromnych ścian słyszeć się dawała oda Horacjusza, satyra Juwenala, ustępy z Eneidy, sonet Petrarke; nieraz występował na stół Tacyt i wywoływał dysputy pomiędzy Sretkiem a Władysławem. Sretko się ożywiał, weselał nawet niekiedy, wcześniej z biura

wracał, w niedzielę i święta na przechadzki nad morze zabierał ze sobą żonę i małżeństwo młode.

Więści o zmianach, jakie zaszły po śmierci Twrtka II, sprawiły pod dachem Cwetkowiczostwa wrażenie niemałe, nie tyle jednak jako zmiany w ogóle, ile jako okazja, przy której wypłynęły na wierzch imiona znanych im ludzi. Tomasz został królem.

— Tomasz! — klasnęła Kujawa w dłonie. — Kto by się tego spodziewał! Pamiętasz ty go, Maro?

— I jak jeszcze! W rycerza się bawił. Ubierał się w dziurawy helm albo w kółpak z piórem lub z kitą i mnie pytał, czy mu do twarzy. Pamiętam go... musiał się zmienić jednak.

— Dobry był z niego chłopiec.

Ożenienie się Tomasza z Katarzyną obeszło Władysława, więc rozpytywał o szczegóły dotyczące się charakteru, usposobień i temperamentu swego szwagra. Podania o nim, jakie się w rodzinie Fiorinich przechowywały, sprawiły mu zadowolenie wielkie. Powiadał sentencjonalnie:

— Może Katarzyna być z nim szczęśliwą.

— Nie szczęśliwszą jednak, jak ja z tobą — odpowiedziała mu raz Mara.

— Szczęście to rzecz względna. Ludzie je tworzą sobie.

— O, mój miły! Gdybyś ty do mnie nie przyszedł, to mogłabym do stworzenia sobie szczęścia jak największe dokładać usiłowania i nie stworzyłabym go tak, jak się ono ułożyło samo przez się.

— Może my wyjątek stanowimy. W ogóle jednak rzecz biorąc, ludzie niezadowolenia własnego, jakie powszechnie panuje, sami są po większej części powodem. Bo i dlaczegóż niezadowolenia nie ma prawie w Dubrowniku, a jest w Kottarze, w Trebini, w Niksiczu? Skąd to

pochodzi? Ludzie i tu, ludzie i tam jednakowo stworzeni, jednacy... Nie dzieje się to bez racji.

— Dziejeż się co bez racji?

— Patareni utrzymują, iż złego wszystkiego przyczyną zapoznanie braterstwa.

— Nie podzielasz ich zdania?

— Jak najzupełniej. Ha, ha!... — zawołał. — Gdyby to patareнизм ogarnąć mógł ludzkość całą! Ale to trudno.

Westchnął.

— Czemu? — zapytała Mara.

— Za wiele, za wielkie i za potężne na gruncie interesów osobistych zbudowane przeszkody ma do zwalenia. Z tym wszystkim pięknie wziął przed się do rozwiązania zadanie. Chociażby onego nie rozwiązał, to samo usiłowanie owoce dobre wydać musi.

— Gdzie się też obracają Radosław i Radiwój?

— Apostołują. Schodzą się na wiosnę na Tomowym Skicie, pracują wspólnie z ojcem i z matką, pracują przez lato i przez jesień, na zimę zaś każdy z uzbieranym zapasem w inną idzie stronę i naucza ludzi.

— A ówże zapis nieboszczyka Candała?

— Nie zgłosili się dotychczas i nie zgłaszają. Zapis na nich czeka. Pieniądze leżą i prowizja rośnie.

— Może nie wiedzą.

— Rada ich zawiadomiła. Spotkałem Radosława w roku zeszłym w Mostarze i mówiłem mu. Odpowiedział, że to nie do niego, ani do brata, ale do ojca należy.

— Rządcy są jednakże ludzie tacy — zakonkludowała Mara.

Jak widzimy przeto z rozmowy powyższej, młode małżeństwo, acz postawione w warunkach takich, iż mogłoby stworzyć sobie świat własny i zamknąć się w takowym, interesowało się jednak sprawami światowymi i za pomocą interesowania się tego brało w nich udział pośredni.

Władysław wiedział o powrocie ojca i matki do Krupa i w uznaniu własnym nie zaprzeczał temu, iż godziłoby się zgłosić do nich. Ten sam jednak powód, dla którego ani próbował uzyskać zezwolenia ich na małżeństwo, powstrzymał go i teraz od próbowania przedstawiania się im po czynie dokonanym. Nie tyle go zrażała matka, co ojciec. Matkę znał z tej strony, że liczyć się umie z faktami i ustępować, gdzie nie ustąpić niesposób. Ojca zaś lękał się po prostu — lękał się go jako miłośnika i znawcę wdzięków niewieścich. Nie był ślepym i nie dostrzec nie mógł tej skłonności wojewody. Stefan zresztą nie bawił się w obłudnika i nie wystrzegał się wobec synów. Nie raz i nie razy dziesięć Władysław słuchał z ust jego pieprzonych i korzennych teoryj, które w nim niesmak budziły. Drżał na przypuszczenie samo sprofanowania myślą istoty, którą czcił, jak czci się świętość, sprofanowania, które by nastąpić musiało, gdyby Stefan Marę zoczył. Dlatego ani mu o niej wspominał pierwiej; obecnie zaś, po zespoleniu się z nią węzłem małżeńskim, tym mniejszą miał ochotę stawiania jej przed oczami człowieka, w którym poza ojcem widział lubieżnika. Zbliżenie się przeto do rodziców pozostawiał czasowi, okolicznościom, przypadkowi, nie spieszył się z tym i był w sumieniu własnym pod tym spokojny względem, że nie wyrządził im krzywdy żadnej. Wyrządził im przykrość, o tym wiedział, ale: byłaż to przykrość do uniknienia?

R E K O J M I E

Bośnia płaciła Turcji haracz i tym środkiem powstrzymywała cios, zagrażający jej z tej strony. Był to środek nieosobliwy, mógłby jednak wyjść na wcale dobry, gdyby mógł być użytym na wewnętrzne uzdrawianie krajów mających z potęgą otomańską do czynienia. Państwo tureckie znajdowało się w momencie osłabienia. Zwycięstwa znużyły je niejako i zużyły. Dało się poznać ze stron swoich słabych. Dwór bizantyjski mianowicie znał doskonale słabe owe strony i korzystać z takowych mógł, ale potrzebował sam być zdrowym. To samo powiedzieć się da i o Bośni, którą naturalne kraju położenie czyniło twierdzą do zdobycia niełatwą. W samym potęgi otomańskiej ognisku, w tym, co jej istotę stanowiło, w łonie władzy najwyższej, tkwiły choroby mogące się dla państwa stać śmiertelnymi, gdyby jeno umiano korzystać z nich. W rodzinie Amurata II panowały niezgody, zarodki przyszłych nienawiści, które w następstwie spowodowały wojny zacięte pomiędzy braćmi, szarpiącymi się o kość. System okazać już poczynił błędy — wydawał Wallenrodów — Skanderbeg wypatrywał jeno okazji, ażeby maskę zrzucić i przeciwko „dobroczyńcy i ojcu“ swemu się zwrócić. Z drugiej strony, chrześcijaństwo, które niby powołanym się czuło do walki z mahometanizmem, miało

na rozporządzenie swoje ramię potężne, znakomitego wojownika. w osobie Janka Huniady. Niestety! chrześcijaństwo nosiło się z ranami w łonie własnym. W organizmach młodych stare tkwiły choroby, które sprowadzić się da-
dzą do jednej ogólnej: do gorączki wyzyskiwania człowieka przez człowieka. Choroba ta grasowała wszędzie, mianowicie zaś w ogniskach przewodnictwa, kierownictwa, pasterstwa. Gorączka paliła — we wściekłość wprowadzała. Porządek przedstawiał mechanizm, za pomocą którego wyzyskiwanie, poczynając się w punkcie głównym, szło z góry stopniami, przechodziło przez ręk wiele i opierało się ciężarem całym na najniższej człowieczeństwa war-
stwie. Pomiędzy punktami głównymi zachodziło spółza-
wodnictwo, mające wyzyskiwanie się wzajemne za zadanie najważniejsze i jedyne, za posłannictwo opatrnościowe, za cel szczytny, w dążeniu do którego nie istniały środki niegodziwe.

Stanowiło to chorobę ogólną — straszną.

Choroba owa odbijała się w Bośni. Widzieliśmy ją, towarzysząc Stefanowi i Tomaszowi w pierwszej ich podróży. Wywoływała ona naturalnie w żywym organizmie oddziaływanie pod postacią patarenizmu, tym słabsze, o ile choroba była mocniejszą. Naród szukał w samym sobie środków uzdrawiających, pierwiastki moralne występowały w charakterze buntowniczym, a że były słabe, występować groźnie nie mogły. Niemniej przeto budziły one obawy wielkie w źródłowym wyzyskiwania ognisku.

Intencje króla Tomasza były jak najlepsze. Temu zaprzeczyć niesposób. Pochodziło to zapewne stąd, że on, zanim na wierzech wypłynął, trzymał się pierwiej przez czas dłuższy w dole, mając i możność, i sposobność rozpatrzenia się z bliska w chorobach, jakie ludzkość trapiły. Powiedział sobie: będę lekarzem. Intencje więc miał jak najlepsze. To mu zaznaczymy na karbie powieściowym,

nie czyniąc tajemnicy z tego, iż czekały go na obranej przez niego drodze trudności i przeszkody, do łamania się z którymi nie wystarczały może intencje.

Nie umiemy o czynności legata zdać sprawy szczegółowej, zdawanie zaś sprawy z czynności owych powierzchowne poprowadziłoby nas z grodu do grodu, zmuszając do opisów ceremonij religijnych, z jakimi wszędzie, gdzie się jeno zatrzymywał, przyjmowano kapłana, przedstawiciela ojca świętego. Stanowiło to jednak zewnętrzną jego czynności stronę — stronę wielce poważną i uroczystą. Biskup nabożeństwa odbywał, procesjom przewodniczył i bierzmował, rozwijając gorliwość wzorową, skutkiem której w miejscowościach, gdzie ludność pod względem wyznania była mieszana, przychodziło do zaburzeń i ekscesów. Powstawały stąd skargi i procesy nowymi zaburzeniami brzemienne. Ludność wyznania łacińskiego czuła się znieważoną i pokrzywdzoną, garnęła się do legata, ten zaś, przyrzekając jej przyjście sprawiedliwości Bożej, rzecznikowanie w tej sprawie powierzał właścicielinom, z którymi konferencje odbywał. W sposób ten właścielinowie wyznania łacińskiego oddzielali się od właścielinów wyznania greckiego. Biskup odbywał konferencje z duchowieństwem. Te ostatnie wchodziły w zakres czynności wewnętrznych, całkowicie zakulisowych, tajemniczych, o których wzmiankujemy tylko, a to dlatego, ażeby wypadki, jakie w dalszym toku opowiadania naszego podamy, nie wydały się czytelnikom pozbawionymi racji logicznej. Nic na świecie bez racji się nie dzieje.

Zastrzegamy się przeciwko posądzaniu nas o nałamywanie historii do powieści. Postępujemy wręcz przeciwnie: nałamujemy powieść do historii trzymając się niewolniczo w ramach tej ostatniej.

Zapraszamy czytelnika do Krupaca na poświęcenie kościoła.

Uroczystość ta, w połączeniu z wiadomością o przybyciu legata papieskiego, ściągnęła ludność okoliczną w liczbie nie mniejszej jak na poświęcenie jeziora, włastielinów zaś w liczbie bez porównania większej aniżeli w czasie ceremonii onej. Bo też Krupac czym innym był dziś jak przed laty. Zmienił się w stolicę. Na brzegu rozlegało się miasteczko, na wyspie wznosił się zamek, imponujący rozmiarami, mianowicie zaś tym, że przedstawiał władzę wojewody silnie obwarowaną. Włastielinowie, spoglądając na grube mury zębate, na baszty, na strzelnice, na wysuwające się tu i owdzie paszcze harmat, czyli jak się wyrażali, puszek, powiadali:

— Majka niegowa! O toż się nazębił!

— Pazury pokazał.

Włastielinów zjechała się moc wielka. Obecność ich przyczyniła się do nadania obrządkowi świetności niezwykłej, którą podnieść umiał Stefan, zastosowując do niej niektóre z oglądanych za granicą zwyczajów, praktykowanych w razach podobnych. Nie nadaremnie asystował konsekracji sztandaru i miecza w Norymberdze i koronacjom cesarza Zygmunta w Mediolanie i Rzymie, nie daremnie brał udział w ceremoniach wjazdów tryumfalnych. Potrafił więc świetność uświetnić i sprawić podziw ludowi, junakom i włastielstwu.

Duchowieństwo, pobudzone do gorliwości obecnością biskupa-legata, występowało z kazaniami i naukami, które były jakoby wariacjami muzycznymi na jeden i tenże sam temat — na temat podnoszenia Stefana, najprzód jako fundatora kościoła, następnie jako władcy rozumnego, wspaniałomyślnego i sprawiedliwego, w końcu a najbardziej jako obrońcy w krainie bośniackiej wyznania łacińskiego, mającego z Krupaca, niby z portu bez-

piecznego, znów żagle rozwinąć i na pełne wypłynąć morze.

Notujemy mianowicie to ostatnie.

Stefan słuchał udzielanych mu przesadnych pochwał z powagą przystojną, przyjmował je, ale nie brał ich całkiem na serio. „Wie kozacza, co to znaczy“. Ostrzelanym był z rzeczami podobnymi. Odgrywał rolę swoją doskonale i na zakończenie dał ucztę na cześć legata, ucztę, przy której i jedzono, i pito, i po brodach ciekło.

Niewiele nas jednak ucztą owa obchodzi. Wspominamy o niej dla porządku jeno i przechodzimy od razu do jednej z komnat zamkowych, urządzonej z całym, na jaki w wieku owym zdobyć się można było, komfortem. Było to po uczcie na trzeci dzień. Z gości pozostał sam jeno legat i duchownych nieco — i na jego to żądanie do komnaty rzeczzonej zeszło się osób cztery: on, ojciec Benon, Stefan i Helena. Stefan zajmował punkt ogniskowy — stanowił osobistość główną — siedział też z powagą odpowiednią, naprzeciw niego siedział legat; ojciec Benon i Helena zajmowali miejsca boczne, pierwszy na prawo od Stefana, na lewo od legata, druga na lewo od Stefana, na prawo od legata. Łatwo domyślić się, iż była to konferencja dotycząca się spraw ważnych.

W rzeczy samej, niezmiernie ważne były te sprawy, których się ona tyczyła.

Monsignor Tomasini rozprawy zagałę nadając takowym ton i akcent. Za punkt wychodni posłużyła mu rozmowa, jaką miał z królem Tomaszem w obecności Stefana.

— Wiem jednak, co się święci i jak się to skończy — powiadał. — Nie pierwszy Tomasz z bośniackich królów próbuje iść śladami królów serbskich i nie on pierwszy powróci na łono kościoła jako owieczka zbłąkana, chyba iżby się schronił pod skrzydła protekcji tureckiej, udzielającej opieki obrządkowi wschodniemu.

Stefan poważnie słuchał, Helena pożerała wyraz każdy. Kiedy legat, mówiący powoli, ostatnie wymówił słowa, przerwała mu okrzykiem zdziwienia:

— Oto!...

— Udzielającej opieki obrządkowi wschodniemu — powtórzył monsignor patrząc na Helenę.

— Zdziwiło mnie to — rzekła z akcentem naiwności naturalnej — bo świętej pamięci ojciec mój, wojewoda zetański, Jerzy Balsz, był obrządku wschodniego i pomimo to Turcy dokuczali mu straszliwie.

— Oni udzielają protekcji i obrządkowi łacińskiemu — tłumaczył biskup — dla wywołania niezgody w kraju, który zagarnąć zamierzają, lub też dla poparcia kompetenta przeciwko kompetentowi, którego osłabić chcą. W tym razie przypuszczać można, że Tomasz, naciskany przez cesarstwo, które zapewne popierać zechce grafa Hermana, ucieknie się pod skrzydła opieki tureckiej.

— A! — podchwycił Stefan z przyciskiem i z gestem odpowiednim. — Tego przypuszczać nie można.

— Dostojność wasza sądzi wedle siebie — odrzekł biskup słodziutko.

— Nie. Tomasz pobratał się z Huniadem.

— Niech jeno dostojność wasza nie bierze pobratymstwa tego na serio. Dziś jest, jutro go nie będzie. Zależy to od tysiąca przyczyn, które Bóg przed wzrokiem ludzkim niedościglią mądrością swoją osłania. Chociażby jednak pobratymstwo to wieki przetrwało, to pierwszym onego owocem jest rozpasanie, w jakie zięć dostojności waszej wprowadził trzodę dozorowi jego powierzoną. Czy godzi się to? Czy może to tak pozostać?

Spojrzał pytająco na Stefana najprzód, na Helenę następnie.

Stefan odchrząknął. Helena odpowiedziała gestem oznaczającym podzielenie opinii pytającego.

Ksiądz Benon głęboko westchnął.

— Za wprowadzenie narodu w rozpamiętanie takie nie może ominąć kara boża. Cóż to! — głos do tonu zgrozy podniósł. — Tu patareni gospodarzą! Tu patareni górą! Sam ich na każdym spotykam kroku! Wyznawce obrządku łacińskiego występują przeciwko wyznawcom obrządku greckiego; wyznawce obrządku greckiego występują przeciwko wyznawcom obrządku łacińskiego: przeciwko patarenom nie występują ani ci, ani owi! Niech tak potrwa dłużej, a nie będzie tu ani świątyni, ani kapłanów, ani królów, ani wojewodów, będą... patareni!... patareni, na których królowie i wojewodowie, bez względu na to, co ichże samych od tych patarenów czeka, patrzą się z rękami założonymi i z uśmiechem pobłażliwości występnej na ustach. A!... a!... a!... — zawołał trzykrotnie tonem oburzenia głębokiego. — Potrzeba koniecznie, ażebyś dostojność wasza, widząc zięcia na złej drodze, zapobiegł złemu, które już jest i które w przyszłości zagraża.

Ponieważ słowa ostatnie zwracały się wprost do Stefana, więc też on odpowiedział:

— Uh... hm?... Przy sposobności pomówię z królem o tym.

Biskup uśmiechnął się, ślinę połknął i odrzekł:

— Nie wątpię, że pomówienie dostojności waszej z zięciem wywrze na tego ostatniego wpływ ogromny, on jednak pozostaje pod wpływem silnym bardzo, pod wpływem ducha złego, wątpię przeto, ażeby pomówienie spowodować mogło skutek pożądaný. Jest jednak coś od słów silniejszego i poważniejszego.

Zatrzymał się.

Stefan i Helena zwrócili na niego spojrzenia pytające.

— Jest to — ciągnął biskup — czyn... przykład...

— Hm... — Stefan na to. — Czyn? przykład? Ja wojewoda... Tomasz król...

Po obliczu biskupa uśmiech przemknął. Rzucił ukośne spojrzenie na zakonnika, ten odchrząknął.

Helena na siedzeniu się poprawiła.

Biskup zaczął:

— Dostojność wasza określiłeś słowami ostatnimi zależność swoją od królewskiego w Bośni tronu, zależność, nie pozwalającą mu czynić w dzielnicy świętego Sawy, czego nie czyni król w Bośni. Jest to uwaga bardzo słuszna. Zależność krępuje dostojność waszą. Ale czy temu przez wzgląd na sprawę świętą zaradzić nie można?

— Jakim sposobem? — zapytał Stefan.

— Za pomocą uniezależnienia się.

Helenie oczy zamigotały. Stefan zwrócił na biskupa spojrzenie powagi, ale zarazem i wyrazu zapytania pełne.

— Zasługi dostojności waszej... — zaczął tenże.

— Ba! — przerwał Stefan — gdyby cesarz Zygmunt żył...

— Zasługi dostojności waszej — powtórzył biskup — złożone cesarzowi dziś panującemu.

— Ach! — zawołał Stefan. — Prawda! Toć jam mu życie uratował.

— Zasługi dostojności waszej — ciągnął biskup — dają jej prawo upominać się o wynagrodzenie.

— O tym ja myślał. Z grafem Hermanem rzecz była ułożona. Teraz jednak, gdy nie graf Herman, ale Tomasz tron zajął... trudno... Teraz trudno — powtórzył. — Tomasz mi tak przeszkadzać będzie, jak przeszkadzał Jagiełło Witoldowi.

— Jagiełło Witoldowi przeszkadzać mógł, był bowiem obrządku łacińskiego. Król Tomasz dostojności waszej przeszkadzać nie może, jest bowiem obrządku greckiego. Okoliczność ta jest wagi ogromnej.

— Boga mi, to prawda... — rzekł Stefan przeciągle.
— Graf Herman będzie dostojność waszą popierał z całej siły.

— E?... wątpię. Biłem się przeciwko niemu.

— Graf jest mężem umysłu podniosłego. Na dowód oświadczam dostojności waszej, że się zniósł ze mną i upoważnił mnie zapewnić dostojność waszą w imieniu swoim, że jest na jej usługi we względzie wyrobienia dla dostojności waszej udzielności formalnej i zupełnej. Zależy to od woli dostojności waszej.

— Ha!... kiedy to od woli mojej zależy... — zaczął Stefan.

Helena milczała, pomimo że mąż na nią wyzywająco spoglądał.

— Jeżeli to od woli mojej zależy. No... Mój Boże!... któż by tam udzielnym być nie pragnął?

— Dostojność waszą krępować mogą względy na zięcia.

— Ahm... tak... Hm? Względy na zięcia? Względy na zięcia? Tak... ale... czy zięć by na mnie miał względy? Nie, względy podobne krępować mnie nie mogą.

Helena spojrzeniem aprobowała słowa mężowskie.

— Dostojność jednak wasza dać rękojmię niejako musi.

— Rękojmię? — zapytał Stefan. — Na co?... jakie?... A zasługi moje?

— Te dają prawo, to wątpliwości nie podlega; nie ulega atoli wątpliwości i to, że strona nadająca posiada pełne prawo zapewnić się z góry, jaki z nadania jej użytek będzie uczyniony. Oto, na co rękojmię. Co się jakości takowych tyczy, to chodzi o to tylko, ażebyś dostojność wasza wyrwał chwasty grunt województwa chumskiego zanieczyszczające.

— To znaczy, żebym patarenów dusił.

— Postawi to dostojność waszą w sprzeczności z zięciem i wprowadzi może w kolizję jakie, z drugiej atoli

strony, ściągnąć do Zachłumia wyznawców obrządku łacińskiego, o ile osłabi jego królewską moc, o tyle wzmocni dostojność waszą. Niekorzyść i korzyść zrównoważą się w ten sposób i doprowadzą dostojność waszą do przyozdobienia czoła koroną księcia świętej rzymskiej imperii.

Stefan zachłysnął się prawie przy ostatnich biskupa wyrazach.

Helena, której usta drgały od czasu do czasu drgawką konwulsyjną, a oczy mieniły się, przybrała minę skromną, pokorną prawie i pierwszy raz się odezwała:

— I na co nam to? Z województwem ciężko, a cóż dopiero będzie z księstwem.

Biskup ramionami ruszył.

— Z królestwem jeszcze ciężiej, z cesarstwem to już tak ciężko, że strach, a przecież ludzie ciężary te dźwigają jakoś — odpowiedział Stefan żonie.

— Przy pomocy Bożej — dodał biskup. — Bóg podtrzymuje pomazańca swego.

— Więc i pomazan będę?

— Nie inaczej. Chodzi o rękojmie jeno.

— Ano... To ja się już do patarenów wezmę, co się zowie!

Helenie oczy znów zamigotały.

— Dostojność wasza posiadasz w województwie swoim hersztów.

— Wezmę się ja do wszystkich.

— I w łonie dostojnej rodziny swojej nawet.

— Tak... — podchwycił Stefan. — Pietar Stepkowicz...

— Nie on tylko. Zaraza głębiej sięgnęła, niestety!

— E?... nie wiem... Pietar... Gruba... Żarko, jeżeli żyje.

— Żyje — podchwycił zachowujący dotychczas milczenie ojciec Benon.

— Synowie Pietra... Więcej jednak o nikim nie wiem.

— Niestety! — odrzekł biskup. — Zrani się dostojności waszej serce; nie ma jednak co! rany wypalają się żelazem gorącym. Niechże żelazem owym będą słowa moje. Zaraza dotknęła dostojności waszej syna.

— Władysław? — zawołali razem Stefan i Helena.

— Tak. Mam wiadomości pewne i niemylnie, że syn najstarszy dostojności waszej gorąco patarenom sprzyja. Z patarenką się ożenił, do patareńskiej rodziny wszedł, po patareńsku się prowadzi.

— Nieboszczyk Sanda! temu winien! — podchwyciła Helena. — On to go na naukę do Rubercjusza oddał.

— Kto winien, w to nie wchodźmy, jest to jednak periculum in mora. Syn może dostojności waszej stanąć na drodze w wykonywaniu dzieła oczyszczania gruntu. Posiada wziętość pomiędzy źle myślącymi. Może mieć poparcie ze strony króla. Może się ująć za wilkami. To dostojności waszej wielką by sprawić mogło mitręgę. Należy zawczasu zapobiec złemu.

— Ależ... jak?... jak? Władysław w Dubrowniku. Ani mnie znać chce!

— A nie można by go przywabić stamtąd?

— Można! — podchwyciła Helena. — Biorę to na siebie, pod warunkami jednak, że się Władysławowi nic złego nie stanie.

— Chodzi jeno — odparł biskup — o przetrzymanie go czasowe w miejscu bezpiecznym, z którego by nie mógł szkodliwie działać.

— Bylem go do rąk dostał! Pozostanie czas jakiś w zamku pod wartą.

— Ale — zaczęła Helena — kiedy tak, to należy z duszeniem patarenów powstrzymać się póty, aż Władysław znajdzie się w Krupacu. Należy nie tylko się powstrzymać, ale nie rozgłaszać tego, że się ma przeciwko nim kroki jakieś zarządzić.

Biskup dłoń podniósł i głowę, oczy zamknawszy, pochylił. To samo uczynił ojciec Benon. Stefan uznał słuszność uwagi przez małżonkę zrobionej, pomyślał przez chwilę i z następującymi słowami do legata się zwrócił:

— Wszystko to dobrze, ale... kiedyż mianowicie pomazanie ma nastąpić?

— Po daniu przez dostojność waszą rękojmi.

— Hm... To taka się może z tego historia zrobić: ja rękojmie będę dawał i dawał, a wy mi będziecie wciąż mówili... dawaj jeszcze. I nie skończy się to nigdy. I ja nigdy pomazan nie będę.

— Dostojność wasza coś podobnego przypuszczać może! Dostojność wasza ma poręczenie szczerości grafa Hermana, któremu bardzo chodzi o to, ażeby król Tomasz jak najrychlej pozbawion został pomocy wojewody Zachłumia. Żeby wszakże rzecz wyraźniej jeszcze zaznaczyć, ja z mojej strony dodam, że uksiążęcenie dostojności waszej nastąpi po straceniu hersztów zarazy patareńskiej.

Przybili ręce, konferencja się skończyła.

Gawędka ciągnęła się jeszcze czas jakiś. Złatwiono stronę formalną, która polegała na zestosunkowaniu sądów duchownych do władzy świeckiej i wybraniu miejscowości na odbywanie sądów najodpowiedniejszej. Podawano miasta różne i zastanawiano się nad dogodnościami i niedogodnościami onych. Dla powodów, których przytaczać nie będziemy, odrzucono Mostar, Gacko, Priepolie. Trebinie odrzucono dla bliskości Dubrownika. Była kwestia o Mieszewo, tam atoli przeszkadzało poblizze granicy tureckiej. W Krupacu nie było miejsca. Stanęło na Niksyczu, który wprowadzie przedstawiał niedogodności niejakie, mniejsze atoli aniżeli inne grody.

Gdy Stefan i Helena pozostali sam na sam, ta ostatnia odezwała się do męża:

— Pokaż no zapis wojewody nieboszczyka i przeczytaj go.

Stefan czytał, ona uważnie słuchała: gdy doszedł do punktu tyczącego się zastrzeżenia na wypadek wygaśnięcia jednego z rodów:

— Hm... — mruknęła i słuchała już dalej z roztargnieniem widocznym.

Ł Z Y M A T K I

Wielką niespodzianką i ogromnym zdziwieniem dla mieszkańców domku Fioriniego było pojawienie się wśród nich Heleny.

Spadła niby z nieba; zastała kobiety same. Uściskała Kujawę, trzymała ją w uścisku długo; gdy wypuściła, miała łzy w oczach, na ustach wyrazy:

— Toć my swojaczki teraz!

Zwróciła się do Mary i, palcem jej grożąc, przemówiła do niej tonem gniewu udanego, dobrośliwością nabrzmiałego:

— Z tobą ja klócić się chcę, klócić się zęb za zęb, do upadłego. Na coś mi syna zabrała?

Wyrazy ostatnie wymówiła z takim żalu uniesieniem, że Mara ani umiała, ani mogła odpowiedzieć jej inaczej jak pogarnięciem się do niej w objęcia.

Rozpłakała się Mara; rozpłakała się Helena. Ta ostatnia powtarzała głosem urywanym:

— Ach, ty... synowo moja! Ach, ty, niedobra! Ja ciebie!... Ach, ja ciebie!... Cóż ty myślisz sobie? Synaś mi zabrała!

Łzy wspólne są łącznikiem prędkim, skutecznym i potężnym.

Helena znakomicie płakała.

Ujęła też za serce od razu Kujawę i Marę i ujęła je sobie. Po zakończeniu sceny łzawej trzy niewiasty pozostały w komitywie jak najlepszej.

Helena tłumaczyła:

— Że bym była siłą całą opierała się temu, ażeby się Władysław z tobą (mówiła do Mary) żenił, to pewne. Ależ się temu dziwić nie można. Byłabym chciała dla niego jakiejs cesarzówny, jakiejs królewny, księżniczki przynajmniej, z tym się tać przed wami nie myślę. To jest tak. Robią to wojewodziny wszystkie na świecie, ja od innych nie lepsza. Ale... stało się! Gdy więc się stało, czemużście wy, Władysław i ty, zapomnieli, że gdzieś tam jest przecie ojciec, że jest matka, którzy by nie odepchnęli dziecka własnego, chociażby się ono czego najgorszego dopuściło. A tu nie ma nawet nic tak bardzo złego. Ożenił się? I cóż... Ożenił się i żeby też słówkiem jednym do ojca i matki się zwrócił!

Wyrzuty były słuszne. Mara nie umiała męża usprawiedliwić inaczej jak tym jeno, że on zapewne czekał, aż gniew pierwszy rodziców przeminie, ażeby tym pewniej przebaczenie ich uzyskać.

— Nie mówiłże o tym z tobą nigdy?

— Nie mówił nigdy.

W rzeczy samej Władysław we względzie tym zachowywał milczenie, które się wydać mogło Marze dziwnym, gdyby zajęcia, wśród których życie pędziła, nie przeszkadzały jej zastanawiać się nad takowym. Wydawało się jej, że tak być powinno.

— Jemu się nie dziwię — podchwyciła Helena. — On, dostawszy ciebie, o świecie Bożym zapomniał. Ty jednak powinnaś była rodziców mu przypomnieć.

— Czyż i ja, Władysława dostawszy — odparła kobieta młoda pół serio — takżem o świecie bożym zapomnieć nie mogła?

— O rodzicach swoich nie zapomniałś.

— Bom się z nimi nie rozstawała wcale.

— Żart na stronę. Trzeba to naprawić. Hej! toć to obraza Pana Boga i po łacinie, i po grecku, i po patareńsku, i po mużulmańsku nawet, ażeby się syn rodzony, najstarszy w rodzinie, głowa rodu, od ojca i matki odstrychnął! Nie można, żeby tak nadal pozostawało. Dla Boga i dla oka ludzkiego, niech się to skończy!

— Boga mi — odrzekła Mara, ramiona wznosząc — ja tu nic nie mogę.

— Możesz ty wszystko, ja to wiem. Przypuszczając jednak, że nie możesz wszystkiego, to przynajmniej jedną możesz rzecz zrobić, a to stanąć wobec Władysława w obronie mojej.

Przy tym słowie znów łązy na pomoc przywołała i częściowo następujące złożyła wyznanie:

— Jam bardzo nieszczęśliwa. Ja ogromnie cierpię. Stefan odpowiedzialność całą na mnie zwała. Powiada, żem to ja wychowała syna i nie nauczyła go ojca szanować. Chwilki jednej spokoju nie mam. Wytrzymać już nie mogę i dlatego to, chociaż nie ja powinnam była pierwszy robić krok, widzicie, przyjechałam i gotowam się Władysławowi do nóg rzucić i u stóp jego się czołgać póty, póki nade mną się nie zlituje. Pomagajcie wy mnie... — zwróciła się do kobiet obudwóch z błagalnym słowem.

— W czym jednak mianowicie? — zapytała Kujawa.

— W tym, żeby Władysław do Krupaca z żoną się udał i ojcu się pokłonił.

— Czemuby tego zrobić nie miał! — Kujawa na to.

— Korona mu z głowy nie spadnie. Ojciec ojcem zawsze. Przy tym wojewoda nie gniewa się na niego za nic innego, tylko za to, że precz sobie odszedł. To się, Boga mi, nie godzi.

Nadszedł Władysław. Zoczywszy matkę, od progu się cofnął, jakby odejść chciał, lecz, zawołany przez Marę, zatrzymał się. Helena skoczyła do niego, na szyi mu się uwiesiła i ukrywając głowę na piersi jego, rzewnym wybuchła płaczem. Długo utulić się nie mogła. Władysław posadził ją na ławie i sam obok usiadł. Nie widział jej nigdy w podobnym stanie. Uspokajał, słodkim do niej przemawiał słowem. Ona go co moment za głowę brała, w czoło, w policzki i w oczy całowała, łzami oblewała i przemawiała:

— Synku ty mój! Sokole mój!... Jazd majka twoja rodzona!... Ja ciebie w łonie swoim wynosiła, pod piersią hołubiła, mlekiem własnym wykarmiła, na rękach swoich wypiastrowała. I tyś mnie porzucił jak niepotrzebę jaką!... I ty myślał, że ja bym do ciebie na kraj świata nie poszła!... O! prędzej cię młoda porzuci żona, jak majka rodzona.

I Władysław został ujęty. Począł matkę przepraszać.

— Przebac mi. Byłabyś mi nie pozwoliła.

— Byłabym ci nie pozwoliła, ale ci już od dawna przebaczyła. Przebaczyłam ci tej chwili, jakem się dowiedziała, że... stało się. Masz dowód w tym, że mnie widzisz przed sobą. Chodzi tu jednak nie o mnie, ale o ojca.

— Ojciec się gniewa — rzekł Władysław, a w wyrazach tych brzmiał w zmniejszonej skali akcent tego okrzyku, z jakim tonący chwyta się deski zbawienia.

— Gniewa się, nie na ciebie jednak, ale na mnie.

Władysław sposepniał. Chciał w obawie czy też we wstręcie narażania się na gniew ojca znaleźć pretekst uchylenia się od podróży niezwłocznej do Krupaca. Pretekstu tego zabrakło mu. Innego nie było, chyba dziwactwo, istotnego bowiem wymieniać nie chciał przez wstydlivość, przez szacunek dla własnej żony. Uniknąć przeto oddania się w ręce wojewody sposobu nie było. Ociagał

się; zwlekał, jak mógł; odkładał z dnia na dzień: tym sposobem zyskał dni trzy, potrzebne niby to do wybrania się i, koniec końcem, gdy mu matka oświadczyła, że bez niego i bez Mary do Krupaca wracać nie może, wybrał się.

Mara. po raz w życiu pierwszy, puszczała się w podróż. Daleka podróż! — parę mil drogi. Rozstawiała się jednak z rodzicami z sercem ściśnionym, jakby w przeczuciu czegoś niedobrego. Przeczuciu nie wierzyła. Do usprawiedliwienia onego nie miała ona, nie miał Władysław, nie mieli Kujawa ani Sretko żadnych danych, skazówki najmniejszej — chyba tylko naglenie Heleny o pośpiech, gdy już wszystko do wyjazdu gotowym było. Mara wsiadła na przyprowadzonego jej muła; Władysław dosiadł konia; Helena przewodniczyła na mule; służebnic kilka towarzyszyło im z tyłu — ruszyli.

Helena jechała w milczeniu, oglądając się od czasu do czasu, jakby dla sprawdzenia obecności młodego małżeństwa.

Władysław jechał obok żony także w milczeniu.

Mara go zaczepiła:

— Czemu nie mówisz czego?

Ramionami jeno ścisnął.

Minęli bramę grodzką i jechali dalej, podnosząc się coraz wyżej i wyżej. Na szczycie się zatrzymali, Helena się odwróciła — oblicze jej rozradowaniem jaśniało. Przemówiła pierwsze słowa:

— Jesteśmy już u siebie.

Władysław wytłumaczył żonie wyrazów tych znaczenie. Przekroczyli granicę obwodu dubrownickiego i tym samym znajdowali się na gruncie województwa chumskiego. Wyszli z cienia opiekuńczego rzeczypospolitej skrzydła. Przeczucie Marze nie mówiło nic — oniemiało.

Ruszyli dalej. Droga prowadziła wciąż z góry w dół. Mara okiem powodziła po okolicy; ukazywała mężowi

krajobrazy, które ją frapowały; zachowywała zupełną umysłu swobodę; zajęła się żywo widokiem, jaki się otworzył, gdy ujrzała jezioro, przytulone do onego miasteczko, malowniczo na wyspie zamek i malowniczo w amfiteatr zagięty wieniec gór.

— Jakież to piękne! — zawołała.

Piękno to uspokoiło w niej obawy wszelkie, jakie mieć mogła. Zwykle z pięknem sprzęgała dobro — wypadło jej to z prawa powinowactwa idei — gdy przeto pierwsze zobaczyła, nie wątpiła już o istnieniu drugiego i jechała swobodnie obok męża, swobodna i spokojna, nie przypuszczała bowiem żadnego następstwa smutnego, przypuszczając, iż w razie najgorszym nie może ich spotkać nic jak prędki do Dubrownika powrót.

Nad brzegiem jeziora czekała łódź przewozowa. Wsiadli, ich dwoje, Helena i ze służby osób kilka.

Helena była milcząca; uśmiechnięta, ale nie uśmiechem dobrotliwym, sztywna jakaś i zapewniona niby. Usta jej ruszały się, jakby coś ze sobą sama mówiła.

Na brzegu wyspy, w przystani, stało kilkunastu otroków zbrojnych.

Łódź przybiła.

— Wysiadajcie! — przemówiła Helena do Władysława i Mary.

Wysiedli. Otrocy wnet otoczyli ich.

Władysław wyprostował się i obejrzał dokoła, nie rozumiejąc, co by to znaczyć miało.

— A gdzie?... — zapytała Helena otroków, gdy wylądowała.

— W baszcie w rogu ogrodu — odpowiedział starszy.

— Oboje?

— Dostojność jego jedną kazał przygotować izbę

— O nie!... Tak być nie może. Odprowadźcie tam wojewodzica, a dla niej — tu na Marę wskazała — inne znajdę pomieszczenie. Mam z nią do pomówienia.

— Majko! — zawołał Władysław w oburzeniu najwyższym.

Helena nastawiła się do niego.

Chciał coś mówić, chciał wyrzuty czynić, czy też zapytania dawać — nagle zamiaru tego zaniechał. Objął i pojął sytuację od razu i poznał, że próżną by była wszelka mowa, próżnym opór jakikolwiek, próżną protestacja najwymowniejsza. Zamiast przeto do matki niepotrzebnie przemawiać, do żony się zwrócił. Spojrzeli sobie oko w oko. Władysław modlitewnym niejako, niby o przebaczenie błagającym głosem następujące przemówił wyrazy:

— Odwagi jeno!...

— Mój luby! mój miły!... Bądź ty o mnie spokojny!

Helena, która także przemawiać chciała, także zamiaru swego zaniechała. Z głową podniesioną, na twarzy surowa, do zamku się udała, a na odchodnym rozkaz jeno rzuciła:

— Niewiastę prowadzić za mną!

Dwóch otroków wnet się do Mary zbliżyło, inni Władysława otoczyli; małżeństwo młode pożegnało się spojrzeniem.

Marę poprowadzono ulicą szeroką, Władysława ścieżką.

Pochwalamy to i jej, i jemu, że się nie miotali i słów nadaremnie nie tracili. Wyrazem uczucia, jakie napęniało ich dusze, było do potęgi najwyższej podniesione oburzenie, które rade wylewa się w wykrzyknikach na osłep rzuconych. Tak się dzieje pospolicie. Widać przeto, że tak we Władysława, jak w Mary duszy tkwiło coś, co ją nad pospolitość podnosiło. Poszli w milczeniu. Marę zaprowadzono do jednej z komnat zamkowych, Władysława do izby o jednych, niskich a grubych i mocnych

drzwiach, do której światło dostawało się przez wąskie szczeliny otworów strzelniczych, w grubym przebitych murze. Izba miała kształt koła regularnego, sufit wysoki, powietrza dużo, podłoga z desek, znajdowało się w niej łóżko zasłane pościelą czystą i sprzętów nieco; na stoliku stał jeden dzbanek z winem, drugi z wodą, obok dzbanków chleb, ser i wędlina na talerzach cynowych. Widocznym było, że ci, co Władysława uwięzili, nie mieli zamiaru znęcać się nad nim. Owa jednak troskliwość nie wzruszyła go bynajmniej. Obrzucił więzienie swoje okiem, jadła nie widział, do dzbanków nie zaglądał wcale; znalazłszy się sam, dał folgę rozpacz, jaka go nagle ogarnęła; na ławie usiadł i na pięściach zaciśnionych głowę oparł. W myślach jego panował chaos, wśród którego, niby ton główny, przewijał się okrzyk:

— O, to mi dogodzili!

Izba, w której znalazła się Mara, nie wyglądała na więzienie wcale, wydała się jej atoli więzieniem, gdy w niej zamkniętą została. Młoda kobieta w tym samym co mąż była usposobieniu, ale usposobienie to inaczej w niej się wyraziło. Rozpacz ogarnęła i ją; nie usiadła jednak. Zrazu, wprowadzona i zamknięta, pozostała niby wkopana na tym miejscu, na którym ją postawiono. Zdawało się, jakby się ruszyć lękała. Nagle krążyć powoli po komnacie poczęła; łzy jej po policzkach płynęły, myślała, a w myślach jej prym wiodła troska o męża, boleść do bólesci jego odniesiona. We względzie tym zachodziła pomiędzy rozdzielonym w ten gwałtowny sposób małżeństwem harmonia zupełna. On niepokoił się o nią, ona o niego, z tą jeno różnicą, że ona, przedstawivszy sobie sytuację, siebie obwiniła, żałując, iż nie pozostała z Władysławem w tym stosunku, w jakim byli ze sobą przed pobraniem się. Było im tak dobrze! Szczególnie zaś wyrzutem na sumieniu ciążył jej wyjazd z Dubrownika.

Toć ona Władysława namówiła prawie! Ona pierwsza złudzić się dała... łzom matki.

— I nie odgadłam, nie przeczułam... ja?... niewiasta?

Z drugiej znów strony, usprawiedliwiała Helenę po części, stawiając się w położeniu matki, której obca jakaś syna zabrała.

Na snuciu myśli tego rodzaju czas upływał jej szybko. Nastąpiła noc. Mara chodziła długo jeszcze, pomimo że ciemność izbę zalewała, aż, znękana podróżą, chodzeniem i smutkiem, na łóżko się rzuciła i zasnęła.

Obudził ją skrzyp otwierających się drzwi. Skoczyła z pościeli. Przed nią stała Helena.

— Toś ty myślała — zaczęła, zamykając drzwi za sobą i usiadając, ta ostatnia — że ja pozostawię was tak? he?...

Mara żadnej w pogotowiu nie miała odpowiedzi. Stała, oczy spuściwszy, jak winowajczyni przed sędzią.

— Co?... odpowiadaj? Niech głos twój usłyszę.

— Mój Boże! — odezwała się po chwili, oczy na Helenę podnosząc. — Cóż ja na moje powiedzieć mogę usprawiedliwienie! Zabrałam ci syna, bom go miłowała.

— Eh!... — machnęła Helena ręką. — Zabrałaś, znuudzisz go, sprzykrzysz się mu i on z objęć twoich ucieknie kiedyś. Pięknaś... tym też rychlej przesyci się tobą. Zresztą piękność twoja niebawem przeminie, będziesz gratem w chwili, gdy Władysław mężem zostanie... i będziesz się gryzła, kiedy on na ciebie spojrzeć nie raczy. Widzę łyzy twoje gorzkie w przyszłości nie bardzo dalekiej. Władysław jest ojca swego synem rodzonym. O to spokojną jestem.

Marze usta drgać poczęły.

— O cóż więc?... dlaczegoś przeto?... — przerwała.

— Znać chcesz uwięzienia swego powód — odrzekła Helena spokojnie. — Tego ci nie powiem, dowiesz się póź-

niej. Powiem ci jeno, dlaczego ja osobiście podjęłam się wywabić was z Dubrownika. Znasz zajście moje ze Sretkiem?

— Nie wiem o niczym — odrzekła Mara.

— Nie wiesz... cha, cha!

— Nie wiem — powtórzyła młoda kobieta z naciskiem szczerości w głosie. — Boga mi, nie wiem o niczym.

— No... mniejsza zresztą o to... Podjęłam się wywabić was z Dubrownika osobiście, przez żal do Sretka. Chciałam się zemścić. Chodziły mi różne po głowie myśli. Chciałam garbusa przeklętego w tobie i przez ciebie połamać, pokłuć, zagłodzić, zasuszyć, ale... — ręką znów machnęła i z pewnym umartwienia akcentem dodała: — muszę to, jeżeli nie zaniechać, to na później odłożyć. Iść potrzeba, nie jak się chce, ale jak się może. A!... Teraz złego nie zrobię ci nic, nie doznasz przykrości nawet. Powiesz jeno ode mnie ojcju twemu, że... pamiętam o nim.

— Wrócę więc do Dubrownika? — zawołała Mara.

— Cóż mam począć!

— Wrócę z Władysławem? natychmiast?

— Nie dziś ani jutro. Odprowadzi cię służebnica na basztę. Pozostaniesz tam tak długo, dopóki się nie spełni...

Uspokojona i zaniepokojona zarazem, chciała Mara o coś jeszcze pytać, chciała się o losie Władysława dowiedzieć, lecz nie miała już do kogo. Przy słowach ostatnich Helena odeszła.

Po chwili pojawiła się służebnica.

— Chodźmy — wezwała ta ostatnia.

Poszła przodem. Mara za nią. Przechodziły przez szereg komnat położonych jedna niżej, druga wyżej, tak że trzeba było raz po schodkach iść do góry, znów w dół schodzić. Spotkały ludzi różnych. Każdy się uważnie Marze przypatrywał, najuważniej jednak mąż jakiś widny i poważny, którego otaczało junaków kilku. Służebnica

przybrała wobec męża tego postawę uszanowania pełną; Marze zaś wzrok jego jakby zawadzał — kroku przyspieszyła i. gdy się do innej komnaty dostała, zapytała przewodniczki, kto by to był:

— Dostojność jego wojewoda — była zapytanej odpowiedź.

Po przejściu przez podwórzec zamkowy i przez ogród następnie, młoda kobieta zatrzymała się w baszcie, na strażnicy napelnionej ludem zbrojnym. Jeden z otroków zamienił z przewodniczką słów kilka, po których doprowadził Marę po schodach do drzwi niskich, na zasuwę żelazną zewnątrz zamkniętych, nie bez wysiłku zasuwę odsunął, drzwi otworzył, Mara próg przestąpiła i wobec Władysława się znalazła.

Nastąpiło na dwa tony rozłożone, a w jednym uczuciu złane, uniesienie radości, której opisywać nie będziemy.

Po uniesieniu przyszła refleksja. Rzecz naturalna, małżeństwo młode frasowało się losem swoim i starało się zrozumieć położenie własne. Do zrozumienia położenia nie przyczyniało się bynajmniej to, że ich wczora rozdzielono, dziś zaś złączono. Tamto wydawało się jasnym i wyraźnym, to przedstawiało się pod postacią łaski ogromnej, dobrodziejstwa nadzwyczajnego. Niewolnicy często podlegają złudzeniom tego rodzaju. Na razie też nie byli w stanie w powody i przyczyny wnikać, dotykając takowych ślizgali się po nich, cieszyli się z sobą i wdzięczność czuli dla Stefana i Heleny, którzy, mogąc rozłączyć ich na wieki, rozłączyli na wczorajszy wieczór, noc i dzisiejszy poranek tylko. Prawda, że ten wieczór, ta noc i ten poranek za wiek im stanęły, przeminęły jednak. Cieszyli się więc, pozostawiając rozwiązywanie zagadki na później, odkładając to do chwili sposobniejszej.

Zagadka ona polegała na rzeczy bardzo prostej. Helena, zdając w obecności doradców paru, pomiędzy którymi

był Wasa, sprawę Stefanowi z wyprawy swojej, wyraziła zamiar zamęczenia Mary.

— Zagłodzę, zasuszę i zasuszoną odeślę w skrzynce Sretkowi i Kujawie.

— Nie waż się czynić tego, dostojność wasza! — podchwycił Wasa.

— Czemu? o?... — zareplikowała Helena. — Któż mi przeszkodzi! Ona przecie moja... synowa.

— Ona grodzianka dubrownicka. Rzeczpospolita wrzawy narobi!... a!... niech Pan Bóg broni! Dubrowniczanie mają zwyczaj stawać wszyscy za jednego a jeden za wszystkich, gotowi dopuścić się Bóg wie czego.

— O jedną niewiastę?

— Za tą jedną niewiastą stoi ojciec.

— Garbaty?

— Oni na to nie uważają, kiedy go urzędnikiem zrobili.

Że perswazja do umysłu Heleny przystęp swobodny miała, więc po zastanowieniu się odstąpiła od postanowienia. Nie mogła jeno powściągnąć się od tego, ażeby odmówić sobie przyjemności nakiwania Marze palcem pod nosem. Nagadała więc jej i na basztę ją odesłała. Oto, na czym zagadka rozłączenia i połączenia małżeństwa polegała.

NIEPOKÓJ GRUBY

Stefan potrzebował się śpieszyć dla kilku powodów, przede wszystkim zaś dla niecierpliwości dojścia jak najszybciej do celu, który mu się w młodości jeszcze ukazał i następnie, w ciągu wędrówki życia, odbytej wśród wzorów człowieczeństwa, wciąż łechtał i oskomił, urabiając stopniowo to, co pierwotnie rojeniem było, na przedmiot ambicji, to, co się podobało, na cel pragnienia gorącego. Podobne urabianie się dążeń egotycznych jest pospolitością wielką, dającą się w czasach naszych studiować codziennie na dekoracjach. Młodziak pożąda krzyżyka dla wstążeczki — w przekonaniu, że mu z tym będzie ładnie; w tymże samym człowieku w latach dojrzałych rozwija się z zamięłowania do wstążeczek do wściekłości posunięte pożądanie orderów dla znaczenia. „Ambicja serce spod żeber wykrada“. Ambicja taka jest dzieckiem próżności młodzieńczej, która, rozdmuchiwana przykładami, gotowa jest w końcu iść przebojem przez szereg występków i zbrodni, byle swego dopiąć.

Nasz Stefan miewał „szczytne myśli“ (techniczne wyrażenie przez historyków niektórych uświęcone), zachciewało mu się korony królewskiej. Okoliczności nie podały mu jej do rąk. Zredukowały go do województwa chumskiego.

Czy nie przychodził mu na myśl naród kiedy?

A!... Czy mógł przychodzić! Nie mówimy o czasach dzisiejszych; w wieku atoli XV pojęcie „naród“ istniało, lecz w znaczeniu, w którym narodu nie było. To, co dziś właściwie narodem nazywamy, oznaczało wówczas trzodę bez właściciela, przeznaczoną dla tego, co ją najpierwszy zajmie. Naród przeto oznaczał literalnie trzodę, dobytek, mogący być dawanym, darowywanym, w spadku przekazywanym, w posagu wydzielanym, dzielonym, łączonym, przenoszonym etc. Jakiż właściciel, urabiając znaczenie sobie, na trzodę się ogląda? Stefan o Chumcach ani myślał, myśląc o dostojęństwie, jakie go czeka. Udzielność napęłniła całą duszę jego i całe serce. Myślał o dopełnieniu warunków, które poprzedzić miały pomanie.

Z synem poszło mu nad podziw gładko. Gdy Helena opowiadała mu szczegóły dotyczące się wywabienia z Dubrownika Władysława i Mary, śmiał się i żonę chwalił.

Synowę zoczył. Naumyślnie stanął jej na przechodzie. Gdy mu się przed oczami przesunęła, zwrócił się do Wasy i rzekł:

— Hiii... liepotica! Czy ty widział taką? Piih... A ja myślał, że niewiasta najlepsza na świecie to Gruba i że kiedy ta postarzała, to już nie znajdzie się druga podobna. A widzisz ją! O to liepotica! Oj, liepotica! Ale — przewrwał sobie ten admiracji potok — nie pora teraz o niewiastach myśleć... Trzeba nam jedną knigę naprawić, a w knidze tej dać znać wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tym wiedzieć należy, że nakazujemy i rozkazujemy, ażeby od tej chwili w województwie chumskim ani jeden człowiek, czy to sebr, czy grodzianin, czy trgo-wac, czy włastielicz, czy włastielin, ne śmiał patarenem być. Ty, Waso, pójdz do ojca Benona i napisz tę knigę pięknym pismem, ja podpiszę i pieczęć przyłożę.

Napisanie edyktu tego nie zabrało czasu dużo. U ojca Benona, który przy kościele krupackim tymczasowie pozostawał, znalazła się formuła gotowa. Pozostawało jeno przepisać i w podpisy zaopatrzyć. Zaszła jednakże kwestia jedna. Edykt opublikowany, grożący nieposłusznym surowymi karami, wystraszy niezawodnie patarenów z kraju. Uwagę tę rzucił ktoś od niechcenia. Helena podchwyciła ją w lot. Ona, odważna, zlekła się.

— A to! — zawołała.

Wykrzyk ten zdziwił obecnych, Stefana, Wasę, ojca Benona.

Ostatniemu wydało się, że ją przestraszyła groźba kar strasznych, wyznaczonych za zbrodnię patarenizmu. Zdziwienie też jego było największe. W duchu strzeliło mu zapytanie:

— Czy nie jest ona patarenką utajoną?

Z ukosa na nią spoglądał; podgardziel biegał mu z góry na dół i z dołu do góry. Zdziwienie jego wzrosło jeszcze, gdy następujące z ust jej usłyszał wyrazy:

— Lepiej edyktu tego nie ogłaszać.

— No? jakże? — zapytał Stefan.

Przy odpowiedzi jej dopiero zakonnik ze zdziwienia wyszedł.

— Ucieknie jeszcze który! Czy to nie można, tak... po prostu, bez edyktu żadnego... wylapać i...

— Hm? — Stefan na to. — Bez edyktu... jakoś to ono nie wypada. To jednak prawda, że może uciec który. Hm... hm... Należy tu coś obmyśleć. Hm. Tak chyba: tych najprzód ująć, a potem edykt ogłosić. He?... — zapytał.

Wasa nie wiedział, o kogo chodzi. Zapytał więc:

— Jakich to.... tych?

— Hrm — chrząknął Stefan. — No... rzecz wiadoma, tych, co pomiędzy patarenami są patarenami największymi.

— Stepkowiczów chyba?

— Ha!... chociażby... Trudno, gdzie o wiarę idzie, tam nie masz krewniaka nie krewniaka, brata nie brata!

Filut! O wiarę mu szło?

— Zresztą — ciągnął dalej — w edykcie wyraźnie napisano stoi: kto się błędów wyrzeknie, żal i skrucę okaże, temu przebaczonej będzie.

— Przyjmie się do owczarni z radością, jaką sprawia powrót owieczki zbłąkanej — dodał zakonnik.

— Dlatego też — odparł Wasa — myślałbym, iżby Stepkowiczom edykt posłać należało, niechby się namyślili.

Nie był w tajemnicy bogów.

— O! — odezwała się Helena z humorem. — Jeszcze co! Raczej... zaprosić ich do zamku i miejsca im ustąpić.

Wasa w głowę się drapał.

— Na mnie... ja bym im czas do namysłu zostawił.

— Oni czasu do namysłu podostatkiem będą mieli — zareplikował ojciec Benon. — Sądy pociągną się dni kilka, kilkanaście. A nie tylko będą mieli czas, ale i pomoc wszelką: katechetów, spowiedników, którzy ich będą nauczali i na drogę prawdy naprowadzali.

Wasa ramionami ścisnął i odparł:

— Mnie to wszystko jedno. Myślałem tylko, że dostojność wasza... ponieważ to krewniacy... zechce ich...

Dokończył gestem.

— Właśnie, że krewniacy! — podchwyciła Helena. — Cóż by na to ludzie powiedzieli, gdyby kara spotkała mniej winnych, dlatego że nie krewniacy, a ominęła najwinniejszych, dlatego że krewniacy.

— Jeżeli tak — odrzekł Wasa. — to nie ma co... Tylko: jak tu ich ująć?

Nastąpiło rozważanie sposobów, trudnych z powodu trudności przystępu do Tomowego Skitu. Zastanawiano

się i namyślano. Stefan znał drogę doskonale, jemu jednak w braniu w połowie tym udziału osobiście przeszkadzały z jednej strony powaga tuszy, z drugiej — powaga stanowiska. Nie był to już ów lekki Stefan, co kozy po górach ścigał; nie był to już ów młodzik, co o nic nie dbał i do kosi się nawet brał. Od kosi pozostał mu jeno przydomek. Trzeba więc było wynaleźć sposób, który by ujęcie hersztów patareńskich pewnym czynił. Nie Stefan jeden znał górskie przejścia. Myśliwych w okolicy znajdowało się niemało. Ktoś rzucił pomysł okrycia wyprawy do Tomowego Skitu pozorem łowów, w których dla lepszego zamaskowania zamiaru, wzięliby udział młodsi synowie Stefana. Rzec została postanowiona. Wykonanie nie przedstawiało trudności nie do przełamania.

Nad ustroniem, w którym panował spokój i kwitło szczęście, zawisła klęska.

Nic mniej spodziewanego nikomu się nie stało jak to, co spotkać miało rodzinę Pietra, z którą rozstaliśmy się dawno i nie mieliśmy sposobności zetknąć się z nią. Obecnie sposobność ta następuje się sama. Zajrzyjmy więc do Tomowego Skitu.

Nie mamy co opisywać. Nie odmieniło się tam nic. Wszystko pozostawało jak dawniej, bez nadpróchnienia nawet, a to dlatego, że jak skoro co próchnieniem zagrażało, to natychmiast zamienianym było przez wstawkę zdrową. W mieszkańcach jednak zmiana zaszła znaczna. Małe niegdyś chłopcy na słusznych powyrastali ludzi. Pietar posiwił i przygarbił się nieco. Gruba, która liczyła lat pięćdziesiąt parę, zachowała gładkość lica w tym sensie, iż przedstawiała sobą potęgę niewieściej dojrzałości, oznaczanej pospolicie wyrazem „matrona“. Wyraz męskości bił z jej postaci, nie przestającej mimo to być typem kobiecej piękności, piękności jednak każącej się nie pożądać, ale szanować. Włosy jej nie były jeszcze siwe, oczy wyrazistość dawniejszą zachowały, cera przy-

wiedla i skóra na obliczu w zmarszczki się ułożyła, postawa zaś postradała tę wytoczystość, jaka ją odznaczała niegdyś.

Wspominaliśmy, że na zimę rodzina, w męskiej młodej swojej połowie, odbywała wędrowkę apostołską. Niech was to nie dziwi. Było to w duchu czasu. Osobistości „głoszących prawdę“ snuło się dużo w czasie owym. Jan Kapistran przemawiał po łacinie do rzesz języka łacińskiego nie rozumiejących i jak historycy bardzo poważni zaręczają, porażał słuchaczy prawdą dowodów, porrywał ogniem wymowy. Obok niego występowało innych dużo, jednych za kościołem uznanym, drugich przeciwko takowemu, podążających ku niebu drogami różnymi, a ochotnych do otoczenia się męczeńską wonią. W głoszeniu prawdy była śmiałość nie oglądająca się na nic, była zuchwałość roztrącająca wszystko. Nie dziw przeto, że młodzi Stepkowicze, przez ojca rozfanatyzowani, obrali sobie zawód życia, który otaczał urok. Pracowali, gdy pora była po temu; na zimę wychodzili i nauczali, sposobiąc się do apostołstwa na obszerniejszą skalę w przyszłości.

W momencie kiedy wyprawa na nich w drodze była, powinni byli znajdować się już za domem. Zbieg okoliczności chciał, żeby się wstrzymali. Zbieg okoliczności skupiał się całkowicie w osobie starca, który ich nie puszczał. Był to człek bardzo stary, włosy na głowie i brodzie, białe niegdyś, pożółkły, postać, wyniosła niegdyś, pochyliła się, zgrzybiał zupełnie, wysechł, zeszkieleciał prawie. Nie jest on nam nie znany. Spotkaliśmy się z nim w ciągu opowiadania niniejszego. Gruba wołała na niego: ojczy! Był to Żarko, który przeżył wszystkich rówieśników swoich w Bośni i w Zachłumiu. Spodziewał się śmierci łađa moment i dlatego nie puszczał od siebie wnuków, którym kazał trumnę zbić i grób przysposobić, i być w pogotowiu do oddania mu posługi ostatniej. Powiadał:

— Niech się patrzę na was w chwili, kiedy będę oczy zamykał. Pogrzebiecie mnie, na świeżym moim grobie Ojczenasz zmówicie i pójdziecie...

Niesposób było staremu odmawiać, tym bardziej że, w rzeczy samej, ostatnia jego godzina widocznie niejako zbliżała się na niego. O śmierci często mówił i przyzwyczaił do tego otaczających go tak, że oczekiwali jej lada chwila, oswoili się z tą myślą, przyjmowali ją z góry ze spokojem, nie uważali odejścia jego za odejście, albowiem miejsce, które sobie za grób obrał, znajdowało się tuż nad domem, pod skałą, w szczelinie, którą natura sama zrobiła i która przedstawiała grotę dającą się założyć kamieniem. Tam chciał on na wiekiisty zalec sen i śmierć jego spodziewana snem się rodzinie Pietra wydawała.

— Jeszcze trochę, dzień jeden może i powieki zawrę — mówił do wnuków, grzejąc się przed domem na słońcu jesiennym.

Radiwój i Radosław siedzieli nie opodal od starca, Pietar strugał pod szopą, Gruba wewnątrz domu zajęta była.

— Jeszcze trochę... O, jak słonko słodko grzeje!

Słysząc się dało szczekanie ogarów i granie rogów myśliwskich. Starzec nie słyszał. Jeden z wnuków głowę podniósł i słuch natężył.

— Gdzieś niedaleko... — rzekł Radosław.

— Co? — zapytał starzec.

— Ktoś poluje — odrzekł zapytany, głos podnosząc. Starzec oczy zamknął i głową pokiwał machnąwszy przy tym lekko dłonią.

Gruba na progu się pojawiła, przez chwilę postąla i odezwała się:

— To nam może gościa jednego, drugiego sprowadzić.

Odgadła. Nie upłynęło czasu godziny, goście pojawiać się poczęli. Wpadło najprzód psów kilku, po psach wkrót-

ce przybywali ludzie. Przychodzili, pozdrawiali, przed domem zasiadali, częstunek z podziękowaniem przyjmowali i powiadali, że są z drużyny wojewodzców młodych, którzy się łowami zabawiają.

Radiwój i Radosław o wojewodzców pytali. Znali się z nimi z Dubrownika, mianowicie zaś z Władysławem.

— Zawitają tu i oni lada moment — odezwał się z myśliwych jeden. — Wasa naznaczył tu miejsce na zbór. Stąd pociągniemy w planiny tamte.

Palcem pokazał.

Przybywało myśliwych coraz to więcej. Wypróżniali dzbany, które przed nimi Gruba stawiała, i słuchali Pietra, który im ojcostwo Boga, jedyny patarenów dogmat, wykładał.

Niebawem na polanie pojawił się człek pokaźny, siwizną okryty, w rycerski kaftan odziany. Był to Wasa. Ten najprzód po otrokach okiem powiódł, jakby ich obliczał, następnie przystąpił do Pietra i pozdrowiwszy go, zapytał:

— Ty si Pietar Stepkowicz?

— Tak jak powiadasz — odrzekł Pietar, zapytaniem zdziwion nieco.

— Pytam ciebie, bo to porządek taki. A to — tu oczami ukazał — synowie twoi, Radosław i Radiwój Stepkowicze?

— Wedle ciała... Wedle ducha są to bracia moi, a synowie Boga Ojca, tak jak ty i jak człowiek każdy.

— Przyznajecie się do herezji patareńskiej?

— Jesteśmy chrześcijanie, nazywają nas patarenami od modlitwy, po której się poznajemy.

— Owóż, posłuchaj mnie, Pietrze Stepkowiczu — zaczął głosem podniesionym Wasa kładąc Pietrowi dłoń na ramieniu. — Ty i synowie twoi chodźcie z dobrej woli ze mną. Mam od wojewody rozkaz zaprowadzić was trzech

do Niksicza. Jeżelibyście z dobrej woli iść nie chcieli, to... widzicie, co mam ze sobą luda?!

— Co? — padło nagle pytanie.

Pytanie to pochodziło z ust starca, który dźwignął się z siedzenia i stanął przed Wasą.

Wasa powtórzył mu w krótkości to, co Pietrowi powiedział.

— Oni tam przyjdą — odparł starzec — tylko... niech ja umrę.

— Nie, natychmiast iść muszą.

— Ja umrę dziś może... może tej nocy, może jutro w dzień...

— Żyj ty sobie lat sto jeszcze! Do życia twego rozkaz mi dany nie ma nic.

Przy zamianie frazesów ostatnich pojawiła się Gruba, która podchwyciła:

— Po cóż tam oni?

— El!... po wysłuchanie edyktu jakiegoś, ich się ty-
czącego. To rzecz wojewodzińska. Wojewoda rozkazał:
sprowadź!... I ja sprowadzić ich muszę na dzień i na go-
dzinę naznaczoną, choćby się ziemia pękać miała.

— Co tam! Chodźmy! — odezwał się Pietar rezolut-
nie. — Tę tylko ci uwagę uczynić muszę — zwrócił się
do Wasy — żeś się niepotrzebnie z taką wybrał gromadą.
Gdybyś był przyszedł sam i powiedział: chodź! a ja ci od-
powiedział: pójdę, to poszedłbym, chociażbym wiedział,
że mnie tam śmierć czeka.

— A gdybyś powiedział: nie pójdę!

— To byś mnie nie wziął, chociażbyś dwa razy tyle
ludzi z sobą przyprowadził.

Jeszcze słów tych nie dopowiedział, kiedy wskutek
uskoczenia w bok i schwycenia się ręką za żerdź, co
wzdłuż ściany wisiała, znajdował się już na dachu, mając

nad sobą ściany, strome, które mu do ucieczki posłużyć mogły.

— Widzisz? — zapytał.

— Boga mi... Widzę... Ha! Myślałem, żeś w ręku moim, pokazuje się, żem ja w twoim. Wola twoja. Powiedz więc: pójdę...

— Pójdę, bo i czemużbym iść nie miał!

Rzekłszy to, spuścił się z dachu, przyodział się, wybrali się Radosław i Radiwój i w chwil kilka później opuszczali dom, pożegnawszy się z Grubą i Żarkiem, który na dawnym usiadł miejscu. Starzec za odchodzącymi następujące rzucił wyrazy:

— Chybaż ja na wasz powrót poczekam.

Po odejściu Pietra z synami, Grubę opanował wnet niewytłumaczony niepokój jakiś. Nic ojcu nie mówiła, ale kombinować sobie w głowie poczęła:

— Dlaczego Wasa tyle ze sobą ludzi przyprowadził? Czemu ludzie ci pretekstem łowów powód istotny przybycia swego osłaniali? Co to być może za edykt?

— Edykt — mówiła sama do siebie. — Edykt?... Gdyby chodziło o to tylko, ażeby edykt ów wziął Pietar do wiadomości, to daleko by było prościej wręczyć go Wasie lub komu innemu i przysłać na Tomowy Skit do przeczytania. Tak zrobił kneź dubrownicki z zapisem Sandała.

Gdy wspomniała zapis, przypomniła sobie natychmiast Helenę i zimno jej przeszło poza plecami. Czegoś ją strach zdjął. Powodu obawy wytłumaczyć sobie nie umiała. Instynktem serca niewieściego coś złego przeczuwała i przeczucie to nie opuszczało jej do wieczora, nie opuszczało do hocy, z nim spać poszła, z nim wstała.

— Nie umrę, póki ich nie zobaczę — tymi słowy powitał ją ojciec na dzieńdobry.

W usposobieniu ducha, w jakim się znajdowała, słowa te stały się dla niej pocieszeniem. Pocałowała starca w rękę i rzekła:

— Pragnąc bym musiała, ażebyś ich, ojcze, nie oglądał jak najdłużej. Ojciec niebieski da, że i oni wrócą, i ty żyć będziesz.

— Myślisz może, iż żyć bym nie chcia! Mnie tu z wami tak dobrze! Któż tak jak ja strudzony pochwalić się może spoczynkiem wygodniejszym? Dlategoż to tak długo żyję. Przyszedłem do swoich i moi mnie przyjęli, do serca przygarnęli, miłością otoczyli... Toć ja nie umrę, a zasną, położę się tam nad wami i będę się przysłuchiwał gwarowi życia waszego...

— Ojcze! — przerwała Gruba — byleż oni wrócili jak najprędzej!

Zakrzętała się koło gospodarstwa i czekała. Około południa wyglądać poczęła. Wychodziła na ścieżkę i spoglądała w stronę Niksicza. Lecz nadszedł wieczór, nie doczekała się. Złe przeczucie niepokoić ją mocno poczęło. Noc nastała, nocy część jedną bezsennie strawiła, w drugiej sny ją niedobre trapiły — we snach Helenę widziała w tej postaci, w jakiej przychodziła czasu onego w odwiedziny do Tomowego Skitu, z torbą na plecach i z dzieckiem na rękę, tylko że Gruba widziała jej serce, a w sercu tym węża uśpionego.

W dniu następnym niepokój małżonki Pietra i matki Radosława i Radiwoja wzrastał. Starzec pocieszał ją:

— Zobaczę ich — zapewniał. — Zobaczę...

— O, byleż rychlej powrócili!

Nie śmiała jednak, szanując ojca spokój, który był warunkiem przedłużenia jego życia, własnymi się z nim dzielić obawami. Mówiąc o mężu i synach udawała, że się nie lęka o nich. A i sama sobie wyperswadować obawę usiłowała.

— Tyleż razy odchodzili mnie na długo! — powiadała sobie. — Szli pomiędzy agarianów, którzy w proroka Mahometa wierzą; szli na Przymorze, gdzie się władza cesarska rozciąga. I nie obawiałam się!

Usiłowała spokój wmówić w siebie, nadaremnie jednak. Śród agarian ani śród cesarskich nie było Heleny — tej Heleny, co ją całowała, obejmowała, głaskała, krewniaczką drogą nazywała i o zapis wypytywała.

Sprawa z zapisem w rodzinie Stepkowicza stała tak, że zawiadomienie o nim, przysłane przez radę dubrownicką, przyjął Pietar do wiadomości i, zdawało się, jakby zapomniał o tym. Gruba nie przypominała, z obawy żeby ze spadkiem tym nie postąpił tak, jak postąpił sobie z majątkiem własnym. Sprawa ta przeto w zawieszeniu pozostawała. Gruba spadek po Sandale, złożony w miejscu bezpiecznym, uważała jako fundusz żelazny synów, mając to na myśli, że się oni pożenią kiedyś, że pójdą na swoje i wówczas będą potrzebowali mieć o co ręce zacześcić. I nie myślała prawie o tym, a raczej, spokojną była w tym względzie.

Obecnie jednak niepokój nią owładnął. Dnie mijały, Pietra i synów z powrotem nie było; nikt nie przychodził, wieści żadnej nie przynosił. Przychodziło jej na myśl, samej się do Niksicza udać, ale — jakże tu ojca zostawić! Nie wiedziała, co począć, aż poranka pewnego starzec rzekł do niej:

— Zbierz się jeno, pójdziemy do Niksicza... Co oni nie wracają! Poszedłbym sam, ale sam nachodziłem się już dosyć w życiu moim. Podaj mi kostur mój wędrowny, powlecemy się powoli...

W W I Ę Z I E N I U

Tak Pietar, jak Radosław i Radiwój, bez zdziwienia i bez gniewu przyjęli los, jaki ich spotkał w Niksiczu. Dla formalności odczytano im edykt, mający być opublikowanym, i zapytano ich, czy się zrzekają błędów herezji patareńskiej. Ojciec i synowie odpowiedzieli jednogłośnie, że żadnych błędów do zrzeczenia się nie mają. Wtrącono ich do więzienia, nie do takiego jednak jak Władysława, ale do więzienia prawdziwego, stanowiącego w wiekach dawnych część nieodłączną męczarni, jakie ludzie ludziom zadawać obowiązany się czuli, i preludium kary, w której wymyślność posuwano do stopnia jak można najwyższego. We względzie tym panowała zacięłość, o jakiej my, ludzie dzisiejsi, wyobrażenia nie mamy. W sporze o prawdę nie wahano się przekonywać przeciwnika ogniem i mieczem, osobliwie zaś szarpaniem, targaniem, kluciem, zadawaniem wszelakiego rodzaju bólei jak najdokuczliwszych.

Pietar i synowie jego wtrąceni zostali do więzienia zaopatrzonego we wszystko, co pobyt wstrętnym czynić może: w ociekającą po murach wilgoć, w narzucane na podłodze śmiecie, w robactwo, w plazy, w drzwi mocne i w okienka zakratowane, przez które światło i powietrze z trudem się do środka dostawały. Więzienie to znajdo-

wało się w podziemiach starego zamku niksickiego, oddanego sądowi do sprawowania funkcji odnoszących się do tępienia patarenizmu. Dodawać nie potrzebujemy, że był to sąd duchowny, ustanowiony na mocy świętej inkwizycji, która od dwóch już z górą wieków zajmowała się oczyszczaniem sumienia ludzkości z naleciałości szatańskich, występując, gdzie się jeno możność wystąpienia ukazała. Od dawna czekała ona na możność tę, co się Bośni tyczy.

Sprawa Pietra tę wielką przedstawiała korzyść, że z powodów, które obwinionym znanymi nie były, postępowała szybko. Na trzeci po uwięzieniu dzień stawali już przed trybunałem, złożonym z osobistości poważnych: z bardzo otyłego prezydenta i z chudych asesorów. Po między tymi ostatnimi zasiadał ojciec Benon, uszczęśliwiony, że na koniec doczekał się działania sprawiedliwości.

Z uszczęśliwienia tego nie czynimy bynajmniej ojcu Denonowi zarzutu. Działał i czuł w dobrej wierze — wierze, która długo jeszcze po nim występowała pod postacią wyznań publicznych.

Czytamy na przykład w Niesieckim o Gamracie, biskupie krakowskim: „I lubo pospolicie wszyscy rozwiązały życie jego autorowie sztychują, przecież znać, jakie staranie miał o duszach sobie powierzonych: bo najprzód w Krakowie rajczynią pewną, przeświadczoną, że żydowską wiarę była przyjęła, publicznie na środku rynku krakowskiego na stosie spalić kazał“.

Jeżeli przeto w wieku XVIII, w kraju, który się tolerancją odznaczał, znajdować się mogli ludzie z uczuciami podobnymi, to cóż dopiero w wieku XV, w okolicy znajdującej się pod bezpośrednim wpływem tego ogniska, z którego się inkwizycja promieniła! Uczucia ojca Benona były wypływem bezpośrednim ducha czasu, jak takimiż wypływem był patarenizm. Patafeni, gdyby gó-

rę byli otrzymali i do władzy przyszedli, kto wie, czyby stosów nie zapalali. Protestanci auto-da-fé sprawiali. Zawziętość w postanowieniu zastępowała miejsce perswazji, rozważi, osobiwie zaś przypuszczenia możliwości omyłki. „Wierz jak ja albo giń!” — było hasłem wieku.

Rozprawy sądowe nie czym innym były, jak tylko ustawiczną dyskusją, toczoną pomiędzy sądem a obwionymi. Powód do onej dawały pytania, wchodzące do aktu oskarżenia, a wyciągnięte z aktu wiary. Dochodzenie żadne miejsca mieć nie mogło, albowiem tak Pietar, jak Radiwój i Radosław składali zeznania otwarcie i szczerze.

— Wierzysz w Boga Ojca?

— Wierzę.

W tym jednym wszyscy razem i każdy z osobna znaleźli się w zgodzie zupełnej z sędziami. Co się tyczy innych punktów, niektóre odrzucili wręcz, niektóre modyfikowali i w komentarze zaopatrywali. Zaprzeczali bóstwu Chrystusa i Duchowi Świętemu; kościół nazywali instytucją ludzką, wierzenie w świętych nazywali bałwochwalstwem, odpuszczenie grzechów uznawali, ale we względzie tych tylko, co patarenizm wyznają; ciała zmarłychwstanie przypuszczali, a nadto sług wszystkich kościoła bez wyjątku najmniejszego mienili sługami szatana, sprzedającymi sumienie za srebrniki. W odpowiadaniu ich to było szczegółnym, że usiłowali sędziów na patarenizm nawrócić. Ze strony sędziów zachodziło usiłowanie przywrócenia ich do wyrzeczenia się błędów. Gdyby nie to, nie byłoby, przez wzgląd na przyznawanie się obwiniionych do wszystkich zbrodni, racji najmniejszej brania Pietra i synów jego na tortury. A tu — i tego nie oszczędzili sobie. Zdawało się, że ludzie ci do męczeństwa się darli. Kiedy ich pytano, nawracali; kiedy im tłumaczono, dysputowali; kiedy im stawy wyciągano, ostrza za paznokcie wbijano, kości w kleszczach uciskano, kiedy

im zimne i gorące, suche i mokre męczarnie zadawano, odmawiali głośno: Ojcie Nasz.

Wszystko to odbywało się w tajemnicy. Rozprawy toczyły się przy drzwiach zamkniętych. Z wyjątkiem sędziów nie wpuszczano nikogo.

Mimo to wydostała się na zewnątrz wiadomość o sądach nad Stepkowiczami, zafrapowała ludność miasta i obiegła po okolicy, sprawiając wszędzie wrażenie ogromne, mimo edyktu, który był już opublikowanym i mniej więcej powszechnie znanym. Ludność nie umiała sobie dokładnie zdać sprawy z doniosłości zbrodni, z drugiej zaś strony, nie brała na serio doniosłości edyktu. Czy to się raz coś podobnego zdarzało. Od czasu do czasu za wojewodów dawniejszych ogłaszano surowe rozporządzenia, wymierzane raz przeciwko wyznawcom kościoła wschodniego, znów przeciwko wyznawcom kościoła zachodniego; ogłaszano też je często i przeciwko patarenom, ale się na ogłoszeniu kończyło. Mimo to „dobrzy ludzie“ poważani byli po dawnemu, a świadectwo patarena stanowiło dowód niezbity wobec sądów cywilnych i kryminalnych. Jedno nie znosiło drugiego. Rozporządzenia były rozporządzeniami — przebrzmiały i zapomniano o nich, a opinia ogółu i władz sądowych osłaniała patarenów rodzajem pewnym nietykalności, przestrzeganej niezmiennie.

Toteż wprowadzenie rozporządzenia w czyn wywołało zdumienie powszechne, które się wnet w oburzenie zmieniło, gdy się dowiedziano, że tymi, których czyn ów dotknął, są Stepkowicze.

Cóż jednak oburzenie mogło! „Głową muru nie przebijesz“. Zamek opasywały mury; w bramach warta stała; procedura sądowa odbywała się swobodnie, przechodząc regularnie stopnie indagacyj, tortur małych, tortur wielkich i wprawiając oskarżonych w stan fizycznego znękania, na wzmocnienie którego mieli podziemie wil-

gotne i posiłek składający się ze spleśniałego chleba i cuchnącej wody.

Oburzenie powszechne to jeno sprawiło, że kiedy się Gruba ze starcem zgrzybiałym w Niksiczu pokazała, to wnet otoczyli ją ludzie, udzielając jej wiadomości przesadnych.

— Męczą!... męczą! — ze stron wszystkich o słuch się jej obijało.

Starzec wyprostował się na te słowo.

— Męczą? — zapytał.

Posłuchał przez chwilę opowiadań i zaczął, podnosząc głos, jak mógł najwyżej:

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie“... etc.

Wnet ci, co bliżej niego byli, cofnęli się w przerażeniu niby, dalsi się usunęli: około Gruby i starca uformowała się próżnia — zostali sami.

Grubę wieść o męczarniach męża i synów przeraziła. Zbladła, zbielała, nogi pod nią zadrżały, słowa przemówić nie mogła i nie odzyskała sił i przytomności, aż odeszli ludzie, co jej wieści tej udzielili.

— Ojcze! — westchnęła z piersi głębi.

I wnet, niby gość uprzykrzony a nieproszony, zawitała jej do głowy myśl o Helenie i zapisie.

— Ojcze... — zwróciła się do Żarka. — Zostań ty tu, ja odejdę i niebawem powrócę.

— Dokąd ty?

— Do Krupaca.

— Chcesz prosić za nimi?

— Nie chcę prosić, ale chcę ich ratować.

— Ra—to—wać? — powtórzył starzec wyraz ostatni, dzieląc go na sylabę i sylabę ostatnią wymawiając tonem zapytania.

Gruba nic ojcu nie odrzekła, zawróciła i odeszła. Starzec, na kosturze się opierając, powlókł się powoli ku

zamkowi niksickiemu, rezydencji niegdyś wojewodów, zmienionym w siedzisko trybunału straszego obecnie; ona krokiem przyśpieszonym puściła się drogą, która w dół zbiegała, a że odległość nie przechodziła półtóry mili, więc też niebawem znalazła się nad jeziorem, przeprawiła się na wyspę, weszła na podwórzec zamkowy i, nie dając sobie samej czasu do zastanowienia się lub odetchnięcia, kazała pierwszej kobiecie, którą napotkała, prowadzić siebie wprost do Heleny. Kobieta podjęła się poprowadzić jeno do drzwi. Grubie nie trzeba było więcej. Pchnęła drzwi i znalazła się z Heleną sam na sam.

Ta ostatnia siedziała pod oknem na dywanie z robotą jakąś w rękę. Wejście nagle Gruby nie zdziwiło jej. Wyciągnęła jeno rękę z gestem oznaczającym, ażeby się zatrzymała opodal. Gruba stanęła, ona wnet zaczęła:

— Boleję nad tobą mocno, z duszy całego i serca całego, ale nie mogę nic... Już ja prosiła i błagała... I wojewoda jednak nie może... Nie czekałam ja, aż ty przyjdiesz, krewniaczko, i prosić będziesz.

— A ja jednak przyszłam — podchwyciła Gruba — i nie po to, ażeby prosić. Przychodzę, ażeby tobie ofiarować... okup.

— Okup? — zapytała Helena tonem zdziwienia.

— Wszak prawda (głos Gruby drżał wzruszeniem wewnętrznym), że to nie chodzi o żadną wiarę, ale o zapis Sandała.

— Niewiasto! — zawołała Helena.

— Chodzi o zapis i to głównie tobie. Zabierz więc sobie — rękę wyciągnęła — blago całe, a mnie oddaj męża i synów!

Helena oczy spuściła i myślała; wzrok następnie na Grubę podniosła i patrzeć się jej w oczy nie mogła. Znów więc oczy spuściła. Chrząknęła raz, chrząknęła raz drugi.

Widocznie wahała się — coś już odpowiedzieć miała, coś sobie nagle przypomniała — odrzekła:

— Pomimo że źle trzymasz o mnie, z duszy serca w przygodzie bym ci stanąć chciała. I będę próbowała jeszcze. Nic ci przyrzekać nie mogę, ale...

— Słuchaj — przerwała Gruba. — Zrób jeno to, ażeby mnie do więzienia wpuszczono, ja ci przyniosę zrzeczenie się zapisu na imię twoje.

Oczy Heleny zajaśniały nagle blaskiem niezwykłym. Podniosła je śmiało na Grubę.

— Na imię twoje — powtórzyła ta ostatnia.

— Przynos — rzekła Helena rezolutnie.

— Więc ty ich uwolnić możesz i... uwolnisz.

— Nie wiem... zobaczę... Wyrobię ci pozwolenie widzenia się z nimi, i ty przyniesiesz pierwszej zrzeczenie się na imię moje. Dobrze — dodała — ja mam dzieci. Zrzeczenie się na imię moje. Hm?... Przyniesiesz mi je.

Bąkała i plątała się.

— Kiedyż cię widzieć będę mogła?

— Kiedy? Dziś... Nie... Jutro... nie wiem... Dziś będę się z ojcem Benonem widziała... pomówię z nim... Zgłosi się do niego w Niksichu po odpowiedź. Innego nic dla ciebie zrobić, nic ci obiecywać nie mogę. To sąd duchowny, przez biskupa postanowiony. Będę się jednak starała, będę próbowała i bądź pewna, że zrobię wszystko, co w mojej jest mocy.

Gruba stała, stała, stała, na Helenę się patrzyła, chwiała się ciałem niby topola wiatrem kołysana, westchnęła, zawróciła się i odeszła.

Helena ją okiem nieubłagalności jakiejś pełnym odprowadziła.

W dłonie klasnęła i służebnicy, która się pojawiła, kazała ojca Benona wezwać.

Upłynęło czasu nieco, zanim wezwany stawił się i obok wojewodziny usiadł.

— Myślałam — zaczęła — żeście już, ojcze, do Niksicza wyruszyli.

— Jużem na mule siedział, kiedy dostojności waszej wezwanie otrzymałem.

— Spieszno wam.

— Zdążę na czas jeszcze. Do zachodu słońca pozostaje godzin parę, a sądy rozpoczynają się o drugim kurów pianiu.

Zauważyć należy, że sądy inkwizycyjne odbywały się zazwyczaj w nocy.

— W krótkości więc — zaczęła Helena — przedstawię wam powód, dla którego was wezwała. Była u mnie biedna Stepkowiczka.

— Spotkałem ją.

Helena poczęła prosić księdza o udzielenie żonie Pietra pozwolenia widzenia się z mężem, przemilczając o kwestii zrzeczenia się zapisu.

Ciekawy, chociaż krótki odbył się pojedynek pomiędzy nią a księdzem, który nie wierzył, ażeby prośba Heleny pochodzić miała jedynie z pobudek litości. Wykazywał, powołując się na kanony, niemożliwość uczynienia jej zadość i wykaz tak przeprowadził, że Helena ustąpić musiała. Przyznała się, dodając jak najprędzej, że ślub uczyniła udotować hojnie klasztor.

— Hm... — mruknął mnich. — To rzecz inna. Zachodzi przyczyna wagi wielkiej. Przedstawię ojcom i nie wątpię, że zadość się stanie dostojności waszej.

Helena jeszcze go na odchodnym jak najusilniej prosiła, nie zatrzymywała jednak, ojciec Benon bowiem spieszył się, szybkim krokiem zamek opuścił, natychmiast się przeprawił i dosiadłszy muła, poganiał go, jakby od kogoś uciekał. Muł, przywykły do powolnego pod zakonni-

kiem chodzenia, z widocznym zdumieniem przyjmował z początku razy spadające mu gęsto na boki; nie rozumiał, co to znaczy, zrozumiał atoli i ruszył z kopyta. Pędził. Zakonnik jedną ręką przytrzymywał na głowie kapelusz, drugą trzymał się mufa za grzywę; gdyby posiadał był rękę trzecią, przydałaby mu się do zrobienia porządku jakowegoś z połami od habita, które wzniosły się w powietrze, bujały z wiatrem, przetwarzając mufa i mnicha w rodzaj ptaka ciemnotabaczkowego koloru, szybującego wśród kurzawy tumanów nad traktem prowadzącym z Krupaca do Niksicza. Pędził muf z sił całych, ustawał niekiedy, lecz wówczas, oprócz szturchań piętami w brzuch, dostawał jeszcze grzmotnąć parę kijem po udach i pomykać musiał. Toteż wielkim być musiało zadowolenie jego, gdy wstrzymanym został; został wstrzymanym w punkcie, w którym się zrównał z pośpieszającą traktem niewiastą.

Niewiastą ową była Gruba. Ta, zoczywszy ojca Benona, wnet do niego podeszła.

— Widzieliście się z Heleną? — wręcz zapytała.

— Widziałem się.

— No?

— Nic z tego być nie może.

— Nie mogę z Pietrem i z synami się widzieć?

— Możesz. Zrzeczenie się jednak zapisu na imię wojewodziny, jako w więzieniu uczynione, najmniejszego nie będzie miało waloru. W Dubrowniku są na to prawa, a te chcą, ażeby akt wszelki wydanym był z dobrej i nieprzymuszonej woli...

Gruba westchnęła jeno, nic na przestrozę tę życzliwą nie odpowiadając.

— Ale — ciągnął mnich po chwili — ty inaczej możesz męża i synów wyzwolić.

Kobieta, idąc obok niego, na mule powoli jadącego, zwróciła nań spojrzenie przeciągle, żalu głębokiego pełne, jakby powiedzieć chciała:

— Nie urągaj mi przynajmniej.

Ojciec Benon wyczekał moment, spodziewając się snadź zapytania jakiegoś, i znów zaczął:

— Możesz wyzwolić bądź wszystkich trzech, bądź dwóch, bądź jednego przynajmniej... tego, który się publicznie i uroczyście błędów wyrzeknie. Możesz ich wyzwolić i zapis uratować, bylebyś zechciała... ty... matka... — Wyras „matka“ z przyciskiem wymówił. — Będziesz mogła widzieć się z nimi. Namysł się... wznies ducha do Ojca na niebie i poproś go szczerze o zesłanie ci promienia łaski, który by cię oświecił i natchnął, ażebyś sprostowała ścieżki własne i najbliższych twoich. Do namysłu masz czas do jutra. Jutro w zamku zgłoś się wprost do mnie.

Przy słowach ostatnich zaciął muła i oddalił się spiesznie, zostawiając Grubę idącą wciąż dalej.

Pośpieszała i ona, do ojca najprzód. Zostawiła starca na środku miasta, na rynku i nie umówiła się z nim o miejsce spotkania. Wiedziała jednak, gdzie go szukać. Udała się wprost do zamku. Żarko siedział na kamieniu, obok bramy, oparty o mur plecami, głowę miał spuszczoną, przed sobą trzymał kostur obiedwiema rękami. Gdy córka się przed nim zatrzymała, podniósł głowę, w oczy jej przez chwilę popatrzył i uśmiechnął się smutnie. Nie pytał o nic, jakby wiedział, że pytaniami boleść by jeno Grubie sprawił. Ta odezwała się pierwsza:

— Chodźcie stąd. Trzeba się do kogoś na noc wprosić.

Podala starcowi ramię — dźwignął się i poszli.

Z wyszukaniem miejsca na nocleg mieli trudności nieco, te atoli wprędce przewyciężyli i znaleźli drzwi gościnne, które się przed nimi otworzyły.

Gruba nie miała nadziei żadnej, mimo to dziwiła się niezwykle uprzejmości, z jaką ojciec Benon podjął się ułatwić jej widzenie się z więźniami. Uprzejmość ta, pomimo że jawnym był powód onej, wydawała się jej nie-naturalną i była też taką w istocie samej, luboć nie dla tych tylko powodów, których się ona domyślała. Z tymi łączyły się jeszcze i inne. Sędziów dochodziły słuchy o oburzeniu, jakie owładnęło ludnością. Paru za popularnością goniących właścicieli przybyło do Niksicza, paru innych znajdowało się w drodze, o innych jeszcze słychać było, że się wybierają.

W innym kraju można by nie uważać na symptomata podobne; w Zachłumiu należało rachować się z nimi, mogły bowiem przybrać rozmiary wielkie i zagrozić spokojowi egzekucji, mającej znaczenie korony dzieła. Z tego powodu publiczne a uroczyste wyrzeczenie się błędów, bodaj przez jednego ze Stepkowiczów, miałoby znaczenie wyjścia z honorem z kłopotliwego położenia. Prawda, nie bez przykrości wyrzec by się musiano ceremonii takiej pięknej i wspaniałej jak spalenie heretyków. Ale — wiele ten czyni, co musi. Zresztą ceremonię wyprysiężenia się błędów urządzić by się dało i pięknie, i wspaniale. Chodziło jednak o to, ażeby więźniów bądź zmusić, bądź uprosić, słowem, zniewolić do sfolgowania w uporze, który przeszedł już przez próby ognia żelaza. Rzecz była nieco trudna do przeprowadzenia. Gruba nastęrczyła się, jakby ją Opatrzność zesłała.

Otworzyły się przed nią nazajutrz bramy. Weszła i gdyby nie wiedziała na pewne, że się znajduje wobec męża i synów, nie poznałaby ich. Ujrzała przed sobą trzy widma. Synowie, dni temu kilka sił i życia jeszcze pełni, ledwie się na nogach trzymali. Najlepiej wyglądał Pietar stary. Gruba ich wszystkich trzech objęciem ogarnęła

i łzami oblała. Głowę podniosła, na głowie dłoń położyła i trzykrotnie wydała ze siebie boleścią nabrzmiąle:

— Ach!... ach!... ach!...

— Niewiasto! — odezwał się Pietar poważnie. — Odwagi! Po coś ty do nas przyszła?

— Po co? — zapytała w obłąkaniu niby. — Po co?

Odetchnęła głęboko, zachłysnęła się razy parę, oczy zamknęła, dłońmi je nacisnęła, wstrząsnęła sobą i wytchnęła nagle:

— Ha!... Dziej się wola Ojca niebieskiego! Przyszłam do was po to... po to, ażeby pożegnać się z wami.

— Czy cię tu po to wpuścili? Czy nie wzięli od ciebie przyrzeczenia jakiego? — zapytał Pietar surowo.

— Żadnego... nie... Przyrzeczenia nie dałam żadnego.

— Rzecz dziwna... No... Tym ci lepiej... Nie kto inny, jeno Ojciec nasz zmiękczył serca oprawców. „Ojciec nasz, któryś jest w niebie“...

Synowie i żona powtarzali za Pietrem Modlitwę Pańską.

Skończyli. Wszczęła się wnet gawędka swobodna o rzeczach różnych, a między innymi o propozycji przez ojca Benona Grubie uczynionej. Z propozycji tej wysnuła się sama przez się materia o spodziewanym końcu.

— Straszą nas ogniem — odezwał się z synów jeden z przekazem.

— Z płomieniem do nieba ulecimy — dodał drugi.

Gruba cisnęła sobie rękami pierś, jakby w obawie, ażeby nie pękła, i do synów się uśmiechała.

Zapytał któryś o Żarka.

— Jest tu, w Niksiczu... siedzi na kamieniu przy bramie zamkowej — odpowiedziała.

— Do więzienia go nie wpuścili — dodał Pietar. — Powiedźże jemu, że ani zięć jego, ani wnukowie nie sprze-

niewierzyli się Ojcu niebieskiemu. To go pocieszy. Godni
jesteśmy braci naszych ze wschodu i zachodu słońca.
Wróćmy czyści i niepokalani na łono Ojca niebieskiego.
Niech Żarko wyjdzie, stanie przed stosem i patrzy na nas.
Ty nie wychodź — rzekł, rękę podnosząc, do Gruby — je-
żeli nie czujesz w sobie odwagi i mocy — nie puścić jed-
nej łezki zza powieki, nie wydać jednego jęknięcia
z piersi.

S M U T E K I R A D O Ś Ć

W Niksiczu nie żartem zanosilo się na burzę. Obecność włascielinów kilku, odgrażających się głośno, ozuchwalała ludność miejscową i czynila coraz to bardziej wątpliwym powodzenie ogniowego widowiska, które też z tego powodu niekoniecznie pożądanym okazywało się dla wojewody, mającego interes, w chwili poprzedzającej tak bliskie uzyskanie udzielności, nie zrażanie, a raczej pozyskiwanie opinii publicznej. Wasa co moment kładł Stefanowi w uszy, że to lichy chyba zaczepianie Stepkowiczów doradziło.

— Czy to nie można było znaleźć kogo innego i nabiczować na grzbiet jego wszystkie patarenizmu grzechy! — powiadał.

Helena zacięła się w milczeniu, powodem którego był zły humor. Gruba i zrzeczenia się zapisu nie przyniosła, i nie pokazała się. Wojewodzina z obijających się o jej uszy gadanin miarkowała, że skończyć się może źle: albo wyniknie zaburzenie wcale niepotrzebne, albo też trzeba będzie dla Stepkowiczów wynaleźć jakąś rekolekcję, jakąś pokutę, słowem, karę taką, co ich przy życiu, a przy nich zapis zostawi. Zagmatwanie stało się niemałe. Narady odbywały się ustawicznie. Suszących sobie mózgi nad

tym, jakby tu się z kłopotu tego wywikłać, znajdowała się liczba niemała.

Tak upłynęło dni kilka.

Gruba z Żarkiem pozostawała w Niksiczu, oczekując na rozwiązanie i przysłuchując się końca nie mającym rozhoworom, snującym się około osobistości jej męża. Roztrząsano życie jego całe bez plamki, stawiano wniośki co do wyroku i powszechnie zgadzano się, że — nie! — do całopalenia nie przyjdzie. Dawalo to jej nadzieję niejaką, nadzieję jednak bardzo słabą, bo co chwila przygasającą. To się jej chwylała, to puszczała, aż nareszcie gruchnęła pogłoska, że sąd zasiadał ciągiem jednym od rana do północy, deliberował i wydał wyrok skazujący Stepkowiczów na wygnanie z kraju. Pogłoska ta utrzymywała się przez dzień cały i nie tylko nie upadła, ale około południa nabrała mocy, wieczorem zaś nabrała pewności, potwierdzoną bowiem została przez ludzi z Krupaca przybywających, z których jedni słyszeli ją z ust własnych wojewody, drudzy z ust wojewodziny, wojewodzciców, Wasy, służby zamkowej etc. Pewność zupełną się stała, gdy późnym wieczorem przyszło do Gruby wezwanie z niksickiego zamku, ażeby stawiała się tam nazajutrz. Pacholek, co wezwanie to przyniósł, nie wiedział, co ono znaczy, domyślał się jednak, że tyczy się ono więźniów.

Grubę tak to poruszyło, że oka w nocy zmrużyć nie mogła.

Żarko chciał jej towarzyszyć do bramy przynajmniej. Poszli. Wpuszczono ich do środka i oznajmiono, że wyrok wydany i że są wezwani na świadków odczytania takowego. Na takichże świadków wezwanych zostało kilka jeszcze osób.

— Na wszystko są przepisy — mówił starosta. — Prawo przede wszystkim, trzymać się onego należy. Pocze-

kajmy chwilkę, jak tylko wszyscy się zejdą, natychmiast udamy się do więzienia.

Zjawiły się niebawem trzy osobistości Grubie i Żarkowi nie znane, jednakże tak zwanych „słusznych“ ludzi pozór mające. Po przyjściu ich udano się do więzienia. Stróż drzwi otworzył i wchodzić poczęły jedna po drugiej osoby obecne — starosta naprzód z dekretem w ręku — weszły wszystkie, chłód podziemia je ogarnął, cisza otoczyła.

— Cóż to? — zapytał starosta stróża — śpią chyba?

— Chyba niedawno pozasypiali, nie spali bowiem rano, kiedy przynosiłem chleb i wodę — odrzekł tenże.

Gruba wysunęła się naprzód, jakby ją coś pchnęło, i oczami po podłodze szukać poczęła. Nagle przyklekła, pochyliła się i krzyknęła:

— Radjówj!

Okrzyk ten echem jęknął pod sklepieniem.

Poczłgała się kilka kroków i znów krzyknęła:

— Radosław!

Znów echo jej odpowiedziało.

Zerwała się, do Żarka się zwróciła i zawołała:

— Ojczel!... oni nie żyją!

— Żyją... — odrzekł starzec — na łonie Ojca niebieskiego.

— Dotknęła ich ręka Boża... — odezwał się ze świadków jeden.

Starosta z dekretem i świadkowie wynieśli się wnet z więzienia, pozostawiając Grubę z boleściami się pasującą, Żarka poważnie zadumanego i stróża obojętnego.

— Rzecz dziwna... niesłychanie dziwna.. — mówił ten ostatni. — Byłem tu dziś rano. Mówilem im, że na wolność wypuszczeni będą. Chyba że to ich radość wielka zabiła!... Ale... wszystkich trzech na raz? to rzecz nad-

zwyczajnie dziwna! Widoczny palec Boży... Trzech na raz!...

Stał i prawił. Gruba od trupa do trupa na kolanach się czołgała. Żarko odmawiał Modlitwę Pańską. A trzej świadkowie szli przez miasto i roznosili wieść, jako się rzecz stała nadzwyczajna: Stepkowicze, w chwili kiedy uwolnieni być mieli, wszyscy trzech na raz śmiercią nagłą i niespodziewaną pomarli.

Efekt zdarzenia tego był ogromny.

Sądowa medycyna nie istniała, przy tym żaden z najmędrzych owoczesnych medyków nie zdołałby przyczyny ich śmierci zdefiniować; za to istniała wiara w cuda, wiara prosta, szczerą i bezwarunkową, pozwalającą tłumaczyć znaczenie, ale nie przyczynę zdarzenia. Cud się stawał i był albo kary, albo też łaski Bożej objawem, nigdy zaś następstwem czegoś, co w naturze rzeczy rację swoją miało. W mniemaniu ogółu Stepkowicze pomarli nagle i niespodzianie, to znaczyło, dotknął ich palec Boży w tym samym czasie, kiedy dzięki pobłażliwości sądu bezkarnie ująć mieli: spadła więc na nich kara wprost od Boga. Zwrot w opinii nastąpił od razu. Ci sami, co przed chwilą gotowi byli rękami własnymi stos gasić, gdy się z ust świadków dowiedzieli o wypadku w więzieniu, uczyli w sobie strach i skruchę i oglądali się na niebo, azali nie ma tam gdzie pioruna na ich głowy.

W mniemaniu patarenów zdarzenie to samo wręcz przeciwne miało znaczenie. Nie kara to była, ale nagroda. Za cierpienia, jakich doznali, Ojciec niebieski synów swoich najmilszych wszystkich trzech na raz powołał do siebie. Razem cierpieli, razem po odebranie nagrody niebieskiej wezwani zostali.

— Nie płacz, nie rozpaczaj — odezwał się Żarko do córki. — Oni w chwili tej wiecznej już używają szczęśliwości... zasiadają obok Ojca niebieskiego... Pomyślmy o przeniesieniu ich zwłok do Tomowego Skitu i o złoże-

niū ich w grobie moim. Niebawem i ja się obok nich położę.

Posłuchała. Wyszła z podziemia. Wyszukała ludzi do-
brych, co jej w przygodzie stanęli, i w tymże samym
jeszcze dniu na trzech mułach pojechały trzy trupy, a za
nimi powlókł się starzec podtrzymywany przez niewia-
stę, która do więzienia weszła była czarnowłosa, wyszła
z więzienia siwiuteńka.

Na Tomowym Skicie złożono trzy ciała przed domem,
na murawie, i podczas kiedy ludzie dobrzy trumny zbi-
jali, Gruba je myła, czesała i odświętnie ubierała. Łzy
jej same z ocz po policzkach płynęły, nie wyrzekała jed-
nak, nie lamentowała. Gdy trumny były gotowe, sama
każdego z osobna włożyła i sama na miejsce spoczywa-
nia wiecznego zanosła. Pomodliła się przed grobem, któ-
ry męża jej i synów zawarł, powróciła i ludziom z Nik-
sicza podziękowała.

Ci odeszli, pozostała z ojcem sama.

Ścichła, a starzec prawil. Opowiadał, w jakich to oni
u Ojca niebieskiego łaskach, jak się nimi ojciec cieszy,
jak to wieki i wieki przeminą, a szczęśliwość ich nie prze-
minie.

— Niebawem i ja z nimi będę. O! i mnie Ojciec nie-
bieski nie odepchnie.

Tym razem wywróżył sobie. Nie minęło tygodni parę,
starzec zasnął. Z wieczora się położył i nie wstał już
rano. Gruba i jego umyła, zaciesała, ubrała, do trumny
włożyła i do grobu odniosła.

— A teraz... ja sama! — zawołała, kamień założyw-
szy. — Pochowałam tych, com porodziła, pochowałam
tego, co mnie szczęśliwą zrobił, pochowałam tego, co mi
życie dał! Któż pochowa mnie!... O!... nie odejdę ja już
stąd na krok!

Pozostała na Tomowym Skicie — pustelnicą.

W chwili właśnie, kiedy ona ojca na wieczny układała odpoczynek, w Krupacu rozbijały się nowe dzwony i rozlegały się huki wystrzałów. Odgłosy te echa aż na Tomowy Skit przynosiły i kiedy Gruba od grobu wracała, o słuch ją uderzyły. Przystanęła, ucho nastawiła, nie domyśliła się, co by to oznaczać miało — nie obchodziło jej to wcale.

A było to przecież zdarzenie niezmiernie ważne: narodziny państwa nowego.

Biły dzwony, paliły harmaty, wygrywały muzyki, rozwijały się na wietrze sztandary, brzmiały okrzyki radosne ludu mnogiego — w uroczystym pochodzie udał się Stefan z Heleną do kościoła nowego i w uroczystym pochodzie zeń wyszedł. Wszedł wojewoda w kołpaku, z buzdyganem w rękę, wyszedł monarchą — hercogiem świętego rzymskiego cesarstwa — udzielnym panem hercogstwa świętego Sawy, w koronie, z berłem. Metamorfozy tej dokonał na nim biskup Tomasini w imieniu ojca świętego, z poruczenia cesarza Fryderyka III. Wręczył mu dyplom z cesarskimi podpisami i pieczęciami, włożył mu koronę na głowę i berło w rękę, pomazał olejem z puszki srebrnej i pokropił wodą święconą. Toż samo uczynił na osobie Heleny. Związał ich na nowo niejako węzłem trzykroć świętym. Pobłogosławił na panowanie.

Stanął hercog siewiański.

Biły dzwony, paliły harmaty, wygrywały muzyki, rozwijały się na wietrze sztandary, brzmiały okrzyki radosne ludu mnogiego.

Wojewodzie do kościoła, a hercogowi z kościoła towarzyszył orszak właścielinów, wielikaszów samych. Co jeno Chum posiadał najznakomitszego, to wszystko się ściągnęło. Co dziwna jednak: pomiędzy Chumcami znajdowali się i Bośniacy, właścielinowie, którym powinnoś nakazywała

stać przy królu Tomaszu, zwłaszcza w chwili kiedy województwo chumskie dokonywało dzieła odłamywania się od całości. Co zaś jeszcze dziwniejsze: tuż za Stefanem postępowali synowie i Władysław między nimi, tuż za Heleną znajdowała się Mara.

Dziwa jednak wszelako dziwami być przestają, gdy się w nich bliżej rozpatrzy.

Obecność w krainie nad Narentą, w charakterze gości chrzestnych, wielikaszów znad Bosny i Wrbasą zrozumiałą będzie, gdy jeno przypomnimy sobie tych słów kilka, któreśmy powiedzieli o wizycie kościołów bośniackich przez legata. Tolerancja Tomasza owoc swój wydawała. Był to dopiero początek. Właścielinowie niektórzy szukali nad Narentą wolności, zagrożonej przez wolność nad Bosną i Wrbasem. Panowie bośniaccy, w poczuciu świątobliwego oburzenia, biegli od zięcia do teścia. Powód przeto obecności ich przy narodzinach tego nowego dziecka słowiańskiego jasnym i zrozumiałym jest.

Mniej jasnym i zrozumiałym jest powód obecności Władysława i Mary. I to jednak da się wytłumaczyć, dla wytłumaczenia atoli owego cofnąć się musimy aż do chwili połączenia się w baszcie małżeństwa młodego.

Z radości ich wielkiej, jaka nastąpiła, gdy się znaleźli znów razem, zdawaliśmy sprawę na miejscu swoim. W radości tej pozostawiliśmy ich. Nie mogli dosyć nacieszyć się sobą. Rozstanie ich było krótkie, ale groźne, groźne zagadkowością losu na przyszłość całą: w stosunku też do grozy tej nastąpiła uciecha, w której także zagadkowość tkwiła. W pierwszej atoli chwili Władysław i Mara nie zastanawiali się nad niczym. Dość im było faktu połączenia się. Używali! Patrzyli się sobie w oczy, jakby wyczytać z nich chcieli historię kilkunastu godzin spędzonych w odosobnieniu. Usiedli na ławie, jedno obok drugiego. Za ręce się wzięli.

— Mój ty luby! mój ty najmilejszy! — odezwała się Mara słodkim głosem. — Wydaje mi się, jakbym wiek nie widziała ciebie.

— I zmieniłem się bardzo przez wiek ten? — zapytał Władysław.

— O i jak jeszcze! Wypiękniałeś dla mnie i stałeś mi się droższym o całą wagę smutku, jaki mnie przejmował, gdy mnie od ciebie oderwano. Ha!... — drgnęła, jakby ją wspomnienie to przeraziło. — Ale to już minęło, Bogu dzięki.

Wstała i do szczeliny strzelniczej podeszła. Postąła przy jednej, przyszła do drugiej. Od drugiej udała się do trzeciej.

— Ależ to istne obrazy! — zawołała.

Władysław poszedł za przykładem żony i czynić począł przegląd okolicy widnej z okien, które acz wąskie wewnątrz, rozszerzały się jednak na zewnątrz i pozwalały rozległą spojrzeniem ogarnąć przestrzeń. Strzelnic było osiem, obejmowały połowę całą izby zwróconą na jezioro i otaczające góry. Mara co chwila coś mężowi ukazywała lub też o coś go zapytywała.

Czynność tę przerwało nagle dobywanie się do drzwi, co uwagę młodego małżeństwa zwróciło i Marę trwogą przejęło. A nuż przychodzą w celu rozdzielenia ich znów? Rzecz możliwą była, nie było bowiem racji, która by się sprzeciwiała. Płonną jednakże okazała się kobiety młodej obawa. Przyniesiono im śniadanie. Służebnik wszedł, na stole kubki postawił, obok kubków chleb biały położył, zwrócił ku nim oblicze, popatrzył się, uśmiechnął, słowa nie rzekł i wyszedł. W kubkach było wino grzane, jajkiem i korzeniami zaprawne. Władysław i Mara w ustach nic od południa dnia wczorajszego nie mieli. Wzięli się więc do spożywania śniadania, które im smakowało podwójnie,

raz jako posiłek po przegłodzeniu się, po wtóre jako napój w rzeczy samej smakowity.

Po śniadaniu Mara oglądała izbę, w której do oglądania niewiele co było. Zawsze jednak! Uderzyła ją świeżość ścian. Władysław wytłumaczył, że świeżość pochodzi stąd, iż zamek jest budowlą nową, wzniesioną z ruin zamku dawnego. Zawiązała się rozmowa o dawnym zamku i przeciągnęła się póty, aż tenże sam służebnik znów się pojawił, przynosząc obiad a zabierając naczynie ze śniadania. I znów patrzył na nich, uśmiechał, ale nie mówił nic.

Po obiedzie wystąpił na stół Owidiusz.

Dzień upłynął wesoło i przyjemnie. Mara powiedziała mężowi dobranoc:

— Byle nas nie rozdzielano!

W dniu następnym powtórzyło się to samo, przybyło jeno odkrycie jedno. Służebnik, co im jadło przynosił i w izbie uprzątał, co się patrzył na nich i uśmiechał, był niemy. Odkrycie to posłużyło za przedmiot do rozmowy, która ze swej strony posłużyła za wątek do domysłów. Te ostatnie wznawiały się za każdym niemal niemego wejściem, psując pierwotną uciechę niepokojem o jutro, brzemennym tysiącem przypuszczeń.

Nie wiadomo, jakim sercem przyjmują ptaki szczęście w klatce: z tego, że się tłuką w niej zrazu, następnie zaś szczebiocą i śpiewają, wydaje się, iż godzą się z losem swoim w miarę dłuższego w zamknięciu przebywania.

Z naszym młodym małżeństwem działo się wręcz na odwrót. Zrazu okazali zadowolenie, „byle ich nie rozdzielano“, z upływem jednak dnia jednego po drugim szczęście w klatce malało coraz to bardziej i coraz to bardziej, bezczynność ciążyć im poczyniała coraz to mocniej i coraz to mocniej, jednostajność stawiała się nieznośną tak dalece, że już się przewidywać dawała rozpacz.

Po rozpaczy, przypuszczać można, nastąpiłaby rezygnacja. Nie przyszło jednak do tego. Na przełomie właśnie zaszła w ich bycie ta zmiana, że raz pewnego wraz z nim weszła do nich Helena. Widok jej wprowił Władysława w uniesienie, złożone w połączeniu z żalem i nadzieją.

— Majko!... majko! — zawołał — za cóż ty nas męczysz?

Helena z uśmiechem na ławce usiadła i z wyrazem dobroduszości w oczach na Władysława i na Marę spoglądała.

— Czy my tu długo pozostawać mamy?

— Czy to wam tu źle! — odrzekła pół żartem.

— A!...

— Macie jeść i pić dostatek, macie spokój, jesteście razem... czegoż wam brak?

— Swobody! — podchwycił Władysław. — Za swobodę dałbym życia mego połowę.

— Ach!... i ja mego... — dorzuciła Mara.

— Mieć ją możecie za inną cenę. Ani połowy, ani ćwierci, ani godziny jednej życia ukrócić sobie nie potrzebujecie, bylebyście powolnymi się okazali żądaniu, siusznemu bardzo, jakie wam w moim własnym i wojewody imieniu postawię.

Władysława oblicze, gdy matka ostatnich słów domawiała, oblało się wyrazem obawy. Zapytał z nieśmiałością:

— Cóż to za żądanie?

— Wojewoda, mój małżonek a twój ojciec — zaczęła Helena stosownym do słów tonem — na mocy zasług, jakie w cesarstwie złożył, otrzymał podniesienie dostojności własnej, a zarazem zapewnienie onej dla potomstwa swego po wieczne czasy. Cesarz przysłał kniegę i wienac i skiptr...

— Na króla! — podchwycił Władysław.

— Nie... na hercoga... na udzielnego księcia, zależącego nie od korony bośniackiej, ale, zarówno z tą koroną, od cesarskiej. Przybył biskup jeden wielki i przywiózł od cesarza knię, wienac, skiptr i płaszcz... i będzie nas, to jest wojewodę i mnie, poświęcał i pomazywał.

Władysław odsapnął z piersi głębi.

Helena spojrzała na niego i zapytała:

— Co? Czy masz co przeciwko temu do powiedzenia?

— Nie... Cóż bym do powiedzenia miał!

Odpowiedź ta zgadzała się zupełnie z duchem czasu. Dziś Władysław taki, kto wie, azaliby czego do powiedzenia przeciwko temu nie znalazł? Wówczas atoli sam on nie starałby się o to, nie mógł jednak, nie czuł się w prawie mieć za złe ojcu czy też komu innemu pięcia się na szczebel wyższy. Drabina społeczna stała już gotowa i ruch cały, jaki się odbywał, w sferach zwłaszcza znaczących, miał właśnie na celu nie co innego, jeno przedstawianie się ze szczebła na szczebel, przy odpychaniu innych, przy potracaniu brutalnym. Zdarzać się mogły indywidualia pojedyncze usuwające się od ruchu owego. Były to jednak wyjątki. Do takich może należał Władysław, któremu upodobanie odmiany wytknęło cel, nie nadawało mu jednak prawa narzucać zapatrywania własnego komukolwiek, nie dopieroż ojcu. Władysław nie mógł nawet znać dokładnie racji istotnej tego upodobania własnego, utopionej w odmęcie państwowych formacyj, poruszających podówczas społeczny Europy grunt. Ujrzał jeno przybywające państwo nowe, wyprowadzane przez ojca naprzód do postawienia onego w rządzie państw innych. Znając Stefana wołałby może, ażeby to czynił mąż inny, rozumniejszy, zacniejszy, godniejszy, ale ostatecznie nie miał przeciwko temu nic. Gdy tedy matce odpowiedź w tym sensie dał, ta ciągnęła dalej:

— Owóż, świat cały wie, że mamy synów trzech, i byłoby dla nas sromotą wobec ludzi, gdyby przy poświęce-

niu i pomazywaniu przez biskupa nie asystował syn nasz najstarszy. Zechcesz asystować, będziesz wolny... nie zechcesz...

— Kiedy poświęcenie to się odbędzie? — przerwał.

— Jutro.

— Więc jutro wolnym będę? — zawołał w uniesieniu radości.

— O! — podchwyciła Helena. — Przewidywałam, że tak się stanie. Gdybym w Dubrowniku powiedziała wam była, po co mianowicie do Krupaca was wabię, to kto wie, czybyście się wywabić dali. Terazże rozumiecie rację podstępu mego i uwięzienia waszego?

— Ha — odezwał się Władysław głową kręcąc, nie wiedząc, że to była racja okolicznościowa i przepołowiona, z pozostawieniem połowy pierwszej, ważniejszej, w tajemnicy nie mającej być wiadomą nikomu nigdy, z wyjątkiem tych, co już ją znali lub też się jej domyślali.

Władysław więc głową pokręcił i dodał:

— Jutro więc będziemy mogli do Dubrownika wrócić!

— A nie... To znów byłoby nie wiedzieć co... Zabawicie w Krupacu tygodni parę, aż przeminą uroczystości, jakie z okazji poświęcenia nastąpią. Gości będzie huk: toć godzi się, żeby ludzie obcy widzieli ojca w zgodzie z synami rodzonymi.

Władysława tak perspektywa odzyskania wolności uradowała, że i na to przystał z łatwością. Mara nie sprzeciwiała się: mogłaż się sprzeciwić? — gdzieżby ona podzielała ciekawość, o którą pomawiane są córki Ewy od czasów niepamiętnych?

Otóż i powód, dla którego obok włastielinów zachłumskich i wielikaszów bośniackich udział w ceremoniach wzięli Władysław i Mara.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

PORWANIE

Brzmiałoż wesele na zamku krupackim!

Uczty szły po ucztach, zabawy po zabawach — nie bito jednak dziennie, jak się zdaje (kroniki przynajmniej o tym milczą), po siedemset wołów i po tysiąc czterysta baranów, nie wypijano po siedemset beczek wina, miało atoli do syta co jeść i co pić i to nawet w lepszym doborze, jak w Łucku czasu onego; pod bokiem znajdował się gród taki jak Dubrownik, który dosyłał z pierwszej ręki produktu najdelikatniejsze krajów zamorskich. Może kto nas posądzi o brak poszanowania dla własnej przeszłości, wyznać jednak musimy, że nam się zdaje, iż goście Stefana lepiej jedli aniżeli goście Witolda. Zdaje się nam oraz, że i lepiej się bawili, a to dlatego, że zjazd łucki miał inne aniżeli krupacki znaczenie: tamten był oprawą pragnienia, ten tryumfu. Tam na pragnieniu się skończyło, pomimo że pragnącym był mąż niepospolitych rzeczywiście zdolności, na tryumfatora zaś wyszedł — pożałuj Boże! — osioł (przepraszam za wyrażenie) nie człowiek — został założycielem państwa na mocy zasług. Państwo to i dziś istnieje w tradycji i aspiracjach, które działać nie przestają, rokując mu przyszłość. Nie zapadło się ono pod ziemię, jak się komu wydaje może ze względu na pierwociny onego. Pierwociny państwa oto-

mańskiego także nielepsze: także przeto sprowadzić mogą upadek i zapadnięcie się. Nie o losy państwa nam wszakże chodzi, ale o losy osobistości występujących w opowiadaniu naszym.

Stefan, Kosaczem zwan, wcale dobrze jako tryumfator wyglądał. Nowy tytuł był jakby umyślnie dla niego wynaleziony. Wydawało się, jakoby wyraz „hercog” na czołe mu jasnymi świecił głoskami i tworzył koronę sam przez się. I Helenie było z nim do twarzy. Wspaniała z niej zrobiła się hercoginia. Kłopot był jeno z początku z wymową.

Poddani ich wysokości przez czas długi języka nałamać nie mogli do wyrazu obcego. Włastielinowie, wielkasze w czasie uczt w Krupacu plątali się, nie wiedząc nieraz, z jakiego końca wyraz ów wymawiać, i przerabiając ony na przenajrozmaitsze sposoby, w których sylaby her, per, der, ter, fer etc. łączyły się z sylabami cog, pog, dog, kog etc. Z wyrazem hercoginia również historie się działy i zdaje się, że z tego to ostatniego powstał wyraz „Hercegowina”, stanowiący obecnie nazwę kraju. Kraj, w uhercogowieniu swoim, zmienił był pierwotną nazwę Chum, czyli Zachłumie, na Księstwo Świętego Sawy. Mieszkańce onego zwać się mieli Świętosawcami, ale jako Świętosawcy figurowali jeno w Krupacu, jedząc, pijąc, rękami wymachując, wykrzykując i hercoga nowego wraz z hercoginią podziwiając.

Bo też na podziwianie zasługiwali.

Co za powaga! Obok tego zaś — co za gościnność!

Hercog i hercoginia trzymali się razem wobec ludzi.

— Co za para! — powiadali goście. — On, nasz... hercpercfercog... niczego sobie, ale i ona... phiii...

Brwi podnosili, usta wykrzywiali i głowami kiwali.

— Ale też i synowę pan Bóg im dał!... istna pawal!... istna ptaszka rajska.

Mara ściągnęła na siebie oczy ogromnie, a to tym bardziej, że Stefan na nią uwagę zwracał i nieraz, pokazując ją raz temu, znów owemu mężowi znamienitemu, powiadał:

— Objechałem świata kawał... ej!... Byłem tam nawet, gdzie się wywodzą ludzie kosmaci, a takiej jak ona nie widziałem. Boga mi, nie widziałem! Nie dziwię się Władysławowi, że ją wziął, choć ona rodu niskiego... bo i ja bym ją wziął...

Bardzo go frapowała synowa. Przysiadł się do niej. Przemawiał do niej, dobierając wyrazów najśłodszych; karesował ją i ona też szczerem karesy te przyjmowała sercem, biorąc je w znaczeniu takim niemal, jakby od rodzonego pochodziły ojca. W początkach zresztą rzadko ją one spotykały. Stefan dorywczo jeno mógł się oddawać słodyczom życia rodzinnego, mając cały czas zajęty obowiązkiem gospodarza a przy tym i nowego pana udzielnego. Jako gospodarz — gości częstował i podejmował. Jako księżę udzielny — posłów przyjmował.

Posłów sprowadzał dzień niemal każdy ze stron rozmaitych, z Niemiec, z Włoch i Hiszpanii nawet. Szereg ich rozpoczęło przybycie dwóch na raz, jeden od Rzeczypospolitej Dubrownickiej, drugi od sultana Amurata II. Pierwszy nie zadziwił nikogo: bliskie, bo o miedzę sąsiedztwo, samo go niejako wzywało; za to drugi w osłupienie prawie wprowadził tak nowych dygnitarzy nowego państwa, jak Stefana samego. Skąd i jak się on wziął? Co go sprowadza?... Stefan, wyznać należy, był w strachu trochę, a byłby w strachu większym jeszcze, gdyby nie Helena, która w nim odwagę podtrzymywała, przypominając sobie z czasów swoich dziewiczych, jako posłowie tureccy nie wychodzili prawie od ojca jej, wojewody Zety, Jerzego Balszicza.

— Jeden zmieniał drugiego — mówiła — i z nimi to nie ma brigi, daje się im woda, sładko i koniec.

— Ale... po co od samego przyjeżdża sultana?

— Po cóż! W razie najgorszym zechce, żebyś sultanowi jakiś rocznie płacił haracz.

— Haracz! — zawołał Stefan. — To niby rzecz mała?

— Uhm... Wiele oni sobie płacić nie każą, a za to dają i spokój i, broń Boże czego!... wojsko na pomoc.

Pokazało się jednak, że obawy hercoga były zupełnie płonne, przysłany bowiem czausz haraczowi nie żądał najmniejszego, przywoził podarunki w futrach, w szalach, w orężu i w koniu z rzędem, a oprócz tego, składał „hersegowi“, jak się wyrażał, powinszowania w imieniu sultana, ofiarując oraz przyjaźń dobrą sąsiedzką i przymierze zaczepno-odporne, obowiązujące nie Stefana — walczyć przeciwko nieprzyjaciółom sultańskim, ale sultana — nieść Stefanowi pomoc w razie potrzeby. Stefana obowiązkiem było jeno nie brać udziału w wojnach przeciwko sultanowi. Nie wymagało się od niego niczego więcej. Były to warunki tak korzystne, tak bardzo korzystne, że gdy hercog udzielił wiadomości o nich Helenie, Wasie i wielikaszom kilku, to wszyscy w jeden krzyknęli głos:

— Szczęście! błogosławieństwo!

Legat zaś dodał:

— Najwyższy wyraźnie opiekuje się narodzinami państwa nowego, kiedy bisurman nawet uznanie mu swoje przysyła. Ale — dodał jeszcze — lepszy bisurman, jak, upraszam mi otwartość wybaczyć, zięć wysokości waszej.

Wypadło z narady — odwzajemnić się poselstwem za poselstwo i podarunkami za podarunki. Na posła wybranym został Wasa; podarunki sprowadzono z Dubrownika. W liczbie upominków figurował kosz duży, napelniony piernikami toruńskimi. Skąd się w Dubrowniku pierniki z Torunia wziąć mogły?

W jednym z ostatnich poselstw przyjechał Grgur Grguraszicz. Przybywał on od króla Tomasza i przywo-

żąc od Katarzyny ojcu i matce pozdrowienia, przywoził od króla zapytania i przestrogi. Zapytania tyczyły się stanu przygotowań wzajemnych, do jakich się Stefan względem zięcia zobowiązał; przestrogi odnosiły się do ucisku akatolików, mianowicie zaś patarenów w województwie chumskim. Grgur wyrażał się w ten sposób, jakby nic o hercogstwie nie wiedział. To do pasji Stefana przyprowadziło. Odsapnął i odrzekł:

— Powiedz zięciowi naszemu, Tomaszowi, królowi Bośni, że my jemu na pytania żadne odpowiadać ani od niego przestrog żadnych przyjmować nie myślimy!

— Zapominasz o zobowiązaniach się, dostojność wasza, mości wojewodo — zauważył poseł uprzejmie.

— Ja nie żadna dostojność i nie żaden wojewoda! — odburknął. — Ja wysokość, nie król, ale królowi równy... hercog świętego Sawy! Jeżeli jego królewska mość chce z naszą mością być dobrze, to niech od tego zacznie, ażeby nie wtrącać nosa w to, co nie do niego należy.

W ten sposób odciął królowi i wywołał oklask powszechny ze strony wszystkich obecnych odprawie posła królewskiego, mianowicie zaś i szczególnie ze strony wielikaszów bośniackich. Śmieli się grubo, żartując z Grgura Grguraszicza.

— Masz gościniec! — powiadali. — Odwieź go królowi jegomości... i pokłoń się mu od nas!

Takie to troski zwały się na Stefana naszego, jak skoro hercogiem został. Ale się przynajmniej ubezpieczył ze stron wszystkich, z wyjątkiem jednej, od zięcia, wszakże nie lękał się go wcale, mając Dubrownik pod bokiem (w Dubrowniku rejterada zapewniona) i Amurata za sobą. Mógł być o losy swoje i hercogostwa spokojnym i po przejściu tej zawieruchy, jaką pierwsze chwile panowania udzielnego sprowadziły, odetchnął.

Odetchnął też z serca całego.

Nawinał się mu Władysław, który razy parę wspominał już o ochocie swojej odjeżdżania do Dubrownika.

— Słuchaj no... — odezwał się do niego. — Powiedz ty mi: czego ci się tak do Dubrownika śpieszy?

— Do siebie, ojciec.

— Hm?... Alboż to źle ci tu?

— Dobrze... ale... ja nie sam!

Wyrażał się niejasno, a to dlatego, że nie chciał ojcu wręcz powiedzieć przyczyny istotnej, skutkiem której nie mógł z młodą żoną w krupackim pozostawać zamku.

— Nie sam! — podchwycił ojciec. — Właśnie też dlatego, żeś nie sam, to ci w Krupacu mieszkać przystoi, przy ojcu, nie zaś przy teściu.

Wyrazy ostatnie odnosiły się do zwyczaju południowo-słowiańskiego, zadrugi, o którym już pisaliśmy w ciągu opowiadania niniejszego.

— Ona jedna u rodziców — tłumaczył Władysław.

— U których jeść nie ma co. Ja gotów bym zabrać do Krupaca teścia twego i twoją teścię, gdyby teść nie był ludzkim pośmiewiskiem.

— Teść mój nie przyjąłby zaprosin twoich, ojciec! — odrzekł Władysław żywo.

— Nie przyjąłby? Cha! cha!... Ot, co jeszcze! Bądź co bądź jednak... nie spiesz się ty z wyjazdem. Pojedziesz sobie później trochę... pojedziesz i powrócisz — dodał z przyciskiem niejakim.

Władysław nie przyjmowałby zaprosin ojca, gdyby nie żona, wobec której znajdował się w położeniu arcykłopotliwym. Mara, nie to ażeby podobać sobie miała w Krupacu, ale też i nie uczuwała do pobytu w zamku wstrętu. Uczuwała przy tym potrzebę wyjednania dla siebie względów u rodziców Władysława. Garnęła się więc jednakowo do Heleny i do Stefana w tym przekonaniu, że czyniąc to dogadza nie samej tylko sobie, ale oraz i mężowi, wzmacniając pomiędzy nim a rodzicami jego

węzły, które zwolniały były mocno. Pomijając przeto urok, jaki dla młodej i pięknej kobiety ma pobyt na dworze, powody inne, ważniejsze, skłaniały ją do namawiania Władysława na niespieszenie się z powrotem. Komunikacja z Dubrownikiem była ustawiczna; matce przekazy posyłała codziennie, o rodzicach wieści dochodziły ją często; nie widziała przeto żadnej naglącej potrzeby opuszczenia zamku, w którym ze strony zwłaszcza ojca męzowskiego doznawała serdeczności uprzedzającej, idącej nieraz do tego stopnia, że ją po rękach całował. Wydawało się jej, w prostocie ducha, że w ten sposób zdobywa sobie prawo obywatelstwa w rodzinie hercogskiej.

A może... kto wie! — niezbadane są tajniki serca niewieściego — może, dostawszy za męża głowę rodu, najstarszego z trzech braci, następcę po ojcu, może wołała na dostojęństwo hercogini czekać w Krupacu, przyzwyczajając się do holdów, jakimi ją tu otaczano, aniżeli w Dubrowniku przy kuchni się krzątać i mieć w perspektywie tę ewentualność, iż bracia młodszy starszego z siódła wysadzą, zwłaszcza że się do operacji takiej Władysław nadawał. Nie był wcale na hercoga przydatny. Mara to widziała. W Dubrowniku tym się wielce cieszyła. Stanowiło to dla niej szczęścia rękojmię. Ludzie jednak, niewiasty zwłaszcza, o! jakże często, jak prędko i jak radykalnie w gustach, w nawyknieniach, w sentymentach, osobiście zaś w przekonaniach się zmieniają...

Jakby tam jednak nie było, rzecz się wyrażała w ten sposób, że Władysław do Dubrownika się rwał, Mara się ociągała.

— Jeszcze trochę... jeszcze trochę... — namawiała. — Co to tobie szkodzi!

Szkodziło mu to. Obawiał się dla żony wpływu atmosfery, nie czego innego — nie czegoś takiego, o czym by jej wyraźnie powiedzieć mógł. Zresztą, obserwując z boku

ojca, widział go wobec żen i dziewczek, które w zamku przebywały, powściągliwym nieco. Odkładał więc wyjazd z dnia na dzień.

Stefan był w rzeczy samej wobec żen i dziewczek w ogóle powściągliwym, ale — dlaczego? Tu sęk. Władysław, gdyby przyczynę powściągliwości znał, wyprowadziłby żonę w nocy i uciekł drogami mylnymi, i schowałby się z nią nie w Dubrowniku, ale gdzieś na świata skraju, za rzekami, za górami, za morzami, w okolicy jakiejś dzikiej, dla orłów jeno przystępnej.

Stefan się w Marze rozmiłował... na zabój.

Natury takie jak jego nadają się najlepiej do miłowania podobnego.

Rozmiłował się w niej na zabój.

W początkach pobytu jej w Krupacu miłowanie to powściągało się i ukrywało samo przez się. Huk ludzi obcych i sprawy z posłami wkładały nań wędzidło. Hamował się. Lecz jak skoro spokój względny nastał, coś się w nim niby gotować zaczęło, wrzątkiem mu krew przelewała się po żyłach, objadał się, upijał, w zamyślenie wpadał i od młodej kobiety, ile razy się obok niej znalazł, oderwać się nie mógł.

Myśli, jakie mu przez głowę przechodziły, na wołowej nie spisać by skórze.

Na zawadzie stali mu: żona własna i syn rodzony.

Owóż pytanie: jakby zawadę tę obejść albo usunąć? — zajmowało mu umysł całkowicie, stanowiąc ćwiek w głowie, którego wyjąć sposobu nie było. Poradzić się kogo — kogóż? Dwóch miał doradców, przed którymi tajniki duszy otwierał, Wasę i Helenę: Wasa pojechał do sułtana, Helena zaś — mógłże się radzić jej?

O, jakże cierpiał biedny hercog!

Ludzie z poziomu ani się domyślają, co za straszne cierpienia w górnych onych sferach krążą.

Szukał na nie lekarstwa w baranach i w konewkach. Po ćwierci całej pieczeni baraniej na raz zjadał, po konewce całej wina od razu wypijał. Nie pomagało nic. Nie usychał, jak w razach podobnych śmiertelnicy pospolici, gryzł się jednak — cierpiał jednak — biedny hercog.

Poradzić sobie — nie było sposobu.

Cierpienia te jego najpierwszej Helenie w oczy wpadły i sprawiły jej zrazu świerzbienie w palcach pod paznokciami. Uczuła ochotę Stefanowi oczy wydrapać. Dopuszczałaby się tego kobieta pospolita. Ona jednak, posiadająca sztukę dysymulacji, z której użytek robić umiała jako Balsziczanka jeszcze, jako wojewodzicowa następnie, jako wojewodzina w końcu, umiała z niej użytek zrobić jako hercoginia. Zdysymulowała. Stefanowi oczów nie wydrapała, na Marę się ani skrzywiła, Władysława jeno zaczęła:

— Myślisz ty o powrocie do Dubrownika?

— O, jak jeszcze! Pragnąłbym się tam jak najrychlej dostać.

— Czemuż nie odjeżdżasz?

— Ojciec nie puszcza.

— Hm?... — pomyślała przez chwilę. — Odwiozę ja was sama. Powiedz żonie, niech na jutro będzie gotowa. Trzeba wam odjeżdżać jak najprędzej.

Słowa ostatnie zafrapowały Władysława. Zapytał:

— Czy ma o odjeździe naszym ojciec wiedzieć?

— Czemu nie! Powiemy mu, że powrócimy... Ja powrócę, wy zostaniecie... I... zostaniecie... — dodała z naciśkiem niejakim.

Władysław pod wrażeniem dziwnego akcentu, jaki brzmiał w słowach matki, zajął się wyjazdem gorliwie.

— Jedziemy! — rzekł do Mary tonem tak stanowczym, że się ta zdziwiła.

— Czy nie wiadomość jaka z Dubrownika? — zapytała.

— Wiadomości nie ma żadnej... jedziemy!

Stefan, uwiadomiony przez Helenę, która pretekst jakiś zmyśliła, przyjął to z brwi zmarszczeniem, rozpogodził się jednak, gdy ta dodała:

— Zabieram ich ze sobą, ażeby odwiedzili starych, i... powrócę wraz z nimi...

— Ahm... — mruknął.

Włóczył się po komnatach, opanowany przez niepokój jakiś, spotkawszy zaś synowę na przechodzie, za rękę ją pochwycił i z gwałtownym przyciskiem rzekł:

— Powróć!

Marę przestraszył ton wyrazu tego. Wyrwała rękę i schroniła się do męża.

Nazajutrz okazywał Stefan zagniewanie wielkie. Zrzędził, otroków łązał, nauki moralne dawał, wyszedł na pożegnanie żony, syna i synowej i kiedy ci za bramą byli, dał rozkaz siodłać koni dwadzieścia.

Helena, Władysław i Mara, przeprawivszy się przez jezioro, ruszyli w podróż drogą zwyczajną; kobiety siedziały na mułach, mułów parę szło pod jukami, eskorta składała się z dwóch otroków; hercogini towarzyszyło niewiast służebnych trzy; wszystkiego, licząc w to Władysława, osób osiem. Jechali stępem, zwykłym chodem podróжным, zwłaszcza nie mając się spieszyć czego. Helena była milcząca, Mara zadumana, Władysław z trudnością ukrywał radość, jaka go przejmowała.

Jak jednak blisko od radości do smutku, przekonał się o tym niebawem.

Drużyna podróżna nie ujechała drogi połowy pomiędzy Krupacem a Dubrownikiem, kiedy usłyszała za sobą tętent idącej kłusem jazdy. Na drodze w górach do zjechania na bok miejsca nie było, więc się jadący uszyko-

wali w jeden rząd, muł za mułem, na przodzie Helena, za nią Mara, dalej niewiasty służebne, otrokowie, Władysław na ostatku. Jeźdźce zbliżali się szybko; gdy się z podróżnymi zrównali, Władysław ze zdziwieniem i z przerażeniem w jadącym na czele poznał ojca, który go minął. Młody człowiek konia pocisnął, lecz pospieszyć nie mógł z powodu zatarasowania drogi przez otroków hercogskich. Ci ostatni zatrzymali się. Władysław usiłował spomiędzy nich naprzód się przedostać, gdy nagle o słuch jego obił się kobiecy krzyk jeden i wnet potem drugi. W pierwszym poznał głos matki, w drugim Mary. Rozpacz nim owładnęła. Wychwycił miecz z pochwy, chcąc sobie orężem drogę przetorować, nagle jednak rozbrojony i powalony został. Szarpał się, ale nadaremnie; związany i na konia wsadzony, znalazł się między dwoma jeźdźcami, wśród których jechał dalej drogą do Dubrownika prowadzącą.

— Co to znaczy? — zawołał.

— Rozkaz wysokości jego hercoga... Wysokość jego nakazał odprowadzić dostojność waszą do granicy dubrownickiej.

Koni kilka idących pod jeźdźcami przeszkadzało mu widzieć, co się na przodzie dzieje. Nie rozumiał, do czego to odprowadzanie owo niewolne do miejsca, dokąd się z dobrej udawał woli. Nie wiedział, czy żona jego i matka temuż uległy losowi. Nie widział, co ojciec zrobił ze sobą. Zapytywał o to przewodników swoich, ci atoli objaśnić go nie umieli. Usiłował okiem sięgnąć naprzód i w końcu dojrzał na drogi zakręcie matkę, w taki zupełnie jak on eskortowaną sposób. Przypatrywał się jeszcze, azali nie zoczy Mary — nadaremnie jednak. Jazda odbywała się pośpiesznie, konie kurzawę wzbijały, nie zatrzymywano się nigdzie — nie prędzej przeto aż na granicy dubrow-

nickiego obwođu, gdzie eskorta się cofnęła, dowiedział się, co zaszło.

Oślupiał.

Ojciec mu żonę porwał.

Zębami zgrzytnął. Za włosy się garściami pochwycił. Chciał natychmiast zawracać i pędzić. Helena go zatrzymała.

— Cóż poradzisz! — rzekła — sam przeciwko murom zamku?

— O mury łeb sobie roztrzaskam!... Taka krzywdal... i od kogo?... od ojca rodzonego!...

— Czy moja mniejsza?... Zostać wypędzoną, zostawszy hercoginią, poświęconą i pomazaną?

— Majko!... Majko!... — krzyknął. — Oszaleję!... Wróce, będę prosił, u nóg się czołgał.

— Nic to nie pomoże. Odważył się porwać, odważy się nie oddać.

— Cóż pocznę!... cóż poczniemy?...

— Jedziemy do Dubrownika... ludzi się poradzimy. Innego nam nie pozostaje nic. Dubrownik ma może sposób jaki upomnienia się jeżeli nie o żonę twoją, to o swoją grodziankę. Położenie twoje lepsze aniżeli moje. Ja, hercoginia wygnana!... — dokończyła z szyderstwa akcentem.

— O Boże!... o Boże!... — wywoływał od czasu do czasu młody człowiek jadąc do Dubrownika za matką, która milczała przez całą resztę drogi.

POSTANOWIENIE RADY

W Dubrowniku od rana lud się gromadził na placu, napelniając go gwarem podobnym do huczenia pszczoł w ulu. Gromadził się lud w wielkiej liczbie. Gwar pochodził od rozmów, które toczyły się w grupach i nacechowane były oburzeniem, nie dochodzącym jednak do wybuchów gwałtownych. W oburzeniu samym zachowywano miarę, która atoli znamionowała postanowienie niezłomne.

— Nie! — powiadano tu i owdzie — tego nie godzi się płazem puścić.

— Rada wielka obraduje... — odzywano się.

Rada wielka deliberowała nad kwestią następującą. Porwaną została grodzianka dubrownicka: co począć?

Czytelnik domyśla się, o jaką to grodziankę chodziło.

Głosy zabierali mówcy różni, a wszyscy, potwierdzając fakt, uznawali, że stanowi on naruszenie stosunków dobrego sąsiedztwa. Punkt ich wychodni był brutalny. Zapytywali, jakby rzeczpospolita postąpiła sobie, gdyby sąsiad jej dopuścił się porwania bydła. Oczywiście, upominałaby się o zadośćuczynienie. Wszyscy się na to zgadzali.

Niewiasta znaczy więcej od bydłęcia. I na to była zgoda powszechna. Stąd sama przez się wynikła konkluzja nakazująca upominanie się o tyle energiczniejsze,

o ile niewiasta od bydłęcia jest wyższą, a tak szybkie, jak prędkim był gwałt, którego się wysoki herceg względem obywatelki dubrownickiej dopuścił. W ostatnim delibracji wyniku rada wielka odesłała tę sprawę do rady małej, polecając tej ostatniej wykonanie, z adnotacją: *urgens*.

Obrady nie ciągnęły się długo. Ostateczna onych wynikłość wystąpiła na placu pod postacią publikacji, ogłaszanej przy odgłosie bębna. Publikacja nakazywała każdemu do noszenia oręża zdolnemu być w zupełnym w przeciągu godzin dwudziestu i czterech pogotowiu. Ustęp osobny tyczył się dziesiętników, setników i tysiączników. Naznaczonym był moment, w którym pierwsi u drugich, drudzy zaś u trzecich obowiązani byli stawić się po rozkazy. Po umilknięciu bębna lud rozszedł się spokojnie, a wkrótce potem zapanował ruch wielki roboczy w warsztatach płatnerzy, kowali, ślusarzy, rymarzy i innych rzemieślników mających z żelazem lub ze skórą do czynienia. Również wkrótce po umilknięciu bębna jeden z rajców wyjeżdżał z bramy Dubrownika na drogę do Krupaca prowadzącą.

W taki sposób wyraziły się najpierwsze następstwa porwania Mary. Mówimy tu o następstwach publicznych. Co zaś do innych, familijnych, te wyraziły się w sposób, który wynikał z samej natury rzeczy. Kujawa wiadomość o wypadku przyjęła z załamaniem rąk, ze spazmatycznym atakiem i z wylewem łez obfitym. Skutkiem atoli bądź to delikatności uczucia, bądź to rozumu, bądź też nie wiemy czego, nie obarczała wyrzutami ani Władysława, ani Heleny, nie zwałała na nich odpowiedzialności. To wykraczało nieco przeciwko naturze rzeczy. Ale jak bywają ludzie a ludzie, tak bywają niewiasty a niewiasty. Kujawa po przeminięciu pierwszego ataku bólesci, zamiast w bezowocnych żal roztaczać wyrazach, zebrała

się prędko, popędziła wprost na ratusz i opowiedziała krzywdę swoją kneziowi.

Sretko, gdy przyszedł z biura, gdy się dowiedział, stanął zrazu niby wkopany na miejscu, następnie spojrzał na Władysława i powiedział:

— Ona się nie zesromoci.

Spojrzał dalej na Kujawę i zapytał:

— Chodziłaś na ratusz?

Usłyszawszy odpowiedź potwierdzającą rzekł:

— To dobrze.

Po rzuceniu wyrazu tego garbaty wpadł w stan milczenia absolutnego.

Helena zainstalowała się w domu niegdyś Sandała. Po głowie jej snuły się projekta i plany różne, nacechowane charakterem wojowniczym, który na jej oblicze rzucał blask osobliwy jakiś. Rzekłbyś, że rada jest temu co się stało. Chodziła, krążyła po izbie, stawiała niekiedy, prostowała się, brwi marszczyła, od czasu do czasu uśmiech po twarzy jej się przesunął, od czasu do czasu rzucała wyrazy pojedyncze, groźbą nabrzmiała. Nad wieczorem wezwała syna i tak do niego przemówiła:

— Nie ma co w smutku i rozpaczcy tonąć, trzeba radzić. Nie ma rady innej, tylko... wojna. Pójdziemy wojną na hercoga.

— Majko! jak? z czym?

— Właśnie o tym myślałam i obmyślałam. Nie mamy ani wojska, ani pieniędzy na wojsko, możemy jednak mieć i jedno, i drugie, gdybyśmy jeno zdołali zawrzeć przymierze stosowne.

— Z kim? — przerwał Władysław.

— O to też chodzi, z kim... Przechodziłam w myśli dwory różne, zastanawiając się szczególnie: nad sułtanem tureckim, na którego jednak liczyć nie można, nad Republiką Dubrownicką, która z pewnością ani palcem nie

kiwnie, nad królem bośniackim i nad wojewodą zetańskim. Nadają się jedynie dwaj ci ostatni. Wojewoda zetański, brat mój rodzony, bodaj dla oka ludzkiego ująć się za mną zechce. Król bośniacki ma powody wielkie do użyczenia nam pomocy orężnej. Gdy zaś takowej przyrzeczenie samo uzyskamy, to wnet zgłosi się do nas ochotników moc wielka, tak że będziemy mieć mogli i wojsko własne.

— I pójść wojną przeciwko ojcu rodzonemu! — zawołał Władysław.

— Ha!... cóż!... Masz sposób inny do odebrania z rąk ojca żony twojej własnej?

Młody człowiek ramionami ścisnął i dłonie rozłożył.

— Zrobimy więc tak: ty udasz się do króla bośniackiego, ja udam się do brata i będę wyglądała wiadomości od ciebie. Nie mamy co tu siedzieć z rękami założonymi, nie wysiedzimy nic...

— O Boże! o Boże!... — westchnął Władysław. — Ja, com marzył o wojnie, ale o wojnie przeciwko wrogom otaczbinie mojej, o wojnie za mój zawiczaj, ja, com był gotów za spokój domowy w kraju moim dać życie własne, na mnie właśnie przypadło gotowanie wojny bratobójczej!

— Jestże sposób inny? — zapytała Helena z naciskiem.

Władysław ramionami wzruszył.

— Chcesz chyba zostawić Marę w rękach ojca?

— Niel... Ha!... Kiedyż?

— Jak najprędzej. Jutro. Trzeba jeno obmyślić sposób przejazdu dla ciebie, bo przez województwo chumskie (tu poprawiła się), przez hercogostwo świętego Sawy puszczać się tobie nie można.

W stanie tym pozostały rzeczy przez noc, nazajutrz zaś postać ich zmieniła się zupełnie. Podczas kiedy się Helena i Władysław o sposoby odbycia podróży dowia-

dywali, otrzymali wiadomość o postanowieniu rady. Helena aż krzyknęła ze zdziwienia. Wnet jednak dodała:

— Ano... kiedy tak, to i my nie mamy do tracenia czasu. Trzeba się za wojskami oglądać.

Zamiar ten skuteczniał się sam przez się. Jak dziś są przedsiębiorcy wszelakich robót publicznych, tak w czasach owych istnieli przedsiębiorcy wypraw wojennych. Dosyć było ogłosić wyprawę przedstawiającą szanse powodzenia, ażeby się kapitanowie i pułkownicy natychmiast garnęli z ofiarami usług, z rekomendacjami i z kaucjami. Tłumaczy to łatwość, z jaką kompetenci do różnych koron, wypędzani z kraju, będącego ich pretensji racją, powracać mogli do takowego na czele wojsk. Siły zbrojne zapodradowały się. Chodziło jeno o okazję. Gdy przeto takowa ukazała się w perspektywie, pod postacią wydanego przez radę rozkazu pogotowia wojennego, natychmiast do Władysława i Heleny zgłaszać się poczęli ludzie odpowiednio ukwalifikowani, podejmujący się sprawy ich bronić z orężem w dłoni. Wyprawa tym samym, że przez Dubrownik była przedsięwzięta, przedstawiała szanse powodzenia ogromne. Republika nie miała zwyczaju ryzykować się. Widoki na powodzenie dawały nadzieje zysków z łupieży, bez których w wieku XV wojny nie rozumiano. Natychmiast więc zgłosił się kapitan jeden i drugi, i trzeci do Heleny, podejmując się postawić ten kompanię piechoty, ów oddział łuczników. Do Dubrownika handel ściągał cudzoziemców w liczbie nie-malej, wśród których znajdowało się dużo dotkniętych palcem losu srogiego. O awanturników było łatwo. Helena przeto znalazła wojsko. Włoch jakiś obowiązał się wystawić kompanię piechoty, stu ludzi najmniej, uzbrojonych w dzidy, miecze i półtarcze; Hiszpan jakiś podjął się zebrać łuczników. Jeden i drugi zawarli umowę formalną i złożyli kaucję na ręce. Siła owa zbrojna przybrać miała miano armii hercogini Heleny i rozwinać sztandar z go-

dłem węzła podwójnego, symbolizującego związanie na powrót dwóch tych węzłów, które hercog zerwał. Był to wynalazek signora Giovanni Barrendaldoni, kapitana Włocha, czelaka okrutnie miniastego, który zaręczał, że wojować umie i na lądzie, i na wodzie i że wszystko mu jedno, czy walczyć w polu otwartym, czy też twierdzą zdobywać lub bronić takową. Dowództwo naczelne obejmował Władysław. Wszystko to jednak istniało w imaginacji, albowiem armii stawiać nie można było tak długo, aż Dubrownik wojnę zadeklaruje.

To ostatnie zależało od odpowiedzi, jaką Stefan udzieli wysłańcowi rzeczypospolitej, który powiózł ultimatum: albo, albo.

Albo Stefan Marę odda, albo — wojna.

Na odpowiedź oczekiwano jednych, drugich i trzecich godzin dwadzieścia cztery. W przeciągu tego czasu gońce krążyli pomiędzy Dubrownikiem a Krupacem, lecz, co oni za wiadomości wozili, była to tajemnica małej rady. Publiczność dubrownicka oczekiwała spokojnie. Władysław pozostawał w gorączce ustawicznej, pragnąc, ażeby odpowiedź od ojca przyszła pod postacią Mary — słaba nadzieja mówiła mu, że to nastąpi może.

Z Heleną działa się rzecz osobliwa. Zdawało się, jakoby niewiasta ta teraz dopiero we właściwym znajdowała się żywiole. Wojną, rzecz można, oddychała. Część czasu trawiła na konferencjach z Włochem i Hiszpanem, część na przypasowywaniu uzbrojenia do własnej osoby. Włoch i Hiszpan, którzy otwarcie zaciągów robić jeszcze nie mogli, zaręczali jej, że mają ludzi upatrzonych. Przypasowywanie uzbrojenia szło niekoniecznie gładko, a to z tej przyczyny, że w zbrojowni po nieboszczyku Sandale pozostałej zbrojce nie na jej robione były miarę. Pancerze wszystkie okazywały się za ciasne. Jeden, który spaść potrafiła, tak ją zdusił, że dychać nie mogła. Syn, który usiłował wyperswadować jej wzięcie osobistego udziału,

rań był niemożności dobrania zbroi, a biorąc z tego asumpt, zwrócił się do Heleny z prośbą pokorną:

— Daj temu, majko, pokój. Zostań w domu.

— Co ty mi prawisz! — ofuknęła się.

— Nie przystoi tobie do męskiej brać się rzeczy.

— Nie przystoi!... Od lat dwudziestu czterech na tom czekała.

— Na to? — zapytał Władysław zdziwiony.

— To jest, na wojnę... nie przeciwko Stefanowi, ale na jakąkolwiek. Jam na męża stworzona. W dziewiczych jeszcze moich rojeniach wojna mnie zajmowała, Bóg jednak taki mi dał los, żem się musiała do kądzieli i igły zaprząć. Aż teraz, doczekałam się nareszcie. Nie odmawiajże ty mnie, nie proś daremnie. Dobiorę ja zbroję sobie.

Dobieranie wszakże nie doprowadziło jej do rezultatu pożądanego, co do pancerzów i kirysów kutyh. Nie nadawał się żaden. Nie pozostawało więc nic innego jak uciec się do koszul drucianych, tak zwanych kolczug, które służyły do okrywania lekkiej jazdy. Dobrała więc sobie kolczugę, misiurkę, miecz, kopię, tarczę i wyczekiwała na rezultat negocjacji, zawiązanej pomiędzy rządem Rzeczypospolitej a hercogiem.

Doczekała się nareszcie.

Wysłany rajca powrócił przywożąc odpowiedź odmowną.

„Wojna — już Konrad hamować nie zdoła“...

— Ha, ha! — zawołała Helena.

Wezwała natychmiast Włocha i Hiszpana i nakazała im pośpieszać ze ściąganiem ochotników i przyprowadzić siłę orężną na podwórze dworca nieboszczyka Sandała celem odbycia przeglądu onej.

Władysław o ile szczerze pragnął uniknienia wojny, o tyle przekonał się, iż jest ona nie do uniknienia,

rozwinął w sobie ochotę wojowniczą. Chodziło mu jeno o to, ażeby rzecz ta jak najkrócej trwać mogła i jak najrychlej się rozpoczęła. Naglił na przyspieszenie przygotowań, które jednak dni kilka zabrały.

Wieczora pewnego do Sandałowego dworca, w którym Helena i Władysław przemieszkowali, zawitał kneź z kimś drugim, mężem poważnym.

Helena wyszła do nich z komnaty gościnnej. Władysław towarzyszył matce.

— Z niechęcią wielką — zaczął kneź — chwycić się musimy środka ostatecznego celem upomnienia się u wysokości jego, hercoga świętego Sawy, o krzywdę, jaką wyrządził jednemu z grodzian naszych w osobie córki jego. Czyniliśmy wszystko, co w naszej było mocy, chcąc ostateczności tej uniknąć. Przychodzimy właśnie po to, ażeby wam, wysokość wasza (tu się zwrócił do Heleny), i wam, dostojność wasza (tytuł ten wystosował do Władysława), jako interesowanym, z czynności naszej sprawę zdać.

Helena nie okazała ciekawości wielkiej. Władysław uwagę natężył. Kneź ciągnął dalej:

— Wysłaniec nasz użył całej siły wymowy w celu przekonania wysokości jego, hercoga świętego Sawy, o niesłuszności kroku, jakiego się dopuścił. Gdy prośby okazały się płonnymi, pozostawił mu czasu godzin dwadzieścia cztery do namysłu. Wszystko to okazało się bezużytecznym. Wysokość jego trwa w uporze nagannym, grodzianki naszej wydać nie chce.

— Cóż się z nią dzieje? — przerwał Władysław.

— O niej mogę dostojności waszej jak najzaszczytniejsze dla niej uczynić doniesienie. Wysłaniec nasz miał poleconym sobie znieść się z Marą, Fortunia Fiorini córka, a to, ażeby przekonać się, czy i o ile zasługuje ona na upominanie się rzeczypospolitej o jej krzywdę, czyli czy

ona sama krzywdę sobie wyrządzoną za krzywdę uważa. Nie bez troski przyszło wysłańcowi naszemu porozumieć się z małżonką dostojności waszej. Zniósł się z nią, przekonał się, że Rzeczpospolita bronić jej może i powinna, i przywiózł dla dostojności waszej słów kilka ręką jej pisanych.

To mówiąc podał Władysławowi zwitek, który ten pochwycił, rozłożył i głosem od wzruszenia drżącym przeczytał:

„Bądź o mnie spokojny. Jeżeli usłyszysz, że nie żyję, będzie to znaczyło, że się od sromoty w inny sposób obronić nie mogła. Ja twoja, Władysławie mój najmilszy — twoją być nie przestanę do śmierci. Bądź o mnie spokojny, bądź spokojny — twoja — Mara“.

Władysław o stół łokciami oparty wpatrywał się czas jakiś w pisanie to — nagle wzrok od niego oderwał i knieżowi pytanie rzucił:

— Kiedyż więc wyruszamy?

— Jutro wojska Rzeczypospolitej w pole wyciągną — odpowiedział zapytany spokojnie, jakby chodziło o wysłanie transportu soli, zboża lub innego artykułu handlu. — Oto — tu ukazał na męża, z którym przyszedł — wojewoda, Rzeczpospolita powierza mu przewodniczenie wojskom jej.

Mąż poważny głową lekko kiwnął.

— Dostojność wasza — ciągnął kneź — czynisz zaciągi na rachunek własny, owoż uprzedzić go muszę, że zaciągi owe nie inaczej będą mogły wspólnie z wojskami Rzeczypospolitej działać, jak tylko pod warunkiem posłuszeństwa zamianowanemu przez nas wojewodzie.

Władysław przeciwko temu nic nie miał do powiedzenia.

Ale Helena miała.

— Zdaje się — odrzekła — że na świecie całym posłuszeństwo idzie według starszeństwa w dostojęństwie. Starszeństwo w tym razie nie jest przy osobie wojewody mianowanego przez sławetną radę dubrownicką, znajduje się bowiem ktoś przez samego Boga za starszego postawiony.

— Wysokość wasza ma słuszość co do starszeństwa, ale nie co do posłuszeństwa — odrzekł kneź tonem uprzejmym, domyślając się snadź, o co Helenie chodzi. — Posłuszeństwo idzie wedle sprawy, o którą się rozprawa toczy.

— Toczy się właśnie wyprawa o mnie i o syna mego — podchwyciła.

— Wysokość wasza w błędzie się znajduje... Jakkolwiek Rzeczpospolita Dubrownicka wysoko poważa i ceni tak wysokość waszą, jak dostojność jego, wszelako nie wydobyłaby w razie obecnym miecza z pochew, gdyby nie chodziło o grodzianina jej, Fortunia Fiorini, kustosa archiwów dubrownickich, pokrzywdzonego w osobie córki.

Helenie płomienie na słowa te do głowy uderzyły. Archiwista jakiś, do tego garbaty, szedł w cienie przed nią i to — jak? Za nią by Dubrowniczanie palcem nie kiwnęli, za niego ruszają całą siłą zbrojną. Chciała coś na to rzec, lecz że panować nad sobą umiała, ustąpiła przed koniecznością.

— Niech będzie po waszem — rzekła. — Uważałam jeno za rzecz potrzebną uczynić zastrzeżenie.

— Co do starszeństwa — podchwycił kneź — o tyle, o ile takowe czi wymaga, niech wysokość wasza pewną będzie, że we względzie hołdów nie uchybimy jej nigdy w niczym, szanując w niej hercoginię wysoko urodzoną a zarazem sąsiadkę naszą łaskawą. Rzeczpospolita wie, co komu należy. Ceni ona wysoko i wysokość jego hercoga i ze smutkiem prawdziwym przeciwko niemu do oręża

się ima, uważając jako błęskę dla siebie samo chwilowe, a daj Boże najkrótsze, stosunków dobrego sąsiedztwa z wysokością jego zerwanie.

— Dobrze więc — odparła Helena. — Nad zaciągami naszymi Władysław dowództwo obejmuje i, w odniesieniu do czynności wojennych, odnosić się będzie do wojewody przez sławetną radę mianowanego.

Wojewoda, który był jeno naczelnikiem wojskowym, nie zaś wojewodą w tym sensie, jaki przywiązywano do tytułu tego w Bośni i w Polsce, odpowiedział słów kilka, kneź wyraził życzenie powodzenia i dostojnicy dubrowniczcy opuścili naszego bohatera i bohaterkę, którzy na spoczynek się udali, myśląc o dniu jutrzejszym.

Dzień jutrzejszy zaświtał powitany wrzawą bębnow i graniem tręb. Na placach Dubrownika i w ulicach szykowały się oddziały orężne, które, gdy tręby powtórnie hasło dały, ruszyły wszystkie na raz, ciągnąc ku bramie wyprowadzającej na drogę krupacką. Za bramą armia w szyku stawała wedle numerów, jakie nosiły kompanie. Dubrowniczanki wyprowadzały mężów, synów i braci — kupców i rzemieślników — którzy, okryci napierśnikami i hełmami niskimi a uzbrojeni w miecze, w dzidy, w halabardy, w półtarcze, występowali w obronie czci spomiedzy grodzianek jednej. Było tam płaczu i jankania trochę. Płacz atoli ustał i jankanie ucichło, gdy z bramy, przy głośnym w bębny biciu, wynurzył się zaciąg cudzoziemski. Ciekawość utuliła żale i smutek. Wiedzano powszechnie, że Helena weźmie w wyprawie udział osobisty. Gdy przeto ukazał się na polu zbornym oddział cudzoziemski, jej szukano oczami i w ten sposób robiono przegląd oddziału podzielonego na dwie części, a złożonego z ludzi jakby naumyślnie dla Rembrandta dobranych, noszących na obliczach stany służby niekoniecznie zaszczytne. Na czele części pierwszej, licząc wojowników sto z górą,

maszerował kapitan Giovanni Barrendaldoni, wzrost słuszny, wąs czarny do góry zakręcony, hiszpanka długa, na czole mars, przy boku miecz, w ręku buława żelazna, na głowie szyszak grzebieniasty z dużym pękiem piór kogucich na wierzchu. Hiszpan, człek szczupły i śniady, przewodniczył łucznikom, których zebrał nie więcej jak dziesiątków dwa. Za łucznikami postępował Władysław na koniu, w uzbrojeniu nie odznaczającym się niczym osobliwszym. Miał przy sobie otroków kilku. Helena zawiodła oczekiwanie powszechne. Nie ukazała się wcale.

Armia ruszyła. Gdy na drodze w kolumny wyciągnęła, można było ją obejrzyć i policzyć. Wynosiła głów tysiąc z górą, jazdy nie posiadała więcej jak koni pięćdziesiąt, główną przeto u niej siłę stanowiła piechota — i słusznie, kampania bowiem miała za cel obleżenie zamku krupackiego. Dla tego przeto celu znajdowały się przy armii armaty i śmigownice, pierwsze w liczbie sztuk dziewięciu, ciągnione przez wielką ilość mulów i koni, drugie wiezione na kilku wozach. Za armatami wieziono w beczkach proch jako też narzędzia służące do robót ziemnych i do ciosania kamieni. Za wozami postępowało robotników paręset, kamieniarzy, cieśli i takich, co do sypiania wałów użytymi być mogli. Na przodzie maszerowała straż przednia, przy niej ludzi z rydlami i oskardami ilość pewna, do naprawiania i otwierania drogi w górach, przedstawiającej w punktach niektórych trudności, które przechód uciążliwym czyniły. Armia przeto dubrownicka posuwała się powoli, często się zatrzymywała, posuwała się jednak naprzód ku celowi, którym był Krupac.

WOJNA

„Z pustej stodoły jeżeli nie puszczyk wyleci, to sowa“.
Tak głosi przysłowie i wedle tego też przysłowia stało się z głową hercoga. Wyleciało z niej... porwanie synowej — i to całkiem niechcący. Gdyby Stefanowi na godzinę, na pół godziny, na kwadrans przedtem kto był powiedział, że się tego dopuści — że nie tylko synowę porwie, ale i żonę wypędzi — byłby się oburzył na przypuszczenie podobne. Ani mu to w myśli postało. Gdy Mara odjeżdżała, przejął go gniew żałosny jakiś, naburmuszył się, kazał konie sobie i drużynie swojej posiodłać i wyjechał w celu nie oznaczonym bliżej. Snuły mu się po głowie projekta różne: to łowy, to wizyta u któregoś z właścicieli, to objazd hercogstwa, to odwiedziny grobu świętego Sawy, to przecwałowanie się na koniu dla spędzenia frasunku, od którego mu koło serca mdliło. Wyjechał i znalazłszy się na drodze, trącił konia cuglem nie lewym, a prawym, to jest, zamiast zwrócić się w prawo, zwrócił się w lewo, puszczając się w kierunku, w którym przed godzinką oddaliła się synowa. W ten sposób na śladach Mary się znalazł. Puścił się kłusem bez intencji żadnej. Intencja urabiała się w nim, w miarę jak koń kłusował, i urobiła się nie pierwszej, aż zoczył z daleka szereg młotów dźwigających podróżnice. Wówczas dopiero „lew się

w nim rozsrożył". Rzucił rozkaz porwania Mary i wypędzenia wszystkich innych, nie zdając sobie dokładnie z tego sprawy, że pomiędzy tymi innymi znajdowała się żona i syn, i rzecz się dokonała.

W tym wszystkim wina jego tkwiła głównie w czynie samym, który wypłynął wprost z natury. O następstwach nie myślał wcale. Poszło to stąd, że się poradzić nie miał kogo: Wasa u sułtana poselstwo sprawował, Helena zaś — hm? — sam miarkował, że Heleny radzić się w wypadku tym nie wypadało.

Rzecz się przeto dokonała sama przez się.

Porwawszy Marę, do zamku powrócił i był, jakby go kto na sto koni wsadził, tak zadowolony z siebie.

W zamku się zrobił rumor — zagadano, zaniepokojono się.

Stefana rumor ten nie obchodził wcale — zresztą i nie dochodził do słuchu jego, w oczy bowiem dworzanie, dygnitarze, służba cała baki mu świecili, tęgość jego podziwiając. On też do Mary, która do poprzednio zajmowanej powróciła komnaty, z żartobliwym na ustach udał się uśmiechem. Młoda jednak kobieta przyjęła go jak z noża. Chciał się do niej zbliżyć, chciał z nią pomówić, chciał się wreszcie przed nią wytłumaczyć — kazała mu iść precz i on się temu zdziwił bardzo.

— E?... i?... — odezwał się. — A toż znów co!

Nigdy w życiu nic go jeszcze podobnego nie spotkało.

Mara rozkaz powtórzyła z dodatkiem takiego gestu, że Stefan mimowolnie za próg się cofnął. Chciał się zza proga natychmiast wracać, lecz powstrzymał się od tego. Odszedł mruczając pod nosem i coś w głowie kombinując.

Z kombinacji to wynikło, że przy drzwiach synowej wartę postawić kazał.

Udał się do Mary powtórnie i powtórnie też samą dostał odprawę.

Młoda niewiasta wywierała na niego wpływ taki, jak pogromce zwierząt drapieżnych na lwy, tygrysy i lamparty. Trzymała go opodal, gniewem dla osoby własnej poszanowanie nakazując. Stefan nie śmiał się jej dotknąć i za progiem dopiero srożył się, obiecując sobie, że na fochy jej zważać nie będzie. W ten sposób znajdował się w odniesieniu do Mary w ustawicznej z samym sobą niezgodzie. Gdy wszedł do niej nazajutrz, ujrzał na obliczu jej ślady łez. Rozrzewniło go to. Jął się ją pocieszać przemawiając jak najśłodziej:

— I cóż? I do czegoż to? Zastanów się jeno...

— Puść mnie do męża! — przerwała Mara.

— Nibyz to tobie nie lepiej tu będzie. Ja teraz hercog... mam po sobie biskupa... wyjednam rozwód dla siebie i dla ciebie i hercoginią cię uczynię.

— Precz! — zawołała, palcem na drzwi ukazując.

— Myślisz, że coś przez to dokażesz...

— Precz! — powtórzyła.

— Nie bądź bo ostra taka.

Z tą na ustach protestacją wyniósł się za drzwi.

Co mu się po głowie nie snuło? Za najbliższym z Marą widzeniem się oznajmił jej, że spisać kazał akt wydziedziczający Władysława i wyzuwający go z wszelkich praw następstwa, tak we względzie dostojeństw, jak we względzie majątku, myśląc zapewne, że w ten sposób upór jej przełamie. Dalej zadeklarował jej, że gotów jest przejść bądź na obrządek wschodni, bądź też na patarenizm, albo na inną jaką wiarę, proponując jej uczynienie toż samo. Deklaracja ta zdziwiła ją do tego stopnia, że zapytała:

— Na jakież to koniec?

— Na ten, że nie potrzeba będzie o rozwód się starać.

— Ja z Władysławem rozwodzić się nie myślę.

— Namysł się... To przecie tobie nie zaszkodzi, że hercoginią zostaniesz...

— Puść mnie.

— A ba!

Silnym i niewzruszonym było postanowienie jego przełamać bądź co bądź upór synowej. Nie wiadomo jednak, w co by się postanowienie to obróciło, gdyby się na zamek zjawiała była Helena i stanęła przed Stefanem. Gdyby Helena, wówczas kiedy ją eskorta na granicy dubrownickiej odstąpiła, zamiast do Dubrownika jechać, do Krupaca nawróciła, kto wie, czy nie zapobiegłaby wszystkiemu. Mogłaby jeszcze złe naprawić, gdyby przyjechała na drugi lub na trzeci dzień. Stefan wiedział jeno, że Marę trzymać musi, zresztą nie wiedział, co począć. Czegoś chciał i czegoś nie chciał, zapędzał się i wahał. Helena zdołałaby go poprowadzić. Nie przyjechała jednak. Zamiast niej przybył posłaniec rady dubrownickiej, o którym jak się tylko Stefan dowiedział, natychmiast się najeżył, czując się obrażonym. Poselstwo dubrownickie uważał jako mieszanie się obcego mocarstwa do spraw jego domowych. Przedłożeń, perswazyj i próśb wysłańca słuchać nie chciał, a kiedy ten wojną mu zagroził, odburknął:

— Owa! Wojujcie, kiedy taka wola wasza! Ja się was nie lękam. Nie z takimi ja już wojował jak wy.

Powiedział i żałował tego, co mu się z ust wymknęło. Nie było jednak nikogo poradzić się: ani Wasy, ani Heleny. Stało się. Myślał zrazu, że są to pogróżki tylko, poznał atoli, że się w kłopotliwe wprowadził położenie, i pchnął wnet gońca do Wasy z zawiadomieniem, że z Dubrownikiem do wojny przyszło.

Zawiadomił też o tym i Marę.

— A widzisz! A co! Ot i wojna będzie! A wszystko to stąd pochodzi, że ty luda... budala...

— Puść mnie do męża... wojny nie będzie.

— Dlaczegoż stanąć ma koniecznie na twoim, nie zaś na moim! Ja hercog! Ja się wojny nie boję i... kiedy oni tak, to ja im pokażę!

Słowa ostatnie odnosiły się do Dubrowniczan; stanowiły one wstęp do rozporządzeń, które natychmiast wydawać począł. Wydawanie rozporządzeń, brzmienie głosu własnego, napelniało go pewnym rodzajem zuchwalstwa, które stopniowo wzrastało i potęgowało się, dzięki z jednej strony pochlebstwom dworaków, z drugiej właściwemu wielkościom różnego rodzaju i kalibru zaufaniu w gwiazdę swoją. Stefan rozesłał gońców z nakazem ściągania junaków i szykował zamek do stanu obronnego. Rozumował przy tym wcale, jak na niego, trafnie.

— Dubrowniczanie — mówił i sobie, i drugim — nie posuną się do wojny. Ot, straszają!... Gdy zaś przekonają się, że się ich nie lękam, zmiękną i spokój mi dadzą.

Brakło mu Wasy albo Heleny. Ale:

— Cóż to ja! Niby to ja! Czy to ja nie poradzę sobie! — powiedział sam do siebie.

Radził też sobie — krzątał się, rozporządzał, zrzedził, ogromnie mądrego udawał, skąd ten dobry wynikał rezultat, że dystrakcję sobie sprawiał i dawał spokój Marze, która przez okratowane więzienia swego okna widziała ruch, jaki się w zamku odbywał.

Nie będziemy analizowali stanu jej duszy. Wyobraźmy sobie jeno na miejscu jej kobietę rzetelnie uczciwą i męża kochającą szczerze, odsuwając na stronę poetyczny ów pierwiastek, jaki w niej dostrzegliśmy, i zapytajmy siebie: czy było jej wesoło? Jeżeli co smutek w niej neutralizować mogło, to obrzydzenie, jakim ją teść przejmował.

Z obrzydzenia rodziła się pogarda. Brzydziła się nim i gardziła. Dwa te uczucia — byli to jej przeciwko niejże samej obrońce — stały przy niej na straży niejako, nie dając jej zmięknąć i do prośby się poniżyć. Gdyby to

ostatnie było nastąpiło, byłaby przepadła. To ją jedynie broniło, że górowała nad Stefanem, panowała nad nim, że utrzymywała go w poszanowaniu dla siebie. Gdyby na jej miejscu znajdowała się niewiasta niepospolita, wyższa, jak się zdarzają, byłaby niewielkim kosztem świetną sobie stworzyła pozycję. Ona jednak nie była snadź niepospolita, wyższa, ale uczciwą jeno i kochającą — i dlatego zamiast słabość hercoga wyzyskiwać, z trwogą wielką przypatrywała się przygotowaniom wojennym, myśląc o tym, że będzie to wojna łącząca w sobie trzy, jeden od drugiego okropniejsze charaktery: bratobójczy, synobójczy i ojcobójczy. Nie wiedziała, że do tych trzech charakterów przyłączą się dwa jeszcze: mężobójczy i żonobójczy.

W rzeczy samej była to wojna pod względem charakterów okropna, ale — jakże w czasach owych pospolita!... Dobrze one dawne czasy nierzadko oglądały zapasy wojenne synów przeciwko ojcom.

Stefan omylił się nieco w rachubach. Dubrowniczanie pogrozili mu nie na żarty. Niby grom spadła na niego wiadomość, że ciągną.

Zatrwożyło go to zrazu. Wnet jednak odzyskał fanaberię.

— Ciągną! — krzyknął. — Niech ciągną! Oho!... Pokażę ja im! Co oni mi tu zrobią!

Dufał w moc murów, w otoczenie wodą i w to, że posiadał i armaty podostatkiem, i ludzi orężnych ilość nie małą. Czuł się więc bezpiecznym.

Kazał łodzi pościagać, bramy pozamykać i ludzi porozstawiać.

Nazajutrz dnia tego, w którym wiadomość o ciągnięciu otrzymał, armia dubrownicka pokazała się nad jeziorem. Zatrzymała się opodal i wyprawiała parlamentarza z trębaczem.

— Posłać łódź... niech bliżej przystąpi! — dał Stefan rozkaz.

Parlamentarz niebawem stanął przed obliczem jego.

— No... a co tam?

— Wojewoda przysyła wysokości waszej, o hercogu potężny! pokłon i zapytanie, czy chcesz z prześwietną Rzeczpospolitą Dubrownicką przyjaźnić się, czy wojować? — była parlamentarza odpowiedź.

— Któż tu wojuje? ja? Ja cicho w zamku moim siedzę... prześwietna rzeczpospolita napastuje mnie...

— Prześwietna rzeczpospolita domaga się zwrócenia jej grodzianki.

— To żadna grodzianka... to synowa moja...

— Nie do mnie należy z wysokością waszą dysputować. Wojewoda oświadczyć mi kazał, że jeżeli wysokość wasza odda Marę, córkę Fortunia Fioriniego, on natychmiast wojska na powrót odprowadzi; w przeciwnym razie szturm do zamku przypuści i póty szturmować będzie, póki wysokość wasza zadośćuczynienia nie udzieli.

— Powiedz wojewodzie, niech szturmuje, jeżeli mu się podoba; poradź mu jednak, niech lepiej nie zaczyna... Nie w takich ja bataliach bywałem!

— Czy to ostatnia i stanowcza wysokość waszej odpowiedzi?

— Ostatnia i stanowcza.

Parlamentarz, odwieziony na drugą jeziora stronę, powrócił i po powrocie jego natychmiast rozpoczęły się kroki wojenne.

Położenie Dubrowniczán niekoniecznie dogodnym było, pod dwoma względami: raz pod tym, że z powodu rozległości jeziora zamek się obsaczyć nie dawał, po wtóre pod tym, że do okolonego wodą przystęp nie był łatwym. Plan przeto kampanii oblężniczej nasuwał się sam przez się. Należało zrobić w murach wyłom artylerią, przygo-

tować środki przeprawy i przypuścić szturm. Stosownie do tego przystąpiono wnet do robót przygotowawczych, rozpoczynając od rozstawienia wojska i osłonięcia takowego tak przeciwko wycieczkom z zamku, jak przeciwko odsieczy. mogącej nadciągnąć ze środka kraju. W tym celu zajęto pozycję opodal nieco i założono obóz; zużytkowując zaś stosownie nowe miasteczko, rozpoczęto pod osłoną takowego sypać baterie i ustawiać armaty. Kamieniarze wzięli się wnet do roboty. Wojewoda wyznaczył punkta do ustawienia śmigownic i ludzi z samopalami. Cieśle, ze znalezionych na miejscu w ilości więcej aniżeli dostatecznej materiałów, poczęli zbijać tratwy i żłobić łodzie. Robotnicy, w rydle uzbrojeni, kopali rowy.

Przez dwa dni przypatrywał się Stefan ruchowi roboczemu, jaki w obozie dubrownickim panował, i dziwił się po trosze. Zrazu nie domyślał się, co to właściwie znaczy. Ktoś mu jednak podszeptał.

— Ho! — krzyknął. — Hej!... do puszek!... ognia!...

W kilka chwil potem z zamku pierwsze padły wystrzały, następując jeden po drugim dosyć szybko i regularnie. Ewentualność ta, z góry przez wojewodę dubrownickiego przewidziana, zneutralizowaną była z góry za pomocą stosownego rozmieszczenia pracowników. Kule zamkowe żadnej nie sprawiały szkody. Przy ogłuszającym huku, jaki powietrze wstrząsał i echami się w górach odbijał, kamieniarze kuli, cieśle drzewo obrabiali, robotnicy ziemni rowy kopali i wały sypali. W obozie panował spokój zupełny, wspólny wszystkim żołnierzom, z wyjątkiem dwóch rycerzy, z których jeden, w pancerzu łuszczkowym i w szyszaku, przechadzając się ustawicznie nad brzegiem jeziora, wciąż oczy na zamek zwracał, drugi zaś, w kolczudze, w misiurce i w spódnicy, okazywał niecierpliwość wielką z powodu powolności przygotowań. Co to byli za jedni, czytelnik z łatwością się domysła. Władcy-

sław oczami by mury przebił, drżał jednak na myśl, że będą je kule rozbijały. Helena, przeciwnie, jak skoro w uszach jej zabrzmiał wystrzał pierwszy i pierwszy gwizdnął pocisk, coś ją niby podniosło natychmiast i w drzącąkę wprawiło. Miejsca sobie znaleźć nie mogła. Obiegała obóz niby lwica zraniona. Od pierwszego wystrzału z zamku tego była przekonania, że jak pomiędzy dwiema osobistościami spór słowem i czynem wiodącymi porządek nakazuje ząb za ząb, oko za oko oddawać, tak też i na wojnie wystrzał powinien iść za wystrzał, pocisk za pocisk. Nasłuchiwała, kiedy Dubrowniczanie odpowiadają. Gdy zaś palba szła z zamku, a ci milczeli, udała się do wodza wojsk dubrownickich i oburzyła się niemal, zastawszy go wśród cieślów manipulującego z łokciem około tratwy.

— Gluchy czy co! — powiedziała sobie, do wodza zaś odezwała się: — Wojewodo, czy nie słyszysz?

— Co wysokość wasza rozkaże? — zapytał tenże licząc przy tym: — Cztery a jeden i ćwierć, to pięć i ćwierć... Pięć i ćwierć wzdłuż, trzy i pół wszere. Ułamki opuszczając będziemy mieli łokci kwadratowych piętnaście...

— Ależ z zamku wałą i wałą! — zawołała.

— Takich więc po łokci piętnaście będzie trzy... — wódz na to.

— Dwie wielkie, po łokci pięćdziesiąt i cztery — odezwał się spomiędzy cieśli jeden, z miny na majstra wyglądający.

— Wojewodo! — krzyknęła Helena.

— No? — odrzekł tenże oczy na nią zwracając.

— Hercog wali, aż się ziemia trzęsie... a my co?!

Wojewoda głową z uśmiechem pokiwał.

— Odpowiadajmy jemu!

— Przyjdzie kolej i na nas — była odpowiedź wódza wojsk dubrownickich, który z oburzającą obojętnością znów do obliczań się zwrócił.

Postała chwilkę, popatrzyła i odeszła mruczając pod nosem:

— Mieszczuchy! mieszczuchy...

Dla niej wojna była, jak dla wszystkich prawie znakomitych wojowników w owym czasie, sztuką piękną, aplikacją poezji, wynikiem ognia świętego, do podtrzymywania którego nie potrzeba było niczego innego, tylko natchnienia. Natchnienie ją rozsadzało. Nic u wojewody nie wskórawszy, popędziła do signora Giovanni, który, ramiona na piersiach skrzyżowawszy i czoło namarszczony, patrzył na wyskakujące z paszcz działowych dymów kłęby.

— Kapitanie! — zawołała — co to znaczy?

Kapitan powietrza w piersi naciągnął, głęboko odechnął, ramionami wzruszył i ręką machnął.

— Co to będzie?

Znów ruszenie ramionami odpowiedzią było.

— Nie wiem — odrzekł wreszcie z gestem osobliwym. — Nie! Nie rozumiem ja tu nic a nic. Znam wojnę i wojna mnie zna, podobnej jeszcze nie widziałem.

— Mieszczanie! — rzekła Helena. — Ach!... czemuż nie mam bodaj mózdzierza! Otóż bym waliła!

Biedne kobiecisko rady sobie dać nie mogło wyobrażając sobie tryumfowanie hercoga, mogącego tworzyć huki bezkarnie, gryzła się też niewypowiedzianie i to gryzła się dzień jeden i drugi, i czwarty, i dziesiąty, spędzając żółć w wybuchach gniewu bezsilnego, który w sobie tłumić umiała, w narzekaniach przed synem, który nic nie odpowiadał, i w utyskiwaniach przed kapitanem, który oburzenie jej w zupełności podzielał.

Stefan jakby naigrawał się z oblegających. Podzielił sobie strzelanie na ustępy, to jest, wykonywał palbę w oznaczonych dnia porach: przed śniadaniem, po śniadaniu, przed obiadem, po obiedzie, przed podwieczorkiem i po podwieczorku...

Męczyło to, nękało hercoginię biedną. W żalu zamknęła się, niby Achilles drugi, w namiocie swoim, nie chciała o niczym wiedzieć, przypuszczała do siebie tylko signora Giovanni, z którym wespół wzdychała i który jej wykładał sztukę brania twierdz i wymyślał wodzowi dubrownickiemu — od słów ostatnich. Stanowiło to jedyną jej w smutku wielkim pociechę.

Aż tu naraz, poranka pewnego, świtać jeszcze nie zaczęło i Helena w pościeli pozostawała, ziemia pod nią drgnęła niby, huknął wystrzał taki silny, że ona z legowiska wyskoczyła. Po wystrzale tym nastąpił wnet drugi, po drugim trzeci, czwarty, piąty.

— To nie z zamku! — krzyknęła.

Dalejże ubierać się i zbroić co rychlej. W pośpiechu na wywrót kolczugę włożyła i przebierać się musiała. Wypadła więc z namiotu, kiedy już dniało. Obejrzała się dookoła — i cóż ujrzała? Armaty i śmigownice dubrownickie strzelały wszystkie, posyłając pociski, niby do tarczy, w pewną jedną murów zamek opasujących przestrzeń, wybraną pomiędzy dwiema basztami. Ze śmigownic pociski szły górą, strychując po wierzchu murów, z armat rwały dołem. Z obozu gdzieś znikło dubrownickie wojsko — dwie jeno kompanie stały pod bronią, nie licząc kompanii cudzoziemskiej i oddziału łuczników, zajmujących posterunek na gruzach miasteczka, obróconego w ruinę przez artylerię zamkową, która, nie czyniąc oblegającym szkody wielkiej, musiała przecie szkodę jakąś zrobić.

Artyleria zamkowa odpowiadała, zrazu dubrownickiej żywo. Przez czas jakiś ciągnął się rodzaj rozhoworu armat-

niego, który trwał póty, aż szmat jeden muru rozpekł się i runął wzbijając kurzawę wielką. Nastąpiło to w godzin parę po rozpoczęciu ognia. Od chwili tej stało się wedle słów ballady: „Rwą się okopy, mur wali“, pomimo że ogień Dubrowniczán wolniał nieco. Armaty ze strony atakującej strzelać poczęły pojedynczo, ale regularnie. Szcerba pierwotna rozszerzała się coraz to bardziej i bardziej i kiedy około południa cała część jedna murów w gruzach już leżała, a budowla zamkowa dziurami świeciła, wojewoda, nakazawszy strzelanie powstrzymać, parlamentarza wysłał z somacją do Stefana poddania zamku za pół godziny, grożąc w razie przeciwnym szturmem niezwłocznym.

Somacja ta byłaby pożądaną odniosła skutek, gdyby nie to, że w przeddzień szturm powrócił goniec, którego, tygodni temu parę, z czymś wyprawił był Stefan do Wasy. Dzięki wieściom, jakie mu goniec przyniósł, odpowiedź parlamentarzowi dana była nie tylko odmowną, ale obelżywą.

— Przypuszczajcie sobie szturm po wodzie! — krzyknął Stefan w końcu. — Dla Dubrowniczán nie powtórzy się z pewnością na krupackim jeziorze cud, jaki się zdarzył ojcom świątobliwym!... Ano... przypuszczajcie szturm!

Po powrocie parlamentarza artyleria dubrownicka rozpoczęła znów ogień, ale tym razem gwałtowny w stopniu najwyższym. Działa, śmigownice i samopały strzelały szybko raz po raz, zasypując ruinę i przestrzeń całą za nią i przed nią gradem kul, tak że na przestrzeni nikt z obrońców nosa pokazać nie śmiał. Załoga cała ze Stefanem trzymała się w przeciwnej, odpowiedźkowej zamku połowie, gdzie pociski nie dochodziły i gdzie wznosiły się pawilony zamkowe, zasłonięte głównym budynkiem. W jednym z pawilonów umieszczoną została Mara. Na podwórzu załoga oczekiwała w pogotowiu. Pomiedzy sie-

dzącymi tu i owdzie otrokami i junakami, popijającymi wino na ochotę, przechadzał się Stefan w uzbrojeniu pełnym, prawiąc im na podtrzymanie ducha, zachwianego mocno ruiną murów:

— Potrzeba nam utrzymać się póty, póki na odsiecz nie przybiegną Turcy, którzy gdzieś blisko być już muszą. Dubrowniczanie po wodzie nie przejdą... jezioro głębokie, Bogu dzięki... Majstrowali tam coś koło promów... i cóż z tego! Nie zabrają się przecie na prom jeden wszyscy, a gdyby się przeprawiać odważyli, to my ich na brzegu będziemy do wody spychali i topili. Byle się nam utrzymać, aż Turcy nadciągną, a wówczas... oho!... my za nimi do Dubrownika pójdziemy i... kto tam nie nabierze złota tyle, ile sam zaważy, to chyba nie zechce... Ho, ho! — dodawał — Dubrowniczanie mi i zamek odbudują, i opłacić się muszą.

Wartownicy, umieszczeni w miejscach, z których bezpiecznie wyglądać mogli, zwracali baczność na przestrzeń zrujnowaną, służącą długo za teatr poskoków dla kul miotanych przez artylerię dubrownicką. Skakały po niej, warcząc groźnie, grunt ryły, kamienie rozbijały, kurzawę olbrzymią z rumowisk wzbijały. Kurzawa zasłaniała widok jeziora. Stefan, wychylając się zza węgła kiedy niekiedy, powiedział do siebie i to samo junakom powtarzał:

— Hahm! Zbytkują! Policzę ja im kamień każdy...

Nagle ustał huk artylerii z przeciwnego brzegu. Stefan się zastanowił.

— A co? zmęczyli się? — rzucił z przekąsem.

— Dubrowniczanie! — słyszeć się dał okrzyk przez kilku razem wartowników wydany.

Stefan poskoczył, znikając na chwilę.

— Dubrowniczanie na ostrowie... — zabrzmiało wołanie, nacechowane trwogi akcentem.

— Za mną, kto junak! — odpowiedział na wołanie to hercog, pojawiający się nagle spoza węgła z nagim mieczem w dłoni. — Za mną, komu życie miłe! Za mną, na wrzucenie Dubrowniczian do wody! Za mną, na jurisz, na duszmana!

Powstało zamieszanie wśród załogi. Jedni rzucili się do pawilonów i drzwi wysadzając kryli się w głębi budynków, drudzy, w liczbie niewielkiej, pośpieszyli za Stefanem, który, nie oglądając się poza siebie, biegł po rumowiskach ku brzegowi wyspy, okrytemu szykującym się rycerstwem.

Dubrowniczanie na mnogich promach, tratwach i łodziach przepawili się pod osłoną tej właśnie kurzawy, która się Stefanowi zbytrowaniem wydała.

Pędził Stefan, na czele utykającej na kamieniach garstki, z mieczem dobytym i krzyczał: „Na jurisz!”

Szeregi dubrownickie spokojnie stały z dzidami naprzód nastawionymi.

Naraz z szeregów wysunęło się ludzi dwoje: rycerz w pancerzu łusczkowym i drugi w spódnicy. Pierwszy miał miecz w dłoni, drugi wiosło. Spieszyli oba, ten ostatni jednak wyprzedził pierwszego, dopadł Stefana i kiedy ten zatrzymując się miecz do cięcia wznosił, wsunął mu wiosło między nogi, przekręcił i Stefan runął w kurzawę, chrzęst wielki wydając zbroją. W jednym oka mgnienu rycerz w spódnicy był już na nim, zerwał mu szyszak z głowy, ręką lewą za włosy pochwycił, prawą zaś — dalejże hercoga po fizjonomii obrabiać, aż się oklaski rozlegały. Cios następował po ciosie; ciosom wtórzyło dogadywanie gniewną zapamiętałością nabrzmiałe:

— A ty!... paskudniku!... bezwstydniku!... Nie dosyć u ciebie żony jednej, Balsziczanki do tego! Cierpiała ja! milczała! udawała, że nie widzę!... Cierpiała ja długo!

Co słowo rzekła, to pięścią grzmotnęła. Po przycisku, z jakim uderzenia zadawała, znać było, że wynagradzała sobie dysymulacji lata całe. Natura jej wywnętrzyła się na raz jeden. Dogadzała sobie. Ależ tłukła! Stefan, ogłuszony i zdumiony, nie umiał się ratować inaczej, jak tylko odwracaniem twarzy, co mu niewiele pomagało. Niewiele mu też pomagała i interwencja Władysława, szarpiącego Helenę za ramię i wołającego na nią:

— Majko! majko! dosyć już tego!... ludzie patrz!...

W rzeczy samej, armia dubrownicka z jednej strony, z drugiej garstka junaków w milczeniu a nie bez zdziwienia, przypatrywała się tej walce samowtórnej, która wypadłaby zapewne inaczej, gdyby Helena miecza była nie zapomniiała w pośpiechu.

Władysław nie mógł interweniować skutecznie, albowiem usłyszał z dala okrzyk i skoczył. Ku niemu biegła postać niewieścia z rękami wyciągniętymi. On, miecz na ziemię ciskając, ku niej się pogarnął. Zbiegli się nie opodal. Niewiasta rycerzowi ramionami szyję obrzuciła. Rycerz ją ogarnął i do piersi w stal zakutej przycisnął.

W ten sposób armia dubrownicka i garstka junaków dwa miały widowiska, obadwa i ciekawe, i poruszające.

SUNT FATA RERUM

„Mijają lata, z latami zdarzenia“ — jest to temat, na który poetyzowano dużo i filozofowano niemało. Wszystko na świecie mija. Przeminięło to, cośmy w rozdziale poprzednim opisali, małżeństwo młode połączyło się i do Dubrownika powróciło; małżeństwo stare znajdujemy, wkrótce po opisanych zdarzeniach, pędzące dalej żywot wspólny w jak najlepszej zgodzie i komitywie. Znajdujemy je jednak nie w Krupacu już, ale w Niksiczu, w zamku tym samym, w którym trzej Stepkowicze nagle pomarli. Zamek krupacki, powtórnie zburzony, nie nadawał się do mieszkania; hercog przeto musiał rezydencją swoją przenieść gdzie indziej tymczasowie, a że tymczasowość w życiu ludzkim, które samo jest tymczasowością, zmienia się nierzadko w stan trwałości dłuższej od zamierzonej, przeto zaniósł się na to, że rezydencja w zamku niksickim przeciągnie się na tymczasowość dośmiertną dla hercoga i hercogini. Zresztą, nie o to nam chodzi. W zakresie powieści naszej Krupac odegrał rolę zaokrągloną. Pozostaje nam jeszcze o głównych postaciach powiedzieć słów kilka.

Nastąpiło tedy pogodzenie.

Pogodzenie nastąpiło samo przez się, spowodowane samą rzeczą siłą. Małżeństwo jest dopełnianiem się wz-

jemnym. Gdzie więc stała małżeńskie oskrzydlały warunki dogadzające tak stronie jednej, jak drugiej, tam liczyć można na zgodę po kłótni najzawziętszej.

Zachodziła tu atoli kłótnia inna jeszcze aniżeli małżeńska — kłótnia pomiędzy hercogstwem św. Sawy a Rzecząpospolitą Dubrownicką. Na tę ostatnią ostatecznie spadła odpowiedzialność cała.

Stefan pragnieniem zemsty oddychał i o odwecie marzył, gdy przyszły za późno nieco posiłki tureckie, które zniewoliły Dubrowniczanie do cofnięcia się za góry. Dubrowniczanie jednak burzę, jaka nad nimi zawisła, zażegnać potrafili. Z istic lisim sprytem negocjację z Turkami przeprowadzili, obierając ich na sędziów w sporze, i ci, rozpatrzywszy się w sprawie, wydali wyrok wskazujący: Stefana na niezaprzatanie sobie głowy Marą, Władysława na przeproszenie ojca. Podług nich winnymi tu się okazali: Stefan i Władysław — pierwszy dlatego, że... „czy to jedna Mara na świecie!“, drugi dlatego, że na ojca rękę podniósł. Właściwie rękę nie on podniósł; w oczach jednak sprawiedliwości tureckiej tak się sprawa przedstawiła i wyrok przyjąć trzeba było, wyrok ten bowiem tę miał dogodność, że zdejmował odpowiedzialność z Dubrownika. W ten sposób Dubrowniczanie zasłonili się i od Turków, i od zemsty Stefana. Musieli jednak paszy, który wyrok układał, opłacić się za takowy upominkami w szalach, w futrach, w złotogłowie, w paciorkach bursztynowych i w piernikach toruńskich. Zachodziła tu przeto, pod postacią pierników, i polska interwencja. Pasza zapewnił Dubrowniczanie o łasce sułtana, Stefanowi zaś, poklepuwszy go po ramieniu, powiedział na rozum:

— Maszała... Ty hercog, żona twoja hercoginia... Hercoginia hercoga wytuzala: tobie to najmniejszej na czci ujmę nie przynosi. Dostałeś raz i drugi... od kogo?... od niewiasty... Zatrzymajże to dla siebie, jedz, pij i śpij do-

brze i zachowaj się w spokoju, nie dając posłuchu knowaniom, jakich cię winnym czyni zięć twój, zmagający się z Huniadem i z innymi nieprzyjaciółmi sultana. Biada bowiem tobie, jeżeli knowaniom tym posłuch dasz! Pamiętaj to sobie i bądź zdrow, a często o sobie wiadomości dawaj.

Tak się ostatecznie ta sprawa rozstrzygnęła. Oddychanie pragnieniem zemsty na wydychaniu się skończyło. Stefan i Helena zamieszkali w Niksiczu. Stefan idąc za radami paszy jadł, pił, spał i sprawował zarząd kraju pod dependencją małżonki, która stanowczą nad nim uzyskała przewagę. W spokoju minęła mu zima i wiosna w polowie.

W pierwszych dniach maja niespodziany a miły gość do starego zawitał zamku. Do rodziców w odwiedziny przyjechała królowa.

Przyjechała z niewielkim orszakiem, nie jak królowa, ale jak córka.

Nie chciała przyjąć żadnych ani wystąpień urzędowych, ale Stefan, przypomniawszy sobie, jak król węgierski przyjmował córkę swoją, hercoginię austriacką, uparł się i wystąpił.

— Ty si kralica — powiedział — jakby tam nie było... Ja hercog. Król Jagiełło i cesarz Zygmunt byli ze sobą jak pies z kotem, a jednakże baki jeden drugiemu świecili. Nie wypada przeto, ażeby hercog kralicy nie uczcił przed ludźmi.

Czczył więc córkę swoją nabożeństwami, ucztami i igrzyskami, które ona przyjmowała z wdzięcznością, acz od niechcenia; wdzięczyła się zaś do ojca i matki, jakby ich ująć usiłowała. W rzeczy też samej tak było. Ująć ich chciała. Gdy przeto wydawało się, że dostatecznie już serca ich przysposobiła, z pierwszej lepszej skorzystała okazji i w taki do nich przemówiła sposób:

— Nie wiecie wy, co się gotuje. Gotują się wielkie, bardzo wielkie rzeczy.

— Przecie? — zapytała Helena.

— Słyszeliście zapewne o polsko-węgierskim królu?

— O, Władysławie! hm!... — podchwycił Stefan. — Jam go oto tycim widział (pokazał wysokość sobie do kolan)... Słyszeliśmy o nim...

— Mładzie ten niczego tak nie pragnie jak wojny przeciwko niewiernym. Pali się do niej. U niego wielkim wojewodą jest Huniady, którego znacie.

— Jak jeszcze!

— Owóż liga się wiąże: król węgiersko-polski, a z nim gospodarowie wołoscy, Wenecja, król neapolitański i ojciec święty. Ojciec święty trzyma przodek niby, ale w tym wszystkim głównie stara się Huniady, który króla naszego a małżonka mego ma po sobie.

— Jakże król jegomość — przerwała Helena — wschodni wyznający obrządek, wchodzić może do ligi, znajdującej się pod ręką ojca świętego?

— W tym też rzecz cała — odparła młoda królowa.

— To przeszkoda wielka.

— Król jegomość przeszkodę tę usunie.

— Jakim sposobem?

— Tym, że łacińskie przyjmie wyznanie.

Stefan i Helena zamienili ze sobą spojrzenia: Stefan chrząknął, Katarzyna dalej ciągnęła:

— Długo się namyślał i wahał, ale zdecydował się na koniec. Jemu bardzo o tę ligę chodzi. Przy tym jest nadzieja wciągnąć i cesarza, który tym się tylko wymawia, że nie może za innowierców wojny toczyć. Tomasz szanuje jednakowo wyznanie każde, widząc jednak, że wyznanie, w którym się urodził, dokonaniu wielkiego dzieła na przeskodzie stoi, gotów jest odstąpić od onego.

— Hm?... hm? — mruknął Stefan.

— Widzicie więc, ojczyzny miły, jaką on wielką ofiarę czyni.

— Prawda... wielką...

— Tomasz liczy na was, ojczyzny najmilejszy — z przy-mileniem rzekła królowa.

— Na mnie... hm?... Powiadasz, że do ligi tej wcho-dzą: król Władysław, którego ja dzieckiem widział, król Alfons, Wenecja, ojciec święty.

— Huniady w niej duszą... wojownik taki...

— Tak, hm... Powiadasz więc...

— Wszystko to dobrze — podchwyciła Helena zwracając mowę do córki. — Tu jednak ta zachodzi okolicz-ność, że jego królewska mość Tomasz dotychczas nie uznał ojca twego hercegiem.

— Otóż to — potwierdził Stefan.

— Uznali go monarchowie wszyscy i papież, i sułtan, nie uznał tylko król bośniacki...

— O... — dodał Stefan.

— Ja nie wiem co do tego — odrzekła Katarzyna.

— Ty nie wiesz... Mąż powiedział ci: jedź do ojca i przeciągnij go na moją stronę, niech on za mną trzyma i za mną idzie. Powinien był ci powiedzieć: jedź do ojca i powiedz mu, że go hercegiem uznają i jako takiego po-ważać obiecują. Tego nie powiedział. To dobrze, że ty za mężem ciągniesz. I ja to samo robię... i ja ciągnę za swoim.

Tu Stefan chrząknął z przyciskiem.

— Dlatego też właśnie, że ciągnę — kontynuowała Helena — odpowiedzieć ci muszę, że ojciec twój póty o niczym, co się tyczy lig nie lig, słyszeć nie może, póki król Tomasz hercegiem go nie uzna.

— Ja bym myślała — zaczęła Katarzyna — że w spra-wie, która całe obchodzi chrześcijaństwo...

— I... co tam! — przerwała Helena. — Chrześcijaństwo!... chrześcijaństwo!... Co chrześcijaństwo przeskadza temu, żeby Stefan był hercegiem, a ja hercoginią!

Młoda kobieta ramionami ruszyła.

— Jak Tomasz nie dla chrześcijaństwa, ale dla siebie najprzód i dla dzieci swoich, jeżeli je będzie miał, kralem się uczynił, tak i ojciec twój dla siebie i dla dzieci swoich uczynił się hercegiem.

— Władysław jednak nie bardzo o to stoi...

— Władysław! — zawołała. — Czyż nie wiesz, skąd to wszystko poszło? Za Władysława Sandała nieboszczyk przed Panem Bogiem odpowiada. Dla Sandała oddałam go do rudego gramatyka na naukę i ten tak go wyuczył pięknie, że się patarenizmem zaraził i mimo wiedzy i woli naszej z mizeraczką ożenił.

— I biedy takiej nawołał... niech Pan Bóg broni! — dodał Stefan.

— Wojnę na ojca sprowadził.

— W Krupacu zamek taki wspaniały, kościół taki piękny i miasteczko nad jeziorem w perzynę obrócił.

— Toteż ty — prawila Helena — na Władysława się nie odwołuj. Kto wie, jak się tam rzecz co do Władysława obróci. Oprócz niego mamy jeszcze, Bogu dzięki, synów dwóch... mamy komu hercogstwo zostawić... Jego królewska mość nic o hercogstwie wiedzieć nie chce, to my wiedzieć nic nie chcemy o ligach jego.

Katarzyna po odpowiedzi tak stanowczej parę razy jeszcze rozmowę wznawiała, nic jednak nie wskórała i z niczym powróciła do Wysokiego, dokąd Tomasz z Sutyksa stolicę przeniósł.

— Miarkujesz ty, co to za pletkie! — odezwiała się Helena do Stefana w dni parę po odjeździe córki.

— No? — zapytał Stefan.

— Wiesz, na jaki koniec Tomasz na łacinizm przechodzi?

— Żeby wejść do ligi.

— Aha! On król, ty hercog... On wyznawca obrządku greckiego, ty łacińskiego... on teraz nad tobą starszować nie może, ale gdy przyjmie obrządek łaciński, to zagra inaczej.

— Jajaj!... Boga mi! — zawołał Stefan. — Ale mi to do głowy nie przyszło.

— Boś ty głupak...

— Cóż więc począć teraz?

— Nic... czekać, aż Tomasz w łacinizm wlezie... Można by tymczasem sułtanowi, jak ten pasza się domagał, o sobie wiedzieć dać...

— Teraz, kiedy się wiąże liga?

— Czy to się wiązała jedna! Niech jedzie Włodek z piernikami... za piernikami Turcy przepadają... i niech tam... tak... z daleka coś niecoś o tej lidze natrąci. To nam zaszkodzić nie zaszkodzi, a kto wie, czy nie pomoże.

Mówiła to tonem tak naturalnym i swobodnym, jakby chodziło o sprowadzenie funta pieprzu do kuchni. Ton ten wypływał z natury zajmowanego przez nią i przez małżonka jej stanowiska, na którym ludzkie ja wysadza się w wybujałość i garnie, bo garnąć potrzebuje, na użytek własny wszystkie soki, z bliska i z daleka, wprost i ukośnie, jakie mu się jeno do życia nadają. Zdarza się często, że w ten sposób i truciznę wchłonie. Ale — od czegoż wypadki! Bez tego, przypuszczać by należało, że jak chcą niektórzy, ludzie rodzą się albo inaczej, albo inni na stanowiskach pewnych aniżeli ogół śmiertelników. Owe zatrutowania się atoli, przesuając się szeregiem nieprzerwanym od czasów najdawniejszych do dni naszych pod obuchem historii, są dowodem przeciwko przypuszczeniu powyższemu. Ludzie rodzą się jednacy i w dole,

i w górze, usposobienia zaś i tony takie lub owakie czerpią nie z siebie, nie z natury człowieczej, ale z natury stanowisk. Ton fałszywy znamionuje stanowisko fałszywe, nie co innego.

Helena wydała ton fałszywy, którego by nie wydała z pewnością, gdyby nie była Balszyczanką, Chraniczką i hercoginią.

Posłali Włodka z piernikami do sułtana i czekali.

Życie snuło się im powabnie, pomimo że pędzili je deptając nogami po sklepieniu, pod którym palec Boży spiorunował trzech ludzi na raz, pomimo że z okien zamkowych widzieli te góry, w których owdowiała żona i osierociała matka wyglądała końca szeregu dni smutnych. Oni o błahostkach podobnych myśleć nie mieli czasu. Ani we dnie, ani w nocy nie pokazywały się im widma Stepkowiczów. Widma tego rodzaju pokazują się jeno śmiertelnikom pospolitym, mającym sumienie swobodne od trosk panowania. Stefan i Helena mieli umysł zaprzątnięty — pierwszy sprawami państwa nowego i wyziewami spożywanych w wielkiej zawsze ilości jadł i wlewanych w siebie napojów, które na rachunek jego kronika osobnym zaznaczyła karbem, druga — kombinowaniem ustawicznym okoliczności nadarzających się i nadarzyć mogących i zastosowywaniem do takowych warunków otaczających nowe hercogstwo, które ona zawsze hercogpstwem nazywała.

Kariery swojej nie uważała Helena bynajmniej za skończoną. Bóg jeden wie, co jej się po głowie snuło. Na przykład: przychodziła jej na myśl niekiedy bezdzietność Tomasza, który od dwóch już blisko lat pożycia małżeńskiego, będąc sam w sile wieku i mając żonę młodą, pozostawał bez potomka.

— Jeżeliby to tak i nadal pozostało? — myślała sobie.

I puszczała cugle fantazji, którą zahaczała z jednej strony o Katarzynę, z drugiej o dwóch synów młodszych, niekiedy zaś i o Władysława. O tym ostatnim pomyślała od niechcienia, nie zazdroszcząc mu tego szczęścia, jakiego on obok Mary zażywał, i dziwując się poziomowi uczuć jego. Dowiedziała się przypadkiem, że zostać ma ojcem, i była chwilka, w której doznała rozrzewnienia matczyńskiego. Chwilka ta pojawiła się i znikła. Przypomniała sobie garbatego archiwistę, rudego gramatyka, Kujawę, ach! i tę Marę — tę Marę, co jej syna zbałamuciła i do której od czasu wojny, toczonej nie o hercoginię, ale o prostą grodziankę, czuła urazę śmiertelną.

A podczas kiedy ona, głusząc w sobie uczucia poziome, fantazjowała, wypadki gotowały scenę, w której odegrać miała rolę wydatną.

Głuche najprzód pogłoski przyniosły do Niksicza wieść o przyjęciu łacinizmu przez Tomasza. Odbić to się miało w sposób ostentacyjny, za sprawą legata Tomasini. To ją nieco z tropu zbijało. Legata, który ją uhercegowił i do wspomnienia którego odnosiła przyjście do drugiej połowy zapisu Sandała, miała za człowieka swego, za ojca chrzestnego, obowiązane do życzliwości całkowitej a rzetelnej względem nowego państwa i nowej pary monarszej. Nie ufała mu jednak bezwzględnie, tak jak nie ufała nikomu, i gdy przy niej o przejściu Tomasza na katolicyzm mówiono, odzywała się w ten sposób drwiący:

— Piękny przywiązania do wiary przykład! — mówiła.

Prawda, przykład nie był osobliwy, w czasach zwłaszcza, w których wiarę uważano za istotę samą istoty moralnej człowieka, w których szła ona przede wszystkim w szacunku i w znaczeniu, a posiadała charakter opoki ściśle co do rodzaju określony. Przerzucanie się przeto z opoki jednej na drugą oddziaływać musiało

szkodliwie na nie wtałmniczony w istotne powody ogół, wprowadzając bałanactwo w sumienia. A było ono chorobą dworów, jakie się w różnych czasach na Słowiańszczyźnie południowej wytwarzały. Na przerzucaniu się z wyznania na wyznanie polegała dyplomacja południowo-słowiańska. Bułgaria i Serbia ustawicznie chwiały się pomiędzy Konstantynopolem a Rzymem, ale ani jedna, ani druga nie chwiała się tak jak Bośnia.

Ta nie posiadała prawie króla, który by obrządku nie zmieniał. Tomasz przeto poszedł za przykładem przez poprzedników danym i sam stanął jako przykład wobec poddanych własnych. Helena więc miała rację odzywając się o tym z przekąsem, dając przez to do zrozumienia, iżby się tego nie dopuściła sama. Zresztą istniał jeszcze w mocy swojej edykt, który acz wskutek wojennego zajścia z Dubrownikiem w zapomnienie chwilowo poszedł, stanowił atoli dla hercoga i hercogini zobowiązanie się solenne wobec kościoła zachodniego.

Pogłoski o zaszłej w Bośni zmianie stawały się z dniem każdym pewniejsze, aż pewność onych w niewątpliwość się zmieniła, gdy z Wysokiego przybył Grgur Grguraszicz.

Przybył Grgur Grguraszicz z Wysokiego, ale nie wprost. Obrócił drogę na Dubrownik i z Dubrownika do Niksicza jechał w towarzystwie Władysława, którego wywabił zaklęciem, jakie mu przyniósł pod postacią listu od Tomasza. Tomasz pisał: „Nadszedł moment ogromnie ważny. Od momentu tego zależy byt ojczyzny naszej. Rozwijam sztandar walki świętej, pod który wzywam wszystkich synów Bośni, przed innymi zaś ciebie, licząc na to, że zrobisz wszystko, co jeno zapewnić może powodzenie orężowi naszemu“.

— To niesposób, żeby oni w razie takim ciebie nie posłuchali... — powiadał Grgur do Władysława. — Idzie o chrześcijaństwo, przewodniczy głowa kościoła łaciń-

skiego, wzywa król, przyjmujesz wezwanie ty, następca na województwo... cóż więc?...

Czytelnik się domyśla, o kim Grgur mówił.

Władysław mu na to, ramionami wzruszając:

— Nie wiem, czy się wmieszanie moje na co przyda. Spełnię to, co mi powinność nakazuje. Wszakże zdaje mi się, że rzecz o wiele do przeprowadzenia łatwiejszą by była, gdyby król ojca mego uznał hercogiem...

— Niesposób... — odpowiedział poseł królewski. — Jeżeliby król uznał Stefana hercogiem, to musiałby następnie uznawać hercogiem każdego wojewodę, któremu by się udało dyplom cesarski uzyskać, i Bośnia by się na hercogostwa rozpadła. Najtrudniej zacząć. Każdy wojewoda, każdy właścicielin hercogiem by być zechciał.

Władysław nic na to do odpowiedzi nie miał.

W Niksiczu pokłonił się ojcu, matce i stanął obok posła królewskiego, który w imieniu Tomasza, króla i panna Bośni i Serbii (królowie bośniaccy po upadku Serbii przybierali tytuł królów serbskich) wezwał uroczyście do stawienia się pod sztandarami bośniackimi Stefana Chranicza, zwanego Kosaczem, wojewodę chumskiego.

Stefan miał przy sobie Helenę i Wasę.

Na wezwanie to nie zdobył się od razu na odpowiedź, z czego korzystając Władysław głos zabrał:

— Uderzam przed tobą, ojczyzno, czołem i do wezwania królewskiego dołączam od siebie prośbę pokorną... Usłuchaj wołania ojczyzny, przemawiającej do ciebie przez usta królewskie... dopuść, ażebym ja, syn twój pierworodny, poszedł z tobą na wrogów zawiczaju naszego...

Helena odchrząknawszy odparła:

— Wezwanie to samo przyniosła nam królowa jejmość, córka nasza najmilejsza, i odpowiedzieliśmy już na nie...

— Niech król jegomość najprzód hercogiem mnie uzna — dodał Stefan — a nie, to gadać nie ma o czym. Król królem, ja hercogiem, przez dwory uznanym, przez legata papieskiego poświęconym i pomazanym...

— Właśnie też mam ja tu — odrzekł Grgur — słówko od świątobliwości jego do dostojności waszej.

To mówiąc wy dobył z zanadru i podał Stefanowi pisanie, które ten dla odczytania Wasie wręczył. Wasa czytać począł.

Ciekawymi były w ciągu czytania fizjonomie Stefana i Heleny. Stefan nadał się, namarszczył — zdawało się, słuchał z uwagą wielką. Helenie rozlał się na obliczu uśmiech lekko drwiący, oczy, zwrócone jakby w próżnię, błyszczały zagadkowo — zdawało się, że myśl jej błądziła gdzieś daleko.

Treść pisania legata polegała głównie na wykazaniu zależności hierarchicznej, na której opierał się porządek w świecie chrześcijańskim, ogniskujący się w stolicy apostolskiej. Papież nie zależy od nikogo, cesarz od nikogo, z wyjątkiem papieża, królowie od nikogo, z wyjątkiem cesarza i papieża, hercogowie, książęta świętego rzymskiego cesarstwa, nie zależą od nikogo, z wyjątkiem króla, cesarza i papieża. Wykazywał legat w ten sposób zależność hierarchiczną z dołu do góry idącą i zależność z góry na dół schodzącą, a udzielającą się za pomocą słów i znaków symbolicznych przez usta i ręce kapłana. Wykazu tego na wskroś teologicznego konkluzja była ta, że hercog zależy od króla, gdy ten ostatni zależy od papieża; ponieważ zaś król Tomasz przez przyjęcie obrządku łacińskiego uznał się zależnym od stolicy apostolskiej, zatem, eo ipso, hercog Stefan Chranicz obowiązany jest względem niego do zależności hierarchicznej, do posłuszeństwa.

— Otóż i masz! — zawołał Stefan wyrozumiawszy czytanie.

— Najjaśniejszy pan przeto... — zaczął Grgur tonem poważnym.

— Czekaj! — odezwała się Helena rękę wyciągając. Oczy jej iskrzyły się.

— Czekaj! — powtórzyła. — Kiedy najjaśniejszy pan do nas z tej beczki, to my do niego z innej... A i świątobliwość inaczej gadał przedtem, inaczej gada teraz. To i my zagadamy inaczej... Wysokość jego Stefan Kosacz, hercog świętego Sawy... przechodzi na wyznanie greckie.

— A!... — zawołał Grgur.

— Aha!... — podchwyciła Helena.

Stefan z góry a z ukosa spojrział zdziwionym nieco wzrokiem na żonę, która mówiła dalej do Grgura z akcentem nacięniowanym przekazem:

— Pokłońcie się od nas, mości pośle, najjaśniejszemu panu, najdostojniejszemu zięciowi naszemu, i najjaśniejszej pani, najmilszej córce naszej... i powiedzcie ich królewskim gościom, że życzymy im zdrowia dobrego i panowania długiego... I my chcemy panować także...

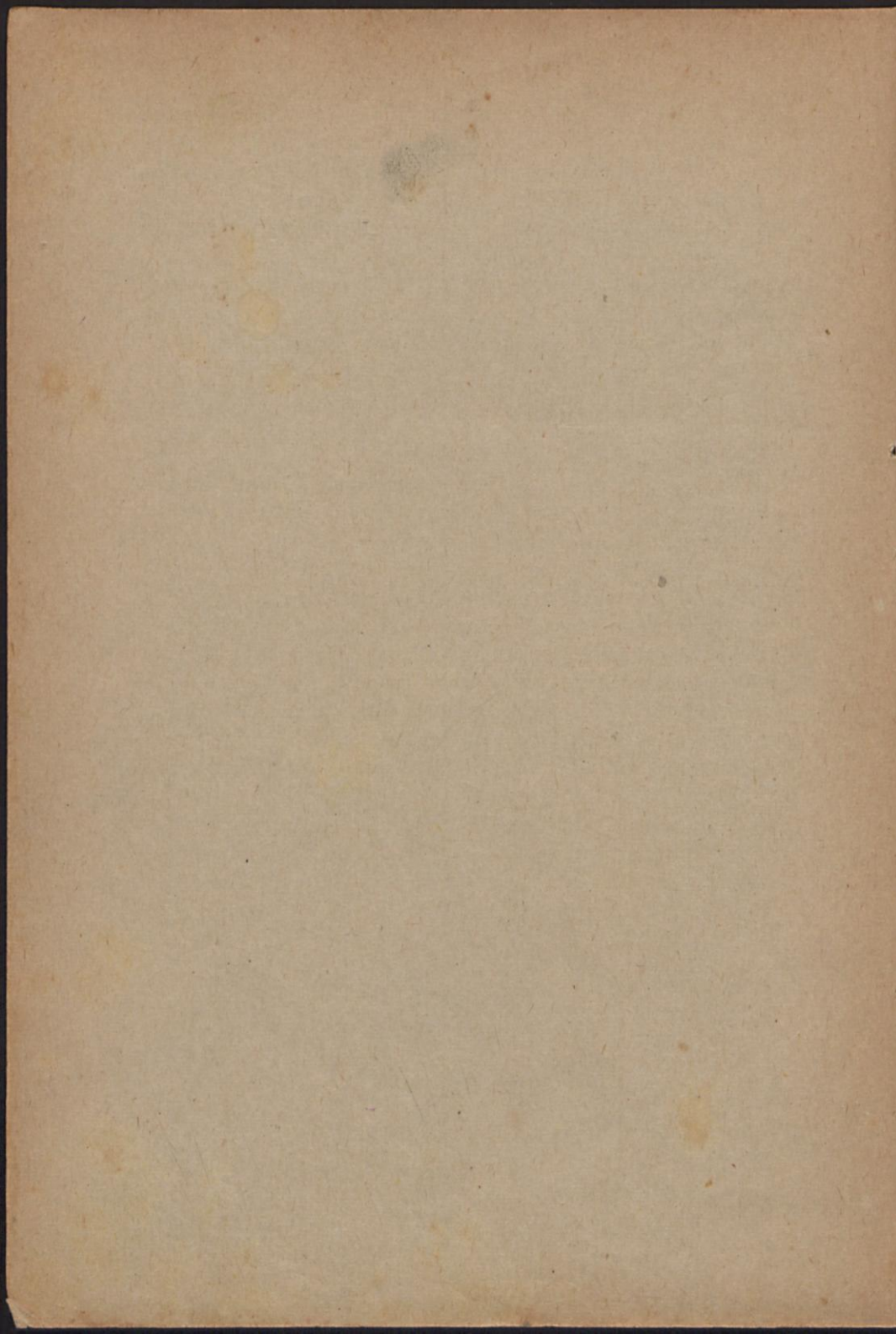
Władysław głęboko westchnął, głowę spuścił i cofnął się. Wrychle wyniósł się z komnaty i opuścił miasto.

Hercogstwo słowiańskie ostatecznie ufundowanym zostało.

Teść poszedł za przykładem zięcia, zięć za przykładem poprzedników swoich — wszyscy zaś oni ulegli wpływowi fatalnemu stanowiska, które się per abusum w Słowiańszczyźnie wyrobiło.

Sunt fata rerum.

K O N I E C



„Książka jest to człowiek przemawiający publicznie.“ Istotą książki jest to, że jakoś działa, wywołuje reakcje ludzi. Nie trwa nieruchomo w czasie, ale żyje o tyle, o ile uczestniczy w życiu ludzkim jako jeden z jego składników a czasem motorów. Ambicją Jeża jako autora nie było osiągnięcie wielkiego kunsztu stylistycznego, „fryzowanie frazesów w czubki“ — jak to ironicznie określał. Utwory Jeża nie nakładają na wydawcę obowiązku zachowywania z pietyzmem, w absolutnie nie naruszonej postaci, każdego szczegółu językowego. Do tych szczegółów sam autor najczęściej nie przywiązywał wagi, o czym świadczą liczne niekonsekwencje w języku jego pism.

W niniejszym, opartym w zasadzie na pierwodruku z r. 1876, wydaniu „Słowiańskiego Hercoga“, powieści żywo napisanej i zawierającej ciekawe wątki historyczne, pewne szczegóły językowe uległy zmodernizowaniu. Dostosowane zostały do dzisiejszych norm poprawnościowych formy następujące, użyte przez autora (w niektórych wypadkach może zależne od drukarza lub wydawcy) w wydaniu powieści z roku 1876:

TOM I—II

	Str.		Str.
pomieszany	9*)	ośródek	70
obmyśleli	18	zadowalniała	77
ohelznaną	20	zaspakajająco	77
paszenia	33	dopatrzyć	83
tęschnym	44	kładnąc	85
prowensalskich	56	dzióbem	90
ciężyli	57	odeszłą	99
ośmnasty	61	siedm	119

*) Formy, które przytoczono w spisie, występują nie tylko na stronach wymienionych. Nie cytowane są również formy pokrewne, tak np. jeżeli podany jest wyraz „tęschnym“, to nie umieszczone już są „tęschnić“, (s. 300, t. I—II), „utęschnienie“ (s. 248, t. I—II), jeżeli podane jest „odeszłą“, to nie umieszczone są „zeszłą“ (s. 150, t. I—II), „poszłą“ (s. 225, t. I—II), „wyszłą“ (s. 356, t. I—II). Uwzględnienie w spisie jakiegogoś wyrazu nie znaczy, że Jeż używa go zawsze w tej niepoprawnej z punktu widzenia dzisiejszej ortografii formie. Najczęściej używa różnych form promiscue.

	Str.		Str.
ośm	119	drażniło	318
fręzlami	119	grof	352
miszenia, misia	121	nowinejuszowi	353
siedmdziesiąt	123	jeźdźców	361
uduchowienie	134	próbierczy	366
wynadgradza	165	pedogry	374
rybołówstwem	170	sięgnął	376
ptakolowstwem	170	przysiołków	381
zachlistującego	177	otoczący	384
wiszniowy	196	niespostrzeżenie	388
usięde	200	etapa	395
poczystne	202	szpiczaste	399
przypasabianiem	221	szlub	400
wyslowiała	261	lubiona	402
kretański	263	szlapiąc	408
władzcę	275	sztukając	413
zjęła	294	odzwierciadla	431
podejrzywając	305	szyzmatyków	445
skoszlawionego	312	powłoczystości	494
pargaminy	313	prośb	495

TOM III—IV

ćwierutowania	14	sandomirski	154
pachło	18	Szląsk	164
każden	29	krzywoprzysięcą	166
wymustrował	39	urość	181
próbuj	44	rezerwoary	195
taburecie	44	podchlebianiu	212
ścieżaj	54	spółecznej	241
zwycięzcy	56	drażliwą	271
mrówila	61	spróbujemy	372
szerścią	72	koszturze	433
tabór	98	mowce	466
tułowem	117	naburmuszył	478
czwał	117	szmigownic	485
świętobliwość	129	spodnię	485

Bez zmian pozostawiono m. in. formy następujące:

TOM I—II

harmaty	43	na pewne	216
stryjec	52	warcab (gen. pl.)	228
jakicheś	67	habita (gen. sg.)	283
tymczasowie	82	wyspowiadywały	308
przewódca	150	urzędowie	309
czymeś	152	spółzawodników	319
obiedwiema	182	spółubiegali	320
nozdrz (gen. pl.)	193	Dubrowniczian (nom. sg.)	344
drzewco	209	(właściwość) ta	366

	Str.		Str.
edukacją (acc. sg.)	367	doradce (nom. pl.)	418
wczora	367	interesowanej	432
postrzeżeń	367	obudwóch	437
wyobraźnią (acc. sg.)	367	nieruchomie	438
pomyśliwał	370	spółbiesiadników	443
plakiwała	381	zdolen	445
skazówek	388	mieszkańce (nom. pl.)	455
wędrowce (nom. pl.)	397	momenta (nom. pl.)	456
pretensją (acc. sg.)	398	sprzymierzeńce (nom. pl.)	459
śród	400	proga (gen. sg.)	474
spółziomków	400	rzeczpospolitą (acc. sg.)	480
spólnej	402	panię (acc. sg.)	487
stoła (gen. sg.)	407	wschodach	487
nakalając	414	sentencją (acc. sg.)	489
spółudziałem	417		

TOM III—IV

brandeburskiej	7	zagartują	200
obadwa	8	kimeś	223
Brandeburg	10	zaducha	247
Brandeburczykowi	10	helma (gen. sg.)	249
teścia (nom. sg.)	10	zamruzał	269
uszów	11	smoktał	284
wolen	12	rezydencją (acc. sg.)	285
instynktowie	13	dwójznacznym	286
królowę (acc. sg.)	17	rewersa (nom. pl.)	290
z ręku	69	niejakimeś	293
spowodowuje	79	despot	314
położy	87	usiadała	320
wsi (nom. pl.)	93	jedną (acc. sg.)	327
delią (acc. sg.)	99	wyznawce (nom. pl.)	343
pocierpali	111	tą (jedność)	371
(takie) same (urządzenie)	120	bracią (naszą) (acc.)	376
starce (nom. pl.)	129	ozuchwalała	442
przysłuża	175	mówce (nom. pl.)	466
barbarzyńce (nom. pl.)	186	podróżnice	478

Poprawione zostały następujące omyłki druku, zauważone w wydaniu z 1876 roku:

TOM I—II

wielikarzów zmieniono na wielikaszów	50	gła prędko do miejsca, w którym“...	93
Zachlumię (miejsc. l. p.) zmieniono na Zachlumiu	62	dżigarica zmieniono na dżigarica	376
oszaga zmieniono na oczaga	80	„...skołataną nazwę bośniacką...“ zmieniono na „...skołataną nawę bośniacką...“	387
„...podbiegła prędko do miejsca, w której...“ zmieniono na „...podbie-			

TOM III—IV

Str.		Str.
	„monarchii brandeburskiej zmieniono na „marchii brandeburskiej“	7
	„— Na szczęście. — Nie. — Siedem.“ zmieniono na „Na sześciu. — Nie — Siedem.“	31
	„...na dobro trzody człowieczej, pieczy naszej powierzonych...“ zmieniono na „...na dobro trzody człowieczej pieczy naszej powierzonych...“	82
	„Dodatki, których nie brakło ani głosu...“ zmieniono na „Dodatki, w których nie brakło ani głosu...“	222
	Zachluma zmieniono na Zachlunia	265
	„...to że mu z kopalni serbowie puciekają...“ zmieniono na „...to że mu z kopalni sebowie puciekają...“	362
	„...czy to serb, czy grodzianin...“ zmieniono na „...czy to sebr, czy grodzianin...“	418

Ujednostajniono niekonsekwentną u autora pisownię następujących wyrazów:

Balszyczanka — Balsziczanka
 cylijski i cilijski — cylejski
 Radiwoj — Radiwój
 Grguraszic — Grguraszicz
 Twertka — Twrtka
 Nikszyc — Nikszicz

Młoszyc — Młoszicz
 dziewczynki — dziewczynki
 Grubej — Grubie
 freiherr, frajher — freier
 sandecki — sadecki
 Witold — Witold
 nikszycki — nikszicki

Poprawiono błędy w następujących wyrażeniach obcych:

„quelque chose du piquant“ na „quelque chose de piquant“, s. 86 t. III — IV, „à bâtons rompus“ na „à bâtons rompus“ s. 141 t. I — II.

Trudności techniczne spowodowały, że nie zostały wyróżnione kursywą wyrazy niepolские, które się zdarzają w tekście autora. Postać tych wyrazów nie zawsze jest poprawna ze stanowiska norm tych języków, z których są wzięte. Niewłaściwe jest i zamiast i w takich wyrazach, jak blago, planina itp., niewłaściwa jest samogłoska „a“ w formie targowac. Jeż nie odczuwał ostro granic oddzielających jedne języki słowiańskie od drugih. Zdanie, które ma być zdaniem serbskim, ma postać: „Bog by ich pobio“ (s. 38 t. I — II), „Bóg by ich pobio!“ (s. 57 t. I — II) „boh by ją ubio“ (s. 230, t. I — II), „Boh by mnie pobio“ (s. 359, t. I — II), „Boh by go pobio“ (s. 273, t. III—IV). We wszystkich wariantach niepoprawna jest ze stanowiska serbskiego forma by (zamiast bi), w wariantcie drugim znalazła się polska forma „Bóg“, w wariantcie trzecim głoska h w słowie „boh“ przypomina ukraińskie „Bih“, forma „ją“ jest czysto polska.

Wszędzie wprowadzona została pisownia obecnie obowiązująca.

W. D.

S P I S T R E Ś C I

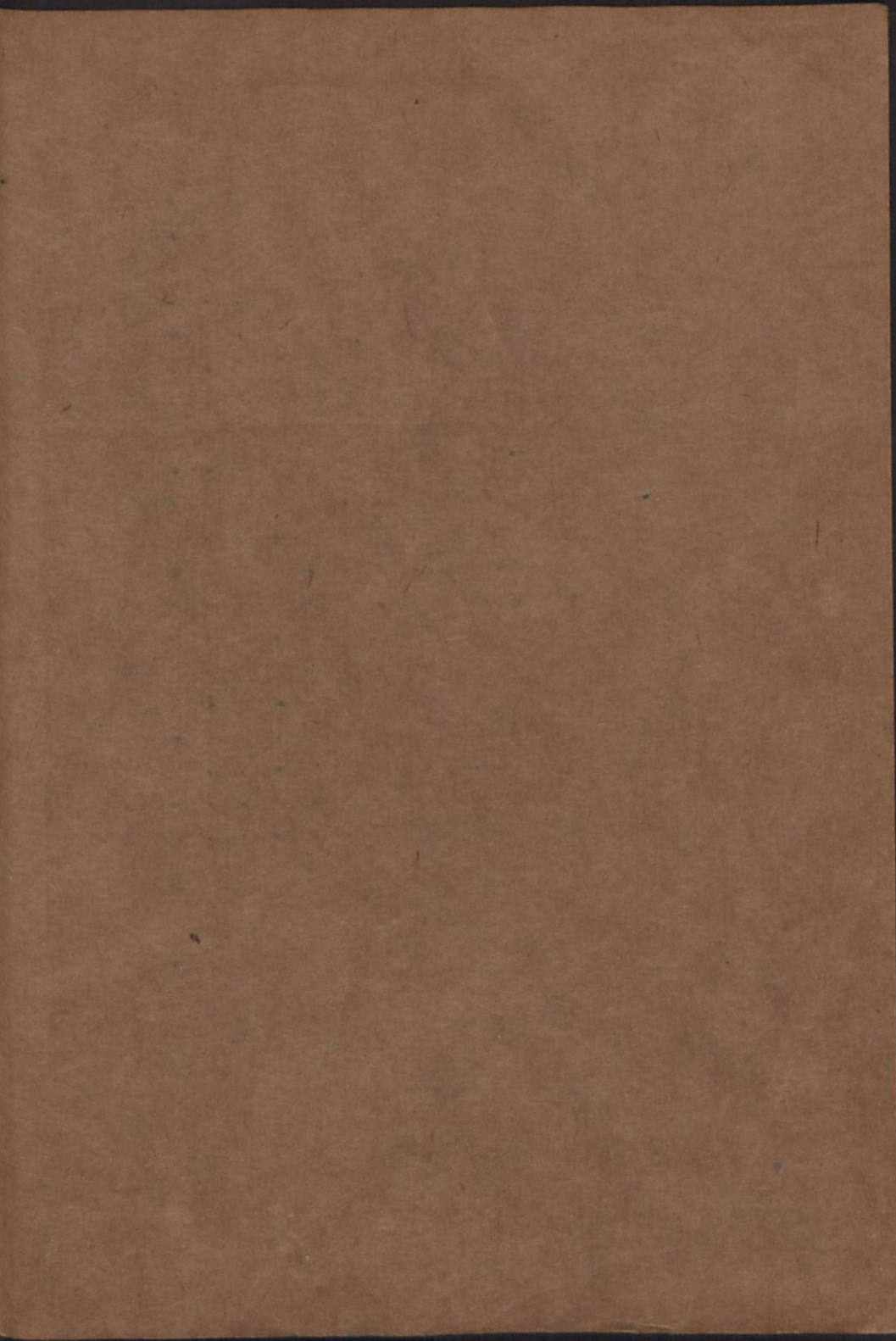
TOM TRZECI

	Str.
ROZDZIAŁ I: ROJENIA	7
„ II: ODYMKI ŚWIATOWE	20
„ III: GRAFINIA	33
„ IV: TURNIEJ	46
„ V: ORDER SMOKA	59
„ VI: SPRAWY LITEWSKIE	72
„ VII: ZASZCZYT NIESPODZIANY	85
„ VIII: IMC PAN KRYSTYN DE KOZIEGŁOWY	97
„ IX: CHYBIONA PARADA	109
„ X: W ŁUCKU	121
„ XI: BURZLIWE OBRADY	134
„ XII: PRZYRZECZENIE KRÓLEWSKIE	146
„ XIII: WYMOWA A WYMOWA	159
„ XIV: UCIECZKA KRÓLEWSKA	171
„ XV: CIEKAWA WIADOMOŚĆ	183
„ XVI: NOWY ZASZCZYT	195
„ XVII: NIEFORTUNNA WYPRAWA	207
„ XVIII: FIGURA	219
„ XIX: W NORYMBERDZE	231
„ XX: PRÓBA WOJENNA	243

T O M C Z W A R T Y

	Str.
ROZDZIAŁ I: PO LATACH A LATACH	259
„ II: W DOMOWYCH PROGACH	271
„ III: ZAPIS I ZASTRZEŻENIE	283
„ IV: SEN CUDOWNY	295
„ V: PIĘKNOŚĆ	307
„ VI: OBJAWIENIE	319
„ VII: „NEM SABAT!“	331
„ VIII: NIESPODZIANKI	343
„ IX: SZACH KRÓLOWI	355
„ X: KOLCE W RÓŻY	368
„ XI: DOBRANE MAŁŻEŃSTWO	380
„ XII: RĘKOJMIE	392
„ XIII: ŁZY MATKI	405
„ XIV: NIEPOKÓJ GRUBY	417
„ XV: W WIĘZIENIU	429
„ XVI: SMUTEK I RADOŚĆ	442
„ XVII: PORWANIE	454
„ XVIII: POSTANOWIENIE RADY	466
„ XIX: WOJNA	478
„ XX: SUNT FATA RERUM	493





5

London 18

Ksiegozbior BP



10085267

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

